

Gillian Flynn

Mroczny zakątek

Dark Places

Tłumaczenie
Katarzyna Kasterka



Długi żywot mógł wieść Dayów cały klan,
Lecz Benowi odbiło i zmienił losu plan.
Nagle zapragnął Szatana mrocznej mocy
Więc zabił swą rodzinę pewnej strasznej nocy.

Najpierw Michelle udusił dla zabawy,
Później Debbie porąbał, cóż za widok krwawy.
Matkę swoją, Patty, na koniec zostawił,
Wypalił ze strzelby, głowy ją pozbawił.

Tylko mała Libby cudem ocalała,
Ale po masakrze marne życie miała.
- SZKOLNA RYMOWANKA, CIRCA 1985.

Libby Day

Współcześnie

Jest we mnie nikczemność, namacalna jak wewnętrzny organ. Rozetnijcie mi brzuch, a wypadnie na zewnątrz - ciemna i mięsista plaśnie o podłogę, a wówczas będzie można ją rozdeptać. Zrodziła się z krwi Dayów. To ona niesie w sobie jakieś zło. Nigdy nie byłam słodką, małą dziewczynką, a po morderstwach stałam się znacznie gorsza. Sierotka Libby zmieniła się w istotę ponurą i bezwonną - przerzucaną pomiędzy dalszymi i bliższymi krewnymi, dorastającą w mieszkalnych przyczepach i próchniejących ranczerskich bungalowach, rozsianych po rozmaitych zakątkach Kansas. Oto ja: idę do szkoły w znoszonych ubraniach, odziedziczonych po nieżyjących siostrach - bluzki z musztardowymi plamami pod pachami; spodnie komicznie wiszące na tyłku, podtrzymywane przez złachany pasek, ściągnięty na ostatnią dziurkę. Na zdjęciach klasowych mam zawsze potargane włosy - zapinki wiszą luźno na niechlujnych strąkach, niczym złapane w pułapkę obiekty latające - i worki pod oczami jak u notorycznej pijaczki. Niewykluczone, że skrzywienie ust jest namiastką uśmiechu. Ale tylko niewykluczone.

Nie byłam uroczym dzieckiem i wyrosłam na wysoce niesympatyczną kobietę. Gdyby wiernie odmalować moją duszę, z pewnością miałyby kły.

*

W paskudny, marcowy poranek przemoczony deszczem leżałam w łóżku i rozmyślałam o samobójstwie. To moje ulubione hobby. Często popołudniami oddaję się takim marzeniom: lufa strzelby w ustach, huk wystrzału, odskakująca głowa, rozbryzg krwi na ścianie. Potem kilka pytań: „Czy chciała zostać skremowana? Kto przyjdzie na pogrzeb?”. Nikt nie umiałby odpowiedzieć. Owi dociekliwi, kimkolwiek by byli, spoglądaliby po sobie nieśmiało, wbijali wzrok w podłogę i własne buty. W końcu zapadłaby cisza i trwała tak długo, aż ktoś dziarsko zaproponowałby kawę i zaczął energicznie łomotać naczyniami w kuchni. Kawa świetnie się komponuje z nagłą, tragiczną śmiercią.

Wysunęłam stopę spod kołdry, ale nie mogłam się zmusić do postawienia jej na podłodze. Przypuszczam, że cierpię na depresję. Przypuszczam, że cierpię na depresję od dwudziestu czterech lat. Czuję, że gdzieś w środku mojego dzieciennego, karłowatego ciała drzemie lepsza wersja mnie samej - może ukryta za wątrobą lub przyczepiona do skrawka śledziony - taka Libby, która nakazuje mi wstać z wyra, podjąć działanie, dorosnąć, zmienić

swoje życie. Ale nikczemność zazwyczaj wygrywa. Kiedy miałam siedem lat, mój brat zaszlachtował moją rodzinę. Mama i dwie siostry nagle zostały unicestwione - zastrzelone, zarąbane siekierą, uduszone. Po tym już nic nie musiałam robić, nikt niczego ode mnie nie oczekiwał.

Gdy skończyłam osiemnastkę, dostałam do dyspozycji 321 374 dolary. To fundusz utworzony z datków pocziwych dusz, które przeczytały moją smutną historię i były tak głęboko poruszone, że ich „serca łączyły się ze mną w nieszczęściu”. Ilekroć słyszę to wyrażenie, a słyszę je często, stają mi przed oczami pękate serduszka z gołębimi skrzydełkami, frunące ku jednemu z głównianych domów mojego dzieciństwa, gdzie stoję w oknie, macham radośnie rękami i chwytam każde serce, z którego niczym ze skarbonki, sypią się zielone. „Dzięki, olbrzymie dzięki!” Od samego początku wszystkie darowizny gromadzono na konserwatywnie zarządzanym rachunku bankowym, zasilanym nowym zastrzykiem kasy co trzy, cztery lata, kiedy jakieś czasopismo lub stacja telewizyjna aktualizowały informacje na mój temat. „Nowy słodko-gorzki dzień w życiu małej Libby - jedyna ocalała z Masakry w Krainie Prerii obchodzi 10. urodziny”. (Z włosami zebranymi w dwie krzywe kitki sterczą na obszczanym przez oposy skrawku pożółklej trawy przed przyczepą ciotki Diane. Diane stoi tuż za mną, wyjątkowo ubrana w spódnicę, spod której wystają kłocowate łydki). „Dzielna Libby Day skończyła 16 lat!” (Wciąż jestem miniaturowa, moją twarz oświetlają świece urodzinowego tortu, a bluzka z trudem dopina się na piersiach, które tego roku rozrosły się do rozmiaru D. Wyglądają komiksowo w połączeniu z moim drobnym, niemal dziecięcym ciałem - niedorzecznie, pornograficznie).

Żyłam z tej forsy przez trzynaście lat, ale teraz konto świeciło pustkami. Raz w roku koleś, który zarządzał moimi pieniędzmi - bankowiec imieniem Jim Jeffreys o różowych policzkach i nieruchomych oczach - nalegał, żebym szła z nim na lunch, podczas którego zdawał mi sprawozdanie ze stanu finansów. Nazywał to „właścicielską kontrolą”. Jedliśmy jakieś dania mieszczące się w kwocie dwudziestu dolarów i rozmawialiśmy o moim życiu - ostatecznie Jim znał mnie od czasu, kiedy byłam „taka malutka”, cha, cha, cha. Ja natomiast nic nie wiedziałam na jego temat i nigdy nie zadawałam żadnych pytań. Podchodziłam do naszych spotkań tak, jakbym wciąż nie wyrosła z dziecięcych lat: bądź uprzejma, ale nie bardziej niż to konieczne, i miejmy całą imprezę jak najszybciej z głowy. Odpowiadaj monosylabami, a od czasu do czasu wzdychaj ze znużeniem. (Choć gdy się nad tym zastanowić, to chyba jednak coś wiem o Jimie Jeffreysie: najprawdopodobniej jest pobożnym, bogobojnym chrześcijaninem, bo ma w sobie pasję i optymizm osobnika, który wierzy, że Jezus wciąż obserwuje go z góry). Następną „kontrolą” miała się odbyć najwcześniej za

osiem, dziewięć miesięcy, tymczasem Jim Jerffeys strasznie napierał na spotkanie, zostawiał na sekretarce wiadomości wygłaszane poważnym, przyciszonym głosem, a każda brzmiała mniej więcej tak samo: zrobił dosłownie wszystko, żeby „przedłużyć żywotność funduszu”, ale w końcu nadszedł czas na podjęcie „poważnych kroków”.

Moja niegodziwość natychmiast dała o sobie znać: stanęła mi przed oczami inna mała dziewczynka opisywana w bulwarówkach, Jamie Jakaśtam, która została sierotą w tym samym roku co ja - 1985. Miała silnie poparzoną twarz po tym, jak jej ojciec podpalił dom wraz z resztą rodziny w środku. Tylko ona jedna przeżyła pożar. W każdym razie, ilekroć wypłacam pieniądze z bankomatu, myślę o tym, że gdyby Jamie nie przyćmiła mojej tragedii, miałabym dwa razy więcej kasy i o tym, że ona teraz wydaje gdzieś moją forszę na szpanerskie torebki, biżuterię i rozmaite mazidła do makijażu, którymi pokrywa swoją szklistą, poznaczoną bliznami twarz. Takie myśli były naturalnie obrzydliwe z mojej strony. Dobrze, że przynajmniej miałam tego świadomość.

Wreszcie, po długim ociąganiu, zdołałam się zwlec z łóżka i, jęcząc teatralnie, wyszłam z sypialni. Wynajmuję mały, ceglany bungalow stojący pośród innych małych, ceglanych bungalowów na masywnym urwisku wznoszącym się ponad dawnymi bydłecymi targowiskami rzeźnymi Kansas City. Kansas City w Missouri, nie Kansas City w Kansas. A to zasadnicza różnica.

Moja dzielnica jest tak zapomniana przez Boga i ludzi, że nawet nie ma nazwy. Mówi się o niej „Het, w Tamtą Stronę”. To dziwaczny, zubożały obszar pełen ślepych uliczek i psich kup. Niemal wszystkie tandetne bungalowy są zamieszkane przez starych ludzi, którzy je zasiedlili tuż po wybudowaniu. Starcy - wyszarzali i ciastowaci - całymi godzinami wysiadają przed osłoniętymi moskitierą oknami i obserwują ulicę. Czasami też niepewnym krokiem drepczą do swoich samochodów, a mnie na ten widok ogarnia poczucie winy. Może powinnam wybiec i im pomóc? Ale tak naprawdę wcale by tego nie chcieli. To nie są przyjaźni staruszkowie, ale zawzięte, wkurwione na świat staruchy, którym się nie podoba, że żyję w sąsiedztwie, bo jestem nowa - obca. Cała okolica podskórnie tętni ich dezaprobatą. Do tego dochodzi chudy, rudy pies, który dwa domy dalej szczeka całymi dniami i wyje po nocach. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, że te dźwięki doprowadzają go do szału, dopóki nie ucichną na kilka krótkich, błogosławionych chwil. Jedyne radosne odgłosy dzielnicy zazwyczaj wkradają się w mój sen: to poranny szczebiot maluchów. Ich grupka - okrągłoliczych, okutanych w kilka warstw ubrań - codziennie wędruje do przedszkola ukrytego gdzieś głęboko w szurzym gnieździe uliczek za moim domem. Każdy brzdąc ściska długą linkę, za którą prowadzi je jakiś dorosły. W moich wyobrażeniach okrążają cały świat, by się

pojawić pod moimi oknami następnego ranka. Tak czy inaczej, jestem do nich na swój sposób przywiązana. To trzy dziewczynki i jeden chłopiec, wszystkie z zamięłowaniem do jaskrawoczerwonych kurtek. Jeżeli zaśpię i ich nie zobaczę, stają się smętne. A raczej - bardziej smętne niż zazwyczaj. To wyrażenie, którego użyłaby moja mama, o wiele mniej dramatyczne niż „depresyjna”.

Jestem smętne już od dwudziestu czterech lat.

*

Z myślą o czekającym mnie spotkaniu włożyłam bluzkę i spódnicę, czując się jak karlica w „dorosłych”, kobiecych ubraniach, które nigdy na mnie dobrze nie leżą. Mam niecałe metr pięćdziesiąt wzrostu - dokładnie rzecz biorąc metr czterdzieści siedem, ale zawsze zaokrąglam w górę. Jeśli komuś to nie pasuje, niech mnie pozwie do sądu. Skończyłam trzydzieści jeden lat, mimo to ludzie wciąż mówią do mnie śpiwnym, przesłodzonym tonem, jakby mieli ochotę wręczyć mi zabawkę.

Wyszłam z domu, ruszyłam opadającym w dół trawnikiem zarośniętym chwastami i oczywiście rudy kundel sąsiadów natychmiast zaczął ujadać jak szalony. Na chodniku, obok mojego auta, leżą sprasowane szkielety dwóch pisklaków. Ich rozplaszczone dzioby i skrzydła nadają im gadzi wygląd. Są tutaj już od roku i ilekroć wsiadam do samochodu, nie mogę się oprzeć, muszę na nie spojrzeć. Przydałaby się wielka powódź, która by je wreszcie zmyła.

Na schodach domu stojącego po drugiej stronie ulicy rozmawiały dwie wiekowe kobiety i udawały, że mnie nie widzą. Nie znam ich nazwisk. Nie znam nazwisk żadnego z moich sąsiadów. Gdyby któraś z tych kobiet nagle umarła, nie mogłabym nawet powiedzieć „Biedna pani Zalinsky odeszła z tego świata”. Najprawdopodobniej bym powiedziała: „Ta wredna stara rura z naprzeciwka kopnęła w kalendarz”.

Czując się jak dziecię-widmo, wsiadłam do swojego anonimowego auta średnich gabarytów, niemal w całości wykonanego z plastiku. Czekam tylko, aż pewnego dnia stanie w moich drzwiach dealer producenta i oznajmi oczywistą prawdę: „To kpina. Czymś takim nie można się poruszać po ulicach. To był z naszej strony głupi dowcip”. Jak w transie prowadziłam swoje auto-zabawkę, kierując się do dawnego centrum, gdzie byłam umówiona z Jimem Jeffreysem. Zajechałam pod restaurację spóźniona dwadzieścia minut. Dobrze wiedziałam, że Jim uśmiechnie się tylko serdecznie i ani słowem nie wspomni o mojej niepunktualności.

Miałam zadzwonić do niego z komórki, gdy tylko dotrę na miejsce, żeby mógł wytruchtać na restauracyjny parking i wprowadzić mnie do środka. Ta poczciwa, stara

restauracja sieciowa - Kansas City Steakhouse - jest otoczona opustoszałymi budynkami i to wzbudza niepokój Jima. Chyba mu się zdaje, że banda gwałcicieli gnieździ się w tych ceglanych skorupach i tylko czyha na mój przyjazd. A Jim Jeffreys w żadnym razie nie zamierza być TYM FACETEM, KTÓRY DOPUŚCIŁ, ŻE COŚ ZŁEGO PRZYDARZYŁO SIĘ LIBBY DAY. Bo to w ogóle nie do pomyślenia, aby jeszcze jakakolwiek dodatkowa trauma spotkała „Dzielne Maleństwo Dayów”, „Zagubioną Dziewczynkę” - żalną, rudowłosą siedmiolatkę o wielkich niebieskich oczach; jedyną ocalałą z „Masakry w Krainie Prerii”, „Morderczego oblędu w Kansas”, „Rytualnego zabójstwa na farmie w imię Szatana”. Moja mama i dwie starsze siostry zostały zaszlachtowane przez Bena. Tylko ja ocalałam, i to ja wskazałam na niego palcem. Małe, słodkie maleństwo doprowadziło swojego wielbiącego szatana brata przed oblicze sprawiedliwości. To był gorący news. „Enquirer” umieścił zdjęcie mojej zapłakanej twarzy na pierwszej stronie, a u góry wielki napis ANIELSKA BUZIA.

Zerknęłam we wsteczne lustro - w swoich rysach nadal dostrzegałam tę dziecięcą twarz. Piegi wyblakły, zęby zostały wyprostowane, ale wciąż miałam mocno zadarty nos i oczy tak okrągłe jak u małego kotka. Teraz farbowałam włosy na platynowy blond, ale już się pojawiły rude odrosty. Wyglądało to tak, jakby krwawiła cała skóra głowy. Szczególnie w świetle popołudniowego słońca. Dość makabryczne wrażenie. Zaciągnęłam się papierosem. Miesiącami mogłam nie tykać fajek, aż nagle sobie przypomniałam, że przecież jestem palaczką. Oto cała ja, nic się mnie nie trzyma.

- No, ruszaj, Maleństwo Dayów - powiedziałam na głos.

„Maleństwo Dayów” - tak sama siebie nazywam, gdy mnie ogarniają negatywne uczucia.

Wysiadłam z auta, wciąż paląc papierosa. Trzymałam go w prawej dłoni, żeby nie patrzeć na lewą, tę uszkodzoną. Nadciągał wieczór: migrujące chmury przepływały stadnie po niebie niczym tabuny bizonów, a słońce wisiało na tyle nisko, żeby wszystko zabarwić rozmaitymi odcieniami różu. Nieopodal rzeki, pomiędzy pętlami zjazdów z autostrady, stały stare elewatory zbożowe: bezsensowne, mroczne, puste łuski.

Przeszłam sama przez parking po konstelacji odłamków rozbitego szkła. Nikt mnie nie zaatakował. Ale ostatecznie było ledwo po siedemnastej. Jim Jeffreys zwykł jadać o wczesnych porach i był z tego powodu bardzo dumny.

Kiedy weszłam, siedział przy barze i popijał wodę mineralną. Na mój widok, tak jak się spodziewałam, wyszarpnął z kieszeni komórkę i spojrzał na nią z wyrzutem, jakby się dopuściła najgorszej zdrady.

- Dzwoniłaś? - zmarszczył czoło.

- Nie, zapomniałam - skłamałam bez mrugnięcia okiem.

Od razu się rozpogodził.

- Nieważne, nieważne... Cieszę się, że cię widzę, moja droga. Gotowa do rozmowy o interesach?

Rzucił dwa dolce na kontuar i poprowadził mnie do łoży z czerwonymi kanapami. Z pęknięć w skórze sterczały żółte kępki wypełnienia i drapały w nogi, kiedy zajmowałam swoje miejsce. Wydzielały odór stęchłego tytoniu.

Jim Jeffrey nigdy nie pił alkoholu w moim towarzystwie, nigdy też mi nie proponował alkoholowych drinków, ale kiedy zjawiała się kelnerka, zamówiłam kieliszek czerwonego wina i obserwowałam biednego Jima, który bardzo się starał ukryć zdumienie lub rozczarowanie, czy też jakieś inne emocje sprzeczne z jego wyobrażeniem o sobie. „Jakie czerwone?”, zapytała tymczasem kelnerka, a ja nie miałam bladego pojęcia; nigdy nie byłam w stanie zapamiętać tych wszystkich nazw win białych i czerwonych, ani który człon nazwy należało w zasadzie podawać, rzuciłam więc w odpowiedzi: „Stołowe”. Mój bankowiec zamówił dla siebie stek, a ja wybrałam pieczonego kartofla z podwójnym nadzieniem. Kiedy kelnerka odeszła, Jim wydał z siebie ciężkie westchnienie zatroskanego dentysty, po czym oświadczył:

- Cóż, Libby, właśnie razem wchodzimy w nowy i całkiem odmienny etap.

- No więc, ile zostało? - spytałam, powtarzając w duchu: powiedz dziesięć tysięcy, powiedz dziesięć tysięcy.

- Czy ty w ogóle czytujesz raporty, które ci wysyłam?

- Od czasu do czasu - skłamałam ponownie.

Uwielbiałam otrzymywać pocztę, ale nie znosiłam jej czytać; wspomniane raporty prawdopodobnie leżały zgrzebane w stercie korespondencji.

- Odsłuchałaś wiadomości, jakie zostawiłem?

- Chyba coś nie tak z twoją komórką. Ucina większość słów.

Wysłuchałam dość dużo, by wiedzieć, że się znalazłam w tarapatkach. Chociaż zazwyczaj odpływałam myślami już po pierwszym zdaniu, które zawsze brzmiało tak samo: Libby, mówi twój przyjaciel, Jim Jeffreys...

Teraz złożył dłonie w namiocik, stykając je czubkami palców i wysunął naprzód dolną wargę.

- Na koncie pozostały dziewięćset osiemdziesiąt dwa dolary i dwanaście centów. Jak już nieraz wspominałem, gdybyś je zasilala częstką dochodów z regularnej pracy, moglibyśmy uratować fundusz, ale... - rozłożył ramiona i wykrzywił usta - ...sprawy

potoczyły się inaczej.

- A co z książką? Czy książka nie może...?

- Niestety, Libby. Powtarzam ci to każdego roku. Nie ma w tym twojej winy, po prostu książka... Nie, to zamknięty rozdział.

Lata temu, by wycyckać co się da z moich dwudziestych pierwszych urodzin, wydawca samopomocowych podręczników zaproponował, żebym napisała, jak się rozprawiłam z „upiorami przeszłości”. Tak naprawdę z nikim i z niczym się nie rozprawiłam, jednak zgodziłam się na publikację, po czym odbyłam wiele rozmów telefonicznych z jakąś kobietą z New Jersey, która wszystko spisała za mnie i w moim imieniu. Książka wyszła na Boże Narodzenie w dwa tysiące drugim, a na okładce zamieszczono zdjęcie, na którym miałam idiotycznie wycieniowane włosy. Dziełko nosiło tytuł „Nowe cudowne życie! Przeżyliście w dzieciństwie traumę? Pomożemy wam ją pokonać!”. Było to dwieście stron niestrawnej papki promującej pozytywne myślenie, okraszanej moimi rodzinnymi fotkami. Dostałam za nie osiem tysięcy dolarów, a potem grupy skupiające ofiary różnych nieszczęść zaczęły mnie zapraszać na prelekcje. Polecałam do Toledo na spotkanie z ludźmi osieroconymi we wczesnym dzieciństwie; do Tulsy na specjalny zlot nastolatków, których matki padły ofiarami mężów. Podpisywałam swoją książkę podsuwaną mi pod nos przez przejęte dzieciaki, które zadawały wnerwiające pytania w rodzaju: czy mama piekła nam pierożki. Składałam autografy na egzemplarzach zakupionych przez siwowłosych staruchów, którzy spoglądali na mnie sponad dwuogniskowych okularów i zionęli przypaloną kawą oraz kwasem żołądkowym. „Dziś jest pierwszy dzień Twojego nowego życia!” pisałam. Lub: „Nowe życie już na Ciebie czeka!”. Ludzie, którzy przychodzili się ze mną spotkać, zawsze wyglądali na zmaltretowanych i zdesperowanych, otaczali mnie luźnym wianuszkim z wyrazem niepewności na twarzach. Nigdy nie było ich wielu. A kiedy dotarło do mnie, że nie mam z tych spotkań żadnej kasy, przestałam gdziekolwiek jeździć. Zresztą książka już nikogo nie obchodziła.

- Powinam na niej o wiele więcej zarobić - mruknęłam.

Naprawdę i szczerze chciałam, aby przynosiła dochód. Niczym małe dziecko trzymałam się obsesyjnie myśli, że jeżeli będę czegoś pragnąć dostatecznie mocno, to się spełni. Spełni się z pewnością.

- Tak, wiem - odparł Jim Jeffreys, bo po sześciu latach walczenia tematu nie miał już nic nowego do powiedzenia. Przez chwilę w milczeniu patrzył, jak popijam wino. - Ale jednocześnie obecna sytuacja może stać się zaczątkiem nowego, interesującego etapu w twoim życiu. To znaczy, czy już myślałaś o tym, co chciałabyś robić w sensie zawodowym?

Zdawałam sobie sprawę, że próbował być miły, ale jego słowa wywołały we mnie złość. Bo ja nie chcę niczego robić i w tym, kurwa, cały problem.

- Więc nie mam już pieniędzy?

Jim Jeffreys pokręcił smętnie głową i zabrał się do solenia postawionego przed nim steku, który leżał w jeziorzku krwi przywodzącej na myśl oranżadę zabarwioną na jaskrawy kolor.

- A co z nowymi datkami? Zbliża się dwudziesta piąta rocznica.

Ponownie ogarnęła mnie wściekłość, że poniekąd zostałam zmuszona do wypowiedzenia tych słów. Ben zaczął swój morderczy rajd o drugiej w nocy trzeciego stycznia osiemdziesiątego piątego roku. To był wyznacznik czasowy masakry mojej rodziny, a ja teraz nie mogłam się go doczekać. Kto wypowiada podobne zdania? Dlaczego na tym cholernym funduszu nie ma choćby marnych pięciu tysięcy?

Ponownie pokręcił głową.

- Nic już nie napłynie, Libby. Skończyłaś - ile? - trzydzieści lat? Jesteś dojrzałą kobietą. Ludzie koncentrują się na nowych sprawach. Chcą pomagać innym małym dziewczynkom, nie...

- Nie takim jak ja.

- Przykro mi.

- Ludzie koncentrują się na nowych sprawach? Naprawdę?

Ogarnęło mnie poczucie odrzucenia jak w dzieciństwie, kiedy jakaś ciotka czy kuzynka odstawiała mnie do domu innej ciotki lub kuzynki, mówiąc: „Jestem już wykończona, teraz ty się z nią poużeraj”. No i ta nowa ciotka lub kuzynka była dla mnie bardzo dobra przez mniej więcej tydzień, uczciwie się starała, ale potem... Prawdę mówiąc, to zazwyczaj była moja wina. Szczerze. Wcale nie przemawia przeze mnie syndrom ofiary. Na przykład w domu jednej z moich kuzynek spryskałam meble lakierem do włosów i podpaliłam. Ciotka Diane, siostra mamy, którą wręcz ubóstwiałam w dzieciństwie, bez wahania zabrała mnie do siebie tuż po zbrodni, po czym kilka razy odsyłała i przyjmowała z powrotem, zanim na dobre zatrzasnęła przede mną drzwi. Nie ma co, muszę przyznać, że wyrządziłam tej kobiecie bardzo wiele zła.

- Niestety, Libby, zawsze gdzieś ktoś popełnia nowe, straszne morderstwo - podjął Jim. - A ludzie nie potrafią się długo koncentrować na jednym wydarzeniu. Spójrz tylko, co za szaleństwo zapanowało w związku ze sprawą Lisette Stephens.

Lisette Stephens była ładną, dwudziestopięcioletnią brunetką, która wybrała się do rodzinnego domu na obiad z okazji Święta Dziękczynienia i nigdy nie dotarła do miejsca

przeznaczenia. Całe Kansas City zaangażowało się w jej poszukiwania, nie można było włączyć telewizora, żeby nie ujrzeć zdjęcia jej uśmiechniętej twarzy. Z początkiem lutego historia nabrała ogólnokrajowego rozgłosu. Mimo to przez następny miesiąc nie pojawiły się żadne nowe informacje, Lisette Stephens bez wątpienia dawno temu straciła życie, każdy świetnie to wiedział, ale nikt nie zamierzał być tym, kto jako pierwszy odtrąbi sygnał do zakończenia tej szopki.

- Niemniej - ciągnął Jim Jeffreys - każdego z pewnością ucieszyłaby wiadomość, że dobrze ci się wiedzie.

- Super.

- Może w związku z tym rozpoczęłabyś naukę w college'u?

Powoli, starannie przeżuwał kęs mięsa.

- Nie.

- A co byś powiedziała na pracę biurową? Sortowanie akt i tak dalej? Z pewnością coś podobnego uda nam się dla ciebie znaleźć...

- Nie.

Zamknęłam się w sobie i, ignorując posiłek, emanowałam ponuractwem. „Ponuractwo” to kolejne słowo mojej mamy. Oznacza smętność, która wkurza ludzi. Smętność agresywną.

- Uważam, że powinnaś w ciągu najbliższego tygodnia przemyśleć całą sprawę.

Pożerał pospiesznie stek, pracując żwawo sztućcami. Teraz już Jim Jeffreys chciał jak najszybciej opuścić restaurację. Dla niego moja historia dobiegła końca.

*

Na odchodne wręczył mi trzy listy i poczęstował uśmiechem, który w założeniu miał być optymistyczny. Wpatrywałam się w trzy koperty, skrywające zapewne jakieś śmieci. Swego czasu Jim Jeffreys przynosił mi pudła po butach wypchane listami, do których zazwyczaj dołączone były czeki. Przekazywałam je Jimowi, natomiast ofiarodawca otrzymywał kopię listu, oryginalnie wypisanego przeze mnie drukowanymi literami. „Składam gorące podziękowania za dar. Dzięki takim osobom jak Pan (Pani) mogę z ufnością i nadzieją spoglądać w przyszłość. Z powarzaniem. Libby Day. Tam naprawdę było napisane z powarzaniem, bo Jim stwierdził, że ludzie uznają ten błąd za wzruszający.

Ale czasy pudeł z listami przeszły do historii i teraz miałam w rękę jedynie trzy koperty a przed sobą cały długi, pusty wieczór. Ruszyłam w stronę domu. Po drodze kilka samochodów musiało zamrugać długimi, abym zdała sobie sprawę, że nie włączyłam świateł. Na wschodzie połyskiwała panorama Kansas City: porozrzucane tu i ówdzie skromne

wieżowce przeciętnej wysokości i kilka masztów radiowo-telewizyjnych, przesywających niebo. Próbowałam sobie wyobrazić, jaki zawód, wykonywany przez dorosłych, byłby dla mnie odpowiedni. Ujrzałam siebie w pielęgniarzkim czepku, z termometrem w rękę; a potem w zgrabnym mundurze policyjnym, przeprowadzającą dzieci przez ulicę; wreszcie w perełkach na szyi i kwiecistym fartuszk, szykującą obiad dla ukochanego mężusia. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem porąbana. Moje wyobrażenia o dorosłości były żywcem wyjęte z obrazkowych książeczek dla dzieci. Ale nawet w chwili, gdy o tym myślałam, oczyma duszy widziałam siebie wypisującą na tablicy abecadło w klasie pełnej rozentuzjasmowanych pierwszoklasistów.

Potem zaczęłam myśleć o bardziej realistycznych zajęciach. Może coś z komputerami? Na przykład wprowadzanie danych, chyba istniał taki zawód? A może usługi dla ludności? Kiedyś widziałam film o kobiecie, która zarabiała na życie wyprowadzaniem psów na spacer. Ubierała się w ciepłe, puszyste swetry i kombinezony, zawsze trzymała w ręku bukiet kwiatów, a psy śliniły się ze szczęścia na jej widok. Problem w tym, że nie lubiłam psów, zawsze mnie przerażały. W końcu też, oczywiście, pomyślałam o uprawie ziemi. Pochodzę z rodziny odwiecznych farmerów. Moja mama pracowała na roli, aż do dnia, w którym zamordował ją Ben. Wtedy farma poszła pod młotek.

Tak czy owak, nie miałam pojęcia o gospodarzeniu. Natomiast wciąż wracały do mnie różne obrazki z naszej farmy: Ben przedzierający się przez wiosenne błoto, rozganiający stojące na drodze cielaki; szorstkie, spracowane dłonie mamy, zanurzające się w wiśniowo-czerwone kulki, z których miało wyrosnąć sorgo; piski Michelle i Debby, skaczących w stodole po belach siana. „To kłuje!”, narzekała zawsze Debby, po czym znowu wskakiwała na belę. Nie mogę się koncentrować na takich wspomnieniach, bo nieodmiennie prowadzą mnie w niebezpieczny obszar pamięci, który nazwałam Mrocznym Zakątkiem. Jeżeli zatrzymam się zbyt długo na obrazie mamy próbującej po raz kolejny uruchomić ten pioruński ekspres do kawy lub na obrazie Michelle płasającej dookoła w trykotowej koszuli nocnej i getrach naciągniętych aż za kolana, zaczyna mnie wciągać Mroczny Zakątek. Szaleńczy krzyk rozdzierający noc i jaskrawoczerwone rozbryzgi na ścianie. Rytmiczne uderzenia siekierą, jak przy rąbaniu drewna. Huk wystrzałów w maleńkim holu. Przepelnione paniką ptasie popiskiwanie mamy, wciąż próbującej ratować dzieci, mimo że brakowało jej już pół głowy.

Co robi asywentka administratora?, zaczęłam się zastanawiać.

Zatrzymałam się przed domem i wysiadłam, stając na betonowej płycie chodnikowej, na której ktoś wieki temu wydrapał „Jimmy kocha Tinę”. Czasami wyobrażam sobie, jak potoczyło się życie owej pary. On był graczem w baseball w podrzędnej, prowincjonalnej

drużynie, ona kurą domową zmagającą się z rakiem. Albo: on był rozwiedzionym strażakiem, ona prawniczką, która zeszłego roku utonęła u wybrzeży Zatoki Meksykańskiej. Czy też: ona była nauczycielką, on zmarł w wieku dwudziestu lat z powodu tętniaka w mózgu. To świetna, choć dość ponura, rozrywka umysłowa. Zwyczajowo uśmiercałam przynajmniej jedno z tych dwojga.

Spojrzałam uważniej na swój wynajmowany bungalow. Chyba dach się przekrzywił, ale nawet gdyby się zawalił, niewiele bym straciła. Nie posiadałam niczego wartościowego poza bardzo starym kotem imieniem Buck, który od biedy mnie tolerował. Kiedy weszłam na wilgotne, zapadające się pośrodku schody, dobiegło mnie jego głośnie miauczenie i wówczas sobie przypomniałam, że tego dnia nie dostał jeszcze nic do jedzenia. Otworzyłam drzwi i wiekowe kocisko powoli, niezdarnie ruszyło w moją stronę, niczym bryczka z uszkodzonym kołem. Nie miałam już ani krztyny kociego żarcia - od tygodnia widniało na liście najpilniejszych rzeczy do załatwienia - wyciągnęłam więc z lodówki kilka ostatnich plastrów wyschniętego, żółtego sera i rzuciłam zwierzakowi. Potem usiadłam przy stole i palcami cuchnącymi skwaśniałym mlekiem otworzyłam koperty.

Po przeczytaniu pierwszego listu nie sięgnęłam już po następne.

Szanowna Pani Day,

Najwyraźniej nie założyła Pani własnej strony internetowej, mam jednak nadzieję, że otrzyma Pani ten list. Wiele o Pani czytałem, od lat studiuję Pani historię i chętnie bym się dowiedział, co u Pani obecnie słychać. Czy udziela się Pani publicznie? Należę do niewielkiej grupy, która z ochotą zapłaci Pani 500 dolarów za samo przybycie na spotkanie. Proszę o kontakt, a wówczas podam szczegóły.

Serdeczności, Lyle Wirth

PS To jest poważna oferta biznesowa.

Chodzi o striptiz? Udział w jakimś pornosie? Tuż po tym jak wyszła moja książka, w której umieszczono zdjęcia z czasów, gdy byłam nastolatką - w szczególności to z siedemnastych urodzin, na którym miałam na sobie tandetną, białą bluzkę wiązaną na szyi, ledwo mieszczącą duże, jędrne cycki - otrzymałam kilka propozycji od podrzędnych świerszczyków. Nikt jednak nie oferował takiej zapłaty, żebym myślała o tym poważnie. Nawet teraz za pięćset dolców nie rozbioreę się przed jakimiś facetami. Niewykluczone jednak - myśl pozytywnie, Maleństwo Dayów! - że to była zupełnie inna, rzeczywiście solidna oferta. Może kolejna grupa żalobników chciała się ze mną spotkać, żeby mieć pretekst do

ględzenia na swój temat. Pięć stów za parę godzin odgrywanego współczucia to cena do przyjęcia.

List został wydrukowany z komputera, z wyjątkiem numeru telefonu, dopisanego u dołu pewną ręką. Wystukałam podane cyfry w nadziei, że odezwie się poczta głosowa. Tymczasem dobiegła mnie grobowa cisza - ktoś odebrał, ale milczał. Poczułam się idiotycznie, jakbym zadzwoniła w środku imprezy, o której miałam się nigdy nie dowiedzieć.

Po dobrych trzech sekundach usłyszałam męski głos.

- Halo?

- Witam. Czy rozmawiam z Lyle'em Wirthem?

Buck węszył wokół moich nóg, wciąż głodny.

- Kto mówi?

W tle nadal panowała ta niezwykła cisza, jakby facet mówił do mnie z podziemi.

- Libby Day. Dostałam od pana list.

- Oooooooo, rany Julek. Naprawdę? Libby Day! Eee... jak się miewasz? Jesteś w mieście?

- Jakim mieście?

Mężczyzna, a raczej - sądząc po głosie - chłopak wrzasnął coś do kogoś stojącego za jego plecami. Usłyszałam tylko „już je zrobiłem”, a potem przeciągły jęk.

- Kansas City! Bo mieszkasz w Kansas City, prawda? Libby...?

Już miałam się rozłączyć, ale zaczął wrzeszczeć w słuchawkę „haloooo? haloooo?”, jakbym była tępym dzieciakiem niezdolnym do koncentracji na lekcji, więc przyznałam, że owszem, mieszkam w KC i zapytałam, czego właściwie ode mnie chce. W odpowiedzi usłyszałam głupawe che, che, che - śmiech, który miał wyrażać: „nigdy w życiu nie uwierzysz w to, co zaraz usłyszysz”.

- Jak już wspominałem... hm... chciałbym z tobą pogadać o spotkaniu z naszą grupą.

- I co niby miałabym tam robić?

- No więc... należę do pewnego klubu... w przyszłym tygodniu zbieramy się na specjalnym spotkaniu...

- Co to za klub?

- Emm... bardzo szczególny. To w pewnym sensie sekretne stowarzyszenie...

Milczałam, niech się trochę pomęczy. Szybko opuszczała go początkowa brawura i robiło mu się coraz bardziej głupio. Cudownie.

- Kurczę, to trudno wyjaśnić przez telefon. Czy mógłbym... hmm... zaprosić cię na kawę?

- Na kawę jest już za późno - odparłam, i natychmiast do mnie dotarło, że prawdopodobnie wcale mu nie chodziło o dzisiejszy wieczór, ale o jakiś bliżej nieokreślony dzień w niedalekiej przyszłości. Zaczęłam się zastanawiać, czym wypełnię najbliższe cztery lub pięć godzin.

- W takim razie na piwo? Na kieliszek wina?

- Kiedy?

Chwila wahania.

- Teraz?

- Niech będzie.

*

Lyle Wirth wyglądał na seryjnego mordercę, co oznaczało, że zapewne nim nie był. No bo jeżeli ktoś się lubuje w ćwiartowaniu dziwek lub zjadaniu po kawałku dzieciaków, które zwały z domu, stara się sprawiać wrażenie normalnego, sympatycznego faceta, prawda? Lyle siedział przy karcianym stoliku, oblepionym brudem, pośrodku Tim-Clark's Grille, wypełnionej wilgotnym dymem knajpy sąsiadującej z pchlim targiem. Tim-Clark's zasłynęła daniami z rusztu i powoli stawała się modna, stąd siedzieli tutaj zarówno siwowłosi odwieczni bywalcy, jak i kolesie w szpanersko dopasowanych dżinsach i starannie wymodelowanych fryzurach. Lyle nie należał do żadnej z tych kategorii. Niedawno przekroczył dwudziestkę, miał kręcone mysie włosy, obficie wyżelowane w najmniej odpowiednich miejscach, tak że matowe, zmierzwione kępki mieszały się z gładkimi, błyszczącymi pasmami. Nosił druciane okulary, dopasowaną wiatrówkę Members Only i dżinsy, które były obcisłe, ale nie w modny, tylko frajerski sposób.

Jego twarz też trudno było nazwać atrakcyjną, bo jak na faceta miał zbyt delikatne rysy. Żaden facet nie powinien mieć różanych usteczek.

Kiedy szłam w jego stronę, podchwycił moje spojrzenie, ale w pierwszej chwili mnie nie poznał - obrzucił wzrokiem jak pierwszą lepszą nieznaną kobietę. Zaskoczył dopiero wtedy, gdy już dochodziłam do stolika: piegi, nadzwyczaj drobna sylwetka, mały nos, który zdawał się tym bardziej zadarty, im dłużej się na niego patrzyło.

- Libby! - wrzasnął, ale chyba zdał sobie sprawę, że to zbyt duża familiarność. Dorzucił więc szybko: - Day! - Poderwał się, odsunął jedno ze składanych krzeseł, zrobił taką minę, jakby z mety pożałował swojego szarmanckiego odruchu i usiadł z powrotem. - Masz blond włosy.

- U-hm - odparłam.

Nie znoszę ludzi, którzy zaczynają gadkę od stwierdzenia oczywistych faktów, no bo

jak na coś podobnego zareagować? (Ależ dzisiaj gorąco. W rzeczy samej. Koniec rozmowy). Rozejrzałam się za obsługą, żeby zamówić drinka. Kelnerka z imponującą grzywą czarnych włosów, ubrana w skąpą minispódniczkę, stała zwrócona do nas swoim atrakcyjnym tyłkiem. Zaczęłam bębnić palcami po stole, aż się odwróciła i wówczas ujrzałam siedemdziesięciolatkę o makijażu spływającym rowkami głębokich zmarszczek, z rękami poznaczonymi fioletowymi żyłami. Skrzypiąc stawami, schyliła się sztywno nad naszym stolikiem i prychnęła pogardliwie, gdy zamówiłam jedynie pabsta.

- Podają tu naprawdę niezły mostek cielęcy - poinformował Lyle.

Ale sam nic nie jadł, wysączał tylko resztki jakiegoś mlecznego napoju.

Ja natomiast nie tykam mięsa, nie tykam go od czasu, gdy widziałam swoją rodzinę porąbaną siekierą - jeszcze do tej pory usiłowałam wyrzucić z pamięci stek Jima Jeffreysa. Pokręciłam więc przecząco głową i, czekając na swoje piwo, rozglądałam się wokół niczym turystka. Lyle miał brud za paznokciami, to pierwsza rzecz, jaką zauważyłam. Peruka na głowie starej kelnerki była przekrzywiona i do jej szyi lepiły się siwe, przepocone włosy. Wetknęła kilka z nich z powrotem pod perukę i chwyciła kartonik z frytkami skwierczącymi pod promiennikiem. Przy sąsiednim stoliku siedział samotnie gruby facet, pochłaniał żeberka i kontemlował swój najświeższy nabytek z pchłego targu: kiczowaty, stary wazon ozdobiony syrenką. Grubas co rusz wodził paluchami po biuście morskiej nimfy, znacząc go tłustymi plamami.

Kelnerka bez słowa postawiła przede mną piwo, a potem zamruczała coś do grubego faceta, nazywając go złotkiem.

- No więc, co to za historia z tym klubem? - zagałam.

Lyle poczerwieniał na twarzy, zaczął nerwowo podrygiwać kolanem.

- Wiesz, że są faceci, których pochłania fantasy futbol lub kolekcjonowanie kart baseballowych?

Skinęłam głową. Lyle zachichotał głupawo i pociągnął wątek:

- Albo kobiety, które czytają plotkarskie pisemka i wiedzą wszystko o swoich ulubionych aktorach, rzeczy w rodzaju, jak mają na imię ich dzieci czy gdzie dokładnie dorastali?

Raz jeszcze kiwnęłam głową - tym razem nieufnie, bez przekonania.

- To coś w tym stylu, tyle że, no wiesz, my to nazywamy Klubem Zbrodni.

Pociągnęłam spory łyk piwa, na nos wystąpiły mi krople potu.

- To nie jest tak pokręcone, jak by się mogło wydawać.

- Na mój gust kurewsko porąbane.

- Ale wiesz przecież, że niektórzy ludzie uwielbiają zagadki kryminalne? Albo mają totalny odjazd na punkcie blogów, w których opisywane są prawdziwe zbrodnie? Do naszego klubu należą takie właśnie osoby. Każdy ma świra na punkcie jakiejś zbrodni: Laci Patterson, Jeffreya MacDonalda, Lizzie Borden... czy też popełnionej na twojej rodzinie. Tak naprawdę sprawa twojej rodziny cieszy się wielkim zainteresowaniem. Olbrzymim. Nawet większym niż zagadka małej Jon Benet. - Zobaczył, że się skrzywiłam i dodał pospiesznie: - To, co się stało, uważamy za wielką tragedię. Na dodatek twój brat wciąż siedzi w więzieniu - ile to już? Prawie dwadzieścia pięć lat?

- Nie roztkliwiaj się nad Benem. Wymordował moją rodzinę.

- Uhm. Jasne. - Zaczął ssać kostkę mlecznego lodu. - Czy rozmawiasz z nim niekiedy na ten temat?

Natychmiast się wewnętrznie zjeżyłam. Wokół nie brakuje ludzi, którzy święcie wierzą w niewinność Bena. Przysyłają mi wycinki prasowe na jego temat, ale nigdy ich nie czytam, lądują w koszu, gdy tylko widzę zdjęcie brata - jego rude włosy sięgające ramion na Chrystusową modłę, która idealnie współgra z twarzą promieniującą błogą łagodnością. Niedługo stuknie mu czterdziestka. Przez te wszystkie lata ani razu go nie odwiedziłam. Obecnie siedział w więzieniu zlokalizowanym na obrzeżach naszego rodzinnego miasteczka - Kinnakee, w stanie Kansas - gdzie nomen omen dokonał swoich zbrodni. Ja jednak nie jestem nostalgiczna.

Większość zagorzałych adwokatów Bena to kobiety. Baby o odstających uszach, długich zębach, z trwałą na głowie, zawzięte, z krzyżykami na szyi. Od czasu do czasu zjawiają się w progu mojego domu w sztywnych spodniach i z niezdrowym błyskiem w oku. Utrzymują, że moje zeznania miały się z prawdą. Że byłam otumaniona, brutalnie zmanipulowana i wciskałam opinii publicznej kit, gdy w wieku siedmiu lat przysięgałam, że mój brat jest mordercą. Te kobiety często się na mnie wydzierały, a na domiar złego zazwyczaj cierpiały na ślinotok. Kilka nawet mnie spoliczkowało. To odbierało im wszelką wiarygodność. Łatwo zignorować rozhisteryzowaną babę z wypiekami na twarzy. A ja zawsze szukam pretekstu do ignorowania niewygodnych zdarzeń.

Gdyby były sympatyczniejsze, może zdołałyby mnie przekabacić.

- W ogóle nie rozmawiam z Benem - odparłam. - I jeżeli właśnie o to chodzi, nie jestem zainteresowana.

- Nie, nie, nie... nie w tym rzecz. Chcielibyśmy, żebyś się zjawiła na naszej... to coś w rodzaju konwencji, i odpowiedziała na pytania, wysłuchała kilku argumentów. Naprawdę nigdy nie wracasz myślami do tamtej nocy?

Mroczny Zakątek.

- Nie. Nie wracam.

- Niewykluczone, że poznasz interesujące fakty. Są wśród nas fani... eksperci, którzy wiedzą na ten temat o wiele więcej niż detektywi prowadzący dochodzenie w sprawie. No ale to akurat wcale nie jest trudne.

- A więc mówisz o gromadzie ludzi, którzy chcą mnie przekonać o niewinności Bena.

- Cóż... tego nie można wykluczyć. Ale możliwe też, że to ty przekonasz ich do swojej wersji.

W jego głosie wychwyciłam ton protekcyjności. Nachylał się w napięciu nad stołem, wyraźnie podekscytowany.

- Chcę za to tysiąc dolarów.

- Mogę dać siedemset.

Z beznamiętną miną powiodłam wzrokiem po knajpie. Przyjęłabym każdą kwotę zaoferowaną przez Lyle'a, bo w innym wypadku jak najszybciej musiałabym zacząć poszukiwania prawdziwej pracy, a na to nie byłam gotowa. Nie należę do osób, na których można polegać przez pięć dni w tygodniu. Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek? Ja często nie wstaję z łóżka przez pięć dni z rzędu - i często zapominam zjeść jakikolwiek posiłek przez pięć dni z rzędu. Stawianie się w miejscu pracy, gdzie musiałabym tkwić przez osiem godzin - osiem długich godzin poza własnym domem - to zupełnie nie do pomyślenia.

- Dobra, niech będzie siedem stów.

- Wspaniale. Aha! Tam się zjawi wielu kolekcjonerów, więc przynieś jakieś souvenir, eem... pamiątki z dzieciństwa, które byłabyś gotowa sprzedać. Bez trudu zarobisz jakieś dwa tysiące. Najlepiej idą listy. Naturalnie, im bardziej osobiste, tym lepiej. No i pochodzące tuż sprzed morderstwa. Trzeciego stycznia osiemdziesiątego piątego - dorzucił takim tonem, jakby bardzo często powtarzał tę datę. - Szczególnie cenne są wszelkie przedmioty, które należały do twojej mamy. Ludzie... są szczerze zafascynowani twoją mamą.

Zawsze byli. Zawsze chcieli wiedzieć, jaką trzeba być kobietą, żeby zginąć z ręki własnego syna.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 08:02

Znowu rozmawiał przez telefon, słyszała kreskówkowe „mwaMWAwa” dochodzące zza jego drzwi. Od dawna chciał mieć własną wewnętrzną linię - zarzekał się, że połowa kolegów z jego klasy widnieje w książce telefonicznej pod własnym imieniem i nazwiskiem. W sekcji Dzieci i Młodzież. Najpierw go wyśmiała, a potem się wkurzyła, ponieważ JEGO wkurzył jej śmiech. (Naprawdę? Własne wewnętrzne numery dla dzieciaków? Jak trzeba być rozwydrzonym, żeby domagać się czegoś podobnego?) Żadne z nich więcej nie wróciło do tego tematu - oboje szybko się peszyli i popadali w zakłopotanie - ale kilka tygodni później, po powrocie do domu, Ben z głową wciśniętą w ramiona pokazał jej zawartość torby na zakupy: splitter do rozdzielenia linii i zadziwiająco lekki, plastikowy telefon, który na oko niewiele się różnił od różowej zabawki, służącej dziewczynkom do odgrywania sekretarek. „Biuro pana Benjamina Daya”, mówiły w słuchawkę, próbując wciągnąć starszego brata do zabawy. Ben kiedyś reagował na te zaczepki uśmiechem i polecał, żeby przyjęły dla niego wiadomość. Ale ostatnio całkowicie ignorował siostry.

Od czasu, gdy przyniósł swoje skarby, w domu Dayów zagościło powiedzenie „ten pioruński kabel telefoniczny”. Ben pociągnął go od gniazdka w kuchni przez blat i cały hol, a potem wcisnął do swojego pokoju szparą pod wiecznie zamkniętymi drzwiami. Ktoś potykał się o ten spiralnie kręcony sznur przynajmniej raz dziennie i wówczas rozlegał się wrzask (jeżeli była to któraś z dziewczynek) lub przekleństwo (w wypadku Patty lub Bena). Prosiła go wielokrotnie, żeby przymocował kabel do ściany, ale na próżno. Próbowwała to sobie wytłumaczyć typowym dla nastolatka uporem, ale w wydaniu jej syna takie zachowanie było w istocie formą agresji, zamartwiała się więc, czy jest przepelniony gniewem, czy potwornie leniwy, czy może wstąpiło w niego coś znacznie gorszego, czego ona w ogóle nie umiałaby wymyślić. I z kim on właściwie rozmawiał przez ten telefon? Przed tajemniczym pojawieniem się drugiej linii do Bena praktycznie nikt nie dzwonił. Miał dwóch dobrych przyjaciół, braci Muehler, nieustannie paradujących w roboczych kombinezonach przyszłych Farmerów Ameryki, którzy byli tak bardzo zamknięci w sobie, że zazwyczaj odkładali słuchawkę, jeżeli to Patty odebrała telefon. Wówczas informowała Bena, że właśnie dzwonił Jim albo Ed. Tak czy inaczej syn nigdy nie prowadził długich telefonicznych pogawędek, aż do czasu, gdy za zamkniętymi drzwiami jego pokoju pojawił się drugi aparat.

Patty podejrzewała, że Ben znalazł sobie w końcu dziewczynę, ale ilekroć próbowała zagadnąć go na ten temat, okropnie się peszył, robił sinokredowy na twarzy i na tle tej bieli jego bursztynowe piegi odbijały ostro niczym światła ostrzegawcze. Więc zrezygnowała z zadawania jakichkolwiek pytań. Nie należała do matek zmuszających dzieci do emocjonalnego obnażenia, nikogo nigdy nie przyciskała do muru - już i bez tego piętnastoletniemu chłopakowi trudno było zachować odrobinę prywatności w domu zdominowanym przez kobiety. Ben zamocował kłódkę na drzwiach swojego pokoju po tym, jak pewnego dnia, wróciwszy ze szkoły, nakrył Michelle na myszkowaniu w szufladach biurka. Instalacja kłódki odbyła się także na zasadzie faktów dokonanych: młotek w rękę, kilka głośnych stukotów i nagle tam wisiała. Chroniła jego chłopięcy świat. Tak naprawdę Patty nie mogła mieć mu tego za złe. Od czasu, gdy Runner od nich odszedł, farma coraz wyraźniej się przeobrażała w typowo kobiecy dom. Zasłony, firanki, kanapy, nawet świece, wszystko było słodko-pastelowe, koronkowe. Szafy i szuflady wypełniały różowe buty, bielizna w kwiatki i wielobarwne zapinki do włosów. Skromne oznakowanie terenu przez Bena - spiralny kabel telefoniczny i metalowa, męska kłódka - było w tych okolicznościach jak najbardziej zrozumiałe.

Usłyszała śmiech dobiegający zza zamkniętych drzwi i to ją zdeprymowało. Ben nie należał do wesołków, nawet w dzieciństwie rzadko się uśmiechał. Gdy miał osiem lat, spojrzał chłodno na jedną ze swoich sióstr, po czym oznajmił z powagą: „Michelle ma chichotki”, jakby to była jakaś przypadłość, którą należy leczyć. Patty twierdziła, że jest stoikiem, ale jego rezerwa i opanowanie były czymś więcej niż tylko stoicyzmem. To kompletnie zbijało z tropu jego ojca, który nie miał pojęcia, jak traktować syna i miotał się pomiędzy męskimi, twardymi zabawami (Ben sztywniał i obojętniał, gdy Runner turlał nim po podłodze) a gorzkimi wymówkami (Runner głośno narzekał, że dzieciak jest ponury, dziwaczny, miękki jak dziewczyna). Patty radziła sobie z synem niewiele lepiej. Kilka tygodni temu kupiła poradnik na temat wychowywania nastoletnich chłopców, który ukrywała pod łóżkiem niczym pornografię. Autor zachęcał, żeby działać odważnie, zadawać pytania, domagać się wyczerpujących odpowiedzi, ale nie mogła się na to zdobyć. Ostatnio choćby cień zainteresowania jego sprawami okropnie denerwował Bena i wpędzał w nieznośne, ogłuszające milczenie. Im bardziej próbowała go rozgryźć, tym częściej przed nią uciekał. Do swojego pokoju. Gdzie rozmawiał z ludźmi, których nie znała.

Jej trzy córki także już nie spały i to od paru godzin. Praca na farmie - choćby tak zadłużonej i żałośnie niedoszacowanej - wiązała się z wczesnym wstawaniem, i nawet w zimie wszyscy budzili się bladym świtem po prostu siłą rozpędu. Dziewczynki baraszkowały

na śniegu. Patty wygoniła je na dwór niczym sforę szczeniąt, żeby nie obudziły Bena. Dlatego się wkurzyła, gdy usłyszała jego głos i zdała sobie sprawę, że już wstał. I z tego też powodu postanowiła usmażyć na śniadanie naleśniki, przysmak córek. Żeby wyrównać rachunek. Ben i dziewczynki nieustannie zasypywali ją oskarżeniami o stronniczość - dokładnie rzecz biorąc, on miał matce za złe, że ciągle go prosi o cierpliwość względem tych drobnych istot ze wstążkami we włosach; one - że wciąż są uciszane, bo nie wolno przeszkadzać bratu.

Michelle, dziesięciolatka, była najstarszą z dziewczynek. Debbie miała dziewięć lat, a Libby siedem. („Jezu, mam, jakbyś wydała na świat cały miot”, karcąco zauważył swego czasu Ben). Zerknęła przez półprzezroczystą firankę na córki w ich naturalnym, niemal zwierzęcym żywiole: Michelle i Debbie, szefowa i jej asystentka, budowały śnieżny fort na podstawie planu, którym nie raczyły się podzielić z Libby. Libby próbowała czynnie się włączyć do działania: przynosiła siostram śnieżki i kamienie, wynalazła też długą, giętą witekę, ale wszystkie jej dary były lekceważąco odrzucane. W końcu Libby lekko przykucnęła, wydała z siebie przerażający wrzask i kopniakami zburzyła całą konstrukcję. Patty odwróciła wzrok - zaraz pójdą w ruch pięści i poleją się łzy, nie była w nastroju na takie sceny.

Drzwi pokoju Bena otworzyły się ze skrzypem, a dudnienie kroków w końcu holu jasno świadczyło, że syn ma na nogach ciężkie, czarne buty, których serdecznie nienawidziła. Po prostu nie patrz na nie, napomniała się w duchu. To samo powtarzała w myślach, ilekroć wkładał wojskowe spodnie moro. („Tata też takie nosił”, dąsał się Ben, gdy narzekala. „Tylko kiedy szedł na polowanie, na polowanie”, podkreślała). Tęskniła za chłopcem, który domagał się prostych, skromnych ubrań, wkładał jedynie klasyczne džinsy i zapinane pod szyję koszule. Za chłopcem o rudych lokach z obsesją na punkcie samolotów. A oto jej syn teraz: czarna kurtka, czarne džinsy i czarna wełniana czapka wciśnięta głęboko na czoło. Mruknął coś pod nosem i ruszył w stronę drzwi.

- Nie przed śniadaniem - zawołała.

Przystanął, ale zwrócił się w jej stronę jedynie profilem.

- Mam kilka spraw do załatwienia.

- W porządku. Ale najpierw zjesz z nami śniadanie.

- Dobrze wiesz, że nienawidzę naleśników.

Jasna cholera.

- Zrobię ci coś innego. Siadaj.

Chyba nie zlekceważy jasno wyrażonego polecenia? Mierzyli się wzrokiem i Patty już miała skapitulować, gdy Ben westchnął przeciągle i opadł na krzesło. Chwycił za solniczkę, zaczął wysypywać jej zawartość na stół i usypywać w kopczyk. W pierwszym odruchu Patty

chciała mu nakazać, żeby przestał, ale ugryzła się w język. Na razie wystarczy, że usiadł za stołem.

- Z kim rozmawiałeś? - zapytała i naląła mu soku pomarańczowego, chociaż wiedziała, że syn go nie wypije - jej na złość.

- Z różnymi ludźmi.

- Ludźmi? Liczba mnoga?

W odpowiedzi uniósł jedynie brwi.

Usłyszała skrzyp siatki, huk drzwi wejściowych o ścianę, a potem stukot butów padających na wycieraczkę. Jej dziewczynki były dobrze wytresowane, nie wnosiły do domu brudu z dworu. Michelle i Debbie już się kłóciły o jakąś kreskówkę lecącą w telewizji, natomiast Libby wmaszerowała prosto do kuchni, rzuciła się na krzesło obok Bena i strząsnęła z włosów kryształki lodu. Spośród córek Patty tylko Libby umiała rozbroić brata: uśmiechnęła się do niego promiennie, pomachała ręką, po czym patrzyła już tylko prosto przed siebie.

- Hej, Libby - zagaił, wciąż bawiąc się solą.

- Hej, Ben. Podoba mi się twoja solna góra.

- Dzięki.

Patty spostrzegła, jak błyskawicznie Ben się otacza murem nieprzystępności na widok dwóch pozostałych sióstr wchodzących do kuchni. Ich ostre, wysokie głosy niosły się echem po kątach pomieszczenia.

- Mamo, Ben bałagani - poskarżyła Michelle.

- Wszystko w porządku, skarbie, naleśniki prawie gotowe. Ben, usmażyć ci jajka?

- Dlaczego Ben ma dostać jajka? - zajęczała Michelle.

- Ben, sadzone?

- Aha.

- Ja też chcę jajka - oznajmiła Debbie.

- Przecież ty nawet nie lubisz jajek - natarła na nią Libby, która zawsze i w każdej sytuacji brała stronę brata. - Ben ich potrzebuje, bo jest chłopcem. Mężczyzną.

Ten komentarz zdołał wywołać lekki uśmiech na twarzy Bena i dlatego Patty wybrała dla Libby najbardziej okrągły, idealny w kształcie naleśnik. Resztę placków ułożyła na dużym talerzu, jajka skwierczały na patelni, przygotowanie posiłku dla pięciu osób przebiegało zadziwiająco sprawnie. To były już ostatki przyzwoitej żywności, która pozostała od Bożego Narodzenia, ale teraz Patty nie będzie się tym przejmowała. Zacznie się martwić dopiero po śniadaniu.

- Mamo, Debbie trzyma łokcie na stole - Michelle weszła w rolę głównej karbowej.

- Mamo, Debbie nie umyła rąk - Michelle nie dawała za wygraną.

- Ty też - odparowała Debbie.

- Nikt nie umył - zaśmiała się Libby.

- Brudny łotr - rzucił Ben i dźgnął siostrę palcem w bok.

To wyrażenie wzięło się z jakiegoś starego, tylko im znanego dowcipu. Patty nie wiedziała, o co dokładnie chodziło. Libby odchyliła głowę i wybuchnęła jeszcze głośniejszym, teatralnym śmiechem mającym na celu rozbawienie Bena.

- Maminsynek - odparła z chichotem.

Patty namydliła szmatkę i puściła wokół stołu, żeby żadne z dzieci już zza niego nie wstawało. Nieczęsto można było zobaczyć Bena żartobliwie droczącego się z jedną z sióstr, i wydawało się, że jeżeli każdy pozostanie na swoim miejscu, dobry nastrój będzie panował do końca śniadania.

Patty potrzebowała dobrego nastroju, tak jak się potrzebuje snu po zarwanej nocy. Co dzień rano, gdy otwierała oczy, przysięgała w duchu, że nie pozwoli, by sytuacja ją przerosła, nie dopuści do ostatecznego upadku farmy (choć od trzech lat zalegała ze splątami kredytu i nie miała żadnych widoków na uregulowanie długu); nie przerodzi się w typ kobiety, którego nienawidziła: pozbawionej radości, skwaszonej, niezdolnej cieszyć się chwilą. Co rano klękała na wytartym dywaniku przy łóżku i modliła się gorąco, chociaż w istocie była to nie tyle modlitwa, ile solenna obietnica: Dzisiaj nie będę krzyczeć, nie będę płakać, nie będę się zwijać w pól, jakbym się lękała niespodziewanego ciosu. Będę się cieszyć dniem. I często udawało jej się nie popaść w rozpacz aż do pory lunchu.

Wszyscy siedzieli na swoich miejscach, zmówili krótką modlitwę i posiłek zapowiadał się obiecująco do czasu, gdy Michelle wypaliła:

- Ben powinien ściągnąć czapkę.

W domu Dayów od zawsze obowiązywał ścisły i niepodlegający dyskusji nakaz zdejmowania nakrycia głowy przy stole, więc Patty była szczerze zdumiona, że w ogóle trzeba o tym przypominać.

- Owszem, powinien ją zdjąć - przyznała z naciskiem w głosie.

Ben spojrzał na matkę z ukosa i w tym momencie ogarnął ją niepokój. Coś się nie zgadzało. Brwi syna, normalnie dwie cienkie, rude kreski, były teraz czarne, a pod nimi widniały fioletowe plamy.

- Ben?

Zdjął czapkę i wówczas się okazało, że włosy ma również smoliste, zmatowiałe

niczym u starego labradora. Patti przeżyła nagły wstrząs, jakby zbyt szybko połknęła haust lodowatej wody. Ruda czupryna, charakterystyczna cecha jej synka, zniknęła. Wyglądał starzej. Groźniej. Złowieszczo. Ogarnęło ją wrażenie, że ten siedzący przed nią dzieciak zastraszył jej Bena i przegnał w niebyt.

Michelle wrzasnęła, Debbie wybuchnęła płaczem.

- Ben, skarbie, dlaczego? - zapytała Patti. Powtarzała sobie, że nie wolno jej reagować zbyt emocjonalnie, a tymczasem tak właśnie się teraz zachowała. Ten głupi, szczeniacki wybryk - bo jakże inaczej to tłumaczyć? - sprawił, że jej dotychczasowa relacja z synem legła w gruzach. Patti nagle straciła nadzieję na nawiązanie nici porozumienia. Podczas gdy Ben wbijał wzrok w stół z krzywym uśmiechem i napawał się tą babską histerią, ona próbowała w duchu go usprawiedliwić. Kiedy był mały, nienawidził swoich rudych włosów, bo z ich powodu inne dzieciaki często mu dokuczały. Może nadal go prześladowano. Niewykluczone jednak, że była to manifestacja asertywności. A więc objaw pozytywny. Problem w tym, że kolor włosów, z którego tak manifestacyjnie zrezygnował, Ben odziedziczył po Patti. Więc może dokonał aktu symbolicznego odrzucenia rodziny? Libby, jej drugie rudowłose dziecko, najwyraźniej tak uważała. Chwyciła w chude palce kosmyk swoich włosów i spoglądała na nie ze smętną miną.

- No, dobra. - Ben dwoma siorbnięciami pochłonął jajka i wstał od stołu. - Dość dramatyzowania. To tylko głupie włosy.

- Chodzi o to, że przedtem były takie ładne.

Zastygł na moment w miejscu, jakby z powagą rozważał słowa matki. A potem pokręcił głową - w reakcji na jej komentarz, czy może przebieg całego ranka, nie umiałaby powiedzieć - i ruszył w stronę drzwi.

- Bez paniki - rzucił, nie odwracając się w stronę kuchni. - Niedługo wrócę.

Patti podejrzewała, że syn trzaśnie drzwiami, tymczasem zamknął je nadzwyczaj cicho, co nagle wydało się jej znacznie gorsze. Dmuchnęła na grzywkę, rozejrzała się wokół stołu. Wpatrywały się w nią szeroko rozwarte, niebieskie oczy córek. Dziewczynki nie wiedziały, jak się zachować. Czekały na jej reakcję. Patti zaśmiała się blado.

- Cóż, to wyglądało dość dziwnie - skwitowała.

Córki nieco się rozchmurzyły, wyprostowały na krzesłach.

- Ben jest świrnięty - zawyrokowała Michelle.

- Za to teraz ma włosy w takim samym kolorze co ubranie - zauważyła radośnie Debbie.

Otarła łzy i wepchnęła widelcem do ust wielki kawał naleśnika.

Libby siedziała milcząca, z pochylonymi ramionami. Tylko dziecko potrafi w tak otwarty i sugestywny sposób okazać przygnębienie.

- Wszystko w porządku, Lib.

Patty poklepała najmłodszą córkę po plecach - niby mimochodem, od niechcienia, żeby nie nakręcać pozostałych dziewczynek.

- Wcale nie - odparła Libby. - On nas NIENAWIDZI.

Libby Day

Współcześnie

Pięć dni po spotkaniu z Lyle'em zjechałam z erozyjnego urwiska, na którym stał mój dom, i skierowałam się ku niecce Kansas City's West Bottom. W czasach prosperity przemysłu rzeźnego była to kwitnąca okolica, ale od kilku dziesięcioleci więdła i umierała. Teraz stały tu wysokie, milczące ceglane budynki noszące nazwy firm, które już dawno temu przestały istnieć: Raftery Cold Storage, London Beef, Dannhauser Cattle Trust. Kilka z tych konstrukcji pełniło oficjalnie funkcję nawiedzonych domów: w okresie Halloween rozblyskało w nich światło i przeobrażały się w pięciokondygnacyjne zjeżdżalnie lub zamki wampirów, do których przemykały nastolatki chowające piwo pod skórzanymi kurtkami.

Teraz, na początku marca, ten obszar zdawał się po prostu opustoszały. Gdy przejeżdżałam cichymi ulicami, od czasu do czasu widziałam pojedyncze osoby wchodzące lub wychodzące z jakiegoś budynku, chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego to robiły. Ale w pobliżu Missouri River okolica z opustoszałej zmieniała się w upiornie wyludnioną i wyglądała jak jedna wielka ruina.

Poczułam się nieswojo, gdy zaparkowałam przed trzypiętrowym budynkiem oznakowanym szyldem Tallman Corporation. Nadszedł jeden z tych nielicznych momentów, kiedy żałowałam, że nie mam żadnych przyjaciół. Ktoś powinien tutaj ze mną przyjechać. Lub przynajmniej czekać na jakąś wiadomość ode mnie. Na wszelki wypadek w domu, na schodach, zostawiłam kartkę, wyjaśniającą dokąd pojechałam, i dołączyłam do niej list Lyle'a. Jeżeli zniknę z powierzchni ziemi, gliniarze przynajmniej będą wiedzieli, od czego zacząć. Oczywiście, gdybym miała jakąś przyjaciółkę, zapewne by mi powiedziała: „W żadnym razie nie pozwolę ci na taką eskapadę, skarbie” w sposób, w jaki kobiety wypowiadają takie zdania - stanowczym, opiekuńczym tonem.

Choć może się mylę. Zbrodnia, której byłam świadkiem, nieodwracalnie skrzywiła moją zdolność do osądu stopnia zagrożenia. Z góry zakładałam, że na świecie mogą się wydarzyć najgorsze rzeczy, ponieważ sama przeżyłam wszystko co najgorsze. Ale też dlatego, zgodnie z regułami prawdopodobieństwa, istniała minimalna szansa, że mnie, Libby Day, znowu spotka coś przerażającego, prawda? Czyż z założenia nie byłam już bezpieczna do końca swoich dni? To niezniszczalna potęga statystyki. Nie umiałam jednak zdecydować, czy rzeczywiście powinnam w nią wierzyć, miotalam się więc pomiędzy przesadną

ostrożnością (sypianiem przy zapalonych światłach ze starym coltem peacemakerem mojej mamy na nocnym stoliku) a bezmyślną brawurą (samotnym wypadem do Klubu Zbrodni, którego zebranie odbywało się w opuszczonym, zrujnowanym budynku).

Włożyłam botki na bardzo wysokim obcasie, żeby dodać sobie wzrostu. Prawy był niedopasowany z powodu uszkodzeń stopy. Najchętniej połamałabym teraz każdą kosteczkę w swoim ciele, bo może dzięki temu trochę bym wyluzowała. Byłam okropnie spięta. I strasznie wkurzona, aż zgrzytałam zębami. Nikt nie powinien się znaleźć w takiej sytuacji, nikt nie powinien tak gwałtownie potrzebować pieniędzy. Próbowałam ujrzeć to, co robię, w lepszym świetle i przez ostatnie parę dni udawało mi się w przebłyskach ułudy uznać swoją decyzję za strzelisty akt szlachetności. Ci ludzie bardzo się interesowali losami mojej rodziny, a ja byłam z niej dumna, zgodziłam się więc udzielić kilku informacji z pierwszej ręki, żeby nie doszło do żadnych przekłamań. A jeżeli ktoś chciał mi za to zapłacić, przyjmę pieniądze, nie będę się manifestacyjnie wywyższać, pokazywać, że to poniżej mojej godności.

Problem w tym, że rodzina wcale nie napawała mnie dumą. Nikt nigdy nie lubił Dayów. Mój ojciec, Runner Day, był stukniętym, notorycznym pijusem odwołującym się do przyziemnej przemocy domowej - niedużym facetem o szybkich pięściach. Moja mama wydała na świat czwórkę potomstwa, któremu nie mogła zapewnić należytych warunków życia. Byliśmy biednymi, wiejskimi dzieciakami, śmierdzącymi i cwanyymi, które zawsze zjawiały się w szkole w jakiś sposób wybrakowane: bez śniadania, w podartych ciuchach, zasmarkane, z przewlekłymi infekcjami gardła. W czasie krótkiej kariery szkolnej do spółki z moimi siostrami byłam źródłem co najmniej czterech epidemii wszawicy Odrażające Dayówny.

I oto dwadzieścia kilka lat później znów się zjawiam w jakimś miejscu wybrakowana. A ściślej rzecz ujmując, cierpiąca na brak pieniędzy. W tylnej kieszeni dżinsów miałam liścik od Michelle, który napisała do mnie na miesiąc przed mordem. Wyrwała kartkę z kołonoatnika, mozolnie wyrównała strzępiasty brzeg, a potem starannie złożyła papier w kształt strzałki. Treść była całkiem zwyczajna, odzwierciedlała kwestie zaprzatające umysł Michelle-czwartoklasistki: coś na temat chłopaka z sąsiedniej ławki, tępej nauczycielki, głupich designerskich dżinsów, które jakaś rozpieszczona dziewczucha dostała na urodziny. Notka była nudna, bez żadnych sensacji. Miałam pod schodami kilka pudeł podobnych szpargałów; ciągałam je od domu do domu i aż do tej pory nigdy nie przeglądałam. Za liścik od Michelle chciałam co najmniej dwieście dolarów. Ogarnęła mnie podszyta poczuciem winy radość na myśl o pozostałych tego typu śmieciach, które mogłabym sprzedać - nic nieznaczących notkach i fotografiach, trzymanyh tylko dlatego, że nie miałam odwagi ich

wyrzucić.

Wysiadłam z samochodu, wzięłam głęboki oddech, rozprostowałam kark.

Noc była chłodna, ale gdzieś tam, w jakichś niszach i zakątkach, dawało się wyczuć balsamiczne wiosenne powietrze. Na niebie wisiał ogromny, żółty księżyc na podobieństwo chińskiego lampionu.

Weszłam po solidnych marmurowych schodach, miażdżąc pod stopami zeschnięte liście, które wydawały przy tym nieprzyjemny dźwięk, przywodzący na myśl trzask starych kości. Stałam przed ciężkimi, metalowymi drzwiami. Zastukałam, odczekałam, zastukałam jeszcze trzy razy. Stałam wystawiona na widok publiczny w świetle księżyca niczym kandydatka na girlse w wodewilu. Już miałam zadzwonić z komórki do Lyle'a, gdy się uchyliła metalowa płyta i zobaczyłam wysokiego faceta o końskiej twarzy, który ostentacyjnie mierzył mnie wzrokiem.

- Tak?

- Um... Czy zastałam Lyle'a Wirtha?

- A niby czemu miałby tu być? - odparł koleś z surową miną.

Pogrywał sobie ze mną tylko dlatego, że mógł.

- Och, pierdol się - wypaliłam i wykonałam w tył zwrot.

Czułam się jak idiotka. Zdążyłam pokonać trzy stopnie, zanim facet zawołał za mną:

- Jezu, zaczekaj, pogięło cię, czy co?

Problem w tym, że przyszłam na świat już pogięta. Oczami wyobraźni widziałam, jak wysuwam się z macicy cała pokręcona, daleka od ideału. Niewiele trzeba, żebym straciła cierpliwość. Może nie rzucam „pierdol się” na prawo i lewo, ale to wyrażenie zawsze gdzieś się czai na moim języku.

Przystanąłam z jedną nogą na niższym, drugą na wyższym stopniu, lecz niemal natychmiast znów ruszyłam przed siebie.

- Hej, poczekaj. Ja oczywiście znam Lyle'a Wirtha. Jesteś na liście gości czy coś w tym rodzaju?

- Nie wiem. Nazywam się Libby Day.

Szczeka mu opadła; kiedy to spostrzegł, zamknął ją z wilgotnym kłapnięciem, a potem obrzucił mnie tym samym taksującym spojrzeniem co Lyle.

- Masz blond włosy.

W odpowiedzi uniosłam jedynie brwi.

- Wchodź, sprowadzę cię na dół. - Otworzył drzwi na całą szerokość. - No włącz, nie gryzę.

Niewiele powiedzonek bardziej mnie wkurwia od „nie gryzę”. Chyba w szybszym tempie rozjuszam się jedynie, gdy jakiś napruty dupek o czerwonej, nalanej twarzy mija mnie w barze i rzuca: „Uśmiechnij się, życie nie może być aż tak kiepskie!”. A właśnie, że może, tępy wale.

Zawróciłam. Wzniosłam głupawo oczy do nieba i przesłam przez próg ekstrapowolnym krokiem, więc koleś musiał się aż przykleić do metalu, żeby przytrzymać mi drzwi. Dupek.

Znalazłam się w przepastnym, przypominającym jaskinię holu, wysokim na co najmniej dwanaście metrów. Na ścianach widniały mosiężne kinkiety odlane w kształt pszenicznych kłosów. Sufit był swego czasu pokryty malowidłami, teraz mgławicowymi, przedstawiającymi wieśniaków i wieśniaczki z motykami lub szpadlami w dłoniach. Jedna z dziewcząt, obecnie bez twarzy chyba trzymała skakankę. A może węża? Cały zachodni róg plafonu przed laty się zapadł i tam, gdzie wymalowany dąb powinien eksplodować bujną zielenią liści, widniała plama nocnego nieba. Dostrzegalam blask księżyca, ale nie jego tarczę. W holu panowała ciemność, od dawna nie było tu elektryczności, zauważyłam jednak sterty śmieci zmiecione w kąty pomieszczenia. Miłośnicy tajemnic przegnali squatersów, potem chwycili za miotły. Mimo to śmierdziało tutaj szczynami. Do jednej ze ścian był przyklejony stary, zużyty kondom.

- Nie mogliście się szarpnąć na salę bankietową? - mruknęłam.

Marmurowa posadzka drżała lekko pod moimi stopami. Widocznie cała akcja rozgrywała się w podziemiach.

- Nasza konwencja nie należy do mile widzianych - odparł mój przewodnik.

Miał młodą, mięsistą twarz pokrytą pieprzykami. W jego uchu tkwił turkusowy kolczyk z rodzaju tych, jakie zawsze kojarzyłam z miłośnikami Dungeons and Dragons - facetami, którzy hodują w domu fretki i sądzą, że magiczne sztuczki są odjazdowe.

- No i ten budynek ma szczególną... atmosferę. Ponoć w pięćdziesiątym trzecim jeden z Tallmanów palnął sobie tutaj w łeb - dorzucił.

- Uroczo.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem, jego rysy, pogrążone w mroku, zmieniały się wraz z wędrującym cieniem. Nie widziałam żadnego zejścia w dół. Znajdujące się po lewej stronie windy naturalnie nie działały, klatki ze zmatowiałego metalu zastygły między piętrami.

Wyobraziłam sobie widmowych biznesmenów w eleganckich garniturach, którzy cierpliwie czekają, aż kabiny ponownie ruszą.

- No więc jak... idziemy dalej? - zapytałam.

- A! Jasne. Słuchaj, chciałem tylko powiedzieć... przykro mi z powodu twojej straty. Jestem pewien, że nawet po tych wszystkich latach... Wprost nie potrafię sobie czegoś podobnego wyobrazić. Niczym żywcem wyjęte z Edgara Allana Poe. Mam na myśli to, co cię spotkało.

- Staram się o tym nie myśleć.

To była moja standardowa odpowiedź.

Koleś parsknął śmiechem.

- Wobec tego znalazłaś się w nieodpowiednim miejscu.

Poprowadził mnie za załom, a potem korytarzem wzdłuż dawnych biur. Pod podeszwami naszych butów chrzęściło potłuczone szkło, zerkałam w głąb każdego mijanego pomieszczenia: puste, puste, wózek na zakupy, fekalia zebrane w schludny kopczyk, pozostałości po ognisku i, niespodziewanie, bezdomny, który wykrzyknął radośnie „Heja!” znad litrowej butelki burbona.

- Ma na imię Jimmy - wyjaśnił dzieciak o końskiej twarzy. - Jest okej, więc pozwoliliśmy mu zostać.

Cóż za wspaniałomyślność, pomyślałam, i kiwnęłam głową Jimmy'emu. Doszliśmy do ciężkich, ognioodpornych drzwi, chłopak je otworzył i nagle napał na mnie hałas. Z piwnicy dochodziły ścierające się ze sobą dźwięki muzyki organowej i heavy metalu oraz głosy ludzi próbujących przekrzyczeć się nawzajem.

- Panie przodem - powiedział dzieciak, ale się nie ruszyłam. Nie lubię, jak ktoś stoi za moimi za plecami. - Albo... może... hm... tędy. Poprowadzę.

Miałam szczerą ochotę się wycofać, ale ogarnęła mnie złość, kiedy sobie wyobraziłam, że ten pieprzony koleś, renesansowy błazen, schodzi na dół i wykrzykuje do znajomych: „Wyobraźcie sobie, że stchórzyła. Dała nogę”. I wszyscy wybuchają śmiechem, bo się im wydaje, że są prawdziwymi twardzielami. Wówczas Końska Gęba dodaje: „Jest zupełnie inna, niż się spodziewałem” A potem podnosi dłoń niewiele ponad ziemię, żeby pokazać, jaka jestem niska. Pierdol się, pierdol się, pierdol się, powtarzałam w myślach niczym mantrę i podążyłam za chłopakiem.

Zeszliśmy kondygnację w dół i stanęliśmy przed kolejnymi drzwiami, na których wisiało mnóstwo ulotek. Boks 22: Kolekcja Lizzie Borden! Wyjątkowe okazy na sprzedaż lub wymianę! Boks 28: Karla Brown - dyskusja na temat śladów po ugryzieniach. Boks 14: Inscenizacja - przesłuchanie Casey Anthony! 15: Przeróżające Drinki Toma - dziś fonestown Punch i Sweet Fanny Adams!

Mój wzrok padł na niebieską ulotkę z ziarnistym, skserowanym zdjęciem mojej

twarzy w górnym rogu. Dyskusja o Fatalnym Dniu Dayów! Masakra na farmie w Kinnakee, Kansas - analiza wydarzeń i bardzo, bardzo specjalny GOŚĆ!!!

Na ten widok znowu miałam ochotę zawrócić, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i zostałam wessana do zawilgoconej, pozbawionej okien piwnicy, w której się tłoczyło może z dwieście osób. Wszystkie nachylały się jedna nad drugą, wrzeszczały coś sobie nawzajem do ucha, kładły familiarnie dłonie na ramionach. Kiedyś w szkole pokazywano nam film o pladze szarańczy na Środkowym Zachodzie i to, co ujrzałam teraz, natychmiast mi się skojarzyło z tamtym filmem wytrzeszczone oczy, poruszające się szczęki, ręce i łokcie powystawiane pod ostrym kątem. Pomieszczenie podzielono na boksy za pomocą taniej siatki ogrodzeniowej. Każdy boks, zwany też przez bywalców stanowiskiem, był poświęcony innej zbrodni. Na pierwszy rzut oka naliczyłam ich ponad czterdzieści. Znajdujący się w piwnicy generator ledwo rozjarzał rozwieszone wokół żarówki, kołyszące się w niesynchronizowanych interwałach, oświetlające twarze pod upiornym kątem. Zbiorowisko pośmiertnych masek.

Lyle dostrzegł mnie z drugiego końca sali i zaczął się przebijać przez tłum trawersem, nacierając ostro ramieniem, ale jednocześnie fundując wielu ludziom serdeczny uścisk dłoni. Najwyraźniej był tutaj kimś ważnym - każdy chciał go dotknąć lub zagadnąć. Pochylił się, żeby jakiś facet mógł mu coś wyszeptać do filigranowego ucha, a kiedy ponownie się wyprostował, uderzył głową w żarówkę. Wszyscy wokół parsknęli śmiechem, ich twarze jaśniały i bladły w świetle wirującym niczym policyjny sygnał. Same męskie twarze, jak zauważyłam po chwili. W piwnicy praktycznie nie było kobiet - doliczyłam się zaledwie czterech. Wszystkie miały na nosie okulary i wyglądały na nudne gospodynie domowe. Mężczyzn skądinąd też trudno by zaliczyć do atrakcyjnych. Zauważyłam facetów z baczkami, bez wątpienia mających wysoką pozycję zawodową i niczym niewyróżniających się gości w typie ojca rodziny z przedmieścia; ale gros towarzystwa stanowili kolesie po dwudziestce o marnie ostrzyżonych włosach i okularach zdradzających maniakalne zamiłowanie do matematyki - kolesie bardzo podobni do Lyle'a czy dzieciaka, który mnie tutaj przyprowadził. Z wyglądu przeciętniacy, rozsiewający jednak wokół siebie aurę arogancji mózgowców niczym jakąś tandetną wodę po goleniu.

Lyle w końcu do mnie dotarł. Faceci stojący za jego plecami uśmiechali się szeroko i taksowali mnie wzrokiem, jakbym była nową dziewczyną ich kumpla.

- Wybacz, Libby - Lyle potrząsnął głową. - Kenny miał dać mi cynk na komórkę, gdy się zjawisz, żebym mógł cię osobiście wprowadzić.

Ponad moją głowę spiorunował wzrokiem Kenny'ego, który mruknął coś pod nosem,

wzruszył ramionami i zniknął. Lyle poprowadził mnie w głąb sali, popychając delikatnie, lecz zdecydowanie palcem. Niektórzy z klubowiczów mieli na sobie kostiumy. Obok przecisnął się facet w czarnej kamizelce oraz czarnym cylindrze. Wybuchnął śmiechem i próbował mnie namówić na jakieś słodycze. Lyle teatralnie przewrócił oczami, po czym powiedział:

- Fan Fredericka Bakera. Od dwóch lat próbujemy się pozbyć przebierańców, jednak... zbyt wielu chłopaków ma na tym punkcie świra.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi - odparłam. Bałam się, że jeszcze chwila, a wyjdę z siebie. Zewsząd napierały na mnie cudze ramiona i łokcie, ilekroć zrobiłam krok w przód, byłam odpychana do tyłu. - Naprawdę, nie wiem, co się tutaj, kurwa, wyprawia.

Lyle westchnął i ze zniecierpliwieniem zerknął na zegarek.

- Słuchaj, nasza sesja zacznie się dopiero o północy. Chcesz, żebym cię oprowadził, wytłumaczył, o co chodzi?

- Przede wszystkim chcę moją kasę.

Przygryzł wargę, z tylnej kieszeni spodni wyciągnął kopertę, wetknął mi ją w dłoń i szepnął do ucha, że byłoby lepiej, gdybym zawartość przeliczyła później. Koperta miała odpowiednią grubość, więc się trochę uspokoiłam.

- Przejdźmy się - zaproponował Lyle.

Ruszyliśmy na obchód piwnicy. Po lewej i prawej widniały ciasne boksy, które przywodziły na myśl klatki dla psów, zapewne z powodu tej metalowej siatki. Lyle znowu przytknął palec do mojego ramienia i popychał mnie do przodu.

- Klub Zbrodni - wiem, nie zrzedź, zdajemy sobie sprawę, że to kiepska nazwa, ale się przyjęła. A więc Klub Zbrodni, mówimy o nim w skrócie KZ, zrzesza głównie ludzi o zacięciu detektywistycznym, którzy chcą rozwiązywać zagadki kryminalne. A także entuzjastów słynnych zbrodni wszelkiego rodzaju, poczynając od Fanny Adams...

- Kim jest Fanny Adams? - warknęłam ostro i nagle zdałam sobie sprawę, że zielenieję z zazdrości. To ja miałam być tutaj najważniejszą osobą.

- W wieku ośmiu lat została porąbana na kawałki. Wydarzyło się to w Anglii w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku. Koleś, który przed chwilą nas minął, ten w czarnym cylindrze, odgrywa jej mordercę, Fredericka Bakera.

- To chore.

A więc owa Adams nie żyje od wieków. Doskonale. Wobec tego nie stanowi dla mnie konkurencji.

- Cóż, to było bardzo słynne morderstwo. - Zauważył, że się krzywię. - Tak, wiem, jak

już wspomniałem, przebierańcy to mało strawna grupa. Poza tym większość zbrodni, które odgrywają, została rozwiązana już dawno temu, nie kryją w sobie żadnej tajemnicy. Dla mnie najważniejsza jest praca nad rozwiązaniem zagadki, poszukiwanie prawdy. Do naszej grupy należą prawnicy, byli policjanci...

- Czy są tu ludzie, którzy odgrywają... moją rodzinę?

Nagle wpadł na mnie jakiś mięśniak, ale nawet tego nie zauważył. Miał jasne pasemka we włosach, a pod pachą dmuchaną lalę, ubraną w czerwoną sukienkę. Gumowe palce lali łaskotały mój policzek. Ktoś z tyłu wykrzyknął: „Scott i Amber!”. Odepchnęłam gwałtownie mięśniaka i zaczęłam lustrować tłum, wypatrując świra przebranego za moją mamę lub za Bena; szukałam wzrokiem jakiegoś skurwiela w rudej peruce, wymachującego siekierą. Dłoń sama zacisnęła mi się w pięść.

- Nie, nie. W żadnym razie - zapewnił Lyle. - Nigdy w życiu bym na to nie pozwolił, Libby. Nie ma mowy, żeby ktoś się poważył odgrywać... to wydarzenie. O, nie.

- Dlaczego tutaj są sami faceci? - szybko zmieniałam temat.

Na jednym ze stanowisk dwóch przysadzistych koleśków w koszulkach polo wyklócało się o zabójstwa popełnione na dzieciach w jakimś odległym zakątku Missouri.

- Wcale nie sami. - Lyle przybrał obronną postawę. - Większość z rozwiązujących zagadki to rzeczywiście mężczyźni, ale jeżeli pojedziesz na zjazd miłośników krzyżówek, zobaczysz podobny obrazek. Kobiety przychodzą tutaj głównie po to, żeby się dzielić emocjami. Opowiadają, dlaczego identyfikują się z ofiarami - często same na co dzień doświadczają przemocy domowej - piją wspólnie kawę, niekiedy kupią jakieś stare zdjęcie. Musimy zresztą bardzo na nie uważać, ponieważ czasami... zbyt się angażują.

- Tak, lepiej to odhumanizować - rzuciłam ironicznie. Mała, pieprzona hipokrytka.

Na szczęście Lyle mnie zignorował.

- Teraz na przykład niemal wszystkie dostały obsesji na punkcie Lisette Stephens. - Wskazał palcem za ramię, gdzie przed laptopem tłoczyła się mała grupka kobiet, wyciągających szyję i pochylających się nad monitorem na podobieństwo dziobiących kur. Minęłam Lyle'a i podeszłam do boksu. Kobiety oglądały film o Lisette, który powstał z montażu prywatnych wideo zapisów i od jakiegoś czasu krążył po Internecie. Lisette wraz z koleżankami z college'u. Lisette i jej pies. Lisette z siostrą bliźniaczką.

- Teraz pojmujesz, co mam na myśli? - odezwał się Lyle. - One nie próbują niczego rozwikłać, wspólnie oglądają obrazki, które każda z nich mogłaby pooglądać w domu na własnym kompie.

Problem z Lisette Stephens polegał na tym, że w jej sprawie nie było czego

rozwikływać. Nie miała chłopaka, męża, zawistnych kolegów z pracy, żaden były skazaniec nie przeprowadzał w jej domu drobnych napraw. Zaginęła z niewiadomego powodu, może poza jednym - była ładna. Należała do dziewczyn, które się rzucają w oczy. Do dziewczyn, o których zniknięciu będą chętnie trąbić media.

Obok leżała sterta dresowych bluz z przyprasowanym nadrukiem: SPROWADŹMY LISETTE DO DOMU. Dwadzieścia pięć dolców za sztukę. Kobiety jednak bardziej niż sprzedają były pochłonięte komputerem. Przeglądały zapisy na forum strony internetowej zaginionej dziewczyny. Do swoich wiadomości ludzie często dołączali irytujące, kretyńskie fotki. „Kochamy Cię, Lisette, wierzymy, że wrócisz” widniało obok zdjęcia trzech podstarzałych bab na plaży. „Życzę miłości i spokoju ducha Twojej rodzinie w tych trudnych chwilach”, głosił tekst okraszony podobizną labradora. Kobiety powróciły na stronę główną, gdzie się pojawiła fotografia najchętniej wykorzystywana przez media - Lisette z matką, policzek przy policzku, obie promiennie uśmiechnięte.

Wzruszyłam ramionami, ignorując niepokój o los Lisette, której kompletnie nie znałam. Poczułam jednocześnie, że znowu ogarnia mnie zazdrość. Chciałam, żeby na tle innych morderstw stanowisko poświęcone Dayom przedstawiało się najbardziej imponująco. Było największe. Najliczniej odwiedzane. Przemawiała przeze mnie miłość do rodziny - moi umarli są najważniejsi. Mignął mi przed oczami obraz mamy: z rudymi włosami związanymi w koński ogon pomaga mi zdjąć cienkie, zimowe botki, a potem rozciera mi palce u nóg, każdy po kolei. „Rozgrzewamy duży paluszek, a teraz malusi”. To wspomnienie wiązało się też z zapachem posmarowanej masłem grzanki, chociaż wcale nie jestem pewna, czy jakaś grzanka tam naprawdę wówczas była. W owym wspomnieniu natomiast wciąż miałam wszystkie palce u stóp.

Zadrżałam gwałtownie.

- Rety, ujrzałaś ducha? - rzucił Lyle, ponieważ zdając sobie sprawę z makabrycznej wymowy tych słów.

- Co można tu jeszcze zobaczyć?

Natknęliśmy się na zator przy boksie oznakowanym jako Osobliwy Bazar Boba, gdzie urzędował facet z doklejonymi wielkimi wąsami, siorbiący zupę. Za jego plecami, na zwykłej desce, leżały cztery czaszki, a nad nimi napis „Ostatnia Czwórka”. Miłośnik zupy wykrzyknął do Lyle'a, że chce poznać jego małą przyjaciółkę. Lyle próbował zbyć go machnięciem dłoni, zmienić kurs, ale w końcu tylko wzruszył ramionami i szepnął: „Przebieraniec”.

- „Bobie Berdella” - zwrócił się do wąsatego kolesia - poznaj Libby Day. Jej rodzina zginęła w masakrze na farmie w Kinnakee.

„Bob” nachylił się przez stół w moją stronę, między zębami zwisał mu kawałek hamburgera.

- Gdybyś miała fiuta, leżałabyś teraz w moim śmietniku porąbana na kawałki - oznajmił ze śmiechem. - Na drobniotkie kawałeczki.

Machnął w moją stronę ręką. Odruchowo odskoczyłam w tył, ale natychmiast, kipiąc gniewem, rzuciłam się na niego z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Zawsze wpadałam we wściekłość, gdy coś wzbudziło we mnie strach. Trzaśnij go w nos, rozgnieć ten kawałek hamburgera na jego gębie, a potem walnij raz jeszcze. Zanim zdołałam dopaść „Boba”, on się wycofał, uniósł ręce do góry i wymamrotał, jednak nie do mnie, lecz do Lyle’a:

- Chłopie, ja tylko odgrywałem swoją rolę, nie miałem żadnych złych zamiarów.

Gdy wygłaszał swoje przeprosiny, nawet nie zerknął w moją stronę, jakbym była bezrozumnym dzieckiem. Głędził coś jeszcze i wówczas na niego natarłam. Nie trafiłam tam, gdzie chciałam, moja pięść niemrawo wylądowała na jego podbródku, jakbym karciała niesfornego psiaka.

- Pierdol się, dupku.

Wtedy do akcji wkroczył Lyle - przeprosił faceta i zaczął mnie odciągać w przeciwną stronę. Wciąż zaciskałam dłonie i zęby. Na odchodne kopnęłam stół, który zachybotał tak gwałtownie, że zupa „Boba” wylądowała na posadzce. W duchu żałowałam, że nie wskoczyłam na blat. Nie ma nic bardziej żenującego niż niska kobieta, która nie jest w stanie przywalić facetowi w nos. Równie dobrze mógłby mnie ktoś chwycić pod pachy i zabrać stamtąd kopiącą powietrze, na podobieństwo rozwścieczonego bachora. Obejrzałam się za siebie. „Bob” tkwił nieruchomo za stołem, z przygarbionymi ramionami, zaczerwienionym podbródkiem i wyglądał tak, jakby nie mógł zdecydować, czy powinien okazać gniew czy skruchę.

- Okej, to nie pierwsza bójka w Klubie Zbrodni, ale zapewne najdziwaczniejsza - zawyrokował Lyle.

- Nie znoszę, jak ktoś mi grozi.

- Tak naprawdę on wcale... w porządku, rozumiem - mruknął Lyle. - Jak ci wspominałem, w pewnym momencie ci przebierańcy się zmyją i pozostaną tylko miłośnicy zagadek. Spodobają ci się ludzie z naszej grupy. Grupy Dayów.

- Grupy Dayów czy grupy „Masakry na farmie w Kinnakee”? - burknęłam zrzędliwie.

- Rzeczywiście, tak ją zazwyczaj określamy.

Próbował przeprowadzić nas przez kolejny zator w zatłoczonym przejściu. W rezultacie niemal zderzyliśmy się ze sobą. Tylko kilka centymetrów dzieliło moją twarz od

jego pleców. Niebieska, wykrochmalona koszula z idealnie zaprasowaną tylną plisą. Jakiś koleś z brzuchem wypchanym niczym kłown wciąż na mnie napierał od tyłu.

- W większości opisów pojawia się szatan - zauważyłam. - „Rytualny mord w Krainie Prerii w imię szatana”.

- Tak, wiem. Ale my w to nie wierzymy, więc unikamy odniesień do diabła... Przepraszam! - wrzasnął do stojących przed nim ludzi i znowu przepchnął się do przodu.

Nie spuszczałam wzroku z niebieskiej koszuli, aż w końcu wydostaliśmy się z największego tłoku i znaleźliśmy na skrawku chłodnej wolnej przestrzeni.

- Chciałabyś poznać jeszcze jakieś grupy?

Wskazał ręką na lewo, gdzie na stanowisku 31. zebrała się grupka mężczyzn: krótko ostrzyżone włosy, gdzieniegdzie wąsy, mnóstwo garniturowych koszul w dobrym gatunku. Dyskutowali o czymś zawzięcie przyciszonymi głosami.

- Ci faceci są naprawdę spoko - oświadczył Lyle. - Rozwiązują własną zagadkę kryminalną; sądzą, że jako jedyni wytropili działalność seryjnego zabójcy. Według nich pewien gość od lat krąży po stanach Środkowego Zachodu - Missouri, Kansas, Oklahomie - i pomaga bliźnim rozstać się ze światem. Ojcom rodzin, niekiedy ludziom w podeszłym wieku, którzy mają zbyt wiele niespłaconych kredytów, przeciążoną hipotekę, są zagrożeni eksmisją. Jednym słowem, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

- Zabija ludzi, żeby ich ukarać za brak talentu do gospodarowania pieniędzmi? - Przewróciłam demonstracyjnie oczami.

- Nie, nie. Ci kolesie uważają, że jest kimś w rodzaju Kevorkiana dla osób, które mają zbyt wiele zobowiązań płatniczych, za to są wysoko ubezpieczone na życie. Nazywają go Aniołem Dłużników.

Jeden z członków grupy zebranej w boksie 31., chłopak o wysuniętej do przodu szczękę i ustach, które zdawały się zbyt małe, żeby zasłonić zęby, usłyszał słowa Lyle'a i zwrócił się do niego entuzjastycznym tonem:

- Sądzymy, że Anioł był w zeszłym miesiącu w Iowa. Pewien człowiek z zadłużoną MacRezydencją i czwórką dzieci na głowie zginął w efektownym wypadku na skuterze śnieżnym w wyjątkowo dogodnym momencie. W ostatnim roku do różnych dziwacznych wypadków dochodziło przynajmniej raz w miesiącu. Efekt kryzysu bankowego.

Chłopak miał ochotę ciągnąć temat, wepchnąć nas do boksu, pokazać wykresy, kalendarium, nowe wycinki prasowe, leżące na stole obok paczek z mieszankami solonych orzechów, po które wszyscy sięgali garściami. Fistaszki spadały w dół i odbijały się od tenisówek. Pokręciłam głową, więc Lyle poprowadził mnie dalej. Gdy znaleźliśmy się w

przejściu, odetchnęłam głęboko powietrzem wolnym od soli i spojrzałam na zegarek.

- No, tak - odezwał się Lyle. - Tutaj wiele się dzieje. Ruszajmy w stronę naszego stanowiska. Myślę, że spodobają ci się ludzie, których tam spotkasz. Podchodzą poważnie do sprawy. Popatrz, już się zbierają.

Wskazał w stronę schludnego boksu, usytuowanego w rogu; stała tam gruba kobieta o fryzurze pudła, popijająca kawę ze styropianowego kubka wielkości wiadra, oraz dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy kompletnie ją ignorowali. Z rękami na biodrach lustrowali tłum. Wyglądali na gliniarzy. Tuż za nimi starszy, łysiejący mężczyzna siedział przy karcianym stoliku i robił notatki w żółtym, prawniczym bloku, podczas gdy spięty chłopak - tak na oko student college'u - zaglądał mu przez ramię. W głębi stało jeszcze kilku innych mężczyzn o bliżej nieokreślonym wyglądzie: niektórzy przeglądali zawartość kartonowych teczek, inni czekali beczynn timer.

- Widzisz, kolejna kobieta - rzucił triumfalnie Lyle, wskazując na górę tłuszczu z kiepską trwałą na głowie. - Chcesz, żebyśmy od razu zabrali się do rzeczy, czy wolisz zaczekać, aż przygotuję wielkie wejście?

- Wchodzimy od razu.

- To grupa inteligentnych, poważnych fanów. Z pewnością przypadną ci do gustu. Może nawet dowiesz się od nich kilku ciekawych rzeczy.

Prychnęłam drwiąco i podążyłam za Lyle'em. Pierwsza spostrzegła nas gruba kobieta, zwięzła powieki na mój widok, a potem wytrzeszczyła oczy. W wyciągniętym ręku dzierżyła segregator domowej roboty, do którego na wierzchu przykleiła moje zdjęcie z albumu gimnazjalnego. Mam na nim wisiorek ze złotym serduszkiem przysłanym przez jakąś litościwą duszę. Wyglądało to tak, jakby babsko chciało wręczyć mi segregator - niczym teatralny program. Nie zareagowałam. Zauważyłam za to, że na zdjęciu dorysowała mi diabelskie rogi.

Lyle położył dłoń na moim ramieniu, po czym zagaił:

- Witajcie. Właśnie przybył nasz specjalny gość, gwiazda tegorocznej konwencji Klubu Zbrodni. Libby Day.

Kilka brwi podjechało w górę, kilka głów skinęło z aprobatą, jeden z facetów wyglądających na gliniarzy mruknął: A niech mnie! Chciał przybić z Lyle'em piątkę, ale w ostatniej chwili się zreflektował - jego ramię zawisło w powietrzu, przypadkowo ułożone w nazistowskie pozdrowienie. Starszy mężczyzna odwrócił ode mnie wzrok i znowu zaczął notować. Przez chwilę się bałam, że każą mi wygłosić mowę, ale skończyło się na tym, że mruknęłam „Witam” i usiadłam za stołem.

Po grzecznościowych powitaniach padły standardowe pytania. Owszem, mieszkam w Kansas City. Nie, aktualnie szukam nowej pracy. Nie, nie mam kontaktu z Benem. Owszem, pisuje do mnie kilka razy w roku, ale nieotwarte listy wyrzucam od razu do kosza. Nie, nie jestem zainteresowana ich treścią. Tak, byłabym gotowa sprzedać następny.

- No dobrze - Lyle uroczystym głosem przerwał w końcu tę przepytówkę. - Macie przed sobą postać kluczową w sprawie Dayów, tak zwanego naocznego świadka, więc może przejdziemy do bardziej zasadniczych pytań?

- Ja mam pytanie tak zasadnicze, że już bardziej być nie może - odezwał się jeden z „gliniarzy”. Uśmiechnął się półgębkiem i obrócił na krzesle w moją stronę. - O ile nie masz nie przeciwko przejściu do sedna sprawy.

Koleś naprawdę zaczekał, aż powiem, że nie mam nic przeciwko.

- Dlaczego zeznałaś, że Ben zamordował twoją rodzinę?

- Ponieważ to zrobił. Wiem, bo tam byłam.

- Siedziałaś w ukryciu, skarbie. Nie ma mowy, żebyś naprawdę widziała to, co zeznałaś, że widziałaś, bo wówczas ty też straciłabyś życie.

- Ja najlepiej wiem, co widziałam - odparłam jak zwykle w takich sytuacjach.

- Gówno prawda. Widziałaś to, co ci wmówiono, że widziałaś, a ty to potem wyrecytowałaś, bo byłaś grzeczną, przerażoną dziewczynką, która bardzo chciała pomóc policji. Prokuratura koncertowo namieszała ci w głowie. Wykorzystali cię, żeby ustrzelić najłatwiejszy cel. Najbardziej niechlujna policyjna robota, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu.

- Byłam w domu, kiedy...

- Jak wobec tego wyjaśnisz strzały, od których zginęła twoja matka? - natarł znowu „gliniarz”, pochylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach. - Ben nie miał żadnych śladów prochu na dłoniach...

- Panowie, panowie - przerwał mu starszy mężczyzna i pokiwał grubym, powykrećanym palcem. - Oraz panie - dodał wazeliniarskim tonem, spoglądając na mnie i na Tlustego Pudła. - Jeszcze nie zaprezentowaliśmy faktów. Musimy postępować protokolarnie, bo inaczej nasze spotkanie nie będzie się niczym różnić od bezładnego, internetowego czatu. Skoro mamy tak szczególnego gościa, powinniśmy z wyjątkową starannością przygotować grunt pod dyskusję.

Jeżeli komuś nie spodobała się ta propozycja, ograniczył się jedynie do cichego pomruku, więc stary człowiek obliznął usta, powiódł po zebranych wzrokiem znad okularów, przemieścił w gardle flegmę. Miał w sobie coś autorytatywnego, ale jednocześnie

niezdrowego. Wyobraziłam sobie, jak tkwi samotnie w domu, zajada na stojąco brzoskwinie z puszkki i mlaska językiem, wysysając z nich syrop. Zajrzał do notatek i zaczął recytować.

- Fakt pierwszy. W okolicach drugiej nad ranem trzeciego stycznia osiemdziesiątego piątego roku jeden lub kilku osobników dokonało mordu na trójce członków rodziny Dayów w ich własnym domu na farmie w Kinnakee, w stanie Kansas. Ofiary to: Michelle Day, lat dziesięć; Debby Day, lat dziewięć; oraz ich matka Patty Day, lat trzydzieści dwa. Michelle Day została uduszona; Debbie Day zmarła od ran zadanych siekierą; Patty Day - od dwóch ran postrzałowych ze strzelby kalibru siedemdziesiąt siedem, obrażeń zadanych siekierą oraz nożem myśliwskim.

Poczułam dudnienie krwi w uszach i zaczęłam sobie szybko tłumaczyć, że przecież nie usłyszę niczego nowego. Nie mam żadnych powodów do paniki. Tak naprawdę zawsze puszczałam mimo uszu opisy obrażeń. Pozwalałam, by słowa swobodnie przepływały przez mój umysł i natychmiast się ulatniały, niczym przerażony pacjent onkologiczny, który słucha lekarskiego żargonu i niczego nie rozumie poza tym, że właśnie usłyszał fatalną wiadomość.

- Fakt drugi - ciągnął stary człowiek. - Najmłodsze dziecko, Libby Day, lat siedem, znajdowało się wówczas w domu, ale wymknęło się mordercy bądź mordercom, skacząc z okna sypialni matki. Fakt trzeci. Najstarsze dziecko, Benjamin Day, lat piętnaście, utrzymywał, że owej feralnej nocy spał w stodole sąsiadów, ponieważ nie chciał wracać do domu po kłótni z matką. Nigdy nie przedstawił innego alibi, a postawa, jaką reprezentował podczas przesłuchań, nie poprawiła jego sytuacji. W rezultacie został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia głównie na podstawie krążących w okolicy plotek, jakoby był czciicielem diabła. Ściany domu zostały pokryte słowami i symbolami powszechnie kojarzonymi z satanizmem. Wymalowano je krwią matki.

Mężczyzna zamilkł dla wzmocnienia dramatycznego efektu, powiódł wzrokiem po zebranych, po czym powrócił do swoich notatek.

- Ale najbardziej obciążające było stwierdzenie siedmioletniej siostry, że widziała, jak brat popełnia te mordy. Pomimo niezbornych relacji Libby i jej młodego wieku, Ben Day został skazany na podstawie złożonych przez nią zeznań. To kuriozalne, tym bardziej że policja nie zgromadziła przeciwko niemu żadnych materialnych dowodów! Zebraliśmy się tutaj, aby omówić wszystkie aspekty sprawy. W moim mniemaniu możemy założyć, że morderstwa mają ścisły związek z przebiegiem całego poprzedniego dnia - drugiego stycznia osiemdziesiątego piątego roku. Wówczas musiało się wydarzyć coś znaczącego i katastrofalnego.

Z teczki prelegenta wysunęło się zdjęcie miejsca zbrodni: pulchna, zakrwawiona noga

i skraj lawendowej koszuli nocnej. Debbie. Starszy pan zauważył, w którą stronę kieruję wzrok, i szybko wetknął zdjęcie na swoje miejsce, jakbym nie miała prawa go oglądać.

- Wiele ludzi sądzi, i chyba wy też się z tym zgodzicie, że sprawcą był Runner Day - oświadczyła gruba baba, grzebiąc w torebce, z której wypadł kłęb jednorazowych chusteczek.

Drgnęłam na dźwięk imienia ojca. Runner Day. Żalony facet.

- Bo to ma sens, prawda? - ciągnął Tłusty Pudel. - Przychodzi do Patty, jak zwykle chce od niej wydusić pieniądze, odchodzi z kwitkiem, wścieka się i całkowicie traci nad sobą panowanie. Przecież ten facet był stuknięty, prawda?

Dogrzebała się w torebce do słoiczka z aspiryną i połknęła dwie tabletki dokładnie tak, jak to robią na filmach, gwałtownie odrzucając do tyłu głowę. A potem spojrzała na mnie wyczekująco.

- Tak - przyznałam. - Chyba był. Nie pamiętam go zbyt dobrze. Rozwiedli się z mamą, kiedy miałam jakieś dwa lata. Potem rzadko go widywałam. Co prawda wrócił na parę miesięcy, mieszkał z nami w lecie przed morderstwami, jednak...

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem.

Zrobiła zde gustowaną minę.

- A co z odciskami męskiego półbuta? - odezwał się ktoś stojący z tyłu. - Policja nigdy nie wyjaśniła, skąd się wzięły te ślady w domu, w którym nikt nie nosił półbutów...

- Policja praktycznie nic nie wyjaśniła - wtrącił stary człowiek.

- Na przykład obecności plamy krwi nieznannej osoby - podsunął Lyle i odwrócił się w moją stronę. - Na prześcieradle Michelle wykryto krew, która nie należała do żadnego członka rodziny. Niestety, pościel pochodziła z darów charytatywnych, dlatego oskarżenie utrzymywało, że krew mogła należeć do każdego, kto miał wcześniej kontakt z tym prześcieradłem.

„Mało używana” pościel. O, tak. Dayowie entuzjastycznie korzystali z hojności Goodwilia - sofa, telewizor, lampy, dzinsy, nawet firanki pochodziły z magazynów tej dobroczynnej organizacji.

- Wiesz, jak znaleźć Runnera? - zapytał dzieciak z college'u. - Mogłabyś mu zadać kilka pytań w naszym imieniu?

- Uważam, że warto by również porozmawiać z przyjaciółmi Bena z owego okresu - dodał wiekowy prezenter faktów. - Utrzymujesz jeszcze jakieś kontakty z ludźmi z Kinnakee?

Kilka osób zaczęło żywo dyskutować na temat zamiłowania Runnera do hazardu, natury przyjaciół Bena i fatalnej pracy policji.

- Hej! - zachnęłam się gwałtownie. - A co z Benem? Lekką ręką tak po prostu eliminujecie go ze sprawy?

- Zlituj się, to jedna z największych pomyłek sądowych w tym kraju - zaperzyła się gruba baba. - I nie udawaj, że o tym nie wiesz. Chyba że, upierając się przy swoim, chcesz chronić tatusia. Lub zżera cię wstyd i poczucie winy za to, co zrobiłaś.

Posłałam jej mordercze spojrzenie. Miała we włosach kawałek zaschniętego żółtka. Kto jada jajka o północy?, pomyślałam. A może żółtko jest tam od rana?

- Magda wyjątkowo angażuje się w tę sprawę, bardzo jej zależy na uwolnieniu twojego brata - wyjaśnił stary mężczyzna, unosząc protekcjonalnie brwi.

- Bo Ben jest cudownym człowiekiem - oznajmiła Magda i wojowniczo wysunęła podbródek. - Pisz wiersze, komponuje muzykę, potrafi każdego natchnąć nadzieją, chociaż sam się już nią nie karmi. Powinnaś go lepiej poznać, naprawdę powinnaś.

Magda przesuwiała palcami po segregatorach leżących przed nią na stole - każdy członek rodziny Dayów miał własny folder. Najgrubszy był pokryty zdjęciami mojego brata: rudowłosy Ben z powagą trzymający w rękę bombowiec-zabawkę; czarnowłosy Ben, przerażony, na policyjnym zdjęciu z dnia aresztowania; Ben obecnie, w więzieniu, znowu rudowłosy, z miną intelektualisty i półotwartymi ustami, jakby uchwycony przez obiektyw w pół zdania. Obok leżał segregator poświęcony Debbie z jednym jej zdjęciem na okładce - jest na nim przebrana za Cygankę z okazji Halloween. Ma czerwone usta, bandanę mamy na głowie i wypycha przed siebie wyzywająco biodro. Po prawej widać moje piegowate ramię. To było zdjęcie rodzinne, które według mojej wiedzy nigdy nie zostało opublikowane.

- Skąd wzięłaś tę fotografię? - spytałam ostro.

- Nie twoja sprawa.

Przykryła segregator grubą ręką.

Spuściłam wzrok, miałam ochotę rzucić się na to babsko. I wówczas zdjęcie martwej Debbie znowu się wysunęło z kartonowej teczki starego dziada. Wyraźnie widziałam zakrwawioną nogę, rozplątany brzuch, niemal odrąbane ramię. Przechyliłam się przez stół i chwyciłam właściciela fotografii za rękę.

- Schowaj to gównu - warknęłam.

Ponownie wepchnął zdjęcie do teczki, a potem uniósł ją przed siebie niczym tarczę i gwałtownie zamrugął oczami.

Teraz wszyscy skierowali na mnie wzrok, lekko zdziwiony i jednocześnie zatroskany, jakbym była ulubionym króliczkiem, który - co nagle zrozumieli - może być zarażony wścieklizną.

- Libby - Lyle odezwał się kojącym tonem gospodarza ckliwego talk show. - Nikt nie neguje faktu, że byłaś wówczas w domu. Nikt nie wątpi, że przeżyłaś koszmar, którego żadne dziecko nie powinno doświadczyć. Ale czy rzeczywiście na własne oczy widziałaś to, co twierdziłaś, że widziałaś? Czy raczej powiedziano ci, co potencjalnie mogłaś widzieć?

Niespodziewanie wróciło do mnie wspomnienie Debbie: zręcznymi, pulchnymi palcami dzieliła moje włosy na pasma i splatała je w jodełkę, co według niej było o wiele bardziej skomplikowane od francuskiego warkocza. Z wysiłku sapała mi w szyję, czułam obłoki gorącego powietrza. Związała końcówkę zieloną kokardą, jakbym była świątecznym prezentem, a potem pomogła mi się wdrapać na krawędź wanny i za pomocą ręcznego lusterka obejrzeć w dużym lustrze wiszącym nad umywalką dzieło, które stworzyła na mojej głowie. Debbie zawsze desperacko pragnęła, żeby wszystko wokół wyglądało ładnie.

- Nie ma żadnego dowodu, że kto inny niż Ben zabił moją rodzinę - oświadczyłam, powracając do świata żywych. - A on sam ani razu nie wystąpił z apelacją! Nigdy nawet nie próbował odzyskać wolności!

Nie mam żadnego osobistego doświadczenia, jeśli chodzi o zwyczaje skazanych, ale w moich wyobrazeniach nieustannie składali wnioski o apelacje, z pasją i obsesyjnie, nawet w beznadziejnych przypadkach. Kiedy próbowałam wyobrazić sobie więzienie, przed oczami stawały mi pomarańczowe kombinezony i żółte, prawnicze notatniki. Uważałam, że winy Bena najdobitniej dowodziła jego inercja - moje zeznania nie miały już żadnego znaczenia.

- Ben miałby formalne podstawy do złożenia co najmniej ośmiu apelacyjnych wniosków - oznajmiła Magda uroczyście.

Wreszcie zrozumiałam, że była z gatunku tych kobiet, które stawały w progu mojego domu, żeby zrobić mi karczemną awanturę. Jakie szczęście, że nie podałam Lyle'owi swojego aktualnego adresu.

- To, że nie walczy, nie świadczy o jego winie, Libby, jedynie o utracie nadziei.

- Tak czy owak, nie ma o czym mówić.

Lyle spojrział na mnie oczami wielkimi jak spodki.

- Rany boskie! Ty rzeczywiście wierzysz, że Ben to zrobił! - I nagle wybuchnął śmiechem. Niechcący lekko się zakrztusił, ale jego śmiech był jak najbardziej szczery. - Przepraszam - mruknął.

Nikt nigdy się ze mnie nie naśmiewał. Wszystko, co mówię, jest ZAWSZE traktowane z najwyższą powagą. Nikt nie kpi z ofiary. Moja osoba nie ma prawa wzbudzać wesołości.

- Jak was to tak bawi, to snujcie sobie dalej te spiskowe teorie, ale beze mnie -

rzuciłam gniewnie i poderwałam się z krzesła.

- Daj spokój, nie zachowuj się w taki sposób - odezwał się jeden z facetów wyglądających na gliniarzy. - Zostań. Przekonaj nas do swoich racji.

- On... nigdy... nie... wniósł... apelacji - powtórzyłam tonem przedszkolanki przemawiającej do tępych bachorów - Dla mnie to wystarczy.

- A więc jesteś idiotką.

Pokazałam mu środkowy palec, tak energicznie, jakbym dźgała zmrożoną ziemię. Potem odwróciłam się na pięcie i usłyszałam jeszcze, że ktoś mówi za moimi plecami:

- Była i pozostała małą kłamczuchą.

Wbiegłam w tłum. Przepychałam się pod pachami i ocierałam o męskie krocza, aż dotarłam do chłodnych schodów, zostawiłam za sobą cały ten zgiełk. Jedynym zwycięstwem, jakie odniosłam tej nocy, był zwitek banknotów w mojej kieszeni oraz świadomość, że ci ludzie są nie mniej żałośni ode mnie.

*

Przyjechałam do domu, pozapalałam wszystkie światła i poszłam do łóżka z butelką lepkiego rumu. Położyłam się na boku i wpatrzyłam w notkę od Michelle, kunsztownie złożoną, której nie zdążyłam sprzedać.

*

Tej nocy ogarnęło mnie wrażenie, że oś świata uległa przemieszczeniu. Swego czasu ludzie byli podzieleni na dwie starannie odseparowane o pozostające w stanie równowagi grupy - tych, którzy wierzyli w winę Bena, i tych, którzy wierzyli w jego niewinność. Ale teraz ta dwunastka dziwaków, gnieźdzących się w piwnicy opustoszałego domu, przeszła na stronę opowiadającą się za niewinnością i - bum! - środek ciężkości się przesunął. Jakby mieli kieszenie wypchane cegłami. Magda, Ben, wiersze i nadzieja. Ślady stóp, plamy krwi i Runner, który wpadł w szaf. Po raz pierwszy od rozprawy brata stanęłam przed ludźmi, którzy mi nie wierzyli, i okazało się, że nie byłam w stanie sprostać wyzwaniu. Jestem istotą małej wiary. W innym wypadku zapewne skwitowałabym całą tę historię wzruszeniem ramion. Jak zwykle. Ale oni byli tak przerażająco pewni swoich racji i podchodzili do mnie z pobłażliwym lekceważeniem. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że dyskutowali na mój temat wiele razy, po czym doszli do zgodnego wniosku: nie jestem warta tego, aby zbyt poważnie mnie traktować. Szłam tam z założeniem, że spotkam się z takimi ludźmi jak zazwyczaj: będą chcieli mi pomóc, zatroszczą się o mnie, załatwią moje problemy. Tymczasem oni mnie wykpiłi. Czy rzeczywiście byłam tak niepewna siebie i swoich racji?

Nie. Wiem, co widziałam tamtej nocy, powtórzyłam w duchu swoją odwieczną

mantrę. Powtórzyłam ją, chociaż nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Bo tak naprawdę niczego nie widziałam. W porządku? Zadowoleni? To znaczy formalnie rzecz biorąc, niczego nie widziałam. Za to wiele słyszałam. A słyszałam dlatego, że gdy moja rodzina konała w cierpieniach, chowałam się w szafie, jak na małego, nic niewartego tchórza przystało.

*

Tamta noc... tamta noc... tamta noc. Obudziłam się w pokoju, który dzieliłam z siostrami. W domu panowały gęste ciemności i taki ziąb, że szyby od zewnątrz były pokryte szronem. W pewnym momencie Debbie przysła do mojego łóżka - często spałyśmy razem, żeby się nawzajem ogrzać - i jej pulchna pupa wciskała się w mój brzuch, dopychała mnie do zimnej ściany. Od małości lunatykowałam, więc nie pamiętam jak i kiedy przelazłam przez Debbie, ale przypominam sobie, że widziałam Michelle śpiącą na podłodze, z pamiętnikiem w ręku, jak zwykle. Przez sen ssała pióro i atrament ciekł po jej brodzie zmieszany ze śliną. Nawet nie próbowałam obudzić siostry, powiedzieć, żeby poszła do łóżka. W naszym hałaśliwym, zimnym, przeludnionym domu sen był wyjątkowo cennym dobrem i nikt nie wstawał bez zażartej walki. Otworzyłam drzwi do holu i z pokoju Bena dobiegły mnie gorączkowe szepty wznoszące się do granicy pełnego głosu. Tak mówią ludzie, którzy wierzą, że się zachowują całkiem cicho. Przez szparę pod drzwiami Bena wydostawało się światło. Postanowiłam iść do sypialni mamy. Przeszłam przez hol, wlałam do łóżka i przyłgnęłam do jej pleców. W zimie mama spała w dwóch parach dresowych spodni i w kilku swetrach, więc w dotyku przypominała gigantycznego pluszaka. Zazwyczaj nie reagowała, gdy któraś z nas kładła się koło niej, ale tamtej nocy odwróciła się w moją stronę tak gwałtownie, jakby była zagniewana. Jednak wcale się nie zezłościła, tylko przytuliła mnie mocno do siebie i pocałowała w czoło. Powiedziała, że mnie kocha. A rzadko nam coś takiego mówiła. Dlatego dobrze to zapamiętałam, a przynajmniej wydaje mi się, że zapamiętałam, że nie wymyśliłam po fackie, by czerpać pociechę z jej słów. Tak czy inaczej, niech będzie, że powiedziała „Kocham cię”, a ja niemal natychmiast zasnęłam.

Kiedy obudziłam się po raz drugi - kilka minut lub kilka godzin później - mamy nie było w pokoju. Była natomiast w holu, za zamkniętymi drzwiami, wyła i płakała, a Ben na nią krzyczał. Słyszałam też inne głosy; Debbie szlochała i krzyczała „Mamusiumamusiu-Michelle”, i nagle się rozległo uderzenie siekierą. Nawet wtedy dobrze wiedziałam, co to za odgłos. Metal przeciął ze świstem powietrze, dobiegł mnie cichy trzask, plaśnięcie i gulgotanie. Debbie stęknęła, a potem jakby próbowała łapać ustami powietrze. Ben huknął na mamę: „Dlaczego mnie do tego zmusiłaś?”. I ani słowa z ust Michelle, co było bardzo dziwne, bo ona zawsze była z nas wszystkich najgłośniejsza i najbardziej gadatliwa. Potem

znowu wycie mamy: „Uciekaj! Uciekaj! Nie, nie! Huk wystrzału i moja mama nadal wyjąca, ale niezdolna już do wyartykułowania jakiegokolwiek słowa. Wydawała z siebie wysokie, ostre dźwięki i niczym ranny ptak odbijała się od ścian holu.

Ciężkie kroki i tupot małych stóp uciekającej Debbie. Biegła do pokoju mamy, a ja pomyślałam: Nie, nie, tylko nie tutaj; a potem ciężkie kroki znowu zadudniły, Debbie padła na podłogę, coś chrupnęło i ponownie to gulgotanie, gulgotanie, trzask, świst siekiery i straszne, piskliwe wycie mamy. Ja tymczasem stałam jak skamieniała i nasłuchiwałam, a potem raz jeszcze rozległ się huk strzelby i podłoga zatrzęsała się pod moimi stopami. Wskoczyłam do szafy - mały, ohydny tchórz - i zaczęłam się kołysać w przód i w tył. Idź sobie, idź sobie, idź sobie, powtarzałam w duchu. Trzask otwieranych gdzieś drzwi i znowu kroki, przejmujący wrzask i Ben gorączkowo szepczący coś do siebie.

Chwilę później płacz, dojmujący, niski płacz mężczyzny i głos Bena - wiedziałam, że należał do Bena - wykrzykujący: „Libby! Libby!

Otworzyłam okno, przepchnęłam się przez połamaną siatkę i spadłam na śnieg. Skarpety natychmiast nasiąkły wilgocią, włosy wplątały mi się w gałązki krzewów. Ale zaczęłam uciekać.

„Libbyyy!” Zerknęłam przez ramię na dom. Paliło się tylko pojedyncze światło, wszystko inne tonęło w ciemnościach.

Nie czułam już stóp, gdy dobrnęłam do stawu i przykucnęłam w szuwarach. Tak jak mama miałam na sobie wiele warstw ubrań, kalesony pod nocną koszulą, dwie pary skarpet, ale cała się trzęsłam, wiatr podwiewał mi koszulę i smagał po brzuchu.

Światło latarki frenetycznie przesunęło się nad trzciniami, potem po kępie rosnących nieopodal drzew, a potem po ziemi, całkiem blisko mnie. „Libby!”, ponownie głos Bena. Polował na mnie. „Zostań tam, gdzie jesteś, skarbie! Nigdzie nie odchodź!” Błysk latarki coraz bardziej się zbliżał, usłyszałam chrzęst butów na śniegu, płakałam w rękaw i byłam już niemal gotowa wstać, poddać się losowi, gdy snop światła zwrócił się w przeciwną stronę, a kroki zaczęły się oddalać. Zostałam sama, opuszczona, bym zamarzła na śmierć w zimowej ciemności. Światło w domu zgasło. Nie ruszyłam się z miejsca.

Kilka godzin później, o brzasku, gdy już byłam zbyt odrętwiała, żeby wstać, zaczęłam się czołgać w stronę domu. Wydawało mi się, że w miejscu stóp mam dwa rozpalone kawałki żelaza, dłonie zamarzły mi w szponiasty kształt. Drzwi stały otworem i wpełzłam do środka. Na podłodze, tuż za progiem kuchni, zobaczyłam smętne jezioro wymiocin, a w nich marchewkę i groszek. Wszystko poza tym było czerwone - rozbryzgi na ścianie, kałuże na dywanie, siekiera oparta o poręcz sofy. Mama leżała tuż przed pokojem córek. Miała

trójkątnie odstrzelony czubek głowy, uderzenia siekiery poprzecinały grube warstwy ubrań, z jednej dziury wзираła naga pierś. Pasma długich, rudych włosów, zmieszane z krwią i tkanką mózgową, przylepiły się do ściany. Tuż za mamą leżała Debbie z szeroko rozwartymi oczami i krwawą szramą na policzku. Jedno ramię miała niemal całkiem odrąbane od reszty ciała i rozpruty brzuch, co przypominało rozchylone, wykrzywione usta śpiącego dziecka. Zaczęłam nawoływać Michelle, chociaż wiedziałam, że też nie żyje. Pokuśtykałam do naszego pokoju i zobaczyłam ją zwiniętą na łóżku pośród lalek. Miała ciemne sińce na szyi, otwarte oko i wciąż jeden kapeć na nodze.

Na ścianach, wymalowane krwią, widniały pentagramy i ohydne wyrazy Przekleństwa. Słowo „szatan”. Wszystko wokół było połamane, porwane na strzępy, zniszczone. Słoiki z jedzeniem zostały roztrzaskane, płatki śniadaniowe porozsypywane po podłodze. Zabójstw dokonano w takim amoku i chaosie, że w ranie na piersiach mamy patologicy znaleźli dmuchany ryż. Jeden z butów Michelle wisiał na tandetnym wentylatorze pod sufitem.

Niezdarnymi podskokami dotarłam do kuchennego telefonu, postawiłam go na podłodze i wykręciłam numer cioci Diane, jedyny, jaki znałam na pamięć. Kiedy odebrała, wrzasnęłam: „Oni nie żyją!” tak przejmująco, że we własnych uszach poczułam ból. A potem wcisnęłam się w szparę pomiędzy lodówką a kuchenką i czekałam na ciocię.

W szpitalu podali mi narkozę i usunęli trzy odmrożone palce prawej stopy oraz pół serdecznego palca u ręki. Od tamtej pory czekam na własną śmierć.

*

Usiadłam gwałtownie w żółtym świetle lamp. Wydobyłam się ze wspomnień i powróciłam z domu śmierci do swojej obecnej sypialni. Będę żyła jeszcze przez długie lata, jestem zdrowa jak koń, muszę więc opracować plan. Mój typowy dla Dayów, przebiegły umysł zwrócił się, łaska boska, ku myśli o tym, jak najlepiej zadbać o własne interesy. Mała Libby właśnie odkryła dla siebie nową drogę w życiu. Można to uznać za objaw instynktu samozachowawczego lub bez ogródek nazwać po imieniu chciwością.

Owi „entuzjaści Dayów”, „tropiciele zagadek” zapłacą za więcej niż tylko stare listy. Czyż nie chcieli się dowiedzieć, gdzie obecnie jest Runner i czy znam jakichś dawnych znajomych Bena? Zabulą za informacje, których tylko ja mogę im dostarczyć. Te błazny, które znały na pamięć rozkład mojego rodzinnego domu i kolekcjonowały zdjęcia z miejsca zbrodni, mają różne teorie na temat tego, kto zamordował Dayów. Ale ponieważ są świrami, nikt z nimi nie będzie chciał gadać. Ja mogę zrobić to za nich. Policja spełni wszelkie prośby małej, nieszczęsnej Libby i zapewne tak samo postąpi wielu potencjalnych podejrzanych.

Byłabym nawet gotowa zamienić kilka słów ze swoim ojcem, jeżeli im na tym zależy, a ja zdołam go zlokalizować.

Co zapewne i tak do niczego nie doprowadzi. We własnym domu, w świetle lamp, znowu czułam się bezpieczna i powtórzyłam sobie w duchu po raz kolejny, że Ben jest winny (musi być, MUSI), bo inny wariant byłby dla mnie ciosem nie do przyjęcia. Po czymś takim nie mogłabym funkcjonować, a właśnie teraz musiałam ruszyć do działania. W myślach zaczęłam szybko kalkulować: powiedzmy pięćset dolców za rozmowę z gliniarzami; czterysta za rozmowę ze znajomymi Bena; tysiąc za wytropienie Runnera, dwa tysiące za pogawędkę z tatusiem. Nie ulega wątpliwości, że ci fanatycy sporządzili długą listę osób, których Sierotka Day zdołałaby nakłonić do zwierzeń. Mogłabym ciągnąć tę zabawę miesiącami.

W końcu zapadłam w sen, wciąż trzymając w ręku butelkę rumu i karmiąc się w myślach zapewnieniem, że to Ben Day jest mordercą.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 09:13

Ben sunął po lodzie, koła roweru ślizgały się na boki, W lecie ta piaszczysta dróżka nie stanowiła problemu, ale gdy się oblodziła, głupotą było nią jeździć. Jeszcze głupsze było to, co robił w tej chwili - pedałowal ile sił w nogach po ściętych mrozem wybojach i jednocześnie próbował zdrapać cholernego motylka, którego jedna z sióstr przykleiła do prędkościomierza. Dałby głowę, że to Debbie - bezmyślna, o cielęcym wzroku. Już słyszał, jak mówi: „Ale to śliczne!”. Pieprzony motylek od kilku tygodni migał mu przed oczami, wkurzał, ale nie na tyle, żeby Ben wcześniej coś z nim zrobił. Teraz już do połowy zdołał usunąć kolorową błyskotkę, gdy nagle wpadł na dużą nierówność przednie koło ostro skręciło w lewo, a siodełko wyjechało mu spod tyłka. Podrzuciło go w górę, jedną stopę wciąż wiewił rzemień pedału, więc Ben zwałił się na bok. Ramieniem przejechał po ostrym ściernisku ciągnącym się po obu stronach drogi, noga ugrzęzła gdzieś z tyłu. Silnie trzasnął głową o zamrznięty grunt, zęby zadzwoniły jakby były ze spiżu.

Zanim ponownie udało mu się złapać oddech - po dziesięciu sekundach walki z napływającymi do oczu łzami - poczuł ciepły strumyczek krwi spływający obok oka. Doskonale. Roztarł go palcami po boku policzka, wyczuł nową strużkę krwi wypływającą z rozcięcia na czole. Żałował, że nie przydzwonił mocniej w lód. Nigdy w życiu niczego sobie nie złamał, do czego przyznawał się niechętnie i tylko wtedy, gdy został solidnie przyparty do muru. „Naprawdę, chłopie? Jak udało ci się przez te wszystkie lata nie złamać żadnej kości? Mamusia owijała cię w folię z bąbelkami, czy co?”. Minionej wiosny włamał się z kilkoma koleśkami na miejski basen i stanął na trampolinie wystającej ponad suchą nieckę. Wbił wzrok w betonowe dno, zbierając się w sobie do skoku; chciał się roztrzaskać, zyskać sławę szalonego faceta. Zaczął podskakiwać na sprężynującej desce, pociągnął haust whisky, odbił się jeszcze kilka razy, po czym wrócił do koleśków, których ledwo znał i którzy obserwowali jego poczynania tylko jednym okiem, bez większego zainteresowania.

Złamanie byłoby najbardziej pożądane, ale rozbita głowa to też już coś. Krew płynęła równą strużką po policzku i z podbródka skapywała na lód, tworząc czyste w rysunku, okrągłe jezioro.

Anihilacja.

Nie wiadomo skąd przyszło mu do głowy to słowo - jego umysł był niczym kleista

maż, do której przywierały różne wyrazy, powiedzonka, fragmenty piosenek. Przed oczami ujrzał hordy barbarzyńskich wikingów wymachujących toporami. Przez ułamek sekundy przemknęło mu przez myśl, że w poprzednim wcieleniu był wojownikiem Północy i właśnie powrócił do niego strzęp wspomnień z wcześniejszej reinkarnacji - wcisnął się do jego pamięci jak okruch pyłu, niesiony wiatrem. Szybko jednak odrzucił od siebie ten pomysł. To bajdy. A on nie miał już dziesięciu lat.

Podniósł rower, znowu zaczął pedałowac. Czuł ból w prawym biodrze, przedramię paliło z powodu zadrapań. Niewykluczone, że będzie miał solidnego siniaka. Diondrze by się to spodobało. Przesunęłaby miękkim palcem po siniaku, obwiodła go dokoła raz czy dwa, a potem dźgnęła w sam środek, żeby Ben podskoczył do góry z bólu. Diondra uwielbiała dramatyczne reakcje - kiedy krzyczała, to na całe gardło, jak płakała, to zawodziła i zalewała się łzami, gdy się śmiała, to do rozpuku. Jeżeli coś ją dziwiło, rozwierała oczy na całą szerokość, a jej brwi podjeżdżały niemal do linii włosów. Lubiała wyskakiwać z nienacka zza drzwi i go straszyć, aby on potem udawał, że ją ściga po całym domu. Diondra, jego dziewczyna, której imię przywodziło na myśl księżniczkę lub striptizerkę, nie bardzo umiał zdecydować, którą bardziej. Pewnie dlatego, że Diondra miała w sobie coś z jednej i drugiej - była bogata, a zarazem wyuzdana.

Jakaś część się poluzowała w jego rowerze, grzechotała niczym gwóźdź wsadzony do metalowej puszki. Ten dźwięk dochodził z okolicy pedałów. Ben zatrzymał się na moment, by rzucić na nie okiem, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Zaczął przy nich majstrować. Jego ręce były zaczerwienione i pomarszczone z zimna, jak ręce starego człowieka i równic jak u starca bezużyteczne. Próbował wykryć usterkę, ale bez powodzenia. Był jeszcze mały, kiedy ojciec ich zostawił, więc nie zdążył się nauczyć od niego czegokolwiek praktycznego. Nigdy nie miał szans jak inni chłopcy reperować z ojcem motocykl, samochód czy traktor, nie oglądał wnętrza silnika przypominającego metalowe bebechy jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Na normalnych zwierzakach znał się całkiem nieźle, był też świetnie obeznany z bronią. W jego rodzinie wszyscy polowali, ale i w tej dziedzinie nie bardzo miał się czym pochwalić, skoro mama strzelała lepiej od niego.

Chciał być przydatnym mężczyzną, na którym można polegać w każdej sytuacji, ale nie wiedział, jak zostać kimś takim, i to go przerażało. Minionego lata ojciec wrócił na farmę, mieszkał z nimi przez parę miesięcy i Ben miał nadzieję, że ten facet wreszcie czegoś go nauczy, podejmie się ojcowskich obowiązków. Tymczasem Runner sam dokonywał wszelkich napraw i ani razu nie zaproponował synowi, żeby chociaż popatrzył, jak się coś robi. Wręcz przeciwnie. Dał Benowi wyraźnie do zrozumienia, że ma się trzymać od niego z

daleka. Ben wyczuwał, że ojciec uważa go za mięczaka: ilekroć mama wspominała, że coś wymaga reperacji, Runner mówił: „To robota dla mężczyzny”, po czym uśmiechał się wyzywająco do syna. W takiej sytuacji nie było co liczyć na to, że ojciec mu cokolwiek pokaże.

Na dodatek Ben był bez grosza. Poprawka - miał w kieszeni cztery dolary i trzydzieści centów, ale w tym tygodniu nie mógł liczyć na nic więcej. Pochodził z biednej rodziny, pozbawionej jakiegokolwiek zabezpieczenia finansowego. Ich konto w banku praktycznie świeciło pustkami. Pewnego razu Ben na własne oczy widział wyciąg z saldem w wysokości jednego dolara i dziesięciu centów, co oznaczało, że w owym czasie jego cała rodzina miała mniej na koncie niż on w tej chwili przy sobie. Mama nie radziła sobie z prowadzeniem farmy, pogrążała ją coraz bardziej. Odwoziła zbiory pszenicy do elewatora pożyczoną ciężarówką i dostawała marne grosze - mniej, niż kosztowała uprawa zboża - a każdy dolar, którego udało jej się uzyskać, i tak był już od dawna zadłużony. Wilki czyhają pod domem, zwykła mawiać, i kiedy Ben był mały wyobrażał sobie mamę wychylającą się przez kuchenne drzwi, rzucającą nowiutkie, zielone banknoty w stronę wygłodniałej watahy, która pożerała dolary, jakby były kawałkami mięsa. I zawsze pozostawała nienasycona.

Czy w pewnym momencie odbiorą im farmę? I czy ktoś wreszcie nie powinien tego zrobić? Dla całej rodziny byłoby najlepiej, gdyby się pozbyli tej ziemi, zaczęli wszystko od nowa, odcięli się od tego wielkiego, dogorywającego potwora. Sęk w tym, że farma była wcześniej własnością rodziców mamy, a mama należała do sentymentalnych. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, to było cholernie egoistyczne z jej strony. Ben przez cały tydzień harował popołudniami na farmie, a w weekendy biegał do szkoły i pracował jako zasrany woźny. (Szkoła i farma, farma i szkoła, tak wyglądało jego życie, zanim poznał Diondrę. Teraz poruszał się w obrębie przyjemniejszego trójkąta: szkoła, farma i olbrzymi dom Diondry na skraju miasteczka). W swoim rodzinnym domu doglądał bydła oraz usuwał gnój i mniej więcej to samo robił w szkole - sprzątał szatnię i pucował stołówkę, usuwał gnój po innych dzieciakach. A do tego musiał oddawać mamie połowę zarobków. „Podział rodzinnych obowiązków”. Doprawdy? A czy przypadkiem do obowiązków rodziców nie należała pełna opieka nad dziećmi? Może nie powinno się mnożyć jak króliki i płodzić dodatkową trójkę dzieci, skoro na dobrą sprawę nie miało się kasy na utrzymanie pierwszego?

Rower trzeszczał i grzechotał. Tylko czekać, aż się rozpadnie na kawałki i niczym w komediowej kreskówce Ben będzie w końcu jechał tylko na jednym kole i siodełku. Tak naprawdę wkurzało go, że musi wszędzie zasuwać na rowerze jak ostatni wieśniak, że nie może jeździć samochodem. „Nie ma żałośniejszego zjawiska od chłopaka tuż przed

szesnastką”, powiedział Trey, po czym kiwnął głową i dmuchnął Benowi dymem w nos. Powtarzał te słowa za każdym razem, gdy Ben przyjeżdżał do Diondry na rowerze. Trey ogólnie rzecz biorąc, był spoko, ale należał do facetów, którzy zawsze muszą przysrać innemu facetowi. Miał dziewiętnaście lat i długie czarne włosy, zmatowiałe jak dawno zastygła smoła. Był ciotecznym kuzynem Diondry, czy kimś równie idiotycznym, synem stryjecznego dziadka, a może przyjaciela rodziny. Albo Trey za każdym razem przedstawiał się inaczej, albo Ben nigdy uważnie go nie wysłuchał. Co jest wysoce prawdopodobne, bo w towarzystwie Treya zawsze mocno się spinał i stawał boleśnie świadomy własnego ciała. Dlaczego stoi z nogami rozstawionymi pod takim, a nie innym kątem? Co powinien właściwie zrobić z rękami? Położyć na biodrach czy wetknąć do kieszeni?

Tak czy inaczej zawsze się czuł nieswojo. I zazwyczaj stawał się obiektem żartów. Trey zawsze potrafił dostrzec wszelkie niedoskonałości w wyglądzie Bena i natychmiast informował o nich całe towarzystwo. „Fajne rybaczki”, to były pierwsze słowa, jakie Ben usłyszał od Treya. Miał na sobie dzinsy, które może rzeczywiście były o centymetr za krótkie. No powiedzmy o dwa. „Fajne rybaczki”. Diondra wyła za śmiechu. Ben odczekał, aż atmosfera opadnie i jeszcze przez następnych dziesięć minut siedział w milczeniu, ustawiając się pod takim kątem, żeby jak najmniej było widać skarpetki. Potem chyłkiem wycofał się do toalety, zapiął pasek na luźniejszą dziurkę i ściągnął spodnie na biodra. Kiedy wrócił do pokoju - muzycznego pokoju Diondry, z niebieskim dywanem i wielkimi pufo-fotelami wyrastającymi gęsto jak grzyby po deszczu - Trey odezwał się do niego po raz drugi w życiu. „Możesz sobie zapiąć pasek na wysokości fiuta, chłopie, ale i tak nikogo nie nabierzesz”.

Ben pedałował w pochmurnym chłodziu zimy, w powietrzu coraz gęściej fruwały płatki śniegu przypominające wyglądem kłębki kurzu. Nawet gdy skończy szesnaście lat, nie będzie jeździł samochodem. Mama miała cavaliera, którego kupiła na aukcji - jedna z wypożyczalni zorganizowała wyprzedaż. Nie mogli sobie pozwolić na drugie auto.

Usłyszał już, że będzie musiał się dzielić samochodem z mamą, a w takiej sytuacji już wolał w ogóle nie jeździć autem. Słabo mu się robiło na myśl, że podjechałby po Diondrę pojazdem, w którym pozostawiły po sobie smród setki obcych osób - pojazdem wyeksploatowanym do granic wytrzymałości, z zastarzałymi plamami po frytkach i spermie, a teraz na dodatek zagraconym podręcznikami i zeszytami jego małych siostr, szmacianymi lalkami i plastikowymi bransoletkami. To absolutnie wykluczone. Diondra mówiła, że będzie mógł prowadzić jej samochód (miała skończone siedemnaście lat, kolejny problem, bo czy to nie żenujące, że jest się dwie klasy niżej od swojej dziewczyny?). Taka wizja o wiele bardziej mu odpowiadała - ich dwoje w jej czerwonej hondzie CRX o bajeranckim spojlerze,

wypełnionej dymem aromatycznych, mentolowych papierosów i hukiem muzyki Sleyerów.

O tak, to o wiele lepsza perspektywa.

Wyniosą się z tego gównianego miasteczka i pojadą do Wichita, gdzie wujek Diondry ma sklep z artykułami sportowymi, więc istnieje duża szansa, że Ben znajdzie tam zatrudnienie. Swego czasu próbował się dostać do szkolnych drużyn - zarówno koszykarskiej, jak i futbolowej - ale został wycięty na wstępnym etapie rekrutacji i to dość kategorycznie (nie pokazuj się więcej, synu), stąd uważał, że byłaby to swoista ironia losu, gdyby całe dni spędzał w wielkim salonie pełnym piłek wszelkiego autoramentu. Z drugiej strony, przy sporej ilości sprzętu pod ręką, miałby okazję do podjęcia ćwiczeń i dojścia do takiej formy, że może by się załapał do jakiejś drużyny z prowincjonalnej ligi. To niewątpliwie należało zapisać po stronie plusów jego planu na nowe życie.

Oczywiście największym plusem była Diondra. Ona i Ben w ich własnym mieszkaniu w Wichita, zajadający zestawy McDonalda przed telewizorem, kochający się do utraty tchu, wypalający przez jedną noc parę paczek papierosów. Ben palił tylko w towarzystwie Diondry, która była prawdziwym nałogowcem. Kopciła tak dużo, że pachniała tytoniem nawet po kąpieli; wydawało się, że gdyby przeciąć jej skórę, zacząłby się wydzielać mentolowy dym. Ben z czasem polubił ten zapach, zaczął go kojarzyć ze szczęściem i spokojem. Aromat papierosowego dymu był dla niego zapachem prawdziwego domu, tak jak dla innych aromat świeżo pieczonego chleba.

A oto ich przyszłe życie. Ben i Diondra ze swoimi spiralnymi lokami sztywnymi od żelu (to kolejny zapach nierozzerwalnie związany z jego dziewczyną: ostry, winogronowy, wydzielany przez jej włosy), siedzą na sofie i oglądają telenowele z całego dnia, nagrane na wideo. Śledzą dramatyczną akcję: damy w eleganckich strojach, o wypchanych poduszkami ramionach, popijają szampana i łyskają brylantową biżuterią, a w antraktach zdradzają mężów, lub są przez nich zdradzane, albo spotykają ludzi cierpiących na amnezję, którzy też kiedyś kogoś zdradzili. Ben wraca do domu z rękami przesiąkniętymi zapachem skóry baseballowych rękawic, Diondra stawia przed nim jedzenie z McDonalda lub Taco Bell, potem naśmiewają się z obwieszonych klejnotami kobiet paradyjących na ekranie telewizora, a Diondra wylawia bystrym okiem te, które mają najładniejsze paznokcie, bo sama jest stuknięta na punkcie własnych paznokci i bardzo się nimi zachwyca. Zacznie nalegać, żeby jemu też pomalować paznokcie i wysmarować usta szminką, ponieważ uwielbia go „upiększać”, jak to nazywa. W końcu rozpoczną wojnę na łaskotki, i Diondra będzie tak głośno wyc ze śmiechu, że sąsiedzi zaczną walić pięściami w ścianę.

W tym sielskim obrazku brakowało jednak pewnego elementu. Ben z rozmysłem

pominał jeden przerażający detal, wymazał niektóre aspekty rzeczywistości. To nie wróżyło najlepiej. Świadczyło, że oddaje się czystym fantazjom. Tak naprawdę był głupim dzieciakiem, który nie mógł liczyć nawet na coś równie nieznaczącego jak małe mieszkanie w Wichita. Nawet taki drobiazg pozostawał nieosiągalny. Ben poczuł, że ogarnia go furia. Jego życie było jednym wielkim pasmem wyrzeczeń. I wypierania.

Anihilacja.

Znowu ujrzał topory, strzelby, strzępy ciał na pobojowisku. Usłyszał wrzaski przechodzące w jęki i ptasie popiskiwanie. Żałował, że bardziej nie krwawi.

Libby Day

Współcześnie

W dzieciństwie przez pięć miesięcy mieszkałam z daleką kuzynką Runnera w Holcomb, w Kansas, żeby ciotka Diane mogła zregenerować siły po wyjątkowo burzliwym dwunastym roku mojego życia. Niewiele pamiętam z tych pięciu miesięcy poza tym, że pojechaliśmy na wycieczkę szkolną do Dodge City, gdzie mieliśmy się bliżej zapoznać z biografią Wyatta Earpa. Sądziłyśmy, że będziemy oglądać strzelby, kołty, bizony i dziwki z saloonów. W zamian snuliśmy się po niewielkich salkach i patrzyliśmy na archiwalne szpargały, w tumanach kurzu i przy akompaniamencie znudzonych jęków. Earp nie zrobił na mnie wrażenia, za to zachwyciłam się złoczyńcami z epoki Dzikiego Zachodu, ich obwisłymi wąsami, niedbałym strojem i oczami błyszczącymi niczym nowiutkie dziesięciocentówki. Każdy człowiek wyjęty spod prawa był zawsze opisywany jako „oszust oraz złodziej”. I wtedy, w jednej z tych zatechłych salek, gdy zasuszony urzędnik rozwodził się na temat zalet archiwistyki, poczułam, że wreszcie spotkałam bratnie dusze. Pomyślałam: Oto ja w całej krasie.

Bo tak naprawdę jestem oszustką i złodziejką. Nie wpuszczajcie mnie do swojego domu, a jeżeli już popełnicie ten błąd, nie spuszczajcie mnie ani na chwilę z oka, ponieważ mam zwyczaj przywłaszczania sobie cudzych rzeczy. Jeżeli przyłapiecie mnie ze sznurem waszych pięknych pereł w moich chciwych, lepkich łapkach, powiem, że przypominają mi o perłach matki, dlatego musiałam ich dotknąć, choć przez moment, bardzo przepraszam, zupełnie nie wiem, co mnie napadło.

Tak naprawdę moja matka nie miała żadnej biżuterii, która nie barwiłaby jej skóry na zielono, ale wy o tym nie będziecie wiedzieć. A gdy tylko odwrócicie wzrok, i tak buchnę wasze perły.

Kradnę praktycznie wszystko: bieliznę, pierścionki, kompakty, książki, buty, iPody, zegarki. Kiedy idę na imprezę do czyjegoś domu - co prawda nie mam przyjaciół, ale zawsze znajdują się ludzie gotowi mnie gdzieś zaprosić - wyjdę z kilkoma bluzkami pod swetrem, zbiorem ładnych szminek w kieszeni i taką ilością gotówki, jaką znajdę w paru torebkach. Czasami, gdy towarzystwo jest wystarczająco naprute, wychodzę nawet z całą torebką. Po prostu zarzucam ją na ramię i znikam. Zabieram leki na receptę, perfumy, guziki, pióra. Żywność. Obecnie mam w swoich zbiorach manierkę, którą czyjś dziadek przywiózł z drugiej

wojny światowej, a także honorową odznakę Phi Beta Kappa, którą uhonorowano czyjegoś wuja. Pewien cynowy, zabytkowy kubek jest u mnie od tak dawna, że nawet nie pamiętam już, że go ukradłam. Udaję sama przed sobą, że od zawsze należał do mojej rodziny.

To, co rzeczywiście było własnością Dayów, znajdowało się w stojących pod moimi schodami kartonowych pudłach, do których nie miałam ochoty zaglądać. Zdecydowanie wolę przedmioty należące do innych ludzi, opowiadające cudze historie.

Jednym z nielicznych przedmiotów w moim domu, którego nie ukradłam, jest książka będąca dokumentalnym zapisem zbrodni, zatytułowana *Diabelskie żniwo - rytualny mord satanistyczny w Kinnakee, w stanie Kansas*. Została opublikowana w 1986 roku przez niejaką Barb Eichel, była dziennikarkę. I to właściwie wszystko, co wiem na temat tej książki. Przynajmniej trzech moich niby-chłopaków przyniosło mi jej egzemplarz w prezencie. Wręczali mi go z poważnymi, mądrymi minami i natychmiast dostawali kopa w dupę. Jeżeli mówię, że nie chcę poznać treści tej książki, to znaczy, że nie chcę. Kropka. Ale pewne rzeczy nie trafiają do facetów. Weźmy na przykład moją niezłomną zasadę sypiania przy zapalonym świetle. Mówię koleśiom, z którymi idę do łóżka, że nigdy nie gaszę w nocy lamp, a oni zawsze odpowiadają coś w rodzaju: „Ja będę czuwał nad tobą, maleńka”, po czym wyłączają światło. Jakby w ogóle nie słyszeli, co do nich mówię. Niektórzy nawet się dziwią, że ja NAPRAWDĘ sypiam przy włączonym świetle.

Wyciągnęłam egzemplarz *Diabelskiego żniwa* z krzywej sterty stojącej w rogu. Trzymam tę książkę z tego samego powodu, co pudła ze szpargałami po mojej rodzinie - bo może pewnego dnia będę miała ochotę tam zajrzeć, a jeżeli nawet nie, to po prostu nie chcę, żeby przeszły w ręce kogoś innego.

Pierwsze słowa książki brzmiały następująco:

Kinnakee leży w sercu Ameryki i jest spokojnym, farmerskim miasteczkiem, gdzie wszyscy znają się nawzajem, wspólnie modlą w kościele i razem dożywają starości. Ale nawet do tak scementowanych społeczności przenika zło zewnętrznego świata. We wczesnych godzinach porannych 3 stycznia 1985 roku owo zło zmanifestowało swoje istnienie i zebrało przerażająco krwawe żniwo - w bestialski sposób pozbawiło życia trzech członków rodziny Dayów. Historia przedstawiona w tej książce jest nie tylko kroniką morderstwa, ale także opisem krwawych rytuałów, świadectwem rozprzestrzeniania się kultu diabła, satanizmu, na wszystkie zakątki Ameryki - nawet te najbardziej sielskie i pozornie najbezpieczniejsze.

Natychmiast wróciły do mnie odgłosy tamtej nocy: groźne, męskie pohukiwania i chrapliwie wycie. Paniczne wrzaski mamy. Mroczny Zakątek. Zerknęłam na zdjęcie Barb Eichel, zamieszczone na obwolucie. Miała na nim krótkie, strzępiaste włosy, wiszące kolczyki i posepny uśmiech. Z notki biograficznej wynikało, że mieszka w Topece, w stanie Kansas, ale to były dane sprzed dwudziestu lat.

Powinłam zadzwonić do Lyle'a ze swoją propozycją „kasa za informacje”, ale nie byłam gotowa na kolejny wykład o mordzie popełnionym na mojej rodzinie („Rany boskie! Ty rzeczywiście wierzysz, że Ben to zrobił!”). Musiałam się uzbroić w odpowiednie argumenty, które pozwoliłyby mi podjąć rzeczową dyskusję, żebym nie siedziała z zamkniętą gębą, jak kompletna ignorantka. Którą, nawiasem mówiąc, byłam.

Położyłam się na łóżku, oparłam na dwóch poduszkach i zaczęłam kartkować książkę, podczas gdy Buck patrzył na mnie czujnymi, kocimi oczami, pilnując, czy przypadkiem nie ruszy w stronę kuchni. Barb Eichel opisała Bena jako „odzianego w czerń samotnika, nie popularnego wśród rówieśników, przepełnionego gniewem”, dodała jeszcze, że „był ogarnięty obsesją na punkcie najbrutalniejszej formy heavy metalu - zwanej czarnym metalem - odwołującej się w ledwo zawołowanej formie do samego szatana”. Naturalnie wertowałam kartki tak długo, póki nie znalazłam wzmianki na mój temat: „anielska buzia, ale silna psychika”, „przepełniona smutkiem, lecz zdeterminowana, z „aurą niezależności, którą trudno znaleźć u dzieci dwa razy od niej starszych”. Nasza rodzina w opisie autorki była „szczęśliwa i kipiąca energią, spoglądająca w lepszą przyszłość w krainie słynącej z, czystego powietrza i zdrowych zasad moralnych”. U-hm. No cóż, tak czy inaczej, ta książka dokładnie opisywała wydarzenia i jednoznacznie wskazywała winnego, a po wypowiedziach tych wszystkich członków Klubu Zbrodni, którzy twierdzili, że jestem idiotką, czułam potrzebę rozmowy z osobą niezachwianie wierzącą w winę Bena. Gdy przerzucę tę książkę, zyskam amunicję przeciwko Lyle'owi. Oczami wyobraźni już widziałam, jak wyluszczam swoje racje, odliczając je na palcach: ten, tamten i ów fakt dowodzą niezbicie, dupku, że członkowie twojego klubu są w błędzie - a Lyle rozdziawia gębę i uświadamia sobie, że to jednak ja od początku miałam rację.

Ale naturalnie nadal chętnie wezmę od niego kasę, jeżeli będzie gotów płacić.

Niepewna, od czego zacząć, zadzwoniłam do Biura Numerów w Topece i - jakże wspaniale bingo - z miejsca zdobyłam numer Barb. Na szczęście wciąż tam mieszkała i nie zastrzegła numeru. Poszło gładko jak po maśle.

Odebrała po drugim dzwonku, radosnym, wysokim głosem, ale gdy tylko dowiedziała się, kim jestem, natychmiast zmieniła tonację.

- Och, Libby. Od dawna się zastanawiałam, czy kiedyś nawiązesz ze mną kontakt - oznajmiła po tym, jak wydała z siebie dźwięk, który brzmiał mniej więcej: eeehhhhhhh. - Lub czy może to ja powinnam ciebie poszukać. Doprawdy, nie umiałam zdecydować, nie umiałam...

Wyobraziłam sobie, jak bezradnie rozgląda się po pokoju i spłoszona skubie palce. Zapewne należała do tych kobiet, które przez dwadzieścia minut studiują menu, a gdy przychodzi kelner, i tak popadają w panikę.

- Dzwonię, ponieważ chciałabym porozmawiać na temat... Bena - zagaiłam niepewnie, bo nie wiedziałam, jakich właściwie powinnam użyć słów.

- Tak, domyślam się... Przez te wszystkie lata wysłałam do niego kilka listów z prośbą o przebaczenie, Libby. Już sama nie wiem, jak mam przeproszać za tę przekłątą, przekłątą książkę.

Ups. A to dopiero niespodzianka.

*

Barb Eichel zaprosiła mnie na lunch. Chciała wszystko wytłumaczyć w cztery oczy. Sama już nie siadała za kierownicą (w tym momencie wyczułam pismo nosem - leki, ta kobieta miała w sobie coś z twardej szklistości osoby, która łyka zbyt wiele pigułek), więc jeżeli zechciałabym do niej przyjechać, będzie bardzo wdzięczna. Na szczęście Topeka leży niedaleko Kansas City. Nie żebym tak bardzo paliła się do drogi - dostatecznie napatrzyłam się na Topekę w czasach, gdy dorastałam. Była tam wysoce wyspecjalizowana klinika psychiatryczna, poważnie, przy zjeździe z autostrady widniał nawet szyld, który głosił mniej więcej coś w ten deseń: Witamy w Topece, stolicy świata psychiatrii! W mieście było pełno lekarzy od czubków i terapeutów wszelkiej maści, dlatego wożono mnie tam regularnie - choć na szczęście dość rzadko - na ekskluzywne sesje dla szczególnych pacjentów. Hip hip hura, na moją cześć. Podczas owych sesji omawialiśmy nocne koszmary, ataki paniki i gniewu. Kiedy podrosłam i stałam się nastolatką, dyskutowaliśmy o moich napadach fizycznej agresji. Tak czy inaczej, jeżeli o mnie chodzi, całe to miasto, stolica stanu Kansas, śmierdzi wzywami psychiatryka, pianą toczoną z ust przez szaleńców.

Przed spotkaniem z Barb przeczytałam jej książkę, zebrałam fakty, sformułowałam pytania. Ale pewność siebie zaczęła mnie opuszczać mniej więcej po trzech godzinach jazdy, ponieważ cała podróż powinna zająć mi góra godzinę. Zbyt wiele razy wybrałam zły zjazd, zbyt często skręciłam w niewłaściwe przecznice. Zaczęłam się przeklinać w duchu za brak Internetu w domu, bo gdybym go miała, mogłabym wdrukować trasę w pamięć telefonu. Nie miałam ani Internetu, ani kablówki. Nie najlepiej sobie radzę z codziennymi, rutynowymi

czynnościami - regularnymi wizytami u fryzjera lub dentysty, z wymianą oleju w samochodzie. Kiedy się wprowadziłam do mojego obecnego bungalowu, przez trzy miesiące siedziałam owinięta kocami, bo nie wiedziałam, co zrobić, żeby włączyli mi gaz. W przeciągu kilku minionych lat odcinano mnie od gazu trzykrotnie, ponieważ czasami nie mogę się zmusić do wypisania czeku. Mam problemy z utrzymaniem wszystkiego na chodzie.

Dom Barb - kiedy wreszcie do niego dotarłam - okazał się nudną, w założeniu swojską kostką stiuku pomalowanego na bladezielony kolor. Kojący. Na ganku wisiało mnóstwo powietrznych dzwoneczków. Gospodyni otworzyła drzwi i nerwowo się cofnęła, jakbym ją bardzo zaskoczyła swoją obecnością. Wciąż miała tę samą fryzurę co na zdjęciu w książce, tyle że teraz była to spiczasta mierzwa siwizny, i nosiła okulary na koralikowym łańcuszku, jaki starsze kobiety określają mianem „funkowy”. Była po pięćdziesiątce, a jej ciemne, niespokojne oczy zdawały się wybałuszzone na tle chudej, kościstej twarzy.

- Oooooo, witaj, Libby! - sapnęła i natychmiast chwyciła mnie w objęcia, wbijając którąś ze swoich kości w moją lewą pierś. Wydzielała zapach wełny i paczuli. - Wchodź, wchodź, proszę.

Mały, kudłaty piesek podbiegł do mnie, stukając pazurkami o terakotę podłogi i zaczął radośnie ujadać. Gdzieś w głębi kurant zegara wydzwonił pełną godzinę.

- Och, mam nadzieję, że nie przeszkadzają ci psy, mój jest doprawdy słodki - zapewniła, przyglądając się, jak zwierzak mnie obskakuje. Ja tymczasem nienawidzę psów, nawet małych i najśłodszych. Uniosłam więc ręce w górę, demonstracyjnie unikając wszelkiego kontaktu. - No, już, Weenie, pozwól naszemu gościowi przejść dalej.

Słyszając, jak się wabi ten pies, jeszcze bardziej go znieubiłam.

Zostałam usadzona w salonie, który wydawał się cały wywatowany: fotele, sofa, poduchy kotary, wszystko było pulchne i okrągłe, przeładowane nieskończonymi warstwami materiału. Barb przez chwilę dreptała tam i z powrotem, wołała do mnie przez ramię, zamiast jak normalny człowiek przystanąć na chwilę w miejscu. Dwa razy zapytała, czego się napiję. Nie miałam wątpliwości, że spróbuje mnie uraczyć herbatką z czarnego bzu lub eliksirem z jaśminu czy też innym ziemiście śmierdzącym naparem, podanym w glinianym kubku, poprosiłam więc o wodę. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu butelek z alkoholem, ale nie ujrzałam ani jednej w zasięgu wzroku. Byłam natomiast pewna, że ta kobieta nałykała się dzisiaj pigulek. Wszystko od niej zdawało się gładko odbijać - ding, dong: - jakby była pokryta szelakiem.

Przyniosła na tace małe kanapki. W mojej szklance znajdował się głównie lód. Wypiłam całą zawartość wody dwoma łykami.

- A więc, Libby, jak się miewa Ben? - zapytała Barb, kiedy już wreszcie usiadła w miejscu. Trzymała jednak tacę blisko siebie. Doskonały pretekst do nagłego wycofania się z pokoju.

- Nie mam pojęcia, nie utrzymuję z nim kontaktu.

Najwyraźniej wcale mnie nie słuchała, była dostrojona do jakiejś własnej wewnętrznej stacji radiowej. Chyba właśnie leciał lekki jazz.

- Naturalnie, Libby, odczuwam głębokie poczucie winy z powodu mojego udziału w tej sprawie, mimo że książka ukazała się już po rozprawie i nie miała żadnego wpływu na werdykt ławy - wyrzuciła z siebie nerwowo. - Niemniej, byłam jedną z tych, którzy zbyt pochopnie osądzili wydarzenia. To wynikało z atmosfery tamtych czasów. Byliśmy tacy młodzi, wiem, że nie pamiętasz dobrze lat osiemdziesiątych, Libby, ale wówczas zapanowała Satanistyczna Panika.

- Czyli?

Ciekawiło mnie, ile razy w czasie rozmowy wymieni moje imię. Ewidentnie była jedną z tych, które nie umiały się powstrzymać.

- Psychiatrizy, policja, wymiar sprawiedliwości, wszyscy wówczas na każdym kroku tropili wyznawców diabła. To było... trendy - Nachyliła się w moją stronę, miętosząc dłonie, kołysząc kolczykami.

- Ludzie naprawdę wierzyli, że kraj oplata satanistyczna sieć, panowało takie powszechne przekonanie. Nastolatek zaczyna się dziwnie zachowywać - jest czcicielem diabła. Przedszkolak wraca do domu z małym siniakiem lub wygłasza jakiś komentarz na temat własnych intymnych części ciała - jego nauczycielka jest satanistką. Pamiętasz może proces McMartinów, tych, którzy prowadzili przedszkole? Ci biedni ludzie cierpieli przez lata, zanim ich uwolniono od wszelkich zarzutów. Satanistyczna Panika. To była modelowa historia. Dałam się ponieść fali, Libby. Zadawaliśmy zbyt mało pytań, nie wykazaliśmy się należyty krytycyzmem.

Pies zaczął węszyć wokół mnie i zeszywniałam, miałam nadzieję, że Barb go do siebie przywoła. Ona jednak niczego nie zauważyła, wbijała wzrok w witrażowy słonecznik wiszący na oknie nad moją głową, rzucający na pokój złociste błyski.

- No i książka chwyciła - podjęła Barb. - Teraz jednak przyznaję - a dojście do tego wniosku zajęło mi dobrych dziesięć lat, Libby - że beztrzesko pominęłam materiał dowodowy, który przeczył teorii o związkach Bena z satanizmem. Zignorowałam oczywiste sygnały ostrzegawcze.

- Na przykład?

- Hm... na przykład fakt, że bez wątpienia wyuczono cię na pamięć tego, co masz mówić na rozprawie, że w żadnym razie nie byłaś wiarygodnym świadkiem, że ten szaman mieniący się terapeutą, który się tobą zajął, by cię „odblokować”, ewidentnie nawkładał ci do głowy obrazy, których nigdy nie widziałaś.

- Doktor Booner?

Doskonale pamiętałam doktora Boonera. Nosił się jak hippis, miał bokobrody, wielki nos i małe oczka - wyglądem przypominał przyjaznego zwierzaka z bajek dla dzieci. Oprócz ciotki Diane był jedyną osobą, którą tamtego roku darzyłam sympatią i tylko z nim rozmawiałam o Tamtej Nocy, ponieważ Diane nie wyrażała na to ochoty. Doktor Booner.

- Konował - skwitowała Barb i zachichotała.

Już miałam zaprotestować, przyjąc defensywną postawę - ostatecznie ta kobieta prosto w oczy nazwała mnie kłamczuchą, co w zasadzie było prawdą, jednak nadal mnie wpieniało - ale nie zdążyłam, bo na nowo podjęła wątek.

- A alibi twojego ojca? Ta jego niby dziewczyna? To się nie trzymało kupy. Tak naprawdę facet nie miał żadnego alibi, a do tego wszystkim naokoło był winien kupę pieniędzy.

- Moja mama ich nie miała.

- Miała więcej od niego, wierz mi.

W to akurat uwierzyłam bez trudu. Drogi tatuś wysłał mnie pewnego razu do sąsiadów, gdzie miałam wzbudzić litość i załapać się na darmowy lunch, a dodatkowo przykazał, żebym zanurkowała pod sąsiedzką sofę, poszukała tam drobnych i dostarczyła mu je do rąk własnych.

- Poza tym na miejscu zbrodni odkryto krwawe ślady męskich półbutów i nigdy nie wyjaśniono, skąd się tam wzięły. Nie wspominając już o fakcie, że to miejsce nigdy nie zostało profesjonalnie zabezpieczone, o czym też nie napisałam w książce. Przez cały dzień kręcili się tam rozmaici ludzie. Twoja ciotka wyniosła całą szafę ubrań i innych twoich rzeczy. Złamano wszystkie policyjne procedury. Ale każdy miał to gdzieś. Ludziom kompletnie odbiło, zaczynała się szerzyć panika. A policjanci mieli pod ręką nastoletniego chłopca, którego nikt w miasteczku nie darzył sympatią, który nie miał grosza przy duszy i nie umiał zadbać o własne interesy, za to przypadkiem lubił heavy metal. To żenujące. Chciałam powiedzieć tragiczne - sprostowała szybko. - Straszne.

- Czy Ben ma szansę wyjść na wolność? - spytałam i poczułam, jak żołądek przewraca mi się na drugą stronę. Fakt, że kobieta, która kiedyś była święcie przekonana o winie mojego brata, diametralnie zmieniła zdanie, przyprawił mnie o mdłości. A zrobiło mi się

zdecydowanie gorzej, gdy sobie uświadomiłam, że jeszcze jedna osoba praktycznie oskarża mnie o krzywoprzysięstwo.

- Zapewne robisz wszystko, co w twojej mocy, prawda? W moim przekonaniu po tak wielu latach nie sposób już odwrócić werdykt, termin apelacji *per se* upłynął. Ben musiałby się powołać na *habeas corpus*, co oznacza, że potrzebny byłby wam nowy, przekonujący dowód, jak na przykład wyniki badań DNA. Tylko w ten sposób można by puścić machinę w ruch. Niestety, ofiary zostały skremowane...

- Tak, no cóż, dzięki - przerwałam jej w pół słowa. Chciałam już jechać do domu. Teraz. Natychmiast.

- Co prawda, jak wspominałam, książka wyszła dopiero po procesie, niemniej nie jestem w tej sprawie bez winy. Wiem, że ciąży na mnie określona odpowiedzialność. Więc jeżeli w jakikolwiek sposób mogłabym ci pomóc, nie wahaj się do mnie zwrócić, Libby.

- Czy złożyłaś jakieś formalne deklaracje? Poinformowałaś policję, że według ciebie Ben jest niewinny?

- Prawdę mówiąc nie. Ale zdecydowana większość ludzi już dawno temu doszła do wniosku, że Ben nie popełnił tej zbrodni - oznajmiła Barb, a w jej głosie pojawiła się niepokojąco wysoka nuta. - Zakładam jednak, że ty oficjalnie odwołałaś swoje ówczesne zeznania? To z pewnością bardzo pomoże Benowi.

Czekała, aż powiem coś więcej, wyjaśnię, dlaczego właściwie do niej przyjechałam. Oświadczę, że jasne, jestem pewna niewinności Bena i zrobię wszystko, żeby naprawić wyrządzoną mu krzywdę. Patrzyła na mnie czujnie, jadła lunch, żuła każdy kęs z nadzwyczajną starannością. Podniosłam swoją kanapkę - ogórek na humusie - i natychmiast odłożyłam z powrotem, pozostawiając odcisk palca w rozmokłym chlebie. Wokół ścian stały regały na książki, na których jednak znajdowały się tylko samopomocowe poradniki. „Kobieto, do dzieła”, „Koniec z zadawaniem sobie pokuty”, „Podnieś się z kolan, stań z wysoko uniesionym czołem”, „Bądź najlepszym przyjacielem samego siebie”, „Naprzód, po lepsze życie”. I tak dalej, i tak dalej, niekończący się ciąg entuzjastycznych, mobilizujących tytułów. Apteczka ziołowa, pozytywne myślenie, wybaczenie, akceptacja błędów. Zobaczyłam nawet podręcznik podający sposoby walki z niepunktualnością. Nie wierzę ludziom, którzy się zdają na samopomocowe poradniki. Kilka lat temu opuściłam bar w towarzystwie przyjaciela znajomych, miłego, przystojnego, krótko ostrzyżonego, normalnego faceta, który mieszkał nieopodal. Po seksie, po tym jak już zasnął, zaczęłam myszkować po jego pokoju i zauważyłam, że blat biurka pokrywa mnóstwo samoprzylepnych karteczek.

„Nie przejmuj się drobiazgami”.

„Gdybyśmy tylko przestali poszukiwać szczęścia, odkrylibyśmy, że nasze życie jest piękne”.

„Ciesz się chwilą - nikt nie odchodzi żywy z tego świata”.

Dla mnie owo świadectwo gorączkowego poszukiwania optymistycznej strony egzystencji było bardziej przerażające, niż gdybym znalazła ludzkie czaszki, na których wciąż jeszcze widnieją resztki włosów. W popłochu wybiegłam z domu tego faceta, wetknąwszy wcześniej bieliznę do rękawa kurtki.

Nie zabawiłam już długo u Barb. Wyszłam z obietnicą, że wkrótce zadzwonię i niebieskim przyciskiem do papieru w kształcie serca, który zwinęłam z bocznego stolika.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 09:42

Na umywalce widniały fioletowe zacieki, pozostałość po farbie do włosów Bena. A więc gdzieś w środku nocy zamknął się w łazience, usiadł na zamkniętym klozecie i przeczytał instrukcję użycia wydrukowaną na opakowaniu, które znalazła w śmietniku. Na kartonie widniało zdjęcie kobiety o jasnoróżowych ustach i kruczoczarnych włosach, obciętych na pazia. Patty się zastanawiała, czy Ben ukradł tę farbę. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić syna - swojego wstydliwego chłopca - stawiającego zestaw do farbowania włosów na ladzie kasy. Zapewne go zwędził. A potem, w środku nocy, samodzielnie wszystko połączył, zmieszał i wtarł w głowę. Siedział z tym koktajlem chemikaliów rozprowadzonym po rudych włosach, i czekał.

Ta wizja przepelniła ją szczerym smutkiem - w domu pełnym kobiet jej synek głęboką nocą własnoręcznie pofarbował sobie włosy. Oczywiście, głupotą byłoby oczekiwać, że poprosi o pomoc w tej sprawie, ale dokonanie takiego czynu bez przyjaznej duszy u boku świadczyło o wielkim osamotnieniu. Dwadzieścia lat temu, w tej samej łazience, starsza siostra Patty, Diane, przekłuła jej uszy. Patty podgrzała w płomieniu taniej zapalniczki wielką agrafkę, a Diane przekroiła ziemniaka i przyłożyła jedną połówkę mokrą, płaską stroną do tyłu ucha Patty. Zmroziły ucho kostką lodu, a potem Diane - siedź spokojnie, nie ruszaj się! - wbiła ostrze agrafki w gumowaty skrawek ciała. Po co im był ten kartofel? Żeby lepiej wycelować, czy coś w tym rodzaju. Patty scykorowała po pierwszym uchu, opadła na brzeg wanny, agrafka wciąż tkwiła w jej ciele. Diane, skoncentrowana i bezkompromisowa, ubrana w olbrzymi, wełniany szlafrok, natarła na siostrę z drugą rozgrzaną agrafką.

- Sekunda i będzie po krzyku. Nie możesz chodzić tylko z jednym przekłutym uchem, Patty.

Diane, kobieta czynu. Pracy nie należy odkładać na później, nie wolno wymawiać się fatalną pogodą, ulegać lenistwu, bólowi w przebitym uchu czy panice młodszej siostry.

Patty pokręciła małymi, złotymi kolczykami na sztyfcie. Lewy nie tkwił w samym środku płatka, bo w ostatniej chwili szarpnęła głową. Niemniej teraz mogła nosić kolczyki, świadectwo entuzjastycznej brawury nastolatki i siostrzanej sztamy, bo zrobiły to wspólnie, Diane była obok niej, tak jak wtedy gdy około sześćdziesiątego piątego roku Patty po raz pierwszy pociągnęła pomadką usta i przymocowała do majtek pierwszą podpaszkę.

Wlała wybielacz do umywalki i zaczęła szorować. Spływająca woda nabrała atramentowozielonej barwy. Diane wkrótce się zjawi. Zawsze wpadała w połowie tygodnia, jeżeli akurat zdarzyło się jej „być na mieście”. Tak właśnie mawiała, jakby pokonanie stu kilometrów dzielących jej dom od farmy było równie bezproblemowe co wypad do pobliskiego sklepiku po codzienne zakupy. Diane obróci w żart całą tę historię z Benem. Gdy Patty się zamartwiała o postępy córek w nauce, opinie nauczycieli, o Bena, swoje małżeństwo, przyszłość dzieci i farmę (po osiemdziesiątym roku farma zawsze, zawsze była największym zmartwieniem), tęskniła do towarzystwa Diane, jak alkoholik tęskni do drinka. Diane siadała na leżaku w garażu, paliła papierosa za papierosem i mówiła siostrze, że chyba upadła na głowę, że czas najwyższy, aby się rozpogodziła. Troski dopadną cię same, nie trzeba się o nie prosić. Dla Diane zmartwienia były niczym fizyczne byty, stwory podobne do pijawek, z haczykowatymi ssawkami w miejscu palców, podstępni złoczyńcy, których należało natychmiast pokonać. Diane nigdy się nie martwiła, to była domena słabych kobiet.

Problem w tym, że Patty nie umiała już wzbudzić w sobie radości. W ostatnim roku Ben bardzo się od niej oddalił, zmienił w spiętego, dziwnego dzieciaka, który zamykał się w pokoju, tupał w takt muzyki tak głośnej, że trzęsły się od niej ściany, przepełnionej niskimi, trzewiowymi wrzaskami. Zza drzwi było dobrze słycać teksty, które budziły przerażenie. Z początku Patty ich nie słuchała, wystarczyło, że sama muzyka była odrażająca i frenetyczna, ale pewnego dnia przyjechała z miasta wcześniej, niż planowała, Ben sądził, że nikogo nie ma w domu, ona tymczasem stanęła cicho pod jego pokojem i oto co usłyszała:

Już nie istnieję

Już nic nie muszę

Diabeł porwał mą duszę

Jestem synem szatana.

Płyta przeskoczyła i powtórnie zabrzmiała chrapliwa mantra: Już nie istnieję, już nic nie muszę, diabeł porwał mą duszę, jestem synem szatana.

I znowu. I jeszcze. Patty nagle zdała sobie sprawę, że Ben stoi przy gramofonie, przesuwając igłę i raz po raz odtwarza te słowa jak modlitwę.

Potrzebowała towarzystwa Diane. Teraz. Natychmiast. Diane usadowi się na sofie niczym przyjazny niedźwiedź, ubrana w jedną ze swoich trzech starych, flanelowych koszul, będzie żuć gumę z nikotyną i przypomni pewne wydarzenie sprzed wieków, gdy Patty przyszła do domu w minispódniczce, a cała rodzina jęknęła z przerażenia, jakby Patty była

już stracona dla świata i ludzi. „A przecież nic złego się nie stało, prawda? Przechodziłaś okres buntu typowy dla nastolatków. Tak jak teraz Ben”. I potem Diane strzeli palcami, jakby wszystko w życiu było takie proste.

Dziewczynki krążyły pod drzwiami łazienki - czekały na Patty i jej reakcję. Odgłos szorowania i pomruków matki uświadomił im, że wydarzyło się coś złego i próbowały zdecydować, czy powinny zalać się łzami, czy raczej okazać oburzenie. Kiedy Patty zaczynała płakać, przynajmniej dwie córki natychmiast szły za jej przykładem, a jeżeli ktoś coś nabroił, dom się trząsł od wyrzutów i oskarżeń. Kobiety Dayów były uosobieniem mentalności motłochu. A mieszkaly na farmie, gdzie nie brakowało widel.

Patty opłukała dłonie - czerwone, stwardniałe i spierzchnięte - i zerknęła na swoje odbicie w lustrze, by się upewnić, że po łzach nie zostało ani śladu. Skończyła trzydzieści dwa lata, ale wyglądała dziesięć lat starzej. Miała czoło poznaczone bruzdami, przypominającymi dziecinny wachlarz z papieru, i kurze łapki rozchodzące się promieniście od kąców oczu. W jej rudych włosach widniały pasma siwizny, do tego była nieapetycznie chuda, złożona z samych ostrych, twardych kantów, jakby wessała całą zawartość skrzynki z narzędziami: młotki, gwoździe i kilka szklanych butelek na dodatek. Nie była osobą, do której ktokolwiek miałby ochotę się przytulić, nawet dzieci nie garnęły się w jej objęcia. Michelle lubiła czesać jej włosy (z pełną agresji niecierpliwością, jak wszystko, co robiła Michelle), a Debbie opierała się o matkę, jeżeli akurat stały obok siebie (bezmyślnie, w roztargnieniu, bo taka właśnie była Debbie). Biedna mała Libby starała się w ogóle nie dotykać matki, chyba że coś bardzo ją bolało - i miało to głęboki sens. Jeszcze zanim Patty skończyła dwadzieścia pięć lat, już miała bardzo zużyte ciało; nawet jej sutki stały się tak gruzłowate i zaszuszone, że od samego początku karmiła Libby tylko butelką.

W maleńkiej łazience nie było miejsca na szafkę (co ona pocnie, gdy dziewczynki pójda do szkoły średniej, jedna łazienka na cztery kobiety i gdzie się wówczas podzieje Ben? Przez chwilę mignął jej przed oczami przygnębiający obraz: Ben siedzi w tanim pokoju motelowym, samotny, wokół walają się brudne ręczniki, na stole widnieje kałuża rozlanego mleka, w pomieszczeniu panuje typowo męski bałagan), więc trzymała skromny zasób artykułów kosmetycznych na obramowaniu umywalki. Ben przesunął wszystkie butelki na jedną stronę - dezodorant i lakier do włosów w spreju, maleńkie opakowanie zasyпки dla dzieci, kupionej nie wiadomo kiedy. Teraz widniały na nich takie same fioletowe plamy, jak wcześniej na umywalce. Patty wyczyściła je delikatnie, jakby były z porcelany. Nie miała sił i ochoty na kolejną wyprawę do centrum handlowego. Miesiąc temu pojechała do Saliny w pogodnym nastroju, żeby kupić kilka ulepsujących kosmetyków: mleczko do mycia twarzy,

krem, może szminkę. Na tę wyprawę przeznaczyła dwadzieścia dolarów, które starannie złożyła i wsunęła do kieszeni koszuli. Zaszaleje. Zainwestuje w siebie. Ale wybór był tak nieograniczony, choćby samych kremów - nawilżające, przeciwzmarszczkowe, ujędrniające - że poczuła się strasznie przytłoczona. Jeżeli się zdecyduje na krem nawilżający, musi jeszcze dokupić do niego odpowiednie mleczko oraz coś, co się nazywało tonikiem, i zanim zdąży pomyśleć o kremie na noc, już wyda pięćdziesiąt dolarów. W końcu wyszła ze sklepu z pustymi rękami, pognębiona, wystrychnięta na dudka.

- Jesteś matką czwórki dzieci, nikt nie oczekuje, że będziesz wyglądać jak z obrazka - skwitowała całą sprawę Diane.

Problem w tym, że Patti od czasu do czasu chciała tak wyglądać. Kilka miesięcy temu wrócił Runner, zjawił się nagle niczym grom z jasnego nieba. Miał mocno opaloną twarz, w której błyskały niebieskie oczy, i opowiadał o rybackich kutrach na Alasce oraz o torach wyścigowych na Florydzie. Stał w progu, gibki i szczupły, ubrany w brudne dżinsy, i nawet słowem się nie zająknął na temat tego, że przez trzy lata nie dawał znaku życia i nie przysłał ani grosza na dzieci. Zapytał, czy mógłby u nich pomieszkać przez krótki czas, póki nie znajdzie sobie czegoś innego na stałe - naturalnie był kompletnie spłukany, mimo to pańskim gestem, jakby wręczał najwspanialszy prezent świata, wetknął Debbie w rękę pół puszki cieplej coli, której sam nie zdołał dopić. Poprzysiągł, że dokona na farmie wszelkich koniecznych napraw i utrzyma ich związek na poziomie platonicznym - „jeżeli ona naprawdę tego właśnie chce”. Było lato, pozwoliła mu spać na kanapie, więc co rano opadały go dziewczynki, kiedy leżał rozwalony i śmierdzący, w podartych bokserkach, z genitaliami niemal na wierzchu.

Runner umiał oczarować córki - wołał na nie „laleczko” lub „śliczny aniołku” - i nawet Ben wodził za ojcem uważnym wzrokiem, wchodził z nim w krótką interakcję i równie szybko się wycofywał jak polujący rekin. Runner nie włączał Bena do swoich aktywności, ale próbował żartować z synem, nawiązać nić przyjaźni. Podkreślał wspólnotę płci z Benem, co było dobre, mawiał rzeczy w rodzaju. „To praca dla mężczyzny” i mrugał znacząco do syna. Po trzech tygodniach przywiózł w swojej półciężarówce wersalkę, którą gdzieś znalazł, i stwierdził, że rozłoży się obozem w garażu. Taki układ wydawał się do przyjęcia. Runner pomagał Patti w zmywaniu naczyń i otwierał przed nią drzwi. Pozwalał się przyłapywać na wgapieniu się w jej tyłek, a potem udawał, że się peszy. Pewnej nocy, gdy dawała mu czyste prześcieradła, zaczęli się namiętnie całować, a on przycisnął ją do ściany i odchylił jej głowę, chwytając za włosy. Odepchnęła go wówczas, powiedziała, że nie jest gotowa, próbowała się uśmiechnąć. Runner jednak się nachmurzył, pokręcił głową, zmierzył Patti taksującym

spojrzeniem i zacisnął usta. Kiedy się rozbierała do snu, czuła zapach nikotyny dobiegający od miejsca, w którym ją dotknął, tuż pod piersiami.

Został jeszcze przez miesiąc, droczył się ze wszystkimi, rozpoczynał jakieś naprawy i porzucał niedokończone. Kiedy pewnego dnia podczas śniadania Patty poprosiła, żeby się wyniósł, wyzwiał ją od suk i rzucił w nią szklanką, pozostawiając plamy od soku na suficie. Gdy sobie poszedł, odkryła, że ukradł sześćdziesiąt dolarów, dwie butelki burbona i szkatułkę na biżuterię - jak miał się wkrótce przekonać - całkiem pustą. Zamieszkał w oddalonej o jakieś dwa kilometry, zrujnowanej chacie w lesie. Niekiedy słyszała dobiegający stamtąd huk strzelby, odgłos kul wystrzeliwanych w górę, w powietrze.

Tak zakończyła romans z człowiekiem, który był ojcem jej czwórki dzieci. Teraz nadszedł czas, by się zmierzyć z teraźniejszością. Patty wetknęła za uszy niesforne, przesuszone włosy i otworzyła drzwi łazienki. Tuż za progiem, na podłodze, siedziała Michelle i udawała, że pilnie studiuje jedną z podłogowych desek. Zerknęła na matkę znad okularów o ciemnoszarych szklach.

- Czy Ben wpadł w kłopoty? - zapytała. - Dlaczego zrobił coś takiego ze swoimi włosami?

- To normalne u dorastających chłopców - wyjaśniła Patty i w chwili, gdy Michelle brała głęboki oddech (zawsze wciągała haust powietrza, zanim wyrzuciła z siebie jedno z tych swoich szybkich zdań, złożonych z nieprzerwanego ciągu słów, które płynęły tak długo, póki Michelle nie musiała ponownie nabrać tchu), usłyszały, że w stronę domu zmierza samochód.

Podjazd był długi, więc auto miało się pojawić dopiero za minutę. Patty jakimś cudem wiedziała, że osobą, która nadjeżdża, nie jest jej siostra, chociaż dziewczynki krzyczały „Diane, Diane” i pędziły do okien, żeby wyrzeć na zewnątrz. Gdy się okaże, że to ktoś inny, rozlegnie się chór zawiedzionych westchnień. Patty skądinąd miała pewność, że zbliża się Len, urzędnik wyznaczony do obsługi jej długu. Nawet w odgłosie wydawanym przez silnik jego samochodu było coś zaborczego. Zmagali się ze sobą od osiemdziesiątego pierwszego roku. Wtedy właśnie dał nogę Runner - rozejrzał się wokół zimnym wzrokiem, jakby to miejsce nie należało do jej rodziców, a przed nimi do jej dziadków, po czym oznajmił, że takie życie nie jest dla niego.

Jego jedynym wkładem w farmę było to, że się ożenił z Patty, po czym doprowadził ją do bankructwa. Nieszczęsny, rozczarowany rozwojem wypadków Runner, który miał szeroko zakrojone marzenia w latach siedemdziesiątych, gdy ludzie jeszcze żyli w przekonaniu, że na rolnictwie można zbić fortunę. (Ha! parsknęła głośno, kto by w to dzisiaj uwierzył!). Wraz z Runnerem przejęła gospodarstwo od rodziców w siedemdziesiątym czwartym roku. To było

wielkie wydarzenie, donioślejsze niż jej ślub czy narodziny pierwszego dziecka, szczególnie że jej cisi, przemili rodzice przyjęli oba wcześniej zaistniałe fakty z dużą rezerwą. Runner już wtedy miał na czole wypisane „KŁOPOTY”, mimo to, Boże miej rodziców w swojej opiece, oni nigdy nie powiedzieli przeciwko niemu złego słowa. Kiedy w wieku siedemnastu lat Patty oznajmiła, że wpadła i wychodzi za mąż, mruknęli jedynie: O? I nic więcej. Bo też wszelkie inne komentarze były zbędne.

Problemy szybko ich dopadły i nie mogła za to winić wyłącznie Runnera. W owych czasach wszyscy święcie wierzyli, że ceny ziemi będą wciąż rosnąć z zawrotną prędkością, więc czemu nie inwestować w grunty? Należało być odważnym i agresywnym. Runner z głową pełną marzeń i brakiem podstawowej wiedzy o gospodarowaniu, zaciągnął Patty do banku - sam włożył na tę okoliczność krawat w kolorze limonki, gruby niczym kołdra - po czym walczył jak lew o kredyt i w rezultacie dostali dwa razy więcej, niż chcieli. Pewnie nie powinni brać na siebie takiego zobowiązania, ale pożyczkodawca uspokajał, że nie mają się czym martwić, bo to ostatecznie czas wielkiej prosperity.

„Oni po prostu rozdają forszę” - zaśmiewał się Runner i wkrótce mieli nowy traktor oraz potężny siewnik, chociaż z powodzeniem by im wystarczył o połowę mniejszy. Nie minął rok, a na podwórzu stał błyszczący czerwony denominator Krause’a i nowiutki kombajn Deere’a. Vern Evelee, który posiadał wzbudzające respekt dwieście hektarów ziemi po drugiej stronie miasteczka, komentował każdy nowy nabytek, jaki zobaczył na ich farmie, i zawsze unosił przy tym wysoko brwi. Runner dokupił więcej gruntów i zainwestował w łódź rybacką, a kiedy Patty pytała, czy jest pewien, absolutnie pewien słuszności tych posunięć, dąsał się i burczał, że czuje się zraniony takim brakiem wiary w jego zmysł do interesów. I nagle wszystko się zawaliło, runęło jak domek z kart. Carter wprowadził embargo na eksport zboża do Rosji (liczy się walka z komuchami, a nie farmerzy), stopa odsetek wzrosła do osiemnastu procent, ceny paliwa zaczęły powoli zwyczajować, po czym poszybowały w górę, banki plajtowały jeden za drugim, a kraje, o których Patty nigdy wcześniej nie słyszała - takie jak Argentyna - wdarły się na amerykański rynek i stanowiły konkurencję nie do pobicia. Konkurencję dla niej, mieszkającej w samym sercu Stanów, w maleńkim Kinnakee w stanie Kansas. Po paru chudych latach Runner skapitulował. Nigdy nie doszedł do siebie po rządach Cartera i w kółko o tym gadał. Siadał przed telewizorem, aby oglądać coraz gorsze wiadomości i wystarczyło, że ujrzał duże, królicze zęby Jimmy’ego, a oczy zachodziły mu krwią i aż się gotował z nienawiści.

Tak więc Runner obwinił Cartera, a wszyscy inni w tym zapyziałym miasteczku obarczali winą Patty. Na jej widok Vern Evelee cmokał w szczególny sposób, oznaczający, że

powinna się wstydzić. Farmerzy, których nie pogrążył kryzys, nie okazywali ani odrobiny współczucia tym, którzy mieli mniej szczęścia - zachowywali się tak, jakby człowiek sam się prosił o katar, tarzał nago w śniegu, a potem próbował wytrzeć nos o cudzą koszulę. Zaledwie ubiegłego lata pewien farmer z Ark City uległ wypadkowi: zaszwankował lej samowyladowczy i niemal dwie tony pszenicy poleciały mu na głowę. Potężny facet, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, utonął w zbożu. Udusił się, zanim zdołano go wydobyć. Każdy w Kinnakee wyrażał głębokie ubolewanie i smutek - co za nieszczęście, jakże niespotykany wypadek - póki się nie okazało, że farma zmarłego była zadłużona, a facet szedł na dno. Wtedy nagle powszechnie dało się słyszeć zdanie: „Doprawdy, powinien się wykazać większą ostrożnością”. Po czym następowały wywody na temat odpowiedniego obchodzenia się ze sprzętem i zachowania reguł bezpieczeństwa. Wszyscy szybko zmienili front i zaczęli naskakiwać na faceta, który skończył z płucami pełnymi własnoręcznie uprawianego zboża.

Dzwonek do drzwi i w progu stanął Len, tak jak się obawiała. Podał swoją wełnianą myśliwską czapkę Michelle, w ręce Debbie wepchnął ciężką kurtkę, po czym starannie oczyścił ze śniegu mokasyny, które nieprzyzwoicie błyszcząły nowością. Benowi nie spodobałyby się takie buty, pomyślała Patty. Godzinami postarzał swoje nowe tenisówki, pozwalał dziewczynkom po nich deptać w czasach, kiedy jeszcze tolerował obecność sióstr w swoim pobliżu.

Libby siedząca na sofie posłała Lenowi mordercze spojrzenie i z powrotem skupiła się na telewizorze. Libby uwielbiała Diane, a ten facet ją oszukał, bo przyszedł akurat wtedy, gdy powinna przyjść ukochana ciocia.

Len nigdy się nie witał jak normalni ludzie, wydawał z siebie coś w rodzaju jodłowania - dzieeeen doobryyyy - i za każdą jego wizytą Patty musiała bardzo się mobilizować, żeby znieść to dziwactwo ze spokojem.

Dzisiaj wykrzyczał swoje powitanie w chwili, gdy przechodziła przez hol, więc czmychnęła do łazienki i przez kilka sekund przeklinała pod nosem, a potem przykleiła sztuczny uśmiech do twarzy. Len zawsze brał ją w ramiona na powitanie, czego z pewnością nie robił przy okazji wizyt u innych farmerów, którzy potrzebowali jego usług. Dała mu się jednak objąć, pozwoliła na tę szopkę, zlekceważyła fakt, że przyciska ją do siebie odrobinę za długo. Usłyszała, że wydaje dziwny odgłos, jakby ukradkiem pociągał nosem, próbował ją obwąchać. Sam rozsiewał wokół odór kielbasy i miętowych pastylek. Pewnego dnia Len całkiem serio spróbuje ją uwieść, zmusi do zajęcia konkretnego stanowiska, i ta jego gra była tak godna pożałowania, że aż chciało jej się płakać. Drapieźnik i ofiara, ale jak z marnego dokumentu o prawach natury - on był trzynogim, pokurczowatym kojotem, ona

zmaltretowanym, okulawionym królikiem. Trudno dopatrzeć się w tym piękna.

- Co słysząc u mojej dziewczyny z farmy?

Len zawsze zachowywał się tak, jakby oboje rozumieli, że farma prowadzona przez kobietę to żart.

- Och, jakoś się trzymam - odparła.

Debbie i Michelle wycofały się do swojego pokoju, natomiast Libby parsknęła z dezaprobatą ze swojego posterunku na sofie.

Kiedy ostatnim razem Len się pofatygował do ich domu, kilka tygodni później odbyła się aukcja. Dayowie spoglądali ukradkiem przez okna, podczas gdy sąsiedzi płacili marne i coraz marniejsze grosze za sprzęt, który był niezbędny do utrzymania farmy. Debbie i Michelle aż się skręciły ze złości na widok szkolnych koleżanek, sióstr Boyler, które przyszły ze swoimi rodzicami, jakby to był piknik, a potem biegały po całej farmie. „Dlaczego nie możemy wyjść na dwór?”, jęczały córki i przybierały błagalno-gniewne pozy na widok sióstr Boyler bujających się na ich huśtawce z opony. Równie dobrze prowadzący aukcję mógł sprzedać tę huśtawkę. „Ci ludzie przed domem nie są naszymi przyjaciółmi”, powtarzała Patty. Sąsiedzi, którzy przysyłali jej życzenia na Gwiazdkę, teraz przesuwali łapami po jej sprzęcie i niechętnie oferowali połowę jego wartości. Vern Evelee nabył siewnik, którego kupno swego czasu tak potępiał, i posunął się przy tym do tego, że praktycznie zmusił prowadzącego aukcję do zejścia poniżej ceny wywoławczej. Był bezwzględny. Bezlitosny Patty tydzień później wpadła na niego w sklepie z paszami. Kark mu poczerwieniał i szybko się od niej odwrócił. Ale poszła za nim i cmoknęła wprost do jego ucha, oznajmiając tym samym, że teraz to on powinien się spalić ze wstydu.

- Ależ tutaj pięknie pachnie - zauważył Len niemal oskarżycielskim tonem. - Ktoś zjadł dzisiaj pyszne śniadanie. Naleśniki?

Skinęła głową, powtarzając w duchu: nie zmuszaj mnie, żebym spytała, po co przyszedłeś; proszę, choć ten jeden raz powiedz to sam z siebie.

- Mogę usiąść? - Opadł na sofę obok Libby i dziewczynka natychmiast zeszytniała. - Która to z nich? - zapytał, obrzucając małą taksującym spojrzeniem.

Len wielokrotnie widział jej córeczki, ale nigdy nic mógł zapamiętać ich twarzy ani imion. Pewnego razu zwrócił się do Michelle per „Susan”.

- Libby.

- Ma rude włosy - po mamusi.

Owszem, miała. Patty nie była w stanie zmusić się do jakiegś błyskotliwej uwagi. Im dłużej Len zwlekał z przejściem do sedna sprawy, tym gorzej się czuła, popadała w coraz

większe przerażenie. Pot ciekł jej strużkami po plecach, moczył sweter.

- To z powodu irlandzkiego pochodzenia? Jesteście Irlandczykami?

- Wywodzimy się z Niemiec. Moje panieńskie nazwisko to Krause.

- Uh, zabawne. Bo „Krause” to ktoś o kręconych, a nie rudych włosach. A nikt z was nie ma kręconych włosów, w najlepszym wypadku falujące, ja też jestem z pochodzenia Niemcem.

Już wcześniej odbywali tę rozmowę, i zawsze przebiegała na dwa możliwe sposoby. Albo tak jak teraz kończyło się na kręconych włosach, albo Len nadmieniał, że to zabawne, iż Patty nazywa się Krause, tak samo jak potężny producent sprzętu rolniczego, i jaka szkoda, że to nie krewni, ha? Bez względu na rozwój tej wstępnej gadki, Patty zawsze siedziała jak na rozżarzonych węglach.

- No więc - w końcu dała za wygraną - czy sytuacja uległa pogorszeniu?

Len zdawał się rozczarowany faktem, że Patty przeszła do konkretów. Ściągnął gwałtownie brwi, jakby się dopuściła grubiaństwa.

- Cóż, skoro o tym wspominasz, to owszem. Obecnie sprawy przedstawiają się gorzej niż fatalnie. Przyjechałem, żeby ci to powiedzieć osobiście. Czy nie wolałabyś omówić pewnych kwestii w spokojniejszym miejscu? - Wskazał głową na Libby. - Może lepiej by było, gdybyśmy przeszli do twojej sypialni?

Len miał zaczątki brzucha. Sterczał nad jego paskiem idealnie okrągły, jak w pierwszych miesiącach ciąży. Patty nie miała ochoty iść z Lenem do sypialni.

- Libby, możesz sprawdzić, co robią twoje siostry? Ja muszę porozmawiać z panem Wernerem.

Libby westchnęła ciężko, i powoli zsunęła się z sofy - najpierw stopy, potem nogi, następnie pupa i plecy, jakby była kleistą masą. W końcu znalazła się na podłodze, przeturlała parę razy podpełzła kawałek, aż wreszcie stanęła na nogach i powlokła się korytarzem do pokoju.

Patty i Len spoglądali przez chwilę po sobie, w końcu on przygryzł dolną wargę i skinał głową.

- W najbliższych dniach zostanie wystawiony nakaz eksmisji.

Patty poczuła ostre ściskanie w dołku. Nie zwinie się wpół w obecności tego faceta, nie wybuchnie płaczem.

- Co możemy w tej sytuacji zrobić?

- Niestety, MY już nic nie możemy. Przeciągnąłem najgorsze o sześć miesięcy ponad ustawowy termin. Zaryzykowałem moją posadą, dziewczyno z farmy.

Uśmiechnął się, objął kolana splecionymi rękami. Patty miała ochotę rzucić się na niego z pazurami. Z pokoju dziewczynek dobiegł jęk materaca, zapewne Debbie skakała z łóżka na łóżko, to była jej ulubiona zabawa.

- Patty, teraz tylko gotówka jest w stanie cię uratować. Jeżeli chcesz zachować to miejsce, musisz ją zdobyć natychmiast. Pożycz skądś pieniądze, wyжебraj, ukradnij. Schowaj dumę do kieszeni. A przede wszystkim zadaj sobie jedno pytanie - jak bardzo mi zależy na zachowaniu farmy?

Sprężyny materaca zajęczały głośniej. Patty czuła coraz silniejsze ściskanie w dołku. Len cały czas się uśmiechał.

Libby Day

Współcześnie

Już po tym jak mojej matce odstrzelono kawał głowy, a jej ciało przerabano niemal na pół siekierą, ludzie z Kinnakee zaczęli się zastanawiać, czy była kurwą. Najpierw spekulowali, potem nabrali uzasadnionych podejrzeń, a w końcu tę pogłoskę zaczęli podpierać rzeczowymi argumentami. Ponoć nocną porą pod naszym domem widywano obce samochody. Matka patrzyła na mężczyzn w taki sposób, w jaki robią to tylko kurwy. Przy okazji podobnych komentarzy Vern Evelee nigdy nie omieszkał dodać, że powinna była sprzedać swój siewnik w osiemdziesiątym trzecim roku, jakby fakt, iż tego nie zrobiła, niezbicie dowodził, że się puszczała za pieniądze.

Naturalną kolejną rzeczą wszyscy zaczęli obsmarowywać ofiarę. I plotki wkrótce przerodziły się w konkrety: nagle każdy miał znajomego, którego kuzyn przyjaźnił się z facetem różnym swego czasu moją matkę. I każdy mógł na tę okoliczność przytoczyć jakiś dowód: Patty Day miała pieprzyk na wewnętrznej stronie uda lub bliznę na prawym pośladku. Nie sądzę, żeby te opowieści o mojej matce były prawdziwe, ale jak w wypadku wielu zdarzeń z mojego dzieciństwa, niczego nie mogłam być całkiem pewna. Co przeciętny człowiek pamięta z okresu, gdy miał siedem lat? Na zdjęciach matka nie wygląda na kobietę rozwiązłą. Jako nastolatka, z włosami ściągniętymi w koński ogon, z którego wymykały się niesforne pasemka przypominające ogniste fajerwerki, zdawała się kwintesencją najmilszej dziewczyny z sąsiedztwa lub ulubionej babysitterki. Kiedy skończyła dwudziestkę i zaczęło przybywać potomstwa, jej uśmiech stał się szerszy, ale nerwowy, i na zdjęciach widać, że zawsze próbuje się opędzić od któregoś z dzieci. Odnoszę wrażenie, że w tamtym okresie nieustannie ją oblegaliśmy, oblaziliśmy niczym robactwo. Jej ciało nie mogło udźwignąć fizycznego ciężaru nas wszystkich. Z okresu po trzydziestce nie ma wielu jej fotografii. Ale na tych paru, które się zachowały, uśmiech jest już tylko wymuszony, z gatunku, tych, które gasną natychmiast po pstryknięciu tego cholernego zdjęcia. Od lat nie oglądałam rodzinnych fotek. Za to w dzieciństwie obsesyjnie się w nie wpatrywałam, bacznie studiowałam ubiór matki, wyraz jej twarzy, elementy tła. Analizowałam każdy detal, szukałam wskazówek, mogących mi jak najwięcej powiedzieć o minionym życiu. Czyja ręka spoczywa na ramieniu mamy? Gdzie została zrobiona ta fotografia? Z jakiej okazji? Ale kiedy weszłam w okres dojrzewania, zdjęcia, wraz z resztą pozostałości po Dayach, zamknęłam w kartonach, które

okleiałam taśmą, i nigdy tam nie zaglądałam.

Teraz ze skruszoną miną wpatrywałam się w pudła niszczone pod moimi schodami. Mentalnie próbowałam się przygotować do ponownego spotkania z rodziną. Na zebranie Klubu Zbrodni tylko dlatego wzięłam akurat notkę Michelle, że nie miałam odwagi zajrzeć do kartonów. Po prostu sięgnęłam ręką do jednego z nich przez szparę, która powstała po odpadnięciu kawałka taśmy, i wyciągnęłam coś na chybił trafił - jak na żalosnej, jarmarcznej loterii. Ale jeżeli mam dalej ciągnąć tę sprawę, zagłębić się w mord popełniony na matce i siostrach, po tych wszystkich latach robienia czegoś całkiem odwrotnego, musiałam zdobyć się na to, by bez paniki spojrzeć na pozostałości po naszym domu: starą, metalową ubijaczkę do piany, która pobrzękiwała jak dzwonki u sań, gdy dostatecznie szybko kręciło się korbką; powyginane noże i widelce, wkładane do ust przez moich bliskich, książeczki do kolorowania - z obrazkami starannie wypełnionymi barwami, jeżeli należały do Michelle, lub od niechcenia zabazgranymi kredkami, jeżeli należały do mnie. Muszę na to wszystko popatrzeć chłodnym okiem, potraktować jak najzwyczajniejsze przedmioty.

A potem zdecydować, co sprzedać.

Pamiętki z domu Dayów, które sprawiłyby największą radość świrom z Klubu Zbrodni, były nieosiągalne. Strzelba, z której zabito moją matkę - jej własna strzelba na gęsi - spoczywała bez troski w jakimś magazynie na dowody rzeczowe, razem z siekierą z naszej drewni. (To był kolejny koronny argument przeciwko Benowi - narzędzia zbrodni pochodziły z farmy. Morderca z zewnątrz nie przyszedłby do pogrążonego w ciszy i ciemności domu z pustymi rękami, w nadziei, że znajdzie na podorędziu jakąś broń). Czasami próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda teraz owa siekiera, strzelba, prześcieradło, na którym zmarła Michelle. Czy te wszystkie zakrwawione, osmolone, lepkie przedmioty leżą razem w jakimś wielkim pudle i podstępnie spiskują? Czy zostały wyczyszczone? Jaki zapanowałby zapach po otwarciu owego pudła? Wciąż dobrze pamiętałam odór butwiejącej ściółki i rozkładu, który unosił się w naszym domu kilka godzin po dokonaniu zbrodni - o ile był gorszy teraz, po tak wielu latach dalszego gnicia?

Pewnego razu pojechałam na wycieczkę do Chicago i w tamtejszym muzeum zobaczyłam eksponaty związane ze śmiercią Lincolna: kosmyk jego włosów, fragmenty kuli, wąskie łóżko, na którym zmarł, i materac z wyraźnym wgłębieniem w środku, jakby pieczołowicie przechowywał odcisk prezydenckiego ciała. Na widok tego wszystkiego pobiegłam do łazienki i przycisnęłam twarz do zimnych drzwi kabiny, bo bałam się, że zemdleję. Jak wyglądałby dom, w którym zginęli Dayowie, gdyby udało się połączyć w całość wszystkie jego szczątki i kto chciałby odwiedzać takie miejsce? Ile kosmyków

prześniętych krwią włosów mojej matki leżałoby w wystawowej gablocie? Co się stało ze ścianami, na których wymalowano te wszystkie okropne wyrazy, gdy dom poszedł do rozbiórki? Czy można by ściąć kępę trzciny, w których się kryłam przez tak wiele godzin? Lub wystawić na widok publiczny koniuszek mojego odmrożonego palca serdecznego? Te trzy ucięte palce stopy?

Odeszłam od pudeł - nie byłam gotowa na to wyzwanie - i usiadłam za biurkiem, które mi służyło za jadalny stół. W skrzynce znalazłam dziwaczną przesyłkę od Barb Eichel, świadcząca o szaleństwie tej kobiety Bezlądna zbieranina najprzeróżniejszych przedmiotów: taśma wideo, circa osiemdziesiąty czwarty rok, z filmem zatytułowanym *Zagrozenie niewinności - satanizm w Ameryce*; plik wycinków prasowych na temat zbrodni w Kinnakee, spięty starannie spinaczem; kilka polaroidowych fotek Barb stojącej przed gmachem sądu, w którym toczył się proces Bena; poradnik pod tytułem „Rodzina w więzieniu - jak zachować bliską więź mimo dzielących nas krat”, noszący ślady częstego użycia.

Zdjęłam spinacz z wycinków i wrzuciłam do mojego kubka na spinacze stojącego w kuchni (nikt nigdy nie powinien prywatnie wydawać pieniędzy na spinacze, długopisy, zszywacze - artykuły, które można sobie wziąć z każdego biura). A potem wsunęłam taśmę do wiekowego odtwarzacza VHS. Pstryknięcie, szum, potem jęk. Na ekranie zaczęły migać pentagramy, faceci z kocią bródką, ryczące kapele rockowe i ciała zmarłych. Mężczyzna o pięknej, starannie wylakierowanej plerezie szedł wzdłuż pokrytego graffiti muru i wyjaśniał, że „ten film pomoże państwu zidentyfikować satanistów i odczytać sygnały, mogące świadczyć, że ktoś wam bliski zaczął flirtować z poważnym zagrożeniem”. Potem ten sam gość przeprowadzał wywiady z kaznodziejami, gliniarzami i „autentycznymi satanistami”. Dwaj najpotężniejsi z nich mieli oczy wymazane eyelinerem, czarne szaty i pentagramy na szyi, ale siedzieli w przeciętnym pokoju, na taniej, pokrytej sztruksem sofie, a po prawej stronie widać było kuchnię, gdzie pomrukiwała radośnie żółta lodówka stojąca na wiśniowym linoleum. Wyobraziłam sobie, jak po skończonym wywiadzie owi groźni czciciele diabła podchodzą do lodówki, wyjmują sałatkę z tuńczyka oraz colę, i przy okazji płaczą się w swoje długie szaty. Zatrzymałam wideo w momencie, gdy facet z plerezą usilnie zalecał rodzicom przeszukanie pokoju dzieci i konfiskatę figurek He-Mana oraz plansz do wywoływania duchów.

Wycinki prasowe okazały się równie bezużyteczne, a już zupełnie nie mogłam zrozumieć, dlaczego Barb przysłała mi swoje zdjęcia i co niby miałam z nimi zrobić. Ogarnęła mnie bezradność. I straszne lenistwo. Mogłam przecież pojechać do biblioteki, przestudiować gruntownie wszelkie dostępne materiały. Mogłam trzy lata temu zainstalować

w domu szerokopasmowy Internet, tak jak sobie obiecałam.

Jednak w tej chwili żadna z tych opcji nie wchodziła w grę - byłam za bardzo zmordowana - więc w zamian zadzwoniłam do Lyle'a. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Czeeeeść, Libby! Właśnie miałem do ciebie dzwonić, przeprosić za ubiegły tydzień. Musiałaś się poczuć bardzo niekomfortowo, gdy hurmą na ciebie naskoczyliśmy, a przecież nie tak miało to wyglądać.

Niezły tekst.

- Taaak, to rzeczywiście było do bani.

- Wiedziałem, naturalnie, że każdy z nas ma własną teorię na temat zabójstwa twoich bliskich, ale nie dotarło do mnie wcześniej, że ani jedna osoba nie dopuszcza możliwości winy Bena. Nie przemyślałem dokładnie całej sprawy. Nie wziąłem pod uwagę wszelkich ewentualności. Nie miałem świadomości, że dla ciebie przeszłość jest przerażająco namacalna. To znaczy miałem, wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę, a jednocześnie nie zdawaliśmy. Bo tak naprawdę nigdy nie będziemy w stanie się wczuć w twoje położenie. Wreszcie to w pełni pojąłem. Spędziliśmy tak wiele czasu na debatach o tym, co się wydarzyło, że... Cóż, wybacz proszę.

Nie zamierzałam polubić Lyle'a Wirtha, bo już zdecydowałam, że jest beznadziejnym dupkiem. Jednak umiem docenić wagę przeprosin, tak jak człowiek, któremu słoń nadepnął na ucho, potrafi się cieszyć jakimś muzycznym utworem. Sam go nie zagra, ale zdobędzie się na oklaski dla wykonawcy.

- W porządku - mruknęłam.

- Niektórzy członkowie naszego klubu byliby nadal zainteresowani nabyciem... hm... różnych pamiątek, jeżeli wciąż jesteś gotowa coś sprzedać. Mówię to na wypadek, gdybyś dzwoniła właśnie w tej sprawie.

- Nie, nie. Po prostu ostatnio dużo myślałam o przeszłości.

Równie dobrze mogłam bez ogródek wywalić kawę na ławę.

*

Spotkaliśmy się w pubie położonym niedaleko mojego domu, który nosił nazwę „U Sary”, co zawsze wydawało mi się dość dziwną nazwą dla pubu, jednak samo miejsce było dość przyjemne i przestronne. Nie lubię tłoku. Kiedy przyszedłam, Lyle już siedział przy stoliku, ale podniósł się na mój widok, po czym schylił się, żeby mnie uściskać, wyginając się przy tym dziwnie, bo był słusznego wzrostu. Krawędź jego okularów wbiła się w mój policzek. Lyle znowu miał na sobie kurtkę z lat osiemdziesiątych - tym razem džinsową, na której widniało mnóstwo znaczków z modnymi swego czasu hasłami. Piłeś, nie jedź;

praktykuj życzliwość na co dzień; twój głos się liczy.

Lyle był tak na oko dycheń ode mnie młodszy i patrząc na niego, nie mogłam zdecydować, czy sposób, w jaki się nosił, był świadomą, ironiczną stylizacją retro, czy dowodem beznadziejnego frajerstwa.

Znowu zaczął przeproszać, ale ja nie chciałam dalszych przeprosin. Dziękuję, to co wcześniej usłyszałam, w pełni mi wystarczy.

- Słuchaj, przede wszystkim musisz wiedzieć, że nie kupiłam tej historii o niewinności Bena i nieściskościach w moich zeznaniach.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast się zreflektował.

- Gdybym jednak zdecydowała się drażyć temat, poszperać w przeszłości, czy klub byłby w stanie finansować moje przedsięwzięcia? Innymi słowy płacić mi za poświęcony czas?

- Rety, Libby, to wspaniale, że w ogóle wykazujesz gotowość do przyjrzenia się sprawie - ucieszył się Lyle.

Nienawidziłam protekcyjnego tonu tego koleśka, jakby nie zdawał sobie sprawy, że rozmawia z kimś starszym od siebie. Był szczególnym typem, na pewno taki znacie - kończy się lekcja, wszystkie dzieciaki już nie mogą się doczekać przerwy, nauczycielka pyta: „Czy są jeszcze jakieś pytania?” - i on podnosi rękę.

- Wiesz, wszyscy mamy własne teorie na temat tych zbrodni i w związku z tym mnóstwo pytań, a przed tobą stanęłoby otworem o wiele więcej drzwi niż przed kimkolwiek innym - ciągnął Lyle, podrygując nogą pod stołem. - Bo masa ludzi po prostu CHCE z tobą porozmawiać.

- Jasne - odparłam.

Wskazałam na dzbanek z piwem stojący na stole i Lyle napełnił dla mnie plastikowy kubek, ale głównie pianą. A potem przejechał palcem po nosie, włożył palec do mojego piwa, tłuszcz zneutralizował pianę i wówczas Lyle dopełnił kubek.

- No, więc, mówiąc o rekompensacie, jaką kwotę miałaś na myśli?

Wręczył mi piwo, a ja postawiłam je przed sobą i rozważałam, czy aby na pewno mogę się go napić.

- Myślę, że o zapłacie powinniśmy decydować oddzielnie dla każdego przypadku - powiedziałam w zamyśleniu, jakby ten pomysł dopiero w tej chwili zakiełkował mi w głowie.

- Wysokość stawki zależałaby od tego, ile trudu kosztowałoby mnie odnalezienie danej osoby i jakie pytania miałabym jej zadać w waszym imieniu.

- Z pewnością lista osób, z którymi chcielibyśmy się przez ciebie skontaktować, jest

długa. Czy naprawdę nie masz żadnego kontaktu z Runnerem? Na przepytaniu twojego ojca zależy większości członków naszej grupy.

Dobry, stary, kompletnie porąbany Runner. W ciągu ostatnich trzech lat raz do mnie zadzwonił, bełkotał coś bez ładu i składu, uderzył w teatralny szloch i chciał, żebym przesłała mu pieniądze. Od tamtej pory ani słowa. Notabene wcześniej też nie łączyły nas serdeczne więzi. Sporadycznie pojawiał się na procesie Bena, czasami w zszarganej marynarce i znoszonym krawacie, ale najczęściej w tym, w czym akurat spał poprzedniej nocy, i prawie zawsze był tak pijany, że język plątał mu się w gębie. W końcu adwokat Bena poprosił Runnera, żeby przestał przychodzić, bo stawiał syna w złym świetle.

Teraz sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej, ponieważ niemal każdy członek Klubu Zbrodni uważał go za mordercę. Przed tymi strasznymi wydarzeniami Runner siedział trzy razy - przynajmniej wedle mojej wiedzy - ale zawsze za jakieś gówna. Z drugiej strony, nieustannie tonął w hazardowych długach; brał udział we wszystkich możliwych bukmacherskich zakładach - stawiał na wyniki rozgrywek sportowych, wyścigi psów, bingo, prognozy pogody. I zalegał z alimentami. Wymordowanie nas wszystkich byłoby dobrym sposobem na pozbycie się przynajmniej tego ostatniego zobowiązania.

Jednak jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że Runner dopuszcza się takiego czynu i uchodzi mu to na sucho. Nie miał na to dość rozumu i ambicji. Nawet nie potrafił być ojcem dla jedyne go dziecka, jakie mu zostało. Kręcił się w okolicach Kinnakee przez kilka lat po morderstwach, ale też zniknął na długie miesiące, po czym przesyłał okręcone izolacyjną taśmą paczuszki z Idaho, Alabamy lub Winner w Południowej Dakocie. W środku znajdowałam kupowane na stacjach benzynowych plastikowe laleczki o wielkich oczach, z parasolkami w dłoniach lub równie wielkookie kotki, które zawsze zdążyły się połamać, zanim do mnie dotarły. Kiedy wracał w nasze okolice, od razu o tym wiedziałam, jednak nie z tego powodu, że przychodził mnie odwiedzić, lecz dlatego, że z wałacej się chaty, stojącej na skraju lasu, wydobywał się śmierdzący dym. „Poor Judd is dead”, podśpiewywała Diane, ilekroć widziała go w miasteczku, umorusanego sadzą. Było w nim coś złowieszczonego, a zarazem wzbudzającego politowanie.

Prawdopodobnie miałam szczęście, że trzymał się ode mnie z daleka. Kiedy wrócił i zamieszkał z nami tego lata przed tragicznymi wydarzeniami, cały czas się ze mną droczył. Z początku były to żarty, ale wkrótce przerodziły się w podłe psikusy. Pewnego dnia przyszedł do domu z ryb, tupął po domu wielkimi woderami i ni stąd, ni zowąd, zaczął dobijać się do łazienki, kiedy siedziałam w wannie. „No już, otwieraj, mam dla ciebie niespodziankę!” W końcu otworzył drzwi siłą i włożył do środka, rozsiewając wokół smród na wpół

przetrawionego piwa. Trzymał coś w ramionach, po czym je otworzył i wrzucił mi do wanny ponad półmetrowego, żywego suma. Najbardziej mnie przeraził bezsens tego posunięcia. Próbowałam wydostać się z wanny, śluzowata skóra ryby ocierała się o moje ciało, a jej wąsata paszcza przywodziła na myśl prehistoryczne stwory. Gdybym wsunęła do niej stopę, sum by ją połknął, ściśle obejmując przy tym moją łydkę niczym wielki kamaz.

Przewinęłam się przez brzeg wanny i ciężko dysząc, upadłam na dywanik, a Runner stał nade mną i wrzeszczał, że mam przestać się mazać. „Kaźde z moich dzieciaków to tuman i tchórz”.

Przez trzy dni nie mogliśmy się porządnie umyć, bo Runner był zbyt zmęczony, żeby zabić rybę. To po nim zapewne odziedziczyłam swoje lenistwo.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz Runner. Kiedy ostatni raz miałam z nim kontakt, był gdzieś w Arkansas. Ale od tego czasu minął co najmniej rok.

- Wytropienie go mogłoby być niezłym pomysłem na początek. Niektórzy ludzie z naszej grupy bardzo chcieliby mu zadać różne pytania. Chociaż osobiście nie sędzę, że Runner był sprawcą - oznajmił Lyle. - To może i ma logiczne uzasadnienie... długi, udokumentowane akty przemocy.

- Szaleństwo.

- Szaleństwo. Ale on wydaje się za tępy na coś podobnego. - Lyle uśmiechnął się arogancko. - Bez obrazy.

- Jasne. Jaka jest więc twoja teoria?

- Jeszcze za wcześnie, żebym ją zdradził. - Poklepał dłonią leżące obok teczki. - Najpierw musisz się zapoznać z najważniejszymi faktami i materiałami ze sprawy.

- Och, jak boni dydy - jęknęłam i już gdy wypowiadałam pierwsze „d” uświadomiłam sobie, że to było powiedzonko mojej mamy. „Och, jak boni dydy, musimy pędzić, gdzie są te pioruńskie kluczyki?”

- Ale skoro Ben jest niewinny, to dlaczego nie walczy o uwolnienie? - zapytałam.

Mój głos zawibrował w wyrazie zniecierpliwienia, jak u rozkapryszzonego dziecka: ale DLACZEGO nie mogę zjeść TERAZ deseru? I nagle coś jeszcze mnie uderzyło: tak naprawdę sekretnie marzyłam, by mój brat okazał się niewinny, został mi zwrócony, ten Ben, którego znałam i kochałam, sprzed czasu, gdy zaczęłam się go bać. Pozwoliłam sobie na niebezpieczną wizję - Ben zostaje uwolniony i przychodzi do mojego domu z rękami w kieszeniach (kolejny przebłysk wspomnienia, który się pojawił po tym, jak zaczęłam myśleć o całej sprawie: mój brat zawsze chował ręce głęboko do kieszeni, był wiecznie zawstydzony). A potem szczęśliwy usiadłby przy stole - gdybym miała stół - i zapewnił, że mi przebacza, nie

żywi do mnie najmniejszej urazy.

Gdyby tylko rzeczywiście był niewinny.

„Jeżeli gdybania byłyby cukierkami, mielibyśmy cudowną Gwiazdkę”, usłyszałam dudniący głos Diane. Te słowa były przekleństwem mojego dzieciństwa, nieustannym przypomnieniem, że nic nie toczy się zgodnie z życzeniami, i to nie tylko moimi, ale wszystkich innych ludzi, więc dlatego ktoś wymyślił takie powiedzonko. Byśmy wszyscy dobrze zapamiętali, że nigdy nie dostaniemy tego, na czym najbardziej nam zależy. Nie mogę więc się łudzić. Choćby z tego powodu, że - nigdy, przenigdy o tym nie zapominaj, Maleństwo Dayów - Ben był tamtej nocy w domu. Kiedy wstałam z łóżka i szłam do pokoju mamy, widziałam światło w jego pokoju, wydostające się przez szparę pod drzwiami. Słyszałam przyciszoną rozmowę. On tam był.

- Może powinnaś sama go o to zapytać - powiedział Lyle. - Uczynić pierwszy krok, pojechać na widzenie z Benem.

Ben w więzieniu. Przez ostatnich dwadzieścia parę lat starannie unikałam tego obrazu. A teraz stanął mi nagle przed oczami brat, zamknięty za wysokim murem, odgradzony od ludzi kratami, siedzący w małej celi na końcu szarego korytarza. Czy trzymał tam jakieś rodzinne zdjęcia? Po raz kolejny dotarło do mnie, że nic nie wiem o obecnym życiu Bena. Nie miałam nawet pojęcia, jak wygląda więzienna cela, o ile nie liczyć tego, co widziałam na filmach.

- Nie. Jeszcze nie teraz.

- Czy to kwestia pieniędzy? Zapłacimy ci za to.

- To kwestia wielu rzeczy naraz - burknęłam.

- Okeeeeeej. Chcesz więc się skupić na Runnerze? Czy raczej... no, właśnie, na czym?

Pograżyliśmy się w milczeniu. Oboje nie wiedzieliśmy co zrobić z rękami; unikaliśmy kontaktu wzrokowego. W dzieciństwie wciąż mnie wysyłano do innych dzieciaków, żebym się razem z nimi bawiła, bo szamani od czubków upierali się, że powinnam jak najwięcej czasu spędzać w towarzystwie rówieśników. Moje spotkanie z Lyle'em przypominało spotkania z tamtymi dzieciakami - te pierwsze straszne minuty, gdy dorośli odeszli, a żadne z nas nie wiedziało, czego chce to drugie, więc sterczeliśmy jak kołki w pobliżu telewizora, którego nie wolno nam było włączyć i międliliśmy w palcach antenę.

Sięgnęłam ręką do miseczki z fistaszkami w łupinkach kruchych i porowatych jak skorupa żuka. Wrzuciłam kilka z nich do piwa. Pchnęłam palcem. Z pyknięciem wyskoczyły na powierzchnię. Mój sprytny plan wydał mi się nagle przerażająco dziecinny. Czy rzeczywiście chcę gadać z ludźmi, którzy mogli być odpowiedzialni za śmierć mojej rodziny?

Czy w istocie mam ochotę coś ROZWIĄZAĆ? I, pominąwszy pobożne życzenia, czy Ben naprawdę mógł być niewinny? A jeżeli tak, czy nie czyniło to ze mnie najwredniejszej suki w historii świata? Poczułam nagłą pokusę rezygnacji z całego przedsięwzięcia. Odniosłam wrażenie, że owiewa mnie silny prąd powietrza i w tym momencie uświadamiam sobie, że w moim planie opracowanym w przypiływie geniuszu jest jednak sporo dziur, a ja nie mam sił ani potencjału intelektualnego, by je załatać.

Problem w tym, że teraz nie mogłam wrócić do łóżka i o wszystkim zapomnieć. Miałam czynsz do zapłacenia, musiałam coś jeść. Mogłabym przejść na zasilek, ale najpierw trzeba by go jakoś załatwić, a wolałabym umrzeć z głodu, niż przechodzić przez koszmar biurokracji.

- Pojadę na rozmowę z Benem - mruknęłam. - Chyba rzeczywiście od tego powinnam zacząć. Będę jednak potrzebowała trzysta dolarów.

Rzuciłam tę sumę pewna, że jej nie dostanę, tymczasem Lyle bez słowa sięgnął do nylonowego portfela oklejonego taśmą izolacyjną, i odliczył trzy stówki. Nie wyglądał przy tym na nieszczęśliwego. - Skąd ty bierzesz tę forszę, Lyle?

Wyprężył lekko pierś, wyprostował się na krześle.

- Jestem skarbnikiem Klubu Zbrodni; dysponuję funduszem specjalnym. Postanowiłem go przeznaczyć na ten projekt. - Małeńkie uszy Lyle'a zapłonęły ostrą czerwienią, przypominały teraz rozwścieczone embriony.

- Jesteś defraudantem - zauważyłam.

I od razu zapalałam do niego większą sympatią.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 10:18

Dotarcie rowerem z farmy do miasteczka Kinnakee zajmowało godzinę. Co najmniej godzinę solidnego pedałowania, i to wtedy, gdy chłód nie sprawiał, że płuca paliły jak rozżarzone żelazo, a krew nie kapiała z podbródka. Ben zawsze tak kombinował, żeby stawiać się do pracy w szkole, gdy było tam najbardziej pusto, dlatego na przykład nigdy nie jeździł w soboty, bo wtedy odbywał się trening drużyny zapaśniczej. Czuł się okropnie z mopem w ręku, podczas gdy wokół kręcili się ci krzepcy, mocno umięśnieni faceci i pluli na podłogę, którą Ben właśnie umył do czysta, a potem patrzyli na niego szczególnym wzrokiem, w którym przepraszający wyraz mieszał się z wyzwaniem.

Dzisiaj była środa, ale wciąż trwały ferie bożonarodzeniowe, więc w szkole powinien panować spokój. To znaczy na siłowni na pewno ktoś będzie, stamtąd zawsze dochodziły takie odgłosy, jakby w środku pulsowało wielkie, metalowe serce. Specjalnie jednak wybrał poranne godziny. Im wcześniej przyjeżdżał, tym lepiej. Zazwyczaj zjawiał się w okolicach ósmej i do południa zmywał podłogi, ustawiał krzesła i stoły, pucował wszystko jak ostatni idiota, bo też i był idiotą, a potem szybko znikał, zanim się na kogoś natknął. Czasami Benowi się zdawało, że jest baśniowym elfem, który zakrada się gdzieś sekretnie, wszystko czyści na błysk i umyka tak sprytnie, że nikomu nigdy nie udaje się go przyłapać. Dzieciaki miały w dupie wygląd swojego otoczenia. Rzucaly otwarte kartony do kosza, mleko rozlewało się po podłodze, a one kwitowały to jedynie wzruszeniem ramion. Rozrzucaly mielonkę na siedzeniach w kafeterii i zostawiały tam, gdzie leżała, aż przyschła, bo to ostatecznie nie ich zmartwienie. Ben zresztą robił podobnie, ponieważ wszyscy inni tak postępowali. Niedawno upuścił kawałek kanapki z tuńczykiem i jedynie przewrócił oczami, jakby nie była to rzecz godna jego uwagi, chociaż parę dni później zasyfiona podłoga stała się jego problemem. To był kompletny idiotyzm. Nie szanował własnej pracy, a więc i samego siebie.

Tak więc ta robota pod każdym względem była do dupy, ale stawała się już totalnie denna, gdy wokół kręciły się inne dzieciaki i udawały, że go nie dostrzegają. Dzisiaj jednak zaryzykuje, pójdzie tam i odwali swoją szychkę. Diondra pojechała do Saliny na zakupy. Ta dziewczyna miała co najmniej dwadzieścia par dzinsów, które w oczach Bena niczym się nie różniły, ale stwierdziła, że potrzebuje kolejnej pary jakiejś szczególnej marki. Wszystkie

spodnie były workowate, Diondra zawsze podwijiała nogawki do wysokości kostki i eksponowała mięsiste skarpety. Ben bardzo się pilnował, by komplementować każde nowe dzinsy, a jego dziewczyna wówczas pytała: „A co powiesz o skarpetkaaaach?”. To był żart, ale nie do końca. Diondra nosiła skarpetki tylko od Ralpho Laurena, które kosztowały przynajmniej dwadzieścia dolców za parę i na tę myśl Benowi zawsze flaki się wywracały na drugą stronę. Ona miała całą szufladę tych skarpet - w kratkę, w kropki, w paski, oznakowane w połowie długości symbolem gracza w polo. Ben kiedyś dokonał szybkich obliczeń: zawartość tej szuflady - gdzie skarpetki leżały pięknie wyeksponowane, niczym tropikalne owoce na paterze - była warta co najmniej czterysta dolarów, co dawało mniej więcej połowę sumy, jaką jego mama dysponowała na cały miesiąc. Cóż, bogaci musieli kupować różne ładne rzeczy, a skarpetki były równie dobre jak co innego. Tak poza tym Diondra należała do dziwnych osób, niepoddających się klasyfikacji. Nie zaliczała się do eleganckiej śmietanki - była na to zbyt wyzywająca i nieokiełznana - ale nie pasowała też do metalowców, chociaż puszczała na cały regulator Iron Maiden, kochała skórzane ciuchy i wypalała tony trawki. Nie przyłączyła się do żadnej klikki, pozostała na zawsze Tą Nową. Niby każdy ją znał i nie znał jej zarazem. Mieszkała w różnych miejscach w Stanach, ale najdłużej w Teksasie i jeżeli zmalowała coś, co mogło budzić zastrzeżenia, programowo stwierdzała: „Tak się robi w Teksasie”. Cokolwiek wywinęła, było okej, bo ludzie w Teksasie coś takiego w pełni aprobowali.

Zanim Ben poznał Diondrę, dryfował bez celu. Był biednym, cichym wiejskim chłopakiem, który wraz z innymi wiejskimi dzieciakami zaszywał się w kącie. Nie byli dość beznadziejni, żeby stać się obiektem prześladowań; nikt nigdy w żaden sposób im nie dokuczał. W kategoriach szkolnych stanowili element tła. Dla Bena taka pozycja wydawała się jeszcze gorsza niż tych upokarzanych. No dobra, może nie gorsza, bo jednak nie chciałby się znaleźć w skórze tego chłopaka w grubych, dwuogniskowych okularach, którego znał od przedszkola i który zawsze był nieco szurnięty. Pierwszego tygodnia w liceum ów chłopak zesrał się w gacie - na temat tego, jak do tego doszło, krążyło kilka różnych wersji. Niektórzy twierdzili, że gównno wyskoczyło mu z szortów, kiedy na WF-ie wspinał się po linie; inni twierdzili, że zwałił kupę podczas lekcji wychowawczej. Ben słyszał też kilka innych opowieści. Tak czy inaczej chłopak po wieczne czasy zyskał ksywkę „Obsraniec”. Podczas przerw starał się nie rzucać nikomu w oczy, chodził ze spuszczoną głową, wbijał soczewki wielkich okularów w podłogę, a i tak jakiś mięśniak zawsze trzasnął go w tył głowy, wykrzykując: „Sie ma, Obsraniec!”. A on tylko szedł dalej, uśmiechał się posepnie i udawał, że bawi go ten dowcip. Więc owszem, były jednak gorsze rzeczy niż pozostawianie

niewidzialnym. Nie zmieniało to faktu, że Benowi owa niewidzialność zdecydowanie nie odpowiadała, bo już nie miał ochoty być tym Miłym, Cichym Rudzielcem, którym był od pierwszej klasy. Nudnym i bez jaj.

Uważał więc za cholerne szczęście, że Diondra go hołubiła - przynajmniej, gdy byli sam na sam. A zaczęło się wszystko od tego, że potrąciła go swoim sportowym samochodem. Tak właśnie się poznali. Wydarzyło się to w lecie, podczas biegu na orientację organizowanego dla uczniów trzeciej klasy liceum. Po zakończeniu tej głupoty, Ben szedł przez szkolny parking i wtedy w niego wjechała. Dosłownie wzięła go na maskę. Natychmiast wyskoczyła z auta i zaczęła się wydzierać: „Co ci, do kurwy nędzy, odwaliło w tym pojebanym łbie?”.

W jej oddechu wyczuł zapach coolera^{*}; butelki po nim dźwięczały wrzucone pod fotel jej hondy. Kiedy Ben zaczął przeproszać - autentycznie, to ON prosił ją o wybaczenie - i Diondra zrozumiała, że nie będzie się na nią wściekał, stała się bardzo słodka i zaproponowała, że odwiezie go do domu. W rezultacie pojechali za miasto i wypili więcej coolerów. Diondra powiedziała, że ma na imię Alexis, ale po jakimś czasie przyznała, że skłamała. Ben stwierdził, że nie powinna kłamać na temat swojego prawdziwego imienia, bo jest mega okej, co bardzo ją uszczęśliwiło. W końcu oznajmiła: „Wiesz, ty masz naprawdę sympatyczną twarz”, po czym dodała: „To jak, zamierzasz mnie wreszcie przelecieć?”. Wtedy poszli na całość; nie był to co prawda pierwszy raz Bena, no ale zaledwie drugi. Po godzinie Diondra musiała się zbierać, jednak wcześniej powiedziała Benowi, że nikt tak jak on nie umie wysłuchać drugiego człowieka, naprawdę, kurwa, nikt. Ostatecznie nie miała czasu odwieźć go do domu, więc wysiadł w tym samym miejscu, w którym go potrąciła.

Od tego czasu byli parą. Mimo to Ben nie znał jej przyjaciół i nigdy nie prowadził się z nią w szkole. Zresztą Diondra pokazywała się na lekcjach okazjonalnie, przemykała przez szkołę jak koliber. Ale Benowi wystarczyło, że spotykali się w weekendy, we własnej prywatnej przestrzeni, gdzie nic innego zupełnie się nie liczyło. Uzależnił się od tych spotkań, zawsze był duchem bardziej tam niż w otaczającej go codzienności.

Kiedy dotarł wreszcie do Kinnakee, na szkolnym parkingu stało sporo pikapów i poobijanych sportowych samochodów. A więc zwalili się zarówno koszykarze, jak i zapaśnicy. Ben doskonale wiedział, kto czym jeździ. Już chciał się wycofać, ale uświadomił sobie, że Diondra wróci dopiero za kilka godzin, a nie miał dość pieniędzy, żeby się zadekować w barze z hamburgerami - właściciel czerwieniwał na gębie i wpadał w szal, jeżeli

^{*} cooler - napój złożony z wina, soku owocowego i wody sodowej (przyp. tłum).

jakiś dzieciak niczego nie zamawiał. Poza tym samotne wysiadanie w jadłodajni w bożonarodzeniowe ferie wydawało się jeszcze gorsze od pracy. Niech matkę diabli porwą za to, że jest tak totalnie niewyluzowana. Rodziców Diondry zupełnie nie obchodziło, co robi ich córka - zresztą i tak większość czasu spędzali w swoim domu w Teksasie, z dala od Kinnakee. I nawet kiedy Diondrę zawiesili za dwa tygodnie nieobecności na zajęciach, jej mama tylko wybuchnęła śmiechem i powiedziała: „Myszy harczą i tak dalej, prawda, skarbie? Przynajmniej staraj się odrabiać pracę domową”.

Główne wejście do szkoły było zamknięte na łańcuch, musiał więc wejść od tyłu, przez szatnię. Już od progu uderzył go zapach ludzkich ciał i dezodorantu do stóp. Ale rozlegający się powyżej głuchy stukot piłek do kosza, i dochodzące z siłowni pobrękiwania upewniły go, że przynajmniej w szatni nikogo nie spotka. Z głębi korytarza dobiegł go krzyk - „Coooooper! Przytrzymaaaaaj!” - który odbił się echem od kamiennej posadzki niczym bojowe zawołanie. Usłyszał jeszcze gdzieś w oddali tupot stóp w tenisówkach i trzask metalowych drzwi, po czym zapanowała względna cisza - o ile nie liczyć rutynowych odgłosów z sali gimnastycznej i siłowni.

Sportowcy szczylicili się tym, że mają do siebie pełne zaufanie, bo to na nim budowali siłę drużyny, dlatego w szafkach nie zakładali zamków: W ich miejsce motali długie sznurówki. Przynajmniej dwanaście z nich znajdowało się teraz w zasięgu wzroku Bena, który jak zwykle walczył z pokusą pogrzebienia w którejś z szafek. Co właściwie chowali tam ci faceci? W normalnych szafkach szkolnych dzieciaki trzymały książki, co leżało tutaj, w sportowej szatni? Dezodoranty, kremy, specjalna bielizna, której on nigdy nie posiadał? Czy wszyscy nosili takie same ochraniacze na jaja? Jedno ze sznurowadeł zwisało bardzo luźno, wystarczyło lekko pociągnąć, by otworzyć szafkę. Szybko, żeby się przypadkiem nie rozmyślić, Ben usunął sznurowadło i cicho, ostrożnie nacisnął na metalowy zatrzask. W szafce nie znalazł nic interesującego: jakieś spodenki gimnastyczne zwinięte w kłębek i wciśnięte w kąt, kilka czasopism sportowych zwiniętych w rulon, torba sportowa wisząca na haczyku. Wyglądało na to, że coś jest w tej torbie, więc Ben wetknął głowę do szafki i rozpiął zamek błyskawiczny.

- Ej, ty tam!

Odwrócił się nerwowo. Torba zakolysała się gwałtownie i spadła na dno szafki. Nieopodal stał pan Gruger, trener zapaśników. Trzymał w ręku gazetę i wykrzywił twarz w gniewnym grymasie.

- Czego szukasz w tej szafce, do cholery?

- Um... niczego, zauważyłem, że jest otwarta.

- Co takiego?

- Jak przyszedłem, była już otwarta - upierał się Ben. Zamknął szafkę, jak mógł najciszej. Błagam, kurwa, błagam, niech nikt z drużyny nie zjawi się tutaj w tej chwili, powtarzał w myślach. Już widział, jak otaczają go rozwścieczone twarze i wyobrażał sobie ksywki, których mógł się przy okazji dorobić.

- Była otwarta, powiadasz? A po co do niej zaglądałeś?

Gruger pozwolił, żeby jego pytanie zawisło ciężko w powietrzu. Nie wykonał żadnego ruchu, żadnym gestem nie zasugerował, co zamierza z tym fantem zrobić, w jak poważne kłopoty właśnie wdepnął Ben, który z kolei wbijał wzrok w podłogę i pokornie czekał na reprimendę.

- Pytałem, po co do niej zaglądałeś?

Gruger trzasnął gazetą o swoje grube łapsko.

- Nie wiem.

Dziadyga wciąż sterczał w miejscu, a tymczasem Ben powtarzał w duchu: No nawrzeszcz wreszcie na mnie i miejmy to z głowy.

- Chciałeś coś ukraść?

- Nie.

- Dlaczego więc tam grzebałeś?

- Ja tylko... Wydawało mi się, że coś zauważyłem.

- Niby co?

Benowi przemknęła przed oczami lista zakazanych przyjemności: narkotyki, papierosy, świerszczyki. Ni stąd, ni zowąd, przyszedł mu do głowy fajerwerki. Powie, że w środku coś się zapaliło i może jeszcze wyjdzie na bohatera.

- Umra... zapalki.

- Wydawało ci się, że widziałeś zapalki?

Krwawe plamy rozlały się z policzków Grugera na czoło, zetknęły z linią włosów obciętych na rekruta.

- Chciałem zapalić papierosa.

- Jesteś tutaj sprzątaczem, prawda? Day Jakiśtam?

W ustach trenera to nazwisko zabrzmiało głupio, po babsku. Trener wpatrywał się bacznie w ranę na czole Bena, a potem jego wzrok powędrował nieco wyżej.

- Pofarbowaleś włosy.

Ben, ze swoją czarną strzechą na głowie, poczuł się nieprzyjemnie skategoryzowany i odrzucony, wrzucony do jednego worka z ofiarami losu, narkomanami, cieniasami i pedałami.

Niemal słyszał, jak te obraźliwe słowa cisną się trenerowi na usta; Grugerowi nerwowo zadrgała górna warga.

- Wynoś się. Zaczynij sprzątać gdzie indziej. I nie wracaj, póki stąd nie wyjdziemy. Nie jesteś tutaj mile widziany. Zrozumiano?

Ben skinął głową.

- Wolałbym to usłyszeć. Miałbym wówczas pewność, że dotarło do ciebie, co powiedziałem.

- Nie jestem tutaj mile widziany - mruknął Ben.

- Teraz znikaj.

Odprawił go takim tonem, jakby Ben był pięciolatkiem odesłanym za karę do mamusi. Nie miał jednak pola do manewru, musiał odwrócić się na pięcie i wyjść.

Wbiegł po schodach, wpadł do kantorka dla sprzątaczy, poczuł kroplę potu spływającą po plecach. Przez cały czas był na bezdechu. Kiedy ogarniała go wściekłość, zapomniał o oddychaniu. Wyciągnął wielkie wiadro, wstawił do zlewu, odkręcił kran z ciepłą wodą i wlał do środka płyn czyszczący w kolorze szczywn. Natychmiast uniosły się w górę opary amoniaku, szczypiąc ostro w oczy Ben dźwignął wiadro, żeby osadzić je w specjalnym wózku, ale przesadził z ilością wody i dobry litr pianistego płynu chlusnął mu na spodnie. Przemoczył krocze i jedną nogawkę. Wyglądało to tak, jakby sprzątacznik Day zsiadł się w gacie. Dżinsy przykleiły mu się do ud i natychmiast zeszywniały. A więc czekają go trzy godziny gównianej harówki z mokrą plamą w okolicach fiuta, w spodniach twardych jak karton.

- Pierdolę to wszystko - mruknął pod nosem. Kopnął z całej siły ścianę i spod ciężkiego buta wystrzelił tynk, ale Benowi było mało, więc rąbnął jeszcze pięścią w mur. - Pierdolę! - wrzasnął na całe gardło. I na wszelki wypadek nie wychodził przez jakiś czas z kantorka, krył się niczym ostatni tchórz, bo bał się, że Gruger wytropi, skąd dochodził krzyk i teraz naprawdę da mu popalić.

Ale nic takiego się nie stało. Nikogo ani trochę nie obchodziło, co się dzieje w kanciapie sprzątacza.

*

Planowo miał posprzątać przed tygodniem, ale Diondra jęczała, że przecież oficjalnie są ferie i chrzanić pracę. Stąd kosze w kafeterii kipiały od śmieci - starych puszek po napojach, z których kapał syrop, papieru śniadaniowego umazanego sałatką z kurczaka, zapleśniałych resztek specjalnego lunchu, ostatniego w osiemdziesiątym czwartym roku - potrawki z mięsa mielonego w słodkim pomidorowym sosie. Wszystko gniło. I wkrótce

rozpryski odpadków znalazły się także na swetrze i spodniach Bena, więc teraz już nie tylko śmierdział amoniakiem i potem, ale na dodatek zepsutym żarciem. Nie mógł iść do Diondry w takim stanie; jakim w ogóle trzeba być idiotą, żeby równie głupio zaplanować rozkład dnia. W zaistniałej sytuacji będzie musiał popedałować do domu, stoczyć batalię z mamą - czekał go przynajmniej półgodzinny wykład - potem wziąć prysznic, znów wskoczyć na rower i przygnać do Diondry. O ile mama nie założy mu szlabanu. Chrzańć to, i tak wyjdzie. Ostatecznie chodziło o jego ciało i jego włosy. Jego pieprzone, pedalskie czarne kudły.

Wymył podłogi, następnie zabrał się do opróżniania koszy z pokojów nauczycieli. To było jego ulubione zajęcie, bo sprowadzało się jedynie do załadowania dużego wora masą pomiętych kartek, lekkich jak wyschłe liście. Ostatnia czynność polegała na wyszorowaniu korytarza łączącego szkołę średnią z podstawówką (gdzie sprzątaczem był jakiś inny, głęboko zawstydzony swoją funkcją uczeń). Na ścianach wzdłuż holu widniały wielobarwne plakaty, reklamujące mecze futbolowe, zawody lekkoatletyczne, zajęcia kółka dramatycznego, które po stronie podstawówki ustępowały miejsca literom alfabetu i krótkim notkom na temat George'a Washingtona. Terytorium dziecięce od zespołu szkół średnich oddzielały drzwi pomalowane na żywy, niebieski kolor, ale pełniły one funkcję czysto symboliczną - nigdy nawet nie zainstalowano na nich zamków. Ben wymył korytarz ciągnący się od Krainy Nastolatków do Miasta Dzieciaków, wrzucił mop do wiadra, które kopniakiem odsunął od siebie. Metalowa rama z kubłem potoczyła się żwawo po betonowej posadzce i uderzyła o ścianę z nieznacznym rozpryskiem.

Ben chodził do podstawówki w Kinnakee od piątego do czternaste go roku życia, więc był ściślej związany z tamtym skrzydłem szkoły, niż ze stroną, po której stał teraz, ufajdany odpadkami.

Nagle zapragnął się wtopić w ciszę tej drugiej części i poddał się impulsowi. Wejdzie się tylko przywitać z dawnym, znajomym miejscem. Usłyszał, jak zamykają się za nim niebieskie drzwi i od razu poczuł się swobodniej. Ściany tutaj miały kolor świeżej cytryny, a wokół drzwi wisiały różne dekoracje, wykonane przez samych uczniów. Kinnakee było na tyle małą miejscowością, że każdy rocznik miał jedną, własną salę. Do gimnazjum i liceum uczęszczało dwa razy tylu uczniów, ponieważ zjeżdżały tu dzieciaki z okolicznych miasteczek. Ale podstawówka zawsze była swojska i przytulna. Na ścianie zauważył uśmiechnięte słoneczko z filcu, a obok napis: Michelle D. lat 10. Dostrzegł też rysunek przedstawiający kota w wymyślnych butach ze sprzączką, który z uśmiechem wręczał prezent myszce trzymającej urodzinowy tort. Libby D., klasa I. Zaczął się rozglądać dookoła, ale nigdzie nie zauważył żadnej pracy autorstwa Debby. Nie dałby co prawda za to głowy, ale

gdy się głębiej zastanowił, uznał, że ta mała nie ma żadnych zdolności manualnych. Kiedyś chciała pomóc mamie w pieczeniu ciastek, sapała przy tym głośno i oczywiście wszystko sknociła, a potem zjadła więcej surowego ciasta, niż go upiekła. Nic więc dziwnego, że na żadnej ścianie nie było ani jednego dzieła Debby.

Wzdłuż całego korytarza stały żółte plastikowe pojemniki, w których uczniowie mogli trzymać swoje prywatne skarby. Na każdej plastikowej pokrywie był pasek maskującej taśmy z imieniem i nazwiskiem dzieciaka. Ben zajrzał do pojemnika Libby: leżał tam do połowy wyspany, miętowy cukierek i metalowy spinacz do papieru. U Debby znalazł brązową torebkę śniadaniową, śmierdzącą mielonką, a u Michelle - zestaw wyschniętych flamastrów. Zajrzał do pojemników innych dzieciaków, z czystej ciekawości, i uświadomił sobie, o ile były bogatsze. Pudełka z zestawem sześćdziesięciu czterech kredek, samochodziki na baterie, piękne lalki, grube bloki kolorowego brystolu, breloczki do kluczy, książeczki z nalepkami, mnóstwo słodyczy. Smutne. Oto miał przed oczami oplakane skutki rodzenia gromady dzieci, mimo że nie miało się środków na ich utrzymanie. Mniej więcej w podobny sposób kwitowała sprawę Diondra, gdy wspominał o trudnej sytuacji materialnej w domu. „Cóż, twoja mama nigdy nie powinna mieć tak wielu dzieciaków”. Diondra była jedynaczką.

W drodze powrotnej do skrzydła licealnego Ben złapał się na tym, że lustruje pudła piątoklasistów. Aha, tutaj stoi pojemnik tej małej Krissi, która się w nim durzyła. Wypisała swoje nazwisko jaskrawozielonymi literami, a obok wymalowała stokrotkę. Urocze. Ta dziewczynka była w ogóle kwintesencją uroku, takie dziecko można by zobaczyć w reklamie płatków śniadaniowych. Blond włosy, niebieskie oczy, zadbana od stóp do głów. W przeciwieństwie do jego siostr zawsze nosiła dzinsy odpowiedniego rozmiaru, wszystko miała idealnie wyprasowane, pachniała czystością. Jej bluzki były dopasowane kolorem do koloru skarpetek, zapinek do włosów czy czegoś tam jeszcze. Oddech Krissi nie śmierdział tanim jedzeniem, jak oddech Debby, jej ręce nie były podrapane w odróżnieniu od rąk Libby. Rąk ich całej czwórki. Paznokcie zawsze miała starannie pomalowane na różowy kolor, i od razu było widać, że robiła to jej mama. Ben gotów by się założyć, że w pojemniku Krissi znajdzie Truskawkowe Lalki i inne ślicznie pachnące zabawki.

Nawet nazywała się super - Krissi Cates. W szkole średniej, z tymi jasnymi włosami spływającymi po plecach, na pewno zostanie cheerleaderką, i najprawdopodobniej zapomni, że kiedyś szalała na punkcie starszego chłopaka imieniem Ben. Ile on wtedy będzie miał lat? Dwadzieścia? Może pewnego dnia wraz z Diondrą przyjadą z Witchita na szkolny mecz, a Krissi w trakcie podskoków dojrzy go na trybunach, błysnie śnieżnymi zębami w uśmiechu i pomacha entuzjastycznie, a wówczas Diondra powie: „Nie wystarczy, że rozkochałeś w sobie

połowę kobiet w Witchita, musisz jeszcze łamać serca nieszczęsnych nastolatek? ”.

Ben pewnie nigdy nie poznałby Krissi - była o oczko wyżej od Michelle - gdyby pewnego dnia, na początku roku szkolnego, nie został zwerbowany na asystenta jednej z nauczycielek. Pani Nagel, która zawsze lubiła Bena, złapała go pewnego razu za rękaw i poprosiła, żeby pomógł jej w pozalekcyjnych zajęciach ze sztuki. Tylko ten jeden raz, bo jej stały asystent się nie stawił w określonym miejscu i czasie. Ben powinien wracać do domu, ale wiedział, że mama się nie wkurzy za to, że pomaga młodszym dzieciom - w domu zawsze mu truła, żeby poświęcał więcej czasu siostrze - a mieszanie farb było tysiąc razy lepsze od uprzątnięcia gnoju. Krissi należała do grupy uczęszczającej na zajęcia, ale nie wydawała się w najmniejszym stopniu zainteresowana malunkami. Mazała pędzlem po kartonie, aż w końcu przybrał barwę brązowego gówna.

- Wiesz, co to przypomina - zagał.

- Kupę - odparła i wybuchnęła śmiechem.

Była flirtiarą, urodzoną słodką trzpiotką, która z góry zakładała, że wszyscy wokół ją polubią. Cóż, Ben ją polubił. Pomiedzy długimi interwałami ciszy wymieniali się czasami jakimś zdaniem.

- Gdzie mieszkasz?

Pacnięcie farbą, pociągnięcie pędzlem. Kolejna porcja farby, i jeszcze jedno maźnięcie.

- Niedaleko od Saliny.

- I przyjeżdżasz tutaj do szkoły? To kawał drogi.

- Moja szkoła jest jeszcze w budowie. Od następnego roku będę się uczyć bliżej domu.

- Teraz sporo czasu musisz spędzać w samochodzie.

Skrzyp krzesła, poruszenie ramieniem.

- Uhm. Nienawidzę tego. Muszę długo czekać po lekcjach, aż tata po mnie przyjedzie.

- Ale zajęcia z malarstwa są świetne.

- Ja wolę balet. W weekendy chodzę na lekcje baletu.

Lekcje baletu w weekendy były wiele mówiące. Krissi zapewne należała do tych dzieciaków, które za domem miały basen, a przynajmniej trampolinę. Ben zamierzał jej powiedzieć, że na farmie trzymają krowy - chciał sprawdzić, czy lubi zwierzęta - ale w porę ugryzł się w język. Już i tak okazywał jej zbyt wiele zainteresowania. To ona, jako znacznie młodsza, powinna robić wszystko, by mu zaimponować.

Przez resztę miesiąca na ochotnika pełnił rolę asystenta pani Nagel. Droczył się z

Krissi, żartował z jej kiepskich rysunków („Co to ma być? Żółt?” „Nie, wielki głuptasie, BMW mojego taty”) i wysłuchiwał opowieści o balecie. Pewnego dnia śmiała mądrała przemknęła się do skrzydła licealistów i czekała na Bena przy jego szafce. Miała na sobie dzinsy z cekinowymi motylkami na kieszeniach i różową bluzkę suto drapowaną w miejscu, gdzie kiedyś miały się pojawić piersi. Nikt nie zwracał na nią uwagi, poza jedną dziewczyną o rozbudzonym instynkcie macierzyńskim, która próbowała otoczyć Krissi opieką i zaproponowała, że odprowadzi ją do właściwego skrzydła szkoły.

- Dziękuję, nie trzeba - odparła rezolutnie mała. Podrzuciła wyzywająco włosami i zwróciła się do Bena. - Chciałam ci tylko to dać.

Wręczyła mu liścik złożony w trójkąt, na którym wypisała imię „Ben” bąblastymi literami. A potem odbiegła w podskokach - drobna dziewczynka o połowę niższa od otaczających ją ludzi, ale ani trochę tym niezdeprymowana.

Na malarstwie poznałam chłopca, Ben mu na imię.

Wiedziałam, że pewnego dnia serce jego podbiję.

Ma rude włosy i ładną, jasną cerę.

Czy mnie zechce? Taką mam nadzieję.

Na dole widniały duże litery CDN. Ben widział, jak przyjaciele jego znajomych dostają takie różne liściki, ale dla niego to była nowość. Rok temu, w lutym, dostał trzy walentynki - jedną od nauczycielki, która musiała mu ją wysłać z obowiązku, drugą od miłej koleżanki, która wszystkich obdarzała kartkami, a trzecią od dziwnej, rozgorączkowanej grubaski, która zawsze wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

Diondra pisywała do niego czasami, ale jej liściki nie były urocze, tylko gniewne i wyjątkowo wulgarne, skreślane na kolanie, gdy za karę zatrzymywano ją po lekcjach. Tak czy inaczej, do tej pory żadna dziewczyna nie napisała dla niego wiersza, a było to tym bardziej urocze, iż Krissi wydawała się zupełnie nieświadoma faktu, że jest dla niego zdecydowanie za młoda. Dostał wiersz od dziewczynki, która nie miała pojęcia o seksie i o bzykaniu. (A może jednak miała? Kiedy właściwie normalne dzieciaki zaczynają się bzykać?)

Następnego dnia czekała na niego pod salą zajęć plastycznych i zapytała, czy przez chwilę nie mógłby posiedzieć z nią na schodach; w rezultacie przez całą godzinę przerzucali się żartami na tych pograżonych w mroku stopniach. W pewnym momencie Krissi złapała go za ramię i przywarła do niego z całej siły. Ben wiedział, że nie powinien na to pozwalać, ale ten gest był taki słodki - nie dziwaczny, lecz po prostu miły - jakże różny od seksualnej

szarpaniny i wrzasków Diondry czy obcesowej kanciastości jego sióstr. Krissi miała usta pociągnięte błyszczkiem i pachniała gumą balonową, a ponieważ Ben nigdy nie miał forsy na balonówkę - czy może być, kurwa, coś żałośniejszego? - gdy czuł ten zapach, zawsze ciekła mu ślinka.

Przez parę następnych miesięcy ciągnęli tę zabawę - siadywali razem na schodach i czekali na przyjazd jej ojca. W weekendy nigdy nie mieli ze sobą kontaktu, a zdarzało się, że i w dzień powszedni zapominała na niego poczekać i wówczas sterczał na schodach jak ostatni palant, z paczką lepkich od ciepła skittle'ów w ręku, które znalazł, sprząając kafeterię. Krissi uwielbiała słodycze. Podobnie jak jego siostry, które lgnęły do cukru jak osy. Gdy pewnego dnia wrócił do domu, zobaczył Libby wyjadającą dżem prosto ze słoika.

Nigdy nie powiedział Diondrze o tej historii z Krissi. Jeżeli Diondra w ogóle przychodziła do szkoły, zmykała piętnaście po trzeciej, żeby zdążyć na show Phila Donahue i ulubione telenowele. (Oglądała je zawsze, wyjadając surowe ciasto na biszkopt wprost z miski - o co dziewczynom chodziło z tymi słodyczami?) Ale gdyby nawet Diondra się o tym dowiedziała, nie miałby się z czego tłumaczyć, bo nie robił nic złego. Był jedynie życzliwym doradcą. Starszym kolegą pomagającym młodszej dziewczynce w pracach domowych i opowiadającym o życiu w szkole średniej. Może powinien studiować psychologię albo zostać nauczycielem? Nie wspominając już o fakcie, że jego ojciec był pięć lat starszy od mamy.

Do jednego jedyne go problematycznego incydentu między nim a Krissi doszło tuż przed Bożym Narodzeniem. Siedzieli jak zwykle na schodach, ssali zielone jabłkowe żelki i przyjaźnie się poszturchiwali, aż nagle Krissi znalazła się zdecydowanie za blisko, jej małeńki, rozwijający się sutek przywarł do ramienia Bena. Poczul coś gorącego na szyi, wokół unosił się zapach jabłek, mała wciąż się do niego przytulała, nie mówiła ani słowa, tylko szybko oddychała, a Ben wyczuwał na bicepsie szybkie uderzenia jej serca, jakby przysiadł mu na rękę mały kotek. Dłonie Krissi podpełzły w górę, znalazły się pod jego pachami i nagle jej usta przylgnęły do ucha Bena, a potem przesunęły się na policzek i wędrowały powoli w dół, przyprowadzając go o dreszcze w ramionach. Zanim na dobre zdał sobie sprawę, co się dzieje, twarz Krissi znalazła się tuż naprzeciwko, a małe wargi napierały na jego usta, prawie się nie poruszając. Ich serca biły teraz równym rytmem, całe ciało dziewczynki znalazło się pomiędzy jego nogami. Ręce Bena, które trzymał sztywno opuszczone po bokach, pokryły się potem, a jego usta rozwarły się tylko odrobinę, mimo to natychmiast wsunął się w nie mały język, lepki i delikatnie podrygujący. W tym momencie Benowi tak gwałtownie stwardniał fiut, że groziło to potężną eksplozją w spodniach. Objął Krissi dłońmi w tali, odsunął od siebie, po czym zbiegł ze schodów i pognął do łazienki,

krzyżąc przez ramię: „Przepraszam, przepraszam”. Wpadł do kabiny w ostatniej chwili: szarpnął tylko raz i spuścił się we własne ręce.

Libby Day

Współcześnie

A więc miałam się spotkać z moim bratem, teraz już bardzo dorosłym człowiekiem. Po piwie z Lyle'em pojechałam prosto do domu i posunęłam się do tego, że zaczęłam studiować „Rodzinę w więzieniu”, poradnik przysłany przez Barb Eichel. Jednak po przebrnięciu przez dwa zawiłe rozdziały poświęcone metodom zarządzania systemem penitencjarnym stanu Floryda cofnęłam się na pierwszą stronę, spojrzałam na rok wydania - 1985 - i doszłam do wniosku, że równie dobrze mogłabym czytać o systemie więziennictwa w średniowieczu. Jednocześnie z drżeniem serca zaczęłam się zastanawiać, jakie jeszcze bezsensowne pakiety materiałów mogła przesłać mi Barb: opracowania na temat zanieczyszczenia aquaparków w Alabamie, broszury o obniżającym się poziomie usług hotelowych w Las Vegas, alarmistyczne ostrzeżenia o pluskwie milenijnej.

W końcu zwałam na Lyle'a załatwienie wszelkich wstępnych formalności, których trzeba było dopełnić, żeby się dostać na widzenie z więźniem. Powiedziałam, że nie jestem w stanie dotrzeć do odpowiedniego urzędnika, że ta cała procedura przytłacza mnie psychicznie, ale tak naprawdę po prostu nie chciało mi się kiwnąć palcem w bucie. Nie miałam w sobie dość energii: cyfrowo wybierz odpowiednią opcję, czekaj na zgłoszenie konsultanta, gadaj, znowu czekaj, a potem bądź uprzejmy dla jakiejś wkurwionej baby obarczonej trzema bachorami i odnawianym co roku postanowieniem, że wróci do college'u i ukończy studia - innymi słowy dla baby, która ma nadzieję, że dasz jej pretekst, by się na tobie wyżyła i trzasnęła słuchawką. Bez dwóch zdań to wredna suka, ale nie możesz jej tego powiedzieć, bo, niczym w tej dziecięcej grze planszowej, znajdziesz się nagle z powrotem w punkcie startu. I kiedy zadzwonisz ponownie, będziesz zmuszony zachowywać się jeszcze milej. Niechaj więc Lyle odwali za mnie tę pańszczyznę.

Ben był obecnie osadzony w więzieniu zbudowanym na obrzeżach Kinnakee w dziewięćdziesiątym siódmym roku, po kolejnej fali scalania gruntów rolnych. Kinnakee leży niemal pośrodku Kansas, stosunkowo blisko granicy z Nebraską i swego czasu uważało się za geograficzny środek USA - oczywiście z uwzględnieniem jedynie czterdziestu ośmiu, bezpośrednio graniczących ze sobą stanów. Serce Ameryki. W latach osiemdziesiątych to była wielka sprawa, wówczas wszyscy przeżywaliśmy patriotyczne uniesienia. Inne miasta w Kansas również ogłaszały się pępkiem Ameryki, ale my, mieszkańcy Kinnakee, uparcie i

dumnie ignorowaliśmy ich roszczenia. Ostatecznie ten tytuł - i tylko on - czynił naszą miejscowość wartą uwagi i zainteresowania. Izba Handlowa sprzedawała plakaty i T-shirty z nazwą miasteczka wypisaną kursywą pośrodku wielkiego serca i co roku Diane kupowała każdej z nas, sióstr Day, nową koszulkę, częściowo dlatego, że wszystkie uwielbiałyśmy serduszka, a także z tej przyczyny, że Kinnakee to indiańskie słowo, które wedle naszej ukochanej cioci oznaczało „Mała Magiczna Kobieta”, a Diane chciała w nas zaszczepić idee feminizmu. Kiedyś moja mama zażartowała, że jej siostra nie goli regularnie nóg i wówczas wszystko się zaczęło. Ja sobie tego nie przypominam, za to żywo pamiętam Diane, potężną i gniewną - po morderstwach zawsze chodziła wściekła - jak pali papierosa w swojej przyczepie, popija herbatę z plastikowego kubka, na którym widniało jej imię, i opowiada o słynnych T-shirtach.

Ostatecznie wyszło na to, że przez lata karmiliśmy się ułudą. Za geograficzny środek USA oficjalnie uznano Lebanon w stanie Kansas. Kinnakee budowało swój status w oparciu o fałszywe przesłanki.

*

Sądziłam, że miną długie miesiące, zanim otrzymam zezwolenie na widzenie z Benem, a tu nagle się okazało, że Stanowy Zakład Penitencjarny w Kinnakee szybko i bez ceregieli wydaje przepustki. („Jesteśmy przekonani, że częsty kontakt z rodziną i przyjaciółmi wywiera pozytywny wpływ na osadzonych, pomaga w resocjalizacji i zachowaniu więzi społecznych”). Musiałam tylko wypełnić jakieś papierki, a gdy już miałam to z głowy, spędziłam kilka dni na studiowaniu materiałów dostarczonych przez Lyle’a. Po raz pierwszy też zdobyłam się na odwagę: przeczytałam stenogramy z przesłuchań oraz rozprawy Bena.

I oblał mnie zimny pot.

Moje zeznania były konglomeratem dziecięcych lęków i strzępów niejasnych wspomnień („Jestem pewna, że Ben przyprowadził do domu złą wiedźmę i to ona nas wszystkich pozabijała, oznajmiłam, na co prokurator odpowiedział jedynie: „Uhm, a teraz porozmawiajmy o tym, co się naprawdę stało”), oraz wyuczonych fraz, wbitych mi przez kogoś do głowy („Kiedy stałam w progu pokoju mamusi, widziałam, jak Ben grozi jej bronią palną”). Gdy zaś chodzi o obrońcę mojego brata, równie dobrze mógł mnie otulić bibułą i usadzić na puchowym łożu - tak delikatnie się ze mną obchodził. („Czy na pewno wszystko widziałaś równie dokładnie, jak teraz twierdzisz, Libby? Czy jesteś absolutnie, całkowicie pewna, że to był twój brat, Libby? A może jedynie ci się wydawało, że to słyszałaś?” Na co z mojej strony padło: „Tak. Tak”. I „Nie”). W końcu na każde pytanie odpowiadałam jedynie „Chyba”, dając w ten sposób do zrozumienia, że mam już po dziurki w nosie tego całego

przesłuchania.

Adwokat Bena rozvodził się nad plamą krwi nieznanego pochodzenia na prześcieradle Michelle i nad odciskami tajemniczego półbuta, ale nie potrafił przedstawić przekonującej odmiennej teorii odnośnie do przebiegu wydarzeń. Może ktoś obcy był na miejscu zbrodni owej nocy, jednak przed domem nie znaleziono żadnych śladów stóp lub opon, które by tego dowodziły. Rankiem trzeciego stycznia temperatura skoczyła o siedem stopni w górę, śnieg zaczął topnieć i wszelkie ewentualne dowody pochłonęło błoto.

Poza moimi zeznaniami jeszcze inne fakty obciążały Bena: miał na twarzy szramę po zadrapaniu paznokciami, jednak nie umiał wyjaśnić, skąd się tam wzięła; z początku opowiadał, że całą rodzinę wymordował facet o nadzwyczaj gęstych włosach, ale szybko zmienił linię obrony na; „nie było mnie w domu, nic nie wiem”; w jego pokoju, obok łóżka, znaleziono gruby kosmyk włosów Michelle; i na domiar złego mój brat od samego początku sprawiał jak najgorsze wrażenie. Miał pofarbowane na czarno włosy, co wydawało się podejrzane. Widziano, jak „się czaił” w pobliżu szkoły, co potwierdziło kilkoro nauczycieli. Zastanawiano się, czy przypadkiem nie próbował ukradkiem zabrać ze swojej szafki zwierzęcych szczątków (zwierzęcych szczątków?!) lub czy nie gromadził przedmiotów należących do innych uczniów, żeby je wykorzystać w satanistycznej mszy. Po kilku godzinach coś mu najwyraźniej odwalilo, bo zaczął bredzić na temat ofiar składanych diabłu.

Niczego też nie zrobił, żeby poprawić swoje położenie. Nie przedstawił żadnego alibi na czas zbrodni. Przyznał, że miał klucz do domu, a nigdzie nie odkryto śladów włamania. Poprzedniego dnia pokłócił się z matką. Poza tym zachowywał się jak ostatni dupek. Gdy prokurator zarzucił mu, że jest mordercą i czcicielem diabła, Ben entuzjastycznie zaczął się rozvodzić na temat rytuałów satanistycznych, po czym przyznał, że szczególnie lubi piosenki, które przypominają mu o istnieniu podziemnego świata i wielkiej mocy satanizmu. („Ten kult zachęca, byśmy robili to, co sprawia nam przyjemność, ponieważ tak naprawdę wszyscy jesteśmy zwierzętami”).

W pewnym momencie prokurator powiedział do Bena:

- Przestań się bawić tymi cholernymi włosami i zachowuj się poważnie, czy doprawdy nie rozumiesz, że to bardzo poważna sprawa?

- Rozumiem, że pan uważa ją za poważną - odparł na to mój brat.

Takie zachowanie zupełnie nie było podobne do Bena, jakiego pamiętałam - cichego, zamkniętego w sobie chłopca, zawsze chowającego głowę w ramiona. W materiałach Lyle'a znalazłam kilka zdjęć z procesu. Ben miał na nich czarne włosy, ściągnięte w kitkę (czemu obrońcy nie kazali mu ich ściąć?!), był ubrany w niedopasowany garnitur i zawsze albo

wyginał usta w krzywym uśmiešku, albo prezentował kamienną, pozbawioną wyrazu twarz.

Tak więc Ben nie zrobił nic, by sobie pomóc, co nie zmienia faktu, że gdy czytałam stenogramy z rozprawy, policzki paliły mnie żywym ogniem. Z drugiej strony lektura tych dokumentów trochę podniosła mnie na duchu. Nie tylko ja ponosiłam winę za to, że Ben tyle lat gnił w więzieniu (o ile był niewinny, naprawdę niewinny). Po drodze każdy na swój sposób przyłożył do tego rękę.

*

Zaledwie tydzień po tym, jak zgodziłam się spotkać z Benem, jechałam do niego na widzenie. Powracałam do miejsca swojego urodzenia, którego nie widziałam od co najmniej dwunastu lat, i które zmieniło się teraz w typowo przywiezienne miasteczko - bez mojej zgody i wiedzy.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że nagle się znalazłam na emocjonalnym zakręcie. Zdołałam wsiąść do samochodu tylko z jednego powodu: cały czas powtarzałam sobie w duchu, że nie zahaczę o centrum Kinnakee i nie skrucę w zwirowkę prowadzącą do mojego domu - nie zrobię tego pod żadnym pozorem. Choć naturalnie owego domu już tam od dawna nie było: ktoś przed wielu laty kupił farmę i natychmiast zrównał z ziemią budynek mieszkalny. Wyburzył ściany, które moja mama dekorowała tanimi plakatami ze zdjęciami kwiatów; roztrzaskał okna, na które chuchaliśmy, gdy sprawdzaliśmy, kto się zbliża podjazdem; porozbijał framugę drzwi, na której mama dokumentowała wzrost dzieci - ale tylko Bena i moich sióstr, bo jak ja się znalazłam na świecie, nie miała już na to siły (wyłącznie jedna kreska należała do mnie: „Libby 98 cm”).

Przez trzy godziny posuwałam się w głąb Kansas; najpierw rollercoasterem międzystanowej pokonałam wzniesienia Flint Hills, a potem znalazłam się na równinie i zobaczyłam tablice zapraszające do zwiedzania Holu Sławy Wyścigowych Chartów, Muzeum Telefonii, a także do obejrzenia Największego Kłębka Szałowego Sznurka na świecie. Niespodziewanie obudziła się we mnie lokalna duma - powinnam zajrzeć do tych wszystkich miejsc, choćby tylko po to, żeby dać po pysku wszystkim przejezdnym, którzy pozwalają sobie na kpiące uwagi.

W końcu zjechałam z autostrady i kierowałam się na północny zachód płataniną bocznych dróg. Miałam przed oczami pola: plamki zieleni, żółcienia i brązu, pastoralny pointylyzm. Pochyliłam się nad kierownicą i skakałam między stacjami radiowymi, nadającymi łzawe kawałki country lub chrześcijański rock. Marcowe słońce, przebijające się z mżawką przez chmury, rozplomieniało moje groteskowe, rude odrosty. Ciepło i karmazynowe blaski sprawiły, że znowu przed oczami stanęła mi krew. Obok, na siedzeniu

pasażera, leżała miniaturowa buteleczka z wódką, którą zamierzałam wychylić, gdy dotrę do więzienia. Mój samodzielnie zaordynowany anestetyk. Musiałam się wykazać zupełnie nietypową dla mnie siłą woli, żeby nie wypić wódki podczas jazdy, z jedną ręką na kierownicy, z głową ostro odchylną do tyłu.

Ledwo pomyślałam, że zbliżam się do celu, a jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki na tle bezkresnej równiny zamajaczył maleńki znak. Wiedziałam, co to takiego: tablica, na której kursywą typową dla lat pięćdziesiątych wypisano „Witamy w Kinnakee, Sercu Ameryki!”. Już z daleka widziałam ten slogan, a w lewym dolnym rogu dostrzegałam nawet dziury po kulach, wystrzelonych przez Runnera, gdy przed dziesiątkami lat przejeżdżał tędy swoim pikapem. Ale gdy podjechałam bliżej, okazało się, że wyobraziłam sobie jedynie ślady tej dawnej strzelaniny. To była zupełnie nowa tablica, jednak z napisem identycznej treści, co stara. „Witamy w Kinnakee, Sercu Ameryki!”. Uporczywie trzymają się kłamstwa, to mi się spodobało. Ledwo minęłam tablicę, pojawiła się następna: „Stanowy Zakład Penitencjarny - pierwsza w lewo”.

Zgodnie z drogowskazem skręciłam na zachód. Nowa, szeroka droga przecinała grunty, które kiedyś należały do Eveleech. A dobrze wam tak, Evelee'owie, pomyślałam mściwie, chociaż zupełnie nie pamiętałam, co złego zrobili nam ci ludzie i dlaczego powinnam się cieszyć z ich upadku.

Znajdowałam się na obrzeżach miasta i wlokłam w żółwym tempie. Kinnakee nigdy nie należało do prosperujących miejscowości: znajdowały się tu głównie farmy, z trudem walczące o przetrwanie, i kilka quasi-rezydencji ze sklejki, wzniesionych w czasie skandalicznie krótkotrwałego boomu naftowego. Teraz jednak było jeszcze gorzej niż przed laty. Więzienie nie wyciągnęło miasta z nędzy. Wzdłuż ulicy stało wiele lombardów i kilka tandetnych domów, wybudowanych zaledwie dziesięć lat temu, a już popadających w ruinę. Na brudnych podwórkach stały niegramotne dzieciaki z rozdziawionymi gębami. Wszędzie wokół walały się śmieci: opakowania po żywności, niedopałki, zużyte słomki do napojów. Na krawężniku stał cały posiłek na wynos w styropianowym opakowaniu, z niewiadomych przyczyn porzucony przez właściciela. Nieopodal, w rynsztoku, walały się frytki wymazane ketchupem, styropianowy kubek i plastikowy widelec. Nawet drzewa przedstawiały sobą żaloszny widok: były skarłate, wiotkie i uparcie odmawiały pączkowania. Na końcu kwartału, pomimo marcowego chłodu, siedziała na ławce młoda parka; oboje grubo ciosani i przysadziści, śledzili przejeżdżające samochody z taką uwagą, jakby oglądali fascynujący serial telewizyjny.

Na najbliższym słupie telefonicznym powiewało skserowane zdjęcie ponurej

nastolatki, zaginionej w październiku dwa tysiące siódmego roku. Dwie przecznice dalej natknęłam się na podobny plakat, tym razem przedstawiający dziewczynkę, która zniknęła w czerwcu dwa tysiące ósmego roku. Obie poszukiwane były zaniedbane i brzydkie, co tłumaczyło, czemu nie zasłużyły na tak królewskie traktowanie jak Lisette Stephens. Postanowiłam w duchu, że w najbliższym czasie zrobię sobie zdjęcie, na którym będę się promiennie uśmiechać, na wypadek, gdybym kiedyś zaginęła.

Kilka minut dalszej jazdy i moim oczom ukazało się więzienie, wzniesione na dużej, spalonej słońcem równinie.

Było mniej onieśmielające, niż sobie wyobrażałam, gdy parę razy odważyłam się myśleć o tym miejscu. Wyglądało jak peryferia dużego miasta i równie dobrze mogłoby zostać uznane za regionalne centrum wielkiej wytwórni mrożonek lub kwaterę główną jakiejś firmy telekomunikacyjnej, gdyby na murach nie widniały zwoje drutu kolczastego. Na ich widok przypomniał mi się kabel telefoniczny, o który mama wciąż się wyklócała z Benem, bo zawsze ktoś z nas się potykał o ten spiralny sznur. To za sprawą tego pioruńskiego kabla Debbie została skremowana z małą blizną w kształcie gwiazdki na nadgarstku.

Zakaszlałam głośno - tylko po to, żeby usłyszeć jakiś ludzki odgłos.

Po długiej jeździe dziurawymi drogami asfaltowa powierzchnia więziennego parkingu wydała mi się gładka jak lustro. Zatrzymałam samochód, wyłączyłam silnik i po prostu patrzyłam przed siebie. Zza muru dochodziły odgłosy rozmów i krzyki mężczyzn spędzających czas wolny na boisku. Wódka zaszczypała mnie w gardle, miała posmak lekarstwa. Rozgryzłam twardą drażetkę miętowej gumy do żucia, po czym wyplułam ją w opakowanie po kanapce. Poczułam, jak od wódki czerwienieją mi uszy. Sięgnęłam pod sweter i rozpięłam biustonosz; moje wielkie, rozciągnięte piersi natychmiast opadły przy akompaniamencie pokrzykiwań morderców grających w kosza. To Lyle doradził, żebym tak zrobiła, jękając się i starannie dobierając słowa.

- Przez bramkę z wykrywaczami metalu można przejść tylko raz. To wygląda zupełnie inaczej niż na lotnisku - nie ma tej ręcznej sondy, przypominającej różdżkę, którą przed tobą machają. Musisz więc wszystko, co metalowe, zostawić w samochodzie. Łącznie z... hm... elementami kobiecej bielizny... hm... to chyba się nazywa... hm... fiszbiny? Mam na myśli te... druty w biustonoszu. Bo inaczej będziesz miała kłopoty.

Okej, nie ma sprawy. Wetknęłam biustonosz do schowka, niech sobie cycki podyndają do woli.

Weszłam za bramkę. Strażnicy byli uprzedzająco grzeczni, jakby godzinami oglądali instruktażowe filmy o zasadach kurtuazyjnego zachowania: tak jest, proszę pani; tędy, proszę

pani. Starali się nie utrzymywać kontaktu wzrokowego - mój obraz wracał do mnie odbity od ich pozbawionych wyrazu oczu. Rewizja; seria pytań; tak jest, proszę pani; mnóstwo czekania. W końcu zaczęłam przechodzić przez ciąg otwierających się i zatraskujących drzwi, które różniły się od siebie jedynie wielkością. Metalowa Kraina Czarów. Posadzki śmierdziały środkiem dezynfekcyjnym, w powietrzu unosił się zapach duszonego mięsa i wilgoci. Zapewne gdzieś niedaleko znajdowała się kantyna. Powróciło do mnie mdlące, nostalgiczne wspomnienie subsydiowanych posiłków w szkole, wydawanych takim dzieciakom jak my, Dayowie. Piersiasta, zgrzana kobieta krzyczała „Darmowy lunch!”, gdy przechodziliśmy obok kasy z małymi porcjami strogonowa i szklanką letniego mleka.

Przyszło mi też do głowy, że Ben miał szczęście się wstrzelić w odpowiedni czas; kara śmierci zniknęła i pojawiała się w stanie Kansas, ale akurat panowało na nią moratorium, gdy dokonano zbrodni (nagle zdałam sobie sprawę, że w myślach użyłam wkurzającego, nowego wyrażenia „gdy dokonano zbrodni”, zamiast „kiedy Ben wymordował moją rodzinę”, jak do tej pory). Skazano go na dożywocie. Cóż, przynajmniej się nie przyczyniłam do śmierci brata.

Sterczałam przed pancernymi drzwiami, prowadzącymi do sali widzeń. „To nic wielkiego, trzeba się jedynie przełamać”. Mantra Diane. Czas najwyższy, żebym przestała się odwoływać do tych rodzinnych powiedzonek. Towarzyszący mi strażnik, sztywny blondyn, który na szczęście oszczędził mi konieczności prowadzenia niezobowiązującej pogawędki, uprzejmym gestem zasugerował, że powinnam wejść.

Otworzyłam drzwi i wmaszerowałam do środka. Ujrzałam rząd pięciu rozmówców, z których jedną zajmowała krzepka Indianka, odwiedzająca syna. Mówiła coś matowym, monotonnym głosem do młodego faceta, który ze spuszczonego wzrokiem nerwowo kiwał głową i mocno przyciskał słuchawkę do ucha. Długie, czarne włosy kobiety spiczasto opadały na plecy i budziły skojarzenia z przemocą.

Usiadłam dwie kabiny dalej i gdy brałam głęboki oddech, by zapanować na nerwami, mój brat wyskoczył przez drzwi jak kot umykający z domu na podwórze. Ben był niewysoki, nie przekraczał metra siedemdziesiąt wzrostu, miał teraz włosy w kolorze ciemnej rdzy sięgające mu do ramion, po dziewczynsku zatknięte za uszy. W drucianych okularach i pomarańczowym kombinezonie wyglądał jak mechanik z intelektualnym zacięciem. Pomieszczenie było niewielkie, więc Ben dopadł do szyby w trzech krokach i uśmiechnął się szeroko. Promieniał. Usiadł, przytknął dłoń do pleksi i ruchem głowy zachęcił, żebym zrobiła to samo. Nie mogłam się jednak na to zdobyć, nie mogłam przycisnąć ręki do jego dłoni za szybą, wilgotnej jak szynka. Uśmiechnęłam się jedynie nieśmiało i podniosłam słuchawkę.

Po drugiej stronie szyby Ben odchrząknął głośno, zaczął coś mówić, potem spuścił

wzrok i zamilkł. Przez całą minutę mogłam oglądać jedynie czubek jego głowy. Kiedy ją uniósł, łyzy toczyły mu się po twarzy. Otarł je wierzchem dłoni i znowu rozciągnął drżące wargi w uśmiechu.

- Chryste, wyglądasz dokładnie jak mama - wyrzucił z siebie szybko, a potem zakaszłał, otarł kolejne łyzy. - Nie miałem o tym pojęcia. - Spoglądał to na moją twarz, to na swoje ręce. - Rany, Libby, co u ciebie słychać?

- Hm... u mnie w miarę okej. Po prostu pomyślałam, że czas cię odwiedzić.

Ja naprawdę przypominam mamę, stwierdziłam w duchu. Naprawdę. A potem pomyślałam: Oto mój starszy brat, i poczułam tę samą dumę rozsadzającą pierś co w dzieciństwie. Ben prawie wcale się nie zmienił: ta sama blada cera, kartoflowaty nos Dayów. Praktycznie też nie urósł od czasu zbrodni, jakbyśmy oboje zostali tamtej nocy skazani na skarlenie. Mój duży brat jest zadowolony, że do niego przyszłam. „Uważaj, on wie, jak tobą manipulować”, odezwało się w mojej głowie ciche ostrzeżenie.

- Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę - powiedział Ben, wciąż wpatrując się we własną rękę. - Przez te wszystkie lata dużo o tobie myślałem, zastanawiałem się, co u ciebie słychać. Tutaj tylko to można robić - zastanawiać się i rozmyślać. Od czasu do czasu ktoś pisał mi parę słów na twój temat. Ale to nie to samo.

- Rzeczywiście - przyznałam. - Czy dobrze cię traktują?

Co za idiotyczne pytanie! Oczy mi się zaskliły, nagle zaczęłam płakać i miałam ochotę powiedzieć: wybacz, wybacz, przepraszam, jednak nic nie powiedziałam, a tylko wbijałam wzrok w konstelację wyprysków w kąciку ust Bena.

- Ze mną wszystko w porządku, Libby... Libby, spójrz na mnie. - Moje oczy spotkały się z jego oczami. - Naprawdę w porządku. Zrobiłem tutaj maturę, co zapewne nigdy nie udałoby mi się na wolności i jestem już w połowie studiów. Literatura angielska. Czytam pieprzonego Szekspira! - wydał z siebie jakiś trzewiowy dźwięk, który w jego wydaniu miał zawsze uchodzić za śmiech. - Zaiste, brudny łotrze.

Nie bardzo rozumiałam, co mają oznaczać jego ostatnie słowa, ale się zaśmiałam, bo tego ode mnie oczekiwał.

- Rany, Libby, nie mogę się na ciebie napatrzeć. Nawet nie masz pojęcia, jak dobrze cię widzieć. Cholera jasna, przepraszam. Ale jesteś tak bardzo podobna do mamy, pewnie ludzie ciągle ci to mówią?

- A kto niby miałby mi mówić? Runner zniknął, nie wiem, gdzie się obraca, a z Diane nie utrzymujemy kontaktu.

Chciałam, żeby mi współczuł, zanurzył się w moim pustym jeziorze samoużalania.

Oto my dwoje, ostatni z Dayów. Jeżeli wzbudzę w nim litość, trudniej mu będzie obwiniać mnie za cokolwiek. Łzy płynęły mi z oczu i teraz już wcale nic próbowałam ich powstrzymać. Dwa krzesła dalej krzepka Indianka zaczęła się żegnać z synem, jej zawodzenie było równie dudniące w tonie jak jej głos.

- Więc zostałaś sama, hm? To niedobrze. Powinni się bardziej o ciebie zatroszczyć.

- A ty co, nagle odnalazłeś Chrystusa? - wypaliłam.

Ben ściągnął brwi, wyraźnie nie rozumiał, o czym mówię.

- Wybaczasz mi? Tak po prostu? Nie powinienesz mnie tak miło traktować - oświadczyłam.

Ale w głębi ducha tego właśnie pragnęłam najbardziej, chciałam odpuszczenia winy, odrzucenia tego brzemienia palącego jak rozgrzana fajerka.

- Nieee, wcale nie jestem święty. Noszę w sobie gniew i złość na wielu ludzi, tyle że ty do nich nie należysz.

- Ale... - zachłysnęłam się jak małe, łkające dziecko. - Ale moje zeznania... Pewnie mogłam, nie wiem... nie wiem...

„To najprawdopodobniej on ich pozabijał”, odezwał się ponownie ostrzegawczy głos w mojej głowie.

- Ach, zeznania - powiedział takim tonem, jakby to była drobna niedogodność, niemiły, ale nic nieznaczący incydent w czasie wakacji, o którym należy szybko zapomnieć. - Nie czytasz moich listów, co?

Wzruszyłam powoli ramionami.

- Cóż, gdy chodzi o twoje zeznania... Zdumiało mnie jedynie, że ludzie ci uwierzyli. Ani trochę natomiast nie zdziwiłem się, słysząc, co mówiłaś. Znalazłaś się w tragicznie absurdalnej sytuacji. Poza tym zawsze byłaś małą kłamczuchą. - Równocześnie parsknęliśmy suchym śmiechem, jakbyśmy się zarazili tym samym kaszlem. - Ale tak poważnie, wiesz, dlaczego ci uwierzyli? Bo chcieli, żebym siedział, chcieli mnie posłać do więzienia, potrzebowali tylko pretekstu. Dlatego słowa siedmiolatki uznali za przekonujący dowód. Rany, jaka ty byłaś mała i drobna...

Uniósł oczy skierowane lekko w prawo - odpłynął myślami. Ale szybko wziął się w garść.

- Wiesz, co ostatnio nagle mi się przypomniało? Ten cholerny, porcelanowy króliczek, którego mama kazała nam stawiać na klozecie.

Pokręciłam głową, nie miałam pojęcia, o czym Ben opowiada.

- Nie pamiętasz tego króliczka? Toaleta szwankowała, jak użyło się jej więcej niż raz

w ciągu godziny, nie działała spłuczka. Więc gdy któreś z nas zważyło w tym czasie kupe, mieliśmy zamknąć klapę i postawić na niej króliczka, żeby nikt nie podniósł tej klapy i nie oglądał cudzego gówna. Jeżeli któraś z was natknęła się na pełny kloz, darła się niczym opętana. Nie mogę uwierzyć, że tego nie pamiętasz. Ten idiotyzm z króliczkiem doprowadzał mnie do szału. Tak jak do szału doprowadzał mnie fakt, że w domu była tylko jedna łazienka i to na dodatek ze źle działającym sraczem. Łazienka, którą musiałem dzielić z czterema babami. No a ten pieprzony króliczek był już przysłowiową słomką na grzbiecie wielbłąda. - Ben zaśmiał się cicho. - Godził w moją męską dumę. Był dla mnie upokarzający. Facet i króliczek? Właściwie nie wiem, czego w gruncie rzeczy oczekiwałem - że mama wynajdzie dla mnie jakąś miniaturkę samochodu czy karabinu maszynowego? Rany, ale potrafiłem się nakręcić. Siadałem na klozecie z silnym postanowieniem, że spuszczę tę cholerną figurkę z wodą, ale gdy skończyłem swoje, myślałem: „Do diabła, nie mogę wywalić tego porcelanowego szajsu, bo któraś z nich tu przyjdzie i zacznie się wydzierać - wszystkie zawsze darłyście się wniebogłosy - a tego już nie zniosę, więc ustawię tego pieprzonego króliczka na tej pieprzonej klapie! - Znowu się zaśmiał, ale powrót do wspomnień był kosztowny emocjonalnie; Benowi płonęły policzki, nos pokryły kropelki potu. - Właśnie o takich dziwnych rzeczach człowiek myśli w więzieniu - dodał.

Próbowałam wygrzebać tego króliczka z pamięci, próbowałam odtworzyć wygląd łazienki, zinwentaryzować w głowie wszystkie znajdujące się w niej przedmioty, ale bez powodzenia.

- Wybacz, Libby, to idiotyczne wspomnienie, nie powinienem się nim z tobą dzielić.

Podsunęłam palce do dolnej krawędzi szyby i powiedziałam:

- W porządku.

*

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, udając, że wsłuchujemy się w dźwięki tła, których tam wcale nie było. Dopiero zaczęliśmy rozmowę, a czas wizyty już dobiegał końca.

- Ben, czy mogę cię o coś spytać?

- Myślę, że tak.

Jego twarz przybrała kamienny wyraz - przygotowanie do konfrontacji.

- Czy nie chcesz stąd wyjść?

- Pewnie, że chcę.

- To dlaczego nie przedstawisz policji swojego alibi na tamtą noc? Nie ma mowy, żebyś spał wtedy w stodole.

- Ja nie mam żadnego mocnego alibi, Libby. Po prostu nie mam. Tak się czasami

zdarza.

- Bo na dworze było wówczas jakieś zero stopni. To akurat dobrze pamiętam.

Pod blatem pomasowałam kikut serdecznego palca lewej ręki, pokręciłam dwoma palcami prawej stopy - jedyne, które mi pozostały.

- Wiem, wiem. - Odwrócił twarz. - Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić, ale przez te wszystkie lata nieustannie żałuję, że nie rozegrałem wszystkiego inaczej. Może mama, Debby i Michelle nie straciłyby życia, gdybym tylko... zachował się jak mężczyzna. A nie tępy, niedojrzały dzieciak. Gdybym nie krył się w stodole, obrażony na mamę.

Na słuchawkę Bena spadła pojedyncza łza, wydawało mi się, że słyszę cichy plusk.

- Zasłużyłem na karę za tamtą noc... Uważam, że tak jest okej.

- Ale... nadal nic nie rozumiem. Czemu w ogóle nie chciałeś współpracować z policją? Ben wzruszył ramionami, jego twarz znów się zmieniła w maskę bez wyrazu.

- Chryste. Tak się jakoś porobiło. Byłem strasznie niepewnym siebie dzieciakiem. Miałem piętnaście lat, Libby. Zaledwie piętnaście. I praktycznie zero pojęcia o tym, jak się zachowuje prawdziwy mężczyzna. Bo Runnera, z przyczyn oczywistych, trudno nazwać wzorem godnym naśladowania. I nagle wydarzyło się coś niesamowitego: jednego dnia byłem dzieciakiem, na którego nikt nie zwracał uwagi, a następnego - wszyscy wokół się mnie bali. Niespodziewanie stałem się dorosłym, groźnym facetem.

- Dorosłym facetem, który wymordował swoją rodzinę.

- Masz ochotę nazwać mnie durnym palantem, to śmiało, Libby, nie żałuj sobie. Ale wówczas wszystko wydawało mi się bardzo proste: powiedziałem, że tego nie zrobiłem, wiedziałem, że tego nie zrobiłem i - może to mechanizm samoobronny? - nie traktowałem całej sprawy równie poważnie, jak powinienem. Gdybym zareagował tak, jak tego ode mnie oczekiwano, prawdopodobnie teraz by mnie tu nie było. W nocy szlochałem w poduszkę, ale przed ludźmi odgrywałem chojraka. Spieprzyłem wszystko, ot co. Ale też nigdy nie powinno się sadzać na miejscu dla świadków piętnastolatka w sali pełnej ludzi, których zna i wie, że oni tylko czekają na jego łzy. Bo co sobie myśli taki piętnastolatek? Co ja sobie wówczas myślałem? Święcie wierzyłem, że zostanę uniewinniony, a potem wszyscy w szkole zaczną mnie podziwiać za to, że byłem takim nieustępliwym twardzielem. W wyobraźni już przeżywałem tę chwilę triumfu. Wyobrażasz sobie podobne gównu? Nigdy ani przez myśl mi nie przeszło, że... że skończę w taki sposób. - Znowu płakał i ocierał policzki. - Jak widzisz, teraz już przestałem się wstydić łez.

- Musimy wszystko odkręcić - zdecydowałam.

- To niemożliwe, Libby. Chyba że złapią prawdziwego mordercę.

- Z pewnością trzeba zatrudnić nowych adwokatów, żeby jeszcze raz przejrzeć materiał dowodowy - oświadczyłam rzeczowo. - To, co teraz potrafia zrobić z DNA...

Dla mnie DNA było magiczną substancją, świetlistym cudem, który pozwalał wyciągnąć ludzi z więzienia.

Ben zaśmiał się sucho przez zaciśnięte usta, tak samo jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi, bez odrobiny wesołości.

- To ulubiona śpiewka Runnera. Przeciętnie raz na dwa lata dostaję od niego list, w którym pisze: „DNA! Musimy użyć tego DNA!”. Jakbym miał go pełne szafki i dla kaprysu nie chciał się z nikim podzielić. D-N-A! - powtórzył i z dziko wybałuszonymi oczami potrząsnął nerwowo głową w udanej parodii naszego szurniętego ojca.

- Wiesz, gdzie on teraz jest?

- Ostatni list przyszedł ze Schroniska dla Mężczyzn Berta Nolana, z jakiejś dziury w Oklahomie. Runner chciał, żebym mu przysłał pięćset dolców, które zamierzał spożytkować na „dalsze śledztwo” w mojej sprawie. Kimkolwiek jest ów Bert Nolan, z pewnością przeklina dzień, w którym wpuścił cholernego Runnera do swojego schroniska.

Zaczął drapać się w ramię i przy okazji uniósł nieznacznie rękaw kombinezonu, a wtedy zobaczyłam, że ma wytatuowane kobiece imię. Kończyło się na - olly lub - ally. Postarałam się, by wiedział, co dojrzałam.

- Ach, to? Dawna flama. Zaczęła ze mną korespondować. Wierzyłem, że ją kocham, i że się pobierzemy, ale ostatecznie nie zechciała się związać z facetem skazanym na dożywocie. Szkoda, że mi o tym nie powiedziała, zanim się wydziargałem.

- Musiało boleć.

- Łaskotkami bym tego nie nazwał.

- Miałam na myśli zerwanie.

- A, tak, główniana sprawa.

Strażnik zasygnalizował, że do końca wizyty pozostały trzy minuty i Ben przewrócił oczami.

- Nie wiadomo, co powiedzieć w ciągu trzech minut. Przez dwie planujesz kolejną wizytę. Przez pięć masz czas na gładkie zakończenie rozmowy. Ale trzy? - Wydał usta, cmoknął cicho. - Mam nadzieję, że przyjedziesz jeszcze do mnie, Libby. Zapomniałem, jak bardzo tęsknię za naszym domem. A ty wyglądasz zupełnie tak samo jak ona.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 11:31

Po wyjściu Lena znowu się ukryła w łazience. Na odchodne posłał jej krzywy uśmiech, obiecujący jakąś pokrętną, nieprzyjemną formę pomocy, z której na pewno nie chciałyby skorzystać. Gdy tylko dziewczynki usłyszały trzask zamykanych drzwi, wyległy z pokoju, ale po szybkiej, szeptanej naradzie pod łazienką postanowiły zostawić matkę w spokoju i zasiąść przed telewizorem.

Patty, zwinięta w pół, przyciskała rękę do brzucha; pot, który ją oblewał, zlodowaciał. Farma jej rodziców przepadła, była już nieodwracalnie stracona. Patty poczuła świdrowanie w żołądku. Tak dawały znać o sobie wyrzuty sumienia, które zawsze zmuszały ją do bycia grzeczną córką, utrzymywały w ciągłym strachu przed sprawieniem rodzicom zawodu. „Błagam, Boże, błagam, niech tylko się nie dowiedzą”. Powierzyli jej tę ziemię, okazali zaufanie, a ona nawaliła na całej linii. Wyobraziła sobie Eda i Ann Krause'ów, którzy siedzą na chmurce - tata obejmuje mamę ramieniem - i spoglądają na swoją młodszą córkę, potrząsając głowami. „Jak mogłaś, co cię opętało?”. Tak brzmiała ulubiona reprimenda mamy.

Patty wraz z dziećmi będzie musiała się przeprowadzić do innego miasta. W Kinnakee nie istniały kamienice czynszowe ani bloki socjalne, a teraz nie pozostanie im nic innego, jak tylko gnieźdzenie się w jakimś mieszkanku. Patty zawsze współczuła ludziom, którzy zostali skazani na życie w blokach i wysłuchiwanie, jak sąsiedzi bekają lub się kłócą. No i będzie musiała pójść do pracy, o ile tylko uda się jej coś znaleźć.

Nagle nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę. Nie miała sił na wyprowadzkę z farmy. Nigdy nie znajdzie w sobie na to dość energii. Przez ostatnie lata wyczerpała wszystkie jej zasoby. W niektóre dni nie dawała nawet rady podnieść się z łóżka, fizycznie nie była w stanie wysunąć nóg spod kołdry i dziewczynki musiały ją wyciągać. Zapierały się z całej siły piętami i szarpały Patty za ręce. A potem, kiedy przyrządzała im śniadanie i wyprawiała do szkoły, marzyła o śmierci.

O nagłym zgonie - ataku serca we śnie lub wypadku drogowym. Matka czworga dzieci przejechana przez autobus. A dzieci zaadoptowane przez Dianę, która nie pozwoliłaby im całymi dniami snuć się po domu w piżamach, prowadziłyby je do lekarza, gdyby zachorowały, i surowo zaganiała do pracy - nie godziła się na żadne rozrywki, póki by nie

wypełniły codziennych obowiązków. Patty była słaba i rozchwiana, szybko wybuchała entuzjazmem, ale jeszcze szybciej popadała w marazm. To Diane powinna odziedziczyć farmę. Jednak ona nie chciała o tym słyszeć; gdy skończyła osiemnastkę, radośnie wyprowadziła się z domu i została recepcjonistką w gabinecie lekarskim zalewie sto, ale jakże znaczących kilometrów stąd, w Schieberton.

Rodzice przyjęli wyjazd Diane ze stoickim spokojem, jakby wypełniła założenia dawno poczynionego planu. Patty przypomniawszy sobie nagle zdarzenie z zamierzchłej przeszłości: w szkole średniej była cheerleaderką i pewnego mokrego, październikowego popołudnia cała rodzina przyjechała oglądać jej popisy. Tłukli się w samochodzie aż trzy godziny, zawody odbywały się blisko granicy z Kolorado, a przez cały mecz siąpił gęsty deszcz. Kiedy było po wszystkim (Kinnakee przegrało), siostra i siwowłosi rodzice Patty - trzy baryłkowane postaci okutane w kurtki z szorstkiej wełny - dopadli do niej na murawie. Ich oczy połyskiwały radośnie zza spryskanych deszczem trzech par okularów i uśmiechali się z taką dumą i wdzięcznością, jakby Patty co najmniej wynalazła lek na raka.

Ed i Ann Krause'owie nie żyli już od dawna, ich śmierć była przedwczesna, ale spodziewana, a Diane pracowała jako menedżerka w tym samym gabinecie lekarskim i mieszkała w domu na kółkach, stojącym na zadbanym osiedlu przyczep, okolonym rabatami kwiatowymi.

- Mnie takie życie całkowicie satysfakcjonuje - mawiała. - Zupełnie nie wyobrażam sobie innego.

Oto cała Diane. Rzeczowa. Pragmatyczna. To ona zawsze pamiętała o sprawianiu dziewczynom drobnych przyjemności, przynoszeniu skromnych prezentów. I to ona rok w rok kupowała dla nich tradycyjne T-shirty z napisem: „Kinnakee, Serce Ameryki!”. Diane nabajdurzyła siostrzenicom, że nazwa ich miasteczka to w języku Indian „Mała Magiczna Kobieta”, a one tak bardzo się tym zachwyciły, że Patty nie miała serca wyjawić im prawdy: w rzeczywistości oznaczało to „kamień”, lub „kruk” czy coś równie przyziemnego.

*

W jej myśli wdarł się nagle klakson samochodu siostry, ceremonialne tuut-tuut-tuut.

- Diane! - wrzasnęła Debby, i Patty usłyszała, że wszystkie trzy dziewczynki galopują do drzwi. Wyobraziła sobie podrygujące warkoczyki i okrągłe, małe pupy córek, niezatrzymujących się jednak w drzwiach, ale pędzących dalej w stronę auta; a potem zobaczyła w marzeniach, jak Diane zabiera dziewczynki, a Patty zostaje sama i zanurza się w ciszy.

Zwlokła się z podłogi i wytarła twarz zawilgłą myjką, śmierdzącą pleśnią. Policzki

zawsze miała zaczerwienione, a oczy podbiegłe krwią, czy płakała czy nie - to jedyna korzyść z tego, że wyglądała jak obdarty ze skóry szczur. Kiedy otworzyła drzwi łazienki, jej siostra już rozpakowywała trzy wielkie torby z puszkowaną żywnością i wysyłała dziewczynki do samochodu po resztę sprawunków. Od dłuższego czasu Patty utożsamiała zapach brązowych, papierowych toreb na zakupy z obecnością Diane - tak często była przez nią wspomagana. Oto kwintesencja skrajnego ubóstwa i niezaradności: mieszkała na farmie, a nie miała co jeść.

- Przyniosłam też dla nich książeczkę z nalepkami - oznajmiła Diane, trzaskając bloczkiem o blat stołu.

- Och, rozpuszczasz je, D.

- Kupiłam tylko jedną, więc będą się musiały podzielić, a to dobrze, prawda? - Zaśmiała się i zabrała do parzenia kawy. - Mogę?

- Oczywiście, sama powinnam o tym pomyśleć.

Patty podeszła do szafki i rozpoczęła poszukiwania ulubionego kubka Diane, ciężkiego, olbrzymiego, który należał do ich ojca. W tej samej chwili rozległo się spodziewane charczenie, Patty odwróciła się gwałtownie i raz a dobrze trzasnęła ręką w pioruński ekspres do kawy, który zawsze się zacinał po trzecim parzeniu.

Do kuchni wpadły córki, wywindowały resztę toreb na stół i, zachęczone przez ciotkę, zaczęły je rozpakowywać.

- Gdzie jest Ben? - zainteresowała się Diane.

- Hmm - mruknęła Patty, wsypując trzy łyżeczki cukru do kubasa siostry.

Dziewczynki zwolniły tempo rozkładania sprawunków po szafkach i zaczęły się rozglądać na boki z udawaną nonszalancją; Patty próbowała je ponaglić znaczącym gestem, ale Michelle nie wytrzymała.

- Wpakował się w kłopoty - oznajmiła radośnie. - Znowu!

- Opowiedz cioci o jego, no wiesz czym - Debby poczęstowała siostrę kuksańcem.

Diane spojrzała na Patty z wykrzywioną twarzą, najwyraźniej podejrzewała, że chodzi o jakieś rewelacje związane z przyrodzeniem.

- Dziewczynki, ciocia D. przyniosła wam książeczkę z naklejkami...

- Łapcie za nią i idźcie się bawić do swojego pokoju, bo chcę w spokoju porozmawiać z mamą.

Diane zawsze się odnosiła do dzieci z większą szorstkością i obcesowością niż Patty, wcielała się w surową, zrzędliwą postać - taką, jaką w ich domu odgrywał Ed Krause. Zawsze burczał na córki, ale w jego tonie było tyle teatralnego znużenia, że nawet jako dzieci nie bały się jego połań.

Patty spojrzała na Michelle proszącym wzrokiem.

- Rany! Naklejki! - oznajmiła Michelle, z tylko nieznacznie przeszarżowanym entuzjazmem.

Zawsze ochoczo się włączała w knowania dorosłych.

Jeżeli zaś Michelle udawała, że na czymś jej zależy, lub coś jej się podoba, Libby natychmiast zieleniała z zazdrości i próbowała wyrwać kąsek siostrze małymi, zachłannymi łapkami. Urodziła się w Boże Narodzenie, co oznaczało, że omijała ją jedna z okazji do otrzymywania prezentów. W Święta Patty zawsze trzymała jeden podarunek w ukryciu, po czym wyjmowała go z okrzykiem „Sto lat, Libby!”, ale wszyscy wiedzieli, że mała została w jakimś sensie ograbiona przez los. I z pewnością nieustannie tak się czuła.

Patty doskonale znała charaktery swoich córek, jednak wciąż zapominała o dzielących je różnicach. Co z nią było nie tak, że te wyróżniki osobowości dziewczynek nieustannie ją zaskakiwały, chociaż o nich wiedziała?

- Pójdziemy do garażu? - Diane poklepała się po kieszeni koszuli, gdzie trzymała paczkę papierosów.

Patty ograniczyła odpowiedź do zrezygnowanego pomruku. Od ukończenia trzydziestego roku życia Diane przeciętnie dwa razy w roku rzucała palenie, po czym wracała do nałogu. Teraz miała trzydzieści siedem lat, a jej cera była tak poznaczona siecią zmarszczek, że przypominała skórę węża. Patty już dawno się przekonała, że najlepszym wsparciem dla siostry jest trzymanie gęby na kłódkę i siadanie razem z nią w garażu. Mama w identyczny sposób postępowała z tatą, który notabene zmarł na raka płuc tuż po pięćdziesiątce.

Patty podążyła za Diane, oddychając głęboko, szykując się na wyznanie strasznej prawdy: farma przepadła. Nie wiedziała, jak siostra zareaguje na tę wieść: czy zacznie pomstować na utracjuszość Runnera i na nią, że mu na to pozwalała, czy też zmilczy, skwitując całą sprawę smętnym skinieniem głowy.

- Co to za historia z tym „no wiesz czym” Bena? - zapytała Diane, sadowiąc się w trzeszczącym, starym leżaku, którego dwa z podtrzymujących konstrukcję pasów pękły dawno temu i walały się smętnie po podłodze. Zapaliła papierosa i zaczęła machać ręką, żeby dym nie leciał w stronę Patty.

- Och, nic takiego strasznego. Może trochę dziwnego, ale... Ben pofarbował sobie włosy na czarno. Jak myślisz, co to może znaczyć?

Czekała, aż Diane roześmieje się pod nosem, tymczasem siostra siedziała cicho.

- A jak właściwie miewa się Ben? Co tak ogólnie u niego słychać?

- Bo ja wiem? Jest skryty, niedostępny.

- Zawsze był taki. Nawet w dzieciństwie zachowywał się jak kot. W jednej chwili przytulny, w następnej patrzył na ciebie obojętnym, niewidzącym wzrokiem.

Diane miała rację. Ben już w wieku dwóch lat wprawiał matkę w zdumienie. Potrafił gwałtownie domagać się czułości, łapał ją za pierś lub rękę, po czym równie szybko miał dosyć pieszczot i całkowicie wiotczał w jej ramionach, nie reagował na żadne bodźce, póki go nie puściła. W końcu Patty zabrała go z tego powodu do lekarza: Ben siedział sztywny, z zaciśniętymi ustami, mały chłopczyk w sweterku z golfem, zamknięty w sobie i nieporuszony. Nawet doktor sprawiał wrażenie wystraszonego. Poczęstował Bena tanim lizakiem i polecił zgłosić się za sześć miesięcy, jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie. Nie uległa. Ben pozostał już taki na zawsze.

- Skrytość to nie zbrodnia - zauważyła Patty. - Runner też był skryty.

- Runner był zawsze żalonym dupkiem, to nie to samo. Ben natomiast trzyma ludzi od siebie z daleka.

- Cóż, ma piętnaście lat... - zaczęła Patty, ale zawiesiła głos.

Jej wzrok padł na słój pełen starych gwoździ, który zapewne nie był ruszany z miejsca od czasów jej taty. Widniała na nim naklejka ze słowem „Gwoździe”, wypisanym ręką Eda Krause’a na kawałku maskującej taśmy. Zawsze stawiał takie pionowo wydłużone litery.

Thusta od smarów posadzka garażu była lodowata, ciągnęło od niej większym chłodem niż z dworu. W jednym kącie galon wody zamarzył i rozsądził plastikowe szwy butli. Oddechy siostr zawisły zwiewną mgiełką w powietrzu gęstym od dymu papierosa Diane. A jednak Patty czuła się zadziwiająco dobrze pośród tych starych narzędzi, które jej tato często trzymał w dłoniach: grabie z powyginanymi zębami, siekiery i toporki różnej wielkości, półki ze słoikami pełnymi śrub, uszczelek i gwoździ. I do tego wszystkiego stara metalowa lodówka, od dołu poznaczona rdzą, gdzie tato trzymał piwo, którym się raczył, słuchając radiowych transmisji rozgrywek baseballu.

Niepokoilo ją, że siostra jest taka milcząca, ponieważ Diane ochoczo wypowiadała się na każdy temat, nawet jeżeli nie miała sprecyzowanej opinii. Jeszcze bardziej deprymował ją fakt, że Diane zastygła w bezruchu, nie rozgląda się, co by tu poprzestawiać lub uporządkować, ponieważ jej siostra była kobietą czynu i zawsze wynajdowała sobie jakieś zajęcie. Nawet jak prowadziły ożywioną rozmowę.

- Słuchaj, Patty. Muszę ci opowiedzieć o pogłoskach, które do mnie dotarły. W pierwszym odruchu postanowiłam nic ci nie mówić, ponieważ to z pewnością durne wymysły. Ale jesteś matką, powinnaś wiedzieć o pewnych rzeczach i... do diabła, po prostu

nie mogę trzymać cię w nieświadomości.

- Okej.

- Czy Benowi zdarzało się bawić z siostrami w sposób, który mógłby zostać przez kogoś opacznie zrozumiany?

Patty wybałuszyła oczy.

- Opacznie zrozumiany w sensie... seksualnym? - doprecyzowała Diane.

Patty niemal się zadławiła.

- Ben NIENAWIDZI swoich sióstr! - Była szczerze zdumiona, jak wielką ulgę poczuła, wypowiadając te słowa. - Trzyma się od nich najdalej jak może.

Diane zapaliła kolejnego papierosa, sztywno kiwnęła głową.

- Okej. Doskonale. Ale to nie wszystko. Ponoć wniesiono na Bena oficjalną skargę do dyrekcji szkoły, bo kilka dziewczynek, mniej więcej w wieku Michelle, utrzymuje, że całowały się z Benem i że on je obmacywał, czy może robił jeszcze coś gorszego. Do mnie dotarły plotki o znacznie gorszych rzeczach.

- Ben miałby robić takie rzeczy? Chyba zdajesz sobie sprawę, że to kompletne brednie!

Patty poderwała się z miejsca, nie wiedziała, co począć z rękami i nogami. Obróciła się w prawo, potem w lewo, zbyt szybko i nerwowo, jak pies gończy, który nagle zgubił trop. Znowu usiadła, ale tak gwałtownie, że pękł pasek w jej leżaku.

- Tak, wiem, że to brednie. Albo jakieś straszne nieporozumienie.

Diane nie mogła powiedzieć niczego gorszego. Gdy tylko z jej ust padły te słowa, Patty uświadomiła sobie, że właśnie tego bała się najbardziej. Cień prawdopodobieństwa - NIEPOROZUMIENIE - który może się przerodzić w katastrofę. Pogładzenie po głowie staje się pogładzeniem po pupie, które staje się pocałunkiem w usta, prowadzącym do trzęsienia ziemi.

- Nieporozumienie? Ben dobrze wie, co to pocałunek. I obmacywanie. Nie zachowałby się tak w stosunku do żadnej małej dziewczynki. Nie jest zbrojcem. Może czasami zachowuje się dziwnie, ale nie jak psychol.

Patty przez lata wmawiała sobie, że Ben nie jest dziwakiem, lecz zwyczajnym, przeciętnym chłopcem. Jednak teraz zgodziłaby się nawet na dziwaka - byle nic gorszego. Ta myśl uderzyła ją z niezwykłą gwałtownością, jak włosy zdmuchnięte przez wiatr na twarz podczas prowadzenia samochodu.

- Chyba powiedziałaś tym swoim znajomym, że Ben nigdy by się czegoś podobnego nie dopuścił? - spytała Patty i w jednej chwili załała się łzami.

- Mogę powiedzieć wszystkim w Kinnakee, wszystkim w Kansas, że Ben by tego nie zrobił, ale to może nie wystarczyć. Nie wiem. Sama nie wiem. Pogłoski na temat Bena dotarły do mnie zaledwie wczoraj po południu, ale zdaje się, że... nabierają impetu. Najpierw chciałam przyjechać do ciebie od razu. Potem przez połowę nocy wmawiałam sobie, że to nie jest poważna sprawa. Ale kiedy się rano się ocknęłam, doszłam do wniosku, że jednak nie wolno nam tego zlekceważyć.

Patty знаła to uczucie. Nieraz budziła się spanikowana o drugiej w nocy i zaczynała samą siebie przekonywać, że farma wyjdzie na prostą i w tym roku przyniesie znacznie większe dochody, ale gdy kilka godzin później rozlegał się dzwonek budzika, była jeszcze bardziej przygnębiona i ogarnięta dokuczliwymi wyrzutami sumienia.

To zdumiewające: w środku nocy można przeżyć chwile optymizmu, a już pół minuty po przebudzeniu wiedzieć, że wszystko zmierza ku najgorszemu.

- Przyjechałaś tutaj z zakupami, z kolekcją nalepek, ale tak naprawdę chodziło o tę „opowieść” o Benie.

- Cóż... - Diane wzruszyła współczująco ramionami, rozłożyła dłonie z szeroko rozsuniętymi palcami, z wyjątkiem tych, w których trzymała papierosa.

- I co teraz? Znasz nazwiska tych dziewczynek? Czy ktoś do mnie zadzwoni, będzie chciał ze mną porozmawiać, będzie chciał porozmawiać z Benem? Muszę go znaleźć.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Ściągnęliśmy się o jego włosy. Wsiadł na rower i odjechał.

- O co chodzi z tymi włosami?

- Nie mam pojęcia, Diane! I jakie to teraz ma znaczenie?

Ale Patty naturalnie wiedziała, że w zaistniałej sytuacji każdy szczegół będzie pilnie prześwietlany, że wszystkiemu zostaną przypisane jakieś konteksty.

- Moim zdaniem nie musimy w tej chwili podejmować jakichś nadzwyczajnych środków działania - powiedziała cicho Diane. - Lub w trybie natychmiastowym ściągać Bena do domu. Chyba że ci na tym zależy.

- Tak, zależy, chcę go mieć tutaj jak najszybciej.

- Okej. W takim razie musimy łapać za telefon. Daj mi listę jego przyjaciół, zacznę do nich dzwonić.

- Nie znam żadnych jego przyjaciół - przyznała Patty. - Rozmawiał z kimś dzisiaj rano, ale nie wiem z kim.

- Wciśnijmy klawisz ponownego wybierania numeru.

Diane stęknęła, przydepnęła niedopałek ciężkim butem, wyciągnęła Patty z leżaka i

wprowadziła do domu. Kiedy skrzypnęły drzwi pokoju dziewczynek, wrzasnęła, że mają nie wychylać stamtąd nosa, pomaszerowała do telefonu i uderzyła w klawisz ponownego wybierania palcem grubym jak serdelek. Ze słuchawki popłynęły melodyjne tony, ale jeszcze zanim się rozległ sygnał połączenia, Diane wcisnęła czerwony guzik.

- Mój numer.

- A, tak. Dzwoniłam tuż po śniadaniu, chciałam wiedzieć, kiedy dokładnie przyjedziesz.

Siostry usiadły przy stole, Diane dołąła im obu kawy. Światło dnia odbijało się od śniegu migotliwie jak stroboskop.

- Musimy ściągnąć Bena do domu - oświadczyła stanowczo Patty.

Libby Day

Współcześnie

Niedorzecznie rozanielona, niczym pierwszoklasistka, ruszyłam do domu i cały czas myślałam o Benie. Od siódmego roku życia objawiał mi się w tych samych obrazach z nawiedzonego domu: czarnowłosa, o gładkiej cerze, z rękami zaciśniętymi na trzonku siekiery goni korytarzem za Debby, a z jego ust wydobywa się jakiś jednostajny dźwięk. Ben o twarzy spryskanej krwią, wyjący dziko, unosi strzelbę do ramienia.

Przez te lata zapomniałam o istnieniu zupełnie innego Bena - zwyczajnego chłopca, poważnego i nieśmiałego, o dziwnym, zbijającym z tropu, poczuciu humoru. Bena, mojego brata, który nigdy nie mógłby zrobić tego, o co go oskarżono. O co ja go oskarżyłam.

Zatrzymały mnie czerwone światła, a wówczas sięgnęłam za siebie i chwyciłam starą kopertę po jakimś rachunku. Krew buzowała mi w żyłach, gdy nad przezroczystym okienkiem napisałam „Podejrzani”. Punkt pierwszy - Runner. Potem zawahałam się na moment. Punkt drugi - Ktoś, kto żywił urazę do Runnera? Trzeci - Ktoś, komu Runner był winien pieniądze? Runnerrunnerrunner. Wszystko sprowadzało się do tego faceta. Głos, który dudnił tamtej nocy w naszym domu, równie dobrze mógł być głosem Runnera, jak i głosem któregoś z jego wrogów. Wcale niekoniecznie musiał należeć do Bena. Chciałam w to uwierzyć i to udowodnić. Nagle zalała mnie fala paniki: nie mogę żyć ze świadomością tego, co zrobiłam, Ben siedzi w więzieniu, nie poradzę sobie z tym niekończącym się poczuciem winy. Muszę dojść do prawdy. Ja, ja! Cóż za egoizm.

Kiedy mijałam boczną drogę prowadzącą na naszą farmę, odwróciłam wzrok.

Dotarłam do przedmieść Kansas City i zatrzymałam się na 7-Eleven, gdzie napełniłam bak, kupiłam pudełko topionego sera, colę, biały chleb i mielonkę dla mojego nieszczęsnego, wygłodniałego kota. A potem ruszyłam do „Het, w Tamtą Stronę”, wjechałam na swoje wzgórze, wysiadłam i wbiłam wzrok w dwie stare kobiety, które nigdy nie zaszczycały mnie spojrzeniem. Jak zwykle siedziały na ganku, na huśtawce, pomimo marcowego chłodu, i sztywno patrzyły przed siebie, żeby przypadkiem nie znalazła się w ich polu widzenia. Ja tymczasem położyłam ręce na biodrach i czekałam cierpliwie, aż w końcu jedna z nich się złamała. Wówczas zamachałam entuzjastycznie całym ramieniem, jak pionierka z czasów Dzikiego Zachodu. Pomarszczona wiedźma skinęła głową, i dopiero wtedy z uczuciem triumfu wmaszerowałam do domu i nakarmiłam biednego Bucka.

Póki jeszcze miałam w sobie dość energii, posmarowałam kromkę białego chleba jaskrawożółtą musztardą, położyłam na to grube kawałki topionego sera i, wsuwając swoją kanapkę, przeprowadziłam negocjacje z trzema znudzonymi operatorkami biura numerów, bo uznałam, że to najlepszy sposób zlokalizowania Schroniska dla Mężczyzn Berta Nolana. Oto kolejna pozycja, którą stary poczciwy Jim Jeffreys mógłby dopisać do listy potencjalnych posad dla Libby: operatorka biura numerów. Za moich dziecięcych czasów wszystkie dziewczynki chciały w przyszłości wykonywać ten zawód, chociaż teraz kompletnie nie pamiętałam dlaczego.

Mały kawałek chleba przykleił mi się do podniebienia i w tej samej chwili w Schronisku dla Mężczyzn ktoś wreszcie podniósł słuchawkę. Bardzo się zdziwiłam, gdy się okazało, że to sam Bert Nolan. Zawsze sądziłam, że różne placówki są imienia jedynie takich ludzi, którzy od dawna nie żyją. Powiedziałam, że szukam Runnera Daya i wyraźnie wyczułam wahanie.

- Zjawia się u nas od czasu do czasu, w zeszłym miesiącu rzadko się pokazywał, ale z przyjemnością przekażę mu wiadomość. - Głos Berta Nolana przywodził na myśl klakson samochodowy. Podałam swoje imię, którego chyba w żaden sposób nie skojarzył, i już zaczęłam dyktować numer swojego telefonu, gdy Nolan wszedł mi w słowo.

- Musi pani wiedzieć, że stąd nie można przeprowadzać rozmów międzymiastowych. Za to mieszkańcy naszego domu ochoczo korespondują. Mam na myśli przesyłki pocztowe. Znaczek kosztuje mniej niż pięćdziesiąt centów, no i nie trzeba warować przy telefonie. Czy zechce pani podać swój adres?

Na to zdecydowanie nie miałam ochoty. Słabo mi się robiło na myśl, że Runner wlezie po moich schodach, tupiąc za dużymi półbutami o wypchanych papierem czubkach, podeprze się brudnymi łapami pod boki i uśmiechnie krzywo, jakby właśnie pobił mnie w ważnej rozgrywce.

- Jeżeli pani chce, mogę przekazać dowolną wiadomość, pani natomiast poda mi swój adres w zaufaniu - zaproponował zdroworozsądkowo Bert Nolan. - Jak Runner napisze list, wyślę go w jego imieniu, a on nawet nie pozna pani kodu pocztowego. Wiele rodzin decyduje się na takie właśnie rozwiązanie. To smutne, ale konieczne.

Usłyszałam, jak w tle grzechocze automat i wypluwa puszkę z napojem, ktoś zapytał Nolana, czy też chce coś do picia, na co on odparł uprzejmym tonem domowego doktora: „Dzięki, próbuję się ograniczać”.

- Czy odpowiada pani takie rozwiązanie? W inny sposób raczej nie uda się skontaktować z Runnerem. Jak już wspominałem, nie należy on do takich, którzy będą

siedzieć przy aparacie i czekać na telefon.

- Nie macie adresu mejlowego?

- Przykro mi, nie mamy - burknął Bert.

Runner nie słyszał z zamilowania do pióra, ale faktem jest, że zawsze częściej przysłał jakiś liścik, niż dzwonił, a więc to chyba najsensowniejsze rozwiązanie, o ile nie zamierzam jechać do Oklahomy i koczować na jednej z prycz Berta Nolana.

- Czy mógłby pan mu przekazać, że chciałabym porozmawiać o Benie i tamtej nocy? Przyjadę do niego specjalnie w tej sprawie, jeżeli tylko napisze, kiedy mogę to zrobić.

- Okej... czy powiedziała pani o Benie i TAMTEJ nocy?

- Owszem.

*

Wiedziała, że Lyle popadnie w obrzydliwa samozadowolenie, gdy usłyszy, że się nawróciłam - no, powiedzmy prawie lub potencjalnie nawróciłam - w sprawie Bena. Oczami wyobraźni już widziałam, jak staje przed świrami z Klubu Zbrodni, ubrany w jedną z tych swoich dziwnych, obcisłych kurtek, i chwali się, że mnie nakłonił do widzenia z Benem. „Z początku zdecydowanie odmawiała, w mojej opinii przerażało ją to, czego mogłaby się dowiedzieć o Benie... i o sobie samej”. A wszyscy wbijają w Lyle’a zachwycony wzrok, uszczęśliwieni jego wielkim osiągnięciem.

To mnie cholernie wkurzało.

Tak naprawdę najbardziej chciałabym teraz porozmawiać z ciotką Diane. Przez jedenaście lat byłam niepełnoletnią sierotą i siedem z nich spędziłam pod jej opieką. Zabrała mnie bez zastanowienia do swojego domu na kółkach wraz z walizką, do której zapakowała ubrania oraz kilka moich ulubionych książek. Ale ani jednej zabawki. Michelle zawsze przed snem układała na swoim łóżku wszystkie lalki oraz inne skarby i obsikała je, kiedy ją duszono. Do dziś pamiętam książeczkę z naklejkami, którą dostałyśmy od Diane w przeddzień zbrodni - pełną kwiatków, jednorożców i kotków - i często się zastanawiam, czy leżała w tym stosie zniszczonych zabawek.

Diane nie mogła sobie pozwolić na zmianę domu. Wszystkie pieniądze z ubezpieczenia na życie mamy poszły na dobrego adwokata dla Bena. Diane stwierdziła, że właśnie tego życzyłaby sobie mama, ale wypowiadała te słowa ze ściągniętą twarzą, jakby miała ochotę solidnie zbesztać za to mamę, gdyby tylko mogła. Dla nas więc już nic nie zostało. Byłam bardzo drobna, więc mogłam spać w niszy przeznaczonej na pralko-suszarkę. Diane nawet ją dla mnie odmalowała. Brała nadgodziny, wozila mnie do Topeki na terapię, starała się okazywać miłość, chociaż widziałam, że cierpi, kiedy próbuje przytulić do siebie

to żalosne wspomnienie o mordzie dokonany na rodzonej siostrze.

Jej ramiona tworzyły wokół mnie obręcz niczym hula-hop, jakby w tej zabawie chodziło o to, żeby mnie obejmować, ale nie dotykać. Niemniej każdego ranka bez wyjątku Diane powtarzała, że mnie kocha.

W przeciągu następnych dziesięciu lat skasowałam jej dwa samochody, dwukrotnie złamałam jej nos, kradłam i sprzedawałam jej karty kredytowe i zabiłam jej psa. To ten pies ostatecznie ją dobił. Przyniosła Gracie - długowłosego, małego kundla - niedługo po feralnej nocy. Diane lubiła tę szczekliwą sukę o wiele bardziej ode mnie, a przynajmniej tak mi się zdawało. Przez lata byłam zazdrosna o tego psa, zieleniałam z wściekłości, gdy patrzyłam, jak Diane szczotkuje Gracie, zaciska swoją męską dłoń na różowym grzebyku, jak odgarnia włosy z jej ślepiów i spina ładną klamerką, nosi w portfelu zdjęcie Gracie zamiast mojego. Na dodatek ten kundel miał jakąś obsesję na punkcie mojej okaleczonej nogi, tej z jedynie dwoma palcami - drugim i najmniejszym - chudymi i powykręcanymi. Gracie zawsze je obwąchiwała, jakby wyczuwała, że moja stopa jest ułomna. A to nie budziło we mnie ciepłych uczuć.

W lecie pomiędzy pierwszą a drugą klasą liceum dostałam za karę szlaban, już sama nie pamiętam, co zmalowałam, i podczas gdy Diane siedziała w pracy, ja kisiłam się w przyczepie i coraz bardziej wściekałam na psa, któremu z kolei coraz bardziej odbijało. Uporczywie odmawiałam wyprowadzania go na spacer, więc miotał się gorączkowo pomiędzy sofą, kuchnią a szafą, cały czas szczekając i podskubując moje stopy. Leżałam zwinięta w kłębek i udawałam, że oglądam telenowelę, a tak naprawdę podsycalam w sobie furie. W pewnej chwili Gracie przestała zataczać swoje wariackie koła i szczypnęła mnie w mały palec uszkodzonej stopy, chwyciła go w zęby i lekko potrząsnęła. Pomyślałam wtedy „Jeżeli ten cholerny pies odgryzie mi jeden z ostatnich palców...”, a potem dostałam szału, gdy dotarła do mnie absurdalność całej sytuacji. U lewej dłoni miałam kikut palca, na który żaden mężczyzna nie włoży ślubnej obrączki, a z powodu stopy pozbawionej odpowiednich punktów podparcia poruszałam się marynarskim krokiem w preiowej krainie, oddalonej o setki kilometrów od morza.

Dziewczyny w szkole nazywały mój kikut „polipem”, co brzmiało wymyślnie, ale i groteskowo, wywoływało ukradkowe chichoty. Na dodatek lekarz niedawno mi powiedział, że amputacje zapewne były zbyt liczne, „Przerost ambicji u prowincjonalnego konowała”. Chwyciłam Gracie wpół, poczułam pod palcami jej żebra i drżenie małego ciała, które tylko podsyciło moją wściekłość. Oderwałam sukę od mojego palca, wraz ze skrawkiem skóry, i cisnęłam nią z całej siły w stronę kuchni. Nadziała się na ostry jak brzytwa kant blatu, w

konwulsjach trzasnęła o linoleum i zalała się krwią.

Nie zamierzałam zabić tego kundla, on jednak zdechł, chociaż nie tak szybko, jakbym sobie życzyła, bo trwało to z dziesięć minut, w czasie których chodziłam tam i z powrotem po przyczepie i zastanawiałam się, co robić. Kiedy Diane wróciła do domu ze smażonym kurczakiem, Gracie wciąż leżała na podłodze, a ja stwierdziłam jedynie: „Ugryzła mnie”.

Chciałam dodać coś jeszcze, wyjaśnić, że to nie moja wina, ale Diane uniosła w górę drżący palec i powiedziała jedynie: „Milcz”. Zadzwoiła po swoją najlepszą przyjaciółkę, Valerie, kobietę równie delikatną i ciepłą, jak Diane była kanciasta i szorstka. Diane stała nad zlewem i spoglądała przez okno, podczas gdy Valerie owijała Gracie w specjalny kocyk. Potem zamknęły się w sypialni, a kiedy z niej wyszły - Valerie zapłakana i miętoszająca rękę przyjaciółki - Diane kazała mi spakować manatki. Z perspektywy czasu widzę, że Valerie była dziewczyną mojej ciotki - co wieczór, już z łóżka, Diane do niej dzwoniła i gadała tak długo, aż zmorzył ją sen. Wszystko zawsze wspólnie omawiały i nawet miały identyczne, miękkie, cieniowane fryzury, niewymagające specjalnego układania. Oczywiście w owym czasie zupełnie mnie nie interesowało, jakie łączyły je układy.

Dwa ostatnie lata liceum spędziłam w Abilene, domu miłej pary małżeńskiej, jakichś moich dalekich pociotków, których terroryzowałam tylko w umiarkowanym stopniu. Diane dzwoniła do mnie co parę miesięcy; w słuchawce rozlegały się typowe dla połączeń telefonicznych trzaski i chrapliwy, charakterystyczny dla palaczy oddech mojej ciotki. Wyobrażałam sobie jej rozwarłe usta, jasny puszek na brodzie i znamię obok dolnej wargi, cielisty krążek, który - jak mi powiedziała kiedyś ze śmiechem - spełnia życzenia, jeżeli się go potrze. Kiedy w tle rozlegał się skrzyp, wiedziałam, że Diane otwiera środkową szafkę w kuchni. Doskonale znałam jej przyczepę, lepiej niż nasz dawny dom na farmie. Potem i ja, i moja ciotka wydawałyśmy z siebie kilka zupełnie bezsensownych dźwięków, jakieś pociągania nosem czy pokasływania, następnie Diane mówiła: „Zaczekaj chwilę, Libby”, zupełnie niepotrzebnie, bo i tak żadna z nas nic nie mówiła. Zazwyczaj gdzieś w pobliżu siedziała Valerie, obie kobiety szeptały coś do siebie, Valerie przemawiała przymilnie nalegającym tonem, Diane burczała, a wreszcie poświęcała mi jeszcze jakieś dwadzieścia sekund i pod byle pretekstem się rozłączała.

Zupełnie zerwała ze mną kontakt, gdy wyszło „Nowe, cudowne życie!”. Skwitowała całą tę hecę z książką słowami: „Co cię opętało?”. Jak na Diane była to wyjątkowo delikatna wymówka, ale wyrażająca o wiele więcej emocji niż kilkadziesiąt najgorszych przekleństw.

Wiedziałam, że Diane będzie wciąż pod tym samym numerem telefonu, bo nigdy by się nie wyprowadziła ze swojej przyczepy, była z nią organicznie związana jak ślimak ze

swoją skorupą. Przez dwadzieścia minut przedzierałam się przez sterty szpargałów w poszukiwaniu starego notesu, który miałam od czasów podstawówki, z rudowłosą dziewczynką w kitkach na okładce. Ktoś musiał kiedyś uznać, że jest podobna do mnie. I wszystko się zgadzało, oprócz uśmiechu. Numer Diane był zapisany pod „C”, jak ciocia, a jej imię wypisane fioletowym flamastrem bąblastą kursywą.

Czym usprawiedliwić swój telefon i jaki przybrać ton? O co tak naprawdę mi chodziło? Po części chciałam usłyszeć w słuchawce dychawiczny oddech Diane, jej głos trenera futbolowego dudniący mi do ucha: „A ty czemu tak długo nie dzwoniłaś?”. Ale miałam przede wszystkim ochotę na rozmowę o Benie. W mojej obecności nigdy go nie przeklinała, bardzo starannie dobierała słowa, kiedy o nim mówiła, za co teraz winna jej byłam wdzięczność.

Wystukałam numer, wcisnęłam głowę w ramiona i walczyłam z ostrym ściskaniem w gardle. Dopiero gdy po trzecim dzwonku odezwała się automatyczna sekretarka, zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech.

Usłyszałam głos Valerie, proszący, abym zostawiła wiadomość dla niej lub dla Diane.

- Uhm... cześć wam. Tu Libby. Chciałam się tylko przywitać, dać znać, że wciąż żyję, i w ogóle.

Rozłączyłam się, ale niemal natychmiast ponownie wybrałam numer.

- Proszę, zignorujcie poprzednią wiadomość. Tu jeszcze raz Libby. Dzwonię, by powiedzieć, że bardzo przepraszam za... za mnóstwo rzeczy. I bardzo chciałabym pogadać... - zawiesiłam głos na wypadek, gdyby ktoś przysłuchiwał się tej wiadomości i zechciał przejąć rozmowę, a potem podałam mój numer i się rozłączyłam. Siedziałam na brzegu łóżka, powinnam się z niego podnieść, ale w zasadzie nie miałam po co.

Ostatecznie jednak się przemogłam. W ciągu tego jednego dnia zrobiłam więcej niż przez ostatni rok. A ponieważ nadal trzymałam w ręku słuchawkę, poszłam za ciosem i zdobyłam się na telefon do Lyle'a. Miałam nadzieję na skrzynkę głosową, ale jak zwykle, odebrał po pierwszym dzwonku. Żeby nie zdążył mnie wkurzyć, z mety oznajmiłam, że spotkanie z Benem przebiegło dobrze i byłam gotowa usłyszeć, kto według Lyle'a jest mordercą. Wypowiadałam słowa pedantycznie i powoli, dozując informacje małymi porcjami.

- Wiedziałem, że go polubisz. Wiedziałem, że zmienisz zdanie! - wykrzyknął entuzjastycznie, a ja bohatersko się powstrzymałam od przerwania połączenia.

- Tego nie powiedziałam, Lyle. Stwierdziłam jedynie, że jestem gotowa na nowe zadanie, jeżeli jesteś tym zainteresowany.

Ponownie spotkaliśmy się w Tom-Clark's Grill, gdzie aż się kłębiło od dymu przesyconego tłuszczem. Inna stara kelnerka, albo ta sama w rudej peruce, kręciła się po sali w tenisówkach o sprężystych podeszwach i furkoczącej miniówce, co ją upodobiło do prehistorycznej tenisistki zawodowej. Przy stoliku obok, na miejscu grubasa podziwiającego nowy wazon, siedziało kilku szpanerów, przerzucało się kartami z lat siedemdziesiątych z nagimi kobietami na koszulkach i zaśmiewało z ich bujnego zarostu łonowego. Lyle siedział spięty i pod dziwnym kątem wykręcał się tyłem do tych koleśków. Nalałam sobie piwa z jego dzbanka.

- Czy Ben wyglądał tak, jak się spodziewałaś? A przede wszystkim, co ci powiedział?
- zagaił Lyle, podrygując kolanem.

Opowiedziałam mu, czego się dowiedziałam od Bena, pomijając tylko historię o porcelanowym króliczku.

- Rozumiesz teraz, co Magda miała na myśli, gdy mówiła, że Ben nie widzi już dla siebie nadziei?

Rozumiałam.

- Odniosłam wrażenie, że zaakceptował wyrok sądu - podzieliłam się z Lyle'em tą refleksją tylko dlatego, że dostałam od niego trzysta dolarów, a chciałam zarobić jeszcze więcej. - Postrzega swój pobyt w więzieniu jako pokutę za to, że nas nie obronił, czy coś w tym rodzaju. Właściwie nie wiem, co mam o tym myśleć. Powiedziałam mu, że moje zeznania były... przesadzone, sądziłam, że pochwyci ten wątek, tymczasem... praktycznie puścił moje słowa mimo uszu.

- Po tak wielu latach to chyba nie ma szczególnej wartości z prawnego punktu widzenia - powiedział Lyle. - Magda twierdzi, że jeżeli naprawdę chcesz pomóc Benowi, powinniśmy zebrać najpierw więcej dowodów, a dopiero potem, gdy złożymy wniosek o rewizję wyroku, ty odwołasz swoje zeznania - dla wzmocnienia efektu. Obecnie to problem raczej natury politycznej niż prawnej. Wiele karier wyrosło na sprawie Bena.

- Magda sprawia wrażenie wyjątkowo dobrze poinformowanej.

- Jest przewodniczącą stowarzyszenia Wolność dla Daya. Czasami chodzę na ich zebrania, ale rzadko, bo to imprezy dla szczególnego rodzaju... hmm... fanów. Głównie kobiet.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś, że Ben związał się jakąś kobietą, najprawdopodobniej o imieniu Molly, Sally lub Polly? Widziałam tatuaż na jego ramieniu.

- Wśród znanych mi fanek nie ma żadnej Sally Polly to imię odpowiednie dla zwierzaka domowego - moja kuzynka miała psa, który się tak wabił. W stowarzyszeniu jest

jedna Molly, ale już dawno temu przekroczyła siedemdziesiątkę.

Przed Lyle'em stanął talerz z frytkami. Kelnerka zdecydowanie była inna niż przedtem - równie wiekowa, ale znacznie miłsza. Lubię kelnerki, które mówią do mnie „skarbie” i „złotko”, a ta właśnie tak robiła.

Lyle chwilowo skupił się na frytkach; wycisnął ketchup z torebek na skraj talerza, przyprawił solą i pieprzem, a potem każdą frytkę zanurzał pojedynczo w sosie i wkładał do ust delikatnie jak panienska.

- No więc mów, kto według ciebie to zrobił - ponagliłam.

- Kto zrobił co?

Przewróciłam oczami i schowałam twarz w dłoniach, jakby tego już było dla mnie za wiele. I rzeczywiście niemal było.

- A! o to ci chodzi. No więc osobiście sądzę, że mordercą jest Lou Cates, ojciec Krissi.

Odchylił się na oparcie krzesła z tak usatysfakcjonowaną miną, jakby wygrał jeden z tych teleturniejów dla mądrali.

Krissi Cates. Już kiedyś słyszałam to nazwisko. Próbowałam udawać przed Lyle'em, że doskonale rozumiem, o czym mówi, ale bez powodzenia.

- Chyba wiesz, kim była Krissi? - Kiedy milczałam, pociągnął wątek protekcyjnym tonem. - To w owym czasie piątklasistka z twojej szkoły. W przeddzień tragedii policja poszukiwała Bena, bo chcieli go pilnie przesłuchać... Ta dziewczynka oskarżyła twojego brata o molestowanie.

- Co takiego?!

- No właśnie.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, wyrażającym po obu stronach skrajne niedowierzanie.

W końcu Lyle potrząsnął głową.

- Kiedy mówisz, że nie rozmawiasz z ludźmi o tamtych wydarzeniach, to nie kitujesz.

- Ona jednak nie zeznawała przeciwko Benowi... - zaczęłam.

- Nie, nie. Jedynym mądrym posunięciem ze strony obrońcy Bena było przekonanie sędziego, że sprawa molestowania nie jest w sensie prawnym w żaden sposób powiązana ze sprawą wielokrotnego zabójstwa. Ale przysięgli byli oczywiście z góry uprzedzeni do twojego brata, ich umysły zostały już zatrute. Każdy w hrabstwie zdążył usłyszeć, że Ben molestował uroczą dziewczynkę z porządnej rodziny i wedle ich mniemania to między innymi doprowadziło go do popełnienia „satanistycznych mordów”. Wiesz przecież, jak rażąca jest siła stugębnej plotki.

- Czy sprawa tej Krissi kiedykolwiek trafiła do sądu? - spytałam. - Udowodniono Benowi winę?

- Nie. Policja się nie zdecydowała na przedstawienie zarzutów. A Catesowie wywalczyli jakieś odszkodowanie od okręgowych władz szkolnych, po czym się przeprowadzili. Ale wiesz, co ja o tym myślę? Myślę, że Lou Cates pojechał do was tamtej nocy, żeby się rozmówić z Benem. Lou Cates, potężnie zbudowany facet, chciał wycisnąć coś z Bena, a potem...

- Wpadł w taki szal, że wymordował całą rodzinę? To się nie trzyma kupy.

- Słuchaj, odkryłem, że w młodości Cates odsiedział trzy lata za nieumyślne spowodowanie śmierci. Z taką siłą rzucił w kolesia kulą bilardową, że położył go trupem na miejscu. Miał cholernie wybuchowy charakter. Jeżeli Lou Cates uwierzył, że jego córka była molestowana, z pewnością wpadł w furję. A potem wymalował pentagramy i inne brednie na ścianach, żeby odsunąć od siebie podejrzenia.

- Hmm, nadal uważam, że to bez sensu - oświadczyłam, chociaż bardzo chciałam, żeby miało sens.

- Twierdzenie, że morderstw dopuścił się twój brat, jest równie bezsensowne. To jakaś kompletnie odjechana, pokręcona zbrodnia, mnóstwo rzeczy wydaje się w niej czystym wariactwem. Dlatego ludzie mają taką obsesję na jej punkcie. Gdyby cała sprawa układała się w logiczny ciąg, nie byłoby elementu tajemnicy, no nie?

Milczałam. Lyle miał rację. Zaczęłam się bawić solniczką i pieprzniczką, które były wyjątkowo ładne jak na taką spelunę.

- Słuchaj, chyba warto przynajmniej przyjrzeć się tej teorii? - nie dawał za wygraną Lyle. - To przecież nie może być przypadek, że twoja rodzina zginęła tuż po tym, jak wysunięto pod adresem Bena tak straszne oskarżenie?

- Może i warto. Ostatecznie ty tu jesteś szefem.

- Zrobimy więc tak. Póki nie znajdziesz Runnera, spróbujesz nawiązać kontakt z kimś z rodziny Catesów. Pięćset dolarów za rozmowę z Krissi lub Lou. Jestem ciekaw, czy nadal będą opowiadać tę samą bajeczkę na temat Bena. Czy są w stanie sami ze sobą żyć, pojmujesz? Bo nie ulega wątpliwości, że skłamali. Prawda?

Rozmowa z Lyle'em wytrąciła mnie z równowagi. Nie byłam gotowa na kolejny test wiary. A jednocześnie w głowie mi zaświtała pewna dziwaczna, ale budująca myśl: Ben nigdy nie molestował mnie ani żadnej z moich sióstr. Gdyby był pedofilem, to chyba by zaczął od małych dziewczynek, które miał na co dzień w domu?

- Prawda...

- No właśnie - dobitnie skwitował Lyle.

- Obawiam się jednak, że jeśli chodzi o ten wątek, nie będę miała więcej szczęścia od ciebie. Ostatecznie jestem siostrą chłopaka, którego oskarżyli o molestowanie.

- Cóż, ja próbowałem, ale bez powodzenia. - Lyle wzruszył ramionami. - Nie jestem dobry w takich rzeczach.

- Czyli jakich?

- Brakuje mi finezji.

- O, to rzeczywiście moja specjalność.

- Wspaniale. Jeżeli jednak uda ci się zaaranżować spotkanie, chcę być przy nim obecny. Niezobowiązująco wzruszyłam ramionami i podniosłam się bez słowa, bo postanowiłam zostawić rachunek w całości na jego głowie, ale ledwo odeszłam na trzy kroki, wydukał moje imię.

- Libby, czy zdajesz sobie sprawę, że włożyłaś do kieszeni solniczkę i pieprzniczkę?

Przez ułamek chwili się zastanawiałam, czy nie udawać Greka - wielkie nieba, jestem taka roztargniona! Ale ostatecznie kiwnęłam jedynie głową i wyszłam za drzwi.

Potrzebowałam tej solniczki i pieprzniczki.

*

Lyle już dawno temu zdołał wytropić matkę Krissi Cates; mieszkała w Emporii, w stanie Kansas, z drugim mężem i drugą córeczką, którą urodziła prawie dwadzieścia lat po pierwszej. W minionym roku Lyle zostawił kilka wiadomości na automatycznej sekretarce, ale dawna pani Cates nigdy nie oddzwoniła. To wszystko, co udało mu się zdziałać.

Pierwsza zasada: jeżeli naprawdę ci zależy na rozmowie z jakąś osobą, nigdy nie zostawiaj dla niej wiadomości. Dzwon tak długo, aż ktoś w końcu podejdzie do telefonu, wiedziony złością, ciekawością lub strachem, a potem walnij taki tekst, żeby ta osoba od razu nie odłożyła słuchawki.

Zadzwoiłam do matki Krissi dwanaście razy, zanim w końcu odebrała telefon, i natychmiast oznajmiłam:

- Mówi Libby Day, najmłodsza siostra Bena Daya, czy pani go pamięta?

Usłyszałam cmoknięcie wilgotnych warg, a potem cichy głos mruknął:

- Owszem, pamiętam Bena Daya. Ale o co dokładnie chodzi?

Jakbym była telemarketerką.

- Chciałabym porozmawiać z panią lub kimś z rodziny na temat oskarżeń, które pani córka wysunęła pod adresem Bena.

- Nie wypowiadamy się w tej sprawie, hm... jak ci na imię? Lizzy? Wyszłam

ponownie za mąż i praktycznie nie utrzymuję kontaktu z moją poprzednią rodziną.

- A czy wie pani, jak mogłabym się skontaktować z Lou albo z Krissi Cates?

Kobieta sapnęła cicho, jakby gwałtownie wypuszczała z ust dym.

- Lou zapewne siedzi w jakimś barze w Kansas. Gdy zaś chodzi o Krissi... Proszę jechać międzystanową siedemdziesiątką na zachód, tuż za Columbią skręcić w lewo, a potem wejść do pierwszego lepszego baru ze striptizem. I proszę tu więcej nie dzwonić.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 12:51

Z pojemnika Krissi wyjął kawałek różowego brystolu, zgiął na pół, i napisał: „Są świąteczne ferie, a ja myślę o Tobie. Zgadnij kto?”. Pod spodem postawił duże „B”. Już wyobrażał sobie, jaka będzie wniebowzięta. Przez moment rozważał, czy nie zabrać czegoś od Krissi i nie przełożyć do pudła Libby, ale uznał, że to nie najlepszy pomysł. Gdyby Libby pokazała się z czymś ładnym, natychmiast ściągnęłaby na siebie podejrzania. Zastanawiał się, jak wielkim pośmiewiskiem szkoły jest jego rodzina. Dziewczynki miały do dyspozycji jedną wspólną garderobę, donaszały też ubrania po bracie. Michelle biegała w jego starych swetrach, Debby wciągała to, co udało jej się wyzebrać od Michelle, a Libby nosiła wszystko, co się ostało po rodzeństwie: połatanne chłopięce dzinsy, zaplamione bluzy baseballowe, tanie włóczkowe sukienki, rozciągnięte na brzuchu przez Debby. Tym zasadniczo różniły się od Krissi. Jej ubrania zawsze wyglądały jak spod igły. Podobnie miała się sprawa z dzinsami Diondry. Jeżeli sprawiały wrażenie spranych, to tylko dlatego, że taki był ostatni krzyk mody; jeżeli miały plamy od wybielacza, to z tej przyczyny, że takie właśnie wybrała w sklepie. Diondra dostawała niebotyczne kieszonkowe i parę razy zabrała Bena ze sobą na zakupy. Przykładała do niego różne ciuchy, kazała się uśmiechać, jakby był małym chłopcem. Mówiła, że mógłby u niej odpracować te stroje i mrugała filuternie okiem. Ben nie był pewien, czy faceci powinni się godzić, żeby dziewczyny ich ubierały; nie wiedział, czy to okej czy raczej beznadziejny obciach. Pan O'Malley, jego wychowawca, zawsze żartował na temat nowych koszul, które kazała mu wkładać żona, no ale w wypadku żonatych facetów wszystko wyglądało inaczej. W każdym razie Diondra lubiła, jak Ben ubierał się na czarno, a na nowe ciuchy i tak nie miał pieniędzy.

Pieprzona Diondra, ona zawsze umiała postawić na swoim.

To kolejny powód, dla którego lubił towarzystwo Krissi: uważała go za fajnego chłopaka, bo miał piętnaście lat, a dla niej piętnastolatek to ktoś strasznie dorosły. Nie zachowywała się jak Diondra, nie zanosila śmiechem w najmniej oczekiwanych momentach. Kiedy Ben pytał Diondrę, co ją tak bawi, chichotała dalej przez zaciśnięte usta, po czym wyrzucała z siebie: „Nic. Jesteś cholernie słodki”. Kiedy pierwszy raz poszli na całość, nie mógł sobie poradzić z prezerwatywą; Diondra dostała ataku śmiechu, a jemu natychmiast opadł. Za drugim razem po prostu wyrwała mu kondom z ręki, rzuciła na drugi koniec

pokoju, powiedziała, żeby to olał i sama wcisnęła jego kutasa, gdzie trzeba.

Teraz stanął mu na samo wspomnienie tamtej akcji. Wrzucił notkę do pojemnika Krissi, z fiutem wciąż wielkim jak cholera, i w tej samej chwili do holu weszła pani Darksihzer, nauczycielka drugich klas.

- Cześć, Ben, co cię tu sprowadza? - uśmiechnęła się przyjaźnie.

Miała na sobie dzinsy, sweter i ładne mokasyny, szła ku niemu, taszcząc tablicę ogłoszeń oraz zwój wstążki w szkocką kratę.

Ben zrobił w tył zwrot i ruszył w stronę licealnego skrzydła.

- Nic ważnego - rzucił przez ramię. - Chciałem coś włożyć do pojemnika siostry.

- Nie uciekaj tak, przynajmniej mnie uściskaj, praktycznie cię nie widuję od czasu, gdy zostałeś dorosłym licealistą.

Wciąż szła w jego stronę, mokasyny uderzały miękko o beton, uśmiechała się szeroko różowymi ustami, a jej czoło przecinała równiutka grzywka. W dzieciństwie Ben się podkochał w pani Darksilver, uwielbiał tę ostrą linię jej czarnych włosów. Teraz odwrócił się zdecydowanie od nauczycielki i nierównym krokiem kierował się ku drzwiom z fiutem zaklinowanym w nogawce spodni. Ale już w momencie, gdy się odwracał, wiedział, co się stało. Uśmiech zniknął z twarzy kobiety, ustąpił miejsca grymasowi konsternacji i odrazy. Pani Darksihzer nie powiedziała ani słowa, i stąd miał pewność, że się zorientowała w sytuacji - zauważyła, że Ben nie stał przed pojemnikiem siostry ale tym należącym do Krissi Cates.

Czuł się jak zranione zwierzę, okulawiony jeleń, którego trzeba dobić. Wystarczy jeden strzał. Czasami stawały mu przed oczami obrazy broni, lufy przytkniętej do jego własnej skroni. W jednym z zeszytów zapisał słowa Nietzschego, które znalazł w wypisach, gdy czekał, aż futboliści opuszczą szkołę, a on będzie mógł w spokoju wziąć się do sprzątnia.

Myśl o samobójstwie jest zawsze kojąca;

pozwała człowiekowi przetrwać niejedną ciężką noc.

Tak naprawdę nigdy by się nie zabił. Nie chciał zostać jednym z tych tragicznych frajerów, których dziewczyny oplakują przed kamerami, mimo że za życia nie zamieniły z nimi słowa. To wydawało mu się nawet bardziej żalosne niż jego obecne położenie. Mimo to, nocami, gdy czuł się zaszczuty przez los i kompletnie pozbawiony jaj, z lubością wyobrażał sobie, jak idzie do sejfu na broń (kod 5-12-69, data ślubu rodziców, co teraz zakrawało na

czystą kpinę), bierze w ręce doskonale wyważony sztucer, wsuwa naboje do komory, przyciska lufę do skroni i natychmiast strzela. Po przyłożeniu broni do głowy trzeba od razu pociągnąć za spust, bo inaczej można się rozmyślić. Należy to wszystko wykonać jednym, płynnym ruchem i człowiek pada jak ubranie zsuwające się z wieszaka. Zwykły... szust, a potem martwe ciało na posadzce. I dla odmiany ktoś inny ma nagle problem.

W rzeczywistości Ben niczego podobnego nie planował, ale kiedy musiał się wyluzować, a nie mógł się spuścić, lub właśnie się spuścił, a nadal nie był wyluzowany, zazwyczaj rozmyślał o lufie przy skroni.

I widział, jak leży bezwładnie na podłodze niczym sterta prania, którą trzeba uprzątnąć.

*

Szybko przeszedł przez drzwi i fiut natychmiast mu zwiotczał, jakby wejście na teren liceum automatycznie go kastrowało. Złapał za wózek z wiadrem, wtoczył go do kanciapy i wyszorował ręce ostrym szarym mydłem.

Zbiegł po schodach i skierował się do tylnego wyjścia. W tej samej chwili przewaliła się obok niego grupa sportowców zmierzających na parking. Bena zalała fala gorąca, gdy wyobraził sobie, co o nim sądzą - mają go za świra, tak jak ich trener. Niemniej nikt słowem się nie odezwał na jego widok, nikt nawet na niego nie spojrział. Ben odczekał pół minuty i pchnął wyjściowe drzwi: słońce odbijało od śniegu porażającą bielą. Jeżeli byłby to fragment wideoklipu, w tym momencie rozległby się potężny gitarowy riff...

Faceci, którzy wybiegli przed nim, pakowali się już do pikapów i opuszczali parking, wykręcając szpanerskie pętle. Ben odpiął rower od stojaka, czuł pulsujący ból głowy, na kierownicę spadła kropla krwi. Rozmazał ją, potem tym samym palcem przesunął po struzce sączącej się z rany i bez zastanowienia wsunął palec do ust, jakby zlizywał z niego kapkę dżemu zebraną ze stołu.

Potrzebował odprężenia. Może joint i piwo pozwolą mu się wyluzować. Jedynym miejscem, w którym miał na nie szanse, była meta Treya. Tak naprawdę do niego nie należała, Trey nigdy nie powiedział, gdzie mieszka, ale jeżeli nie siedział u Diondry, to zazwyczaj przebywał w Bazie, na końcu żwirówki za zjazdem ze stanowej 41. Znajdowała się tam duża wykarczowana polana, otoczona krzewami żółtnicy, a na tej polanie magazyn z twardej blachy, który podczas wiatru trząsał się i grzechotał. Zimą w środku warczał generator o niewielkiej mocy, wystarczającej jednak, żeby zasilić kilka elektrycznych piecyków i szroniący telewizor. Na klepisku leżały cuchnące próbki wykładzin dywanowych w żywych kolorach, stało tu też kilka ohydnych kanap подарowanych przez nie wiadomo kogo. Ludzie

siedzieli wokół grzejników, jakby to były ogniska, i jarali. Każdy trzymał w ręku jointa i piwo - puszki stały zagrzebane w śniegu przed wejściem. Zazwyczaj w pewnym momencie wieczoru ten, kto akurat był przy forsie, organizował wypad na 7-Eleven i wracał z kilkoma tuzinami burrito, niektórymi podgrzanyymi w mikrofalach, innymi wciąż zamrożonymi, żeby można je było wetknąć w śnieg obok piwa i zachować na później.

Ben jeszcze nigdy tu nie przyszedł bez Diondry, ci ludzie to była jej paczka, ale co innego, do kurwy nędzy, miał ze sobą pocać? Liczył, że ze względu na rozharatane czoło zostanie powitany szorstkim skinieniem głowy i puszką beasta. Nikt nie potraktuje go przyjaźnie - Trey nigdy go tak nie traktował - ale też nikt go nie wywali, bo to nie leżało w naturze tej załogi. Ben jak zwykle będzie najmłodszy, chociaż zdarzały się już wyjątki od tej reguły: na przykład pewnego razu pojawiła się tam parka z małym chłopczykiem ubranym jedynie w dzinsy i podczas gdy wszyscy zaliczali odlot, maluch siedział cicho na sofie, ssał kciuk i wpatrywał się w Bena. Głównie jednak w Bazie zbierali się ludzie w okolicach dwudziestki - a więc w wieku, w którym normalnie zakuwaliby w college'u, gdyby wcześniej nie rzucili liceum. Tak więc Ben tam wpadnie i może oni go jednak polubią, a Diondra przestanie nazywać Piętaszkiem (od tego, że deptał jej po piętach, nie odstępował na krok) za każdym razem, gdy się z nią zabierał. A przynajmniej pozwolą mu przez parę godzin posiedzieć w kącie i sączyć piwo.

Może o wiele sensowniej byłoby wrócić do domu, ale co tam, pierdolić rozsądek.

*

Kiedy Ben w końcu dotarł do magazynu, metalowe ściany wibrowały od gitarowych riffów. Jacyś kolesie przytargali wzmacniacze i dawali takiego czadu, że niemal bębunki pękały. Ktokolwiek grał na wiodącej, był naprawdę niezły - akurat odstawił kawałek Venom, idealnie odpowiadający nastrojowi Bena. RumadumDUMrum! Dźwięki budzące skojarzenia z nadciągającą nawałą konnych wojowników, grabieżców niosących zagładę ogniem i mieczem. Niewyobrażalny chaos.

Rzucił rower w śnieg, roztarł dłonie, rozprostował kark. Łeb mu pękał, jakby w czasie rozkołysały się dzwony, co trudniej zignorować niż zwyczajny ból głowy. Do tego był cholernie głodny. Jeździł tam i z powrotem wzdłuż stanowej, zbierając się na odwagę, by skrócić w żwirówkę prowadzącą do magazynu. Musiał też wymyślić jakąś opowieść, tłumacząc ranę na czole, która się nie spotka z syfiastym komentarzem w rodzaju: „Auuuu, chłopczyk spadł z rowerka”. Marzyło mu się, że nagle zobaczy Diondrę lub Treya zajeżdżającego pod Bazę i wkroczą razem do środka jak gdyby nigdy nic, a wszyscy zaraz rozplyną się w uśmiechach i zaczną częstować procentami.

Ale wyszło na to, że będzie musiał wparować tam sam. Na tej pokrytej śniegiem równinie widoczność sięgała kilkuset metrów, a na horyzoncie nie majaczył żaden samochód. Nikt więc w najbliższym czasie się nie pojawi.

Kopnął wejściową klapę i wcisnął się do wnętrza. Krzyk gitary obijał się o ściany jak zwierzę w matni. Ben już widział kiedyś faceta, który grał na gitarze. Ponoć swego czasu należał do ekipy koncertowej Van Halen, ale był bardzo oszczędny w opisach, gdy go pytano, co dokładnie robił z nimi w trasie. Zerknął na Bena, jednak najwyraźniej go nie poznał; wodził niewidzącym wzrokiem po wirtualnym tłumie. Na dywanowych kwadratach kuliło się czterech facetów i dziewczyna, wszyscy starsi, z dziwacznymi fryzurami na głowie, i palili do spółki jointa. Ledwo zaszczycili Bena spojrzeniem. Najbrzydszy z nich trzymał ręce na biodrach dziewczyny, a ona leżała na nim rozciągnięta niczym kotka. Miała mały nos, twarz czerwoną od trądziku i sprawiała wrażenie totalnie ujaranej.

Ben stremowany pokonał sporą przestrzeń dzielącą wejście od kawałków wykładziny, usiadł na zielonym kwadracie jakiś metr od zebranej przy piecyku grupy, i zaczął spoglądać na nich z ukosa, wyczekując na odpowiedni moment, by skinąć głową na powitanie. Nikt nie jadł, więc nie zdoła wysepić żadnego żarcia. Gdyby był Treyem, zagadnąłby z mety „Dajcie macha” i przynajmniej mógłby zajarać.

Alex, gitarzysta, naprawdę nieźle posuwał. Gitara to kolejna rzecz, którą Ben chciałby posiadać, w szczególności tę o nazwie Floyd Rose Tremolo. Pobawił się taką w Kansas City, kiedy z Diondrą zahaczyli o sklep muzyczny, i całkiem mu to przypasowało. Jeżeliby się trochę przyłożył, na pewno nauczyłby się kilku zajebistych kawałków, przyszedł tu, do Bazy, i dał niezłego czadu. Każdy, kogo znał, był w czymś dobry, choćby w wydawaniu pieniędzy jak Diondra. Ale ilekroć jej wyjawiał, czego chciałby się nauczyć i co robić w życiu, wybuchała śmiechem, po czym oznajmiała, że przede wszystkim musi się postarać o czek z przyzwoitą wypłatą.

- Jedzenie kosztuje, elektryczność kosztuje, nawet sobie nie wyobrażasz jak dużo - mawiała.

Fakt, Diondra regulowała sporo rachunków, ponieważ jej starych zazwyczaj nie było, ale za wszystko płaciła ich pieprzonymi pieniędzmi. Ben nie uważał wypisywania czeków za taki znowu niesamowity wyczyn. Zastanawiał się, która w ogóle jest godzina i żałował, że nie pojechał do domu Diondry i nie zaczekał na nią pod drzwiami. Teraz będzie musiał tu odsiedzieć przynajmniej godzinę, aby nie wyszło na to, że się zmył, bo nikt nie chciał z nim gadać. Spodnie wciąż miał wilgotne od mydlin, które na siebie wylał, przód koszuli zalatywał smrodem zepsutego tuńczyka.

- Hej - odezwała się dziewczyna. - Hej, młody.

Spojrzał na nią spod kosmyka czarnych włosów, który opadł mu na oczy.

- Nie powinieneś być teraz w szkole? - Sądząc po bełkocie, była rzeczywiście nieźle naćpana. - Dlaczego tu siedzisz?

- Są ferie.

- Mówi, że są ferie - oznajmiła swojemu chłopakowi, chudemu facetowi o zapadłych policzkach, z cieniem wąsów nad wargą.

Chudzielec podniósł wzrok na Bena i zapytał:

- Znasz tu kogoś?

Ben wskazał na gitarzystę.

- Jego.

- Hej, Alex, znasz tego dzieciaka?

Alex oderwał palce od gitary, ale wciąż stał w szerokim rozkroku jak na rockmana przystało. Przyjrzał się Benowi, kulącemu głowę w ramionach, i pokręcił głową.

- Nieee, chłopie. Nie zadaję się z małolatami.

Takie właśnie gówniane teksty zawsze leciały pod jego adresem. Ben sądził, że ufarbowanie włosów na czarno coś zmieni, sprawi, że będzie wyglądał poważniej. Inni faceci zazwyczaj mu przysrywali albo totalnie go olewali. Może z powodu budowy jego ciała, sposobu w jaki się poruszał, a może czegoś w jego krwi. Do rozgrywek drużynowych na WF-ie był zawsze wybierany jako trzeci od końca, gorszy od większości, a lepszy tylko od najgorszych łamag. Kolesie nieustannie i bezwstydnie flirtowali z Diondrą tuż pod jego nosem. Jakby wiedzieli, że ilekroć wchodzi do jakiegoś pomieszczenia, gdzie są inni faceci, jego fiut dramatycznie się kurczy.

Pierdolić ich, miał już tego wszystkiego serdecznie dosyć.

- Cmoknij mnie w kutasa - mruknął.

- Uuuuuu, młody się wkurzył.

- Ty, chłopie, biłeś się z kimś, czy co?

Muzyka teraz całkiem ucichła. Alex oparł gitarę o lodowatą ścianę i jarał z pozostałymi, szczerząc zęby w uśmiechu i podrygując głową. Głosy odbijały się od sufitu i niosły głośnym echem niczym fajerwerki.

Ben potaknął.

- Aha, i z kim niby się biłeś?

- Nie znasz go.

- E, ja tu znam prawie wszystkich. Wal śmiało. Więc kto to był? Twój młodszy brat?

Dałeś się sprać młodszemu bratu?

- Trey Trepano.

- Zalewasz - prychnął Alex. - Trey tak skopałby ci dupę, żebyś się nie pozbierał.

- Biłeś się z tym porąbanym indiańskim sukinsynem? Czy Trey nie jest półkrwi Indiancem? - zapytał facet od dziewczyny, ignorując Aleksa.

- A co to, kurwa, ma do rzeczy, Mike? - odezwał się jeden z jego kumpli.

Pociągnął jointa, trzymając go w klamerce do włosów ozdobionej różowym piórkiem, które drżało na chłodzie. Dziewczyna wzięła ostatniego macha, skipowała resztkę i wpięła klamerkę z powrotem we włosy. Jeden z mysich loków wymknął się spod zapinki i zawisnął pod dziwacznym kątem.

- Słyszałem, że rajcuje go jakieś naprawdę przerażające badziewie - ciągnął Mike. - Przyzywanie szatana i takie tam.

Ben wiedział, że Trey to kawał pozera. Nieraz coś bredził na temat spotkań w Witchita o północy, gdzie podczas różnych rytuałów miała się łąć krew. Pewnej październikowej nocy wparował do Diondry rozgorączkowany, bez koszuli, wymazany krwią. Przysięgał, że z kumplami zarąbali kilka sztuk bydła pod Lawrence. Gadał, że nawet chcieli się zakraść do kampusu, porwać jakiegoś dzieciaka z college'u i też złożyć go w ofierze, ale w zamian się naćpali. W tym akurat wypadku może i nie kłamał - następnego dnia we wszystkich wiadomościach trąbili, że ktoś zaszlachtował maczetami cztery krowy i zabrał ich wnętrzności. Ben widział migawki: martwe cielska o rozwartych pyskach leżały na boku z żałośnie sterczącymi, węzlastymi nogami. Zabić krowę wcale nie jest łatwo, nie bez kozery ich skóry miały takie szerokie zastosowanie. No ale Trey kilka godzin dziennie wyciskał sztangę i machał hantlami, wylewał hektolitry potu i kłął jak szewc. W rezultacie był chodzącą masą sprężystych mięśni, więc chyba zdołałby zaszlachtować krowę maczetą, a już na pewno miał na tyle porąbane w głowie, żeby to zrobić tak ot, dla jaj. Ale ta historia z ofiarami w imię szatana? W opinii Bena diabeł wolałby coś bardziej praktycznego niż krowie wnętrzności. Może złoto. Może niemowlę. Zażądałby zabicia dziecka w dowód lojalności, jak gangsterzy, którzy nowym zawsze kazali kogoś zastrzelić.

- To go nieźle rajcuje - przyznał Ben. - Nas rajcuje - poprawił się szybko. - Przywołujemy naprawdę mroczne moce.

- Czy przypadkiem przed chwilą nie mówiłeś, że się z nim pobiełeś? - zauważył Mike, ale wreszcie, WRESZCIE sięgnął do styropianowej chłodziarki i podał Benowi wilgotną, lodowatą puszkę olympii gold. Ben wychylił piwo duszkiem, wyciągnął rękę po drugie i był szczerze zdziwiony, że nie został szczyzczony jakimś kolejnym gównianym tekstem, ale

rzeczywiście dostał browar. - Bywa, że się bijemy. Gdy się robi takie rzeczy jak my, czasami kończy się mordobiciem.

Brzmiało to równie enigmatycznie, co opowieści Aleksa o trasie z jedną z czołowych rockowych kapel.

- Byłeś wśród tych facetów, którzy zabili krowy? - zapytała dziewczyna.

Ben skinął głową.

- Musieliśmy to zrobić. Taki dostaliśmy rozkaz.

- Cholernie pokręcony rozkaz, chłopie - odezwał się cichy koleś, siedzący w kącie. - To był mój hamburger.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Ben starał się wyglądać na równego, ale twardego gościa. Strząsnął czarną czuprynę na oczy, piwo wprawiło go w lepszy nastrój. Szybko wychylił dwie puszkę na pusty żołądek, czuł lekki szmerek, ale nie chciał wyjść na faceta o słabej głowie.

- A właściwie dlaczego zabiliście te krowy? - dopytywała dziewczyna.

- To świetne uczucie, poza tym musieliśmy wypełnić odpowiednie nakazy. Do tego klubu nie można należeć tak sobie, trzeba się wykazać.

Ben dużo polował, ojciec raz w życiu zabrał go do lasu, ale potem mama się upierała, żeby jej towarzyszył. Zacieśnianie więzi rodzinnych, i takie tam. Nie zdawała sobie sprawy, jak cholernie obciachowe jest polowanie z matką. Co nie zmienia faktu, że to ona wszystkiego go nauczyła: dobrze celować, amortyzować odrzut, w odpowiednim momencie naciskać spust, cierpliwie wyczekiwać godzinami w ukryciu. Ben zastrzelił w swoim życiu mnóstwo zwierząt, zaczynając od królików, a na jeleniu kończąc.

Przypominała mu się też nagle historia z myszami. Pewnego razu kot, którego mama trzymała w stodole, wygrzebał mysie gniazdo, połknął parę nowo narodzonych, gumowatych myszek, a resztę miotu - jakieś pół tuzina - porzucił na kuchennych schodach. W tym czasie Runner po raz drugi zostawił rodzinę, więc to Ben musiał skrócić cierpienia małych myszy. Wciąż ślepe, ze sklejonymi powiekami, wiły się niczym różowe miniaturowe węgorze, a kiedy Ben biegał między stodołą a schodami i próbował wymyślić, jak rozwiązać problem, zostały oblezione przez mrówki. W końcu chwycił za szpadel i zaczął wbijać stworzenia w ziemię, kawałki żywego mięsa przyskały mu na ramiona, gniew buzował, a każde uderzenie szpadlem tylko podsycalo furię. Myślisz, że jestem mięczakiem, Runner, myślisz, że jestem mięczakiem. Spociał się niemiłosiernie, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że mama na niego patrzy zza siatkowych drzwi. Tego wieczoru przy kolacji była wyjątkowo milcząca i z zatroskaniem spoglądała na syna smutnymi oczami. Ben miał ochotę odwrócić się do niej i

powiedzieć: „Czasami dobrze dla odmiany coś zgnoić zamiast być gnojonym”.

- To znaczy jak musicie się wykazywać? - nie odpuszczała dziewczyna.

- Czasami musimy zabić. Szatan żąda ofiary - podobnie jak Jezus.

Szatan. Proszę, powiedział to takim tonem, jakby wymieniał imię kumpla. Nie zabrzmiało to ani fałszywie, ani przerażająco. Zabrzmiało normalnie, jakby dobrze wiedział o czym mówi. Szatan. Wyraźnie widział go teraz przed oczami: facet z długą twarzą o wypukłych ślepiach i kozich rożkach.

- Naprawdę wierzysz w te brednie... Jak ty się właściwie nazywasz?

- Ben Day.

- Ben Gej?

- Cha, cha. Cholernie oryginalne.

Ben wziął kolejne piwo z pojemnika, tym razem sam, bez pytania. Od czasu, gdy rozpoczęli rozmowę, przysunął się znacznie bliżej grupy, browar go ośmielił, te wszystkie bzdety płynące z jego ust wydawały się prawdziwe i niepodważalne. Mógł stać się miarodajnym, pewnym siebie kolesiem, teraz nie miał co do tego wątpliwości, nawet z tym ostatnim durnym tekstem świetnie sobie poradził, wypowiadający go dupek ani przez chwilę nie przewidywał, że dowcip kompletnie nie wypali.

Zapalili następnego jointa, dziewczyna znowu wyjęła z włosów klamerkę, niesforne loki opadły, wyglądała teraz o wiele gorzej. Ben wciągnął dym - byle nie kaszleć, byle nie kaszleć - ale nie dość głęboko i poczuł nieprzyjemny posmak na podniebieniu. To był gówniany towar, po którym się załapywało zły odłot. Człowiek popadał w paranoję i słowotok, zamiast się przyjemnie rozluźnić. Ben miał na ten temat własną teorię: wszystkie chemiczne środki używane na farmach, wsiąkające w ziemię, były gwałtownie wysysane przez te zachłanne, podłe rośliny. I teraz jaskrawozielony nawóz i środki owadobójcze wnikały w jego zwoje mózgowe i płuca.

Dziewczyna spoglądała cielecym, ogłupiałym wzrokiem, jaki miała Debby, gdy zbyt długo oglądała telewizję lub chciała coś powiedzieć, jednak była zbyt leniwa, żeby otworzyć usta.

Jasna cholera, ale chciało mu się jeść!

Diabeł nigdy nie jest głodny. Ni stąd, ni zowąd, przyszła mu do głowy ta myśl, i pulsowała rytmicznie jak modlitwa.

Alex znowu chwycił za gitarę. Zagrał parę kawałków Van Halen, AC/DC, piosenkę Beatlesów, a potem rozległy się dźwięki *O Little Town of Bethlehem*, co przyprawiło Bena o jeszcze większy ból głowy.

- Hej, daruj sobie kolędy, młodemu może to zaszkodzić - zarechotał Mike.

- Kurde, on krwawi! - przeraziła się dziewczyna.

Rana na czole znowu się otworzyła, krew spływała po policzku i kapłała Benowi na spodnie. Dziewczyna chciała mu wcisnąć w rękę papierową serwetkę z fast foodu, ale zbył ją lekceważącym gestem i rozmazał strużkę po twarzy jak barwy wojenne. Alex przestał grać i teraz wszyscy wgapiali się w Bena. Lekko usztywnieni uśmiechali się niepewnie i instynktownie odchylali do tyłu. Mike przekazał Benowi jointa niczym cenny dar, trzymając go czubkami palców, by uniknąć bezpośredniego kontaktu. Ben wcale nie miał ochoty na kolejnego macha, mimo to zaciągnął się głęboko i kwaśny dym wypalił mu kolejne skrawki płuc.

W tej samej chwili kłapa wejścia zadrgała i do środka wkroczył Trey. Stał na lekko rozstawionych nogach ze skrzyżowanymi ramionami, rozejrzał się dokoła i gdy jego wzrok trafił na Bena, szarpnęło go w tył, jakby zobaczył zgniłą rybę.

- Co ty tu robisz? Przyszedłeś z Diondrą?

- Diondra pojechała do Saliny. Wpadłem dla zabicia czasu, twoi znajomi poczęstowali mnie tym i owym.

- Opowiadał nam o waszej bójce - wtrąciła dziewczyna, uśmiechając się przebiegle. Jej usta przypominały dwa cienkie półksiężyce. - I o różnych innych okropnościach.

Trey miał długie, czarne włosy, gładko szesane do tyłu, i wyraziste rysy twarzy, teraz zastygłe w kamienną maskę. Spojrzał na grupę siedzącą na podłodze i chyba po raz pierwszy nie był pewien, jak rozegrać sytuację.

- Aha, a co dokładnie opowiadał?

Nie odrywając oczu od Bena, zabrał piwo z ręki dziewczyny; nie zaszczycił jej przy tym choćby przelotnym spojrzeniem. Ben zaczął się zastanawiać, czy tych dwoje swego czasu się bzykało. Pamiętał, że w podobnie pogardliwy sposób Trey potraktował kiedyś jedną ze swoich eklasek. Walnął tekst w rodzaju: „Twój widok nie wzbudza we mnie ani złości, ani smutku, ani radości. Po prostu nisko mi wisisz.

- Różne takie o diable i o tym, jak mu pomagacie.

Trey uśmiechnął się szeroko i usiadł naprzeciwko Bena, który pilnie unikał kontaktu wzrokowego.

- Hej, Trey - odezwał się Alex. - Jesteś Indianinem, co nie?

- No. Chcesz, żebym cię oskalpował?

- Ale nie pełnej krwi? - wypaliła dziewczyna.

- Mama jest biała. I ja się nie zadaję z indiańskimi laskami.

- Dlaczego? - zapytała, wpinając i wysuwając klamerkę z włosów; metalowe zęby zacisku plątały jej loki.

- Ponieważ szatan lubi białe cipki.

Znowu się uśmiechnął, spojrzał na dziewczynę z ukosa, a ona zaczęła chichotać, ale niemal natychmiast ucichła i przybrała poprzedni wyraz twarzy. Jej brzydki chłopak w obronnym geście objął ją ręką w biodrach.

Pogwarki Bena bawiły całe towarzystwo, natomiast Trey wzbudzał lęk. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, i wodził wokół wzrokiem, który na pozór był przyjazny, ale całkowicie pozbawiony ludzkiego ciepła. I chociaż pozycja jego ciała zdawała się swobodna i niewymuszona, mięśnie miał napięte, a ręce i nogi ustawione pod ostrym kątem, ten facet emanował bezdusnością. Nikt już nie zaproponował puszczenia w obieg kolejnego jointa.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, zachowanie Treya wszystkich deprimowało. Zazwyczaj był głośnym, przemądrzałym arogantem, amatorem piwa i dobrej zabawy, ale kiedy wpadał w taki nastrój jak dzisiaj, wydawało się, że wypuszcza setki niewidzialnych macek, które nachalnie wszystkich usadzają w miejscu. Pętają i dołują.

- Idziemy stąd? - zwrócił się nieoczekiwanie do Bena. - Mam klucze do domu Diondry. Tam na nią poczekamy, pooglądamy kablówkę. To o wiele lepsze od tej gównianej, wyziębionej nory.

Ben skinął głową, pomachał niepewnie ekipie na do widzenia i ruszył za Treyem, który już zdążył wyjść na zewnątrz i cisnąć puszkę po piwie w śnieg. Pewność siebie opuściła Bena. Wsiadł do pikapa CMC, próbował wydukać jakieś wyjaśnienia, ale słowa więzły mu w gardle. Tego wieczoru Trey uratował mu tyłek, pozwolił zachować twarz, z zupełnie niewyjaśnionych przyczyn. To nie było w jego stylu. I właściwie dlaczego miał klucze do Diondry? Pewnie dlatego, że o nie poprosił. A Benowi nigdy taki pomysł nie przyszedł do głowy.

- Mam nadzieję, że jesteś w stanie poprzeć czynem to, co tam nawygadywałeś - powiedział Trey, wrzucając wsteczny bieg.

GMC był niczym czołg, więc Trey poszorował na przelaj przez pola. Podskakiwali na skibach rżyska, rzucało nimi, gdy pokonywali rowy irygacyjne i Ben musiał się złapać rączki nad drzwiami, żeby sobie przypadkiem nie odgryźć języka. Trey spojrzał znacząco na jego zaciśniętą na rączce dłoń.

- Tak, jasne.

- Może więc dzisiejszej nocy staniesz się mężczyzną. Może będziesz miał na to szansę - oświadczył Trey.

Włączył magnetofon. Huknął kawałek Iron Maiden, syczące słowa wślizgiwały się Benowi do ucha: 666... Szatan... ofiara.

Bena nakręcała ta muzyka, mózg mu się lasował, ogarniało go podsycone gniewem rozgorączkowanie. Tak zawsze działał na niego metal, gitarowe riffy wprowadzały w stan coraz większego napięcia, dźwięki bębna wwiercały się w kręgosłup, oszalały, nie pozwalały jasno myśleć, wywoływały frenetyczne rozedrganie. Miał wrażenie, że całe jego ciało jest jak zaciśnięta pięść, gotowa do ataku.

Libby Day

Współcześnie

Odcinek międzystanowej siedemdziesiątki pomiędzy Kansas City i St. Louis przebiegał przez brzydką, monotonną równinę koloru zgnitej żółci, usianą ohydnyymi billboardami - embrion zwinięty w kłębek jak kocie („Aborcja zatrzymuje bicie serca”); pokój zalany ostrym, czerwonym światłem ambulansu („Dbałość i troska” - specjaliści kompleksowego oczyszczania miejsc zbrodni); zaskakująco przeciętna kobieta spoglądająca na przejezdnych wzrokiem proszącym „zerżnij mnie” („U Jimmiego” - gorący klub dla dżentelmenów). Złowieszcze billboardy nakazujące miłować Jezusa sąsiadowały z ogłoszeniami firm czerpiących dochody z pornografii i reklamami okolicznych barów, które się charakteryzowały innowacyjnym zastosowaniem cudzysłowu: Przydrożny zajazd Herba - „najlepsze” posiłki w mieście; Grill u Jolene - zapraszamy na „przepyszne” żeberka z rusztu.

Lyle siedział na fotelu pasażera. Zanim wyruszyliśmy, długo ważył plusy i minusy swojego uczestnictwa w wyprawie (może sama nawiązę lepszy kontakt z Krissi, jak to kobieta z kobietą; on z kolei ma większą wiedzę na temat tego tropu w sprawie Bena; co jednak się stanie, jeżeli da się ponieść emocjom, zacznie zadawać za wiele pytań i wszystko zawali, no bo jeżeli miał jakąś wadę, było nią zbyt impulsywne działanie; z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że pięćset dolarów to sporo kasy i, bez urazy, ale taka suma zdecydowanie upoważnia go do udziału w tym przedsięwzięciu). W końcu warknęłam w słuchawkę, że za trzydzieści minut będę przejeżdżać obok pubu „U Sary”, więc jeżeli tam się zjawi, może się ze mną zabrać. I natychmiast się rozłączyłam.

Teraz kręcił się niespokojnie na sąsiednim siedzeniu, przyciskał i zwalniał blokadę drzwi, bawił się radiem i czytał na głos każdą reklamę, jakby się chciał upewnić, że zrozumiał jej treść. Stąd wiem, że minęliśmy hurtownię sztucznych ogni, wielką jak katedra, i przynajmniej trzy czarne punkty śmierci oznakowane na poboczu białymi krzyżykami i plastikowymi kwiatami, które obrastały kurzem drogi. Natomiast stacje benzynowe oznajmiały o swoim istnieniu poprzez znaki wyższe i chudsze od wiatromierzy na dachach pobliskich farm.

W pewnym momencie minęliśmy billboard, na którym widniała znajoma twarz: Lisette Stephens z tym swoim promiennym uśmiechem, a poniżej numer telefonu, pod którym można zgłaszać wszelkie informacje na temat zaginionej. Ciekawe, ile jeszcze minie czasu,

zanim utrata nadziei i funduszy doprowadzi do zdjęcia tych ogłoszeń.

- Chryste, znowu ona - mruknął Lyle, gdy przejechaliśmy obok Lisette.

Natychmiast się zjeżyłam, chociaż tak naprawdę podzielałam jego uczucia. Po upływie pewnego czasu potężnym nietaktem jest zmuszanie ludzi do zawracania sobie głowy kimś, kto bez wątpienia postradał życie. No chyba że chodziło o moją rodzinę.

- Lyle, czy mógłbyś mi powiedzieć, czemu masz taką obsesję na punkcie... tej sprawy?

Ledwo wypowiedziałam swoje pytanie, a niebo zasnuł taki mrok, że włączono oświetlenie autostrady i teraz wszystkie lampy aż po horyzont, mrugały białymi ślepiami, jakby one też były zaintrygowane treścią odpowiedzi.

Lyle wpatrywał się we własną nogę i słuchał mnie z głową przekrzywioną na bok, jak to miał w zwyczaju. Zawsze nachylał ucho w stronę mówiącego, a potem milczał przez chwilę, jakby musiał przełożyć każdy zasłyszany tekst na sobie tylko znany język.

- To klasyczna detektywistyczna zagadka z gatunku „kto zabił?”. Istnieje na jej temat wiele teorii, stanowiących ciekawy punkt wyjścia do dyskusji - odparł, nie spoglądając w moją stronę. - Poza tym w tę historię uwikłana jesteś ty. I Krissi. Dzieci... które niechcący poruszyły lawinę.

- Dzieci, które poruszyły lawinę?

- Zapoczątkowały wydarzenia, które całkowicie je przerosły, wymknęły się spod kontroli. Pociągnęły za sobą dalekosiężne konsekwencje. jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. To mnie intryguje.

- Dlaczego?

Przerwał na krótką chwilę.

- Tak po prostu.

Byliśmy dwójką ludzi najmniej nadających się do wyciągania od kogokolwiek informacji. Okaleczonymi osobowościami, popadającymi w konsternację, gdy musieliśmy określić samych siebie. Ale też tak naprawdę miałam gdzieś, czy zdołamy dowiedzieć się czegoś od Krissi, bo im dłużej rozmyślałam nad teorią Lyle'a, tym bardziej wydawała mi się do bani.

Po kolejnych czterdziestu minutach jazdy w zasięgu wzroku pojawiły się pierwsze bary ze striptizem: ponure, niskie kostki z betonu, które nie miały żadnej nazwy; wystawione nad nimi neony krzyczały jedynie; Żywe dziewczyny! Żywe dziewczyny! Co bez wątpienia było lepszym chwytem reklamowym niż slogan „Martwe dziewczyny”. Wyobraziłam sobie, jak Krissi Cates zajeżdża na zwirowy parking, a potem rozbiera się w jednym z takich

anonimowych lokali. Brak nazwy budził we mnie głęboki niepokój. Ilekroć widzę w gazetach doniesienia o mordzie popełnionym na dzieciach przez rodziców, myślę: Ale jak to możliwe? Skoro dziecko miało imię, to rodzicom musiało na nim zależeć, choćby przez krótki czas, gdy z całej gamy imion wybrali to jedno jedyne i nadali je swojemu potomkowi. Jak można zabić stworzenie, które kiedyś było nam na tyle bliskie, że sami je nazwaliśmy?

- To będzie moja pierwsza wizyta w barze ze striptizem - wyznał Lyle z tym swoim impertynenckim uśmieszkiem.

Zjechałam z autostrady w lewo, zgodnie ze wskazówkami matki Krissi. Kiedy wcześniej zadzwoniłam do jedyne go klubu z tego przedmieścia, który widniał w książce telefonicznej, jakiś obleśny dziad powiedział, że Krissi „kręci się po okolicy”. Zatrzymałam samochód na parkingu wielkości pastwiska, wspólnym dla trzech stojących w rzędzie klubów. Na jego krańcu znajdowały się miejsca postojowe dla potężnych osiemnastokołowych ciężarówek i stacja benzynowa. W ostrym blasku jarzeniowych lamp widziałam sylwetki kobiet przemykających jak koty pomiędzy wielkimi samochodami. Drzwi otwierały się i zamykały, nagie nogi migały, gdy dziewczyny zaglądały do kabin, łowiąc kolejnego klienta. Zapewne większość striptizerek lądowała w końcu na parkingu dla ciężarówek, bo w pewnym momencie dla właścicieli klubów stawały się już zbyt zużyte.

Wysiadłam z auta i zaczęłam przerzucać kartki wręczone mi przez Lyle'a: starannie wypisana lista ujętych w punkty pytań, które miałam zadać Krissi, gdyby udało nam się ją znaleźć. (1. Czy podtrzymujesz twierdzenie, że w dzieciństwie byłaś molestowana przez Bena Daya? Jeżeli tak, uzasadnij). Próbowałam się skoncentrować na kolejnych pytaniach, gdy kątem oka pochwyciłam jakiś ruch po prawej stronie. W oddali niewielki cień wymknął się z kabiny ciężarówki i ruszył w moją stronę, pracując przed siebie ze szczególną determinacją osoby, która ledwo trzyma się na nogach, ale za wszelką cenę nie chce okazać zmęczenia. Widziałam ramiona wysunięte do przodu, daleko poza linię ciała, jakby dziewczyna nie miała wyjścia, musiała iść w moim kierunku, gdy już raz go obrała. Bo po pewnym czasie nie ulegało już wątpliwości, że to dziewczyna. Kiedy zrównała się z moim autem, zobaczyłam twarz okrągłą jak u lalki, połyskującą w świetle latarni, i jasnobrązowe włosy szesane z wypukłego czoła, zebrane w koński ogon.

- Masz może fajki? Mogłabyś mnie poczęstować? - zagadnęła. Jej głowa podrygiwała jak w zaawansowanym stadium Parkinsona.

- Dobrze się czujesz? - spytałam i zajrzałam uważniej w jej twarz, próbując oszacować wiek.

Miała nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Drżała jak osika w cienkiej bawełnianej

bluzie i minispódniczce, do której dobrała botki, z założenia chyba seksowne, ale na niej wyglądały groteskowo dziecinnie; przywodziła na myśl dziewczynkę z przedszkola odgrywającą kowbojkę.

- Masz fajkę? - powtórzyła i pojaśniała na twarzy, chociaż jej oczy cały czas zasnuwała wilgotna mgiełka.

Zakołysała się na obcasach i przeniosła wzrok ze mnie na Lyle'a, który tymczasem pilnie kontemplował asfalt.

Gdzieś w samochodzie miałam papierosy, zanurkowałam więc do wnętrza i zaczęłam się przebijać przez stare opakowania po fast foodach, torebki z herbatą rozmaitej maści (kolejna rzecz, której nikt nigdy nie powinien sam kupować - herbata w torebkach) i stertę tanich metalowych łyżeczek (jak wyżej). W paczce były tylko trzy papierosy, w tym jeden złamany. Wyjęłam dwa pozostałe, pstryknęłam zapalniczką, dziewczyna nachyliła się nieporadnie, ale po chwili trafiła końcem papierosa w płomień.

- Przepraszam, marnie widzę bez okularów.

Zapaliłam swoją fajkę, przeczekałam lekki zawrót głowy wywołany pierwszym, gwałtownym uderzeniem nikotyny.

- Jestem Colleen - powiedziała nastolatka, zaciągając się dymem.

Temperatura ostro spadła po zachodzie słońca i stojąc naprzeciwko siebie, lekko podrygiwałyśmy, żeby się rozgrzać.

Colleen. To zbyt ładne imię dla dziwki. Ktoś kiedyś miał wobec tej dziewczyny zupełnie inne plany.

- Ile masz lat, Colleen?

Obejrzała się w kierunku postojów ciężarówek i obdarzyła mnie uśmiechem, cały czas kuląc się w ramionach.

- Spoko, ja nie pracuję tam, tylko tutaj - wskazała palcem na środkowy klub. - To legalna robota. Dlatego nie muszę... no wiesz... - Skinęła głową w stronę odległego rzędu wielkich osiemnastokółowców, wszystkich zastygłych w bezruchu, o ile nie liczyć akcji w kabinach. Ale pilnujemy dziewczyn, które obsługują tych facetów. To taka siostrzana przysługa. Jesteś nowa?

Na dzisiejszą okazję włożyłam bluzkę z wielkim dekoltem, wychodząc z założenia, że Krissi - jeżeli ją znajdziemy - poczuje się swobodniej, gdy zobaczy mnie w tak bezpruderyjnym stroju. Colleen wpatrywała się teraz okiem znawczyni w moje cycki i próbowała na ich podstawie przypasować mnie do któregoś z klubów.

- Nie, nie. Chcemy odszukać naszą znajomą z dawnych lat, niejaką Krissi Cates.

Znasz ją może?

- Niewykluczone, że teraz nosi inne nazwisko - wtrącił Lyle i szybko odwrócił wzrok w stronę autostrady.

- Znam jedną Krissi. Taka podstarzała?

- Ma około trzydziestu pięciu lat.

Całe ciało Colleen wibrowało. Podejrzewałam, że jest na jakimś dopalaczu. Ale może tylko było jej zimno.

- To by się zgadzało - odparła i skończyła papierosa jednym, agresywnym pociągnięciem. - Czasami udaje jej się załapać na dzienną zmianę u Mike'a. - Wskazała na najbardziej oddalony klub, oznakowany neonem, na którym widniało jedynie G-R-S.

- Nie brzmi najlepiej.

- To fakt. No ale kiedyś trzeba przejść na emeryturę, co nie? Choć w jej wypadku to rzeczywiście straszna porażka, bo wydała kupę kasy na nowe cycki. Mimo to Mike uznał, że najlepsze lata ma już za sobą. Jedyne co w tym dobre to to, że mogła odpisać sobie te cycki od podatku.

Colleen wypowiedziała swoją kwestię z aroganckim okrucieństwem nastolatki, która wie, że od takiego upokorzenia dzielą ją jeszcze całe dekady.

- Więc powinniśmy wrócić w ciągu dnia? - zapytał Lyle.

- Hmm... Lepiej poczekać tutaj - odparła, przybierając dziecinny, sztucznie niewinny ton głosu. - Powinna wkrótce skończyć. - Skinęła głową w stronę ciężarówek. - No, muszę ruszać do pracy. Dzięki za fajkę.

Znowu wystawiła przygarbione ramiona do przodu i potruchtala do środkowego budynku, po czym pchnęła drzwi i zniknęła w środku.

- Myślę, że powinniśmy się zbierać. To ślepy zaułek - zawyrokował Lyle.

Już miałam na niego naskoczyć za to, że tchórzy, nakazać, by wsiadł do samochodu i tam na mnie zaczekał, kiedy kolejny cień wysiadł z ciężarówki i ruszył w stronę ogólnego parkingu. Wszystkie kobiety tutaj chodziły tak, jakby musiały się zmagać z huraganem wiejącym im prosto w twarz. Żołądek przewrócił mi się na drugą stronę, gdy wyobraziłam sobie, że to ja ugrzęzłam w tym lub podobnym miejscu i samotnie brnę przez opustoszały parking. To wcale nie takie nieprawdopodobne, wziąwszy pod uwagę fakt, że jestem kobietą bez rodziny, pieniędzy i konkretnego wykształcenia, za to odznaczam się swoistym, skrzywionym pragmatyzmem. Rozkładałam już nogi przed miłymi facetami, bo wiedziałam, że dzięki temu przez parę miesięcy będę miała zapewnione darmowe kolacje. Robiłam to bez cienia wstydu i wyrzutów sumienia, niewiele więc byłoby trzeba, żebyśmy wylądowała na

jednym z takich parkingów. Strach brutalnie chwycił mnie za gardło, ale szybko się otrząsnęłam. Przynajmniej w najbliższym czasie mogłam liczyć na stały dopływ gotówki.

Nadchodząca postać składała się głównie z cieni: widziałam aureolę zniszczonych włosów, sterczące nogawki krótkich szortów, olbrzymią torbę i zarys mocnych, muskularnych nóg. Kiedy kobieta wyłoniła się w końcu z mroku, okazało się, że jest opalona na mahoń i ma ciut za blisko osadzone oczy. Była ładna, ale emanowała jakąś przebiegłą drapieżnością. Lyle szturchnął mnie łokciem w bok, omiółł baczny spojrzeniem, by sprawdzić, czy poznaję tę twarz. Wydawała mi się całkiem obca, ale na wszelki wypadek zamachałam przyjaźnie ręką i kobieta gwałtownie przystanąła. Zapytałam, czy nazywa się Krissi Cates.

- Owszem - odparła.

Na jej lisiej twarzy pojawił się wyraz nadziei i skwapliwości, jakby nagle uwierzyła, że za chwilę może ją spotkać coś wspaniałego. Taka reakcja była nieoczekiwana i zdumiewająca, wzięwszy pod uwagę, skąd właśnie wracała.

- Chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

- Okej - wzruszyła ramionami. - Na jaki temat?

Najwyraźniej nie była w stanie mnie rozgryźć: nie wyglądałam ani na policjantkę, ani na pracownicę służb socjalnych, ani na striptizerkę, ani na nauczycielkę jej dziecka, zakładając, że miała jakieś dziecko. Na Lyle'a tylko przelotnie zerknęła, on natomiast albo gapił się na Krissi niczym na zjawisko z innej planety, albo całkiem wykręcał się do nas tyłem.

- Chcesz pogadać o mojej pracy? Jesteś reporterką?

- Prawdę powiedziawszy, chciałabym porozmawiać o Benie Dayu.

- A! W porządku. W takim razie wejdźmy do Mike'a, postawisz mi drinka, okej?

- Jesteś mężatką? Zmieniłaś nazwisko? - wypalił Lyle.

Krissi spiorunowała go wzrokiem, a potem spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. Przewróciłam oczami i wykrzywiłam twarz: taką minę zazwyczaj przybierają kobiety w obecności innych kobiet, gdy chcą dać do zrozumienia, że się wstydzą za towarzyszącego im faceta.

- Kiedyś byłam mężatką - odparła. - Noszę teraz nazwisko Quanto. Ale tylko dlatego, że nie chciało mi się wracać do panińskiego. Wiesz, jak upierdliwe są te urzędowe zmiany w papierach?

Uśmiechnęłam się porozumiewawczo, dając do zrozumienia, że znam ten ból, a potem podążyłam za Krissi przez parking. Usiłując nie wpaść na wielką torbę, która obijała się o jej udo, wzrokiem nakazałam Lyle'owi, żeby się opanował. Kiedy już byliśmy przed drzwiami,

nasza przewodniczka skoczyła za róg, mruknęła „przepraszam na chwilę” i zaczęła coś wciągać do nosa z foliowego pakiecika, który wyjęła z tylnej kieszonki szortów. Potem odwróciła się do mnie plecami i wydała z siebie jakiś charkot, który musiał być bolesny.

Kiedy ponownie się ukazała, miała na twarzy szeroki uśmiech. *Whatever gets you through the night...* - zanuciła, machając folią, ale w połowie zdania zgubiła linię melodyczną. W końcu pociągnęła mocno nosem, który był tak maleńki, że przypominał wyspnięty pępek, jaki miewają kobiety w ciąży - Mike jest nazistą, gdy chodzi o te sprawy - wyjaśniła i pchnęła drzwi.

Bywałam już w barach ze striptizem - działo się to w latach dziewięćdziesiątych, kiedy kobiety były na tyle głupie, by udawać, że podniecają je inne laski, ponieważ faceci uważali, że to seksowne. Jednak jeszcze nigdy nie trafiłam do tak tandetnego lokalu. Był mały i oślizły, jakby ściany i podłogi pokryto grubą warstwą wosku. Na scenie bez wdzięku tańczyła młoda dziewczyna. A właściwie maszerowała w miejscu, kręcąc brzuchem wystającym ponad linię o trzy numery za małych stringów. Jej sterzące sutki, zaklejone jakimiś ozdóbkami, wznosiły się i opadały rytmicznie. Co kilka muzycznych taktów dziewczyna odwracała się tyłem do mężczyzn, schylała, spoglądała na nich spomiędzy rozstawionych nóg i wówczas jej twarz mocno czerwieniała od napływającej do głowy krwi. Na ten widok wspomniani mężczyźni - było ich tu zaledwie trzech, wszyscy w flanelowych koszulach, siedzący przy oddzielnych stolikach, zgarbieni nad szklankami z piwem - pomrukiwali lub aprobująco kiwali głowami. Potężny bramkarz, wyraźnie znudzony, kontemplował swoje odbicie w ściennym lustrze. Usiedliśmy rzędem przy barze - ja zajęłam miejsce w środku. Lyle skrzyżował ramiona i wsunął dłonie pod pachy, starając się niczego nie dotykać i sprawiać przy tym wrażenie, że patrzy na tancerkę, jednocześnie na nią nie patrząc.

Odwróciłam się plecami do sceny, zmarszczyłam nos.

- Tak, wiem - odezwała się Krissi. - Beznadziejna speluna. Ale na pewno ty stawiasz, tak? Bo ja jestem totalnie splukana.

Zanim jeszcze zdążyłam odpowiedzieć, zamówiła dla siebie wódkę z sokiem żurawinowym. Poprosiłam o to samo. Lyle natomiast musiał udowodnić, że jest pełnoletni, i kiedy pokazywał barmanowi prawo jazdy, zaczął odstawiać jakąś idiotyczną parodię, jego głos upodobił się do kwakania, a na ustach zamajaczył dziwaczny uśmieszek. Nie nawiązał z nikim wzrokowego kontaktu, nie dał po sobie poznać, że kogoś naśladuje. Kiedy barman wybałuszył oczy, Lyle oznajmił:

- *Absolwent*. Widziałeś ten film?

Barman odwrócił się od niego bez słowa.

Podobnie jak ja.

- No więc, co chciałabyś wiedzieć?

Krissi uśmiechnęła się przymilnie, nachyliła w moją stronę. Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej, kim jestem, ale wydawała się tym tak niezainteresowana, że postanowiłam oszczędzić sobie fatygi. Miałam przed sobą kobietę spragnioną jakiegokolwiek towarzystwa. Mimowolnie zerkałam na jej cycki, większe od moich, ściśnięte i dobrze podtrzymane, tak że sterczały imponująco. Wyobraziłam je sobie nagie, błyszczące i krągłe, jak obciążone celofanem kurczaki z supermarketu.

- Podobają ci się? - zaćwierkała Krissi i podrzuciła piersi rękami. - Są prawie nowe. Niedługo minie rok, jak je zrobiłam. Powinnam im wyprawić przyjęcie urodzinowe. Chociaż niewiele mi pomogły. Pieprzony Mike przydziela mi najgorsze zmiany. Mimo to nie żałuję, że się na nie zdecydowałam. Zawsze chciałam mieć większe cycki, no i mam. Gdyby mi się jeszcze udało tego pozbyć, to teraz najważniejsze.

Chwyciła za mikroskopijny wałeczek tłuszczu z teatralną przesadą. Tuż poniżej mignęła biała blizna po cesarskim cięciu.

- Gdy zaś chodzi o Bena Daya... - podjęła. - Skurwysyński rudzielec. Kompletnie spieprzył mi życie.

- A więc nadal utrzymujesz, że cię molestował? - odezwał się Lyle, wyskakując zza moich pleców jak wiewiórka.

Już zamierzałam go zgromić, ale Krissi zupełnie zignorowała jego słowa. Miała teraz w sobie obojętność ćpunka. Mówiła tylko do mnie.

- Tak, tak. To była część jego satanistycznych rytuałów. Myślę, że mnie też złożyłby w ofierze, jestem pewna, że taki był jego plan. Zabiłby mnie, gdyby go nie zamknęli za to, no wiecie, co zrobił swojej rodzinie.

Ludzie zawsze chcieli się podczepić pod tę zbrodnię. Tak jak każdy w Kinnakee znał kogoś, kto rznął moją matkę, tak każdy w jakiś sposób doznał krzywdy od Bena. Jednemu groził śmiercią, na innego spojrział złowieszczo, jeszcze kolejnemu skopał psa. Kiedy usłyszał kolędę, zaczynał krwawić. Miał za uchem piętno szatana, którym się chwalił i namawiał wiele osób, żeby dołączyły do jego sekty. Krissi była taka sama jak owi ludzie - zachłystywała się swoją opowieścią o spotkaniu z Benem, widać to było po sposobie, w jaki łapie ustami powietrze przed wygłoszeniem każdej kwestii.

- Co się dokładnie wydarzyło? - spytałam.

- Chcesz usłyszeć wersję ocenzurowaną czy tę dla dorosłych?

Zamówiła kolejną wódkę z sokiem żurawinowym, a potem trzy sznapsy o nazwie Śliski Cycuszek. Barman nalał z plastikowego dzbanka do małych szklaneczek wcześniej przygotowaną miksturę, spojrzał na mnie znacząco, zapytał, czy ma otworzyć rachunek.

- Nie ma potrzeby, Kevin, moja przyjaciółka ma gotówkę - zapewniła Krissi, po czym wybuchnęła śmiechem. - A właściwie jak ci na imię?

Zamiast odpowiedzieć, zapytałam barmana, ile jesteśmy winni i zapłaciłam, wyciągając wachlarz dwudziestek, żeby Krissi widziała, że mam sporo kasy. Naciągacz wie najlepiej, jak złapać na haczyk innego naciągacza.

- Będziecie zachwyceni, to płynne delicje. Na zdrowie.

W geście wyrażającym „wał się” wyniosła kieliszek w stronę przyciemnionej szyby na tyłach klubu, za którą najprawdopodobniej urzędował Mike.

Wypiliśmy, alkohol oblepił mi podniebienie, a Lyle chuchnął przeciągle, jakby wychylił szklanę whisky.

Po krótkiej chwili Krissi poprawiła cycki, po czym zaczerpnęła kolejnego oddechu.

- No więc tak. Miałam jedenaście lat, a Ben piętnaście. Zaczęło się od tego, że siedział ze mną w szkole po lekcjach i zawsze miał na mnie oko. To znaczy, nie on jeden się za mną oglądał, bo byłam ślicznym dzieckiem, to nie przechwałki, naprawdę byłam. A do tego pochodziłam z bogatej rodziny. Mój tato... - W tym momencie pochwyciłam nieznaczny grymas bólu, drgnienie wargi, które odsłoniło jeden biały ząb. Mój tato miał głowę do interesów. Od początku wyczuł, że przemysł wideo ma wielką przyszłość, był największym hurtowym sprzedawcą kaset na Środkowym Zachodzie.

- Masz na myśli filmy?

- Nie, puste kasety, na których ludzie mogli nagrywać, co chcieli. Pamiętasz je? Pewnie nie, byłaś wtedy za mała, żeby pamiętać.

Nie byłam.

- W każdym razie stanowiłam chyba łatwy cel. Co prawda nie należałam do dzieci, które chodziły z kluczem na szyi, ale mama nie zawsze doglądała mnie jak należy.

Tym razem jej rozgoryczenie wyraźnie rzucało się w oczy.

- Moment, przypomnij mi, dlaczego właściwie tutaj przyjechałaś? - zapytała nagle.

- Badam sprawę Bena Daya.

Kąciki jej ust zjechały w dół.

- A! Przez chwilę myślałam, że może mama cię przysłała. Ona wie, że tu pracuję.

Zabębniła długimi, koralowymi paznokciami o bar, a ja szybko schowałam okaleczony palec pod szklaneczkę. Wiedziałam, że powinnam się przejąć trudnymi relacjami

rodzinnymi Krissi, ale tak naprawdę miałam to gdzieś. Moje współczucie ograniczyło się do przemilczenia faktu, że jej mama nie chce o niej słyszeć i nie zamierza się interesować jej losem.

Jeden z bywalców siedzących przy plastikowych stolikach raz po raz posyłał nam przez ramię pijackie, rozwścieczone spojrzenia. Miałam ochotę wynieść się stąd natychmiast, zapomnieć o Krissi i jej problemach.

- No więc - podjęła - Ben był wobec mnie strasznie przebiegły. Zamierzał... A może mielibyście ochotę na chipsy? Te tutaj są naprawdę doskonałe.

Małe, tanie pakieciki z chipsami wisiały tuż za barem. „Te tutaj są naprawdę doskonałe”. Musiałam polubić tę kobietę za to, że tak wytrwale próbowała mnie urobić. Skinęłam potakująco głową i sekundę później Krissi rozerwała paczkę. Poczulałam odór skwaśniałej śmietany pomieszany z zapachem cebuli i napłynęła mi ślina do ust, wbrew wszelkim przykazom zdrowego rozsądku. Żółty barwnik zmieszał się z różowym błyszczakiem na wargach Krissi.

- W każdym razie Ben zdobył moje zaufanie, a potem zaczął mnie molestować.

- Jak zdobył twoje zaufanie?

- No wiesz, dawał mi cukierki i gumę do żucia, mówił same miłe rzeczy.

- A jak cię molestował?

- Zabierał do kantorka, gdzie trzymał środki czyszczące, bo pracował jako sprzątac w szkole. Pamiętam, że zawsze okropnie śmierdział, brudnymi mydlinami i wybielaczem. No więc zaciągał mnie tam po lekcjach i zmuszał, żebym robiła mu dobrze ustami, a potem to samo robił ze mną, a na końcu kazał składać przysięgę na wierność szatanowi. Byłam okropnie przerażona. Mówił, że jeżeli pisnę komuś choć słowo, to zabije moich rodziców.

- Jak mógł cię siłą zaciągać do tego kantorka, skoro wszystko działo się w szkole? - zauważył przytomnie Lyle.

Krissi szarpnęła głową do przodu w identycznym, wojowniczym geście, do jakiego ja się zawsze odwoływałam, gdy ktoś próbował podważyć prawdziwość moich zeznań przeciwko bratu.

- No wiesz, groził mi. Miał tam specjalny ołtarz z krzyżem odwróconym do góry nogami. I jakieś nieżywe zwierzęta, które własnoręcznie zabił. Na ofiarę. Dlatego myślę, że mnie też by w końcu zamordował. No, ale wcześniej zamknęli go za zabicie rodziny. Z tego co słyszałam, oni wszyscy byli satanistami. Cała rodzina czciła diabła i w ogóle.

Zlizła drobiny chipsów ze swoich grubych, plastikowych paznokci.

- Bardzo w to wątpię - mruknęłam.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? - zachnęła się Krissi. - To ja tam byłam i wszystkiego doświadczyłam na własnej skórze, okej?

Czekałam, aż wreszcie wpadnie na to, kim jestem, aż moje rude odrosty i rysy twarzy - całkiem podobne do rysów Bena - pobudzą jej pamięć.

- No więc, ile razy Ben cię molestował?

- Mnóstwo. Mnóstwo - pokiwała ponuro głową.

- A jak zareagował twój tato, gdy się dowiedział, co zrobił ci Ben? - zapytał Lyle.

- O, mój Boże! Zawsze był wobec mnie bardzo opiekuńczy, dlatego wściekł się, dostał TOTALNEGO szału. Przez cały wieczór jeździł po mieście i szukał Bena. Zawsze myślę, że gdyby go wtedy znalazł, toby zabił i może wówczas jego rodzina nie straciłaby życia. Czyż to nie smutne?

Poczułam ostre ściskanie w żołądku, wojowniczo rozdęłam nozdrza.

- Roztkliwiasz się nad rodziną Bena? Nad tymi okropnymi wyznawcami szatana?

- No, wiesz, może w tej sprawie trochę przesadziłam. - Krissi przekrzywiła głowę w taki sposób, w jaki robią to dorośli, gdy chcą udobruchać rozeźlone dziecko. - Pewnie w gruncie rzeczy byli miłymi, dobrymi chrześcijanami. Ale pomyśleć, jak inaczej wszystko mogło się potoczyć, gdyby mój tato znalazł wówczas Bena...

A może zamiast Bena znalazł moją rodzinę. Znalazł też strzelbę i siekiere, po czym stał nas wszystkich z powierzchni ziemi. No, prawie wszystkich.

- Czy twój tato wrócił tamtej nocy do domu? - dopytywał Lyle. - Czy widziałaś go po północy?

Krissi spuściła głowę, spojrzała na mnie znad uniesionych brwi, więc dodałam uspokajającym tonem:

- To znaczy, skąd wiesz, że tamtego dnia nie kontaktował się z nikim z Dayów?

- Dlatego, że wtedy połałaby się krew. Mówię poważnie. Byłam źrenicą jego oka. To, co mnie spotkało, niemal go zabiło. Złamało mu serce.

- Czy on mieszka gdzieś w pobliżu? - Lyle nie dawał za wygraną.

Jednak jego zaangażowanie i napięcie przerażały Krissi, miały intensywność wiązki laserowej.

- Umm... nie utrzymujemy ze sobą kontaktu - odparła, rozglądając się po barze. - To chyba było dla niego za wiele.

- Twoja rodzina pozwala okręgowe władze szkolne, prawda?

Lyle się rozkręcał, stawał coraz bardziej zachłanny. Przesunęłam stół, żeby go trochę przyblokować. Miałam nadzieję, że to ostudzi jego zapędy.

- A pewnie. Totalnie należało im się za to, że zatrudnili kogoś takiego i w rezultacie pod ich nosem doszło do molestowania małych dziewczynek. Pochodziłam z naprawdę dobrej rodziny i...

Lyle po raz kolejny nie wytrzymał i bezpardonowo wszedł jej w słowo:

- Czy mogłabyś mi wobec tego powiedzieć, czemu, pomimo wysokiego odszkodowania, wylądowałaś w... hm... takim miejscu jak to?

Jeden z bywalców teraz już otwarcie, z całym krzesłem, odwrócił się w naszą stronę i miotał groźne spojrzenia.

- Tato miał drobne problemy biznesowe. Pieniądze rozeszły się dawno temu. A poza tym, wbrew pozorom, praca tutaj wcale nie jest zła. Daje władzę nad innymi, ale też ich uszczęśliwia, a i ja się dobrze bawię przy okazji. Ilu ludzi mogłoby to samo powiedzieć o swojej pracy? Ostatecznie nie jestem kurwą, nic z tych rzeczy.

Mimowolnie ściągnęłam brwi i zerknęłam w stronę parkingu ciężarówek.

- Masz na myśli tamto? - spytała teatralnym szeptem. - Musiałam coś ważnego załatwić. Nie chodziło wcale o... Wielki Boże, nie. W żadnym razie. Niektóre dziewczyny tak zarabiają, ale nie ja. Staram się mieć na oku pewną nieszczęsną szesnastolatkę, która pracuje z matką. Niejaką Colleen. Trochę się nią opiekuję. Wciąż się zastanawiam, czy nie powinnam w jej sprawie zadzwonić do opieki społecznej? Problem w tym, że nie wiem, gdzie dokładnie powinno się dzwonić w takich wypadkach...

Zgłaszała swoje wątpliwości zatroskanym tonem kobiety, która na gwałt musi znaleźć nowego ginekologa.

- Możesz nam podać adres twojego taty? - ponownie wciął się Lyle.

W tym momencie Krissi poderwała się ze stołka, dwadzieścia minut później, niż ja bym to zrobiła na jej miejscu.

- Mówiłam ci przecież, że nie utrzymujemy ze sobą kontaktu.

Lyle zamierzał coś dodać, ale odwróciłam się gwałtownie, wycelowałam palec w jego pierś i nakazałam bezgłośnie: Milcz! Otworzył usta, jednak szybko je zamknął, zerknął na dziewczynę na scenie, która właśnie udawała, że pieprzy się z podłogą, po czym wyszedł. Niestety, było już za późno. Krissi stwierdziła, że musi iść na spotkanie. Gdy regulowałam rachunek u barmana, zapytała, czy mogłabym jej pożyczyć dwudziestkę.

- Kupię za to Colleen coś ciepłego do jedzenia - skłamała jak z nut. A potem szybko skoczyła z dwudziestu na pięćdziesiąt dolarów - Jeszcze nie zrealizowałam czeku z wypłaty. Ale po powrocie z banku TOTALNIE wszystko ci zwrócę.

Zrobiła cały spektakl z rozkładania pomiętej kartki papieru i wręczania mi długopisu,

żebym mogła zapisać swój adres, pod który ona odeśle mi pieniądze - „totalnie, ale to totalnie co do centa”.

W myślach obciążylam tą pięćdziesiątką rachunek Lyle'a, po czym wręczyłam Krissi pieniądze, które ona starannie przeliczyła, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie urwałam sobie paru dolców. Następnie otworzyła paszczę swojej wielkiej torby, z której wypadł kubeczek niekapek dla maluchów, i potoczył się po podłodze.

- Zostaw to - machnęła ręką, gdy się schyliłam, żeby go podnieść, więc zostawiłam kubek tam, gdzie leżał.

A potem chwyciłam wytłuszczoną kartkę papieru i zapisałam swój adres oraz nazwisko. Libby Day. Jestem Libby Day, ty załgana kurwo.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 13:50

Patty się zastanawiała, ile godzin w życiu strawiły z Diane na wspólne jazdy samochodem? Tysiąc? Dwa tysiące? Może gdyby zliczyć te wszystkie godziny, w sumie zebrałyby się ze dwa lata. Takie właśnie kalkulacje wykorzystywały w swoich reklamach firmy produkujące materace: Skoro przesypiasz jedną trzecią swojego życia, rób to na naszym ComfortCush. Podobno przeciętny człowiek osiem lat stoi w różnych kolejkach. Sześć lat poświęca na siusianie. Średnio dwa lata marnuje na wysiadanie w poczekalni u lekarza. Rozpatrywane w takich kategoriach życie ludzkie przedstawiało się ponuro.

Patty pomyślała ze smutkiem, że co najmniej trzy godziny ze swoich trzydziestu dwóch lat poświęciła na przyglądanie się, jak Debby podczas śniadania zaśmiewa się tak niepohamowanie, że aż mleko cieknie jej po brodzie. Dwa tygodnie - na jedzenie półpłynnych, niedosmażonych naleśników, przyszykowanych dla niej przez dziewczynki. I zaledwie godzinę na obserwowanie w zdumieniu Bena, odruchowo wciskającego brzuch baseballówki za uszy idealnie tak samo, jak robił jego dziadek, który zmarł, gdy Ben był jeszcze niemowlakiem. Sześć LAT pochłonęło Patty wynoszenie gnoju z obory i ze trzy lata - unikanie windykatorów. Może w sumie miesiąc poświęciła na seks, w tym góra jeden dzień na dobry seks. W swoim życiu spała jedynie z trzema mężczyznami. Pierwszy był subtelny chłopak, z którym chodziła w liceum; potem Runner, zawadiacki pozer, który odbił ją subtelnemu chłopakowi i porzucił z czwórką (cudownych) dzieci; w końcu facet, którego poznała kilka miesięcy po odejściu Runnera. Trzykrotnie poszli ze sobą do łóżka, kiedy dzieci były w domu. I za każdym razem Patty czuła się bardzo nieswojo. Ben, drażliwy i zaborczy jedenastolatek, z samego rana rozsiadał się w kuchni, żeby piorunować ich wzrokiem, kiedy wyjdą z sypialni. Patty zamartwiała się, że biegające w piżamach córki wyczują ostry zapach spermy na jej skórze. To ją wprawiało w straszne zażenowanie. Tak czy owak, od początku było jasne, że ten związek nie przetrwa, a potem już nigdy się nie zebrała na odwagę i nie powtórzyła eksperymentu. Za jedenaście lat Libby skończy szkołę średnią, może wtedy Patty spróbuje ułożyć sobie życie. Będzie miała czterdzieści trzy lata, ponoć właśnie w tym wieku kobiety stają się najbardziej rozbudzone seksualnie. Albo dostają klimakterium.

- Jedziemy do szkoły? - spytała Diane i jej głos wyrwał Patty z trzysekundowego transu, przypomniał o przerażającej przyczynie obecnej misji.

Muszą znaleźć Bena, i co dalej? Czy powinny go ukryć do czasu, aż wszystko się uspokoi? Czy może zawieźć do domu tej małej dziewczynki i wspólnie wyjaśnić sprawę? W filmach rodzinnych, jeżeli mama się dowiaduje, że syn ukradł coś ze sklepu, prowadzi go tam za ucho, każe oddać przywłaszczone słodycze i prosić o wybaczenie. Tymczasem Patty dobrze wiedziała, że Ben dopuszcza się kradzieży w supermarkecie. Zanim założył kłódkę na drzwiach, znajdowała w jego pokoju różne zaskakujące drobiazgi. Świece, baterie, małe plastikowe pakietki z żołnierzami. Jednak nigdy na to nie zareagowała, co zapewne było z jej strony karygodne. Tyle że z jednej strony nie miała siły ani ochoty na odpowiednie załatwienie problemu - na wyprawę do miasteczka i rozmowę z jakimś dzieciakiem, pracującym za minimalną stawkę, którego i tak nic nie obchodziło. Z drugiej zaś (tej mroczniejszej) myślała: A czemu, do diabła, Benowi na to nie pozwolić? Ten chłopiec miał tak niewiele, dlaczego więc nie udawać, że ten czy ów drobiazg jest prezentem od kolegi? Niechże sobie zachowa tę kontrabandę, to ostatecznie mikroskopijna kropla w morzu ogólnego oszustwa i korupcji.

- Nie - zwróciła się do Diane. - W szkole go nie znajdziemy. Pracuje tam tylko w niedziele.

- W takim razie dokąd mamy jechać?

Stały na czerwonym świetle. Zawieszony nad ulicą sygnalizator powiewał na wietrze jak pranie suszące się na linie. Gdyby pojechały dalej przed siebie, skończyłyby w ślepym zaułku - dotarły do pastwiska poważnych właścicieli ziemskich, którzy na co dzień mieszkali w Kolorado. Jeżeli skręcają w prawo, dojadą do centrum Kinnakee i do szkoły. Jeżeli skierują się w lewo, ruszą w głąb Kansas, do krainy farm, gdzie mieszkali przyjaciele jej syna, owi nieśmiały przyszli Farmerzy Ameryki, którzy wstydzili się poprosić Bena do telefonu, jeżeli to Patty podniosła słuchawkę.

- Ruszaj w prawo. Odwiedzimy Muehlerów.

- Ben wciąż się z nimi trzyma? To dobrze. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ci chłopcy mogliby być zamieszani w coś... niestosownego.

- Natomiast mój syn a i owszem?

Diane westchnęła ciężko, skręciła w lewo.

- P. ja jestem po twojej stronie.

Na każde Halloween od czasów niemowlęstwa bracia Muehler byli przebrani za farmerów. Rodzice wozili ich do Kinnakee swoją dziwną, szeroką półciężarówką, chłopcy, w miniaturowych firmowych baseballówkach Deere'a i drelichowych kombinezonach, wysiadali na Bulhardt Avenue, by rozpocząć tradycyjny obchód domów pod

hasłem „poczęstunek lub frasunek”, podczas gdy tata i mama szli na kawę do restauracji. Bracia Muehler, podobnie jak ich rodzice, mówili tylko o pszenicy albo o pogodzie, i co niedziela jeździli do kościoła, gdzie bez wątpienia modlili się o pomyślne zbiory. Ogólnie rzecz biorąc, byli to dobrzy ludzie o ograniczonej wyobraźni, tak silnie związani z ziemią, że nawet ich skóra się upodobniła do pociętych skibami pól Kansas.

- Tak, wiem.

Patty wyciągnęła rękę, by położyć ją na dłoni siostry, która jednak w tym samym momencie sięgnęła do dźwigni zmiany biegów, więc ręka Patty zawisła w powietrzu.

- Och, ty pioruński dupku! - mruknęła Diane pod adresem jadącego przed nimi kierowcy, który nie dość, że się włókł trzydzieści kilometrów na godzinę, to jeszcze złośliwie zwalniał, gdy się zbliżały do jego zderzaka. W końcu skręciła ostro w bok i wyminęła palanta, a Patty przez cały czas sztywno patrzyła przed siebie, chociaż wiedziała, że obcy kierowca patrzy na nią uważnie - kątem oka pochwyciła zarys jego twarzy szerokiej jak księżyc w pełni. Kim był? Czy już dotarła do niego sensacyjna plotka? Czy dlatego się na nią gapił? Oto kobieta, która wychowała tego chłopaka. Tego Daya. Skoro rewelacje na temat Bena dotarły do Diane zeszłego wieczoru, to najdalej wczesnym rankiem w całym miasteczku rozdzwoniły się telefony. Dziewczynki zostały same na farmie i najprawdopodobniej siedziały przed telewizorem. Patty widziała oczami duszy, jak raz po raz odrywają wzrok od kreskówek i spoglądają na telefon, którego dzwonek już teraz też musiał się urywać. Miały podnosić słuchawkę na wypadek, gdyby odezwał się Ben, ale znając je, Patty podejrzewała, że nie wypełniały polecenia, ponieważ były zbyt przerażone porannymi wydarzeniami. Jeżeli ktoś zajechałby w tej chwili na farmę, zastałby tam pozbawioną opieki trójkę dzieci, lat dziesięć i poniżej, które siedziały zbite w gromadkę w dużym pokoju i kulily się, ilekroć słyszały jakiś głośniejszy dźwięk.

- Może jedna z nas powinna siedzieć w domu... tak na wszelki wypadek - powiedziała Patty.

- Dopóki sprawa się nie wyjaśni, nigdzie nie zostaniesz sama. Poza tym bez ciebie nie wiedziałabym, dokąd jechać. Wszystko będzie w porządku, przestań się przejmować. Michelle jest już duża. Byłam od niej młodsza, jak zostawałaś pod moją opieką.

Owszem, ale to działo się w czasach, gdy podobne praktyki należały do normy. Gdy ludzie wychodzili na całą noc, zostawiali dzieci w domu i nikt nie widział w tym niczego złego. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, kiedy w bogobojnej Krainie Prerii nie grasowali groźni przestępcy. Teraz stanowczo zalecano, by małe dziewczynki poruszały się w co najmniej trzyosobowych grupach i pod żadnym pozorem nigdzie nie jeździły samotnie na

rowerze. Patty była kiedyś na przyjęciu wydanym przez koleżankę z pracy Diane, takim jakie się organizuje na okoliczność sprzedaży pojemników Tupperware, tyle że towarem dnia były gwizdki mające odstraszyć ewentualnego gwałciciela oraz gaz łzawiący. Patty zażartowała sobie, że tylko kompletny wariat jechałby do takiej dziury jak Kinnakee, by kogoś zgwałcić, a wówczas pewna blondynka, którą tego dnia po raz pierwszy widziała na oczy, podniosła wzrok znad breloczka z gazem pieprzowym i oznajmiła, że jej przyjaciółka padła ofiarą gwałtu. Patty ogarnęło wówczas takie poczucie winy, że natychmiast kupiła kilka pojemników gazu łzawiącego.

- Ludzie uważają, że jestem złą matką, ot, co.

- Nikt nie uważa cię za złą matką. A dla mnie jesteś wręcz superwoman: utrzymujesz farmę na powierzchni, co rano wyprawiasz czwórkę dzieci do szkoły i nie potrzebujesz litra bourbona dziennie, żeby jakoś funkcjonować.

Patty natychmiast przypomniała sobie lodowaty poranek sprzed dwóch dni, kiedy prawie się popłakała z wycieńczenia. Uznała wówczas, że w żadnym razie nie zdoła się ubrać i zawieźć dzieci do szkoły, więc pozwoliła dziewczynkom zostać w domu i przez bitych dziesięć godzin oglądać u jej boku opery mydlane oraz teleturnieje. Natomiast biednemu Benowi kazała jechać na zajęcia rowerem - praktycznie wypchnęła go za drzwi, obiecując, że w najbliższym czasie złoży kolejną petycję o zmianę trasy autobusu szkolnego, tak by od przyszłego roku zahaczał o farmę.

- Problem w tym, że naprawdę nie jestem dobrą matką.

- Siedź cicho.

*

Muehlerowie gospodarowali na dużym areale, posiadali przynajmniej sto sześćdziesiąt hektarów ziemi, natomiast ich dom był mały i wyglądał jak pączek jaskra, zagubiony w bieli śniegu i zieleni ozimej pszenicy.

Wicher z każdą chwilą przybierał na sile; prognozy przewidywały opady śniegu w nocy, ale już wczesnym rankiem temperatura miała gwałtownie skoczyć w górę. Ta obietnica zmiany aury wryła się Patty w pamięć: wreszcie nadciągnie wiosenne ciepło.

Skręciły w wąską, niegościnną dróżkę prowadzącą do domu Muehlerów i zatrzymały się nieopodal glebogryzarki, która tkwiła przed stodołą niczym wielkie stróżujące zwierzę. Jej ostrza rzucały na ziemię długie cienie w kształcie zakrzywionych szponów. Diane wydała z siebie nosowy charkot, jak zwykle, gdy czuła się nieswojo i chciała jakimś dźwiękiem przerwać milczenie. Siostry wysiadły z samochodu, nie patrząc na siebie. Bystrookie kawki obsiadły okoliczne drzewa i jazgotały między sobą; złośliwe, wścibskie ptaszyska. Jedna z

nich przeleciała nieopodal, trzymając w dziobie kawałek srebrnej, bożonarodzeniowej lamety powiewającej na wietrze. Ale poza tym panował tu spokój, nie było słycać pracujących silników, szczękę otwieranej bądź zamykanej bramy, odgłosów telewizora. Pokrytą śniegiem okolicę spowijała cisza.

- Nigdzie nie widzę roweru Bena - mruknęła Diane, gdy uderzyły o drzwi kołatką. -
Może zostawił go z tyłu.

Otworzył Ed. Muehlerowie i Ben chodzili do tej samej klasy, chociaż bracia nie byli bliźniakami, jeden z nich raz czy dwa musiał powtarzać rok. Patty miała wrażenie, że chodziło właśnie o Eda. Gapił się na nią przez chwilę - niski chłopak, niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, za to atletycznie zbudowany, jak dorosły mężczyzna. Wetknął ręce do kieszeni i zerknął nerwowo za siebie.

- O, witam, pani Day.

- Cześć, Ed. Przepraszam, że cię nachodzę w czasie ferii.

- Nie ma sprawy.

- Szukam Bena. Jest może u was? Widziałeś go dzisiaj?

- Be-ena? - Wypowiedział to imię, wyraźnie dzieląc je na dwie sylaby, jakby pytanie Patty nieprzyjemnie go zaskoczyło. - Och, nie, nie widzieliśmy się z Benem... nie spotykamy się z nim od początku tego roku. To znaczy poza szkołą. On się teraz trzyma z innymi ludźmi.

- Z jakimi ludźmi? - spytała Diane i Ed po raz pierwszy spojrział w jej stronę.

- Eee, no...

Patty dojrzała sylwetkę Jima zmierzającego ku drzwiom, podświetlonego przez blask dochodzący z kuchennego okna. Zbliżył się ciężkim krokiem, wyższy i jeszcze potężniejszy od brata.

- Czym możemy służyć, pani Day?

Wysunął do przodu głowę, potem tors, powoli spychając Eda w bok. Obaj szczerze zastawili sobą drzwi, co wzbudziło w Patty nedorzeczną pokusę wyciągnięcia szyi i zerknięcia ponad ich ramionami do wnętrza domu.

- Właśnie pytałam Eda, czy nie widzieliście dzisiaj Bena i usłyszałam, że od początku roku szkolnego już się nie spotykacie.

- Mmm, to fakt. Szkoda, że pani nie zadzwoniła, oszczędziłybyście sobie czasu i fadygi.

- Musimy się z nim natychmiast skontaktować, nie wiecie, gdzie mogłybyśmy go znaleźć? To ważna, niecierpiąca zwłoki sprawa rodzinna - wtrąciła Diane.

- Mmm, nie. Nic nie wiem. Przykro mi, ale nie potrafimy pomóc.

- Nie mógłbyś nam przynajmniej podać nazwisk osób, z którymi ostatnio zadaje się Ben? Przecież musisz je znać.

Ed już się wycofał sprzed drzwi i teraz wykrzyknął z mrocznych czeluści pokoju:

- Powiedz, żeby zadzwoniła pod 1-800-My-Dzieci-Diabła.

- Co takiego?

- Eee, nic.

Jim spojrzał znacząco na klamkę, widać było, że ma ochotę zatrzaskać drzwi.

- Jim, pomóż nam, proszę - mruknęła Patty. - Proszę?

- Ben trzyma z ekipą wyznawców diabła - odparł, nie podnosząc wzroku.

- Co takiego?!

- Przewodzi im jakiś starszy chłopak, naprawdę nie znam jego nazwiska. Biorą narkotyki, pejotl czy coś podobnego, zabijają krowy i robią inne gów... tego typu rzeczy. Tak przynajmniej słyszałem. Ci ludzie nie chodzą do naszej szkoły. Znaczy się z wyjątkiem Bena.

- Słuchaj, przecież musisz znać choćby jedno nazwisko - nalegała Patty.

- Naprawdę nie znam, pani Day. Przykro mi, chcieliśmy się kolegować z Benem, ale... My chodzimy do kościoła i rodzice trzymają wszystko silną ręką. Eee... naprawdę mi przykro.

Zamilkł, wbił wzrok w ziemię, a Patty zupełnie nie wiedziała, o co jeszcze mogłaby zapytać.

- Okej, Jim. Dziękuję.

Zamknął drzwi, jednak zanim Diane i Patty zdążyły się na dobre odwrócić, usłyszały krzyk, dobiegający z głębi domu:

- Kretyński dupku, po co o tym gadałeś?

A potem rozległ się huk pięści uderzającej o ścianę.

Libby Day

Współcześnie

Gdy z powrotem znaleźliśmy się w samochodzie, Lyle wypowiedział tylko trzy słowa:

- Co za koszmar.
- Mmm - mruknęłam niezobowiązująco.

Bo w istocie, patrząc na Krissi, poniekąd widziałam siebie. Była tak samo zachłanna, pełna lęków, chomikująca na zaś różne drobiazgi. Mistrzynie wyludzania. Weźmy choćby te chipsy. My, sępy, uwielbiamy przekąski w małych opakowaniach, ponieważ ludzie łatwo dają się na nie naciągnąć ze względu na stosunkową niską cenę.

Przez dwadzieścia minut jechaliśmy prawie się do siebie nie odzywając, aż w końcu Lyle postanowił dokonać podsumowania.

- Bez wątpienia kłamie na temat Bena - oznajmił nieznoszącym sprzeciwu głosem prezentera wiadomości. - On nigdy jej nie molestował. Ale z pewnością sprzedała ojcu taką samą bajeczkę. Lou Cates dostał szału, wymordował twoją rodzinę, a potem odkrył, że córka kłamała. I że bez powodu zabił niewinnych ludzi. Stąd jego własna rodzina uległa dezintegracji. A Lou Cates rozpił się i zniknął.

- Dezintegracji? - rzuciłam kpiąco.
- To sensowna teoria, nie sądzisz?
- Sądzę, że nie powinienes mi towarzyszyć w kolejnych wyprawach. Zachowujesz się żenująco.
- Libby, to ja finansuję całe dochodzenie.
- Ale zdecydowanie nie pomagasz.
- Przepraszam UNIŻENIE - obruszył się i zamilkł.

Po dłuższym czasie na horyzoncie ukazało się niebo rozjaśnione obrzydliwym pomarańczowym blaskiem świateł Kansas City i wówczas Lyle mruknął, nie patrząc w moją stronę:

- Ale to sensowna teoria, prawda?
- W tej sprawie mamy do czynienia wyłącznie z teoriami, dlatego to taka niesamowita, detektywistyczna zagadka! - odparłam, przedrzeźniając entuzjastyczny ton jego głosu. - Wielka tajemnica: Kto zabił Dayów? - Odczekałam moment, po czym burknęłam zrzędliwie:
 - Twoja teoria jest okej, niemniej uważam, że musimy się też bliżej przyjrzeć Runnerowi.

- Nie mam nic przeciwko. Ale nadal będę poszukiwał Lou Catesa.

- Powodzenia.

Wysadziłam go przed pubem „U Sary”, nawet grzecznościowo nie pytając, czy nie podrzucić go gdzie indziej, i kiedy odjeżdżałam, Lyle stał przy krawężniku z miną dziecka, które nie może uwierzyć, że rodzice są naprawdę tak bezduszni i zostawiają go samego na wakacyjnym obozie.

Było już bardzo późno, kiedy wreszcie dotarłam do domu, dziwnie rozdrażniona, ogarnięta obsesyjną potrzebą podliczenia dochodów. Do tej pory na Klubie Zbrodni zarobiłam tysiąc dolarów, no i Lyle wisiał mi jeszcze pięć stów za spotkanie z Krissi, mimo że ta kobieta ewidentnie rozgadałaby się przed każdym, kto chciałby jej wysłuchać. Chociaż nie - uznałam - to nieprawda. Nikt z tych świrów z Klubu Zbrodni nie zdołałby wyciągnąć czegokolwiek od Krissi. Rozmawiała ze mną tak ochoczo, ponieważ nasza krew jest skażona tymi samymi toksynami: wstydem, gniewem, chciwością. Bezpodstawną nostalgią.

Uczciwie zarobiłam te pieniądze, pomyślałam i poczułam nagły przyptyw złości, obiektywnie rzecz biorąc zupełnie nieuzasadnionej. Ostatecznie Lyle płacił chętnie i bez szemrania. Ale taką mam już naturę: prowadzę w głowie gniewne, defensywne wymiany zdań, wściekam się na okoliczności, które jeszcze nie zaszły. Jeszcze nie.

Tak więc uczciwie zarobiłam pieniądze (teraz już się trochę opanowałam), a jeżeli skontaktuję się z Runnerem, jeżeli z nim porozmawiam, zarobię jeszcze więcej i będę miała za co żyć przez bite cztery miesiące. O ile nie zacznę szastać kasą.

A właściwie przez pięć. Zanim dojechałam do domu, Lyle już zdążył zostawić mi wiadomość, że miejscowe Świry Zbrodni chciałyby urządzić specjalne spotkanie i kupić trochę moich rodzinnych „memorabiliów”. Organizatorką i gospodynią imprezy będzie Magda, więc mam się odezwać, jeżeli tylko jestem zainteresowana propozycją. No, proszę. Magda, ten jaskiniowy troll, który dorysował mi na zdjęciu diabelskie rogi. Ależ naturalnie, Magdo, z przyjemnością przyjdę do twojego domu, przypomnij tylko, gdzie trzymasz rodowe srebra?

Wyłączyłam automatyczną sekretarkę, którą ukradłam pewnej współlokatorce dwie przeprowadzki temu. Pomyślałam o Krissi - byłam pewna, że jej mieszkanie jest również pełne szajsu należącego do innych ludzi. Ja miałam u siebie kradzioną sekretarkę, niemal pełen zestaw sztuczków, podprowadzonych z różnych restauracji, pół tuzina kompletów solniczek i pieprzniczek, włącznie z parą, którą zabrałam z TimClark's Grill, i której jakoś nie mogłam przenieść z holu do kuchni. W kącie mojego pokoju, tuż przy starym telewizorze, stoi kartonowe pudło, a w nim ponad sto małych buteleczek z balsamami, które zwinęłam

przy różnych nadarzających się okazjach. Są tam, bo lubię oglądać je w masie, podziwiać tę gamę różów, fioleatów i zieleni. Wiem, że dla kogoś, kto przyszedłby do mojego domu, wyglądałyby idiotycznie, ale nikt tu nie przychodzi, a mnie podobają się tak bardzo, że nie mam zamiaru ich stąd usuwać. Ręce mojej mamy były zawsze szorstkie i przesuszone, więc nieustannie je natłuszczała, jednak bez powodzenia. Lubiliśmy się z nią droczyć z tego powodu: „Och, mam, nie dotykaj, masz skórę jak aligator!”. W żeńskiej toalecie kościoła, do którego sporadycznie chodziliśmy, stał balsam, który według naszej mamy miał różany zapach. Wszystkie po kolei namaszczałyśmy sobie nim dłonie, a potem je wachałyśmy, zachwycając się, że pachniemy jak prawdziwe damy.

Zero wiadomości od Diane. Do tej pory z pewnością odsłuchiwała nagranie z sekretarki, ale nie oddzwoniła. To dziwne. Zawsze gładko przyjmowała moje przeprosiny, wielkodusznie wychodziła mi naprzeciw. Nawet po najdłuższym okresie karcenia mnie milczeniem, trwającym sześć lat. Może powinnam wysłać jej moją książkę z własnoręcznym autografem.

Odwrociłam się w stronę innych kartonów, tych stojących pod schodami i wzbudzających we mnie tym większą grozę, im częściej powracałam myślami do zbrodni. To tylko zwykłe przedmioty, powtarzałam sobie w duchu. Nie mogą cię zranić.

Kiedy miałam czternaście lat, często rozmyślałam o samobójstwie - obecnie to moje drobne hobby, wówczas było poważnym zajęciem w pełnym wymiarze godzin. Pewnego wrześniowego rana, tuż po rozpoczęciu nowego roku szkolnego, wzięłam magnum .44 należące do Diane i pół dnia niańczyłam na kolanach jak małe dziecko. Cóż to byłby za luksus: jeden strzał w głowę i wszystkie nękające mnie upiory rozwiałyby się w huku broni niczym dmuchawiec na wietrze. Ale ilekroć tak myślałam, stawała mi przed oczami Diane - wyobrażałam sobie, jak po przyjeździe do domu natyka się na moje drobne martwe ciało, leżące na tle czerwonej od krwi ściany, i dochodziłam do wniosku, że nie wolno mi narażać siostry mojej mamy na podobny wstrząs. Pewnie dlatego byłam taka podła dla tej kobiety - przez nią nie mogłam spełnić swojego największego marzenia. Nie przeszkadzało mi to jednak w prowadzeniu z samą sobą swoistych targów: jeżeli do pierwszego lutego życie nadal będzie takie beznadziejne, to się zabiję. I oczywiście pierwszego lutego wciąż miałam okropny dół, ale wówczas renegocjowałam warunki. Jeżeli będzie równie fatalnie pierwszego maja, wówczas ze sobą skończę. I tak dalej, i tak dalej. W efekcie jestem tutaj do dziś.

Zerknęłam na stojące pod schodami pudła i podjęłam kolejne, jednak znacznie mniej dramatyczne postanowienie. Jeżeli po dwudziestu minutach dojdę do wniosku, że dłużej nie jestem w stanie grzebać w tych szpargałach, wszystko spalę.

Pierwszy karton otworzyłam bez najmniejszego wysiłku: ledwo pociągnęłam za

sterczący kawałek taśmy, jedna ścianka całkiem się rozpadła. Wewnątrz, na samym wierzchu leżał T-shirt z koncertu The Police. Należał do mojej mamy, był upstrzony plamami i niebywale miękki.

Osiemnaście minut.

Pod T-shirtem - kilka brulionów spiętych razem gumką. Własność Debby. Przebiegłam wzrokiem parę stron na chybił trafił.

Harry S. Truman był 33. prezydentem Ameryki i pochodził z Missouri.

Serce to pompa, która sprawia, że krew krąży po całym ciele.

Następnie stosik liścików: od Michelle do mnie, ode mnie do Debby, od Debby do Michelle. Przerzucając je, natknęłam się na urodzinową kartkę, przedstawiającą lody w wysokim kieliszku, udekorowane wisienką z czerwonych cekinów.

Kochana Debby. (ujrzałam zbite, mało czytelnie pismo mamy) Jakie to szczęście, że mamy w rodzinie taką kochaną, miłą i pomocną dziewczynkę jak ty. Jesteś moją specjalną wisienką na deserze! Mama.

Nigdy nie podpisywała się „mamusia” i my też tak nigdy jej nie nazywaliśmy, nawet jak byliśmy bardzo mali. Chcę do mamusi! - wykrzyknęłam w myślach. To brzmiało fałszywie. Chcę do mamy. Poczułam, że coś się we mnie obluźowuje, jakąś część, która w żadnym razie nie powinna się poluzować. Pęka istotny szew.

Czternaście minut.

Przejrzałam kolejne notki i liściki, odkładając nudne i idiotyczne na bok, dla Klubu Zbrodni. Chwilami ogarniała mnie tęsknota za siostrami, niekiedy parskalam śmiechem, patrząc na treść różnych zapisków - jakże dziwaczne były nasze ówczesny troski. Spoglądałam z nostalgią na zakodowane wiadomości, prymitywne rysunki, spisy ludzi, których lubiłyśmy i których nie znosiłyśmy. Już nie pamiętałam, jak bardzo my, Dayówny, byłyśmy ze sobą zżyte. Nigdy wcześniej bym tak o nas nie powiedziała, ale teraz, gdy studiowałam nasze notki niczym zasuszona antropolożka, odkrywałam na nowo tę zapomnianą prawdę.

Jedenaście minut.

A oto pamiętniki Michelle, wszystkie w okładkach z imitacji skóry, i także spięte razem gumką. Każdego roku moja najstarsza siostra dostawała na Boże Narodzenie dwa takie

notesy; potrzebowała aż dwa razy więcej miejsca na zapiski niż każda normalna dziewczynka. Pierwszego wpisu w nowym pamiętniku dokonywała już pod świątecznym drzewkiem, katalogowała każdy otrzymany przez nas prezent - nic nie umykało jej uwagi.

Przerzuciłam notes z osiemdziesiątego trzeciego i natychmiast sobie przypomniałam, jak wścibską, paskudną intrygantką była Michelle już w wieku dziewięciu lat. Trafiłam na stronę, gdzie moja siostra donosiła, że jej ulubiona nauczycielka, pani Berdell, rozmawiała przez telefon w pokoju nauczycielskim z jakimś mężczyzną o seksie i to używając brzydkich wyrazów a przecież pani Berdell nawet nie była mężatką. Michelle się zastanawiała, czy nauczycielka, skonfrontowana z tymi rewelacjami, przyniesie jej coś pysznego do jedzenia. (Zdaje się, że pewnego razu pani Berdell oddała Michelle pół swojego pączka z dżemem, co doprowadziło moją siostrę do fiksacji na punkcie tej kobiety i jej brązowych toreb śniadaniowych. Ogólnie rzecz biorąc, gdy chodziło o nauczycieli, można było z góry założyć, że wydebi się od nich kanapkę lub jakiś owoc, o ile będzie się dostatecznie długo w nich wpatrywać smętnym wzrokiem. Nie należało tylko robić tego zbyt często, bo wówczas do domu przychodziła oficjalna notka ze szkoły i mama zaczynała płakać). W pamiętnikach Michelle roiło się od przeróżnych insynuacji i dramatów typowych dla szkoły podstawowej. Na długiej przerwie pan McNany palił papierosa pod szatnią dla chłopców, a potem użył spreju do ust („spreju do ust" podkreślone kilkakrotnie), żeby nikt nie wyczuł zapachu dymu. Pani Joekep z kościoła piła alkohol w samochodzie... a kiedy Michelle ją zapytała, czy ma gripę i dlatego pije coś z małej butelki, pani Joekep wybuchnęła śmiechem i dała Michelle dwadzieścia dolarów na fundusz skautek, mimo że moja siostra wcale nie należała do drużyny.

Do diabła, ona nawet pisała o mnie. Wiedziała, na przykład, że nakłamałam mamie w sprawie Jessiki O'Donnell, tak naprawdę to ja podbiłam nieszczęsnej dziewczynie oko, ale przed mamą się zarzekałam, że Jessica spadła z huśtawki. „Libby mi powiedziała, że diabeł kazał jej to zrobić”, napisała Michelle. „Czy powinnam powiedzieć o tym mamie?”.

Zamknęłam pamiętnik z osiemdziesiątego trzeciego, przebiegłam pobieżnie wzrokiem notesy z osiemdziesiątego drugiego i pierwszej połowy osiemdziesiątego czwartego. Zapiski z końca osiemdziesiątego czwartego roku przeczytałam uważniej na wypadek, gdyby Michelle zanotowała coś istotnego na temat Bena. Nie znalazłam jednak żadnych rewelacji, a jedynie często powtarzaną opinię, że mój brat to okropny dupek i świr, którego w szkole nikt nie lubi. Ciekawe, co o tych wynurzeniach sądzili gliniarze. Wyobraziłam sobie jakiegoś nieszczęsnego rekruta, który w środku nocy wcina chińszczyznę na wynos i czyta o tym, jak najlepsza przyjaciółka Michelle po raz pierwszy dostała okres.

Dziewięć minut.

Znalazłam kolejne kartki urodzinowe i luźne notki, aż nagle wpadł mi w ręce liścik złożony wymyślniej od innych - swoiste origami o fallicznym kształcie, zapewne specjalnie tak dobranym, ponieważ na wierzchu widniało słowo OGIER.

Rozprostowałam kartkę i ujrzałam okrągłe, dziewczęce pismo.

5.11.84

Kochany Ogierze, Siedzę na biologii i robię sobie dobrze palcami pod ławką, tak bardzo do Ciebie tęsknię. Możesz sobie wyobrazić moją cipkę? Jest wciąż zaróżowiona i pachnie Tobą po tym, co robiliśmy. Przyjdź dziś do mnie po szkole, OK? Chcę Cię ujeżdżać do utraty tchu!!! Nawet nie wiesz, jak niesamowicie jestem napalona. Bardzo bym chciała, żebyś u mnie mieszkał, kiedy nie ma moich rodziców. Twoja mama jest wciąż tak odjechana, że nawet nie zauważy jak Cię nie będzie. Dlaczego masz siedzieć na tej swojej farmie, skoro mógłbyś spędzać cały czas ze mną? Pokaż, że masz jaja i odeślij matkę do wszystkich diabłów. Czulałabym się okropnie, gdybyś przyszedł pewnego dnia i zobaczył, że z braku Ciebie odstawiam akcję z kimś innym. Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie chcę się rznąć. Nawet teraz. Czekał na Ciebie po lekcjach w samochodzie, zaparkuję na Passel St.

Do zobaczenia wkrótce, Diondra.

Ależ to absurdalne, przecież Ben nie miał dziewczyny. Nikt, absolutnie nikt, łącznie z Benem, nigdy ani słowem nie wspomniał o jakiegokolwiek dziewczynie. Nawet imię Diondra brzmiało obco dla moich uszu.

Na dnie pudła znalazłam albumy szkolne datujące się od roku siedemdziesiątego piątego, kiedy to Ben rozpoczął naukę, do roku dziewięćdziesiątego, kiedy to Diane po raz pierwszy wyrzuciła mnie ze swojego domu.

Otworzyłam album z roku szkolnego osiemdziesiąt cztery - osiemdziesiąt pięć i przebiegłam wzrokiem klasę Bena. Nie znalazłam żadnej Diondry, za to ujrzałam zdjęcie brata, na którego widok ścisnęło mnie za serce: przygarbione ramiona, półdługie włosy, biała koszula na specjalne okazje. Wyobraziłam sobie, jak wkłada ją na szkolną sesję fotograficzną, staje w domu przed lustrem i ćwiczy uśmiech. We wrześniu osiemdziesiątego czwartego wciąż nosił koszule, wybrane i kupione przez mamę, a już w styczniu osiemdziesiątego piątego był gniewnym, czarnowłosym dzieciakiem oskarżonym o wielokrotne zabójstwo. Przebiegłam wzrokiem klasę o oczko wyższą od Bena, podskakując, ilekroć mignęła mi przed oczami jakaś Diane czy Dina. Ani śladu Diondry. Dopiero w klasie jeszcze starszej, gdy już

chciałam skapitulować, dostrzegłam w spisie nazwisk niejaką Diondrę Wertzner. Najohydniejsze z możliwych imion, pomyślałam, przesuwając palcem po rzędzie zdjęć. Spodziewałam się ujrzeć przyszlą kucharkę, jakąś zaniedbaną wieśniaczkę z cieniem wąsika pod nosem, a tymczasem zobaczyłam naprawdę ładną dziewczynę o miękkich, wydatnych policzkach, z burzą ciemnych, spiralnych loków. Miała drobne rysy, podkreślone przesadnym makijażem, ale i bez niego wyróżniałaby się na tle innych twarzy. Było coś wyzywającego w jej głęboko osadzonych oczach i pełnych, lekko rozchylonych ustach, odsłaniających ostre, śnieżnobiałe zęby.

Wyciągnęłam album z poprzedniego roku i nie znalazłam Diondry. Wyciągnęłam album z roku następnego - Diondra zniknęła.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 15:10

W GMC Treya zalatywało marihuaną, przepoconymi skarpetami i słodkim coolerem, który prawdopodobnie rozlała swego czasu Diondra. Często urywał jej się film, gdy wciąż trzymała w ręku butelkę, jakby zawsze chciała mieć na podorędziu jeszcze ten jeden, ostatni łyk. Poza tym po pikapie walało się mnóstwo bzdur: opakowania po fast foodach, haczyki wędkarskie, stary numer „Penthouse’a”, a na włochatej macie, tuż przy nogach Bena, stała skrzynka z kartonami, na których widniał napis „Mexican Jumping Beans” oraz rysunek owalnej, pękatej fasolki w sombrero, z zawijasami umykającymi spod cienkich nóżek, mającymi sugerować, że fasolka podskakuje.

- Spróbuj - zachęcił Trey, wskazując na jeden z kartoników.
- Czy to przypadkiem nie jakieś robale?
- Uhm, podobne do pędraków - odparł Trey i ryknął głośnym śmiechem.
- Wielkie dzięki, to rzeczywiście super.
- Wyluzuj, chłopie. Tylko tak sobie popierdalałam, rozchmurz się.

Zajechali na 7-Eleven. Trey pomachał do Meksykanca stojącego za ladą, a potem obładował Bena kartonem piwa Beast oraz kilkoma nachos do mikrofal, za którymi przepadała Diondra, sam zaś wziął garść pasków suszonego mięsa i trzymał je w ręku jak bukiet kwiatów.

Meksykaniec uśmiechnął się szeroko do Treya i wydał z siebie indiański okrzyk wojenny, a Trey skrzyżował ramiona na piersi i udawał, że wykonuje jakiś dziki taniec.

- Jakby co, to dzwoń do mnie, Jose.

Facet skwitował tę uwagę kiwnięciem głowy i Trey pozwolił mu zachować resztę, bez mała trzy dolce. Z tego powodu przez całą drogę do Diondry myśli Bena krążyły wokół pieniędzy. Świat był pełen takich ludzi jak Trey, którzy lekką ręką rezygnują z trzech dolarów. Czy ludzi takich jak Diondra. Kilka miesięcy temu, pod koniec września, gdy wciąż panował wielki upał, musiała się zaopiekować dwójką kuzynów, lub też przyszywanych kuzynów, i postanowiła, że zabierze Bena oraz te dzieciaki do aquaparku pod granicę z Nebraską. Jeździła wówczas mustangiem matki (własne auto chwilowo jej się znudziło) i zapchała tylne siedzenia rozmaitymi kłopotami. Benowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że w ogóle można posiadać takie rzeczy: trzy rodzaje kremu przeciwsłonecznego, ręczniki

plażowe, tryskawki, dmuchane materace i koła, piłki plażowe, plastikowe wiaderka i łopatki. Dzieciaki były małe, miały jakieś sześć - siedem lat, siedziały wciśnięte pomiędzy te wszystkie gadzety i ilekroć się poruszyły, napompowane materace wydawały z siebie jęśliwe dźwięki. Gdzieś w okolicach Lebanon gówniarze, chichocząc, otworzyły okno, a materace zaczęły jęczeć coraz głośniej, jakby osiągały orgazm w swoistym kopulacyjnym rytuale dmuchanych obiektów. Ben dopiero po chwili się zorientował, co tak bardzo śmieszy dzieciaki. Udało im się powygrzebywać spod dywaników, spomiędzy foteli oraz różnych załomków drobniaki, które Diondra miała zwyczaj ciskać za siebie na tylne siedzenie, i teraz garściami wyrzucały monety za okno, patrząc z zafascynowaniem, jak się sypią na wszystkie strony niczym iskry i nie były to tylko centy, ale także ćwierćdolarówki.

Ben pomyślał, że właśnie odkrył, na czym polega fundamentalna różnica pomiędzy ludźmi. Nieważne, czy ktoś był miłośnikiem psów czy kotów, fanem fordów chief czy bronco. Najbardziej liczyło się coś zupełnie innego: czy należało się do tych, dla których ćwierćdolarówki miały istotną wartość. Dla Bena cztery ćwiartki oznaczały całego dolara. Za kilka ćwiartek mógł zjeść lunch. Za ćwierćdolarówki, które te małe gnojki wyrzuciły przez okno, miałby już połowę dzinsów. Krzyczał na dzieciaki, żeby przestały, tłumaczył, że to niebezpieczne, nielegalne, że zapłacą mandat, że mają usiąść grzecznie i siedzieć przodem do kierunku jazdy. Bachory wciąż chichotały, a w końcu i Diondra zaniósła się niepohamowanym śmiechem. „Benowi przejdzie koło nosa tygodniówka, jeżeli będziecie wywalać jego centy!”, wykrzyknęła i wtedy się zorientował, że jego sekret wyszedł na jaw. A więc nie był tak szybki i zręczny, jak mu się zdawało: Diondra wiedziała, że polował na odrzucane przez nią drobniaki. Poczul się tak, jak musiała się czuć kobieta, której wiatr podwiał nagle do góry sukienkę. I zaczął się też zastanawiać, co właściwie sądzić o dziewczynie, która widzi, że jej chłopak niczym żebrak łakomi się na porzucone drobne, i w żaden sposób nie reaguje. Jest miła i subtelna? Czy raczej wredna?

Trey podjechał na pełnym gazie pod dom Diondry: gigantyczną, beżową kostkę, otoczoną wysoką siatką, żeby psy nie zagryzły listonosza. Diondra miała trzy pittbule, których Ben serdecznie nie znosił, a szczególnie jednego - biały kłab mięśni o wielkich jądrach i dzikich ślepiach. Jeżeli nie było państwa Wertzner, psy wbiegały do domu, kiedy chciały, skakały po stołach i srały na podłogę. Diondra po nich nie sprzątała, tylko spryskiwała powalane gównem dywany łazienkowym odświeżaczem powietrza. Piękna wykładzina w pokoju muzycznym, ta koloru niebieskiego - który Diondra nazywała dymnym fiołkowym - była teraz polem minowym psych kup. Ben próbował nie zwracać na to uwagi. Ostatecznie cudze wykładziny nie powinny go obchodzić, jak ochoczo przypominała mu

Diondra.

Tylne drzwi stały otworem, pomimo panującego na dworze chłodu, i pittbule to wskakiwały do domu, to wyskakiwały na zewnątrz, jakby odstawiały magiczne sztuczki - w jednej chwili nie było żadnego pittbula, nie wiedzieć kiedy pokazywał się jeden, a zaraz potem drugi. I jeszcze trzeci! Trzy pitbule biegały w koło po ogrodzie, by nagle zniknąć w czeluściach domu. Przypominały stado ptaków, niespodziewanie zmieniających kierunek lotu, podszczypujących się nawzajem.

- Nienawidzę tych pieprzonych kundli - jęknął Trey, zatrzymując samochód. - Diondra je rozpuszcza.

Gdy Trey z Benem ruszyli w stronę frontowego wejścia, psy zaczęły szczekać jak oszalałe i gnać za nimi wzdłuż ogrodzenia, wciskać nosy i łapy w oka siatki, nie przestając przy tym ujadać.

Drzwi frontowe także były otwarte i ciepło wylewało się na zewnątrz. Przeszli przez wiatrołap wytapetowany na różowo - Ben nie zdołał się powstrzymać i zamknął drzwi, żeby zaoszczędzić trochę energii - a potem zeszli na dół, gdzie się rozciągało królestwo Diondry.

Znaleźli ją w pokoju muzycznym: tańczyła półnaga, ubrana jedynie w za duże, amarantowe skarpety i wielki sweter wyrabiany w grube warkocze, który według wyobrażeń Bena pasował raczej do rybaka niż drobnej dziewczyny. Ale z drugiej strony wszystkie laski w szkole ubierały się w za obszerne ciuchy. Nazywały to koszulami dziadunia i swetrami tatusia. Diondra, oczywiście, musiała mieć swetry w największym rozmiarze, pod które wkładała wiele warstw innych ciuchów: długie wystające dołem T-shirty i koszule w jaskrawą kratkę. Ben zaoferował kiedyś Diondrze jeden ze swoich dużych, czarnych swetrów - ostatecznie był jej chłopakiem - ale ona tylko zmarszczyła nos i oświadczyła: „To nieodpowiedni fason, poza tym ma dziurę”. Jakby dziura w swetrze była czymś gorszym od gówna wtartego w dywan. Ben nigdy nie wiedział, czy Diondra kierowała się zestawem jakichś sekretnych reguł, swoim prywatnym niezłomnym kodeksem, czy po prostu z nim pogrywała, traktowała jak śmiecia, żeby go wkurzyć.

Podskakiwała w rytm *Highway to Hell* tuż za nią w kominku strzelały płomienie. Trzymała papierosa w wyciągniętej ręce, jak najdalej od nowych ciuchów. Kupiła ich z tuzin; wisiały na wieszakach, leżały w plastikowych workach lub błyszczących torbach, z których niczym języki ognia wychylały się skrawki barwnej bibułki. Ben dojrzał także parę pudeł z butami i malutkie puzderka, które - jak wiedział - kryły biżuterię. Kiedy Diondra podniosła wzrok i zobaczyła czarne włosy Bena, uśmiechnęła się promiennie i uniosła kciuki w geście aprobaty. „Megasuper”. I Benowi od razu poprawił się trochę nastrój, już się nie czuł jak

ostatni dupek.

- Mówiłam, że będziesz wyglądać rewelacyjnie, Benji.

To załatwiło sprawę.

- Co kupiłaś, Dio? - Trey zaczął już buszować po torbach.

Pociągnął papierosa Diondry, który wciąż trzymała w dłoni. Ben tymczasem ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na jej nagie nogi. Podchwyciła jego wzrok i podrzuciła do góry sweter, żeby mu pokazać, że ma pod spodem bokserki, które jednak nie były jego bokserkami.

- Och, opanuj się i nie świruj.

Podeszła i pocałowała go w usta, rozsiewając wokół kojący winogronowy zapach żelu do włosów i dymu nikotynowego. Ben objął ją delikatnie, jak ostatnio miał w zwyczaju, a kiedy poczuł jej język na swoim języku, próbował odskoczyć.

- Kurde, daj już sobie spokój z tym traktowaniem mnie jak nietykalną - warknęła. - A może uważasz, że jestem dla ciebie za stara?

Ben parsknął śmiechem.

- Przecież masz dopiero siedemnaście lat.

- Gdybyś usłyszał to, co ja... - Diondra zanuciła w rytm znanej kolędy ale zdawała się zirytowana, autentycznie rozwścieczona.

- Co to niby ma znaczyć?

- Że jak na twój gust siedemnastolatka może być już próchnem.

Ben nie miał pojęcia, co powiedzieć. Kiedy Diondra miała ochotę się z nim podroczyć, naleganie na wyjaśnienia skończyłoby się jedynie powtarzaniem w kółko: „To nie takiego”, „Powiem ci później”, „Nie przejmuj się, jakoś przeżyję”.

Odrzuciła sztywne loki na plecy i znowu zaczęła tańczyć, wyciągnąwszy wcześniej drinka zza pudła z butami. Na jej szyi były widoczne purpurowe malinki, które jej zrobił w niedzielę. Wpijał się w jej skórę jak Drakula, ale Diondrze ciągle było mało.

- Mocniej, mocniej, jak się bardziej nie postarasz, nie zostawisz śladu, nie zaciskaj ust, nie dotykaj językiem, mocniej... Rób! To! Mocniej! Przecież każdy wie, jak zrobić głupią malinkę!

Z wykrzywioną furią twarzą, chwyciła go za głowę, obróciła ją na bok, a potem przyssała się do niego, poruszając ustami w gorączkowym rytmie jak zdychająca ryba.

- Proszę! - wykrzyknęła z triumfem i zaciągnęła go do lustra. - Teraz zrób mi to samo!

W rezultacie wyglądała tak, jakby po jej szyi przemaszerowała armia pijawek. Czerwono-fioletowe plamy żenowały Bena, dopóki nie zauważył, że Trey patrzy na nie z

zaciekawieniem.

- Och, nie, skarbie! Jesteś ranny! - pisnęła Diondra, bo wreszcie zauważyła rozcięcie na czole Bena. Zwilżyła palec śliną i próbowała usunąć zaschniętą krew. - Ktoś cię pobił?

- Chłopiec spadł z rowerka. - Trey wyszczerzył zęby w kpiącym uśmiechu.

Ben poczuł przyływ wściekłości. Nie powiedział nikomu, że miał wypadek na rowerze, ale Trey i tak na to wpadł i chociaż tylko wyjawiał zaistniały fakt, zdołał skutecznie ośmieszyć Bena.

- Pierdol się, Trey!

- Eeeej! - Trey uniósł ręce do góry w pojednawczym geście, ale w jego oczach pojawił się twardy błysk.

- Ktoś cię zepchnął z roweru, skarbie? Chciał ci zrobić krzywdę? - rozczuła się tymczasem Diondra.

- Kupiłaś coś dla naszego Bena, żeby przez następny miesiąc nie musiał chodzić w tych gównianych, roboczych dzinsach? - zmienił temat Trey.

- Jasne!

Uśmiechnęła się szeroko, zapominając zupełnie o ranie ukochanego, który wcześniej naiwnie sobie roił, że jej zainteresowanie potrwa nieco dłużej.

Ona jednak już podbiegła do wielkiej czerwonej torby z której wyjęła czarne spodnie z grubej skóry, pasiasty T-shirt i czarną, dzinsową kurtkę nabijaną błyszczącymi nitami.

- Kurde, skórzane portki, czyżby ci się wydawało, że chodzisz z Davidem Lee Rothem? - zarechotał Trey.

- Będzie w nich świetnie wyglądał. No, przymierz - powiedziała Diondra i zmarszczyła nos, gdy przyciągnęła Bena bliżej siebie. - Czy słyszałeś kiedykolwiek o prysznicu, Benji? Śmierdzisz szkolną stołówką. - Wcisnęła nowe ciuchy Benowi w ramiona i pchnęła go w stronę łazienki. - To prezent ode mnie - wykrzyknęła. - Może miałbyś ochotę podziękować?

- Dzięki! - odkrzyknął przez ramię.

- Ale zanim je włożysz, weź prysznic, do diabła!

Diondra mówiła całkiem poważnie, musiał śmierdzieć. W gruncie rzeczy dobrze wiedział, że od niego cuchnęło, łudził się tylko, że nikt tego nie wyczuje. Wszedł do łazienki położonej naprzeciwko pokoju Diondry (ta dziewczyna miała własną cholerną łazienkę, a jej rodzice - cały pokój kąpielowy z dwoma oddzielnymi umywalkami), rozebrał się i zwinął stare ciuchy w kłęb, który cisnął na jaskraworóżowy dywanik. Krocze miał wciąż wilgotne od mydlin, które wylał na siebie w szkole, fiuta skurczonego i zimnego. Wszedł pod strumień

cieplej wody i natychmiast przyszło odprężenie. Wraz z Diondrą kochali się czasami pod tym prysznicem, rozgrzani, pokryci pachnącą pianą. Tutaj nigdy nie brakowało mydła, nie musiał się myć szamponem dla dzieci, bo matka przez kilkanaście dni z rzędu nie mogła ruszyć tyłka do pieprzonego sklepu.

Wytał się starannie, włożył z powrotem bokserki, które też dostał od Diondry. Kiedy pierwszy raz się przed nią rozebrał, tak ją rozśmieszyły jego białe, obcisłe slipy, że aż się zakrztusiła własną śliną. Teraz próbował upchnąć bokserki pod nowymi spodniami - pełnymi zatrzasków, haftek, zamków - wyginał się i wiercił, żeby naciągnąć twardą skórę na tyłek, który według Diondry był jego największym atutem. Problem w tym, że bokserki rolowały się w okolicy brzucha, tworzyły fałdy i wybrzuszenia w najmniej odpowiednich miejscach. Szybko rozebrał się raz jeszcze i kopniakiem posłał bokserki na stertę brudnych ciuchów. Trey i Diondra szeptali i chichotali w pokoju za ścianą, co go coraz bardziej rozjuszało. Naciągnął pospiesznie spodnie na gołe ciało i poczuł się jak w obcisłej, zeszywniałej piance nurkowej. Natychmiast zaczął mu się pocić tyłek.

- Chodź, pokaż się nam, ogierze - zawołała Diondra.

Włożył nowy T-shirt, wszedł do sypialni, żeby przejrzeć się w lustrze. Z plakatów na ścianach spoglądali na niego giganci metalu, za którymi Diondra szalała. Nawet na suficie nad jej łóżkiem widniały zdjęcia ciał obleczonych w skórę pełną sprzączek i pasów, które przywodziły na myśl bulwiaste pokrętła kosmicznych robotów. Ben raz jeszcze zerknął w lustro i uznał, że wygląda całkiem nieźle. W klimacie. Kiedy wkroczył do pokoju muzycznego, Diondra zapiszczała z zachwyty i rzuciła mu się w ramiona.

- Wiedziałaś, wiedziałaś! Jesteś prawdziwym ogierem! - Odgarnęła do tyłu jego zmierzwione włosy, które na razie sięgały mu zaledwie brody, idiotyczna długość. - Teraz jeszcze musisz je bardziej zapuścić, ale poza tym już super.

Ben zerknął w stronę Treya, który tylko wzruszył ramionami.

- Na mnie nie patrz, nie ja będę się dzisiaj z tobą rznął.

Na podłodze wały się śmieci: długie, przypominające wąskie palce opakowania po suszonym mięsie, plastikowe pudełko umazane serem, okruchy nachos.

- Już wszystko zjedliście? - zmartwił się Ben, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Teraz twoja kolej, Teep-beep - oświadczyła entuzjastycznie Diondra, wysuwając dłoń z włosów Bena.

Trey uniósł w górę koszulę nabijaną ćwiekami, którą dostał od Diondry (a właściwie dlatego ona mu kupowała prezenty, zastanawiał się Ben) i ruszył w stronę sypialni, żeby wziąć udział w tym prywatnym pokazie mody. Przez moment od strony holu dochodziła

cisza, potem rozległ się suchy trzask otwieranego piwa, a jeszcze chwilę później - wybuch niepohamowanego śmiechu.

- Diondra, chodź no tutaj!

Już biegnąc do Treya, Diondra chichotała, podczas gdy Ben sterczał jak kolek pośrodku pokoju i pocił się w swoich nowych spodniach. Nie minęło kilka sekund, a i jego dziewczyna zanosila się histerycznym śmiechem. Niemal natychmiast pojawiła się z powrotem, a obok niej Trey z obnażonym torsem, niosący w palcach bokserki Bena.

- Chłopie, włożyłeś te obcisłe portki na gołego fiuta? - wykrztusił pomiędzy napadami wesołości. - Wiesz, ilu facetów przed tobą wciskało w nie swoje brudne dupy? Masz na sobie pot z jaj co najmniej tuzina koleśków. Wylot twojego tyłka przylega do miejsca, do którego przylegały poplamione gównem wyloty cudzych tyłków.

Znowu zatrzęśli się od śmiechu, a Diondra dodatkowo jęknęła z politowaniem.

- Hej, Dio, one też chyba mają plamy od gówna - dodał Trey, zaglądając w bokserki Bena. - Na twoim miejscu, pozbyłbym się ich, mała.

Diondra chwyciła gacie w dwa palce i wrzuciła je do kominka, gdzie zaskwierczały, ale nie zajęły się ogniem.

- Nawet płomienie nie mogą tego strawić - rzucił kpiąco Trey. - Co to takiego, Ben? Poliester?

Oboje padli na sofę. Diondra przyciskała dłoń do boku i wciąż pękała ze śmiechu, a Trey położył głowę na jej kolanach. Diondra się śmiała ze ściągniętą twarzą i z zaciśniętymi powiekami, ale nagle otworzyła jedno oko i spojrzała bystro na Bena, który już się odwracał na pięcie, żeby wrócić do łazienki i włożyć z powrotem swoje stare dzinsy. Błyskawicznie poderwała się z kanapy i złapała go za rękę.

- Och, nie złość się, skarbie. Wyglądasz super. Naprawdę wspaniale. Po prostu nie zwracaj na nas uwagi.

- Spodnie są odjazdowe, chłopie - dorzucił pojednawczo Trey. - No i nie zaszkodzi, jak się pomarnujesz w sosie innych facetów, może od tego urosną ci jaja, co?

Znowu zarechotał, ale tym razem Diondra się do niego nie przyłączyła. Podeszła do lodówki i wyciągnęła kolejne piwo. Trey wciąż nie wkładał nowej koszuli, chyba lubił paradować z gołym torsem, imponująco umięśnionym, pokrytym czarnymi włosami, przechodzącymi poniżej pępka w wąską linię, ciągnącą się aż do krocza, której Ben nigdy w życiu się nie dorobi. Ben, blady, drobnokościsty, rudowłosy, nie będzie wyglądał równie imponująco jak Trey ani za pięć, ani nawet za dziesięć lat. Zerknął spod oka na starszego chłopaka, miałby ochotę przyjrzeć mu się uważniej, ale wiedział, że to nie byłoby mądre

posunięcie.

- No, już, Ben, nie gniewaj się - Diondra pociągnęła go na sofę. - Ostatecznie po tych okropieństwach, które usłyszałam dziś na twój temat, to ja powinnam się wściekać.

- Co to niby ma znaczyć? - zachnął się Ben. - Miałem dzisiaj zasrany dzień, a ty nadajesz jakimś kodem. Nie jestem w nastroju na takie pieprzone bzdety!

To właśnie cała Diondra. Podpuszczała człowieka, docinała, wsuwała różne szpile, a gdy się już dostawało świra, pytała z miną niewiniątka: „Czemu jesteś taki zły?”.

- Mmmmm - zamruczała Benowi do ucha. - Przestańmy się sprzeczać. Jesteśmy razem, nie traćmy czasu na kłótnie. Chodź do sypialni, tam się pogodzimy.

Jej oddech pachniał piwem. Długimi paznokciami drażniła jego krocze. Pociągnęła go za rękę.

- A Trey?

- Nie będzie miał nic przeciwko temu - szepnęła. Po czym dorzuciła głośno: - Pooglądaj sobie przez chwilę kablówkę, Trey.

- Uhm.

Trey nawet nie spojrzał w ich stronę, tylko padł bezwładnie na sofę, przy okazji rozpryskując na wszystkie strony piwo.

Ben był już teraz solidnie rozwścieczony, a Diondra uwielbiała, jak był w bojowym nastroju. Miał ochotę wderzeć się w nią brutalnie, sprawić, żeby wyła i jęczała. Gdy więc tylko zamknęli za sobą drzwi - cienkie, ze sklejki, przez które każdy dźwięk dotrze do Treya (i DOBRZE!) - złapał mocno Diondrę, ale ona się odwróciła i rozorała mu paznokciami twarz. Poląła się krew.

- Co ci, do diabła, odbiło?!

Zaskoczyła go. Teraz miał kolejną ranę, ale tak naprawdę wcale się tym nie przejmował. Wręcz przeciwnie. Niech poznaczy bliznami te jego gładkie, dziecinne policzki. Śmiało! Diondra jednak odskoczyła o krok, rozchyliła usta, a potem pociągnęła go gwałtownie na siebie i oboje upadli na łóżko, pomiędzy pluszowe zabawki, które pospadały na ziemię jak pędzące ku śmierci lemingi.

Podrapała go znowu, tym razem po szyi, i wówczas chciał już tylko porządnie ją zerznąć, dosłownie ogarnęła go furia, nad którą nie umiał i nie chciał zapanować. Diondra pomogła mu zdjąć spodnie - odłaziły od ciała niczym skóra spalona słońcem - i jego kutas wyskoczył na wierzch tak twardy jak jeszcze nigdy dotąd. Diondra jednym ruchem ściągnęła sweter, zakółsały się jej wielkie, obrzmiałe cycki, zerwała z siebie bokserki. Kiedy spojrzał z wahaniem na jej brzuch, odwróciła się do niego plecami i wepchnęła w siebie jego fiuta od

tyłu, krzycząc:

- To wszystko? To wszystko, co masz dla mnie? Nie możesz ruchać mnie mocniej?

Nacierał na nią z całej siły, uderzał tak energicznie, aż rozbolały go jądra, a oczy zasnuły się mgłą. I nagle było po wszystkim, Ben leżał na wznak i wydawało mu się, że właśnie przed chwilą przeżył atak serca. Gwałtownie łapał ustami powietrze, walcząc z bezbrzeżnym przygnębieniem, które zawsze ogarniało go po tym, jak uprawiał seks.

Do tej pory robił to z Diondrą, i tylko z nią, dwadzieścia dwa razy - wiedział, ponieważ pilnie liczył. Naoglądał się dość telewizji, by wiedzieć, że zaraz potem facet powinien zapaść w błogi sen, ale on nigdy nie mógł zasnąć, wręcz stawał się bardziej pobudzony, drażliwy i skory do zaczepek, jakby wchłonał zbyt wiele kofeiny. Seks ponoć odprężał ludzi i Ben uważał, że w trakcie jest okej, a jak dostawał orgazmu - to wręcz super. Ale potem przez jakieś dziesięć minut chciało mu się płakać. Zadawał sobie pytanie - i to wszystko? To miała być ta najwspanialsza rzecz na świecie, z powodu której ludzie potrafili zabić? Czy naprawdę najlepsze, na co człowiek mógł liczyć w życiu, to tych kilka krótkich minut rozkoszy, pozostawiających po sobie smutek i pustkę? Ben nigdy nie wiedział, czy Diondrze się podobało czy też nie lub czy miała orgazm. Jęczała i wrzeszczała, ale nigdy nie wydawała się szczęśliwa. Teraz leżała obok niego ze sterzcącym brzuchem, oddychała cicho i płytko, nawet nie próbowała go dotknąć.

- Spotkałam dzisiaj w centrum handlowym kilka dziewczyn - odezwała się w końcu. - Powiedziały, że rzniesz jakieś małolaty z podstawówki. Mniej więcej dziesięciolatki.

- Co ty wygadujesz? - Ben wciąż był lekko oszołomiony.

- Znasz niejaką Krissi Cates?

Z trudem się powstrzymał, by nie wyskoczyć z łóżka. Wsunął ramię pod głowę, z powrotem położył je wzdłuż ciała, zarzucił na pierś.

- Uhm. Można tak powiedzieć. Pomagałem w pozalekcyjnych zajęciach z plastyki, na które chodzi ta mała.

- Nigdy nic nie mówiłeś o zajęciach z plastyki - syknęła Diondra.

- Bo nie było o czym mówić, robiłem to tylko kilka razy.

- Co robiłeś kilka razy?

- Pomagałem w prowadzeniu tych zajęć. Moja dawna nauczycielka mnie poprosiła.

- Podobno policja chce cię przesłuchać. Twierdzą, że brzydsko się zabawiałeś z małymi dziewczynkami - dziewczynkami w wieku twoich sióstr. Obmacywałeś je po cipkach. Wszyscy mają cię za zboka.

Usiadł gwałtownie. Wyobraził sobie, jak faceci z drużyny koszykarskiej dopadają go

w szatni, nabijają się z jego czarnych włosów i domniemanego zboczenia, pogrywają z nim okrutnie, póki im się nie znudzi ta pieprzona zabawa i nie odjadą w swoich zasranych pikapach.

- Według ciebie jestem zboczony?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?! Skoro uważasz, że mogę być zbokiem, to dlaczego przed chwilą się ze mną rżnęłaś?

- Chciałam sprawdzić, czy wciąż ci staje na mój widok. I czy we mnie dojdiesz.

Odwróciła się do niego plecami, podciągnęła kolana.

- To kompletnie popieprzone, Diondra.

Milczała.

- O co tak naprawdę ci chodzi? Jeżeli chcesz, powiem to wprost. Niczego nie robiłem z żadnymi dziewczynkami. Nie zadawałem się z żadną inną laską, od kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Kocham cię. I nie jestem zainteresowany seksem z dziećmi. Okej?

Cisza.

- OKEJ?!

Diondra lekko zwróciła twarz w jego stronę i ujrzał jedno niebieskie oko - zimne, pozbawione emocji.

- Szs - mruknęła. - Dzidziuś kopie.

Libby Day

Współcześnie

W drodze do Magdy Lyle był spięty i milczący. Zastanawiałam się, czy w duchu gardził mną za to, że wzięłam ze sobą kilka „pamiątek” na sprzedaż. Żaden szpargał, z którym postanowiłam się rozstać, nie na leżał do szczególnie interesujących: miałam pięć urodzinowych kartek od mamy dla Michelle i Debby, z odręcznie skrobniętymi, żartobliwymi notkami, i jedną kartkę od mamy dla Bena, na której spodziewałam się nieźle zarobić. Nie powiem, gnębiły mnie wyrzuty sumienia, nie byłam z siebie dumna, ale bałam się braku pieniędzy, bałam się całkowitego bankructwa, i ten lęk był silniejszy od wszelkich innych uczuć. Z okazji dwunastych urodzin Bena mama zrobiła taki oto dopisek do fabrycznie wydrukowanych życzeń: „Wprost rośniesz w oczach, synku, i zanim się obejrzę, będziesz już jeździł samochodem!”. Kiedy to przeczytałam, musiałam szybko zamknąć kartkę i wyjść z pokoju. Nim Ben mógł rozpocząć naukę jazdy, nasza mama już nie żyła. Nim mógł zasiąść za kierownicą, wylądował w więzieniu i w rezultacie nigdy się nie nauczył prowadzić samochodu.

Tak po prostu wyszło.

Przejechaliśmy przez most nad rzeką Missouri, zbyt leniwą, żeby połyskiwać w popołudniowym słońcu. Tak naprawdę nie miałam ochoty patrzeć, jak obcy ludzie czytają zabrane przeze mnie notki i liściki, byłoby w tym coś nazbyt intymnego. Może powinnam wyjść w chwili, kiedy zaczną je oglądać, wyceniać niczym stare świeczniki na wyprzedazy garażowej.

Lyle wziął na siebie rolę przewodnika i kierując się jego wskazówkami, wjechałam na przeciętne osiedle klasy średniej, gdzie niemal przy co drugim domu powiewały flagi wywieszane z okazji Dnia św. Patryka, z barwnymi koniczynami i skrzatami, przeterminowane zaledwie o kilka dni. Siedzący na fotelu pasażera Lyle tradycyjnie wiercił się nerwowo, aż w końcu zwrócił się ku mnie tak gwałtownie, że kolanami niemal wypchnął dźwignię z biegu.

- No więc... - zagaił.

- Tak?

- Dzisiejsza impreza, jak to się często zdarza w wypadku Magdy, będzie miała nieco odmienny charakter względem pierwotnego założenia.

- To znaczy?

- Hm, wspominałem ci już, że ona działa w tym stowarzyszeniu na rzecz uwolnienia Bena. I postanowiła zaprosić na spotkanie z tobą kilka... aktywistek ze swojej grupy.

- O, nie!

Zjechałam na bok i zatrzymałam przy krawężniku.

- Ej, posłuchaj, mówiłaś przecież, że chcesz się przyjrzeć Runnerowi. Dlatego musisz się pokazać u Magdy. Te kobiety zapłacą nam - to znaczy TOBIE za to, żebyś go odnalazła i przeprowadziła szczerą rozmowę. Jak córka z ojcem.

- Jak córka z ojcem?

- Właśnie. Widzisz, ja już praktycznie jestem bez kasy. Musimy zdobyć fundusze na dalsze działania.

- Mam więc tam siedzieć i pozwalać, żeby ktoś mnie obrażał? Tak jak na spotkaniu Klubu?

- Nie, nie. One dość wnikliwie zbadały sprawę pod kątem ewentualnego sprawstwa Runnera. Wprowadzą cię w szczegóły. Mogą pomóc. Chyba chcesz uwolnić brata? Już nie wierzysz w jego winę, prawda?

Mignął mi przed oczami obrazek z zamierzchłej przeszłości: Ben siedzi przed telewizorem, a mama przechodzi obok, dźwigając miskę z praniem na biodrze, i wicherzy mojemu bratu włosy. On się uśmiecha, ale nie odwraca głowy. Czeką, aż mama wyjdzie z pokoju, a potem chwyta za grzebień i poprawia fryzurę.

- Aż tak kategorycznie bym tego nie ujęła.

Przekreśliłam kluczyk w stacyjce i w tym samym momencie z radia popłynęła piosenka Billy'ego Joela. Szybko zmieniłam stację.

- No, dobra. W takim razie ruszajmy.

Przejechałam kilka kolejnych przecznic. Dom Magdy znajdował się w równie ubogiej dzielnicy co moja, tyle że bardziej zadbanej. Wszystkie domy tutaj też były tandetnie zbudowane, ale ich właściciele mieli dość ambicji, żeby od czasu do czasu pokryć je świeżą warstwą farby, wywiesić flagę, posadzić kwiaty. Te budynki kojarzyły mi się z dziewczynami, które wspólnie ruszają na rajd po barach w piątkową noc, gnane nadzieją na prawdziwą miłość i lepsze życie. Są liczną grupą, więc można by założyć, że znajdzie się wśród nich przynajmniej jedna urodziwa kobieta, a tymczasem wszystkie są brzydkie i takie już pozostaną. Dom Magdy był najpaskudniejszą z tych „panien”, która jednak próbowała swoje braki nadrobić natłokiem dodatków. Wzdłuż podjazdu aż się roiło od ogrodowych ozdób: gnomów na drucianych nóżkach, flamingów na sprężynach, kaczek o plastikowych

skrzydłach wirujących w podmuchach wiatru. Zapomniany, bożonarodzeniowy renifer z rozmakającego kartonu tkwił w centralnym punkcie frontowego trawnika, a właściwie błotnistego poletka, gdzieś upstrzonego miękkimi kępkami kielkującej trawy. Wyłączyłam silnik i wraz z Lyle'em gapiliśmy się na podjazd i jego podrygujących na wietrze lokatorów.

Po chwili Lyle zwrócił się w moją stronę i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, niczym trener udzielający drużynie ostatnich wskazówek przed wyjątkowo trudnym meczem.

- Nie ma się czym przejmować. Wszystko będzie okej. Musisz tylko uważać, jak i co mówisz o Benie. Te kobiety są bardzo przewrażliwione na jego punkcie i czasami reagują dość impulsywnie.

- Zdefiniuj impulsywnie.

- Hmm. Chodzisz czasami do kościoła?

- Chodziłam, kiedy byłam dzieckiem.

- No to wyobraź sobie, co by się stało, gdyby ktoś wszedł do twojego kościoła w czasie mszy i oznajmił, że nienawidzi Boga.

Rzeczywiście czułam się jak w kościele. Albo na bardzo uroczystej stypie. Mnóstwo kawy smutne uśmiechy wiele osób ubranych na ciemno, prowadzących rozmowy przyciszonymi głosami. Powietrze było szare od dymu i natychmiast sobie uświadomiłam, że od czasu, gdy Diane wywaliła mnie ze swojej przyczepy, bardzo rzadko miałam okazję przebywać w pomieszczeniu tak zasnutym tytoniowym dymem. Z przyjemnością zaczerpnęłam głębokiego oddechu.

Kiedy chwilę wcześniej znaleźliśmy się z Lyle'em pod domem Magdy, zastaliśmy drzwi szeroko otwarte. Zapukaliśmy kilka razy w framugę, ale ponieważ nikt nie zareagował, weszliśmy do środka. Staliśmy w progu pokoju przez dobrych kilka sekund, zanim rozmowy umilkły, a spojrzenia powędrowały w naszą stronę. Starsza kobieta o fryzurze łudząco przypominającej druciany zmywak poprzetykany klamerkami zaczęła gwałtownie mrugać na mój widok, jakby przekazywała mi zakodowaną, tajemną wiadomość, a na jej szerokiej twarzy zastygł promienny uśmiech. Uderzająco ładna brunetka tuż po dwudziestce, wsuwająca kawałki brzoskwini do ust niemowlaka, podniosła wzrok i także obdarzyła mnie uśmiechem. Tylko pewna stara prukwa o figurze śniegowego bałwana chwyciła za wiszący na szyi krzyżyk, zacisnęła usta i spiorunowała mnie nienawistnym wzrokiem. Niemniej zachowanie pozostałych osób jasno wskazywało, że otrzymały przedtem wyraźny rozkaz: Bądźcie miłe! I karnie się podporządkowały. Tak jak wcześniej podejrzewał Lyle, w pokoju znajdowały się same kobiety i to bez wyjątku białe. Większość z nich była zniszczona i

zaniedbana, ale kilka miało dopracowany wygląd, typowy dla wyższej klasy średniej.

Bo bogatych kobiet wcale się nie poznaje po ich ciuchach czy samochodach, ale po szczególnym, ostatecznym szlifie: zabytkowej broszce (wszystkie bogate kobiety mają zabytkowe broszki) lub wyjątkowo subtelnym, prawie niewidocznym zastosowaniu konturówki do ust. Zjechały tu zapewne z Mission Hill i fakt, że postawiły stopę na północnym brzegu rzeki, uważały za wyjątkową wspaniałomyślność ze swojej strony.

Takie babskie spotkanie Diane nazwałaby złotem kur domowych (i wydała przy tym charakterystyczny nosowy charkot, wyrażający dezaprobatę). Mnie intrygowało, jak każda z nich się dowiedziała o istnieniu Bena, który od tylu lat gnił w więzieniu, i co je właściwie pociągało w moim bracie. Czy siedząc w obłożonych piernatami łóżach, z mężami chrapiącymi u boku, marzyły skrycie, że zwiążą się z Benem, gdy już wywalczą dla niego wolność? Czy raczej widziały w nim ubogiego chłopaka, który potrzebował ich altruizmu? Charytatywny projekt, którym mogły wypełnić czas pomiędzy rozgrywkami tenisa?

Z kuchni wymaszerowała Magda - dobrze powyżej metra osiemdziesiąt wzrostu, niemal równie imponujące, mocno poskręcane włosy. Po naszym spotkaniu w Klubie Zbrodni nie poznałabym jej na ulicy, bo wszystkie twarze z tamtego wieczoru zlały się w mojej pamięci w nieokreśloną plamę, jak na zdjęciu za szybko wyszarpniętym z polaroidu. Magda była ubrana w dżinsową sukienkę-ogrodniczkę, pod którą włożyła sweter z golfem, i miała na sobie mnóstwo niedobranej biżuterii: wiszące złote kolczyki w uszach, gruby złoty łańcuch na szyi i pierścionek praktycznie na każdym palcu z wyjątkiem tego, na którym tradycyjnie nosi się ślubną obrączkę. Te liczne pierścionki Magdy wzbudzały we mnie niepokój, kojarzyły się z pąklami, tyle że porastającymi zupełnie nieodpowiednie miejsca. Mimo to uścisnęłam jej dłoń, ciepłą i suchą, Magda tymczasem wydała z siebie dźwięk, który brzmiał mniej więcej jak „mmmmaaaaaa!” i chwyciła mnie w ramiona. Jej wielkie piersi rozstały się, a potem naparły na mnie niczym oceaniczna fala. Zesztywniałam, odsunęłam się o krok, ale Magda wciąż trzymała mnie za ręce.

- Zapomnijmy o naszych nieporozumieniach. Witam cię serdecznie - oznajmiła.

- Witamy - wykrzyknęły kobiety zza jej pleców podejrzenie zgranym unisono.

- Jesteś bardzo mile widziana w moim domu - zapewniła skwapliwie Magda.

Miałam ochotę odparować, że to chyba oczywiste, skoro zostałam tu zaproszona.

- Moje drogie, oto Libby Day, najmłodsza siostra Bena.

- Jedyna siostra - uściśliłam.

Kobiety pokiwały smutno głowami.

- Zebrałyśmy się tu dzisiaj - ciągnęła oficjalną przemowę Magda - bo pragniemy

zmiany obecnej sytuacji. Jesteśmy gotowe zrobić wszystko, byle Ben mógł powrócić do domu!

Zerknęłam na Lyle'a, który nieznacznie zmarszczył nos. W głębi holu dojrzałam mniej więcej piętnastoletniego chłopaka, schodzącego po wyłożonych chodnikiem schodach. Był korpulentny ale jeszcze nie tak okazałe, jak jego matka. Miał na sobie koszulę zapiętą pod szyję i płócienne spodnie. Zajrzał do pokoju, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego.

Magda zauważyła obecność dzieciaka, nie przedstawiła go jednak nikomu, za to poleciła:

- Ned, idź do kuchni i zaparz więcej kawy.

Chłopak przeszedł obok zgromadzonych kobiet, uporczywie wpatrując się w jakiś punkt na ścianie, którego nikt oprócz niego nie był w stanie dostrzec.

Tymczasem Magda zaczęła mnie ciągnąć przez pokój, więc udałam, że muszę zakaszleć, bo dzięki temu mogłam wyrwać rękę z jej dłoni. Zostałam usadzona pośrodku sofy, pomiędzy dwoma kobietami, co zdecydowanie mi się nie spodobało. Nie lubię, jak ocierają się o mnie cudze kolana i ramiona. Przesunęłam ciężar ciała najpierw na jeden, potem na drugi pośladek, ponieważ nie chciałam się zapaść zbyt głęboko w siedzisko, ale jestem tak niska, że mimo to wyglądałam jak skrzat usadzony na tronie wielkoluda.

- Libby; jestem Katryn. Przyjmij wyrazy współczucia z powodu tak wielkiej straty - odezwała się jedna z siedzących obok mnie kobiet. Rozsiewała wokół siebie zapach kosztownych perfum.

- Witaj, Katherine.

Ciekawe, czy istnieje jakiś limit czasowy, powyżej którego powinno się już zaprzestać składania obcym ludziom kondolencji. Chyba nie.

- Kate-rzyn - poprawiła mnie słodkim głosem, a jej złota broszka w kształcie kwiatka zakołysała się na szpilce.

To kolejna cecha typowa dla bogatych kobiet: bardzo pilnują, jak się wymawia ich imię i dokonują błyskawicznej korekty. A lee-see-a nie Al-eesh-a, Deb-or-ah nie Debra. Zbyłam jej uwagę milczeniem. Po drugiej stronie pokoju Lyle rozmawiał z pewną leciwą kobietą, prezentując jej swój profil. Niemal widziałam, jak gorący oddech staruszki wsącza się do filigranowego ucha mojego „wspólnika”. Spostrzegłam też, że różne osoby rozmawiają ze sobą, jednak wciąż przenoszą na mnie wzrok, szepczą do siebie, ale ukradkiem spoglądają w moją stronę.

- Może więc rozpoczniemy show? - spytałam i zaklaskałam w dłonie.

To było zdecydowanie niegrzeczne z mojej strony, ale już nie mogłam dłużej znieść

tego suspensu.

- Cóż, Libby... Ned! Przyniesiesz wreszcie tę kawę?! - Magda przejęła inicjatywę. - Zebrałyśmy się tu dzisiaj, żeby pomówić z tobą o twoim ojcu, którego uważamy za głównego podejrzanego w sprawie zabójstw, za które niesłusznie skazano Bena.

- Zabójstw popełnionych na mojej rodzinie.

Magda syknęła w zniecierpliwieniu, nie spodobało jej się, że zgłaszam prawa do własnej rodziny.

- Ale zanim do tego dojdziemy - podjęła - chciałybyśmy podzielić się z tobą opowieściami o naszych relacjach z twoim bratem, którego wszystkie bez wyjątku kochamy.

Z fotela wstała szczupła pięćdziesięciolatka o konserwatywnej fryzurze.

- Mam na imię Gladys. Poznałam Bena trzy lata temu z racji swojej działalności charytatywnej. Ben odmienił moje życie. Koresponduję z wieloma więźniami... - w tym momencie prychnęłam kpiąco, co nie umknęło niczyjej uwagi - ...koresponduję z nimi, ponieważ według mnie najwyższym aktem chrześcijańskiej wiary jest okazywanie miłości odrzuconym. Jestem pewna, że wszystkie oglądałyśmy film *Przed egzekucję*. Tak więc zaczęłam pisać do Bena, a każdy list, który od niego dostaję, promieniuje nadzwyczajną czystością duszy. Z zadziwiającą pogodą i spokojem Ben dźwiga swój krzyż, a nawet często udaje mu się mnie rozbawić - chociaż to ja jemu powinnam dodawać otuchy. Tymczasem on potrafi nawet żartować na temat strasznych warunków, które musi znosić dzień po dniu od ponad dwudziestu lat.

Niemal każda z kobiet dorzuciła w tym momencie: „ma wspaniałe poczucie humoru”... „jest taki szczery i prostolinijny”... „wprost cudowny”.

W pokoju pojawił się Ned z dzbankiem i zaczął dolewać kawy do plastikowych kubków, wyciągających się w jego stronę. Kobiety w ogóle nie zaszczycaly go spojrzeniem, tylko gestem wskazywały, kiedy ma zakończyć nalewanie.

Następnie podniosła się młoda dziewczyna mniej więcej w wieku Lyle'a, bardzo rozdygotana.

- Mam na imię Alison. Poznałam Bena przez moją mamę, która niestety nie mogła tu dzisiaj przybyć...

- Chemia, rak jajnika - poinformowała mnie szeptem Katryn.

- ...ale obie wierzymy, że dzieło mamy dopełni się na tej ziemi dopiero wtedy, gdy Ben wyjdzie na wolność. - Rozległy się pojedyncze oklaski. - Ben... Ben... - teraz dziewczyna już otwarcie płakała - ...jest wyjątkowo dobrym człowiekiem! A spotkała go taka okropna niesprawiedliwość. Wprost nie mogę uwierzyć, że żyjemy w świecie, gdzie kogoś równie

szlachetnego trzyma się... trzyma się w klatce bez żadnego powodu!

Zacisnęłam zęby. Już widziałam, że ta impreza zmierza w jak najgorszą stronę.

- Musisz wreszcie wszystko odwołać - warknęła na mnie baba z krucyfiksem na szyi, która od początku okazywała mi nienawiść. - Zadośćuczynić za zło, które wyrządziłaś. Naprawdę bardzo mi przykro, że straciłaś rodzinę i doświadczyłaś takiej tragedii, ale czas, byś dorosła i naprawiła błędy.

Nikt słowem czy gestem nie poparł Śniegowego Bałwana, ale pokój wręcz pulsował aprobatą, napierającą na mnie z narastającą siłą niczym huk nadjeżdżającego pociągu. Zerknęłam na Lyle'a, który dyskretnie przewrócił oczami.

Tymczasem Magda stanęła przed drzwiami i nadęła się jak agitator na wiecu politycznym.

- Libby, chociaż w dużym stopniu odpowiadasz za zaistniałą katastrofę, postanowiliśmy ci wybaczyć. Musisz też wiedzieć, że według nas to twój ojciec dopuścił się tej odrażającej zbrodni. Odkryliśmy, że miał motyw i sposobność popełnienia przestępstwa, odkryliśmy... wiele ważnych faktów - dorzuciła, wyczerpawszy swoje zasoby prawniczego żargonu. - Zacznijmy od motywu. Dwa tygodnie przed feralnym dniem twoja matka, Patricia Day, wniosła pozew o zasądzenie alimentów. Więc po raz pierwszy w życiu Ronald „Runner” Day mógł być ścigany z mocy prawa za finansowe zobowiązania wobec żony i dzieci. Poza tym miał długi hazardowe sięgające kilku tysięcy dolarów. Pozbycie się rodziny w takiej sytuacji znacznie ułatwiłoby mu życie - tym bardziej że wedle jego wyobrażeń był głównym spadkobiercą i beneficjentem polisy żony. Poszedł do was tamtej nocy; Bena nie było w domu, ty uciekłaś, ale zabił pozostałe osoby.

Oczyrna duszy ujrzałam nagle Runnera, który dysząc ciężko, przemierza dom ze strzelbą w dłoniach, a potem odsuwa z czoła swojego stetsona i celuje do mojej matki. W uszach zadźwięczały mi niskie pohukiwania, które prześladowały mnie od dnia zbrodni, i próbowałam sobie wyobrazić, że wydobywają się z ust Runnera.

- W jego chacie znajdowały się włókna z waszego domu, ale ostatecznie nie włączono ich do materiału dowodowego, ponieważ stwierdzono, że minionego lata Runner bywał u was częstym gościem. Ale fakt pozostaje faktem, włókna tam były. Na ubraniu Bena natomiast nie wykryto śladów krwi ani tkanek ofiar, za to oskarżenie silnie podkreślało, że w domu znaleziono jego krew.

- Wielkie halo! - obruszyła się wściekła baba z krzyżykiem na szyi. - To już nie można zaciąć się przy goleniu?

Kobiety zgodnie parsknęły śmiechem, jakby to wcześniej starannie przećwiczyły.

- Ale najbardziej obiecujący, Libby, jest fakt, że Runner miał sposobność dokonania tego czynu. Jak ci zapewne wiadomo, alibi twojego ojca zostało potwierdzone przez jego ówczesną dziewczynę, niejaką Peggy Bannion. Dla twojej wiedzy - nigdy nie jest za późno na naprawę zła, więc Peggy Bannion obecnie podjęła działania w celu odwołania złożonych zeznań. Mimo że grozi jej pięć lat więzienia za krzywoprzysięstwo.

- Ale my do tego w żadnym razie nie dopuścimy - zakrzyknęła ochotczo Katryn, co spotkało się z głośnym aplauzem zebranych.

Jeszcze nie umilkły brawa, a z krzesła podniosła się chuda kobieta w obcisłych dżinsach. Miała krótkie włosy z resztkami trwałej na czubku głowy, i małe oczy, zmatowiałe jak dziesięciocentówki, które zbyt długo zalegały w portmonetce. Spojrzała na mnie, ale szybko umknęła wzrokiem. Zaczęła się nerwowo bawić niebieskim kamieniem, zawieszonym na szyi, który był identyczny w odcieniu jak paski na jej bluzie. Wyobraziłam sobie, jak staje w domu przed lustrem, poznaczonym plamami od wody, i cieszy się, że zdołała tak pięknie dobrać wisiołek do bluzki.

Wpatrywałam się w dziewczynę mojego ojca, w tego specjalnego gościa Magdy, i z trudem się powstrzymałam od wytrzeszczania oczu.

- Chciałam przede wszystkim bardzo wam podziękować za wsparcie, którego mi udzielacie od kilku miesięcy - zaczęła cienkim głosem. - Runner mnie wykorzystał, bo zawsze żerował na innych, jak zapewne dobrze ci wiadomo.

Dopiero po dłuższej chwili się zorientowałam, że to ostatnie zdanie skierowała do mnie. Skinęłam głową, ale natychmiast tego pożałowałam.

- Podziel się z nami swoją historią, Peggy - poprosiła Magda. Nie ulegało wątpliwości, że regularnie oglądała Oprah. Przyswoiła sobie tę swoistą kadencję głosu, ale brakowało jej niezbędnego ciepła.

- No więc prawda wygląda tak. Wieczorem drugiego stycznia szykowałam dla Runnera kolację w jego chacie. Chop suey z ryżem, a do tego oczywiście mnóstwo piwa. Lubił takie jedno, co się nazywa Mickey's Big Mouth, ale marnie się otwiera. Języczek od puszki źle odchodzi i robią się ostre krawędzie, jak szczytce kraba, więc Runner był ciągle przez nie pocięty. Pamiętasz to, Libby? Zawsze miał poharatane ręce.

- Co się wydarzyło po kolacji? - wtrącił Lyle. Czekałam, aż spojrzy na mnie z uśmiechem aprobaty, ale na próżno.

- My, eee, trochę się przytulaliśmy. A potem Runnerowi skończyło się piwo, więc wyszedł po nowe. Musiało być w okolicach dwudziestej, bo oglądałam ten serial *Kozioł ofiarny*, ale puszczałi powtórkowy odcinek, dlatego byłam trochę zawiedziona.

- Oglądała serial *Kozioł ofiarny* - zaszcebiotała Magda. - Czyż to nie ironia losu?

Peggy spojrzała na nią tępym wzrokiem, bez wątpienia nie pojęła, co właściwie Magda miała na myśli.

- W każdym razie Runner wyszedł i długo nie wracał, a zimą szybko robi się ciemno i chodzę wcześniej spać. Obudziłam się, jak przyszedł, jednak nie miałam w chacie żadnego zegara, dlatego nie wiedziałam, która to godzina. Ale na pewno było późno, środek nocy, bo jak poszłam na siusiu, już dniało, a Runner wrócił niewiele wcześniej.

A więc kiedy Peggy sikała, szukała papieru toaletowego, którego zapewne nie znalazła, a potem naburmuszona szła z powrotem do łóżka, potykając się po drodze o silniki, części maszyn rolniczych i bebechy telewizorów, nad którymi Runner niby pracował, ja czółgałam się po śniegu w stronę przesiąkniętego krwią domu, gdzie leżała moja pomordowana rodzina. Osobiście miałam to tej kobiecie za złe.

- Policja zjawiała się wcześniej rano i chcieli wiedzieć, gdzie był Runner pomiędzy dwudziestą czwartą a piątą rano. On uparcie powtarzał, że wrócił wcześniej do domu, że przyszedł jeszcze przed północą. Ja wcale w to nie wierzyłam, jednak - przebac mi Boże - potwierdziłam słowa Runnera. Po prostu przytaknęłam.

- Ale teraz skończyłaś już z życiem w kłamstwie! Zostawiłaś przeszłość za sobą - ucieszyła się brunetka z niemowlakiem na kolanach.

- Od roku nie mam żadnego kontaktu z Runnerem.

- To i tak masz nade mną przewagę - zauważyłam i natychmiast tego pożałowałam.

Ciekawe, czy ta kobieta wciąż kryłaby Runnera, gdyby częściej się do niej odzywał. Dzwonił raz na trzy a nie na osiem miesięcy.

- Jak już mówiłam - podjęła Peggy - zawsze miał mocno pocięte ręce, ale mógł je pokaleczyć o te puszki z piwem. Naprawdę nie wiem, czy sam się niechcący poranił tamtego wieczoru, czy raczej ktoś go podrapał.

- Tylko u jednej ofiary, Michelle Day, znaleziono obcy naskórek pod paznokciami, co jest logiczne, ponieważ została uduszona, a więc miała fizyczny kontakt z napastnikiem - powiedział Lyle. Wszyscy na moment pograżyliśmy się w milczeniu i słychać było jedynie gaworzenie dziecka, coraz wyższe w tonie, przechodzące w piski. - Niestety, te próbki naskórka gdzieś zaginęły i nigdy nie dotarły do laboratorium.

Ponownie stanął mi przed oczami Runner - z chytrą miną i dzikim błyskiem w oku napierał całym ciałem na Michelle, przyciskał ją do materaca, a ona walczyła o oddech, próbowała oderwać od siebie ręce Runnera i podrapała wierzch jego małych, ubabranych smarami dłoni, coraz mocniej zaciskających się na jej szyi...

- I oto cała moja historia. - Peggy rozłożyła ręce, wzruszyła bezradnie ramionami, jak bohaterka komedii slapstickowej, wyrażająca bezradność przerysowanym gestem.

- Ned, czekamy na deser! - wrzasnęła Magda w stronę kuchni.

Chłopak pospiesznie wszedł do pokoju, z głową w ramionach, okruchami na wargach, i wyciągnął przed siebie talerz z kilkoma herbatnikami pomazanymi w środku twardą marmoladą.

- Chryste, Ned, nie wyjadaj moich ciastek! - warknęła Magda, gniewnie spoglądając na resztkę herbatników.

- Zjadłem tylko dwa.

- Nie kłam. - Magda zapaliła papierosa, którego wyjęła z niemal już pustej paczki. - Zbieraj się do sklepu. Potrzebuję papierosów. I więcej herbatników.

- Jenna wzięła samochód.

- To ruszaj na piechotę. Dobrze ci to zrobi.

Te kobiety najwyraźniej zamierzały siedzieć tutaj przez całą noc, ale ja się na to nie pisałam. Zająłam strategiczną pozycję przy drzwiach i patrzyłam łakomym wzrokiem na paterkę *cloisonne*, którą uznałam za zbyt ładną dla Magdy. W końcu wsunęłam ją do kieszeni, podczas gdy Lyle dobijał interesu: stał nad Magdą, która starannie wypełniała czek i pytała w kółko: „Naprawdę to zrobi? Dowiedziała się, gdzie można go znaleźć? Uwierzyła w Bena?”.

Spostrzegłam też, że chyłkiem, ale systematycznie Peggy przesuwają się w moją stronę, niczym w jakiejś groteskowej rozgrywce szachowej, ale zanim zdążyłam umknąć do łazienki, ona już trzymała mnie za łokieć.

- Nie jesteś podobna do Runnera - zauważyła, mrużąc oczy. - No, może trochę z nosa.

- Wyglądam identycznie jak mama.

Peggy zaniemówiła.

- Długo z nim byłeś? - zagadnęłam uprzejmym tonem.

- Uhm, długo, tyle że z przerwami. W międzyczasie miałam innych facetów. Ale on zawsze wracał i zachowywał się tak, jakby wszystko było częścią dobrze obmyślanego planu. Jakbyśmy w zasadzie omówili, że zniknie na kilka miesięcy, a potem wróci i będzie między nami jak przedtem. Sama tego wszystkiego nie pojmuję. Żałuję, że nie spotkałam w życiu miłego księgowego czy kogoś w tym rodzaju. Nie wiem, gdzie szukać porządnych facetów. Nigdy nie wiedziałam, gdzie można ich znaleźć.

Powiedziała to w taki sposób, jakby miała na myśli konkretną fizyczną lokalizację: tajemnicze miasto, w którym zamknięto wszystkich porządnych księgowych.

- Wciąż mieszkasz w Kinnakee?

Skinęła głową.

- Na początek natychmiast bym się stamtąd wyniosła.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 15:10

Patty wskoczyła za kierownicę samochodu Diane, nie spuszczać wzroku z kluczyków dyndających w stacyjce. „Muszę jak najszybciej stąd odjechać, zaraz, natychmiast”. Diane zajęła miejsce pasażera i Patty włączyła silnik. Z wizgiem opon ruszyła spod domu Muehlerów, wyrwała do przodu tak ostro, że aż niebezpiecznie zarzuciło tyłem auta. Rozliczne szpargały w bagażniku Diane - piłki baseballowe, narzędzia ogrodnicze, lalki dziewczynek - przewracały się na wszystkie strony, jak pasażerowie w koziółkującym wraku. Samochód podskakiwał na nierównej drodze, żwir sypał się spod kół, raz je zносиło na lewo, ku zagajnikowi, a potem na prawo, w stronę rowu melioracyjnego. W końcu Diane położyła swoją dużą dłoń na kierownicy.

- Uspokój się. Zwolnij.

Patty jednak pędziła przed siebie, póki nie opuściły ziemi Muehlerów, a potem szerokim łukiem skręciła w lewo na szosę i zjechała na pobocze. Wciąż zaciskając ręce na kierownicy, oparła o nią czoło i wybuchnęła płaczem.

- O co tu, do cholery, chodzi?! - wrzasnęła.

To był dziecięcy krzyk przez łzy, przepelniony bezsilnym gniewem.

- Nie wiem. Ta cała historia jest bardzo dziwna. - Diane poklepała siostrę po plecach. - Jedźmy do domu.

- Nie chcę jechać do domu! Muszę się dowiedzieć, gdzie jest mój syn!

Na sam dźwięk słowa „syn” znowu zaniosła się płaczem: łkanie wstrząsało całym jej ciałem, a umysł przeszywały bolesne myśli. Ben potrzebował adwokata. A jej nie było stać na wynajęcie prawnika. Więc przydzielił mu jakiegoś znudzonego obrońcę z urzędu. I jej syn przegra sprawę. Pójdzie do więzienia. Co ona wówczas powie dziewczynkom? I jaki wyrok można dostać za podobne przestępstwo? Pięć lat? Dziesięć? Oczami wyobraźni ujrzała wielki parking, otwierającą się ciężką bramę i Bena, opuszczającego więzienie niepewnym krokiem, dwudziestopięcioletniego, ogarniętego przerażeniem na widok szerokiej otwartej przestrzeni, mrużącego oczy w ostrym świetle dnia. Patty czeka na niego z rozpostartymi ramionami, a on podchodzi i pluje jej w twarz za to, że nie zdołała go uchronić przed skazaniem. Jak można żyć ze świadomością, że się nie ocaliło własnego syna? Czy w takim razie powinna wyprawić Bena z miasta, namówić do ucieczki? Ile mogłaby mu dać pieniędzy na drogę? W grudniu,

odrętwiała z wyczerpania, sprzedała Lindzie Boyler wojskową czterdziestkępiątkę ojca. A potem wyobrażała sobie, jak Dave Boyler, którego nigdy nie lubiła, otwiera prezent w poranek Bożego Narodzenia i cieszy się z pistoletu, na który nie zasłużył. Tak czy owak, w rezultacie Patty udało się zachomikować trzysta dolarów. Trzymała je na spłatę najpilniejszych rachunków, zamierzała to zrobić właśnie dzisiaj, ale teraz musiała zapomnieć o zobowiązaniach. Na ile starczy Benowi te zaoszczędzone trzysta dolarów? Najwyżej na dwa miesiące.

- Ben wróci do domu, gdy złość z niego wyparuje - zauważyła rozsądnie Diane. - Ostatecznie jak daleko mógł pojechać w styczniu na rowerze?

- A co, jeżeli ONI znajdą go pierwsi?

- Skarbie, Bena nie ściga zła knioniy linczu tłum. Sama słyszałaś, że bracia Muehler nie mają bladego pojęcia o... o tych oskarżeniach. Powtarzali zupełnie inne niedorzeczne plotki. Teraz musimy przede wszystkim porozmawiać z Benem i wszystko po kolei wyjaśnić. Niewykluczone, że my się rozbijamy po okolicy, a on tymczasem siedzi już spokojnie w domu.

- Jak się nazywają ludzie, którzy go oskarżają?

- Nie wiem.

- Ale mogłabyś się dowiedzieć. Skoro wygadują takie niestworzone historie, nie mogą oczekiwać, że położymy uszy po sobie i będziemy z pokorą wszystko znosić, prawda? Mamy prawo wiedzieć, kto roznosi te plotki. Ben ma prawo stanąć twarzą w twarz z oszczercami. Ja też mam do tego prawo.

- W porządku. Wobec tego pojedziemy do domu, sprawdzimy, co z dziewczynkami, a ja podzwonię tu i ówdzie. Czy teraz pozwolisz mi poprowadzić?

*

Weszły w sam środek istnego pandemonium. Michelle usiłowała usmażyć plasterki salami i wrzaskami odpędzała Debbie od rozgrzanej patelni. Libby siedziała na podłodze i miała ślady po oparzeniach na ramieniu oraz na policzkach, gdzie prysnął na nią gorący tłuszcz. Z szeroko otwartymi ustami zanosiła się równie histerycznym płaczem, co Patty chwilę wcześniej w samochodzie - jakby nie było żadnej nadziei, a nawet gdyby była, ona nie miała już siły zmagać się z rzeczywistością.

Patty i Diane natychmiast wkroczyły do akcji. Poruszały się zgodnym rytmem, precyzyjnie jak w skomplikowanym tańcu. Przypominały montowane w niemieckich zegarach figurki dam i kawalerów, połączonych w pary, które przy wybiciu pełnej godziny wyłaniały się zza jednych drzwiczek i, wirując, znikwały za drugimi. Diane wparowała do

kuchni, chwyciła Michelle za ramię, jednym szarpnięciem oderwała ją od pieca i powlokła niczym szmacianą lalkę do dużego pokoju, gdzie wymierzyła dziewczynce solidnego klapsa i kazała usiąść na sofie. Patty zręcznie je wyminęła i płynnym ruchem chwyciła w ramiona Libby, która oplótła matkę rękami i nogami, szlochając jej prosto w szyję.

Patty spojrzała z wyrzutem na Michelle, roniąc w milczeniu duże, okrągłe łzy.

- Ile razy powtarzałam, że na piecu wolno ci jedynie podgrzewać zupę?! Mogłaś puścić cały dom z dymem.

Michelle rozejrzała się po zapuszczonej kuchni i nędznym pokoju, jakby się zastanawiała, czy rzeczywiście byłaby to taka wielka strata.

- Chciało nam się jeść - wybełkotała. - A ciebie nie było całe wieki.

- I to znaczy, że musiałaś się zabrać do smażenia salami, chociaż mama ci tego surowo zabroniła? - huknęła Diane. Dokończyła smażenie kiełbasy i wykladała zarumienione plasterki na talerz. - Teraz musicie być wyjątkowo grzeczne i dobre dla mamy.

- Mama ZAWSZE chce, żebyśmy byli grzeczne - mruknęła Debbie.

Wcisnęła twarz w różową, pluszową pandę, którą Ben wygrał kiedyś na jarmarku w hrabstwie Cloud. Właśnie wszedł w okres dojrzewania i ledwo zaczęły mu się pokazywać drobne mięśnie, a już celnymi strzałami rozbił kilka butelek po mleku, ustawionych w rzędzie. Dziewczynki świętowały jego sukces, jakby bez mała otrzymał Medal Honoru. Bo Dayowie nigdy niczego nie wygrywają. Zawsze to powtarzali ze zdumieniem, ilekroć trafił im się jakiś drobny łut szczęścia. „My nigdy niczego nie wygrywamy!” To było ich rodzinne motto.

- A czy doprawdy tak trudno być grzeczną dziewczynką? - Diane ujęła Debbie pod brodę i mała szybko spuściła powieki, ale już zaczęła się uśmiechać.

- Chyba nie.

Diane oznajmiła, że zacznie dzwonić do znajomych. Chwyciła kuchenny telefon i wyszła do holu, oddalając się na całą długość sznura. Ale przedtem przykazała siostrze, żeby dała wreszcie jeść tym pioruńskim dzieciom i te słowa zirytowały Patty, bo sugerowały, że zaniedbuje dziewczynki i zapomina o ich posiłkach. Owszem, zdarzało jej się ugotować zupę z samego ketchupu i mleka w proszku. Lub opiec kawałki starego chleba, maznać musztardą i nazwać to kanapkami. W najgorsze dni rzeczywiście tak postępowała. Jednak nigdy nie zapominała o nakarmieniu dzieci. Poza tym w szkole córki otrzymywały darmowy lunch, więc przynajmniej tam zawsze zjadały coś ciepłego. Ale ledwo Patty o tym pomyślała, natychmiast poczuła się jeszcze gorzej. Bo w dzieciństwie chodziła do tej samej podstawówki, jednak nigdy, przenigdy nie korzystała z, żadnego programu dożywiania. Serce

jej się ścisnęło, kiedy przypomniała sobie dzieciaki objęte programem darmowych lunchów. Z jaką wyższością na nie spoglądała, gdy pokazywały swoje pomięte karnety, a kucharki wołały na cały głos: Darmowy lunch! W stołówce często siadywał obok Patty pewien bardzo pewny siebie chłopiec i w takich chwilach powtarzał zawsze niedorzecznie: „Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch”. Patty czuła litość wobec tych dzieciaków, ale nie wzbudzały w niej żadnych filantropijnych odruchów. Wręcz przeciwnie, gdyby miała w tej sprawie coś do powiedzenia, nie chciałaby ich więcej oglądać na oczy.

Libby wciąż szlochała w jej ramionach i szyja Patty była spocona od gorącego oddechu dziecka. Musiała prosić córeczkę kilka razy, zanim mała podniosła głowę i spojrzała matce w twarz.

- Jestem oparzonaaaaa - znowu wybuchnęła rozdzierającym płaczem.

- Skarbie mój, to tylko małe auka. Nie zostanie ani śladu, czym ty się tak przejmujesz? To jedynie parę różowych plamek, teraz troszkę szczypią, ale za tydzień już nie będziesz o nich pamiętać.

- Stanie się coś strasznego!

Libby wiecznie się czymś zamartwiała; przyszła na świat pełna lęku i taka już pozostała. Nękały ją senne koszmary i złe przeczucia. Została poczęta przez nieszczęsny przypadek, ta ciąża nigdy nie powinna się zdarzyć, więc ani Patty, ani Runner nie skakali ze szczęścia. Nie chcieli się też z nikim dzielić tą nowiną, nie myśleli nawet o wyprawce dla przyszłego dziecka. Obie rodziny nie ukrywały swojego zdegustowania faktem, że młodzi tak niepohamowanie się rozmnażają i ciąża była dla Patty źródłem ciągłego zażenowania. W efekcie Libby przez dziewięć miesięcy dojrzewania w brzuchu głównie wchłaniała rozliczne niepokoje i troski matki.

Przyuczenie Libby do nocnika było surrealistycznym doświadczeniem: gdy widziała, co z niej wychodzi, wpadała w panikę i naga uciekała z krzykiem. Ilekroć miała zostać w przedszkolu, zachowywała się tak, jakby Patty porzucała ją na zawsze: przyciskała zapłakaną twarz do szyby i wyrywała się z ramion próbującej odciągnąć ją od okna nauczycielki. Minionego lata przez cały tydzień nie chciała jeść, zbladła i wyglądała jak własny cień, aż wreszcie (WRESZCIE!) pokazała Patty kilka kurzajek, które jej wyskoczyły na kolanie. Ze spuszczonej oczami, cedząc słowa, które trzeba było z niej wyciągać przez godzinę, wyjaśniła w końcu, o co chodzi: bała się, że kurzajki są jak trujący tłuszcz, niedługo całą ją pokryją (szloch!) i nikt więcej nie zobaczy jej twarzy. A kiedy Patty zapytała córkę, czemu, czemu na Boga, od razu nie opowiedziała o swoich lękach, Libby spojrzała na nią jak na wariatkę.

Tak czy inaczej, Libby przy każdej nadarzającej się okazji wieszczyla katastrofę. Patty doskonale o tym wiedziała, a jednak tym razem słowa córki sprawiły, że poczuła ostre ściskanie w dołku. Bo coś złego właśnie się wydarzyło, a wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze gorzej.

Usiadła z córeczką na kanapie, gładziła jej włosy, poklepywała po plecach. Debbie i Michelle czaiły się w pobliżu, na wyścigi donosiły chusteczki i okazywały troskę, jaką powinny otoczyć Libby dobrą godzinę temu. Debbie podetknęła pod nos siostrzyczki pandę i wcielając się w rolę pluszaka, zapewniała, że wszystko będzie dobrze, ale Libby odepchnęła od siebie zabawkę i gwałtownie odwróciła głowę. W końcu Michelle zapytała, czy może ugotować dla wszystkich zupę. Przez całą zimę praktycznie nie jadali nic innego, Patty trzymała gigantyczne puszki z zupami w garażowej zamrażarce. Ale i te zapasy zazwyczaj się kończyły na początku lutego. Luty był najtrudniejszym miesiącem w roku.

Michelle obojętnie odsunęła na bok talerz z usmażonymi plastrami salami, wrzuciła do dużego gara blok zamrożonych jarzyn z wołowiną i gdy próbowała rozbić go na mniejsze kawałki, do pokoju weszła Diane ze ściągniętą twarzą. Zapaliła papierosa („wierz mi, teraz tego najbardziej potrzebuję”) i usiadła na sofie - jej pokaźna masa sprawiła, że Patty i Libby wyskoczyły w górę niczym na huśtawce z deski - po czym odesłała dziewczynki do kuchni, do Michelle. Małe wyraźnie wyczuły nerwową atmosferę i tym razem grzecznie, bez protestu wykonały polecenie ciotki.

- No więc ludzie, którzy zapoczątkowali tę aferę, nazywają się Cates. Mieszkają w połowie drogi między Kinnakee a Saliną, ale posyłają córkę do naszej podstawówki, bo szkoła w ich okolicy jest ciągle w budowie. Wszystko ponoć się zaczęło na pozalekcyjnych zajęciach, na które chodziła ta dziewczynka, a Ben pomagał jako wolontariusz. Wiedziałaś, że był wolontariuszem?

Patty pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Wolontariuszem?

Diane wyduła wargi; dla niej też brzmiało to podejrzenie.

- Tak czy inaczej, z jakiegoś powodu zgłosił się na ochotnika do pomocy w zajęciach dzieciaków z podstawówki, i Catesowie utrzymują, że między Benem a ich córką doszło do czegoś bardzo zdrożnego. Ale nie oni jedyni go oskarżają. Podobne zarzuty wysuwają Hinkelowie, Putchowie i Cahillowie.

- Co takiego?!

- Porównują opowieści swoich córek, zawiadomili już władze szkolne. Z tego co zrozumiałam, ktoś złożył również oficjalne zgłoszenie na policji, więc zapewne jeszcze

dzisiaj zjawi się tu jakiś gliniarz i będzie chciał rozmawiać z tobą i Benem. W obecnym stanie rzeczy to nieuniknione. Jeszcze nie wszyscy uczniowie i nauczyciele o tym wiedzą, mamy szczęście, że sprawa wypłynęła podczas ferii, ale po dzisiejszym dniu zapewne sytuacja się zmieni. Władze szkolne przeprowadzają rozmowy z rodzicami wszystkich dzieci, które uczestniczyły w tych pozalekcyjnych zajęciach. To jakieś dziesięć rodzin.

- I co ja mam teraz robić?!

Patty wcisnęła głowę w kolana. Czuła jak wzbiera w niej fala śmiechu, tak absurdalna była ta cała historia. Ciekawe, czy dopadło mnie załamanie nerwowe - pomyślała. Może gdyby je miała, z nikim nie musiałaby rozmawiać. Znalazłaby się w bezpiecznym, białym pokoju, ktoś prowadziłby ją jak dziecko na śniadanie, obiad i kolację, wydawał polecenia łagodnym szeptem, a Patty poruszałyby się powolnie, powłócząc nogami, niczym człowiek w ostatnim stadium śmiertelnej choroby.

- Teraz wszyscy się zebrali u Catesów i omawiają całą sprawę - podjęła Diane. - Mam tutaj ich adres.

Patty spojrzała nieprzytomnie na siostrę, nie wiedząc, do czego właściwie zmierza.

- Uważam, że powinniśmy tam jechać - oświadczyła Diane.

- Jechać? Przecież mówiłaś, że ktoś ma się wkrótce zjawić w naszym domu.

- Przez cały czas telefon dzwonił jak szalony - odezwała się Michelle. Michelle, która od dłuższego czasu siedziała w kuchni i teoretycznie niczego nie powinna słyszeć.

Patty i Diane odwróciły się w stronę aparatu, jakby się spodziewały, że natychmiast odezwie się dzwonek.

- Dlaczego więc nie odbierałaś, jak cię prosiłyśmy? - spytała ostro Diane.

Michelle wzruszyła ramionami.

- Bo zapomniałam, czy mam podnosić słuchawkę, czy nie.

- Może jednak powinniśmy czekać tu, na farmie - zawahała się Patty.

- P., te rodziny siedzą u Catesów i rozmawiają... jasna cholera, rozmawiają o twoim synu. Trudno stwierdzić, czy w tych opowieściach jest choćby ziarnko prawdy, ale jakkolwiek by było, nie sądzisz, że powinnaś się wstawić za Benem? Nie chcesz wiedzieć, co ci ludzie wygadują, nie chcesz ich zmusić, by spojrzeli ci prosto w oczy?

Nie. Patty wcale tego nie chciała. Teraz pragnęła jedynie, żeby cicho i niepostrzeżenie cofnął się czas, a cała ta historia zapadła się z powrotem w niebyt. Nie miała też ochoty wysłuchiwać, co jej miasteczko - Chryste, przecież z Maggie Hinkel chodziły do jednej klasy w liceum - sądzi o jej synu. Bała się, że gdy ujrzy te wszystkie wykrzywione furią twarze, całkiem się załamie. Wybuchnie płaczem i zacznie błagać o przebaczenie. Już w tej chwili

pragnęła jedynie przebaczenia, chociaż jeszcze nie usłyszała od nikogo złego słowa.

- Poczekaj chwilę, muszę włożyć jakieś porządniejsze ciuchy.

*

Znalazła sweter bez dziur pod pachami i parę czystych spodni khaki. Uczesała włosy i zmieniła złote kolczyki na te z fałszywymi perłami, tworzącymi komplet z koralikami, które włożyła na szyję. Na oko trudno było stwierdzić, że to imitacja. Miały nawet odpowiednią wagę.

Ruszyła z Diane w stronę drzwi, przypominając o regułach korzystania z pieca, nakazując natychmiastowe wyłączenie telewizora i zabranie się do porządków w domu - gdy nagle Libby znowu wybuchnęła głośnym płaczem i puściła się ku nim biegiem, wymachując rękami. Michelle skrzyżowała ramiona na piersi i wojowniczo tupnęła nogą.

- Nie dam sobie z nią rady, kiedy jest w takim stanie - oznajmiła tonem, jaki zazwyczaj przybierała w trudnych sytuacjach Patty. - To ponad moje siły.

Patty wzięła głęboki oddech, zastanawiając się, czy powinna negocjować z Michelle, czy po prostu ją zastraszyć, ale Libby zanosila się coraz głośniejszym płaczem przechodzącym powoli w zwierzęcy skowyt: chcę jechać z wami, chcę jechać z wami, chcę jechać z wami. Michelle znacząco uniosła brew, a Patty wyobraziła sobie, że podczas jej nieobecności zjawia się tutaj jakiś gliniarz i pierwsze co widzi, to dziecko z poparzoną twarzą, leżące na podłodze i zanoszące się rozdzierającym szlochem. Czy powinna wobec tego zabrać ze sobą wszystkie trzy dziewczynki? Ale przecież ktoś powinien tu zostać, odbierać telefon, poza tym chyba lepiej, żeby Michelle i Debby siedziały na farmie niż...

- Libby, idź wciągnąć botki - zarządziła Diane. - Michelle, dom zostaje na twojej głowie. Masz podnosić słuchawkę i nie zbliżać się do drzwi. Ben otworzy sobie własnym kluczem, a jeżeli przyszedłby ktoś obcy, nie chcemy, żeby was w cokolwiek wciągał. Czy to jasne, Michelle?

- Ale o co właściwie chodzi?

- Michelle, ja nie żartuję. Zrozumiano?

- Okej.

- No to okej - zakończyła stanowczo Diane.

Patty, bezużyteczna, stała w holu i patrzyła, jak Libby wkłada buty i poplamione błotem rękawice z jednym palcem. Potem chwyciła za wełnistą rączkę i poprowadziła córkę do samochodu. Może nie będzie tak źle, gdy przypomni ludziom, że Ben ma małe siostry, które bardzo go kochają.

Libby nie należała do szczebiotek - to Michelle i Debbie nieustannie mieliły językami,

jakby zawłaszczyły dla siebie większość istniejących słów. Natomiast Libby ograniczała się do suchych stwierdzeń: lubię koniki; nie znoszę spaghetti; nienawidzę cię. Podobnie jak jej matka nie miała pokerowej twarzy. Nie umiała skrywać emocji. Wszystko natychmiast było po niej widać. Kiedy się złościła lub smuciła, zazwyczaj zamykała się w sobie. Teraz, przypięta pasami do tylnego siedzenia, odwróciła w stronę okna buzię poznaczoną czerwonymi plamami i w milczeniu wodziła palcem po szybie.

Patty i Diane również się nie odzywały, radio pozostało wyłączone. Patty próbowała sobie wyobrazić przebieg czekającej je wizyty (wizyty? czy coś równie odpychającego można w ogóle nazwać wizytą?), ale przed oczami stawał jej tylko jeden obraz - podchodzi do tych wszystkich ludzi i krzyczy na całe gardło: „Odczepcie się od mojego syna!”. Nigdy nie przyjaźniła się z Maggie Hinkel, ale ilekroć spotykały się w sklepie, zawsze zamieniały ze sobą kilka słów. Puchów znała z kościoła, i wiedziała, że to dość życzliwi ludzie, którzy nie powinni zachować się wobec niej agresywnie. Natomiast nic nie wiedziała na temat rodziców Krissi Cates, tej dziewczynki, która pierwsza podniosła alarm. Podejrzewała, że Catesowie są oboje jasnymi blondynami i pochodzą z dobrych, zamożnych rodzin. W ich domu wszystko do wszystkiego pasuje i lśni czystością, a wokół unosi się zapach potpourri. Zastanawiała się, czy pani Cates natychmiast zauważy, że jej perełki są sztuczne.

Diane wskazała, gdzie należy zjechać z autostrady, a potem skierowała Patty w okolicę, nad którą górował wielki niebieski napis głoszący: Osiedle Elkwood Park. Na razie były to jedynie długie rzędy drewnianych szkieletów przyszłych domów, przez które można było patrzeć na przestrzał. Na drugim piętrze jednego ze szkieletów siedziała nastolatka i paliła papierosa. Wyglądała jak Wonder Woman w niewidzialnym samolocie. Kiedy strząsnęła popiół, poleciał w dół i wylądował w miejscu, które miało stać się jadalnią.

Widok tych ledwie zarysowanych domów wywołał w Patty niepokój. Były czymś niby dobrze znajomym, a jednocześnie całkiem obcym, jak banalne słowo, używane na co dzień, którego nagle człowiek nie może sobie przypomnieć za żadne skarby, nawet gdyby od tego miało zależeć jego życie.

- Ładnie tu, co? - Diane wskazała palcem na okolicę.

Skreśliły jeszcze w dwie przecznice i w końcu znalazły się w kwartale schludnych domów, tym razem dokładnie wykończonych i całkiem prawdziwych. Przed jednym z nich stało wiele samochodów.

- Niezła impreza. - Diane pociągnęła mocno nosem, po czym odkręciła szybę i splunęła za okno.

W aucie przez dłuższą chwilę panowała idealna cisza, o ile nie liczyć charkotów

Diane.

- Solidarność grupowa - powiedziała w końcu. - Nie przejmuj się, najgorsze co mogą zrobić, to na nas nawrzeszczyć.

- Może w takim razie powinnaś zostać z Libby w samochodzie - zawahała się Patty. - Nie chcę, żeby ktoś się wydzierał w jej obecności.

- E, tam. Nikt nie zostanie w samochodzie. Damy radę. Prawda, Libby? Jesteś dzielną dziewczynką, co nie? - Diane, szeleszcząc kurtką, odwróciła swoje potężne ciało w stronę siostrzenicy, a potem znowu spojrzała na siostrę. - Dobrze, jeżeli ją zobaczą i uświadomią sobie, że chłopak ma małą siostrę, która bardzo go kocha.

W tym momencie Patty poczuła przypływ pewności siebie, ponieważ niedawno pomyślała dokładnie to samo.

Diane wyskoczyła z samochodu i otworzyła szeroko tylne drzwi, żeby wyciągnąć Libby. Chwilę później we trzy ruszyły chodnikiem i Patty nagle ogarnęły mdłości. Jej wrzody od pewnego czasu nie dawały o sobie znać, ale teraz odezwało się ostre pieczenie w dołku. Zorientowała się, że silnie zaciska szczęki, rozluźniła więc mięśnie twarzy, poruszyła żuchwą. Doszły do drzwi - siostry stały obok siebie, a Libby trzymała się za plecami matki i raz po raz oglądała się przez ramię. Gdyby ktoś przejeżdżał teraz ulicą, uznalby je za gości zaproszonych na przyjęcie - pomyślała Patty. Na drzwiach wciąż wisiał bożonarodzeniowy wieniec i w związku z tym uderzyła ją kolejna myśl. Oni mieli z pewnością piękne, udane Świąta, a teraz są przepelnieni strachem i gniewem, i zapewne powtarzają w duchu: „a mieliśmy takie cudowne Świąta”. Dom wyglądał jak żywcem wyjęty z katalogu, na podjeździe stały dwa BMW - tutaj mieszkali ludzie, których nigdy w życiu nie spotyka nic złego.

- Nie chcę tam wchodzić, uważam, że to błąd - wykrztusiła nerwowo Patty.

Diane nacisnęła na dzwonek i posłała siostrze spojrzenie ich ojca, spokojne, nieruchome, jakim obrzucał mazgajów. A potem wypowiedziała słowa, które w ich rodzinie zawsze towarzyszyły temu spojrzeniu:

- To nic wielkiego, trzeba się jedynie przełamać.

Drzwi otworzyła pani Cates, blondynka o urodzie typowej dla Krainy Prerii. Miała oczy zaczerwienione od płaczu, a w ręku wciąż trzymała chusteczkę.

- Słucham?

- Ja... Czy pani... jest matką Krissi? - spytała Patty i sama zaczęła płakać.

- Owszem. - Przebierając palcami po perłach na szyi, kobieta przenosiła wzrok z Patty na Diane i z Diane na Libby. - Och, czy pani córeczka... czy on ją też skrzywdził?

- Nie. Jestem matką Bena. Matką Bena Daya.

Patty otarła łzy wierzchem dłoni, potem rękawem swetra.

- O, Boże, Boże, wielki Boże. Louuuuu! Lou, chodź tu natychmiast!

Drżący głos pani Cates przybrał na sile, przywodził na myśl podchodzący do lądowania samolot. Z salonu wychyliło się kilka zupełnie nieznanych Patty twarzy. Z kuchni wyszedł mężczyzna, niosący tacę z napojami chłodzącymi. Ładna jasnowłosa dziewczynka w dżinsach w kwiatki stanęła w holu.

- Kto to? - zapytała.

- Idź po ojca. - Pani Cates zastawiła sobą drzwi, niemal fizycznie odpychając Patty i Diane od progu. - Louuuu! - wykrzyknęła ponownie.

Za jej plecami pojawił się potężny mężczyzna, co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, trzymający wysoko podbródek w sposób charakterystyczny dla ludzi, którzy zawsze dostają to, czego chcą.

- To ona, matka Bena Daya - powiedziała kobieta z taką odrazą, że Patty poczuła nagły skurcz macicy.

- Proszę wejść - zarządził mężczyzna. A kiedy Diane i Patty spojrzały pytająco po sobie, dorzucił zniecierpliwiony: - No, już, już - jakby miał do czynienia z niesfornymi czworonogami.

Zostały wprowadzone do wnętrza domu i ujrzały scenę niczym żywcem wyjętą z urodzinowego kinderbalu. Cztery dziewczynki, w różnym stopniu zaangażowane w zabawę, miały na twarzach i rękach srebrne gwiazdki przypominające nalepki, jakimi nauczyciele zaznaczali pochwały w zeszytach uczniów. Trzy z nich przycupnęły obok rodziców i zachłannie pochłaniały tort, natomiast mamy i ojcowie silili się na dzielne miny, chociaż z ich oczu wyzierał strach. Krissi Cates, usadowiona pośrodku pokoju, bawiła się lalkami z roslym, ciemnowłosym mężczyzną, który siedział naprzeciwko niej po turecku. Lalki były brzydkie, gąbczaste, Patty widziała podobne w telewizji. To na nich dzieci miały demonstrować, w jaki sposób były molestowane. Krissi rozebrała obie lalki do naga, a następnie położyła „chłopca” na „dziewczyńce”. Zaczęła zderzać ich ze sobą, wyrzucając przy tym z siebie potok nonsensownych słów. Mała brunetka przyglądała się temu spektaklowi z maminych kolan i wyjadała lukier spod paznokci. Była zdecydowanie za duża, żeby siadać matce na kolanach.

- Właśnie tak - oznajmiła Krissi, po czym, wyraźnie znudzona i rozzłoszczona, odrzuciła lalki na bok.

Młody mężczyzna - terapeuta, pracownik socjalny, w każdym razie ktoś, kto skończył college, ubierał się w szetlandzkie swetry i spodnie w kratkę - podniósł jedną z lalek i

próbował ponownie przyciągnąć uwagę dziewczynki.

- Krissi, może teraz... - zagał i chwycił „chłopca” za nogę, a potem położył go sobie na kolanie i penis lalki zwisnął ku podłodze.

- Kto to? - przerwała mu Krissi i wskazała palcem na Patty.

Patty przeszła przez pokój, nie zwracając uwagi na zgromadzonych tu rodziców, którzy zaczęli się podnosić z miejsc, kołysać na boki, jak silnie szarpnięte druty.

- Krissi? - odezwała się łagodnym tonem i przykucnęła przed dziewczyną. - Mam na imię Patty i jestem mamą Bena Daya.

Krissi wytrzeszczyła oczy, usta jej zadrżały, i zaczęła nerwowo cofać się rakiem. Przez chwilę panowała idealna cisza, jakby taśma filmowa zacięła się na kadrze ukazującym Patty i dziewczynkę wpatrujące się w siebie nawzajem. A potem Krissi odchyliła głowę do tyłu i wrzasnęła na całe gardło:

- Nie chcę jej tutaj! - Krzyk odbił się echem od świetlika. - Nie chcę jej tutaj! Obiecaliście! Obiecaliście, że nie będę musiała tego robić!

Rzuciła się na podłogę i zaczęła wyrwać sobie włosy z głowy. Natychmiast podbiegła do niej mała brunetka i objęła ją ramionami, zawodząc:

- Boję się! Boję!

Patty wstała i obróciła się dookoła. Ujrzała przerażone, wykrzywione odrazą twarze rodziców i Diane, zaganiającą za siebie Libby, kierującą ją ku drzwiom.

- Słyszeliśmy o tobie to i owo - rzuciła gniewnie matka Krissi i wskazała za siebie, na Maggie Hinkel, która zaczerwieniła się jak burak. - Masz czwórkę dzieci, chociaż tak naprawdę nie byłabyś w stanie wyżywić dobrze jednego. Ich ojciec jest pijakiem. Utrzymujecie się z pomocy społecznej. A ty zostawiasz swoje małe córeczki z tym... z tym szakalem. Chryste, pozwalasz synowi wyczyniać takie ohydne rzeczy. Aż strach pomyśleć, co się dzieje w waszym domu!

W tym momencie poderwała się na równe nogi córka Putchów, wrzasnęła ogłuszająco, a z jej oczu trysnęły łzy i potoczyły się po policzkach, wymijając błyszczące gwiazdki. Dołączyła do dwóch koleżanek stojących pośrodku pokoju, uspokajanych przez młodego mężczyznę.

- Nie chcę ich w naszym domu! - wykrzyknęła znowu Krissi.

- Patty, gdzie jest Ben? - zapytała Maggie Hinkel. Jej córka, dziewczynka o trójkątnej twarzy, siedziała obok nieruchomo i nie okazywała żadnych emocji. - Naprawdę powinien porozmawiać z policją. Mam nadzieję, że go nie ukrywasz.

- Ja?! Od dłuższego czasu usiłuję go znaleźć! Próbuję wyjaśnić całą tę sytuację.

Proszę...

Proszę pomóżcie, proszę wybaczyć, proszę przestańcie krzyczeć.

Córka Maggie Hinkel, wciąż cicha i spokojna, pociągnęła matkę za rękaw.

- Mamusiu, chodźmy stąd.

Pozostałe dziewczyny cały czas zawodziły, co rusz zerkając na siebie spod oka. Patty spojrziała na Krissi, a potem na terapeutę, wciąż trzymającego na kolanach lalkę, która miała przedstawiać Bena. Poczula ostre ściskanie w żołądku, do gardła napłynął jej kwas.

- Macie wyjść z naszego domu - rzuciła ostro pani Cates, chwytając córkę na ręce jak malucha.

Nogi dziewczyny zadyndały tuż nad ziemią, a matka aż się zatoczyła pod jej ciężarem.

Młody terapeuta podniósł się z podłogi i stanął pomiędzy Patty a matką Krissi. Już wyciągał dłoń w stronę Patty, ale w ostatniej chwili położył ją na ramieniu pani Cates. Od strony drzwi Diane przywoływała siostrę, musiała zwracać się do niej po imieniu, bo inaczej Patty by nie wiedziała, że musi się ruszyć. Czekalaby, aż ci ludzie rzucą się na nią hurmą, wydrapią jej oczy.

- Przepraszam, bardzo mi przykro - wykrzyknęła rozgorączkowana i na wpół przytomna. - To jakieś straszne nieporozumienie. Naprawdę mi przykro.

Nagle Lou Cates szarpnął ją za ramię i poprowadził w stronę drzwi, jakby jej wcześniej tutaj nie zaprosił. Cały dom tętnił szlochami dziewczynek. Wszędzie wokół stali dorośli, ojcowie i matki, strzegący swoich dzieci. I nagle Patty uświadomiła sobie własną straszliwą głupotę. Wprost niewybaczalną. Za jej plecami zatroskani rodzice przemawiali do córek pieścizotliwymi głosami:

- Grzeczna dziewczynka... ona już sobie idzie... wszystko będzie dobrze... nic ci nie grozi... już nie płacz, skarbie.

Tuż przedtem, nim Lou wypchnął ją z pokoju, Patty zerknęła jeszcze na Krissi Cates, którą matka wciąż dźwigała na rękach. Długie włosy przesłaniały dziewczynce jedno oko, ale drugim spojrziała na Patty i rzuciła śmiało:

- Ben pójdzie do piekła.

Libby Day

Współcześnie

Tak więc zostałam wynajęta, żeby odnaleźć Runnera, a tymczasem moja gorączkowa energia, popychająca mnie w minionym tygodniu do działania, opadła gwałtownie i teraz poniewierała się po podłodze obok łóżka niczym brudna koszula nocna. Nie byłam w stanie się podnieść nawet wtedy, gdy usłyszałam maluchy drepczące gęsiego obok mojego domu. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak ich wielkie, kolorowe kalosze zostawiają okrągłe odciski w marcowym błocie, ale i tak nie dałam rady wstać.

Tej nocy miałam koszmarne sen - sen z rodzaju tych, o których mawiamy, że przecież nic nie znaczą i są tylko absurdalnym majakiem, a i tak nas przerażają. Najpierw zobaczyłam naszą farmę; właściwie nie naszą, bo była zbyt kolorowa i zbyt schludna, ale we śnie wierzyłam, że to mój rodzinny dom. W oddali, na tle pomarańczowego nieba, ukazał się Runner na koniu, pędzący w moją stronę, pohukujący niczym kowboj z Dzikiego Zachodu. Kiedy się zbliżył - zjechał z naszego wzgórza i przekroczył bramę - zobaczyłam, że galopuje w dziwnych podrygach, ponieważ jego koń jest na kołach. Na górze był zwierzęciem z krwi i kości, ale dół był metalową konstrukcją, przypominającą stelaż szpitalnego łóżka. Koń zarżał w panice, wyciągnął muskularną szyję i próbował się oderwać od metalowej ramy. Runner zeskoczył, a dziwny stwór potoczył się dalej. Miał jedno poluzowane koło, niczym irytujący wózek sklepowy. Zatrzymał się w pobliżu pniaka, a ślepia łysnęły mu dziko, gdy ponownie zaczął się zmagać ze stelażem.

- Nie zawracaj sobie nim głowy - Runner spojrzał na konia i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jest mój, zapłaciłem za niego.

- To zrobiłeś fatalny interes - odparłam.

Runner zacisnął zęby, podskoczył wojowniczo w moją stronę i jak zwykle znalazł się za blisko.

- Twoja mama uważa, że nie najgorszy - mruknął.

Moja mama! Cudownie! A więc ona żyje! Jaką idiotką byłam przez te wszystkie lata, skoro uwierzyłam, że zginęła.

- Teraz przede wszystkim powinnaś zreperować sobie dłoń - Runner wskazał na kikut mojego serdecznego palca. - Przywiozłem coś dla ciebie. Mam nadzieję, że ten prezent spodoba ci się bardziej od mojego konia.

Wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał cienki, welwetowy woreczek, taki, w jakim się przechowuje kostki Scrabble, i potrząsnął nim przed moim nosem.

- Ależ twój koń bardzo mi się podoba - zapewniłam, siląc się na uprzejmość.

Tymczasem zwierzak zdołał oderwać zad od metalowej ramy i teraz ociekał oleistą krwią.

Ze swojego woreczka Runner wytrząsnął kilka różnych palców. Ale ile razy chwyciłam taki, który wydawał się identyczny z moim utraconym, okazywało się, że jest niewłaściwego koloru albo kształtu czy też że należał do mężczyzny.

Runner skrzywił się gniewnie.

- No wybierz wreszcie któryś, dobra? To ostatecznie nic wielkiego.

Wybrałam jeden w przybliżeniu podobny do mojego dawnego i Runner zaczął mi go przyszywać do dłoni przy akompaniamencie końskiego rżenia, które coraz bardziej się upodobniało do kobiecych wrzasków przerażenia. Runner rzucił w zwierzę szpadlem, rozplątał je na dwoje, i teraz na ziemi leżało pulsujące cielsko, niezdolne do jakiegokolwiek ruchu.

- Proszę! - Runner cmoknął z zadowolenia. - Ręka jak nowa.

Pomiędzy moimi dwoma dziewczęcymi palcami tkwił pękaty paluch od nogi, przymocowany grubymi, byle jakimi szwami, natomiast u boku Runnera pojawiła się niespodziewanie jego dziewczyna, Peggy, i powiedziała:

- Złotko, nie pamiętasz już, że jej mama nie żyje? Przecież razem ją zamordowaliśmy.

Wówczas Runner uderzył się otwartą dłonią w czoło, jak facet, który zapomniał kupić mleko.

- No jasne. Jasne. Rzeczywiście załatwiłem je wszystkie. Wszystkie poza Libby. Staliśmy we trójkę i mierzyliśmy się wzrokiem, a powietrze stawało się coraz bardziej gęste i duszne. W końcu Runner się odwrócił, podszedł do konia i uniósł szpadel, który nagle zamienił się w siekiere.

Przebudziłam się tak gwałtownie, że niechcący strąciłam lampę nocną na podłogę. Patrzyłam, jak leży na boku i zastanawiałam się leniwie, czy żarówka wypali dziurę w wykładzinie. Nadszedł ranek, a z nim nowy dzień, tymczasem ja nie miałam siły się ruszyć.

W pokoju Bena paliło się światło - to była pierwsza logiczna myśl, jaka mnie uderzyła po przebudzeniu. W jego pokoju paliło się światło i ktoś tam prowadził przyciszoną rozmowę. Bardzo chciałam o tym nie pamiętać, ale wspomnienie zawsze powracało. Dlaczego oszalały morderca miałby wchodzić do pokoju mojego brata, zamykać za sobą drzwi, włączać lampę i prowadzić z kimś drobną pogawędkę?

U Bena paliło się światło! I póki tego nie wyjaśnię, mogę zapomnieć o ogarniętym żądzą zemsty Lou Catesie, o zadłużonym po uszy stukniętym Runnerze czy bandzie oprychów, którzy postanowili dać Runnerowi nauczkę i dlatego wymordowali prawie całą jego rodzinę. Nie ma też sensu odtwarzać w głowie niskiego, męskiego pohukiwania z tamtej nocy, które - okej, nie zamierzam się upierać - rzeczywiście nie musiało być głosem Bena. Jedno natomiast nie ulegało najmniejszej wątpliwości: mojego brata nie było w domu, kiedy kładłyśmy się spać, a jak się obudziłam w środku nocy, w jego pokoju paliło się światło. Pamiętam, bo ogarnęło mnie wtedy poczucie ulgi, że między moją mamą a Benem doszło do zawieszenia broni, przynajmniej na tę noc, inaczej mój brat by nie wrócił i nie prowadził z nikim rozmowy. Niewykluczone, że gadał przez ten swój telefon, a może mówił sam do siebie - tak czy owak paliło się światło.

I kim była Diondra?

W końcu odrzuciłam kołdrę i uderzył mnie zapach nieświeżej pościeli. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ją zmieniałam. I właściwie jak często powinno się zmieniać prześcieradła? Właśnie tego typu wiedzy nie zdołałam wynieść z domu, nigdy się tego nie nauczyłam. Zmieniałam pościel, ilekroć uprawiałam seks, ale robiłam to zaledwie od kilku lat, jak obejrzałam pewien film w telewizji, stary thriller z Glenn Close, na którym z kimś się rznąła, a zaraz potem wymieniła prześcieradła. Nic innego nie pamiętam z tego filmu, bo niemal przez cały czas myślałam: O! a więc po seksie ludzie zakładają świeże poszwy. To naturalnie ma sens, ale sama nigdy na to bym nie wpadła. Zostałam wychowana w prymitywnych warunkach i taka w wielu kwestiach pozostałam.

Zwlokłam się z wyra, odstawiłam lampę na stolik i, zataczając się, ruszyłam do dużego pokoju.

Niby od niechcienia podeszłam do automatycznej sekretarki: udawałam, że w zasadzie wcale mnie nie obchodzi, czy ktoś zostawił jakąś wiadomość. Jeszcze brakowało tylko tego, bym gwizdała nonszalancko pod nosem, jakbym się wybierała na przechadzkę dla przyjemności. Diane nie oddzwoniła. Minęły już cztery dni, a ona się nie odezwała.

Okej, nie będę sobie zawracać nią głowy. Ostatecznie Diane nie jest jedynym członkiem mojej rodziny.

*

Tym razem Ben już na mnie czekał, znalazł się w polu mojego widzenia, zanim byłam na to gotowa. Siedział sztywno za szybą i patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Manekin w więziennym kombinezonie. Chciałam powiedzieć, żeby więcej tak mnie nie zaskakiwał, ponieważ to przyprawia mnie o dreszcze, ale w końcu nic nie powiedziałam, bo przecież nie

powinnam dostawać dreszczy na jego widok, skoro wierzyłam, że jest niewinny.

Problem w tym, że tak do końca wcale w to nie wierzyłam.

Zajęłam miejsce na krześle, lekko zawilgoconym przez kogoś, kto siedział na nim przede mną. Ciepło plastiku w tym miejscu wydało mi się nieprzyzwoicie intymne. Kręciłam się nieznacznie na wszystkie strony, żeby oswoić to siedzisko, uczynić swoim, i jednocześnie próbowałam ukryć ogarniającą mnie odrazę. Ale gdy chwyciłam za słuchawkę, wciąż lepka od cudzego potu, musiałam zrobić dziwną minę, bo Ben spojrzał na mnie ze ściągniętymi brwiami.

- W porządku? - spytał.

Skinęłam głową. Jasne, w jak najlepszym.

- A więc wróciłaś.

Przywołał na usta uśmiech - czujny, nieśmiały, bardzo dla niego charakterystyczny. Na rodzinnych imprezach z okazji zakończenia roku szkolnego wyglądał tak samo: chłopiec wiodący życie w bibliotece, który musi być cichy jak mysz pod miotłą, bo inaczej może zostać zganiony.

- Wróciłam.

Miał miłą twarz, nie piękną, ale bardzo sympatyczną. Twarz dobrego człowieka. Kiedy spostrzegł, że taksuję go spojrzeniem, spuścił wzrok na swoje ręce. Były teraz naprawdę duże, niepasujące do jego drobnej sylwetki; ręce pianisty, tyle że mój brat nigdy w życiu nie grał na pianinie. I były także poznaczone bliznami: nic strasznego, głównie ślady po zadrapaniach i drobnych zacięciach. Tylko na jednym palcu rana musiała być swego czasu bardzo głęboka i bolesna.

- Wypadek podczas gry w polo - Ben wskazał na palec.

Uśmiechnęłam się, bo widziałam, że pożałował swojego żartu.

- Ech, wiesz skąd naprawdę mam tę bliznę? To pamiątka po Żółtym 5, pamiętasz tego wrednego skurczybyka?

Chociaż prowadziliśmy hodowlę bydła na bardzo małą skalę, nie nadawaliśmy naszym zwierzętom imion, bo uważaliśmy to za bezcelowe. Nawet w dzieciństwie nie chciałam się przywiązywać do jakiegoś Hanka, Bossy'ego czy Sweet Belle, bo wiedziałam, że jak trochę podrosną, pojedą do rzeźni. Szesnaście miesięcy, zadźwięczało mi w głowie. Ale gdy byczki kończyły już rok, zaczynaliśmy obchodzić je szerokim kołem, obrzucać spod oka spojrzeniami, w których odraza mieszała się z. zażenowaniem. Tak można by patrzeć na kogoś, kto głośno pierdnął na uroczystym przyjęciu. Dlatego też po urodzeniu przydzielaliśmy cielętom określony kolor i numer, odpowiadający kolejnemu ocieleniu się

danej krowy. Zielony 1, Czerwony 3, Niebieski 2 wypadały z macic matek na klepisko obory i, wierzgając, od razu próbowały stanąć na nogi, wywalczyć dla siebie przestrzeń. Ludziom się wydaje, że bydłęta to łagodne i niemrawe stworzenia. Ale nikt, kto widział cielaki, nie palnąłby takiej głupoty: są ciekawskie jak kocięta, rozbrykane i skore do psot, dlatego ani ja, ani moje siostry nigdy nie mogłyśmy wchodzić do ich zagrody. Pamiętam natomiast ubranego w kalosze Bena, który powolnymi, rozważnymi ruchami astronauty podkradał się do cielaka, ale równie dobrze mógłby łapać ryby gołymi rękami, bo w ostatniej chwili zwierzak się wymykał. Pamiętam też Żółtego 5, słynnego byczka, który nie chciał dać się wykastrować. Ben i mama dzień po dniu próbowali go złapać, żeby podciąć mu mosznę i wyłuskać jądra, ale Żółtemu 5 za każdym razem udawało się ich przechytrzyć. Pierwszego wieczoru wszyscy buńczucznie żartowaliśmy, przemawialiśmy do leżących na talerzach steków i udawaliśmy, że to niesforny byk: jeszcze pożałujesz, Żółty 5. Drugiego wieczoru niepowodzenie skwitowaliśmy smutnymi uśmiechami, a piątego - wokół stołu zapanowała grobowa cisza, bo Ben i mama jasno sobie uświadomili własną niemoc: byli fizycznie słabi, powolni, drobni i przegrani.

Nigdy w życiu nie wróciłabym myślami do Żółtego 5, gdyby Ben mi o nim nie przypomniał. Muszę chyba poprosić brata, żeby sporządził dla mnie listę wydarzeń, które powinnam pamiętać, wspomnieć, których samodzielnie nie byłam w stanie wyłuskać z zakamarków swojego umysłu.

- Co się stało? Użarł cię?

- Nieeee, nie było aż tak dramatycznie. Kiedy wydawało mi się, że już go złapałem, pchnął mnie na ogrodzenie, natarł całą masą i ręką trafiłem prosto na wystający gwóźdź. Mama z pięć razy mnie prosiła, żebym zrobił coś z tym gwoździem, więc w gruncie rzeczy sam byłem sobie winien.

Zastanawiałam się gorączkowo, co powiedzieć - wygłosić jakąś błyskotliwą uwagę, okazać współczucie - wciąż nie wiedziałam, jakich reakcji oczekuje mój brat. Jednak zanim się zdecydowałam, Ben dorzucił:

- Chociaż nie, pieprzyć to, tak naprawdę winę ponosi Żółty 5. - Błysnął zębami w uśmiechu, ale niemal natychmiast znowu skulił ramiona. - Pamiętam, jak Debbie opatrywała mi tę ranę. Zakleiła ją plastrem, a na wierzch dołożyła jedną z tych swoich błyszczących nalepek, jakieś serduszko czy coś w tym stylu.

- Uwielbiała nalepki - przyznałam. - W każdym razie wszędzie je naklejała.

Odetchnęłam głęboko. Postanowiłam przejść do jakiegoś innego, zupełnie neutralnego tematu, zagadnąć na przykład o pogodę, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie.

- Ben? Czy mogę cię o coś spytać?

Zwężył oczy, przybrał obronną postawę, znowu był typowym osadzonym - facetem, który musi pokornie wszystko znosić, wysłuchiwać pytania za pytaniem i spotykać się z lekceważeniem lub arogancją, kiedy sam chce się czegoś dowiedzieć. Nagle dotarło do mnie, jakim szczytem dekadencji jest możliwość odmowy odpowiedzi na pytanie. „Nie, nic z tego, nie chcę o tym gadać”. Najgorsze, co w takiej sytuacji mogłoby spotkać wolnego człowieka, to oskarżenie o brak manier.

- Pamiętasz tamtą noc?

Spojrzał na mnie jak na wariatkę. Oczywiście, że pamiętał.

- Ja wiem, że byłam przerażona... wiele rzeczy mi się miesza i nigdy nie zdołam odtworzyć dokładnego przebiegu wydarzeń...

Pochylił się gwałtownie nad słuchawką, jakby odebrał w środku nocy telefon zawiadamiający o jakiejś tragedii.

- Ale jedną rzecz pamiętam bardzo wyraźnie... w twoim pokoju paliło się światło. Widziałam je przez szparę. A zza drzwi dochodziły odgłosy rozmowy...

Urwała. Miałam nadzieję, że Ben pospieszy mi z pomocą. Że mnie uratuje. Leciłam w dół - miałam wrażenie, że gwałtownie pośliznęłam się na lodzie, ale jeszcze zdążyłam pomyśleć: „Rety, zaraz upadnę”.

- A to nowość - odezwał się w końcu mój brat.

- Co takiego?

- Padło nowe pytanie. Nie sądziłem, że w związku z tą sprawą jeszcze kiedykolwiek usłyszę coś, czego do tej pory nie słyszałem. Gratuluję.

Nagle zauważyłam, że oboje siedzimy w identycznej pozie, opierając dłoń o krawędź blatu, jakbyśmy chcieli się poderwać od stołu, bo nie zasmakował nam posiłek. Poza Runnera - przybrał identyczną, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, sześć albo siedem lat temu. Oczywiście, chciał wydebić ode mnie kasę; najpierw był słodki i żartobliwie zalotny („może wspomogłabyś swojego staruszka, Libby, skarbie, wyciągnęła z tarapatów”), mimo to odmówiłam bez wahania, rzuciłam ostre „nie” - szokujące i upokarzające. „A niby czemu nie?” - warknął wówczas wojowniczo, wyprostował się gwałtownie i oparł dłonie o krawędź stołu, podczas gdy ja się zastanawiałam, czemu w ogóle pozwoliłam mu usiąść, i kalkulowałam, ile czasu będę musiała zmarnować, zanim zdołam wywalić go z domu.

- Wymknąłem się w środku nocy - podjął Ben. - Wróciłem późno i znowu pokłóciłem się z mamą.

- O Krissi Cates?

Wyraźnie go zaskoczyłam, jednak poszedł za ciosem.

- Owszem. Ale mama mi uwierzyła, zdecydowanie stanęła po mojej stronie, to właśnie było w mamie wyjątkowe, nawet kiedy się na ciebie wściekała jak cholera, nigdy nie odwróciła się przeciwko któremuś ze swoich dzieci. To się wiedziało. Czuło w kościach. Mama mi uwierzyła. Ale była wkurzona i najzwyczajniej w świecie przerażona. Przez jakieś szesnaście godzin nie mogła się ze mną skontaktować, a ja nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wtedy nie istniały jeszcze telefony komórkowe, zdarzało się, że ludzie przez cały dzień nie mogli zamienić ze sobą słowa. Słyszałem, że dzisiaj jest już zupełnie inaczej.

- Tak, ale...

- No więc wdaliśmy się w kolejną awanturę, teraz już nawet nie pamiętam, czy chodziło znowu o Krissi, czy tylko od niej się zaczęło, a skończyło na czymś zupełnie innym. Tak czy owak, mama założyła mi szlaban i kazała iść do swojego pokoju. Owszem, poszedłem, ale po godzinie miałem już wszystkiego dość, cały się gotowałem. Dałem więc nogę, ale przedtem włączyłem radio i zapaliłem światło. Wiedziałem, że jak mama wyjdzie na korytarz, pomyśli, że wciąż siedzę w domu. Na pewno pamiętasz, jak to z nią było. Kiedy już raz zasnęła, kompletnie odpływała, więc z pewnością nie zajrzałyby do mnie, żeby sprawdzić, co robię.

W ustach Bena te trzydzieści kilka kroków, które musiałaby pokonać, brzmiało jak straszna wyprawa, ale mój brat miał rację, gdy nasza mama zasypiała, to już kamiennym snem. Praktycznie w ogóle się nie poruszała. Pamiętam, jak czuwałam nad nią przerażona, że umarła, wytrzeszczałam oczy, aż zachodziły mi łzami, bo chciałam sprawdzić, czy oddycha, niekiedy nawet próbowałam wydobyć z niej jakiś jęk czy westchnienie. Dźgałam ją palcem, ale bezwładnie powracała do tej samej pozycji.

Każdemu z nas zdarzyło się też natknąć na nią w nocy w łazience, jak siedziała na klozecie z koszulą pomiędzy kolanami i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Kiedy próbowaliśmy ją zagadnąć, mamrotała jedynie: „Nie mam pojęcia, co z tym sorgo” lub „Czy przysłali już nasiona?”, a potem szurając nogami, mijała nas obojętnie i wracała do swojego pokoju.

- Opowiedziałeś o tym policji?

- Ach, Libby, daj spokój. Co by to niby mogło zmienić? Już wiedzieli o jednej kłótni, miałem im jeszcze powiedzieć o drugiej? Kompletnie bez sensu. Wyszedłem na godzinę i tyle. W sensie dowodowym niczego to nie wносиło.

Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem.

- Kim jest Diondra? - spytałam w końcu.

Widziałam, że zeszytywniał jeszcze bardziej. Widziałam, że zaczął intensywnie myśleć. Może ta historia o wymknięciu się w środku nocy była prawdziwa, może nie, ale teraz bez wątplenia zamierzał skłamać. Imię Diondra go zelektryzowało. Przechylił nieznacznie głowę w geście, który zazwyczaj wyrażał: „hmm, kto by pomyślał, że o to zapytasz”, ale natychmiast nad sobą zapanował.

- Diondra? - Wyraźnie grał na czas, chciał wy badać, co dokładnie udało mi się odkryć. Przybrałam beznamiętny wyraz twarzy. - Hm, to jedna z dziewczyn, które chodziły do mojej szkoły. Skąd ty w ogóle ją wytrzasnąłeś?

- Znalazłam liścik, który do ciebie napisała. Z treści wynika, że była kimś więcej niż tylko szkolną koleżanką.

- Ech, przede wszystkim była kompletnie stuknięta, to akurat pamiętam bardzo dobrze. Często wypisywała różne głupoty, by ludzie myśleli, że jest bardziej szalona i niezależna niż w rzeczywistości.

- Do tej pory sądziłam, że nie chodziłeś z żadną dziewczyną.

- Bo nie chodziłem. Chryste, Libby, jakim cudem doszłaś od liściku do chodzenia?

- Wskazuje na to jego treść.

Spięłam się w sobie, wiedziałam, że czeka mnie rozczarowanie.

- Nie wiem, co ci na to odpowiedzieć. Chciałbym nazwać Diondrę swoją dziewczyną, ale ona była całkowicie poza moim zasięgiem. To zupełnie inna liga. Poza tym w ogóle nie pamiętam, żebym kiedykolwiek dostał od niej jakiś list. Jesteś pewna, że był adresowany do mnie? I właściwie skąd wzięłaś coś podobnego?

- Nieważne, Oderwałam słuchawkę od ucha, aby wiedział, że zamierzam wyjść.

- Libby, daj spokój, poczekaj.

- Nie. Jeżeli zamierzasz mnie zwodzić... nie widzę sensu kontynuowania tej rozmowy.

- Libby, zaczekaj, do cholery. Przykro mi, ale nie jestem w stanie udzielić ci odpowiedzi, jakiej najwyraźniej oczekujesz.

- Chcę tylko poznać prawdę.

- A ja nie zamierzam jej przed tobą ukrywać. Problem w tym, że w gruncie rzeczy ty chciałybyś usłyszeć jakąś melodramatyczną historię, która nigdy się nie wydarzyła. Chryste, Libby, jak ty niczego nie pojmujesz. Oto po wielu latach przychodzi do mnie siostra i nagle myślę sobie, może w końcu spotka mnie coś dobrego. Do diabła, dwadzieścia cztery lata temu bez wątplenia mi nie pomogła, ale co tam, było minęło, więc jak ją widzę, nie posiadam się ze szczęścia. Siedzę w tej pieprzonej klatce niczym zaszczute zwierzę, czekam na ciebie zdenerwowany jak przed pierwszą randką, ale mam nadzieję, że wszystko ułoży się jak

najlepiej. Może w moim życiu wreszcie pojawi się na stałe jedna osoba z rodziny i nie będę już tak straszliwie samotny. Wiem, że rozmawiałaś z Magdą, wierz mi, usłyszałem dokładne sprawozdanie z tego spotkania, i owszem, odwiedza mnie tu wiele osób, okazuje troskę, ale one znają mnie jedynie jako niesłusznie skazanego faceta... a ja marzę o tym, żeby mieć kontakt z siostrą, która zna mnie z innego życia, pamięta naszą rodzinę, wie, że byliśmy zwyczajnymi, normalnymi ludźmi. Chcę się z nią pośmiać, wspominając cholerne krowy. To wszystko, czego oczekuję na tym etapie. Proszę tylko o taki drobiazg. Bardzo chciałbym ci powiedzieć coś takiego, co by sprawiło, że... nie zaczęłabyś mnie znowu nienawidzić. - Opuścił wzrok, wpatrzył się w odbicie własnego torsu w szybie. - Ale nie potrafię.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 17:58

Diondra miała już widoczny brzuch, to Bena trochę przerażało, a na dodatek od kilku tygodni w kółko opowiadała, że dziecko zaczęło się poruszać. To był ponoć okropnie ważny moment i Ben musiał raz po raz kłaść rękę na brzuchu Diondry, żeby poczuć, jak dzidzius kopie. W zasadzie był dumny, że to on zrobił Diondrze dziecko i jest autorem tego brzucha, ale nie lubił go dotykać ani na niego patrzeć. Ciało było tutaj niemiłe w dotyku, twarde, ale jednocześnie galaretowato gruzłowate jak zepsuta szynka. Poza tym to dotykanie go żenowało. Diondra już od tygodni łapała jego rękę i przyciskała do wybruszenia, a potem pilnie się wpatrywała w Bena, wyczekując jakiejś reakcji. Kiedy stwierdzał, że niczego nie wyczuwa, darła się niczym opętana. Prawdę mówiąc z początku sądził, że ta cała sprawa z ciążą to jeden z wygłupów Diondry, obliczony na to, że Ben zrobi z siebie durnia; siedział z ręką na jej wzdętym brzuchu i zastanawiał się, czy to, co przelewa się w środku jest dzieckiem, czy raczej objawem niestrawności. I wciąż się martwił. Martwił się, że jak niczego nie wyczuje - a przez pierwsze tygodnie po tym, jak Diondra oznajmiła, że dzidzius kopie, naprawdę ani razu tego nie poczuł - ona znowu zacznie wrzeszczeć: „Przecież to tak, jakby armata wystrzeliła mi w macicy, to niemożliwe, żebyś czegoś podobnego nie mógł wyczuć!”. I martwił się też, że jeżeli w końcu powie, iż wyczuwa ruchy dziecka, Diondra zabije go śmiechem; zanosząc się jazgotliwym chichotem, zwinie się w pół, jakby ktoś ją postrzelił, a jej sztywne loki zaczną się trząść na wszystkie strony, niczym drzewo szarpane lodową burzą, bo oczywiście, wcale nie była w ciąży, tylko tak sobie z nim pogrywała, i jedynie ostatni idiota mógłby się na coś podobnego nabrać.

Nawet sekretnie poszukiwał dowodów na to, że go oszukuje - zakrwawionych maksipodpasek, jakich używała mama. Przed wrzuceniem do kosza zawsze je rolowała, ale one i tak po kilku godzinach się rozprostowywały. Poza tym Ben nie wiedział, jakie inne ślady mogłyby mu coś zdradzić, nie wiedział też, jak zapytać, czy to aby na pewno jego dziecko. Z drugiej strony Diondra zachowywała się tak, jakby nie miała co do tego wątpliwości, więc realnie patrząc na sprawę, niczego więcej nie mógł oczekiwać.

Tak czy owak, od miesiąca nie ulegało już wątpliwości, że Diondra jest w ciąży, przynajmniej gdy widziało się ją nago. Wciąż chodziła do szkoły - wkładała te swoje olbrzymie swetry i nie dopinała dzinsów. Brzuch jednak robił się coraz większy, a Diondra

coraz częściej chwyciła go w rękę i pocierała, jakby był kryształową kulą, mogącą ukazać ich pieprzoną przyszłość. Aż pewnego dnia tradycyjnie chwyciła rękę Bena i wówczas poczuł, że to coś kopie i nagle zobaczył, jak mała stopka szybko i gładko przesuwa się pod skórą Diondry.

Natychmiast cofnął rękę, a wówczas Diondra znowu się wściekła. „Co ci, do cholery, odwała? Przecież na farmie wciąż oglądasz cielące się krowy. Ostatecznie to tylko dziecko!” Znowu złapała jego dłoń i przycisnęła do tej wijącej się w środku rzeczy, a Ben pomyślał, że cielak jednak znacznie się różni od dziecka, a potem zaczął wykrzykiwać w duchu „puść moją rękę, puść moją rękę, puść moją rękę!”, jakby to coś w brzuchu Diondry mogło wyskoczyć i niczym w makabrycznym horrorze wciągnąć go do wnętrza. Bo ten stwór w brzuchu wciąż był dla niego rzeczą, a nie ludzką istotą.

Może poczułby się lepiej, gdyby częściej ze sobą rozmawiali. A tymczasem po tym, jak Diondra oznajmiła, że pierwszy raz poczuła ruchy dziecka, nie odzywała się do niego słowem przez kilka dni z rzędu. W końcu się okazało, że z tej okazji powinien dać jej jakiś prezent - ponoć wszystkie ciężarne kobiety otrzymywały prezenty, gdy poczuły pierwsze kopnięcie - dowiedział się też, że rodzice obdarowali Diondrę złotą bransoletką, gdy dostała pierwszą miesiączkę, bo tak właśnie należało się zachowywać wobec kobiet. Ponieważ Ben nie dał jej prezentu, powiedziała, że w zamian będzie musiał dziesięć razy ją wylizać. Prawdopodobnie dlatego to wybrała, bo dobrze wiedziała, że on nie lubi tego robić. Od samego zapachu robiło mu się niedobrze, szczególnie teraz. Diondra też w gruncie rzeczy nie przepadała za takim seksem, stąd Ben uważał, że to miała być dla niego kara. Diondra darła się, że ma w innym miejscu położyć palec i nacisnąć mocniej, przesunąć wyżej językiem, wyżej, wyżej, aż w końcu westchnęła ciężko, chwyciła go za uszy i przycisnęła jego głowę tam, gdzie należało. A on pomyślał - pieprzona suka! - i gdy było po wszystkim, długo ocierał usta. jeszcze osiem razy, ty pieprzona zdziro, zakonotował w duchu, natomiast na głos zapytał: „Chcesz wody, kochanie?”. A ona mu na to: „Ja nie, ale tobie z pewnością woda nie zaszkodzi, bo śmierdzisz cipą”. I wybuchnęła śmiechem.

Kobiety przy nadziei miały zmienne nastroje. Ben dobrze o tym wiedział. Ale poza tym Diondra wcale się na zachowywała jak ciężarna. Wciąż piła i paliła, czego za względu na dziecko nie powinna robić, ale ona stwierdziła, że tylko baby z chorą obsesją na punkcie zdrowia odmawiają sobie takich przyjemności. Natomiast jednego Diondra nie robiła z pewnością - niczego nie planowała. Nawet nie próbowała omówić z Benem, co właściwie zrobią, jak już się urodzi ich dziecko - ich córka. Diondra co prawda ani razu nie poszła do lekarza, ale była pewna, że urodzi dziewczynkę, bo przy dziewczynkach ma się silniejsze

torsje, a ona przez, pierwszy miesiąc ciągle rzygała. Niemniej tylko do tego sprowadzały się jej uwagi na temat realiów - po prostu pewnego dnia wyda na świat dziewczynkę, i już. Z początku Ben się zastanawiał, czy Diondra nie zechce poddać się aborcji. Powiedział kiedyś „jeżeli urodzisz to dziecko” zamiast „kiedy je urodzisz” i wówczas kompletnie jej odbiło, po prostu oszalała, a szalejąca Diondra to zjawisko, którego nigdy nie chciałoby się oglądać drugi raz na oczy. Przypominało najgorszy kataklizm - rozdzierający płacz, okładanie pięściami, drapanie paznokciami i ogłuszające wrzaski. Ben dowiedział się wtedy, że to najgorsza rzecz, jaką usłyszała w życiu, że przecież dziecko jest krwią z jego krwi i kością z jego kości - „i co właściwie cię porąbało, beznadziejny dupku?!”.

Ale poza tym niczego nie planowali, niczego nie mogli planować, bo ojciec Diondry by ją zabił, jeżeliby się dowiedział, że córka jest w ciąży. Zabiłby ją jak psa, gdyby tylko się okazało, że straciła dziewictwo. Bo jej rodzice wymagali, żeby przestrzegała tylko jednej, jedynej zasady - nigdy, przenigdy nie pozwoliła się dotknąć jakimkolwiek chłopakowi przed ślubem. Kiedy skończyła szesnaście lat, ojciec podarował jej pierścień czystości - złoty, z dużym czerwonym kamieniem - i Diondra nosiła go na tym samym palcu, na którym zwyczajowo nosi się obrączkę. Było to równoznaczne ze złożeniem przysięgi, że do dnia ślubu pozostanie dziewicą. Cała ta historia zniesmaczyła Bena, bo czy coś podobnego nie wyglądało przypadkiem na zaślubiny z własnym ojcem? Diondra stwierdziła jednak, że to po prostu element kontroli. Zachowanie niewinności było jedyną rzeczą, jakiej wymagał od niej tato, więc niech, do cholery, przypadkiem o tym nie zapomni. Według Diondry ojciec miał dzięki temu lepsze samopoczucie, gdy na całe miesiące zostawiał ją samą, bez żadnego nadzoru. Jego idea rodzicielstwa przedstawiała się następująco: moja córka może chlać i ćpać, ale pozostaje dziewicą, dlatego wcale nie jestem tak popieprzony, jakby się wydawało.

Opowiedziała to wszystko Benowi ze łzami w oczach, kiedy była kompletnie zalana. Ponoć ojciec jej powiedział, że jeżeli złamie daną mu obietnicę, wyprowadzi ją za dom i strzeli jej w łeb. Tato Diondry walczył w Wietnamie, więc traktowała jego groźby bardzo poważnie. Dlatego też bała się snuć jakiegokolwiek plany. Ben natomiast sporządzał listy rzeczy, których najprawdopodobniej wkrótce będą potrzebować i w okolicach Bożego Narodzenia nawet kupił trochę używanych dziecięcych ubrań na pchlim targu w Delphos. Bardzo się jednak wstydził, więc za osiem dolców wziął od pewnej kobiety całą stertę szmatek, jak leci. Okazało się, że to przede wszystkim bielizna i to dla dzieci w różnym wieku, a głównie falbaniaste majtki. Uznał jednak, że nic się nie stało, bo przecież maluchy też potrzebują bielizny. Trzymał to wszystko pod łóżkiem i bardzo się cieszył, że wcześniej założył na drzwi kłódkę, bo gdyby do tych ciuchów dorwały się jego siostry, porozkładałyby

wszystko, co mogłyby na siebie wcisnąć.

Faktem jest, że nie rozmyślał o dziecku i przyszłości tak często, jak powinien, ale Diondra poświęcała na to jeszcze mniej czasu.

*

- Uważam, że powinniśmy wynieść się z tego miasta - oznajmiła teraz niespodziewanie.

Włosy wciąż zasłaniały jej pół twarzy a Ben nadal trzymał dłoń na jej brzuchu, w którym dziecko przemieszczało się na wszystkie strony, jakby pracowicie drążyło tunele.

Diondra nieznacznie odwróciła się w stronę Bena i jeden lok leniwie osunął się na jego ramię.

- Już nie dam rady dłużej ukrywać ciąży. A rodzice lada dzień przyjadą do domu. Jesteś pewien, że Michelle nic nie wie o dziecku?

Ben zachował liścik, w którym Diondra pisała, jak bardzo go pragnie i jak niesamowicie jest napalona „nawet teraz”, a cholerna, wścibska Michelle ukradkiem przeszukała kieszenie jego kurtki i znalazła ten nieszczęsny list. Mała, wredna suka! Oczywiście, natychmiast posunęła się do szantażu - albo dostanie dziesięć dolarów, albo o wszystkim powie mamie. Ben na swoje nieszczęście wspomniał o tym Diondrze, a ona wówczas dostała szału.

- Twoja pieprzona siostra może w każdej chwili zdradzić naszą tajemnicę, a ty się zachowujesz, jakby nic się nie stało?! Musisz to załatwić, Ben, bo to ty, kurwa, nawaliłeś na całej linii!

Diondra wpadła w paranoję: była przekonana, że na podstawie dwóch słów „nawet teraz”, Michelle się zorientuje, że chodzi o ciążę, i wszystko się wyda przez „jebaną dziesięciolatkę, no po prostu cudnie”.

- Jestem pewien. Od tamtej pory ani razu nie wspominała o tym liściku.

Oczywiście skłamał. Nie dalej jak wczoraj Michelle spojrzała na niego wyzywająco, zakołysała biodrami i powiedziała prowokacyjnym tonem:

- Ej, Beeeennn, jak tam twoje życie seksuuualneeee?

Była paskudnym bachorem. Już wcześniej nieraz go szantażowała - a to wyniuchała, że nie wykonał tego, co powinien, a to że wyjadł coś z lodówki. Do tej pory zawsze chodziło o drobiazgi, nieistotne duperele, przez które jednak wciąż przypominała Benowi, jak beznadziejne jest jego życie.

A wszystkie pieniądze z szantażu wydawała na pączki z dżemem.

W sąsiednim pokoju Trey charknął głośno, a potem splunął. Ben wyobraził sobie, jak

żółta plwocina spływa po tarasowej szybie, a psy się rzucają i ją zlizują. Trey i Diondra często się tak zabawiali. Charkali i pluli, często w powietrze, tylko po to, żeby pitbulle skakały w górę i chwytaly gęstą ślinę w żarłoczne pyski. (To tylko płyn z jednego ciała przechodzący do drugiego - mawiała Diondra. Ty też przed chwilą wstrzyknąłeś do mojego ciała swój płyn i jakoś ci to nie przeszkadzało).

Trey podkreślił telewizor, najwyraźniej już mu się nudziło - „hej, kończcie, bo nie mam co robić!” - a tymczasem Ben się zastanawiał, co mógłby jeszcze powiedzieć. Czasami uświadamiał sobie, że nigdy nie prowadzą z Diondrą normalnej rozmowy, jedynie toczą jakieś przepychanki słowne, przy czym on zazwyczaj mówi to, co według niego Diondra chciałaby usłyszeć, ponieważ woli jej nie rozsierdzać. Ale jednocześnie był przekonany, że ją kocha, kocha prawdziwie, no i ostatecznie wszyscy mężczyźni zachowywali się tak wobec własnych kobiet - mówili coś dla świętego spokoju, byle one się wreszcie zamknęły. To przez niego Diondra jest teraz w ciąży, stał się więc poniekąd jej własnością i powinien robić wszystko, żeby ją zadowolić.

Teraz przede wszystkim będzie musiał rzucić szkołę i poszukać pracy w pełnym wymiarze godzin, co w zasadzie całkiem mu odpowiadało. Znał chłopaka, który zrobił tak w zeszłym roku i teraz pracował w wielkiej fabryce w Abilene za dwanaście tysięcy dolarów rocznie. Ben nawet nie mógł sobie wyobrazić, jakie cuda można kupić za taką masę forsy. Tak więc po prostu oleje szkołę, zresztą nadszedł chyba na to dobry moment, wzięwszy pod uwagę te plotki, które Diondra usłyszała na temat Krissi Cates.

W pierwszej chwili Ben trochę się przeraził, że ktoś rozpowszechnia tak idiotyczne pogłoski, ale jednocześnie ogarnęła go duma. Krissi była jeszcze dzieckiem, ale wyjątkowo rezolutnym i uroczym. Nawet niektórzy ludzie z liceum ją kojarzyli, starsze dziewczyny okazywały jej zainteresowanie, bo była ładna i dobrze wychowana, więc to całkiem miło, że akurat taka dziewczynka się w nim podkochiwała. Poza tym Ben uznał, że w swojej relacji Diondra z pewnością przesadziła. Nie da się ukryć, że miała w sobie coś z histeryczki.

- Halo? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Powiedziałam, że powinniśmy się wynieść z tego miasta.

- To się wynieśmy.

Chciał ją pocałować, ale go gwałtownie odepchnęła.

- Doprawdy uważasz, że to takie proste?! Dokąd niby pojedziemy i jak zamierzasz nas utrzymać? Bo ja już nie będę dostawała kieszonkowego. Będziesz musiał iść do pracy.

- Więc pójdę. Sądzisz, że mógłbym się zaczepić w Wichita u twojego kuzyna, wujka, czy kim on tam dla ciebie jest?

Spojrzała na niego jak na wariata.

- Myślę o tym, który ma sklep sportowy - naciskał.

- Nie ma mowy, żebyś tam pracował, jesteś na to za młody. Nawet jeszcze nie możesz prowadzić samochodu. Prawdę mówiąc, jak na razie chyba nigdzie nie zdołałbyś się legalnie zatrudnić bez pisemnej zgody twojej mamy. Przypomnij mi, kiedy kończysz szesnaście lat?

- Trzynastego lipca - odparł i ogarnęło go takie uczucie, jakby właśnie wyznał, że w nocy nadal moczy łóżko.

Diondra znowu wybuchnęła płaczem.

- O Boże, Boże, Boże, i co my teraz zrobimy?

- Twój kuzyn z Wichita nam nie pomoże?

- Mój WUJ natychmiast powie o wszystkim rodzicom. W jaki niby sposób mogłoby nam to pomóc?

Wstała z łóżka i zaczęła nago kręcić się po pokoju. Jej brzuch sterczał niebezpiecznie i Ben czuł pokusę, żeby go podeprzeć jakimś patykiem, a jednocześnie się zastanawiał, jak bardzo jeszcze Diondra się rozrośnie. Wciąż naga przeszła przez hol do łazienki, zupełnie się nie przejmując, że może zobaczyć ją Trey, o ile nadal siedział na kanapie. Chwilę później rozległ się odgłos lecącej z prysznicy wody. A więc rozmowa dobiegła końca. Ben wytarł się zawilgłym ręcznikiem, który znalazł przy koszu na brudy, a potem znowu się wcisnął w swoje skórzane spodnie i włożył pasiasty T-shirt, po czym przysiadł na skraju łóżka i próbował zgadnąć, jaki idiotyczny tekst wygłosi Trey, kiedy w końcu do niego dołączy.

Kilka minut później Diondra wpadła z powrotem do sypialni, z mokrymi włosami, owinięta w czerwony ręcznik. Nawet nie spojrzała na Bena, tylko usiadła przed toaletką. Trysnęła hojnie pianką na dłoń, a potem systematycznie zaczęła wciskać ją we włosy, kierując suszarkę na każde namaszczone pasmo.

Nie wiedział, czy powinien wyjść, czy zostać, i w rezultacie nie ruszył się z miejsca. Starał się pochwycić spojrzenie Diondry, ale ona była teraz całkowicie pochłonięta pokrywaniem twarzy ciemnym podkładem. Niektóre dziewczyny mówiły o niej „tapeciara”, ale Benowi podobał się końcowy efekt - cera wydawała się opalona i gładka - i zupełnie mu nie przeszkadzało, że szyja Diondry była o wiele jaśniejsza, bo całość przypominała waniliowy krem obłany karmelem. Następnie Diondra nałożyła na rzęsy trzy warstwy tuszu; podobno zawsze musiały być trzy - jedna dla przyciemnienia, druga dla pogrubienia, a trzecia dla dramatycznego efektu. Potem zajęła się ustami: znowu podkład, na to szminka, a na szminkę błyszczak. W końcu Diondra zauważyła, że Ben jej się przygląda i przestała nakładać na usta karminowy barwnik.

- Musisz pójść do Runnera po pieniądze - zdecydowała, patrząc na niego w lustrze.

- Do mojego ojca?!

- Jasne. Przecież ma forsy od metra, no nie? Trey zawsze kupuje od niego zioło.

Zrzuciła z siebie ręcznik i podeszła do szuflady, w której trzymała bieliznę, busz barwnej satyny i koronek, po czym grzebała w niej tak długo, aż znalazła majtki i stanik w kolorze gorącego rózu, ozdobione czarnymi koronkami, podobne do tych, jakie na westernach nosiły dziewczyny kręcące się w saloonach.

- Jesteś pewna, że mówimy o tym samym facecie? - zapytał. - Bo mój ojciec jest kimś w rodzaju złotej rączki. Ima się różnych fizycznych robót, głównie na okolicznych farmach.

Diondra z politowaniem przewróciła oczami, zmagając się jednocześnie ze stanikiem; jej cycki wylewały się z miseczek, brzegi ostro wbijały się w ciało. W końcu jednym szarpnięciem zdjęła z siebie biustonosz i cisnęła go na drugi koniec pokoju. „Kurwa, potrzebuję jakiegoś stanika, który będzie na mnie pasował!” Spiorunowała Bena rozwścieczonym wzrokiem, a w tym samym czasie majtki zaczęły zsuwać się z jej dużego brzucha i wpijać między pośladki. Diondra już się nie mieściła w swoją seksowną bieliznę. Ben pomyślał w pierwszej chwili - ale się roztyła, lecz zaraz się poprawił - jest w ciąży.

- Jaja sobie robisz? Naprawdę nie wiesz, że twój ojciec dealuje? W zeszłym tygodniu razem z Treyem wzięliśmy od niego towar.

Ze złością ściągnęła również majtki i rzuciła w kąt, a potem włożyła zwykły, brzydki biustonosz i nowe dzinsy, krzywiąc się na widok swojego odbicia w lustrze.

Ben jeszcze nigdy nie kupował drugów. Dużo palił z Treyem i Diondrą, czy też w Bazie, gdy ktoś go poczęstował jointem, a czasami dorzucał parę dolców do puli na zakup zioła. Ale do tej pory zawsze mu się wydawało, że dealerzy mają gładko zaczesane na żel włosy i są obwieszeni biżuterią, a w każdym razie w niczym nie przypominają jego ojca, chodzącego w starej przepoconej baseballówce, kowbojkach na wysokich obcasach i wymiętych, byle jakich koszulach, jego ojciec dealerem? To niedorzeczne. Przede wszystkim dealerzy zawsze mają kupę szmalu, więc Runner odpadał z definicji. Ale nawet gdyby dealował i był bogaty, nigdy nie dałby Benowi ani centa. Co najwyżej zamachałby dwudziestodolarówką przed nosem, a potem uniósł ją w górę, poza zasięg rąk Bena, wybuchnął śmiechem i schował pieniądze z powrotem do kieszeni. Runner nigdy w życiu nie posiadał portfela, zawsze nosił pomięte banknoty w przedniej kieszeni dzinsów. Czy już to samo nie świadczyło o tym, że był biedakiem?

- Trey! - wykrzyknęła Diondra w głąb holu i włożyła nowy sweter, którego wzór przywodził na myśl jakiś niezwykle eksperyment geometryczny. Zerwała ze swetra metki,

rzuciła na podłogę, a potem wypadła z pokoju. Ben został sam i wpatrywał się tępo w rockowe plakaty i tablice astrologiczne (Diondra była spod znaku Skorpiona i bardzo poważnie traktowała horoskopy), w magiczne kryształy i książki o numerologii. Lustro toaletki było obwieszane starymi, zasuszonymi kotylionami kwiatowymi z balów, na które nie chodziła z Benem. Niemal wszystkie te kotyliony Diondra dostała od maturzysty z Hiawathy, faceta imieniem Gary, którego nawet Trey uważał za ostatniego dupka. Bo Trey, naturalnie, znał Gary'ego.

Zwędłe kwiaty na lustrze wzbudzały w Benie niepokój - przez te swoje wygięcia i różowofioletową barwę wyglądały jak wewnętrzne organy jakiegoś stworzenia. Przypominały mu o śmierdzących kawałkach mięsa, które teraz leżały w jego szkolnej szafce. Zostawiła je tam Diondra („mam dla ciebie niespodziankę!”), były to żeńskie organy rozrodcze psa lub może kota, Diondra nie chciała powiedzieć, skąd je wzięła. Dawała do zrozumienia, że to pozostałości po jakiejś krwawej ofierze, którą składała razem z Treyem, Ben natomiast uznał, że to odpady po eksperymencie z lekcji biologii. Diondra lubiła go szokować. Kiedy cała jej klasa przeprowadzała sekcję prosięcia, przyniosła mu malutki, zwinięty w spiralkę ogonek i uważała, że to szalenie zabawne. Tymczasem Ben miał na ten temat zupełnie odmienne zdanie, uważał, że to po prostu odrażające.

W końcu podniósł się z łóżka i przeszedł do pokoju muzycznego.

- Ty nieszczęsny palancie - odezwał się Trey, nie odrywając oczu od lecącego w telewizji wideoklipu. Leżał rozwalony na kanapie i zapalał jointa. - Nic nie wiedziałeś o interesach ojca? Kurwa, chłopie!

Nagi brzuch Treya był niemal wklęsły, ale doskonale umięśniony, opalony, wprost idealny. Istne przeciwieństwo miękkiego, białego brzucha Bena. Trey najwyraźniej nie miał ochoty się ubierać; tę koszulę, którą dostał do Diondry, zwinął w kulę i wetknął sobie pod głowę.

- Łap, złamasie - podał Benowi skręta i Ben zaciągnął się mocno, głęboko, aż kompletnie odrętwiał mu mózg. - Hej, Benji, wiesz, ile noworodków potrzeba do wymalowania domu?

Anihilacja.

Znowu wróciło do niego to słowo. Ben ponownie ujrzał barbarzyńskie hordy tym razem wpadające do środka przez wielki kamienny kominek i jednym uderzeniem topora pozbawiające Treya głowy w chwili, gdy opowiada któryś z tych swoich porąbanych dowcipów o martwych noworodkach. Czerep spada na dywan, toczy się po psich gównach i zatrzymuje na czarnym buciku Diondry, tym z dużą klamrą. A potem także Diondra ponosi

śmierć. Pieprzyć ich oboje. Ben zaciągnął się raz jeszcze, poczuł jak dym znów uderza mu do głowy, po czym oddał jointa Treyowi.

- Zależy od tego, jak mocno będziesz walił nimi o ścianę - roześmiał się Trey. - A wiesz dlaczego do blendera wkłada się noworodka, zaczynając od nóg?

- Ja nie żartuję, Trey - Diondra podjęła jakąś rozmowę, w którą Ben nie został wtajemniczony. - On naprawdę nie wierzy, że jego ojciec dealuje.

- Zęby można było popatrzeć na jego reakcję - spointował swój dowcip Trey i wreszcie odwrócił się w stronę Bena. - No więc, chłopie, właśnie w tej chwili palisz towar swojego starego. Jest gówniany, ale daje porządnego kopa. Teraz już pojmujesz, skąd wiemy, że twój ojciec ma forszę? Bezczelnie zawyża cenę, ale w tej chwili nikt oprócz niego nie ma towaru. Powiedział, że przywiózł zioło z Teksasu. Był ostatnio w Teksasie?

Ben nie widział Runnera od czasu, gdy Patty wykopała go z domu. Niewykluczone, że potem pojechał do Teksasu. Ostatecznie drogę tam i z powrotem można było przebyć w jeden dzień, jeżeli się dobrze cisnęło pedał gazu. Więc teoretycznie czemu nie?

- Chociaż za tego jointa nie dostał złamanego centa - mruknął Trey. - Facet wisi mi kupę szmalu, jak niemal wszyscy w tym miasteczku. Kochają zakłady, stawiają, na co się da, ale do płacenia długów to im się nie pali.

- Hej, a dlaczego ja nie dostałam nawet macha? - nadała się Diondra.

Odwróciła się tyłem i zaczęła buszować po szafkach. Tu w piwnicy była nawet minikuchnia, oddzielne pomieszczenie, w którym Diondra mogła trzymać swoje gówniane fast foody. W końcu sięgnęła do lodówki i wyjęła sobie piwo, nie pytając Bena, czy też by się czegoś nie napił.

- Rzucisz mi browar, Diondra? - warknął gniewnie.

Przekrzywiła wojowniczo głowę, ale podała mu puszkę, którą wyciągnęła dla siebie, a potem sięgnęła po następną.

- W takim razie jedźmy poszukać Runnera, weźmy od niego trochę zioła i pieniądze - zaproponowała, przysiadając na fotelu obok Bena. - A potem możemy się już zmywać z tej dziury.

Ben spojrzał w intensywnie niebieskie oko swojej dziewczyny - Diondra zawsze patrzyła na niego z ukosa, więc nigdy nie widział obu jej oczu naraz - i po raz pierwszy ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Przecież póki nie skończy szesnastu lat, nawet nie może rzucić szkoły bez zgody mamy. Nie mówiąc już o zatrudnieniu w fabryce pustaków, czy innym miejscu, gdzie mógłby zarobić tyle, by Diondra go nie znenawidziła.

Teraz nie mógł nawet marzyć o małym mieszkanku w Wichita. Był skazany na ponure

fabryki przy granicy z Oklahoma, gdzie pracowało się za grosze przez szesnaście godzin dziennie, łącznie z weekendami. W tym czasie Diondra będzie siedzieć z dzieckiem w jakiejś klitce i przeklinać swoje życie. Nie miała za grosz instynktu macierzyńskiego, więc nawet się nie obudzi, gdy dzieciak się rozplacze, będzie zapominała o karmieniu i wkrótce zacznie wychodzić na drinka z przygodnie spotkanymi facetami, bo ona wszędzie poznawała jakichś facetów - w centrum handlowym, na stacji benzynowej, w kinie. A dziecko zostanie bez opieki. Ben już słyszał, jak Diondra mówi: „Co mogłoby mu się stać, przecież to niemowlak, nigdzie nie pójdzie”. I co on wówczas zrobi, ubogi idiota, który nie potrafi utrzymać swojej rodziny na sensownym poziomie?

- W porządku, jedźmy - zgodził się ochoczo, bo doszedł do wniosku, że ledwo stąd wyjdą, zapomną o Runnerze i jego domniemanych pieniądzach. On sam już prawie zapomniał, w głowie mu się mąciło, mózg miał jak z waty. Teraz najbardziej chciał wrócić do domu.

Trey natychmiast poderwał się z kanapy i zadzwonił kluczykami samochodu.

- Ja wiem, gdzie go szukać.

I ni stąd, ni zowąd, znaleźli się na mrozie, brnęli przez śnieg i lód, a Diondra krzyczała, że musi chwycić Bena pod rękę, aby się przypadkiem nie przewrócić. Benowi natychmiast przemknęło przez głowę, a co jeżeliby się przewróciła? Jeżeliby upadła, straciła dziecko i umarła? Ben podsłuchiwał, jak dziewczyny w szkole opowiadały, że wystarczy jeść jedną cytrynę dziennie, a wywoła się poronienie, i nawet zaczął się zastanawiać, czy nie dolewać soku z cytryny do dietetycznej coli Diondry. W końcu jednak doszedł do wniosku, że nie powinien robić takich rzeczy za jej plecami. Ale gdyby po prostu się przewróciła... Niestety, tak się nie stało i po chwili już siedzieli w pikapie Treya, a w twarz dmuchało im gorące powietrze. Ben jak zwykle musiał się wcisnąć do tyłu, chociaż praktycznie nie było tam miejsca dla pasażera, więc kolanami niemal dotykał uszu. A potem zobaczył obok siebie na siedzeniu pokurczony kawałek smażonego mięsa i szybko wsunął go do ust. I zamiast nerwowo sprawdzić, czy przypadkiem ktoś tego nie zauważył, zaczął się rozglądać za kolejnymi resztkami jedzenia, co oznaczało, że jest bardzo naćpany i niesamowicie głodny.

Libby Day

Współcześnie

Kiedy jeszcze byłam w podstawówce, terapeuci uznali, że moja agresja powinna znaleźć ujście w konstruktywnym działaniu i zalecili wycinanki ze szmatek. Diane zaczęła kupować całe bele tanich materiałów, a ja je ciachałam starymi, stalowymi nożycami, powtarzając przy każdym ruchu: nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę. Tkanina chrzęściła, jak ją rozcinałam, a potem przychodził ten cudowny moment, gdy kciuk mi omdlewał, plecy bolały od nachylania się nad stołem - ciach, ciach, ciach... i kawałek materiału stawał się dwoma kawałkami, niczym rozsunięta kurtyna. Ale - co dalej?

Teraz czułam się tak samo. Rozpruwałam coś usilnie, dopełniałam dzieła, a i tak znów samotnie siedziałam w małym domu, bez pracy, bez rodziny; trzymałam w rękach dwa kawałki tkaniny i nie miałam pojęcia, co z nimi zrobić.

Ben kłamał. To nie ulegało wątpliwości, chociaż bardzo bym chciała, żeby było inaczej. Dlaczego jednak kłamał na temat jakiejś głupiej dziewczyny z czasów szkolnych? Niespokojne myśli tłukły mi się po głowie, niczym ptaki, które przypadkiem wpadły na poddasze i teraz nie mogły się wydostać.

W gruncie rzeczy istniał cień możliwości, że Ben mówił prawdę. Może liścik od Diondry rzeczywiście nie był do niego. Do diabła, przecież niewykluczone, że Michelle wyciągnęła tę kartkę z kosza, gdzie wrzucił ją jakiś chłopak z maturalnej klasy, i zachowała jako potencjalny materiał do drobnego szantażu.

Jednak równie dobrze Ben mógł znać Diondrę, kochać ją, ale utrzymywać tę znajomość w sekrecie, ponieważ Diondra od dawna nie żyła.

Zabił ją tej samej nocy, co naszą rodzinę, złożył w satanistycznej ofierze i pochował gdzieś na bezkresnej równinie Kansas.

Znowu powrócił do mnie ten Ben, którego się bałam. Wyobraziłam sobie ognisko, bourbona chlupoczącego w butelce, Diondrę ze zdjęcia w albumie, która zamyka oczy i wybucha głośnym śmiechem - jej spiralne loki wesoło podrygują - lub śpiewa, jej twarz nabiera pomarańczowego odcienia w świetle ogniska, a Ben stoi tuż za nią, powoli unosi szpadel, wpatruje się w czubek jej głowy...

Gdzie się podziały inne nastolatki z sekty czcicieli diabła? Co się stało z bladymi kretynami o uczernionych oczach, którzy zwerbowali Bena? Co robili teraz? Czy można ich

odnaleźć? Do tej pory zdążyłam już przeczytać wszystkie protokoły z przesłuchań i rozprawy. Policji nie udało się ustalić, kto wraz z Benem aktywnie uczestniczył w satanistycznych rytuałach. Dzień po aresztowaniu Bena wszystkie dzieciaki z Kinnakee namiętnie jarające jointy, obnoszące się z idiotycznymi fryzurami, przemieniły się w grzecznych, wiejskich chłopców o ulizanych włosach. Tylko dwaj „dobrze znani policji narkomani”, faceci tuż po dwudziestce, zeznali, że w dniu zbrodni Ben pojawił się w jakimś opuszczonym magazynie, gdzie zbierało się szemrane towarzystwo, i że „wył jak demon”, kiedy usłyszał koledę. Miał też powiedzieć, że nadchodzącej nocy zamierza złożyć krwawą ofiarę. Wyszedł z niejakim Treyem Teepano, który ponoć okaleczał bydło i był wyznawcą szatana. Teepano zeznał, że jego znajomość z moim bratem była bardzo powierzchowna; miał też alibi na czas popełnienia zbrodni: jego ojciec Greg Teepano, potwierdził, że syn spędził noc w domu w Warnego, miasteczku oddalonym o około sto kilometrów od miejsca zdarzenia.

Może więc Ben był osamotniony w swoim szaleństwie, a może po prostu był niewinny. Ptaki znowu zaczęły tłuc się po strychu, obijać gorączkowo o ściany i szyby. Prawdopodobnie przez kilka ładnych godzin siedziałam nieruchomo na sofie i pogrążałam się w poczuciu bezradności, gdy nagle usłyszałam ciężkie kroki na schodach - znak, że nadeszła poczta. Mama zawsze kazała nam piec ciasteczka dla listonosza. U mnie co parę tygodni pojawia się zupełnie inny listonosz. Nie zawracam więc sobie głowy wypiekami.

W skrzynce znalazłam trzy listy w których oferowano mi karty kredytowe, jeden rachunek adresowany do jakiegoś Matta, który z pewnością nie mieszkał w mojej okolicy oraz wyszmelcowaną kopertę, miękką i wygniecioną, jak brudna bielizna. Wcześniej już używaną. Cudze imię i nazwisko zostało zamazane czarnym markerem, a poniżej, na skrawku wolnego miejsca widniało: Pani Libby Day.

Wiadomość od Runnera.

Poszłam z nią na górę i usiadłam na skraju łóżka. Jednak kiedy jestem zdenerwowana, zawsze najlepiej się czuję w małych, ciasnych kątach, więc wepchnęłam się pomiędzy łóżko a nocną szafkę. Mocno oparłam się plecami o ścianę i otworzyłam zszarganą kopertę. W środku znalazłam wymiętą kartkę z typowo kobiecej papeterii, ozdobioną wokół różyczkami, pokrytą pismem mojego ojca - drobnym, nerwowym, spiczastym, jakby ktoś rozgniółł na stronie setkę małych pajęczków.

Kochana Libby,

No więc, Libby, po tych wszystkich latach życie nam się dziwnie ułożyło. Pszynajmniej dziwnie ułożyło się mnie. Nigdy nie myślałem, że dożyję tak starego wieku, że będę tak

wszystkim zmęczony i samotny. Mam raka. Dajom mi tylko kilka miesięcy. Jeśli o mnie chodzi, to OK. I tak dłużej chodzę po tej ziemi, niż sobie na to zasłużyłem. Ucieszyłem się z Twojego listu. Słuchaj, wiem, że nie poświęcałem Ci dość czasu. Byłem bardzo młody, kiedy się urodziłaś, nie wiedziałem, jak być dobrym tatom, ale starałem się zapewnić Ci utsalzymanie i widywać Cię, jak mogłem najczęściej. Twoja matka nie pozwalała mi się z wami spotykać. Byłem niedojrzały, ale ona była jeszcze bardziej niedojrzała ode mnie. A potem ciężko przeżyłem te morderstwa.

I tak to wszystko się potoczyło. Powiniennem odzywać się częściej, wiem, nie musisz mi pisać na ten temat kazania. Ale mam problemy hazardowe, jestem alkoholikiem i ciągle walczę z własnymi demonami. Wiem, kto naprawdę jest mordercom, i nie jest to Ben. Wyjawię prawdę przed śmierciom.

Jeżeli przyszlesz mi trochę pieniędzy, przyjadę do Ciebie i powiem więcej.

Pięćset dolców powinno starczyć.

Czekam niecierpliwie na odpowiedź,

Runner „Tata ” Day

12 Donneran Road

Schronisko dla Mężczyzn Berta Nolana

Lidgerwood, Oklahoma.

PS. Musisz spytać kogoś o kod, bo go nie znam.

Złapałam lampę za cienką nóżkę i cisnęłam przez pokój. Poleciała na metr, na długość sznura, po czym huknęła o ziemię. Przyciągnęłam ją, wyszarpnęłam wtyczkę z kontaktu i znowu rzuciłam przed siebie. Uderzyła o ścianę - plastikowy abażur potoczył się krzywo po podłodze, a zbita żarówka sterczała z oprawki jak połamany zęb.

- Pierdolę cię! - wykrzyknęłam.

Przeklinałam zarówno ojca, jak i siebie. Przypuszczenie, że chociaż raz w życiu Runner zachowa się przyzwoicie, świadczyło o piramidalnej głupocie. Ten list był niczym wyciągnięta na setki kilometrów łapa żebraka, próbującego grać nieczysto na moich emocjach i naiwności. Jeżeli zapłaciłabym tych pięćset dolców, Runner natychmiast by się zapadł pod ziemię, a gdybym chciała od niego dalszej pomocy i kolejnych odpowiedzi, znowu zrobiłby wszystko, żeby mnie naciągnąć. Mnie! Własną córkę!

Muszę jechać do Oklahomy. Kopnęłam w ścianę najmocniej jak mogłam, dwa razy z rzędu, aż zadźwięczały szyby w oknach, i kiedy już robiłam kolejny wymach nogą, rozległ się dzwonek do drzwi. Odruchowo wyjrzałam na zewnątrz, ale z wysokości piętra widziałam

jedynie górne gałęzie sykomory i wieczorne niebo. Zamarłam w bezruchu, czekając, aż niespodziewany gość sobie pójdzie, tymczasem w zamian usłyszałam pięć szybkich dzwonek. Ktokolwiek stał pod drzwiami, wiedział, że jestem w domu - zdradził mnie ten idiotyczny napad szału.

Byłam ubrana tak, jak moja mama zazwyczaj ubierała się w zimie: wielka, bezkształtna bluza dresowa, tanie, wiszące na tyłku legginsy, a do tego grube, drapiące skarpety. Gwałtownie odwróciłam się w stronę szafy, ale znowu rozległ się dzwonek i zdecydowałam, że mam gdzieś, jak wyglądam.

W moim domu przy wejściu nie ma ani jednej szybki, więc nie mogłam sprawdzić, kto stoi na zewnątrz. Zaciągnęłam więc łańcuch i uchyliłam lekko drzwi. W pierwszej chwili ujrzałam tylko tył czyjejś głowy, długie zniszczone brązowe włosy, a potem intruz odwrócił się w moją stronę i ukazała się twarz Krissi Cates.

- Te stare baby z naprzeciwka nie mają za grosz ogłady - powiedziała i tak jak ja przed tygodniem zamachała ręką moim sąsiadkom w geście mającym wyrażać „pieprzę was, durne rury”. - Czy nikt nigdy im nie powiedział, że nieładnie gapić się na ludzi?

Spoglądałam na Krissi przez szparę w drzwiach i sama trochę się czułam jak zgrzybiała staruszka.

- Miałam twój adres... no wiesz, zostawiłaś mi go wtedy, w klubie. - Schyliła się, żeby nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. - Słuchaj, jeszcze nie mam dla ciebie tych pieniędzy, ale... hm... bardzo chciałam pogadać. Totalnie nie mogę uwierzyć, że cię nie poznałam tamtego wieczoru. Zdecydowanie za dużo piję. - Powiedziała to bez najmniejszego zażenowania, tonem tak rzeczowym, jakby informowała, że ma alergię na gluten. - Nie mogłam do ciebie trafić. Chociaż wcale dzisiaj nie piłam. Po prostu już tak mam, że totalnie płaczą mi się kierunki. No wiesz, chodzi o to, że gdy dojeżdżam do rozwidlenia dróg, zawsze skręcam nie tam, gdzie trzeba. Na przykład w lewo zamiast w prawo. Niby instynktownie wiem, gdzie powinnam jechać, ale potem działałam wbrew sobie i robię coś dokładnie odwrotnego. Zupełnie nie pojmuję, na czym to polega.

Plotła w tym duchu jeszcze przez chwilę, do jednego zdania pracowicie dorzucała następne, ale ani razu nie poprosiła, żebym ją wpuściła, więc chyba właśnie dlatego w końcu otworzyłam przed nią drzwi.

Weszła z grzecznie splecionymi rękami, jak na dobrze wychowaną panienkę przystało, i rozglądała się dyskretnie po moim nędznym domu, szukając jakiegoś drobiazgu, który mogłaby skomplementować. W końcu jej wzrok padł na pudło z balsamami, stojące przy telewizorze.

- Och, ja też jestem fanką balsamów. Po prostu totalnie za nimi przepadam. Teraz używam takiego jednego, naprawdę super, o zapachu gruszek. A próbowałaś maści na wymiona? No wiesz, takiej dla mlecznych krów? Jest cudownie aksamitna i można ją dostać w każdej drogerii.

Pokręciłam głową, a potem zaproponowałam Krissi kawę, chociaż wiedziałam, że w słoiku zostało zaledwie kilka nędznych granulek.

- Hmm, nie chciałabym ci robić kłopotu, ale czy przypadkiem nie masz czegoś mocniejszego? To była długa podróż.

Obie postanowiłyśmy udawać, że dwie godziny jazdy samochodem to wyjątkowo wyczerpująca wyprawa, po której każdy normalny człowiek musiałby wychylić jednego głębszego. Poszłam do kuchni przepelniona nadzieją, że w zakamarkach lodówki zmaterializuje się nagle jakaś puszka sprite'a.

- Mam gin, ale nie mogę znaleźć niczego, z czym by go można mieszać - zawołałam.

- Och, nie szkodzi. Czysty też jest dobry.

Lodu również nie było - jakoś nigdy nie pamiętam o napełnieniu tych płaskich foremek - więc wlałam ciepławy gin do dwóch szklaneczek i wróciłam do pokoju. Krissi właśnie grzebała w moim pudle z balsamami. Założyłabym się o każde pieniądze, że już wcisnęła do kieszeni kilka barwnych buteleczek. Miała na sobie czarne spodnium, a do tego jasnoróżowy golf. Wyjątkowo się wysiliła jak na striptizerkę. Niech więc sobie zatrzyma te balsamy.

Podaliśmy jej szklanek i wówczas zauważyłam, że ma paznokcie pomalowane pod kolor golfa, ona natomiast spostrzegła mój okaleczony palec.

- Czy to po tamtym... - po raz pierwszy, od kiedy się poznałyśmy, zabrakło jej słów.

Skinęłam głową.

- No więc, o czym chciałaś ze mną porozmawiać? - przybrałam maksymalnie przyjazny ton głosu.

Odetchnęła głęboko, a potem przysiadła na sofie elegancko jak na proszonej herbatce, ja klapnęłam obok, splotłam mocno nogi, ale natychmiast zmusiłam się do ich rozluźnienia.

- Zupełnie nie wiem, od czego zacząć - powiedziała, pociągając łyk ginu.

- Najlepiej od początku.

- No wiesz, kiedy dotarło do mnie, kim jesteś... jak przyszedł wtedy do mojego domu...

- Ale ja nigdy w życiu u ciebie nie byłam - odparłam, kompletnie zdezorientowana. - Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

- Nie, nie teraz. Tamtego dnia, kiedy zginęła twoja rodzina. Przyszedł do nas ze swoją mamą.

- Hmm.

Zmrużyłam oczy, próbowałam przywołać wspomnienia. Problem w tym, że tamten dzień nigdy nie wydawał mi się jakoś szczególnie wyjątkowy. Oczywiście, wiedziałam, że Ben znalazł się w tarapatach, chociaż nie miałam pojęcia dlaczego. Mama bardzo się starała nie zarazić żadnej z nas swoją narastającą paniką. Pamiętam jak przez mgłę, że tamtego dnia pojechałam z mamą i Diane na poszukiwania Bena. Wpadł w kłopoty, więc chcieliśmy go znaleźć. Jechałam na tylnym siedzeniu, które choć raz miałam tylko dla siebie, dlatego byłam całkiem zadowolona, mimo że miałam też poparzoną twarz, bo prysnął na mnie tłuszcz z patelni, na której Michelle smażyła salami. Poza tym pamiętam, że byliśmy w jakimś domu pełnym ludzi, gdzie trwało przyjęcie urodzinowe, na którym według mamy mógł być Ben. Wiem również, że jadłam pączka. I że w końcu nigdzie nie znalazłyśmy Bena.

- Och, nieważne - odezwała się Krissi. - Tyle że... w tym natłoku wydarzeń zupełnie o tobie zapomniałam. Mogę dostać jeszcze?

Wyciągnęła ku mnie pustą szklanekę, a ja napełniłam ją po same brzegi, żeby Krissi mogła ciągnąć swoją opowieść przez dłuższy czas bez przerwy.

Pociągnęła solidny łyk. Zadygotała.

- Może lepiej pojedziemy do jakiegoś baru?

- Nie, nie, mów dalej.

- Okłamałam cię - rzuciła nerwowo.

- W którym miejscu?

- Ben nigdy mnie nie molestował.

- Tak, wiem - nadal się siliłam na przyjazny ton.

- I w żadnym razie nie molestował innych dziewczynek.

- Uhm. Wszystkie oprócz ciebie odwołały swoje zeznania.

Przesunęła się na kanapie, jej spojrzenie uciekło w bok; wiedziałam, że powraca myślami do przeszłości, do swojego rodzinnego domu.

- Ale wszystko poza tym to prawda - podjęła skwapliwie. - Byłam bardzo ładną dziewczynką, pochodziłam z bogatej rodziny, miałam same najlepsze stopnie i robiłam duże postępy w balecie... Nieraz myślę, że gdyby nie to jedno kłamstwo, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Pewnie miałabym męża, rodzinę i własne studio baletowe...

Odruchowo przesunęła palcem po brzuchu w miejscu, gdzie wcześniej widziałam bliznę po cesarce.

- Przecież masz dzieci, prawda?

- Tak jakby - mruknęła, przewracając oczami.

Postanowiłam nie ciągnąć tego tematu.

- Co więc właściwie się stało? I od czego wszystko się zaczęło? - spytałam.

Nie mogłam jeszcze w pełni pojąć znaczenia kłamstwa Krissi i jego wpływu na dalszy bieg wydarzeń. Ale już wiedziałam, że odegrało wielką rolę, że - cytując Lyle'a - poruszyło lawinę. Skoro policja chciała przesłuchać Bena owego dnia z powodu zeznań Krissi, to musiało pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Po prostu musiało.

- No więc, ja podkochiwałam się w Benie. Podkochiwałam się w nim na zabój. I wiedziałam, że mu się podobam. Spotykaliśmy się po lekcjach i to chyba naprawdę nie było całkiem w porządku. Wiem, że on też był tylko dzieciakiem, ale miał już dość lat, aby... mnie nie zachęcać. Pewnego dnia zaczęliśmy się całować i to totalnie wszystko zmieniło.

- Pocałowałaś go.

- Nie. Całowaliśmy się zupełnie na poważnie.

- To znaczy?

- Tak jak nie powinniśmy. Jak dorośli. Osobiście zdecydowanie bym nie chciała, żeby moja córka piątoklasistka całowała się w taki sposób z nastoletnim chłopakiem. Serio.

Nie wierzyłam w ani jedno jej słowo.

- Mów dalej.

- Mniej więcej tydzień później, już podczas bożonarodzeniowej przerwy, poszłam na przyjęcie piżamowe i opowiedziałam koleżankom o swoim chłopaku z liceum. Byłam okropnie dumna. Oczywiście trochę nazmyślałam. Na temat seksu. No i jedna z tych dziewczyn powtórzyła wszystko swojej mamie, a ta zadzwoniła do mojej mamy. Do dziś pamiętam tamten telefon. Poszłam do swojego pokoju i czekałam, aż mama przyjdzie i na mnie nakrzyczy. I rzeczywiście przyszła, ale była całkiem miła. Wzięła mnie za rękę, mówiła „skarbie” i „kotku”, powtarzała: „Możesz mi zaufać, przejdziemy przez to razem”, a potem zapytała, czy Ben mnie dotykał w intymne miejsca.

- I co ty na to?

- Opowiedziałam o tym pocałunku. Tak, jak było naprawdę. A ona odsunęła się ode mnie z taką miną, jakby chciała powiedzieć „Wobec tego okej, nie ma problemu”, a potem jeszcze zapytała: „I to wszystko? Na pewno nic więcej się nie stało?”. Jakby była prawie zawiedziona. Więc kiedy już wstawała, nagle wypaliłam: „Dotykał mnie tu i tu. Kazał robić różne rzeczy”. I od razu mama znowu chwyciła mnie rękę.

- Co było dalej?

- Nagle cała sprawa wymknęła się spod kontroli. Kiedy tato wrócił wieczorem do domu, mama mu o wszystkim powiedziała, a on zaczął się nade mną roztkliwiać „mój jedyny skarb, moje biedne maleństwo”. Potem zadzwonili do szkoły, a szkoła przysłała do nas tego, no, psychologa dziecięcego. Wyglądał jak facet z college’u i nie pozwolił mi powiedzieć prawdy. Chciał koniecznie usłyszeć, że byłam molestowana.

Spojrzałam na nią spod ściągniętych brwi.

- Mówię poważnie. Dobrze pamiętam, że chciałam mu powiedzieć prawdę i poprosić, żeby wyjaśnił wszystko rodzicom, ale... Ten facet od razu zapytał, czy Ben mnie do czegoś zmuszał, do jakichś aktów seksualnych, odpowiedziałam, że nie, wcale, a on wtedy zrobił się niemiły. „Wydajesz się mądrą, dzielną dziewczynką, i wciąż wierzę, że jednak mi powiesz, co się naprawdę stało. Słucham? Mówisz, że nic takiego? Rety, myślałem, że jesteś dzielniejsza. Naprawdę miałem nadzieję, że okażesz dość odwagi i mi pomożesz. Może chociaż zdołasz sobie przypomnieć, czy Ben dotykał cię w taki i owaki sposób lub mówił tamte i owamte słowa? A pamiętasz, jak bawiliście się w taką czy siaką grę? Czy przynajmniej to możesz sobie przypomnieć? Tak? Doskonale. Wiedziałem, że ci się uda. Jesteś bardzo bystrą i grzeczną dziewczynką”. Kiedy masz jedenaście lat i wszyscy dorośli ci coś wmawiają, zachęcają do wymyślania opowieści, to w końcu... fantazje wydają się rzeczywistością. Nagle nabrałam przekonania, że Ben mnie molestował, bo w innym wypadku dorośli by tak nie nalegali, żebym właśnie to powiedziała. Moi rodzice stali nade mną z surowymi minami i powtarzali: „Choćby prawda była najgorsza, musisz ją wyznać”. Więc zaczęłam opowiadać historie, w które oni chcieli wierzyć.

Natychmiast przypomniałam sobie psychologa, który roztoczył nade mną opiekę po feralnej nocy. Podczas naszych sesji doktor Brooner był zawsze ubrany na niebiesko - mój ulubiony kolor - i dawał mi słodycze, ilekroć powiedziałam to, co chciał usłyszeć. „Libby, a teraz opowiedz o tym, jak Ben zastrzelił twoją mamę. Bo widziałaś go ze strzelbą w ręku, prawda? Wiem, że to bardzo trudne zadanie, Libby, ale jeżeli wszystko z siebie wyrzucisz, wypowiesz na głos, to pomożesz mamie i siostrze, i sama też poczujesz się o wiele lepiej. Nie ukrywaj prawdy, Libby. Nie duś jej w sobie. Pomóż nam ukarać Bena za to, co zrobił twojej rodzinie”. A ponieważ chciałam być dzielną, grzeczną dziewczynką, opowiadałam, że widziałam, jak Ben porąbał siekierą moją siostrę i jak zabił moją mamę. A potem w nagrodę dostawałam masło orzechowe z galaretką morelową, mój największy przysmak, który doktor Brooner zawsze miał pod ręką.

Co najzabawniejsze, ten facet zapewne święcie wierzył, że mi pomaga.

- Starają się stworzyć bezpieczną, przyjazną atmosferę, wydaje im się, że im więcej

okażą wiary w nasze słowa, tym lepiej się poczujemy - zauważyłam. - Dorośli próbują nam pomóc i vice versa. Więc kończy się na tym, że robimy wszystko, by ich zadowolić.

Kiedy pograżyłam Bena swoimi zeznaniami, doktor Brooner podarował mi przypinkę w kształcie gwiazdki, na której było napisane: SuperBystra SuperGwiazda.

- Właśnie! - Oczy Krissi pojaśniały. - Ten terapeuta stwierdził, że pomoże mi odtworzyć różne ekscesy. Do tego celu używaliśmy specjalnych lalek. A potem zaczął rozmawiać z innymi dziewczynami, które nigdy w życiu nawet nie całowały się z Benem. I nie minęło parę dni, a już stworzyłyśmy cały wymyślony świat, w którym Ben czcił diabła, zabijał w ofierze króliki i kazał nam zjadać ich wnętrzności w czasie, gdy nas molestował. To było kompletne wariactwo. Ale też... niezła zabawa. Wiem, że to dzisiaj strasznie brzmi, ale kiedy zebrałyśmy się na kolejnej piżamowej imprezie, usiadłyśmy w kółku i zaczęłyśmy się nawzajem nakrecać, wymyślać coraz bardziej szalone i krwawe historie... Bawiłaś się kiedyś planszą do wywoływania duchów?

- Kiedy byłam mała.

- Aha! No to wiesz, że wszyscy, którzy siedzą dookoła, bardzo chcą uwierzyć w ducha, i w końcu ktoś zaczyna przesuwac strzałkę, a ty wiesz, że to robi, ale jednocześnie wydaje ci się, że naprawdę gdzieś w pobliżu czai się zjawa; wszyscy jakby się umawiacie, że uwierzycie w niemożliwe.

- Ty jednak nigdy nie wyznałaś nikomu prawdy.

- Wyznałam. Swoim rodzicom. Tego dnia, kiedy przyszłyście z mamą, były u nas w domu wszystkie dziewczyny i zjawił się też taki jeden detektyw. Dostałyśmy wtedy wielki tort - to dopiero porąbane, co? A rodzice na dodatek obiecali, że kupią mi pieska. A potem, jak już wszyscy sobie poszli - gliniarz, koleżanki i terapeuta - pobiegłam do swojego pokoju i wybuchnęłam płaczem. Bo nagle do mnie dotarło, co nawyczyniałam. I do wszystkiego się przyznałam.

- Ale przecież sama mówiłaś, że tego wieczoru twój ojciec pojechał szukać Bena.

- E, tam. Tak tylko fantazjowałam. Wiesz, co zrobił, kiedy usłyszał prawdę? Złapał mnie za ramiona i potrząsał tak mocno, że prawie odpadła mi głowa. A następnego dnia po tej okropnej zbrodni wszystkie dziewczyny wpadły w panikę i przyznały się do kłamstwa. Nagle nabralyśmy przekonania, że naprawdę przywołałyśmy diabła. Wymyśliłyśmy paskudną historię na temat Bena, a ona częściowo się urzeczywistniła.

- A jednak dostaliście wysokie odszkodowanie od władz szkolnych.

- Wcale nie było takie wysokie.

- Twoi rodzice zaskarżyli szkołę, chociaż wiedzieli, że łągałaś jak z nut?

- Tata był biznesmenem. Uznał, że zdołamy uzyskać jakąś rekompensatę.

- Tak czy inaczej, owego feralnego wieczoru twój ojciec już wiedział, że Ben cię nie molestował?

- Pewnie, że wiedział.

Znowu podrzuciła wojowniczo głową, przyjęła obronną postawę. W tej samej chwili wszedł do pokoju Buck i zaczął się ocierać o nogi Krissi. To podziało na nią uspokajająco, przejechała długimi paznokciami po kocim futerku.

- Wkrótce potem się przeprowadziliśmy. Tata stwierdził, że nasz dom został zbrukany. Pieniądze też nam nie pomogły. Pamiętam, że dostałam obiecane psa, lecz ilekroć próbowałam coś powiedzieć na jego temat, tata unosił ostrzegawczo dłoń, jakby tego było dla niego za wiele. No a mama... ona nigdy mi nie wybaczyła. Kiedy wracałam do domu i opowiadałam, co się wydarzyło w szkole, pytała jedynie „Naprawdę?”. Jakby każde moje słowo było kłamstwem. Mówiłam na przykład, że jadłam na obiad tłuczone kartofle, a ona na to: „Naprawdę?” i nic poza tym. W końcu w ogóle przestała się do mnie odzywać. Otwierała mi drzwi i od razu szła do kuchni, odkorkowywała butelkę wina, a potem dolewała sobie kieliszek za kieliszkiem i w milczeniu snuła się po domu. I cały czas potrząsała przy tym głową. Kiedyś powiedziałam, jak bardzo mi przykro, że jest z mojego powodu taka smutna, a ona na to: „Tak, to rzeczywiście twoja wina”.

Krissi teraz już płakała i mechanicznymi ruchami głaskała kota.

- To ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałam. Jeszcze przed upływem roku szkolnego mama odeszła. Pewnego dnia wróciłam do domu, a jej pokój był całkiem opróżniony. - Spuściła głowę na kolana w dziecinny, dramatyczny geście. Wiedziałam, że powinnam pogłodzić ją po plecach, powiedzieć coś miłego, jednak siedziałam nieporuszona, aż Krissi w końcu zerknęła na mnie spod oka.

- Nikt mi nigdy niczego nie wybacza - jęknęła.

Chciałam powiedzieć, że ja jej wybaczyłam, ale w końcu tego nie zrobiłam. W zamian nalałam jej kolejną porcję ginu.

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 18:11

Lou Cates popychał Patty w stronę wyjścia, a ona wciąż powtarzała „przepraszam, przepraszam” i nagle, nie wiedząc kiedy, znalazła się za progiem i owiało ją mroźne powietrze. Zaczęła gwałtownie mrugać oczami, ale zanim zdołała ponownie poruszyć ustami, wyartykułować jakiegokolwiek słowo, drzwi otworzyły się ponownie. Wszedł przez nie mężczyzna po pięćdziesiątce i stanął na małym ganku obok Patty, Diane i Libby. Miał duże wory pod wilgotnymi oczami, jak basset, i siwiejące włosy zaczesane do góry, hojne namaszczone pomadą. Przejechał po nich dłonią, błyskając przy okazji tradycyjnym irlandzkim pierścieniem eladdagh.

- Pani Patty Day? - jego pachnący kawą oddech zawisł w zimnym powietrzu, dziwnie odbarwiony.

- To ja. Jestem matką Bena Daya.

- Przyszliśmy tutaj, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - wtrąciła Diane. - Dochodzą do nas rozmaite plotki, ale nikt nie zadał sobie trudu, by się z nami bezpośrednio skontaktować.

Mężczyzna oparł ręce na biodrach, spojrzał na Libby, szybko odwrócił wzrok.

- Nazywam się Jim Collins, jestem detektywem i prowadzę dochodzenie w tej sprawie. Zjawiłem się tu dzisiaj, żeby wysłuchać, co ci ludzie mają do powiedzenia, i naturalnie zaraz potem zamierzałem jechać na farmę. Ale oszczędziłyście mi panie fatygi. Czy moglibyśmy porozmawiać w jakimś innym miejscu? Nie tak mroźnym?

Postanowili się udać do kafejki Dunkin' Donuts, stojącej tuż przy zjeździe z autostrady. Każdy jechał swoim samochodem i po drodze Diane opowiedziała jakiś dowcip o policjantach i pączkach, a potem zaczęła wyklinać panią Cates: „nie dała nam nawet jednego dnia na wyjaśnienie sprawy, wredna suka”. Normalnie Patty stanęłaby w obronie tej kobiety, ona i Diane zawsze trzymały się swoich wdrukowanych ról - jedna pryncypialna, druga wyrozumiała. Ale akurat rodzina Catesów nie potrzebowała obrońcy.

Detektyw Collins czekał na nie z trzema kubkami kawy i kartonikiem mleka dla Libby

- Nie wiedziałem, czy pozwala jej pani jeść słodycze - powiedział, i Patty zaczęła się zastanawiać, czy ten gliniarz uzna ją za złą matkę, jeżeli kupi Libby pączka.

Od dziś takie właśnie czeka mnie życie - uznała w duchu. - Wciąż będę musiała

myśleć, co ludzie powiedzą, gdy zrobię to lub tamto.

Tymczasem Libby już przyciskała twarz do gabloty z ciastkami i niecierpliwie przeskakiwała z nogi na nogę, więc Patty wyłowiła z kieszeni parę drobników, kupiła pączka z różowym lukrem i podała córeczce na papierowej serwetce. Nie mogła znieść myśli, że Libby będzie musiała obejść się smakiem i ograniczyć do smętnego wpatrywania w te wszystkie barwne lukry, podczas gdy dorośli zaczną się zastanawiać, czy Ben był molestującym małe dziewczynki wyznawcą diabła. Na tę myśl znowu zaczęło jej się zbierać na śmiech. Opanowała się jednak, usadziła małą przy sąsiednim stoliku i kazała grzecznie jeść pączka, bo dorośli muszą porozmawiać.

- Wszyscy macie rude włosy? - zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki Collins. - Jesteście irlandzkiego pochodzenia?

Patty pomyślała natychmiast o odwiecznej rozmowie z Lenem na temat koloru włosów i automatycznie przypomniała sobie, że właśnie straciła farmę.

Jak mogłam o tym zapomnieć?!

- Niemieckiego - odparła, już po raz drugi tego dnia.

- Ma pani jeszcze inne małe dzieci, prawda?

- Tak. W sumie czworo.

- Z tego samego ojca?

- Oczywiście, że z tego samego! - obruszyła się Diane.

- Ale jest pani samotną matką, zgadza się?

- Owszem. Rozwiodłam się z mężem - Patty starała się zachowywać skromnie i powściągliwie jak żona pastora.

- A jaki to ma związek z sytuacją Bena? - warknęła Diane, nachylając się nad stołem. - Przy okazji, jestem siostrą Patty. Otaczam te dzieci niemal równie troskliwą opieką jak ich matka.

Patty mimowolnie wykrzywiła twarz, co nie umknęło uwagi detektywa.

- Spróbujmy zachować spokój - powiedział. - Bo trochę wody upłynie, zanim ta sprawa się wyjaśni, a tymczasem z pewnością będziemy się często spotykać. Pani Day, oskarżenia wysunięte przeciwko Benowi są bardzo poważnej i niepokojącej natury. Na razie dysponujemy zeznaniami czterech dziewczynek, które utrzymują, że pani syn dotykał intymnych części ich ciała i zmuszał, by one jego dotykały. Podobno zabierał je w jakieś odludne miejsce na waszej farmie i dopuszczał się... pewnych czynów, charakterystycznych dla satanistycznych rytuałów. - Wypowiedział słowa „charakterystycznych dla satanistycznych rytuałów” w taki sposób, w jaki ludzie nieznający się na samochodach

powtarzają bezmyślnie za mechanikiem „szwankuje pompa paliwa”.

- Przecież Ben nie ma nawet samochodu - szepnęła Patty.

- Co prawda - ciągnął niewzruszenie Collins - różnica wieku pomiędzy jedenastolatką a szesnastolatkiem jest stosunkowo nieduża, ale te dzielące ich lata są przełomowe w sensie rozwojowym. Jeżeli oskarżenia pod adresem pani syna zostaną potwierdzone, uznamy go za groźnego przestępcę seksualnego. I chciałem od razu zaznaczyć, że będziemy musieli porozmawiać nie tylko z Benem, ale i z pani córeczkami.

- Ben jest dobrym dzieckiem - powiedziała Patty słabym głosem, za który natychmiast sama siebie znienawidziła. - Wszyscy go lubią.

- A jak jest postrzegany przez rówieśników ze szkoły?

- Słucham?

- Czy jest popularny wśród kolegów?

- Ma wielu przyjaciół - bąknęła Patty.

- Szczerze w to wątpię, proszę pani. Z tego, co wiemy, nie utrzymuje z nikim bliższych kontaktów, można go wręcz nazwać odludkiem.

- I niby czego to dowodzi? - warknęła Diane.

- Absolutnie niczego, pani...?

- Krause.

- Absolutnie niczego, pani Krause. Ale w połączeniu z faktem, że Ben nie ma w domu silnego osobowego wzorca mężczyzny, może sugerować zwiększoną podatność na... nazwijmy to negatywne wpływy. Kontakty z narkotykami, alkoholem, ludźmi nieprzystosowanymi, o skłonnościach do agresywnych zachowań.

- Nie zadaje się z przestępcami, jeżeli o to panu chodzi - powiedziała Patty.

- Proszę wobec tego podać nazwiska przyjaciół syna - odparł Collins. - Kolegów, z którymi najczęściej się spotyka. Proszę mi powiedzieć, w którym towarzystwie spędził miniony weekend.

Patty poczuła, jak język rośnie jej w ustach, pokręciła głową, położyła splecione dłonie obok rozmazanego na blacie czekoladowego lukru. A więc wreszcie się wydało, że jest kobietą, która nie potrafi zadbać o rodzinę, żyje od jednej sytuacji awaryjnej do drugiej, bez przerwy się zadłuża, a zamiast się zajmować synem, zachęcić go do jakiegoś hobby, namówić do wstąpienia do jakiegoś klubu, ucieka w sen i na dodatek cieszy się w duchu, że Ben zamyka się w swoim pokoju lub znika na całe wieczory, bo dzięki temu ma jedno dziecko na głowie mniej.

- Mamy więc też do czynienia z zaniedbaniami rodzicielskimi - westchnął Collins,

jakby już doskonale wiedział, czym zakończy się ta historia.

- Zanim wyrazimy zgodę na rozmowę z dziećmi, najpierw musimy się skontaktować z prawnikiem - wtrąciła Diane.

Collins nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Szczerze mówiąc, pani Day, gdybym był na pani miejscu i miał trzy małe dziewczynki w domu, zrobiłbym wszystko, żeby odkryć prawdę. Tego typu zachowania nie mijają same z siebie. O ile oskarżenia pod adresem syna są prawdziwe, a osobiście jestem skłonny tak sądzić, to pani córki były zapewne jego pierwszymi ofiarami.

Patty obejrzała się na Libby, która właśnie zlizywała lukier ze swojego pączka. Przypomniała sobie, jak bardzo swego czasu ta mała kleiła się do Bena. Zaczęła też myśleć o różnych zajęciach na farmie, które należały do wyłącznych obowiązków dzieci. Czasami po całym dniu pracy z Benem w oborze czy stodole dziewczynki wracały do domu rozdrażnione i płaczliwe. Ale... Ale co? Były małe, zmęczone i rozeźlone, to wszystko. Patty z trudem się powstrzymywała, by nie chlusnąć Collinsowi kawą w twarz.

- Mogę mówić otwarcie i szczerze? - odezwał się znowu detektyw - Wprost nie potrafię sobie wyobrazić, jak ciężko musi być pani jako matce, gdy padają podobne oskarżenia. Ale rozmawiałem z naszym psychologiem, który indywidualnie pracuje z domniemanymi ofiarami, i wie pani, czego się dowiedziałem? Te dziewczynki opowiadają o takich ekscesach seksualnych, o jakich żadna piątoklasistka nie mogłaby mieć pojęcia, gdyby sama ich nie doświadczyła. Nasz psycholog twierdzi, że widzi tutaj klasyczny schemat molestowania. Z pewnością słyszała pani o sprawie McMartinów.

Patty wiedziała coś piąte przez dziesiąte. Zdaje się, że chodziło o nauczycieli z kalifornijskiego przedszkola, którzy stanęli przed sądem pod zarzutem molestowania dzieci w ramach satanistycznych praktyk. Pamiętała jeden obrazek z wieczornych wiadomości: ładny, słoneczny budynek typowy dla Kalifornii, a na nim napis wymalowany czarną farbą - „Piekielny koszmar”.

- Niestety, satanizm nie jest zjawiskiem odosobnionym - ciągnął Collins. - I działania tej sekty nie ograniczają się do wąskiej, zamkniętej społeczności. Wyznawcy diabła najchętniej rekrutują młodych mężczyzn, szybko wciągają ich w swoje praktyki. A należy do nich również... poniżające traktowanie dzieci.

- Czy macie w ogóle jakieś konkretne dowody przeciwko Benowi? - huknęła Diane. - Lub zeznania innych świadków poza kilkoma jedenastoletnimi dziewczynkami? Czy pan ma w ogóle własne dzieci? Czy wie, jak fantazjują? Ich całe życie często się obraca w urojonym świecie. Czy więc ktoś potwierdzi te wszystkie kłamstwa małych dziewczynek - poza

zarozumiałym harwardzkim psychiatrą, który was wszystkich tak zauroczył?

- Jak już jesteśmy przy dowodach - podjął Collins - dziewczynki zeznały, że Ben zabierał ich bieliznę w charakterze jakichś chorych souvenirów czy czegoś w tym rodzaju - spojrzał znacząco na Patty. - Jeżeli pozwoli nam pani rozejrzeć się po domu, to ten jeden punkt będziemy mogli wyjaśnić od ręki.

- Zanim na cokolwiek się zgodzisz, musimy wziąć adwokata - burknęła Diane do siostry.

Collins dopił kawę, zdusił w sobie czknięcie, uderzył się pięścią w pierś, po czym uśmiechnął ponuro do Libby. Miał czerwony, pijacki nos.

- Teraz przede wszystkim musimy zachować spokój - oznajmił, konsekwentnie ignorując Diane. - Dzisiejszego popołudnia przeprowadziliśmy rozmowy z nauczycielami z liceum oraz ze szkoły podstawowej i to, co usłyszeliśmy, pani Day, nie poprawiło nam nastroju. Czy kojarzy pani nazwisko Darksilver?

Patty skinęła głową. Pani Darksilver zawsze przepadała za Benem, był jej niekwestionowanym ulubieńcem.

- Zaledwie tego ranka widziała, jak Ben kręcił się w pobliżu szafki Krissi Cates. W skrzydle szkoły podstawowej. W czasie bożonarodzeniowych ferii. Już to samo w sobie jest niepokojące... - posłał Patty spojrzenie spod oka - ...a tymczasem pani Darksilver poinformowała nas, że Ben był ewidentnie podniecony.

- Że niby co? - warknęła Diane.

- Że miał erekcję. Kiedy zajrzeliśmy do pojemnika Krissi, znaleźliśmy liścik o prowokacyjnej treści. Pani Day, osoby, z którymi do tej pory rozmawialiśmy, dość zgodnie określają Bena mianem skłóconego z życiem outsidera. Wręcz dziwaka. Spotkaliśmy się z opiniami, że jest tykającą bombą zegarową. W niektórych nauczycielach wzbudza strach.

- Strach? - powtórzyła z niedowierzaniem Patty. - Jak to możliwe, że nauczyciele odczuwają strach przed piętnastoletnim chłopcem?

- Cóż, jeszcze pani nie wie, co znaleźliśmy w jego szafce.

*

Znaleźli coś w jego szafce. Patty pomyślała, że pewnie zaraz usłyszy o narkotykach lub o pisemkach z rozbieranymi panienkami, czy też o ile los okaże się łaskawy - zakazanych fajerwerkach. Oby właśnie chodziło o race w plecaku! Race mogłaby dość gładko przełknąć.

Ale kiedy Collins wygłosił swój obłudny wstęp - „to doprawdy zatrważające, pani Day, proszę się przygotować na wstrząs” - Patty pomyślała, że znaleźli w szafce Bena broń. Ben już jako dziecko był zafascynowany bronią, tyle że w odróżnieniu od fazy zachwyty

samolotami i betoniarkami, ta fascynacja nigdy mu nie minęła. Swego czasu Patty często polowała razem z synem, strzelali wspólnie do celu. Może przyniósł jakąś sztukę broni do szkoły, żeby się popisać przed kolegami. Na przykład colta peacemakera, którego lubił najbardziej. Benowi co prawda nie wolno było zbliżać się do sejfu z bronią bez pozwolenia, ale jeżeli już to zrobił, jakoś to załatwią. Niech więc tym znaleziskiem będzie broń.

Collins odchrząknął znacząco, a potem powiedział teatralnie ściszym głosem:

- W szafce pani syna znaleźliśmy... szczątki. Wnętrznosci. W pierwszej chwili podejrzewaliśmy, że mogą być organami niemowlęcia, ale okazało się, że są pochodzenia zwierzęcego. Żeńskie organy rozrodcze w plastikowym pojemniku. Czy przypadkiem nie zaginął pani ostatnio pies lub kot?

Patty zakręciło się w głowie od tych rewelacji. Policja podejrzewała Bena o przechowywanie w szafce szczątków niemowlęcia?! Uznali jej syna za tak zaburzonego, że w pierwszym odruchu uznali go za dzieciobójcę? Wpatrzyła się w rozsiane po stole kolorowe ziarenka cukrowej posypki i nagle zrozumiała, że Ben pójdzie do więzienia. Jeżeli sądzono, że jest tak bardzo zdeprawowany, nie miał najmniejszych szans.

- Nie, nie zaginęło nam żadne zwierzę.

- Od pokoleń jesteśmy rodziną farmerów i myśliwych - wtrąciła Diane. - Niemal bez przerwy uprawiamy jakieś zwierzęta. To nie jest takie dziwne, że Ben miał część ciała zwierzęcia.

- Doprawdy przechowuje pani organy martwych zwierząt w domu?

Po raz pierwszy Collins spojrzął wprost w oczy Diane, surowo, wręcz karcąco, ale szybko spuścił powieki.

- A czy to wbrew prawu? - odparowała.

- Pani Day - detektyw znowu przeniósł spojrzenie na Patty - do rytuałów satanistycznych należy składanie ofiar ze zwierząt. Z pewnością słyszała pani o bydle zaszlachtowanym pod Lawrence. Sądzimy, że tamten incydent i molestowanie dziewczynek są ze sobą powiązane.

Patty poczuła, jak lodowacieje jej twarz. Już przepadło. Już po wszystkim.

- Czego pan właściwie ode mnie oczekuje?

- Pojadę z panią na farmę i porozmawiam z synem, okej? - Collins wypowiedział tę propozycję paternalistycznym tonem, jakim przemawia się do małego, rozdygotanego dziecka.

Patty spostrzegła, że siedząca obok Diane zaciska dłonie w pięści.

- Bena nie ma w domu. Właśnie próbujemy go znaleźć.

- Pani Day, naprawdę bardzo nam zależy na rozmowie z synem. Proszę powiedzieć, gdzie moglibyśmy go znaleźć.

- Nie wiemy - oświadczyła Diane. - Jedziemy na tym samym wózku co wy.

- Czy zamierzacie go aresztować? - spytała Patty.

- Przede wszystkim musimy z nim porozmawiać, a im szybciej to zrobimy, tym szybciej sprawa się wyjaśni.

- Nie odpowiedział pan na pytanie mojej siostry.

- To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić w obecnej sytuacji, proszę pani.

- A więc go aresztujecie - mruknęła Diane i po raz pierwszy spuściła wzrok.

Tymczasem Collins wstał od stołu, podszedł do Libby i przyklęknął przy jej krześle.

- Hej, skarbie...

Diane gwałtownie chwyciła go za ramię.

- Zostaw ją w spokoju!

Detektyw ściągnął brwi.

- Ja tylko próbuję pomóc. Doprawdy nie chcecie się dowiedzieć, czy z Libby wszystko w porządku?

- My WIEMY, że z Libby wszystko jest w porządku.

- Wolałbym to jednak usłyszeć z jej własnych ust. Albo ściągnę opiekę społeczną i...

- Pieprz się, pan - rzuciła Diane i stanęła twarzą w twarz z detektywem.

Patty natomiast wciąż siedziała przy stoliku i próbowała się od wszystkiego odseparowywać. Słyszała, że Diane i Collins warczą na siebie za jej plecami, ona jednak starała się koncentrować wzrok na kobiecie, która stała za ladą, parzyła kolejny dzbanek kawy i udawała, że nic ponadto ją nie obchodzi. Ta chwila wytchnienia nie trwała jednak długo. Kilka sekund później Diane złapała Patty za rękę i wyprowadziła z kawiarni.

*

W drodze do domu Patty cały czas zbierało się na płacz, ale postanowiła, że się nie rozklei, dopóki nie zostanie sama. Diane zmusiła ją do prowadzenia samochodu - uznała, że dobrze jej zrobi, jeżeli skupi uwagę na czymś konkretnym. Mimo to Patty była tak rozkojarzona, że siostra musiała jej wciąż przypominać o konieczności zmiany biegów.

- Może jednak włączysz trójkę, P?... Sądzę, że powinnaś zredukować do dwójki...

Libby siedziała z tyłu w milczeniu, z buzią wciąż wytłuszczoną od pączka i z kolanami podciągniętymi pod brodę.

- Czy coś złego się stanie? - spytała nieoczekiwanie.

- Nie, skarbie.

- A mnie się zdaje, że zdarzy się coś strasznego.

Patty po raz kolejny przeżyła moment paniki: jak, do diabła, mogła być tak bezmyślna i wciągnąć siedmiolatkę w podobną sytuację! Jej własna matka nigdy by do czegoś podobnego nie dopuściła. No ale też jej matka nie wychowywałaby Bena tak niedbale jak Patty - na zasadzie zabobonnej wiary, że jakoś to będzie - więc nie byłoby mowy o żadnej aferze.

Teraz wręcz obsesyjnie Patty pragnęła znaleźć się w domu, zaszyć na kanapie, odzyskać minimum poczucia bezpieczeństwa. Plan przedstawiał się następująco: ona zostanie na farmie i będzie czekać na Bena - który teraz już z pewnością lada chwila wróci - natomiast Diane uda się do miasta i wybada sytuację: kto co wie, po czyjej stronie opowiadają się ludzie, a przede wszystkim z kim, do cholery, zadaje się teraz Ben.

Zajechały pod dom i obok cavaliera Patty ujrzały stary, sportowy samochód, potwornie zachlapany błotem.

- Czyje to auto? - spytała Diane.

- Nie mam pojęcia - odparła Patty zrozpaczonym tonem, bo wiedziała, że ktokolwiek do nich przyjechał, przywiózł jedynie przynębiające wieści.

Otworzyły drzwi i wytoczyła się ku nim fala niemal tropikalnego ciepła. Termostat musiał być nastawiony na bez mała trzydzieści stopni. Pierwsza rzecz, jaką zobaczyły, to otwarte pudełko specjalnego kakao do mikrofalówki, tego z imitacjami pianek, oraz kakaowy ślad wiodący do kuchni. A potem rozległ się głośny, chrapliwy śmiech i Patty już wiedziała, co się święci. Na podłodze, pomiędzy dwiema córkami, siedział Runner i popijał gorącą czekoladę. W telewizji leciał jakiś film przyrodniczy i ilekroć z wody wyskakiwał aligator, by chwycić w zęby jakieś rogate zwierzę, dziewczynki piszczały i łapały ojca za ramię.

Runner spojrział na Patty od niechcienia, jakby była posłańcem z pizzerii.

- Cześć, Patty, kupę lat.

- Mamy ważne sprawy rodzinne do omówienia - oświadczyła Diane. - Zbieraj się do domu.

W trakcie tych ciągnących się letnich tygodni, gdy Runner wrócił na farmę, doszło do kilku scysji ze szwagierką - ona na niego grzmiała, a on zbywał ją lekceważąco. „Nie jesteś głową rodziny Diane”. Potem szedł do garażu, upijał się i godzinami walił piłką baseballową o ścianę. Kto jak kto, ale Diane nie zdołałaby zmusić Runnera do rychłego wyjścia.

- W porządku, D. Możesz jechać. Tylko zadzwoń do mnie mniej więcej za godzinę, żeby powiedzieć co i jak, okej?

Diane posłała Runnerowi mordercze spojrzenie, wymamrotała coś pod nosem i

wyszła, trzaskając drzwiami.

- Jeeezu! - odezwała się Michelle. - A tę co ugryzło?

Na użytek ojca wykrzywiła twarz w zabawnym grymasie. Mała zdrajczyni. Jej brązowe włosy sterczały naelektryzowane w miejscu, gdzie zmiotł je Runner. On zawsze miał szczególny sposób odnoszenia się do dzieci, jego pieszczoty były szorstkie i kanciaste, jak u psotnego nastolatka. Na przykład, kiedy któraś z dziewczynek oglądała telewizję, podkradał się i zniecka robił jej „szczypanę”. Uszczypana córka patrzyła na niego ze łzami w oczach i z gniewnie odętymi ustami, a tymczasem on wybuchał śmiechem i mówił: „No, coooo? Chciałem się tylko przywitać. Cześć!”. A jeżeli już gdzieś wybrał się z dziećmi, zawsze szedł parę kroków za nimi, nigdy obok, i od czasu do czasu zerkał na nie chytrze spod oka. Przypominał Patty starego kojota, truchtającego w ślad za ofiarą, igrającego z nią przed atakiem.

- Tata ugotował nam makaron - oznajmiła Debbie. - Zostanie na kolację.

- Dobrze wiecie, że jak mnie nie ma, nie wolno nikogo wpuszczać do domu.

Michelle przewróciła oczami, przytuliła się do ramienia Runnera.

- Jeeezu, mam, przecież to taaatoooo!

Wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby Runner zszedł z tego świata. Miał wyjątkowo luźne kontakty z dziećmi, w niczym im nie pomagał, natomiast gdyby szlag go trafił, jakość ich życia z pewnością uległaby poprawie. W obecnym stanie rzeczy żył sobie niczym wolny ptak na szerokich równinach, od czasu do czasu zjawiał się jak grom z jasnego nieba z głupimi pomysłami i prymitywnymi knowaniami, w które na dodatek wciągał dzieci. A one wypełniały jego idiotyczne polecenia, po czym oznajmiały „bo tato tak kazał”.

W tej chwili Patty najchętniej wygarnęłaby Runnerowi, co naprawdę o nim myśli. I na dodatek opowiedziała o wstrząsającej kolekcji, którą jego syn przechowywał w szkolnej szafce. Patty nie miała wątpliwości, że ta historia z córką Catesów i jej koleżankami jest jakimś piramidalnym nieporozumieniem. Ale dla kawałków padliny nie mogła znaleźć żadnego usprawiedliwienia, mimo że była mistrzynią w konstruowaniu usprawiedliwień. Insynuacje Collinsa, że Ben molestował siostry, również uznała za chore wymysły. Przez całą drogę do domu rozważała podobną możliwość, rozbierała ją na czynniki pierwsze, które potem także poddawała szczegółowej inspekcji. I stanowczo zdecydowała, że Ben nigdy by czegoś podobnego nie zrobił.

Wiedziała jednak, że jest zdolny do okrucieństwa. Pamiętała ten incydent z myszami: mechaniczne uderzenia szpadlem, rozciągnięte usta, obnażone zęby, pot spływający po twarzy. Wyraźnie widziała, że to sprawiło synowi jakąś perwersyjną przyjemność. Czasami

też traktował siostry z nadmierną brutalnością. Nieraz się zdarzało, że chichoty przechodziły we wrzaski, a gdy Patty wyglądała do holu, widziała, jak Ben boleśnie wykręca ramię Michelle, powoli, powolutku podrywa je w górę. Lub chwytą rękę Debby jak w imadło, niby dla zabawy, ale potem, zgrzytając zębami, zaciska dłoń coraz mocniej, aż robią się siniaki. Niekiedy w towarzystwie sióstr upodabiał się do Runnera - stawał się spięty i podminowany.

- Tata musi już iść.

- Jezu, Patty, może byś się choć przywitała, zanim mnie wywalisz? Daj spokój, pogadajmy, mam dla ciebie biznesową propozycję.

- Nie stać mnie na wchodzenie w jakiegokolwiek interesy, Runner. Jestem bez grosza.

- Ty nigdy nie jesteś całkiem bez grosza - zauważył z chytrym uśmiechem i przekręcił tyłem do przodu baseballówkę na zmierzwionych włosach.

To miało zabrzmieć żartobliwie, ale bardziej przypominało groźbę: lepiej nie bądź tak splukana, jak twierdzisz, bo inaczej źle się to dla ciebie skończy. Stracił z siebie córki i podszedł niebezpiecznie blisko Patty - jak to miał w zwyczaju. Poczula ostry zapach potu bijący od jego podkoszulka.

- Czy przypadkiem ostatnio nie sprzedałaś siewnika? Vern Evelee mi o wszystkim powiedział.

- Te pieniądze już dawno się rozeszły. Każdy dolar, jaki dostaję, jest natychmiast przejmowany przez wierzycieli.

Udawala, że pochłania ją przeglądanie poczty, ale Runner wciąż wisiał jej nad głową.

- Słuchaj, Patty, musisz mi pomóc. Gwałtownie potrzebuję gotówki na wyjazd do Teksasu.

No, jasne. Jakżeby inaczej. Runner w zimie zawsze się wynosił tam, gdzie było ciepło; nieobarczony dziećmi przemieszczał się z miejsca na miejsce według własnego widzimisię. To był policzek dla Patty i jej przywiązania do tej ziemi. Runner miał się różnych dorywczych prac, ale bezmyślnie przepuszczał wszystko, co zdołał zarobić. Na przykład kiedyś kupił kije golfowe, bo ubzdurał sobie, że nadejdzie dzień, gdy cały wolny czas będzie spędzał na polach golfowych; innym razem nabył kosztowny sprzęt stereofoniczny, którego nigdy nie podłączył. Teraz postanowił zwać do Teksasu. Patty pojechała raz z Diane nad Zatokę Meksykańską, kiedy jeszcze była w liceum. Wtedy po raz pierwszy i ostatni opuściła rodzinne strony. Ze swojej wycieczki zapamiętała przede wszystkim słoność powietrza i ilekroć sobie o tym przypomniwała, popadała w nostalgię. Wiedziała, że w taki czy inny sposób Runner zdobędzie pieniądze i spędzi resztę zimy w jakiejś speluncie nad oceanem. Będzie błogo popijać piwo, a tymczasem jego syn pójdzie do więzienia, bo Patty nie stać na

adwokata.

Ta myśl nieustannie ją prześladowała.

- Cóż, Runner, przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Próbowała skierować go w stronę drzwi, a jednak to on wepchnął ją w głąb kuchni. Jego oddech śmierdział skwaśniałym piwem i Patty z obrzydzeniem odwróciła głowę.

- Daj spokój, nie każ mi błagać. Tym razem wpadłem po uszy. To sprawa życia lub śmierci. Muszę uciekać z tego miasta. Jeżeli nie zdobędę gotówki na wyjazd, jeszcze dzisiaj ktoś mnie zakatrupi. Osiemset dolców powinno załatwić sprawę.

Ta suma szczerze rozbawiła Patty. Czy ten palant naprawdę sobie wyobrażał, że ona ma przy sobie takie pieniądze? Gdyby tylko dobrze się rozejrzał, zauważyłby, jakimi są nędzarcami. W środku zimy dzieci chodziły w cienkich bluzkach, a w kuchennej zamrażarce leżało przeterminowane mięso z taniej jatk. Oto czym naprawdę byli: gospodarstwem domowym z wygasłym terminem przydatności do użytku.

- Nie mam żadnej gotówki, Runner.

Zajrzał jej gniewnie w oczy, opierając rękę o framugę drzwi, tak żeby nie mogła wymknąć się z kuchni.

- Ale masz jeszcze biżuterię, no nie? Masz ten pierścionek, co ci dałem.

- Runner, proszę, Ben ma poważne kłopoty i w tej chwili muszę pilnie załatwić kilka spraw. Więc przyjdź kiedy indziej, okej?

- A co, do cholery, zmalował Ben?

- Ma problemy w szkole, a także poza szkołą, niewykluczone że będzie potrzebował adwokata, dlatego każdego centa muszę oszczędzać na ten cel...

- A więc jednak nie jesteś tak do końca spłukana.

- Jestem, Runner.

- Daj mi przynajmniej tamten pierścionek.

- Już go nie mam.

Dziewczynki udawały, że oglądają telewizję, ale na dźwięk podniesionych głosów Michelle, wścibska Michelle, odwróciła głowę i już całkiem otwarcie przyglądała się rodzicom.

- Daj mi pierścionek.

Wyciągnął rękę, jakby w tej sekundzie miała na palcu to tombakowe świecidełko, byle jakie, żenujące, z czego Patty zdawała sobie sprawę już w wieku siedemnastu lat. Dostała go od Runnera trzy miesiące po tym, jak się jej oświadczył. Aż trzy miesiące potrzebował, żeby ruszyć tyłek, pójść do taniego sklepiku i kupić tę błyskotkę, którą wręczył Patty po wlanu w

siebie trzeciego piwa. Powiedział przy tym: „Będę cię kochał do końca życia, najdroższa”. I właśnie w tym momencie Patty zrozumiała, że Runner wcześniej czy później ją zostawi, że nie jest mężczyzną, na którym można polegać, że tak naprawdę nawet za bardzo go nie lubi. A mimo to jeszcze trzykrotnie zaszła z nim w ciążę, bo on nie znosił kondomów, a ona nie miała siły się z nim wyklócać.

- Runner, czy ty w ogóle pamiętasz, jaki to pierścionek? Nie dostaniesz za niego ani centa. Kosztował najwyżej dziesięć dolarów.

- Teraz zamierzasz mi to wypominać? Właśnie teraz?

- Wierz mi, gdyby był cokolwiek wart, już dawno temu bym go zastawiła.

Stali naprzeciwko siebie; Runner sapał jak rozwścieczony osioł. Położył rozdygotane ręce na ramionach Patty, ale szybko je oderwał, udając, że przychodzi mu to z największym trudem. Nawet wąsy mu drżały.

- Jeszcze tego gorzko pożałujesz - powiedział.

- Ja już żałuję. I to od dawna.

Odwrócił się gwałtownie i zahaczył skrajem kurki o pudełko z kakao, rozsypując brązowy pył na podłogę.

- Do widzenia, dziewczynki. Wasza matka to... SUKA!

Kopniakiem przewrócił jedno z wysokich, kuchennych krzeseł, które siłą rozpędu wtoczyło się do pokoju. Potem, rozjuszony, zaczął dreptać w koło i wszystkie kobiety zamarły w bezruchu, jak czujne sarny. Patty zastanawiała się gorączkowo, czy przypadkiem nie powinna biec po strzelbę lub łapać za kuchenny nóż, a jednocześnie modliła się w duchu, żeby Runner wreszcie sobie poszedł.

- Wielkie dzięki, kurwa! - wykrzyknął w końcu i ruszył w stronę wyjścia. Szarpnął za klamkę z takim impetem, że drzwi uszkodziły tynk i odbiły z powrotem w zawiasach. Kopniakiem otworzył je ponownie, złapał za brzeg i z pochyloną głową zaczął z całej siły walić nimi o ścianę, powiększając pęknięcie.

W końcu jednak zmęczył się i wyszedł. A kiedy odjechał z wizgiem opon, Patty przyniosła strzelbę i wraz z garścią nabojów położyła na półce nad kominkiem. Tak na wszelki wypadek.

Libby Day

Współcześnie

Ostatecznie Krissi spędziła noc na mojej kanapie. Kiedy odprowadzałam ją do wyjścia, zdałam sobie sprawę, że nie jest w stanie prowadzić samochodu: potykała się o własne nogi, nie mogła utrzymać na obcasach, czarny tusz spływał jej po policzku. Kiwając się w przód i w tył na moim ganku, ni stąd, ni zowąd zapytała, czy wiem, gdzie jest jej matka lub jak można się z nią skontaktować, i właśnie wtedy wciągnęłam Krissi z powrotem do domu, ułożyłam na sofie, przykryłam kocem i podałam kanapkę z topionym serem. Przed zapadnięciem w sen starannie odłożyła ćwiartkę kanapki na podłogę, a jak się przewróciła na bok, z kieszeni jej zakietu wytoczyły się trzy buteleczki balsamu. Poczekalam, aż Krissi odpłynie na dobre, po czym włożyłam te balsamy z powrotem do jej kieszeni.

Kiedy nazajutrz się obudziłam, już jej nie było. Zobaczyłam tylko schludnie złożony koc i notkę skrobniętą na odwrocie koperty. „Dzięki. Wybacz”.

O ile wierzyć wersji wydarzeń, przedstawionej przez Krissi, Lou Cates nie zabił mojej rodziny. A ja akurat w tym punkcie wierzyłam jej bez zastrzeżeń.

Postanowiłam więc zlekceważyć dwie wiadomości od Lyle'a oraz zero wiadomości od Diane, i pojechać na spotkanie z Runnerem, by wydusić z niego kilka odpowiedzi. Bez względu na to, co utrzymywała jego dziewczyna, nie sądziłam, że był bezpośrednio zamieszany w morderstwa, ale wzięwszy pod uwagę jego pijaństwo, hazardowe długi i szemranych znajomych, uznałam, że mógł wiedzieć to i owo na ten temat. Niewykluczone, że coś usłyszał lub że zbrodnia była makabryczną zemstą na Runnerze za jego niewypłacalność.

Może też najwyższy czas, abym odzyskała swoją dawną wiarę w Bena; w głębi serca bardzo tego pragnęłam. Teraz wreszcie zrozumiałam, dlaczego przez tak wiele lat nigdy go nie odwiedziłam. Nie chciałam się narażać na pokusę. Jakże łatwo przyszłoby mi zignorować więzienne mury i ujrzeć w Benie mojego podziwianego, kochanego brata, wsłuchać się w tę szczególną kadencję jego głosu, opadającą na końcu każdego zdania, jakby było ostatnim w jego życiu. Już sam widok Bena przywoływał wspomnienia miłych zdarzeń, a może nawet niekoniecznie miłych, a po prostu całkiem zwyczajnych, jednak niosących ze sobą zapach rodzinnego domu. Z czasów, gdy wszyscy jeszcze żyli. Rety, ale mi tego brakowało.

Przy wyjeździe z miasta zatrzymałam się na 7-Eleven i kupiłam mapę oraz serowe krakersy, które okazały się dietetyczne. Mimo to je zjadłam, mknąc na południe w tumanach

pomarańczowego pyłu. W drodze do Oklahomy powinnam się zatrzymać na jakiś posiłek w jednym z wielu przydrożnych barów; powietrze nad autostradą kusiło smakowitymi zapachami frytek, smażonej ryby i pieczonego kurczaka. Ale byłam ogarnięta nienaturalną paniką: nie wiedzieć czemu nabrałam przekonania, że jeżeli się zatrzymam, rozminę się z Runnerem, więc ostatecznie ograniczyłam się do tych nieszczęsnych, dietetycznych krakersów i mączystego jabłka, które znalazłam w rogu mojego kuchennego blatu.

Wciąż nie mogłam pojąć jednego. Dlaczego ten obleśny liścik, który nie był adresowany do Bena, znajdował się w pudle ze szpargałami Michelle. Gdyby Michelle odkryła, że Ben ma dziewczynę, bez wątpienia nie dałaby mu spokoju - tym dotkliwiej by nim poniewierała, im bardziej zależałoby mu na utrzymaniu sekretu. Ben nienawidził Michelle. Mnie tolerował, Debbie ignorował, ale do Michelle zionął niekłamaną nienawiścią. Pamiętam jak pewnego razu wyciągnął ją ze swojego pokoju za ramię; przekrzywiona na bok truchtała za nim na czubkach palców, żeby nie włókł jej po podłodze. A potem cisnął Michelle o ścianę i zapowiedział, że ją zabije, jeżeli jeszcze kiedyś wejdzie do jego pokoju. Ilekroć się do niej odzywał, spod rozciągniętych warg błyskały mu zaciśnięte zęby. Wrzeszczał, że ciągle płacze się pod nogami. Ale też faktem jest, że ona dniem i nocą czaiła się pod drzwiami jego pokoju i nasłuchiwała. Michelle zawsze tropiła cudze sekrety i niemal w każdej rozmowie posuwała się do insynuacji. Przypomniałam to sobie żywo, gdy przeczytałam jej dziwaczne zapiski. Jak się nie ma pieniędzy, plotka może ułatwić ich zdobycie. Skutecznie nakłonić opornych do płacenia. Nawet członków własnej rodziny - Ben bez przerwy gada sam do siebie - oznajmiła Michelle pewnego ranka przy śniadaniu, a wówczas mój brat sięgnął przez stół, zrzucił talerz Michelle na jej kolana - jedzenie katapultowało na wszystkie strony - a ją samą złapał mocno za kołnierz koszuli.

- Zostaw mnie, kurwa, w spokoju! - wrzasnął.

Mama go uspokoiła, odesłała do pokoju, a nam, jak zwykle, wygłosiła kazanie. Jakiś czas później znalazłyśmy kawałki jajka na plastikowym żyrandolu w kuchni - żyrandolu, który wyglądał jak żywcem przeniesiony z taniej pizzerii.

Ale właściwie co to miało za znaczenie? Ben nie wymordowałby swojej rodziny tylko dlatego, że jego młodsza siostra dowiedziała się o istnieniu jakiejś dziewczyny.

Minęłam pole, na którym nieruchomo tkwiły krowy, i przypomniałam sobie, że gdy dorastałam, nieustannie słyszałam pogłoski o szlachtowaniu bydła przez wyznawców diabła. W miejscinach Kansas Zły zawsze czaił się gdzieś w pobliżu, był zjawiskiem równie naturalnym i fizycznie namacalnym jak wzgórze. Nasz kaznodzieja nie należał do tych, którzy nieustannie straszą wiernych ogniem i mękami piekielnymi, a jednak i on dał się

ponieść fali: głosił, że jeżeli nie będziemy czujni, szatan zawładnie naszymi sercami i wyprze z nich Jezusa. Wszędzie tam, gdzie po drodze mieszkałam, były „dzieci diabła” i „domy diabła”, oczywiście równie prawdziwe jak legendarny kłown-morderca grasujący po okolicy w białym vanie. Każdy słyszał o jakimś starym, opuszczonym magazynie na obrzeżach miasta, gdzie pośrodku leżał zakrwawiony materac, służący za ołtarz ofiarny.

I każdy miał kuzyna, którego przyjaciel na własne oczy widział rytuał składania ofiary diabłu, ale był zbyt przerażony, żeby zrelacjonować szczegóły.

Przekroczyłam granicę Oklahomy i miałam jeszcze dobre trzy godziny jazdy przed sobą, gdy uderzył mnie silny zapach czegoś słodkiego i gnijącego zarazem. Był tak gryzący, że do oczu napłynęły mi łzy. W pierwszej chwili ogarnęło mnie niedorzeczne przerażenie, że swoimi rozmyślaniami o diable rzeczywiście przywołałam bestię. Ale chwilę później zobaczyłam w oddali siwe chmury i już wiedziałam, że mam przed sobą papiernię.

Uruchomiłam w radiu tryb skanowania pasma: stacja 1 - kiepska muzyka; stacja 2 - głównie trzaski; stacja 3 - ogłoszenia motoryzacyjne. W efekcie nacisnęłam guzik wyłącznika.

W końcu zobaczyłam tablicę z napisem „Witamy w Lidgerwood, wędrowcze!”, skręciłam w najbliższy zjazd z autostrady i wkrótce znalazłam się w miścinie, która w założeniu miała być atrakcją turystyczną, ale jakiś czas temu najwyraźniej zbankrutowała. Została wystylizowana na miasteczko z czasów Dzikiego Zachodu: przy głównej ulicy królowały witryny z trawionego szkła i saloony. Jeden z lokali usługowych nosił nazwę The Olde Photo Shoppe. Można tam było zamówić familijne zdjęcie w sepii i strojach z okresu pionierów osadnictwa. W oknie wisiała odbitka wielkości plakatu: ojciec rodziny trzymał w ręku lasso i starał się spoglądać groźnym wzrokiem spod ronda zbyt dużego kapelusza; dziewczynka o poważnej minie, zbyt mała, żeby pojąć żartobliwość formy, miała na sobie perkalową sukienkę i kapelusik z budką; matka natomiast była ucharakteryzowana na dziwkę z saloonu, uśmiechała się niepewnie i trzymała ręce skrzyżowane przed sobą w miejscu, gdzie się rozpoczynało rozcięcie halki. Obok odbitki widniała tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Szyldy na sąsiednich budynkach głosiły: Daphne's Daffy Taffy, Buffalo Bill's Amazing Arcade, czy - szczyt idiotyzmu - Watt Earp's Slurpies. Każdy z tych przybytków także czekał na chętnego nabywcę. W ogóle całe miasteczko sprawiało wrażenie mocno przykurzonego. Nawet pętle majaczącej w oddali zjeżdżalni wodnej zdawały się wypełnione pyłem.

Schronisko dla Mężczyzn Berta Nolana było oddalone o trzy przecznice od centrum. Kiedy tam dojechałam, ujrzałam niski, kwadratowy budynek o małym frontowym trawniku porośniętym chwastami - głównie lisią kitą. Jako dziecko lubiałam tę roślinę, skutecznie

przemawiała do mojej dosłowności, ponieważ wyglądała dokładnie tak, jak sugerowała nazwa: na cienkiej nóżce powiewała puchata wiecha, prawdziwa lisia kita, tyle że zielona. Ten gatunek trawy można było znaleźć na całym obszarze naszej farmy - niektóre łąki wręcz całkiem zmonopolizował. Ja i moje siostry zrywałyśmy puszyste czubki i łaskotałyśmy się nimi nawzajem.

Mama nauczyła nas zwyczajowych nazw wielu roślin. Bardzo mi się podobały, bo idealnie oddawały charakter danej rośliny. Jagnięce ucho było miękkie jak ucho jagniątka. Koguci grzebień wyglądał niemal tak samo jak czerwony czub koguta. Wysiadłam z samochodu i przejechałam ręką po lisich kitach. Może powinnam założyć ogród, w którym będę hodować chwasty. Wiatraczą trawę, łudzaco podobną do łopaty wiatraka. Koronkę królowej Anny - białą i pienistą. Dla mnie najbardziej odpowiednia byłaby trawa wiedźmy i do tego czarci szpon.

Drzwi do Schroniska były metalowe i pomalowane na ciemnoszary kolor, niczym na łodzi podwodnej. Przywodziły mi na myśl drzwi w więzieniu Bena. Nacisnęłam na dzwonek i czekałam. Po drugiej stronie ulicy dwaj nastoletni chłopcy, wyraźnie zaintrygowani moją obecnością, wykręcali leniwie ósemki na rowerach. Ponownie nadusiłam guzik dzwonka, po czym uderzyłam pięścią w drzwi, ale ku swojemu zdziwieniu nie usłyszałam żadnego pogłosu. Pomyślałam, że zapytam nastolatków, czy w ogóle ktokolwiek jest teraz w Schronisku - tylko po to, żeby przełamać ciszę - gdy drzwi stanęły otworem i ukazał się w nich mężczyzna rozmiarów krasnala, w oślepiająco białych tenisówkach, odprasowanych dżinsach i kowbojskiej koszuli. Przesuwał w ustach wykałaczkę i nawet na mnie nie spojrzał, tylko przerzucał strony magazynu dla miłośników kotów.

- Noclegownia zamknięta do godziny... - urwał, gdy w końcu zobaczył, kto przed nim stoi. - Wybacz, skarbie, ale to schronisko wyłącznie dla mężczyzn i to takich, którzy już ukończyli osiemnasty rok życia.

- Szukam ojca - powiedziałam, powracając do akcentu z rodzinnych stron. - Runnera Daya. Czy pan jest tutaj kierownikiem?

- Ha! kierownikiem, księgowym, spowiednikiem i sprzątaczem - odparł. - Poza tym byłem alkoholikiem i byłem nałogowym hazardzistą. Oraz byłem beznadziejnym przypadkiem. Nazywam się Bert Nolan. To moje schronisko. Wejdz, skarbie, i przypomnij mi, jak twoja godność?

Znalazłam się w pomieszczeniu, gdzie stało mnóstwo prycz, a od podłogi bił silny zapach środka dezynfekcyjnego. Przeszliśmy wzdłuż rzędu wąskich łóżek o cienkich materacach, które jeszcze nosiły ślady wkłęśnięć po niedawno zajmujących je ludziach, po

czym skrzacik Bert wprowadził mnie do biura wielkości odpowiadającej jego rozmiarom - a także moim - w którym stało małe biurko, szafka na dokumenty i dwa składane krzesła, na których usiedliśmy. Jarzeniowe światło nie było łaskawe dla Berta, który miał cerę poznaczoną głębokimi, ciemnymi porami.

- A tak przy okazji, nie jestem kocim maniakiem. - Machnął w moją stronę czasopismem, które tak pilnie wertował w drzwiach. - Po prostu właśnie wziąłem kotkę, a nigdy wcześniej nie miałem z nimi do czynienia. Nie mogę powiedzieć, że ją polubiłem. Ma ponoć dobrze wpływać na morale moich podopiecznych, ale na razie tylko szcza na wszystkie łóżka.

- Ja mam kota - przyznałam ochoczo, zdumiona, że nagle poczułam przypływ ciepłych uczuć do Bucka. - Jeżeli koty załatwiają się poza kuwetą, to zazwyczaj oznacza, że są zirytowane.

- Naprawdę?

- Uhm. Poza tym to całkiem niewymagające zwierzęta.

- No, no - mruknął Bert Nolan. - No, no. A więc mówisz, że szukasz ojca? Tak, teraz sobie przypominam, rozmawialiśmy przez telefon. Day. Typowy przypadek, takich jak on zjawia się tu wielu. Powinni być szczęśliwi, że ktoś ich szuka, po tym, co narozrabiali w domu. Pieniądze. Zazwyczaj problemem były pieniądze. Albo raczej brak pieniędzy i zbyt dużo gorzały. Taka kombinacja zazwyczaj wyzwała w mężczyźnie wszystko, co najgorsze. Hmm. Runner.

- Dostałam od niego list, w którym pisze, że tu wrócił.

- Chciałabyś go do siebie zabrać, otoczyć opieką?

W czarnych oczach Berta pojawił się nagły błysk, jakby opowiedział zabawny dowcip.

- Nie wiem. Muszę najpierw zobaczyć, co i jak.

- Ha, doskonale. Moje pytanie było podchwytliwe. Ludzie, którzy mówią, że szukają jednego z moich podopiecznych, bo chcą się nim zaopiekować, nigdy tego nie robią. - Nolan przytknął dłoń do nosa. - Rzuciłem palenie, a czasami moje cholerne palce wciąż pachną tytoniem.

- Jest tutaj?

- Runner? Nie. Tutaj nie wolno pić. A jemu po raz trzeci powinęła się noga. Musiał odejść.

- Powiedział, dokąd się wybiera?

- Ha, skarbie, ja nie rozdaję adresów. Taką mam zasadę. Lata praktyki mnie nauczyły,

że to najsensowniejsze rozwiązanie. Ale coś ci powiem, bo wydajesz się miłą dziewczyną...

- Beeeert! - dobiegło nas wycie z dworu.

- Ha, nie zwracaj uwagi na te wrzaski. Jeden z moich podopiecznych chce wejść przed czasem. Ale nic z tego. To kolejna zasada, jakiej nauczyło mnie życie: nigdy, przenigdy nie wpuszczać nikogo przed czasem. I nigdy nie wpuszczać nikogo późną nocą.

Spojrzał na mnie wyczekująco, wyraźnie stracił wątek naszej rozmowy.

- Chciał pan powiedzieć coś, co mogłoby mi pomóc?

- Hę?

- Znaleźć ojca?

- A, tak. Możesz zostawić u mnie list.

- Panie Nolan, już raz to zrobiłam. I właśnie dlatego tu jestem. Ja naprawdę muszę go znaleźć, to bardzo ważna sprawa.

Złapałam się na tym, że przybrałam pozę Runnera: dłonie oparte o kant stołu, pełna gotowość do poderwania się na równe nogi, gdy już na dobre wpadnę we wściekłość.

Nolan wziął w rękę gipsową figurkę przedstawiającą łysego, starego człowieka z rozpostartymi ramionami - może w geście rozpacz. Na podstawie widniał jakiś napis, ale nie mogłam go odczytać. Bert zdawał się czerpać pociechę z dotykania tej figurki. Westchnął ciężko i przeciągłe.

- Cóż, skarbie, powiem ci tak. U mnie go nie znajdziesz, ale wiem, że nie wyjechał z Lidgerwood. Jeden z moich podopiecznych widział go wczoraj przed barem „U Cooneya”. Runner gdzieś się przyczał, ale od czasu do czasu kręci się po okolicy Musisz się jednak przygotować na spore rozczarowanie.

- A to z jakiego powodu?

- Wymień pierwszy lepszy z brzegu.

*

Kiedy Bert Nolan się odwrócił, żeby mnie wyprowadzić ze schroniska, w pierwszym odruchu natychmiast złapałam za małą gipsową figurkę. Zmusiłam się jednak do jej odstawienia, a w zamian podwędziłam ołówkę i paczkę cornnutsów. No proszę, robię jednak postępy. Gdy jechałam do najbliższego baru - wspomnianego baru „U Cooneya” - trofea leżały obok mnie, na sąsiednim siedzeniu.

Cooney, kimkolwiek był, nie poddał się dyktatowi obowiązującej w miasteczku poetyki Dzikiego Zachodu. Jego bar okazał się beznadziejną speluną, za to dumnie osadzoną w teraźniejszości. Otworzyłam drzwi i natychmiast w moją stronę zwróciły się trzy gniewne, mocno pomarszczone twarze, w tym jedna należąca do barmana. Zamówiłam piwo, a on

warknął, że zanim mnie obsłuży, musi zobaczyć moje prawo jazdy. Oglądał je na wszystkie możliwe strony, uniósł nawet pod światło, a kiedy się okazało, że jednak nie jest fałszywe, wydał z siebie przeciągłe chrząknięcie. Na początku siedziałam w milczeniu i z wolna popijałam browar, żeby mężczyźni się oswoili z moją obecnością. W końcu jednak zagałam rozmowę, a gdy wypowiedziałam „Runner”, w barze od razu zaiskrzyło. - Ten cholerny dupek ukradł mi trzy kartony piwa - oświadczył barman. - Zakradł się od zaplecza i w biały dzień zdjął je sobie z dostawczej ciężarówki. Mimo że wiele razy pił tutaj na koszt lokalu.

Facet w średnim wieku, który siedział dwa stołki dalej, przechylił się i złapał mnie gwałtownie za ramię.

- Twój cholerny tatuś wisi mi dwieście dolców. I chcę też dostać z powrotem swoją kosiarkę. Powiedz mu, że wcześniej czy później go dorwę.

- Wiem, gdzie go możesz go znaleźć - odezwał się stary, zdumiewająco drobny mężczyzna z brodą Hemingwaya.

- Gdzie? - spytaliśmy chórem.

- Z innymi jemu podobnymi koczuje na starym, zatrutym wysypisku. Powinniście to zobaczyć, wszędzie ogniska i budy sklecone z czego się da, jak miasteczko żebraków z czasów Wielkiego Kryzysu.

- Po cholere ktoś miałby mieszkać na wysypisku toksycznych odpadów? - warknął barman.

- Bo w takich miejscach nie pojawia się żadna władza.

Mężczyźni parsknęli złym śmiechem.

- Czy można tam pojechać i nie paść przy okazji trupem? - zapytałam.

Oczami wyobraźni już widziałam metalowe, oblepione trupimi czaszkami beczki, z których wypływa jaskrawozielona maź.

- Jasne. Pod warunkiem, że nie będziesz piła wody ze studni i że nie jesteś szarańczą.

Uniosłam pytająco brwi.

- Od tego wzięło się całe skażenie: ziemia jest przesiąknięta arsenikiem. W dawnych czasach tam lądowała niewykorzystana przynęta na szarańczę.

- A oprócz niej wszystkie beznadziejne dupki - dorzucił barman.

Ben Day

2 stycznia 1985, godz. 20:38

Jechali w stronę miasteczka, właśnie zaczął padać śnieg, i nagle Ben sobie przypomniał, że zostawił rower przy starym magazynie.

- Hej! - wrzasnął.

Siedzący z przodu Trey i Diondra prowadzili ożywioną rozmowę, ale Ben nie słyszał, o czym mówili, bo bardzo głośno wyła zgrzytliwa muzyka, jakby ktoś darł na strzępy arkusze metalu.

- Hej! Możemy na moment zajechać pod Bazę, wezmę tylko swój rower?

Trey i Diondra wymienili spojrzenia.

- Nie! - odparowała dziewczyna i wybuchnęła śmiechem.

- Ale tak na poważnie - ten rower jest mi potrzebny.

- Możesz już o nim zapomnieć, chłopie - odezwał się Trey. - Każde gówno zostawione w Bazie natychmiast zmienia właściciela.

Wjechali w Bulhardt Avenue, główną ulicę miasteczka, gdzie jak zwykle nic się nie działo. Diorama kafeterii z hamburgerami jarzyła się żółtym blaskiem, a w środku siedziało kilku najpopularniejszych licealistów, do których kleiły się dziewczyny. Witryny sklepów były pogrążone w ciemności i nawet bar sprawiał wrażenie opustoszałego: przez pojedyncze frontowe okno sączyło się przyćmione światło.

Zaparkowali tuż przed ciemnoniebieskimi drzwiami. Diondra jeszcze sączyła swoje piwo, ale Trey zabrał jej z ręki puszkę i dopił resztę - „dzidzius nie będzie miał nic przeciwko temu”. Stojący na chodniku stary, pomarszczony dziad o nosie i ustach jakby ulepionych z jednego kawałka gliny, rzucił im gniewne spojrzenie, po czym wszedł do baru.

- No, dobra, ruszamy - zarządził Trey i wysiadł z pikapa.

Zauważył, że Ben się waha, wciąż siedzi z tyłu z rękami na kolanach, wetknął więc głowę do samochodu i uśmiechnął się szeroko:

- Nie pękaj, chłopie, jesteś ze mną, a ja ciągle tu piję. Poza tym - cha, cha, cha - zawsze możesz powiedzieć, że wpadłeś odwiedzić tatę w pracy.

Diondra przesunęła palcami po końcach swoich sztywnych loków, po czym u boku Bena weszła za Treyem do baru. Wydęła usta i powiodła wokół leniwym, ociekającym seksem spojrzeniem, jakby właśnie wyrwano ją z marzeń o cudownym facecie, być może

tym, który akurat na nią patrzył. To samo spojrzenie wyzierało ze wszystkich jej zdjęć. Ben włókł się noga za nogą, zgarbiony, niezdarny i kanciasty; czuł się jak ostatni nieudacznik.

W barze było tak gęsto od dymu, że już w progu się zadławił, Diondra natomiast od razu zapaliła papierosa, pewnie żeby dodać sobie lat. Do Treya natychmiast doskoczył koleś o włosach rosnących w dziwnych kępkach - przez co przypominał pierzającego się ptaka - i zaczął coś szeptać Treyowi do ucha. Trey kiwał głową, rozciągał usta, sprawiał wrażenie poważnego i zafrasowanego. Ben pomyślał, że może ten koleś jest tu menedżerem i chce ich wykopać, bo chociaż przez swój makijaż Diondra wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości, to już o Benie nie dałoby się tego powiedzieć. Tymczasem Trey poklepał swojego rozmówcę po ramieniu i powiedział coś w rodzaju:

- Tylko żebym nie musiał cię ścigać, chłopie.

Nerwowy koleś od razu pojaśniał na twarzy i roześmiał się radośnie.

- Nie, nie, w żadnym razie, spokojna głowa.

- Pamiętaj, w niedzielę - rzucił jeszcze Trey. Podeszedł do baru, zamówił trzy piwa i sznapsa, którego wychylił jednym haustem.

Barman był kolejnym siwowłosym, grubym starcem. To zabawne, ale większość obecnych tu facetów wyglądała niemal identycznie. Może wiedli tak ciężkie życie, że ich rysy całkiem się rozmyły, zatraciły wszelką indywidualność. Barman posłał Benowi i Diondrze znaczące spojrzenie, które wyrażało „nie myślcie, że nie wiem, co jest grane”, ale pchnął w ich stronę dwa piwa. Ben oparł nogę o stółek i odwrócił się plecami do baru, siląc się na nonszalancję, bo czuł na sobie spojrzenie Treya, który tylko czekał, żeby go ośmieszyć.

- Widzę go, widzę Runnera - rzuciła Diondra.

Ben już miał ją zapytać, dlaczego z taką poufałością wymawia imię jego ojca, ale nie zdążył, bo Trey krzyknął głośno:

- Ej, Runner, chodź no tutaj!

Na twarzy Runnera pojawił się ten sam wyraz chytrej nerwowości, jak wcześniej na twarzy pierwszego koleśka. Podeszedł swoim zawadiackim krokiem, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie dżinsów, i spojrzał na Treya wytrzeszczonymi oczami o zażółconych białkach.

- No nie mam jeszcze, człowieku, naprawdę nie mam, choć bardzo się starałem coś wyskrobać. Za chwilę miałem do ciebie jechać, wszystko wyjaśnić, wpadłem tu tylko po drodze, na moment. Na razie mogę ci oddać resztę zioła i...

- Nie przywitasz się z Diondrą? - przerwał mu Trey.

Runner drgnął gwałtownie, ale zaraz rozpląnął się w uśmiechu.

- O, cześć, Diondra - che, che, che - rety, muszę być już nieźle nawalony! - Przymrużył jedno oko, wspiął się na palce. - Mam takiego cykora z powodu tej sytuacji, że piję dziś na umór.

- Runner, a widzisz, kto stoi obok Diondry?

Ben nie odwrócił głowy w stronę ojca, zastanawiał się, co mógłby powiedzieć ponad „cześć, tato”, ale nic nie przychodziło mu na myśl, więc sterczał jak kołek, czekając, aż znowu spotka go jakaś gówniana obsuwa.

Runner wyteńczył wzrok, ale w przytłumionym świetle baru nie rozpoznał Bena.

- Cześć... cześć tobie - mruknął niepewnie, po czym spojrzał na Treya. - To twój kuzyn? Nie widzę najlepiej w ciemności, powinienem mieć kontakty, ale...

- To dopiero dobre! - Trey udawał, że parska śmiechem, ale wyglądał na nieźle rozwścieczonego. - Przyjrzyj się uważniej, dupku!

Ben nie wiedział, jak się zachować - czy powinien wyszczerzyć zęby w uśmiechu, niczym panienka mająca nadzieję na branie? Na wszelki wypadek stał sztywno, nieporuszony i wpatrywał się w swoją czarną czuprynę w lustrze z reklamą Schlitza, zawieszonym nad barem. Tymczasem Runner bardzo się wyteżał, w końcu wyciągnął przed siebie rękę, jakby był chciwym, bajkowym trollem, a Ben cudownym skarbem. Podchodził coraz bliżej, potknął się o nogę Bena i ich oczy w końcu się spotkały.

- Aaaaaaa! - Jęknął Runner. Wyglądał teraz na jeszcze bardziej wystraszonego. - Nie ma już rudych włosów.

- Nie poznajesz własnego syna, Runner? Bo to jest twój syn, no nie?

- Tak, tak, to mój syn! Cześć, Ben. Nie moja wina, że nie poznałem w pierwszej chwili. Wszystko przez te włosy. Nie wiedziałem, że znasz Treya.

Ben wzruszył ramionami i patrzył, jak odbicie ojca znika z lustra. Zastanawiał się, ile Runner był winien Treyowi i dlaczego poczuł się nagle jak zakładnik, za którego ktoś zażądał okupu. Chociaż Runner oczywiście miałby to głęboko w dupie, gdyby Bena ktoś naprawdę porwał i chciał załatwić za długi ojca. Ben zastanawiał się także, czy ich wizyta tutaj była rzeczywiście całkiem przypadkowa. Wcześniej wydawało się, że decyzja została podjęta pod wpływem chwili, ale teraz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dzisiejszego wieczoru tak czy inaczej wylądowaliby w tym barze.

- Coś mi tu nie styka, Runner - Trey wznosił nieznacznie głos ponad muzykę country.

- Twierdzisz, że jesteś spłukany, twój syn twierdzi, że jesteś spłukany, a tymczasem zaledwie parę tygodni temu przywiozłeś dużą partię towaru.

- To było marne ziolo, dostałem za bezcen.

Odwrócił się plecami do Bena, wyłączając go z rozmowy, tylko od czasu oglądał się na nerwowo na syna, a jednocześnie próbował skierować Treya ku środkowi baru, podchodząc do niego coraz bliżej i bliżej. Trey jednak nie ruszał się z miejsca i w końcu rzucił złowieszczym głosem:

- Zejdź ze mnie, chłopie.

Runner cofnął się o krok.

- Taa, masz rację - ciągnął Trey - to rzeczywiście nie było dobre zioło. Ale sprzedawałeś po cenie najlepszego.

- Od ciebie nie wziąłem ani centa.

- Nie wziąłeś ani centa, bo jesteś zadłużony u mnie po uszy, gnoju. Ale dobrze wiem, że brałeś dwadzieścia dolców za towar wart dziesięć centów, więc gdzie, do kurwy nędzy, są te pieniądze? Dałeś je żonie na przechowanie?

- Eks! Ekszonie! - wrzasnął Runner. - I nic jej nie dałem, a wręcz przeciwnie - próbowałem wyciągnąć od niej trochę gotówki. Wiem, że ją ma, nawet gdy byliśmy małżeństwem chowała przede mną pieniądze, ciężki szmal ze sprzedaży zbiorów. Zwijała setki w grube rolki i utykała po różnych kątach. Kiedyś znalazłem dwie stowy w nogawce jej rajtek. Może trza by było jeszcze raz do niej pojechać...

Zerknął na Bena, który pilnie się przysłuchiwał słowom ojca, ale udawał, że czuli się do Diondry, nawijał sobie na palec jeden z jej loków. Diondra nie do końca weszła w tę maskaradę.

- Moglibyśmy omówić nasze sprawy na osobności? - Runner wskazał na kąt baru, gdzie trzech potężnych facetów grało w bilard. Najwyższy z nich, stary, błydy i siwowłosy, z tatuażem piechoty morskiej na ramieniu, odstawił kij i wypiął wojowniczo pierś.

- Nic z tego - sprzeciwił się Trey. - Słuchaj chłopie, syn potrzebuje od ciebie pieniędzy. Może nawet bardziej niż ja.

Runner, do tej pory skulony pod groźnym spojrzeniem Treya, podskoczył do Bena i wyprostował się na całą swoją wysokość. Ale okazało się, że Ben urósł od lata, miał teraz jakieś metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i był już wyższy od ojca.

- Jesteś winien Treyowi pieniądze? Twoja mama mówiła, że wpakowałeś się w kłopoty. Masz u Treya długi?! - wrzasnął. Jego oddech wydawał się żółtym oparem - niósł ze sobą odór piwa, tytoniu i kanapki z tuńczykiem, przyprawionej hojnie musztardą. Ben poczuł burczenie w brzuchu.

- Nie, skąd! - zdał sobie ze złością sprawę, że mówi głosem, w którym uległość miesza się ze strachem. Siedząca obok Diondra niespokojnie poruszyła się na stołku. -

Nikommu nic nie jestem winien.

- To niby czemu miałbym ci dawać pieniądze, które zarabiam ciężką harówką, he? - spytał Runner gorzko. - Nigdy nie mogłem pojąć tego wymysłu z darowiznami: z jednej strony alimenty i haracz na utrzymanie dzieci, z drugiej rząd, który pcha łapy do mojej kieszeni. Ja ledwo sam siebie jestem w stanie utrzymać, więc z jakiej racji mam brać jeszcze trzy dodatkowe roboty i oddawać wszystko żonie, która ma WŁASNĄ FARMĘ, a na niej dom i na dodatek czwórkę dzieciaków do pomocy. Jak dorastałem, to za diabła do głowy by mi nie przyszło, że mój tata winien mi utrzymanie, winien mi pieniądze na adidas, na college, na frymuśne koszule czy na...

- Jedzenie - mruknął Ben, wbijając wzrok w swoje stare, popękane buty, upstrzone grudkami galarety od mielonki.

- Co?! Co ty mi tu śmiesz opowiadać?! - Runner przysunął twarz do twarzy syna; jego niebieskie tęczówki pływały w zażółconych białkach niczym ryby w mętnych jeziorach.

- Nic - mruknął Ben.

- Potrzebujesz szmalu na farbę do włosów, tak? Na wizyty w salonie piękności?

- Potrzebuje pieniędzy dla dziewczyny... - wtrącił Trey, ale Diondra natychmiast przejechała palcem po szyi w wymownym geście. Nie, nie, ani słowa więcej.

- No ja z pewnością nie będę kupował prezentów jego dziewczynie - oświadczył Runner. - Ty teraz jesteś dziewczyną Bena, Diondra? Jaki ten świat mały. Tak czy śmak, to nie moja sprawa.

Mężczyźni przy stole bilardowym od pewnego czasu już nie zajmowali się grą, tylko z krzywymi uśmiezkami obserwowali rozwój wypadków. W końcu siwowłosa były żołnierz piechoty morskiej przykuśtykał do baru i położył wielką dłoń na ramieniu Treya.

- Problemy, Trey? Ten tu, Runner, wciąż sam się o nie prosi. Ale daj mu jeszcze dwadzieścia cztery godziny, okej? Zrób to dla mnie.

Silna, imponująco umięśniona ręka zacisnęła się mocniej na ramieniu Treya.

Runner uśmiechnął się przebiegle do Bena, poruszał zawadiacko brwiami, dając do zrozumienia, że obaj powinni być zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

- Nie przejmuj się, koleżko, już wszystko w porządku - rzucił rażno do syna. - Wszystko będzie okej.

Trey usztywnił ramię, widać było, że ma ochotę strącić rękę byłego żołnierza, ale w końcu beznamiętnym wzrokiem spojrzał w przestrzeń.

- Dobra, Whitey. Dwadzieścia cztery godziny. Zrobię to dla ciebie.

- Dzięki, Indiańcu - odparł siwowłosa mężczyzna. Mrugnął okiem i wesoło cmoknął

językiem, jakby przywoływał konia, po czym dołączył do swoich kompanów. Wszyscy trzej wybuchnęli gromkim śmiechem, a chwilę później znowu się rozległ trzask bilardowych kul.

- Ty beznadziejna, tchórzliwa cioto - zwrócił się Trey do Runnera.

- Jutro wieczorem, dokładnie w tym miejscu. Albo tak cię załatwię, że więcej nie staniesz na własnych nogach.

Haloweenowy, triumfalny uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Runnera. Skinął dwukrotnie głową, i odwracając się do baru, rzucił ponuro:

- Świetnie, ale żebyś potem trzymał się ode mnie z daleka.

- Chłopie, ja o niczym innym nie marzę, tylko żeby cię już więcej nie oglądać.

Nadszedł czas się zbierać, mimo to Ben miał nadzieję, że ojciec jeszcze się do niego odezwie, powie przepraszam, do zobaczenia, powie cokolwiek. Ale Runner już negocjował z barmanem, próbował go naciągnąć na drinka na koszt lokalu czy też na koszt Whiteya - tak czy inaczej całkiem zapomniał o synu. Podobnie zresztą jak Trey i Diondra, którzy właśnie znikali za drzwiami. Ben stał z rękami w kieszeniach i kontemplował swoje odbicie w lustrze, takie inne i obce. W końcu zebrał się na odwagę i zwrócił do ojca.

- Ej, hm, tato.

Runner podniósł wzrok wyraźnie zirytowany że wciąż jeszcze musi patrzeć na syna. I właśnie to rozdrażnienie, które ojciec zawsze okazywał na jego widok, sprawiło, że Ben bardzo zapragnął mu w jakiś sposób zaimponować. Chwilę wcześniej pierwszy raz doświadczył poczucia męskiej wspólnoty z Runnerem - przez jedno drobne słowo „koleżko” - i bardzo chciał to powtórzyć. Wyobraził sobie, jak idzie razem z tatą do baru i wspólnie wychylają kilka browarów. Tak naprawdę niczego więcej nie oczekiwał od tego faceta poza okazjonalnym, wspólnym wypadem na piwo.

- Chciałem ci tylko coś powiedzieć - podjął Ben, uśmiechając się nieśmiało. - Może to poprawi ci humor.

Runner patrzył na niego sennym, beznamiętnym wzrokiem.

- Ja... hm... Diondra jest w ciąży. Będziemy mieli dziecko.

Wypowiedziawszy te słowa, uśmiechnął się szeroko, od ucha do ucha, po raz pierwszy poczuł się naprawdę wspaniale. Wkrótce zostanie tatą. Przejmie na siebie odpowiedzialność za małą istotę, która będzie w nim widziała boga i bohatera.

Runner przekrzywił głowę, niepewnym pijackim gestem uniósł szklanekę z piwem, po czym powiedział:

- Tylko się upewnij, że jest twoje. Osobiście bardzo w to wątpię.

I wykręcił się do syna plecami.

*

Trey. z całej siły kopnął oponę pikapa i wykrzyknął przez zduszone gardło:

- Niech ta pierdolona stara gwardia wreszcie powymiera, bo już, kurwa, rzygać mi się chce od tych kitów o honorze i ochronie „swoich ludzi”. W gruncie rzeczy to banda białych staruchów, którzy kurczowo próbują zachować pozory władzy, zanim zaczną srać pod siebie i nosić tabliczki z własnymi nazwiskami na szyi, żeby wiedzieć, na jakie imię reagować. Pierdolony Whitey!

Nagle Trey wycelował palec w Bena.

- A twój stary to ostatni złamas i ani przez chwilę nie wierzę w to jego pierdolenie. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt przywiązany do tatusia, bo zamierzam go rozdeptać jak kawał gówna.

Wszędzie wokół wirował teraz śnieg - osiadał Benowi na koszuli, topniał mu na szyi.

- Ruszajmy stąd, Trey - odezwała się Diondra. Otworzyła drzwi samochodu i przepuściła Bena przodem, żeby mógł zająć miejsce z tyłu. - W przyszłym tygodniu wraca mój ojciec, więc nie zostało mi już wiele życia.

Natomiast Ben najchętniej palnąłby sobie w łeb. Miał jedną, jedyną tajemnicę, której nie wolno mu było nikomu wyjawiać, a tymczasem bezsensownie wygadał się przed Runnerem. Był na siebie tak wściekły, że gdy tylko zajął swoje miejsce, zaczął bić na osłep pięściami o siedzenie, kopać tapicerkę, walić kłykciami o dach, powtarzać: „skurwiel, skurwiel, skurwiel”, a w końcu uderzać głową o szybę, aż z czoła znowu popłynęła krew.

- Skarbie, skarbie, co się dzieje?! - wykrzykiwała Diondra.

- Przysięgam na Boga, kurwa, przysięgam na Boga...

Anihilacja.

W żadnym razie nie może powiedzieć Diondrze, że się wygadał.

- Mam ochotę kogoś zamordować! - rzucił zapalczywie i schował twarz w dłoniach, a Diondra zaczęła coś po cichu omawiać z Treyem.

- Chłopie, twój stary to wyjątkowy kawał gnoja - odezwał się głośno Trey i wrzucił wsteczny bieg, po czym z wizgiem opon wykręcił na ulicę.

Diondra wysunęła rękę do tyłu i głaskała Bena po włosach, dopóki nie podniósł głowy, co przyszło mu z największym trudem. W świetle ulicznych latarni twarz dziewczyny przybrała zielonkawy odcień i nagle Ben wyraźnie zobaczył, jak ona będzie wyglądała za dwadzieścia lat: stanie się pulchna i sflaczała (tak opisywała swoją matkę), a jej skóra pomarszczy się i stwardnieje na podeszwę, jednak nie z powodu wieku, tylko uzależnienia od solarium.

- W schowku jest towar - powiedział Trey.

Diondra otworzyła metalową klapkę, pogrzebała w środku i wyjęła dużą, szklaną fajkę wypchaną ziołem, które zaczęło się sypać na wszystkie strony.

- Ej, ostrożnie - mruknął Trey, a tymczasem dziewczyna pstryknęła zapalniczką i zaciągnęła się głęboko.

Ben wyciągnął rękę po fajkę; mdliło go z głodu, w głowie mu się mąciło od wirujących płatków śniegu iskrzących w świetle mijanych latarni, ale nie chciał się czuć wykluczony. W tym momencie jednak interweniował Trey.

- Chyba nie powinieneś tego palić, przyjacielu. To towar specjalnie dla mnie i dla Diondry. Daje potężnego kopa. A tak a propos, Diondra, muszę znów poczuć w sobie moc, może więc dzisiaj to zrobimy, co? Naprawdę tego potrzebuję.

Dziewczyna siedziała nieporuszona, płatki śniegu wirowały w coraz bardziej szaleńczym rytmie.

- Niewykluczone, że Benowi to też pomoże - naciskał Trey.

- W porządku. Wobec tego zrobimy, co trzeba - zdecydowała. - Skręć w lewo.

A kiedy Ben zapytał, o co im właściwie chodzi, tylko się oboje uśmiechnęli.

Libby Day

Współcześnie

Kiedy tłukłam się bocznymi drogami prowadzącymi do starego wysypiska, niebo przybrało nienaturalną, purpurową barwę. Zastanawiałam się, jak to o mnie świadczyło, że mój ojciec mieszkał na składowisku toksycznych odpadów, a ja po pierwsze nic o tym nie wiedziałam, a po drugie - wcale się tym nie przejmowałam.

Przynęta na szarańczę. W latach trzydziestych mieszano otręby z melasą i arsenikiem, żeby powstrzymać plagę szarańczy, a kiedy ta trutka przestała już być potrzebna, całe jej wory zakopywano wprost do ziemi. I ludzie zaczęli chorować.

Teraz gorzko żałowałam, że nikogo nie zabrałam ze sobą na tę wyprawę. Na przykład Lyle'a, który by się wiercił niespokojnie na sąsiednim siedzeniu, ubrany w jedną z tych swoich przyciasnych kurtek. Powinnam była do niego zadzwonić. Ale powodowana jakimś gorączkowym pędem, tak błyskawicznie się zebrałam do drogi, że nikogo nie powiadomiłam, dokąd się wybieram, i nawet karty kredytowej używałam po raz ostatni na obrzeżach Kansas City, gdzie tankowałam paliwo. Jeżeli coś złego by mnie spotkało, minęłyby tygodnie, zanim ktoś by się zorientował w sytuacji. Jedyne ci faceci z baru mieli by pojęcie o domniemanym miejscu mojego pobytu, jednak nie wyglądali mi na obywateli poczuwających się do obowiązku współpracy z władzami.

- Co za idiotyczne rojenia! - powiedziałam na głos, żeby lepiej wbić to sobie do głowy.

I niemal natychmiast aż się wzdrygnęłam, bo przypomniałam sobie, dlaczego wybrałam się na poszukiwania Runnera: oto spore grono ludzi niezachwianie wierzyło, że to on zabił swoją rodzinę. Ja co prawda nie podzielałam tego przekonania, mimo że, jak się okazało, Runner nie miał alibi na czas zbrodni. Chodzi o to, że on najzwyczajniej w świecie nie pasował do obrazu zabójcy z siekierą w dłoni. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić, jak w napadzie szału wypała ze strzelby, ale siekiera w żadnym razie nie wchodziła w grę. Wymagała zbyt wiele zachodu. Poza tym rano policja zastała go w domu, pogrążonego w pijackim śnie. Owszem, gdyby Runner zamordował moją mamę i siostry, z pewnością poszedłby się napić, ale potem natychmiast zwałby z miasta. Plus - nie miał dość dyscypliny, żeby utrzymać gębę na kłódkę. Każdemu przygodnemu kompanowi od kieliszka od razu by wyznał, co zrobił.

Skażony teren został swego czasu ogrodzony tanią, drucianą siatką, teraz w wielu miejscach podziurawioną. Niemal cały obszar porastało wysokie zielsko, tylko w oddali majaczyły małe ogniska. Jechałam wzdłuż płotu; luźny żwir i twarde chwasty uderzały o podwozie auta coraz bardziej natarczywie, więc w końcu się zatrzymałam. Wsiadłam, cicho zatrzasnęłam drzwi i spojrzałam w stronę dalekich ognisk. Dotarcie do obozowiska na piechotę zajmie mi co najmniej dziesięć minut. Z łatwością prześliznęłam się przez najbliższą dziurę w siatce i ruszyłam przed siebie. Trawy smagały mnie po nogach, a niebo szybko traciło barwy, tylko na horyzoncie widniał jeszcze wąski skrawek różu. Nagle zdałam sobie sprawę, że, nie wiedząc czemu, nucę pod nosem „Uncle John’s Band”.

W pewnym oddaleniu widziałam karłowate drzewka, jednak obszar najbliższych kilkuset metrów porastały wysokie po pas trawy. Znowu przypomniało mi się dzieciństwo, przyjemny, niemal pieszczotliwy dotyk lisich kit na skórze. Stawiałam długie, zdecydowane kroki, aż nagle trafiłam czubkiem buta w żebra jakiejś kobiety - poczułam, jak skórzany szpic dosłownie wchodzi pomiędzy dwie kości.

Kobieta leżała na gołej ziemi w kałuży uryny i tuliła w ramionach butelkę z bimbrem. Po tym, jak na nią nadepnęłam, usiadła na wpół zamroczona. Całą połowę jej zniszczonej twarzy pokrywało zaschnięte błoto.

- Złaż ze mnie! Złaż ze mnie! - wysyczała przez zdumiewająco ładne zęby.

- Co u licha?! - wrzasnęłam i cofnęłam się drobnymi, spłoszonymi kroczkami z uniesionymi rękami, jakbym w żadnym razie nie chciała wejść z tą kobietą w kontakt.

I od razu ruszyłam naprzód, udając, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Miałam nadzieję, że kobieta z powrotem popadnie w stupor, tymczasem ona, pomiędzy jednym a drugim łykiem z butelki, darła się na całe gardło:

- Złaż ze mnie, złaż ze mnie, złaż ze mnie!

Jej krzyki w miarę czasu przechodziły w zaśpiew, a zaśpiew w łkanie.

Te hałasy pobudziły ciekawość trzech mężczyzn, którzy wychylili się zza kępy drzew, ku której się kierowałam. Dwaj z nich wojowniczo piorunowali mnie wzrokiem, natomiast trzeci, najmłodszy, mniej więcej czterdziestoletni i przeraźliwie chudy, zaszarżował w moją stronę z płonącym kijem wyjętym z ogniska. W pierwszym odruchu cofnęłam się o krok, ale natychmiast stanęłam w miejscu z zaciętym wyrazem twarzy.

- Kto tam? Kto idzie? - wrzasnął szkielet.

Mały płomyk migający na końcu kija zgasł w podmuchu wiatru. Facet przetruchtał jeszcze kilka metrów, zatrzymał się naprzeciwko mnie i smętnie spojrzał na zwęglony koniec kija. Wraz z wygaśnięciem ognia jego machismo ustąpiło miejsca zasepieniu.

- Na ten teren nie wolno wchodzić bez specjalnego pozwolenia. Nie możesz tak sobie tu łązić. To nie w porządku.

Miał wylupiąste oczy, umazaną sadzą twarz i zdumiewająco błyszczące, żółte włosy, jakby były jedną rzeczą, na której zależało mu w życiu.

- To nie w porządku - powtórzył, zwracając się teraz bardziej do swoich kompanów niż do mnie.

W tym momencie bardzo żałowałam, że nie zabrałam ze sobą swojego colta i jednocześnie zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu odczuję się pakowania w idiotyczne sytuacje.

- Szukam niejakiego Runnera Daya - powiedziałam.

Oczywiście mój ojciec mógł przybrać jakieś inne imię, doszłam jednak do wniosku, że gdyby nawet tak było, to po kilku piwach od razu by o tym zapomniał i powrócił do własnego. I miałam rację.

- Runnera? A czego od niego chcesz? Okradł cię? Co ci zabrał? Ode mnie wziął zegarek i teraz nie chce oddać.

Skulił się w sobie jak małe dziecko i zaczął kręcić dolnym guzikiem koszuli.

Nagle dostrzegłam gwałtowny ruch kilka metrów dalej, po drugiej stronie ścieżki. Okazało się, że to jakaś ostro rznąca się para. Wykrzywiali twarze w grymasie gniewu lub obrzydzenia, mieli dzinsy spuszczone do kostek, a różowy tyłek faceta wznosił się i opadał w zawrotnym tempie jak pneumatyczny młot. Żółtowłosego koleś zerknął na rozgrywającą się akcję, zachichotał i wymamrotał kilka słów, z których zrozumiałam tylko jedno - „ubaw”.

- Runner niczego mi nie ukradł - powiedziałam głośno, żeby oderwać uwagę szkieletu od kopulujących ciał. - Jestem jego krewną.

- Ruuuuunnerrrrr! - ryknął chudzielec przez ramię, po czym znowu odwrócił się w moją stronę. - Runner mieszka w najdalszym domu, na skraju obozowiska. Masz coś do jedzenia?

Bez słowa ruszyłam dalej przy akompaniamencie wrzasków szczytującej pary. W miarę jak zbliżałam się do centrum koczowiska - jałowego kawałka ziemi, upstrzonego obwisłymi namiotami przypominającymi parasole zniszczone ulewą - widziałam coraz więcej, coraz jaśniejszych ognisk. Przy największym z nich, niczym kapłanka płomienia, siedziała kobieta o obwisłych policzkach i nieobecny spojrzeniu, całkowicie ignorująca czerniejące w ogniu puszki z kipiącą fasolą i zupą. Stosunkowo młoda para o ramionach pokrytych świerzbem wpatrywała się w kobietę z głębi swojego namiotu. Dziewczyna miała na czubku głowy dziecięcą czapkę, a jej twarz była blada niczym rybi brzuch i równie

ohydna. Nieopodal siedzieli dwaj starcy z mleciami wplecionymi we włosy i palcami zachłannie wyjadali z puszek parujący gulasz.

- Rusz się, Beverly! - zawołał chłopak ze świerzbem do kapłanki ognia. - To żarcie już sto razy się ugotowało!

Kiedy przechodziłam przez obozowisko, wszyscy milkli na mój widok. Słyszeli jednak, jak chudzielec wykrzyknął imię „Runner” i jeden ze starców wskazał brudnym palcem na zachodni kraniec wysypiska - „tam jest”. Z obszaru przesyconego gorącym żarem ognisk weszłam w chłód jeżynowych krzewów. Tutaj teren był bardziej pofałdowany, przypominał szerokie oceaniczne fale, wysokie na półtora metra, toczące się równymi rzędami. Za dziewiątą z nich ujrzałam migotliwe światło, jakby pierwszy promień wschodzącego słońca.

Przemieszczając się w górę i w dół, dotarłam w końcu do szczytu ostatniego pagórka i odkryłam źródło światła. Okazało się, że Runner mieszka w dawnym zbiorniku przemysłowym, przypominającym wzniesiony na palach nieduży basen. Wydobywał się z niego blask i przez chwilę się przeraziłam, że jest skażony radioaktywnymi substancjami. Czy trutka na szarańczę świeci w mroku?

Kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam zwiłokrotnione odgłosy krzątania Runnera, jakby chrząszcz biegł wewnątrz metalowego cylindra. Runner przemawiał sam do siebie belferskim, pouczającym tonem - „Trza było o tym pomyśleć wcześniej, panie Mądralo” - a czasza zbiornika wysyłała jego przekaz ku niebu, które teraz przybrało barwę żalobnej sukni. „Aha, wreszcie się doigrałeś, Runnerman” - usłyszałam. Zbiornik wznosił się na wysokość mniej więcej trzech metrów, z jednej strony była do niego przymocowana drabinka, na którą zaczęłam się wspinać, wołając ojca po imieniu.

- Runner, tu Libby, twoja córka!

Nagle dobiegł mnie głośny charkot. Wspięłam się jeszcze kilka prętów w górę, rdza pokrywająca drabinę szczypała mnie w ręce, i zajrzałam do wnętrza zbiornika. Runner stał zwinięty w pół i rzygał jak kot. W końcu wypluł z siebie jakąś zbitą, czerwoną masę, położył się na brudnym, plażowym ręczniku, poprawił na głowie baseballówkę i kiwnął z zadowoleniem głową, jakby właśnie dobrze wykonał zleconą pracę. Wokół niego leżało kilka zapalonych latarek, oświetlając opaloną, kanciastą twarz i stertę rozmaitego złomu: tostery z pourywanymi uchwytami, cynowy rondel, stosik zegarków, złotych łańcuszków i minilodówkę, której nie było tutaj do czego podłączyć. Mój ojciec leżał na plecach, w nonszalanckiej pozie plażowicza, ze skrzyżowanymi nogami i puszką piwa w dłoni. Obok stał zapadnięty karton z kolejnymi dwunastoma puszkami. Ponownie zawołałam go po imieniu i

Runner wyteżył wzrok, a kiedy mnie dojrzał, wysunął w moją stronę nos jak rozsierdzony pies gończy. To był także jeden z moich odruchów.

- Czego tam? - warknął Runner i mocniej zacisnął palce na puszcze. - Mówiłem, że dziś nie handluję.

- Runner, to ja, Libby. Twoja córka.

Uniósł się na łokciu, odwrócił czapkę tyłem do przodu, a potem zaczął wycierać dłonią zaschniętą ślinę z podbródka, jednak z dość marnym skutkiem.

- Libby? - uśmiechnął się szeroko. - Moja mała Libby! Chodź, chodź na dół, kochanie! Przywitaj się ze swoim staruszkiem!

Zwłókł się na nogi i stanął pośrodku zbiornika. Jego głos odbijał się głębokim, melodyjnym echem od metalowych ścian, latarki rzucały na niego dziwaczny blask. Zawahałam się, wiedząc, że drabinka kończy się na krawędzi zbiornika.

- No już, Libby, zapraszam, to nowy dom twojego tatki!

Wyciągnął ku mnie ramiona. Krawędzi od dna zbiornika nie dzieliła zbyt duża odległość, musiałabym jednak dać niezłego susa w dół.

- Rusz się wreszcie! Chryste, przejechałaś taki kawał, żeby się ze mną zobaczyć, a teraz nagle obleciał cię strach? - warknął Runner.

Na takie dictum przełożyłam nogi na drugą stronę i przysiadłam na krawędzi jak stremowana pływaczka, ale po kolejnym „Chryste” Runnera zaczęłam się powoli opuszczać na rękach. Runner zawsze ochoczo przylepiał swoim dzieciom etykietkę mazgajów i tchórzy. Miałam z nim do czynienia tylko przez jedno lato w życiu, ale jakże było ono piekielne. Jego kpiny zawsze na mnie działały: w efekcie zawisałam na wysokich gałęziach drzew, skakałam ze stryszku na siano, rzucałam się do strumienia, chociaż nie umiałam pływać. I po żadnym z wyczynów nie ogarniała mnie satysfakcja, jedynie okropna wściekłość. Teraz opuszczałam się w dół przerdzewiałego zbiornika, ale kiedy zaczęły mi drzeć ramiona, a nogi wierzgać samorzutnie, Runner chwycił mnie w pól, oderwał od ściany i zaczął wirować ze mną dokoła niczym maniak. Nogi fruwały mi w powietrzu, jakbym znowu miała siedem lat, próbowałam postawić je na ziemi, ale wtedy Runner ścisnął mnie jeszcze mocniej, jego ręce podjechały pod mój biust, i teraz już wywijał mną jak szmacianą lalką.

- Przestań, Runner, postaw mnie, przestań!

Uderzyliśmy w dwie latarki, które potoczyły się po podłodze, rzucając ostre błyski na wszystkie strony. Niczym światła, które na mnie polowały tamtej nocy, gdy siedziałam w szuwarach.

- Powiedz „wuj” - zachichotał Runner.

- Puszczaj!

Zawirował jeszcze szybciej. Miałam biust gdzieś w okolicach szyi, pod pachami czułam ból od silnego uścisku Runnera.

- Powiedz „wuj”.

- Wuj! - wrzasnęłam, ogarnięta furją.

Wówczas Runner mnie puścił. Niczym po upadku z huśtawki czułam się jak w stanie nieważkości, zdawało mi się, że wciąż lecę w górę. Wylądowałam na nogach, wykonałam trzy duże kroki, zatoczyłam się i wpadłam na ścianę. Rozległ się metaliczny huk. Zaczęłam rozcierać bolące ramię.

- Kurde, moje dzieciaki były zawsze okropnymi mazgajami! - wysapał Runner. Stał zgięty w pół, z rękami opartymi o kolana. Ale już moment później się wyprostował i pokręcił szyją, w której coś głośno zachrupotało. - Podaj mi piwo, kochanie.

Taki właśnie zawsze był Runner - w jednej chwili kompletnie stuknięty, w następnej pozornie całkiem normalny, oczekujący, że każdy zapomni o doznanym od niego upokorzeniu. Skrzyżowałam bojowo ramiona na piersi; ani mi się śniło schylać po jakieś piwo.

- Do diabła, Debby, eee... znaczy się, Libby, a ty co, walczysz teraz o wyzwolenie kobiet? Rusz się i pomóż swojemu staruszkowi.

- Wiesz, dlaczego tu przyjechałam, Runner?

- Nie.

Podszedł do kartonu z piwem i chwycił kolejną puszkę, posyłając mi znaczące spojrzenie spod uniesionych brwi. Jadąc tu, podejrzewałam, że mój widok będzie dla niego szokiem, ale Runner już dawno zmacerował sobie alkoholem tę część mózgu, która odpowiadała za zdolność do odczuwania zaskoczenia. Jego dni były tak bezcelowe i puste, że właściwie wszystko mogło się zdarzyć, nie wyłączając wizyty córki, której nie widział od kilku lat.

- Ile to minęło od naszego ostatniego spotkania, moja mała? Dostałaś tę popielniczkę z flamingami, co ci wysłałem?

Wspomnianą popielniczkę dostałam ponad dwie dekady temu, kiedy byłam niepalącą dziesięciolatką.

- Pamiętasz list, który do mnie napisałeś? Ten na temat Bena? List, w którym twierdzisz, że to nie on... nie Ben jest winny.

- Na temat Bena? A niby czemu miałbym pisać o tym palancie? To zły chłopak. Wiesz, nie ja go wychowałem, tylko jego mama. To jej sprawa. Urodził się odmieńcem i taki

już pozostał. Gdyby był zwierzęciem, to tym najsłabszym z miotu, więc od razu zostałyby ukatrupiony.

- Przypomnij sobie ten list. Za ledwie sprzed paru dni. Napisałeś mi, że umierasz i chcesz powiedzieć prawdę o wydarzeniach tamtej nocy.

- Czasem się zastanawiam, czy on w ogóle był moim dzieciakiem. Kiedy się nim zajmowałem, to zawsze się czułem jak ostatni frajer. Miałem wrażenie, że ludzie się naśmiewają za moimi plecami. Bo on w niczym mnie nie przypominał. Był stuprocentowym synkiem mamusi.

- W liście - skup się na liście, Runner, tym co niedawno mi wysłałeś - w liście napisałeś, że Ben tego nie zrobił. Słuchaj, czy ty wiesz, że Peggy odwołała swoje zeznania? Pozbawiła cię alibi? Peggy, twoja dawna dziewczyna?

Runner pociągnął długi łyk piwa, wykrzywił twarz, a potem wysunął kciuk w kieszeń dzinsów i parsknął zjadliwym śmiechem.

- Taaa, rzeczywiście do ciebie napisałem. Zupełnie wyleciało mi to z głowy i, owszem, umieram. Mam miętko... jak to się mówi, gdy psuje ci się wątroba?

- Marskość?

- No, no. Właśnie. I do tego coś z płucami. Ponoć nie zostało mi więcej niż rok życia. Wiedziałem, że trza się było ożenić z kobietą, co ma ubezpieczenie zdrowotne. Peggy miała ubezpieczenie, wciąż chodziła sobie czyścić zęby, dostawała RECEPTY. Wypowiedział to słowo tak, jakby mówił o objadaniu się kawiozem. RECEPTY. - Pamiętaj, żeby zawsze mieć ubezpieczenie, Libby. To bardzo ważne. Bez ubezpieczenia jesteś nikim. - Wpatrzył się w wierzch własnej dłoni, potem gwałtownie zamrugnął oczami. - No więc tak. Napisałem ci list. Kilka spraw trza by wyjaśnić do końca. Dużo złych rzeczy wydarzyło się w dniu zbrodni. To był fatalny dzień. Przeklęty. Przeklęty dzień Daya. - Wskazał na siebie palcem. - Ale, kurde, tuż po tych morderstwach wszyscy we wszystkich widzieli winnych, gliny zapuszkowałyby każdego, kto by im się nawinał pod rękę. Więc nie mogłem powiedzieć, co wiem, tak jak normalnie bym zrobił. Wtedy składanie zeznań nie było dobrym posunięciem.

Opowiadał o tym takim tonem, jakby mówił o banalnej transakcji biznesowej. Miałam ochotę złapać cynowy rondel i trzasnąć go nim w głowę.

- Cóż, teraz już możesz wszystko wyznać. Co naprawdę się wydarzyło, Runner? Chcę to wreszcie usłyszeć. Ben siedzi w więzieniu od ponad dwudziestu lat, więc jeżeli coś wiesz, musisz o tym opowiedzieć.

- I co, też wylądować w pudle?

Prychnął z oburzeniem, po czym usiadł na swoim plażowym ręczniku i wysmarkał

nos w jego róg.

- Twój braciszek wcale nie był niewinnym dzieckiem we mgle. Wdał się w czarną magię, w to całe szatańskie popapraństwo. A jak paktujesz z diabłem, wcześniej czy później wylądujesz w piekle... powinienem wiedzieć, co się święci, kiedy go zobaczyłem z Treyem Teepano, tym pierdolonym... kutasem.

Trey Teepano. To nazwisko ciągle gdzieś wyływało, ale prowadziło donikąd.

- A co on takiego zrobił?

Runner uśmiechnął się od ucha do ucha, jeden złamany ząb zahaczył o dolną wargę.

- Kurde, ludzie naprawdę gówno wiedzą na temat tamtej nocy. A to dopiero niezły numer.

- To nie jest niezły numer, Runner. Moja mama zginęła, mój brat gnije w więzieniu. Pomordowano twoje dzieci.

Przekrzywił głowę, wpatrzył się w sierp księżycy.

- Ty żyjesz - zauważył.

- Ale Michelle i Debby nie żyją. Podobnie jak Patty.

- Zastanawiasz się czasami, czemu ty nie zginęłaś? - Splunął galaretowatą, krwistą flegmą. - To dość dziwne, no nie?

- Co Trey Teepano ma z tym wszystkim wspólnego? - spytałam ponownie.

- Czy jak powiem prawdę, dadzą mi w nagrodę jakieś pieniądze?

- Uhm, zapewne.

- Nie jestem całkiem bez winy w tej sprawie. Podobnie jak Ben i podobnie jak Trey.

- Co takiego zrobiłeś, Runner?

- Komu w końcu przypadły w udziale te wszystkie pieniądze? Bo nie mnie.

- Jakie pieniądze? Nie mieliśmy żadnych pieniędzy.

- Twoja matka miała. Ta suka pierwszej wody zawsze miała gotówkę.

Świdrował mnie gniewnym wzrokiem, jego rozszerzone źrenice całkiem zasłoniły tęczę, niebieskie oczy zamieniły się w czarne, żarzące lampy. Runner znowu przekrzywił głowę, ale tym razem gwałtownie niczym drapieżna bestia, i ruszył w moją stronę. Uniósł dłonie w górę, jakby chciał mi pokazać, że nie ma złych zamiarów, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że jest wręcz przeciwnie.

- A co się stało z pieniędzmi z polisy Patty? To kolejna tajemnica. Bo nie ja je dostałem, to pewna.

- Nikt ich nie dostał. Wszystko poszło na obronę Bena.

Runner już wisiał nade mną, próbował mnie zastraszyć jak w dzieciństwie. Był bardzo

niskim mężczyzną, ale i tak miał nade mną przewagę jakichś piętnastu centymetrów. Teraz na dodatek dyszał ciężko, zionąc odorem ciepłego piwa.

- Co się wydarzyło tamtej nocy, Runner? - nie dawałam za wygraną.

- Twoja mama zawsze chowała całą forszę dla siebie, ani razu mi nie pomogła. Choć przez lata harowałam na farmie jak dziki osioł, nigdy nie zobaczyłem ani centa. Cóż, w końcu sama na siebie ściągnęła nieszczęście. Gdyby tamtego dnia dała mi tę gotówkę...

- Tamtego dnia przyszedłeś do niej po kasę?

- Całe życie byłem winien komuś pieniądze. Zawsze tonąłem w długach, nie mogłem wyjść na prostą, zacząć wszystkiego od nowa. A ty masz forszę, Libby? Do diabła, pewnie, że masz, przecież napisałaś tę swoją książkę, no nie? Więc ty też nie jesteś całkiem bez winy. Daj mi trochę pieniędzy, Libby. Odpal swojemu staruszkowi odrobinę gotówki. Kupię sobie wątrobę na czarnym rynku, a potem zeznam, co tylko zechcesz. Powiem wszystko, co mi każe moja mała dziewczynka.

Dźgnął mnie dwoma palcami w pierś i powoli cofnęłam się o kilka kroków.

- Jeżeli w jakikolwiek sposób jesteś uwikłany w tę zbrodnię, prawda wyjdzie na jaw, Runner.

- Eee, nie wyszła wtedy, to nie wyjdzie i teraz. Myślisz, że co, że ci gliniarze, prawnicy i wszyscy inni, którzy stali się sławni dzięki tej sprawie... - Zaczął wymachiwać palcem. - Myślisz, że oni teraz powiedzą „ups, przepraszamy, drobna pomyłka, tak się zdarza, Benny, chłopcze, teraz już możesz ruszać na wolność i wreszcie cieszyć się życiem”? Nigdy w świecie. Bez względu na to, co się stało tamtej nocy, twój brat będzie siedział już do końca życia.

- Nie będzie, jeżeli powiesz prawdę.

- Wiesz co, jesteś taką samą... upierdliwą cipą jak twoja matka. Ona też nigdy nie ułatwiała nikomu życia, zawsze musiała iść pod prąd. Gdyby przez te wszystkie lata choć raz mi pomogła... ale tego nie zrobiła, bo była wredną suką. Nie chcę przez to powiedzieć, że zasłużyła na śmierć. - Zaśmiał się, odgryzł kawałek skórki przy paznokciu. - Ale, kurde, lekko to z nią nie było. I na dodatek wychowała syna na pieprzonego gwałciciela dzieci. Chory gnojek. Ten chłopak nigdy nie umiał się zachować jak mężczyzna. O, a przy okazji, powiedz Peggy, że może mi skoczyć na druta.

W tym momencie się odwróciłam, żeby wreszcie stąd wyjść, gdy nagle sobie uświadomiłam, że nie zdołam się wydostać bez pomocy Runnera. Ponownie stanęłam z nim twarzą w twarz.

- Mazgaj Ben. Naprawdę sądzisz, Libby, że sam dokonał tych morderstw? Taki

mięczak?

- Kto więc wtedy był w naszym domu, Runner? Co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- Próbuję powiedzieć, że Trey chciał tego dnia forsy, był bukmacherem i żądał zapłaty.

- Od ciebie?

- Nie zamierzam teraz rzucać na nikogo „kalumniów”, ale prawdą jest, że Trey paraf się bukmacherką. I tamtej nocy był razem z Benem. Jak według ciebie twój brat wrócił na tę cholerną farmę?

- Jeżeli uważasz, że Trey Teepano wymordował naszą rodzinę, musisz to zeznać na policji. O ile w tym, co mówisz, jest choć ziarno prawdy.

- Kurde, ty zupełnie nic nie rozumiesz. - Złapał mnie za ramię. - Masz wielkie oczekiwania, chcesz wszystko dostać za darmo, dosłownie za nic... pisałem ci, żebyś przywiozła pieniądze. Tak czy nie?

Wyrwałam ramię, chwyciłam minilodówkę i zaczęłam ciągnąć ją w stronę krawędzi, w miejsce, gdzie kończyła się drabinka. Żelastwo grzechotało głośno, zagłuszało słowa Runnera. Weszłam na lodówkę, ale rękami wciąż nie mogłam dosięgnąć krawędzi.

- Daj mi pięćdziesiąt dolców, to cię podsadzę - zaproponował Runner, leniwie mierząc mnie wzrokiem. Zignorowałam jego słowa, wspięłam się na palce, wyciągnęłam na całą swoją długość, ale lodówka zachybotła się pod mną i przewróciła na bok. Padłam jak długa na zardzewiałe dno zbiornika, huknęłam się w szczękę, przygryzłam sobie język. Do oczu napłynęły mi łzy bólu, tymczasem Runner wybuchnął głośnym śmiechem.

- Chryste, co za łamaga - mruknął, spoglądając na mnie z góry. - Boisz się mnie, mała?

Skoczyłam za lodówkę, nie spuszczać oczu z Runnera, a jednocześnie szukałam po omacku czegoś, z czego mogłabym zbudować piramidę prowadzącą do wolności.

- Ja nie zabijam małych dziewczynek - rzucił ni z gruszki, ni z pietruszki. - Nigdy bym nie zabił żadnej dziewczyny. - Nagle oczy mu pojaśniały. - Ej, czy kiedykolwiek odnalazła się Dierdra?

Pomimo przekłamania doskonale wiedziałam, o kogo chodzi.

- Diondra?

- Aha! Di-on-dra!

- A co ty o niej wiesz?

- Zawsze się zastanawiałem, czy ją też zabili tamtej nocy, bo już później nikt jej

więcej nie widział.

- Mówisz o... dziewczynie Bena? - podsunęłam.

- Uhm, no chyba. Kiedy ostatni raz ją spotkałem, była razem z Treyem i Benem. Zawsze miałem nadzieję, że może jakoś im uciekła, i że jednak zostałem dziadkiem.

- Co ty wygadujesz?

- Ben zrobił jej dzieciaka. Tak przynajmniej twierdził. Wręcz się tym przechwalał, myślałby kto, że to wielka sztuka. Widziałem Diondrę tamtej nocy, a potem przepadła jak kamień w wodę. No więc się martwiłem, że też straciła życie. Przecież ci wyznawcy diabła wyczyniają takie rzeczy - zabijają kobiety w ciąży i ich nienarodzone dzieci, co nie? Tak czy owak, dziewczyna zniknęła.

- I nie poinformowałeś o tym policji?!

- A bo to mój interes?

Patty Day

2 stycznia 1985, godz. 21:12

W domu na kilka sekund zapanowała idealna cisza po tym, jak Runner odjechał z wizgiem opon, by kogoś innego nagabywać o pieniądze. Patty słyszała, że jego dziewczyną była teraz Peggy Bannion. Czemu jej nie pójdzie zamęczać o gotówkę?

Bo pewnie już wyciągnął wszystko, co się dało, uznała Patty w duchu.

Jedna sekunda... druga... trzecia... I nagle dziewczynki zarzuciły ją pytaniami, swoimi lękami, ich małe ręce były na całym jej ciele, jakby córki próbowały się ogrzać przy ledwo tłącym się ogniu. Tym razem Runner naprawdę mógł wzbudzić strach. Zawsze miał w sobie jakąś złowrogość i zazwyczaj wpadał w gniew, gdy coś nie szło po jego myśli, ale dziś po raz pierwszy sprawiał takie wrażenie, jakby naprawdę był gotowy ją skrzywdzić. Kiedy byli małżeństwem, dochodziło do przepychanek, głównie lekkich uderzeń w potylicę, które miały bardziej upokarzać i irytować, niż sprawić fizyczny ból. „Dlaczego w lodówce jest tak mało żarcia?” Plask! „Dlaczego ten dom jest taką gównianą norą?” Plask! „Gdzie się podziała forsa, Patty?” Plask, plask, plask! „Słyszysz, co do ciebie mówię, dziewczyno? Co zrobiłaś z forszą?” Ten facet miał obsesję na punkcie pieniędzy. Nawet w rzadkich momentach przyływu ojcowskich uczuć, gdy grał z dziećmi w Monopol, głównie podbierał pieniądze z Banku, chciwie chomikował pomarańczowe i fioletowe banknoty. „Nazywasz mnie oszustem?” Plask! „Twierdzisz, że twój starszerek oszukuje, Ben?” Plask! „Myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie?” Plask!

Niemal po godzinie od odjazdu Runnera dziewczynki wciąż się do niej kleiły, oblegały ją ze wszystkich stron, pytały, co się stało, w jakie kłopoty wpadł Ben, dlaczego tato tak się wściekł. Co ona zrobiła tacie, że tak bardzo się zezłościł? Tylko Libby siedziała daleko od Patty, skulona w sobie, z kolanami pod brodą. Ssała kciuk i w swoim zatroskanym rozumku próbowała przetrwać wizytę w domu Catesów i spotkanie z gliniarzem. Wyglądała na rozpaloną, a kiedy Patty wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jej policzka, odsunęła się gwałtownie.

- Wszystko w porządku, Libby.

- Nieprawda. - Dziewczynka spojrzała nieruchomymi oczami na matkę. - Chcę, żeby Ben do nas wrócił.

- Wróci - zapewniła Patty.

- Skąd wiiiiieesz? - zapiszczała żałośnie.

Debby natychmiast podchwyciła temat.

- Mamo, dowiedziałaś się, gdzie jest Ben? Dlaczego nie możemy go znaleźć? Czy ma kłopoty z powodu swoich włosów?

- Już ja dobrze wiem, czemu ma kłopoty - oznajmiła Michelle swoim najbardziej bałamutnym tonem. - Z powodu seksu.

Patty zwróciła się w stronę córki, rozsierdzona tą afektowaną, plotkarską kadencją głosu. Od razu stanęły jej przed oczami baby wymieniające szeptem rewelacje w supermarkecie. Właśnie teraz ludzie z okolic Kinnakee takim tonem rozprawiali o ich rodzinie. Patty złapała córkę za ramię - o wiele mocniej, niż zamierzała.

- Co to ma znaczyć, Michelle?

- Nic, mamo, zupełnie nic - bąknęła Michelle. - Tak sobie tylko powiedziałam, ja nic nie wiem.

I natychmiast uderzyła w płacz, jak zawsze, gdy narozrabiała i miała tego świadomość.

- Ben jest twoim bratem. Nie wolno mówić brzydkich rzeczy o własnym bracie. Czy to w domu, czy - w szczególności - poza domem. Ani w szkole, ani w kościele, ani w żadnym innym miejscu.

- Ale, mamo... - podjęła Michelle, ciągle płacząc - ...ja nie lubię Bena.

- Nie opowiadaj takich bzdur.

- On jest niedobry i robi różne złe rzeczy, wszyscy w szkole wiedzą, że...

- Że co, Michelle? - Patty miała wrażenie, że płonie jej czoło, żalowała, że nie ma teraz w pobliżu Diane. - Zupełnie nie rozumiem, co ty właściwie wygadujesz. Chcesz mi powiedzieć, że Ben zrobił ci... coś złego?

Obiecała sobie, że nigdy nie zada tego pytania; uważała, że już samo snucie podobnych domysłów jest zdradą wobec syna. Kiedy Ben był o wiele młodszy, miał jakieś sześć - siedem lat, wślizgiwał się w nocy do jej łóżka, a gdy się budziła, łapała go na tym, że przesiewa między palcami jej włosy lub obejmuje dłonią jej pierś. To były zupełnie niewinne, ale krępujące zabawy i Patty zrywała się jak oparzona z łóżka, owijała ciasno koszulą nocną i szlafrokiem niczym spłoszona dziewczica. „Nie, nie, nie, mamy nie dotyka się w taki sposób”. Nigdy, przenigdy jednak nie podejrzewała, że Ben mógłby skrzywdzić którąś z siostr - aż do tej chwili. Pozwoliła więc, by jej pytanie zawisło w powietrzu, a tymczasem Michelle coraz bardziej się denerwowała, przesuwała swoje duże okulary w górę i w dół spiczastego nosa. I cały czas płakała.

- Michelle, przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. Ben ma poważne kłopoty. A teraz powiedz mi spokojnie, czy zrobił ci coś, o czym powinnam wiedzieć?

Patty była zupełnie rozchwiana nerwowo: w jednej chwili ogarniała ją straszna panika, w następnej - całkowite zobojętnienie. Teraz znowu zaczął wzbierać w niej strach, rozedrganie jak przy starcie samolotu.

- A co niby takiego miałyby mi zrobić?

- Czy dotykał cię w dziwny sposób? W taki, w jaki brat nie powinien dotykać siostry?

Teraz rozpoczęła się faza swobodnego opadania, jakby nagle wysiadły wszystkie silniki.

- On dotyka mnie tylko wtedy, gdy mnie szarpie, ciągnie za włosy lub popycha - wygłosiła Michelle swoją zwyczajową litanie.

Ulga. Boże, cóż za ulga.

- A więc co takiego opowiadają o nim w szkole?

- Że jest świrem. Wstydzę się za niego. Nikt go nie lubi. To znaczy tylko zajrzyj do jego pokoju, mamó. Trzyma tam same pokręcone rzeczy.

Już miała skarcić Michelle i po raz nie wiedzieć który pouczyć, że nie wolno jej wchodzić do pokoju Bena bez jego pozwolenia, ale ugryzła się w język. Przypomniała sobie, co mówił detektyw Collins o zwierzęcych organach w plastikowych pojemnikach. Nagle zobaczyła je oczami wyobraźni. Niektóre zasuszone na kamień, inne gnijące, wydzielające obrzydliwy odór po otwarciu wieczka.

Patty poderwała się z sofy. Co on właściwie trzymał w swoim pokoju?

Ruszyła przez hol i jak zwykle się potknęła o ten pioruński kabel telefoniczny. Minęła drzwi z kłódką, przeszła jeszcze kilka kroków, skręciła w lewo, minęła pokój dziewczynek i wkroczyła do własnej sypialni. Wszędzie walały się skarpetki i buty, porzucone szczątki codzienności.

Otworzyła szafkę nocną i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła kopertę. „Na wypadek nagłej potrzeby” - na kopercie widniało wydłużone, płynne w liniach pismo Diane, identyczne jak pismo ich mamy. W środku znajdowało się pięćset dwadzieścia dolarów w gotówce. Patty nie miała pojęcia, kiedy siostra zakradła się do jej pokoju i zostawiła te pieniądze. Ale teraz bardzo się cieszyła, że o nich nie wiedziała, bo Runner na pewno by wyczuł, że coś przed nim ukrywa. Uniosła pieniądze do nosa, powąchała. A potem wetknęła kopertę z powrotem na swoje miejsce, wyjęła natomiast przecinak do metalu, który kupiła przed kilkoma tygodniami - tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś z jakichś względów musiała koniecznie wejść do pokoju Bena. Wtedy, kiedy go kupowała, była bardzo

zawstydzona swoim postępkami. Teraz z przecinakiem w ręku wymaszerowała z sypialni. Po drodze rzuciła okiem na pokój dziewczynek. Istna noclegownia. Pod każdą ze ścian - z wyjątkiem tej, na której były drzwi - stało łóżko. Patty wyobraziła sobie, jak wchodzi tu policjanci i marszczą nosy - one wszystkie śpią w jednym pomieszczeniu? - a potem uderzył ją zapach uryny, co oznaczało, że któraś z dziewczynek zmoczyła minionej nocy łóżko. A może to było dwie noce temu?

Przez chwilę rozważała, czy natychmiast nie zmienić pościeli, w końcu jednak skierowała się do pokoju Bena i stanęła naprzeciwko nalepki z gitary Fendera, którą syn już do połowy zdrapał. Przeżyła drobny moment słabości, zrobiło jej się niedobrze i prawie zdecydowała, że nie chce niczego wiedzieć ani oglądać. A co, jeżeli znajdzie inkryminujące zdjęcia, przyprawiające o mdłości polaroidowe fotki?

Ciach! Kłódka spadła na wykładzinę. Patty fuknęła na córki, wychylające głowy z dużego pokoju niczym spłoszone sarny. Kazała im wracać przed telewizor. Musiała powtarzać trzy razy - „idź oglądać telewizję; idź oglądać telewizję; idź oglądać telewizję!” - zanim Michelle w końcu dała za wygraną.

Łóżko Bena było niezaścielone, pościel zmierzwiona pod stertą dżinsów, swetrów i kurtek, ale poza tym panował tu porządek. Na biurku leżały bruliony oraz kasety, stał globus z nieaktualną mapą polityczną, który kiedyś należał do Diane. Patty puściła go w ruch i stuknęła palcem na chybił trafił, zostawiając w kurzu ślad gdzieś w okolicach Rodezji. Potem zaczęła przerzucać zeszyty. Na okładkach widniały loga muzycznych zespołów: Venom, Iron Maiden, AC/DC z błyskawicą zamiast ukośnej kreski. W jednym z brulionów Ben wyrysował pentagramy i zapisał „poematy” o mordowaniu i szatanie.

*Dziecko jest moje,
Ale i nie moje,
Bo szatan ma
Mroczne plany swoje.
Każe zabić narodzonego,
Każe zabić matkę,
A potem poszukać
Innych na dokładkę.
I zabijać dalej.*

Znowu zrobiło jej się niedobrze, jakby od gardła po miednicę przelała się przez nią

fala kwasu. Przekartkowała kilka innych zeszytów, a gdy wzięła w rękę ostatni brulion, od razu otworzył się w samym środku. Na kilku stronach widniały wyrysowane długopisem kobiece pochwy z zagłębiającymi się w nie rękami; macice z jakimś stworami w środku, szczerzącymi zęby w demonicznym uśmiechu; ciężarne kobiety o rozciątych brzuchach, z których wypadały dzieci.

Patty wstrząśnięta opadła na krzesło. Ale nadal przeglądała zeszyt, aż trafiła na stronę, zapisaną rzędem dziewczęcych imion: Heather, Amanda, Brianne, Danielle, Nicole. A potem już tylko coraz bardziej ozdobną, gotycką kursywą: Krissi, Chrissy, Krissie, Krissi Day, Krissi Dee Day, Krissi D. Day, Krissi D-Day!

Krissi Day pośrodku wymalowanego serca.

Patty oparła głowę o zimny blat biurka. Krissi Day. Jakby jej syn zamierzał pojąć za żonę małą córkę Catesów Ben i Krissi Day. Czy takie właśnie miał rojenia? Czy uważał, że one usprawiedliwiają to, co zrobił tej dziewczynce? Czy wyobrażał sobie, że przyprowadza ją do domu na obiad i przedstawia mamie jako swoją dziewczynę? Do tego jeszcze Heather. Tak miała na imię córka Hinkelów, która też była w domu Catesów. Czy reszta listy zawierała imiona jeszcze innych dziewczynek, które skrzywdził?

Głowa jej ciążyła niczym z ołowiu, postanowiła więc, że nie podniesie się z krzesła. Posiedzi przy tym biurku tak długo, aż ktoś jej powie, jak powinna postąpić. Była w tym mistrzynią. Czasami siedziała w jednym miejscu godzinami - głowa jej podrygiwała jak u pensjonariusza domu starców - i wracała myślami do czasów dzieciństwa, kiedy to rodzice układali jej plan zajęć, mówili, o której godzinie należy kłaść się spać lub wstawać z łóżka, i co robić w ciągu dnia. W owym czasie nikt nie oczekiwał od niej podejmowania jakichkolwiek decyzji. Patty patrzyła na skołtunioną pościel we wzorek w samoloty i przypomniała sobie, że rok temu Ben poprosił ją o nową - całkiem zwykłą, zupełnie gładką. I nagle dostrzegła też kawałek plastiku wystający spod ramy łóżka.

Opadła na czworaki i wyciągnęła starą torbę na zakupy. Była dość ciężka, zakołysała się niczym wahadło. Patty zajrzała do środka i zobaczyła ubrania; dopiero po chwili dotarło do niej, że patrzy na desenie zdobiące zazwyczaj odzież dziewczynek: kwiatki, serduszka, muchomorki, tęcze. Wyrzuciła wszystko na podłogę pełna obaw, że za chwilę wypadną z torby te obrzydliwe polaroidy, których za żadne skarby nie chciała oglądać. Ale zobaczyła jedynie ubrania, głównie majtki i podkoszulki w różnych rozmiarach - dla dzieci w wieku Krissi, ale i dla niemowlaków. Były używane. Noszone swego czasu przez małe dziewczynki. Tak jak przepowiedział detektyw.

Patty szybko wepchnęła ubrania z powrotem do torby.

Jej syn. Jej syn trafi do więzienia. Farma pójdzie pod młotek, Ben będzie siedział za kratami, a dziewczynki... Nagle, jak jej się ostatnio często - zbyt często - zdarzało, uświadomiła sobie, że nie potrafi normalnie funkcjonować. Ben potrzebował adwokata, a ona nie wiedziała, gdzie go szukać i od czego zacząć.

Wróciła do dużego pokoju. Po głowie kołatała jej się jedna, nieznośna myśl: Bena czeka proces. Ostro huknęła na dziewczynki, kazała zmykać do swojego pokoju, a one spoglądały na nią z rozwartymi ustami, przestraszone, ale i urażone zarazem. Tymczasem do Patty dotarło nagle, że przez to, kim jest - zagubioną, niekompetentną, samotną matką - zaszkodzi wizerunkowi własnego syna. Włożyła więc szybko do kominka podpałkę i parę gazet, dorzuciła kilka polan i podpaliła ubrania z torby. W chwili, gdy zajmowały się ogniem majtki, ozdobione stokrotkami przy gumce, odezwał się dzwonek telefonu.

*

To był Len. Patty próbowała się wymigać od rozmowy, tłumaczyła, że ma teraz zbyt wiele ważnych spraw na głowie, by rozmawiać o eksmisji. Jej syn wpadł w tarapaty...

- Właśnie dlatego dzwonię - wszedł jej w słowo Len. - Słyszałem o Benie. Zanim dotarła do mnie ta wiadomość, nie zamierzałem się z tobą kontaktować. Ale... Myślę, że mógłbym ci pomóc. Nie wiem, czy będzie ci odpowiadać taka forma. Znalazłem jednak pewne wyjście z sytuacji.

- Wyjście dla Bena?

- Wyjście, dzięki któremu będziesz mogła zdobyć fundusze na adwokata. O ile zdążyłem się zorientować, przy takich zarzutach sprawa będzie kosztowna.

- Wydawało mi się, że wyczerpaliśmy już wszelkie dostępne opcje.

- Niezupełnie.

*

Len nie chciał przyjechać na farmę, nie chciał się także spotkać z nią na mieście. Ogólnie rzecz biorąc, zachowywał się bardzo tajemniczo. Kazał jej jechać na Rural Route 5, gdzie znajdowało się komunalne miejsce piknikowe. Przez chwilę się handryczyli, aż w końcu Len tak stanowczo sapnął w słuchawkę, że Patty mimowolnie skrzywiła usta.

- Jeżeli chcesz pomocy, jedź tam natychmiast. Jedź sama, pod żadnym pozorem nikogo ze sobą nie zabieraj. I nikomu ani słowa. Słuchaj, Patty, zdecydowałem się na ten telefon, bo cię lubię i myślę, że można ci zaufać. Poza tym naprawdę chciałbym ci pomóc. - Na moment zapadła taka głucha cisza, że Patty ze zdumieniem popatrzyła na słuchawkę, potem szepnęła: „Len?”, a w końcu doszła do wniosku, że się rozłączył i już chciała odejść od telefonu.

- Patty, wierz mi, wiele o tym rozmyślałem, ale żaden inny sposób pomocy nie przychodzi mi do głowy. Myślę... zresztą sama się zorientujesz co i jak. Modlę się za ciebie gorąco.

Po skończonej rozmowie Patty odwróciła się w stronę kominka, roztrąciła poprzeczkiem płomień i zobaczyła, że na razie tylko połowa ubrań uległa spaleni. W domu nie było już jednak żadnych polan, pobiegła więc do garażu i chwyciła siekiere ojca o ciężkim, ostrym niczym brzytwa ostrzu - w tamtych czasach wiedzieli, jak robić porządne narzędzia - i szybko narąbała trochę drewna.

Wrzucała polana do ognia, gdy wyczuła obecność Michelle u swojego boku.

- Mamo!

- Co takiego?

Patty podniosła wzrok. Córka, ubrana w koszulę nocną, wskazywała palcem na ogień.

- Właśnie razem z drwami chciałaś wrzucić siekiere do kominka. - Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko. - Ptasi mózdzek.

Rzeczywiście, Patty trzymała na rękach siekiere razem z polanami. Michelle zabrała narzędzie od matki i, trzymając ostrzem zwróconym od siebie - tak jak Patty ją nauczyła - zaniósła pod drzwi i oparła o framugę.

Potem, stawiając ostrożnie kroki, jakby brnęła przez wysoką trawę, Michelle skierowała się do pokoju dziewczynek, i chwilę później Patty podążyła za nią. Córki leżały rozłożone na podłodze i szeptały do swoich lalek. Ludzie często żartobliwie mawiali, że dzieci są najukochańsze, kiedy śpią - cha, cha, cha - i ilekroć Patty słyszała ten dowcip, czuła ostre ukłucie w sercu. Bo ona naprawdę najbardziej kochała swoje dzieci, kiedy spały, nie zadawały żadnych pytań, nie domagały się jedzenia czy rozrywek; a w następnej kolejności lubiła je takie, jak teraz: zmęczone, spokojne, reagujące obojętnością na widok matki.

Patty uczyniła Michelle głównodowodzącą na okręcie i wyszła; była zbyt wyczerpana, żeby zrobić coś innego, niż przykazał jej Len.

Nie oczekuj zbyt wiele, powtarzała sobie w duchu. Nie rób sobie zbyt wiele nadziei.

Czekało ją pół godziny jazdy w padającym śniegu, którego płatki połyskiwały w świetle samochodowych reflektorów jak miniaturowe gwiazdki. Mama Patty, miłośniczka zimy, nazwałaby go „dobrym śniegiem” i Patty pomyślała, że jutro przez cały dzień córki będą na nim baraszkować. Ale natychmiast przyszły kolejne myśli: Czy aby na pewno? Co właściwie przyniesie jutro? I gdzie będzie Ben?

Gdzie jest teraz?!

Podjechała do opustoszałego miejsca piknikowego - obszernej wiaty zbudowanej z

metal w latach siedemdziesiątych, o dachu sterczącym pod dziwacznymi kątami, przywodzącym na myśl nieudane origami. W wiacie stały duże, betonowe stoły, a przed nią huśtawki o siedziskach z czarnej gumy, pokrytych kilkucentymetrową warstwą śniegu. Patty była zdziwiona, że wcale się nie kołyszą, a przecież wiał wiatr, czemu więc pozostawały takie nieruchome?

Nigdzie w zasięgu wzroku nie widziała samochodu Lena. Nie widziała w ogóle żadnego samochodu. Zaczęła się bawić zamkiem kurtki, przesuwając paznokciem po każdym zębie i wsłuchiwać w metaliczny zgrzyt. Oto co może się wydarzyć: Patty podejdzie do jednej z betonowych ławek i znajdzie tam kopertę z plikiem pieniędzy, zostawioną przez Lena w dżentelmeńskim odruchu, za który odpowiednio mu się odwdzięczy. A może Len skrzyknął grupę ludzi dobrej woli, którzy serdecznie jej współczuli, i wszyscy za chwilę się tu zjawią, przywiozą hojne datki, i Patty nagle zrozumie, że mimo wszystko jest powszechnie lubianą osobą.

Stukanie w okno, różowe kłykcie i szeroki męski tors. To nie był Len. Opuściła szybę do połowy i zerknęła na zewnątrz przygotowana na to, że facet każde jej się stąd zbierać, bo ten stukot miał w sobie jakąś nerwowość i zniecierpliwienie.

- Wsiądź - usłyszała w zamian. Mężczyzna się nie pochylił, więc nadal nie widziała jego twarzy. - Wsiądź, porozmawiamy na jednej z ławek.

Wyłączyła silnik i wyszła z samochodu. Nieznajomy znajdował się już kilka kroków przed nią ubrany w grubą, ranczerską kurtkę i stetsona. Ona miała na głowie wełnianą czapkę, która nigdy dobrze nie leżała, zawsze podjeżdżała w górę i odsłaniała uszy, więc zanim Patty dołączyła do mężczyzny, już musiała rozcierać ich koniuszki.

Wydawał się miły, tak w każdym razie pomyślała. Bardzo potrzebowała teraz wsparcia kogoś miłego. Miał ciemne oczy i obwisłe wąsy, z końcówkami opadającymi ciut poniżej linii podbródka. Na oko był tuż po czterdziestce i pochodził z okolicznych stron. Wygląda miło - ponownie zdecydowała w duchu. Usiedli na jednej z ławek, udając, że nie widzą pokrywającego ją śniegu. Może to prawnik? - zastanawiała się Patty. Jakiś adwokat, którego Len poprosił o reprezentowanie Bena. Ale w takim razie dlaczego mieliby się spotykać na odludziu...

- Słyszałem, że masz kłopoty - odezwał się niskim, głębokim głosem.

Patty jedynie skinęła głową.

- Mają cię eksmitować z farmy, a twojemu synowi grozi aresztowanie.

- Policja chce go jedynie przesłuchać w związku z pewnym incydentem...

- Twój syn ma zostać aresztowany i wiem, z jakiego powodu. Jeszcze w tym roku

będziesz potrzebowała pieniędzy, żeby spłacić wierzycieli i zatrzymać dzieci przy sobie - w ich cholernym, rodzinnym domu - i będziesz potrzebowała sporych funduszy na adwokata dla syna, ponieważ nie chcesz, żeby poszedł do więzienia z etykietką pedofila.

- Tak. Oczywiście, ale Ben...

- Nie, nie. Posłuchaj mnie uważnie: w żadnym razie NIE CHCESZ, żeby twój syn poszedł do WIĘZIENIA z etykietką PEDOFILA. Nikogo nie czeka w więzieniu gorsze życie jak pedofilów. Wiem, bo widziałem. To, co wyprawiają z takimi ludźmi, jest niewyobrażalnym koszmarem. A więc potrzebujesz bardzo dobrego adwokata, czyli bardzo kosztownego. Musisz wynająć go natychmiast, nie za kilka tygodni, nie za kilka dni. Ale już, od razu, bo takie sprawy błyskawicznie wymykają się spod kontroli.

Patty skinęła głową w pełnym napięcia oczekiwaniu. Przemowa tego mężczyzny przypominała jej dyskusję ze sprzedawcą samochodów: musisz kupić w tej chwili, właśnie ten model i za taką cenę. Nigdy sobie nie radziła z podobnymi naciskami i zawsze w końcu brała to, na co namawiał ją sprzedawca.

Mężczyzna nasunął stetsona głębiej na oczy i sapnął jak buhaj.

- Posłuchaj, ja też kiedyś byłem farmerem, a przede mną farmerem był mój ojciec i dziad. Mieliśmy ponad trzysta hektarów, hodowaliśmy bydło, kukurydzę, pszenicę. W okolicach Robnett w Missouri. To było duże, przyzwoite gospodarstwo, podobne do twojego.

- My nigdy nie mieliśmy aż trzystu hektarów...

- Ale mieliście rodzinną farmę, mieliście ziemię. Ta ziemia w całości należała do ciebie. My, farmerzy, zostaliśmy oszwabieni. Mówili nam „dokupujcie grunty, obsiewajcie, co się da, na ziemi nie można stracić!”, i tak robiliśmy A potem - ups, przykro nam, źle oceniliśmy sytuację, udzieliliśmy wam złej porady. Więc teraz zabierzemy wam farmę, ziemię, która należała do was od pokoleń, bez urazy, to tylko biznes. Byliście ostatnimi głupkami, skoro kierowaliście się naszymi podpowiedziami, więc tak naprawdę to wasza wina, nie nasza.

Patty już wcześniej słyszała takie słowa, sama miała podobne myśli. Wyrządzono farmerom krzywdę. Ale teraz powróćmy do mojego syna. Siedziała tylko na jednym pośladku, trzęsła się z zimna i próbowała zachować cierpliwość.

- Ja nie jestem ani biznesmenem, ani księgowym, ani politykiem. Ale mogę pomóc, jeżeli jesteś zainteresowana.

- Bardzo, bardzo zainteresowana. Proszę, pomóż mi - odparła Patty.

A w głowie cały czas powtarzała - tylko nie oczekuj zbyt wiele, nie rób sobie zbyt wiele nadziei.

Libby Day

Współcześnie

Wracałam do domu wśród rachitycznych zagajników. Gdzieś na końcu jednej z tych wąskich, długich dróg znajdowało się zrehabilitowane wysypisko. Nie ujrzałam go na oczy, ale wiem jedno - przez dobrych trzydzieści kilometrów jechałam wśród fruujących wokół śmieci. Po obu stronach ziemia była usiana tysiącami foliowych toreb na zakupy, trzepoczących i błyskających kolorami ponad linią traw. Wyglądały jak widma drobnych, codziennych przedmiotów.

Zaczęło padać. Deszcz stawał się coraz bardziej rześisty i lodowaty. Świat za oknami mojego samochodu uległ dziwnemu wypaczeniu. Ilekroć widziałam odosobnione miejsce - zagłębienie terenu czy kępę drzew - wyobrażałam sobie, że jest tam pochowana Diondra, po której zostało teraz tylko trochę zapomnianych kości i może kilka kawałków plastiku: pasek do zegarka, podeszwa buta, czerwony wiszący kolczyk, który widziałam na zdjęciu w szkolnym albumie.

Ale co mnie, do jasnej ciasnej, obchodzi Diondra?, pomyślałam, znowu odruchowo odwołując się do powiedzonka Diane. Co mnie obchodzi, czy Ben ją zabił, skoro wymordował moją rodzinę i to samo załatwia już sprawę.

Tak bardzo chciałam, żeby Runner z czymś się wygadał, przekonał mnie, że to on dopuścił się zbrodni. Ale kiedy go zobaczyłam, przypomniałam sobie od razu, że to absolutnie wykluczone, by ich wszystkich zabił, bo pomijając wszystko inne, był na to zwyczajnie za tępy. „Tępy”, to słowo najlepiej opisywało mojego ojca. Tępy i jednocześnie prymitywnie przebiegły. Magda i inni członkowie Klubu Zbrodni będą bardzo zawiedzeni, chociaż z przyjemnością podam im adres Runnera, jeżeli zechcą przeprowadzić z nim jeszcze jakąś rozmowę.

Jeżeli o mnie chodzi - miałam tylko nadzieję, że rzeczywiście wkrótce zdechnie jak pies.

Minęłam płaskie pole pokryte żyzną, tłustą glebą. Pomimo deszczu i mroku przy płocie stał nastoletni chłopak - zasepiony lub znudzony - i obserwował ruch na autostradzie. Na jego widok powróciłam myślami do Bena. Do Bena i Diondry. Ona była w ciąży. Wszystko, co Ben opowiedział mi o tamtej nocy, brzmiało sensownie i wiarygodnie, ale jak mam potraktować jego uporczywe kłamstwa na temat tej dziewczyny? To był autentyczny

powód do zmartwienia.

Gnałam do domu najszybciej, jak mogłam. Czułam się brudna i skażona. Po przyjeździe natychmiast wskoczyłam pod prysznic i długo szorowałam całe ciało szczotką do paznokci, aż w końcu moja skóra wyglądała jak po ataku dzikich kotów. Weszłam do łóżka, wciąż czując się niedomyta i po godzinie przewracania się w pościeli wstałam i znowu weszłam pod prysznic. Około drugiej nad ranem zapadłam w ciężki sen, w którym widziałam starych facetów o chytrych oczkach. Wydawało mi się, że to zwielokrotniony obraz mojego ojca, ale ilekroć podchodziłam bliżej, rysy twarzy tych staruchów rozpływały się w nicłość. Potem pojawiły się jeszcze gorsze koszmary: Michelle smażyła naleśniki, a w cieście pływała szarańcza i strzykała odnóżami, gdy moja siostra nabierała ciasto chochlą. Usmażyła je razem z szarańczą, ale mama i tak kazała nam zjeść te placki, bo to wartościowe białko i nieważne, że obrzydliwie chrupie w zębach. A potem wszyscy zaczęliśmy umierać - dusiliśmy się, z ust ciekła nam piana, a oczy odpływały w tył głowy - bo szarańcza była zatruta. Połknęłam jednego dużego insekta, a potem czułam, jak walecznie wydostaje się z mojego gardła - jego lepkie ciało przepychało się przez moje podniebienie, szczypało w język, aż wreszcie głowa przecisnęła się przez zęby w drodze do wolności.

Świt powitał mnie monotonną szarością. Znowu wzięłam prysznic - wydawało mi się, że czuję na skórze dziwne mrowienie - a potem pojechałam do centrum, do biblioteki publicznej, mieszczącej się w białym budynku z frontową kolumnadą, który swego czasu był bankiem.

Znalazłam wolne miejsce obok śmierzącego faceta ze zmierzwioną brodą, ubranego w poplamioną, wojskową kurtkę - nie wiem, na czym to polega, ale w miejscach publicznych zawsze ląduję obok takich właśnie facetów - i podłączyłam się do Internetu. Odnalazłam przepastną, smutną bazę osób zaginionych i wpisałam interesujące mnie nazwisko.

Monitor pomrukiwał, wydawał z siebie odgłos głębokiego namysłu, a ja tymczasem, spocona jak mysz, karmiłam się nadzieją, że ujrzę napis BRAK DANYCH. Niestety, nie miałam tyle szczęścia. Zdjęcie nie było to samo, co w albumie szkolnym, ale bardzo podobne: Diondra ze sztywnymi lokami i plastikowymi kołami w uszach, z oczami obwiedzionymi grubo czarnym ołówkiem, z prowokacyjnie wydetętymi ustami, pociągniętymi różowym błyszczkiem. Uśmiechała się na tym zdjęciu, ale tylko nieznacznie.

DIONDRA SUE WERTZNER DATA URODZENIA: 28 PAŹDZIERNIKA 1967

DATA ZGŁOSZENIA ZAGINIĘCIA: 21 STYCZNIA 1985

*

Ben znowu na mnie czekał, ale teraz siedział odchyłony na krześle, ze skrzyżowanymi

ramionami, w bojowym nastroju. Kiedy zajęłam swoje miejsce, potrzęsnałam w zniecierpliwieniu głową.

To mnie kompletnie zbiło z tropu.

- Wiesz co, Libby? Dużo rozmyślałem od czasu naszego ostatniego spotkania i doszedłem do wniosku, że nie potrzebuję dodatkowego cierpienia. Na dobre i złe jestem skazany na siedzenie w tych murach, i naprawdę do szczęścia zupełnie nie trzeba mi tego, by moja siostra jednego dnia wpadała i zapewniała, że mi wierzy, a kilka dni później oznajmiała, że straciła tę wiarę. I zasypywała mnie masą idiotycznych pytań, poddawała przesłuchaniom po cholernych dwudziestu czterech latach od zdarzenia. Nie potrzebuję takich emocjonalnych napięć. Więc jeżeli przyszedł tutaj, żeby „dokopać się do prawdy” - gniewnym gestem machnął w powietrzu palcami, imitując cudzysłowy - to idź prowadzić swoje wykopaliska gdzie indziej. Bo ja nie mam na to ochoty.

- Odszukałam Runnera.

Nie poderwał się z krzesła, nawet nie drgnął. A potem wydał z siebie znużone westchnienie.

- Rety, Libby, najwyraźniej minęłaś się z powołaniem. Powinnaś była zostać detektywem. I co Runner miał ci do powiedzenia? Wciąż siedzi w Oklahomie?

Poczułam, jak usta rozciągają mi się w uśmiechu - bardzo niestosownym, zważywszy na okoliczności.

- Mieszka na skażonym wysypisku, na obrzeżach Lidgerwood. Został wywalony ze schroniska.

Słyszając to, Ben uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wylądował na wysypisku toksycznych odpadów? To rzeczywiście dobre!

- Twierdzi, że chodziłeś z Diondrą, że ona była z tobą w ciąży. I utrzymuje, że widział was razem tamtej nocy.

Ben zakrył twarz dłonią, ale trzymał szeroko rozpostarte palce, stąd widziałam, że gwałtownie mruga oczami. Zaczął coś mówić, ale miał nadal zasłonięte usta, dlatego nie słyszałam jego słów. Dwa razy coś powtarzał, ale tłumaczyłam, że nie słyszę, więc w końcu podniósł głowę, zagryzł policzek i nachylił się w moją stronę.

- Pytałem, skąd, do kurwy nędzy wzięła ci się ta obsesja na punkcie Diondry? Dostałaś jakiegoś kompletnego bzik, a wiesz, czym to się skończy? Wszystko spieprzysz. Miałaś szansę zrobić coś sensownego i w końcu uwierzyć w swojego brata. Brata, którego znasz. I nie mów mi, że nie znasz, bo to by było marne kłamstwo. Czy ty naprawdę niczego nie pojmujesz, Libby? To dla nas ostatnia szansa. Ludzie mogą uważać, że jestem winny lub

niewinny, ale oboje wiemy, że to niczego nie zmieni. Ja już stąd nie wyjdę. Nie istnieją żadne próbki DNA, dzięki którym mógłbym odzyskać wolność - do jasnej cholery, przecież od dawna nie ma nawet tego pieprzonego domu! A to oznacza, że pozostanę tutaj do końca moich dni. I tak naprawdę zależy mi już tylko na tym, żeby jedna, jedyna osoba na świecie była przekonana, że nie zamordowałem swojej rodziny - ty.

- Jednak nie możesz mieć mi za złe, że...

- A pewnie, że mogę. Mogę mieć ci za złe, że we mnie zwątpiłaś. Jestem w stanie ci wybaczyć dawne kłamstwo, zrozumieć, że byłaś przerażonym, zdezorientowanym dzieckiem. Ale, do cholery, Libby, teraz już jesteś dorosła! Masz - ile? - trzydzieści parę lat i nadal wierzysz, że człowiek, w którym płynie ta sama krew, co w twoich żyłach, byłby zdolny do takiej zbrodni?

- Absolutnie wierzę, że ktoś, w kim płynie ta sama krew, co w moich żyłach, byłby zdolny do najgorszych rzeczy - oznajmiłam, czując, jak wzbiera we mnie gniew, rozpiera mi pierś, uderza o żebra. - Bo krew Dayów jest skażona złem. Wiem to z własnego doświadczenia. Wyrządziłam w życiu wiele krzywd, Ben. Zdarzało mi się pobić ludzi niemal do nieprzytomności. Wywazałam drzwi i rozbijałam okna, a do tego... zamordowałam zwierzę. Ile razy spoglądam w dół, to zazwyczaj widzę dłonie zaciśnięte w pięści.

- Naprawdę wierzysz, że jesteśmy aż tak źli?

- Naprawdę.

- Mimo że płynie w nas także krew mamy?

- Mimo to.

- Cóż, w takim razie mogę ci tylko współczuć.

- Gdzie jest Diondra?

- Odpuść sobie, Libby.

- Co się stało z dzieckiem?

Twarz mnie paliła, mąciło mi się w głowie. Jeżeli dziecko przeżyło, miało teraz dwadzieścia kilka lat. Nie było już maluchem. Próbowałam sobie wyobrazić dorosłego człowieka - młodego mężczyznę lub młodą kobietę - jednak uparcie stawał mi przed oczami obraz niemowlaka owiniętego w kocyk. Ale, do diabła, w tym przecież nie było nic szczególnie dziwnego. Ostatecznie ja samej siebie wciąż nie postrzegałam jako osoby dorosłej. Mimo że wkrótce skończę trzydzieści dwa lata - tyle, ile miała moja mama, kiedy zginęła. Ona wydawała mi się tak niezwykle dorosła i dojrzała. O wiele dojrzała, niż ja kiedykolwiek będę w życiu.

Więc jeżeli dziecko przeżyło, miało teraz dwadzieścia cztery lata. Nagle ponownie

dopadła mnie jedna z tych moich okropnych wizji. Wizji z gatunku „co by było, gdyby było”. Wszyscy, nadal żywi, siedzimy w dużym pokoju, w naszym domu w Kinnakee. Michelle, nawykowo przesuwająca wzdłuż nosa swoje wielkie okulary, rozstawia po kątach gromadkę dzieci, które w zniecierpliwieniu przewracają oczami, ale karnie wykonują polecenia. Debby, zażywna i gadatliwa, ma męża farmera, a w swoim własnym domu - specjalny pokój do ręcznych robótek, zarzucony wstążkami, kawałkami tkanin i szprycami z klejem. Moja mama, dojrzała pięćdziesięciolatka, siwowłosa i spalona słońcem, nadal przyjaźnie przekomarza się z Diane. I nagle do pokoju wchodzi córka Bena, rudowłosa kobieta po dwudziestce - szczupła, pewna siebie absolwentka college'u, która nikogo z nas nie traktuje zbyt poważnie. Dziewczyna Dayów.

Zakrztusiłam się własną śliną, zaczęłam dławić, czułam, że gwałtownie zaciska mi się gardło. Kobieta siedząca dwie kabiny dalej wychyliła się do tyłu, ale kiedy doszła do wniosku, że w najbliższych sekundach nie padnę trupem, powróciła do rozmowy z synem.

- Co się wydarzyło tamtej nocy Ben? Muszę to wiedzieć. Po prostu muszę.

- Libby, w tej rozgrywce nie masz szans na wygraną. Jeżeli dowiodę, że jestem niewinny, to będzie oznaczało, że ty ponosisz winę za zrujnowanie mi życia. Jeżeli przyznam się do winy... cóż, to żadnemu z nas nie poprawi samopoczucia, prawda?

Ben miał rację. To był też jeden z powodów, dla których pozostawałam całkiem beczynna przez te wszystkie lata. Ale teraz nie zamierzałam tak szybko skapitulować.

- A Trey Teepano? - zapytałam.

- Trey Teepano.

- Wiem, że był bukmacherem i do tego pieprzonym satanistą. Wiem, że się przyjaźniliście i byliście razem tamtej nocy. I że była z wami Diondra.

- Skąd wzięłaś te rewelacje?

Ben spojrzał mi prosto w oczy, a potem przeniósł wzrok nieco wyżej, na moje odrosty, obecnie już sięgające uszu.

- Tato mi powiedział. Przyznał też, że był winien Treyowi pieniądze i...

- Tato? To ty teraz nazywasz go TATA?!

- Runner powiedział, że...

- Pieprzyć Runnera. Czas, żebyś wreszcie dorosła, Libby. Dokonała definitywnego wyboru. Przez resztę życia możesz dowiekić, co się stało, poszukiwać jakiegoś sensu i logiki wydarzeń. Albo możesz zdać się na intuicję. I zdecydować, w czym stanąć narożniku. Wybierz mój. Zaręczam, że lepiej na tym wyjdiesz.

Ben Day

3 stycznia 1985, godz. 22:23

Minęli granice miasteczka i zjechali z betonowej drogi w żwirówkę; Benem, wciśniętym w tył, targało na wszystkie strony, więc zaparł się rękami o sufit, żeby zachować względną równowagę. Był naćpany, poważnie naćpany, dzwoniły mu zęby, dzwoniło mu w głowie. Miał wrażenie, że się rozpada. Chciało mu się spać. Jeść i spać. Widział, jak światła Kinnakee nikną w oddali, a wokół rozciągają się bezkresne połacie błyszczącego, błękitnego śniegu, spod którego gdzieniegdzie wyłaniała się kępa zielska czy poszarpane sztachety płotu, ale ogólnie krajobraz wyglądał na istic księżycowy. Jakby nagle naprawdę znaleźli się w przestrzeni kosmicznej, na zupełnie innej planecie, z której nie było już powrotu do domu.

Skęcili w jakąś drogę, w czarny tunel drzew, i nagle dotarło do Bena, że za diabła nie ma pojęcia, gdzie się właściwie znajdują. Miał tylko nadzieję, że cokolwiek będzie się działo, szybko dobiegnie końca. Marzył o hamburgerze. Jego mama smażyła kretyńskie hamburgery, nazywała je „resztkowymi” - do najtańszego mielonego mięsa dodawała cebulę, makaron i wszelkie inne paskudztwa, którym groziło rychłe zepsucie. Ben był gotowy przysiąc, że pewnego razu znalazł w swoim hamburgerze banana suto oblanego ketchupem - mama uważała, że wystarczy dodać ketchupu, a wszystko nabierze wspaniałego smaku. Problem w tym, że jej potrawom nic nie mogło pomóc, bo gotowała beznadziejnie, mimo to Ben pochłonąłby teraz z ochotą „resztkowego” hamburgera. Pomyślał - jestem taki głodny, że mógłbym zjeść wołu. I proszę, oto jego modlitwy zostały natychmiastowo wysłuchane, bo ujrzał przed sobą dziesięć czy dwadzieścia herefordów, tkwiących w bezruchu na śniegu. W pobliżu znajdowała się samotna obora, ale te krowy były za głupie, żeby do niej wrócić, więc sterczały na mrozie jak stado przerośniętych tępaków i wypuszczały nozdrzami obłoki pary Herefordy to najbrzydsze bydło na świecie - zwaliste, rude, o białych, pomarszczonych mordach i ślepiach obwiedzionych różowymi plamami. Co innego jerseye - one wyglądały wprost słodko ze swoimi długimi, niemal sarnimi pyskami. Natomiast herefordy miały w sobie coś prehistorycznego, złowrogiego, odrażającego. Na widok ich porośniętych wełnistą sierścią boków i wygiętych w dół, ostrych rogów Bena ogarnął niewytłumaczalny lęk. Nagle nabrał niezachwianego przekonania, że tutaj wydarzy się coś bardzo złego.

- Dojechaliśmy - oznajmił Trey. Wyłączył silnik, a wraz z nim ogrzewanie, i do pikapa zaczął wpełzać chłód. - Wszyscy z wozu - zarządził.

Sięgnął poprzez Diondrę do schowka - niechcąc musnął ręką jej ciężarny brzuch, a wówczas oboje się uśmiechnęli - po czym wyjął kasetę i wrzucił do odtwarzacza. Huknęła głośno ekstatyczna, ostra muzyka; zaczęła się wwiercać Benowi w mózg.

- Ruszaj, chłopie. - Trey zeskoczył na chrzęszczący śnieg i odchylił fotel kierowcy, żeby Ben mógł wysiąść z samochodu.

Ben się potknął, nie trafił nogą na stopień i bez wątpienia zaliczyłby glebę, gdyby Trey go w porę nie podtrzymał.

- Czas, żebyś w końcu zrozumiał pewne rzeczy, chłopie. I wreszcie poczuł w sobie prawdziwą moc. Przecież wkrótce zostaniesz ojcem. - Trey chwycił go za ramiona i silnie nim potrząsnął. - Ojcem!

Mówił to całkiem przyjaznym tonem, ale wcale się nie uśmiechał. Miał zaciśnięte usta i wpatrywał się w Bena przekrwionymi oczami. Twardo. Taksująco. Po chwili jednak odpuścił, podwinął rękawy dżinsowej kurtki i przeszedł na tył pikapa. Ben spróbował podchwycić wzrok Diondry, posłać jej pytające spojrzenie - co tu jest, kurwa, grane? - ale ona właśnie wsunęła głowę do kabiny, po czym wyciągnęła spod siedzenia foliowy woreczek. Jęczała przy tym i trzymała się za brzuch, jakby pochylenie się na kilkanaście centymetrów było wysiłkiem ponad ludzkie siły. W końcu się wyprostowała, tym razem przyciskając rękę do pleców, sięgnęła do woreczka wypełnionego sreberkami jak po gumie do żucia i wyjęła trzy.

- Dawaj - zarządził Trey. Włożył dwa błyszczące pakieciki do kieszeni, a trzeci rozpakował. - Ty i Ben możecie się podzielić.

- Nie chcę się z nikim dzielić - oświadczyła rozkapryszonym tonem Diondra. - Czuję się do dupy, potrzebuję całej działki.

Trey syknął z irytacją, ale rzucił Diondrze pakiecik, mamrocząc pod nosem „Panie Jezu”.

- Co to za towar? - zainteresował się Ben.

Poczuł, że po czole spływa mu ciepła strużka, a więc znowu krwawił. Ból głowy także się nasilił - pulsował za lewym okiem, rozlewał się na szyję i ramię jak gwałtownie postępująca infekcja. Potarł kark; miał wrażenie, że ktoś wszczepił mu pod skórę wąż ogrodowy, który wcześniej powiązał w gruzłowate supły.

- To „diabelski kop”, chłopie, próbowałeś go kiedyś?

Trey wysypał proszek na dłoń i wetknął w nią twarz, niczym koń chwytający kostkę cukru, potem silnie, głośno pociągnął nosem, zatoczył się w tył i powiódł wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Na co się, kurwa, gapisz, Ben?

Żrenice Treya drgały gwałtownie, jakby śledził lot niewidzialnego kolibra. Diondra wciągnęła swoją działkę z taką samą zwierzęcą zachłannością i zaraz padła na kolana, pękając ze śmiechu. Przez trzy sekundy jej śmiech brzmiał radośnie, beztrosko, po czym pojawiła się w nim nuta zdziwienia: tak mógłby się zaśmiewać człowiek, który nie może uwierzyć w nagły, niespodziewany łut szczęścia. Diondra śmiała się i krzyczała coraz histeryczniej, aż nagle zaczęła wymiotować, wyrzucać z siebie kawałki oblepionych serem nachos i grube nitki spaghetti. W powietrze wzbił się słodki, niemal apetyczny zapach. Kiedy Diondra uniosła głowę, z jej ust wciąż zwisał kawałek makaronu, ale po chwili zorientowała się, że ma coś na wardze i zaczęła ciągnąć za kluskę, a Ben natychmiast sobie wyobraził, jak spaghetti przesuwają się przez gardło dziewczyny, łaskocze jej podniebienie. Diondra popatrzyła na rzygowiny z przerażeniem, znowu opadła na czworaki i tym razem wybuchnęła płaczem - szlochała tak rozdzierająco, jak siostry Bena, kiedy zrobiły sobie coś złego. Jakby za chwilę miał się zawalić świat.

- Diondra, wszystko w porządku, skar...?

Coś nią szarpnęło, rzuciła się w przód i wyrzygała resztę zawartości żołądka u stóp Bena. On odskoczył gwałtownie, żeby nie opryskały go wymiociny, i spod oka obserwował szlochającą Diondrę.

- Tata mnie zabije! - zawyła rozpaczliwie i z wykrzywioną twarzą spojrzała na swój brzuch. - On mnie ZABIJE!

Jej czoło u nasady włosów pokryło się gęsto kroplami potu.

Przez cały czas trwania tego spektaklu Trey całkowicie ignorował Diondrę, za to ani na moment nie spuszczał oczu z Bena. W końcu pokiwał znacząco palcem, dając znak, że dość tej gry na zwłokę, nadszedł czas na wciągnięcie działki. Ben przysunął nos do proszku, poczuł zapach starej gumki-myszki i sody oczyszczonej.

- To coś podobnego do kokainy? - zapytał.

- To akumulator dla twojego mózgu. Wciągaj.

- Człowieku, ja już się czuję jak kupa gówna, chyba nie trzeba mi tego świństwa na dokładkę. Jestem kurewsko głodny.

- Do tego, co ma się wydarzyć, potrzeba ci właśnie „diabelskiego kopa”.

Diondra znowu chichotała, ale jej twarz pod ciemnym podkładem była kredowobiała. Kawałki nachos popłynęły w stronę Bena w śluzowatej, różowej strużce. Przesunął nogę. A potem odwrócił się plecami do Treya i Diondry, wysypał proszek na dłoń i czekał, aż rozwieje go wiatr. Kiedy już został kopczyk wielkości ćwierćdolarówki, pociągnął nosem,

głośno i teatralnie jak wcześniej Trey i Diondra, ale w nozdrza wchłonął tylko część proszku.

I całe szczęście, ponieważ narkotyk wstrzelił się prosto w jego mózg, był ostry jak chlor, ale bardziej żrący, wypalający wszystkie żyły w głowie. Ben miał wrażenie, że jego krew zmienia się w rozżarzony płynny metal, poczuł ból nawet w kościach nadgarstków. Kiszki mu się skręciły, niczym budzący się ze snu wąż, i przez moment się obawiał, że narobi w gacie, ale w końcu kichnął, wytryskując nosem piwo, zobaczył przed oczami czarną otchłań i runął na ziemię. W głowie mu waliło, przy każdym poruszeniu twarz gorączkowo pulsowała. Ben poczuł, że mógłby teraz popędzić przed siebie z prędkością stu kilometrów na godzinę, co więcej - że powinien to zrobić, bo jeżeli będzie leżał tu, gdzie leży, jego pierś eksploduje i wyskoczy z niej demon, strząśnie krew Bena ze swoich skrzydeł, pokręci z odrazą czerepem na myśl, że mógłby zostać uwięziony w tym świecie, i wzbije się do nieba w nadziei na odnalezienie drogi powrotnej do piekła. Ben na gwałt potrzebował broni, musiał jak najszybciej palnąć sobie w łeb, zakończyć ten koszmar i mękę, ale ledwo to pomyślał, zaczęło w nim wzbierać poczucie niewysłowionej ulgi, wlewać się do żył, przynosić ukojenie. I dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, więc chwycił ustami kilka wielkich haustów powietrza i nagle poczuł się tak wspaniale jak jeszcze nigdy dotąd. Miał wrażenie, że rośnie, zyskuje potęgę i nieomyślność. Teraz, bez względu na to, co by zrobił, byłoby to posunięcie słuszne, niezaprzeczalnie właściwe. Na firmamencie mogłoby się pojawić milion możliwości wyboru, a wystarczy, że strzeliłby na oślep, trafił pierwszy lepszy z brzegu, i to by mu już gwarantowało wspaniałą nagrodę. Zawrotny sukces. Świat nosiłby go na ramionach, hip-hip hura dla Bena, zgotujmy mu huczną owację.

- Co to za towar?

Trey olał jego pytanie i zerknął na Diondrę, która podnosiła się z ziemi. Miała czerwone palce od zanurzania ich w lodowatym śniegu. Z szyderczą miną, której chyba zupełnie nie był świadomy, Trey podszedł do skrzyni pikapa i wyjął siekierę połyskującą błękitem. Wyciągnął ją w stronę Bena, ostrzem do przodu, ale Ben przycisnął sztywno ramiona do boków - nie, nie, nie, nie zmusisz mnie, żebym to wziął - jakby był małym dzieckiem, któremu każe się potrzymać płaczącego noworodka.

- Bierz!

Ben chwycił za zimny trzonek, zauważył rdzawe plamy na ostrzu.

- To krew?

Trey posłał mu przeciągłe, leniwe spojrzenie spod oka, nie zwracał sobie jednak głowy odpowiedzią.

- O, siekiera! Ja chcę siekierę! - pisnęła Diondra.

Podskoczyła do pikapa, a tymczasem Ben się zastanawiał, czy tych dwoje, jak zwykle, nie robi sobie z niego jaj.

- Jest dla ciebie zbyt ciężka, łap za nóż myśliwski.

Diondra zakołysała się na nogach, aż zatrzęsło się futerko przy kapturze jej kurtki.

- Nie chcę noża, jest za mały. Daj go Benowi, on poluje.

- W takim razie dostanie też to - zdecydował Trey, podając Benowi strzelbę kalibru .

77.

- Nie, nie! To ja chcę giwerę - zaprotestowała Diondra.

Trey złapał Diondrę za rękę, zacisnął jej palce na trzonku noża.

- Jest cholernie ostry, więc nie świruj.

Ale czyż tego właśnie nie robili, nie świrowali?

- BenGej, otrzyj twarz, chłapiasz krwią na wszystkie strony.

Ze strzelbą w jednym ręku i z siekierą w drugim, Ben otarł twarz rękawem i poczuł nagły zawrót głowy. Krew wciąż płynęła, teraz na dodatek rozmazał ją po oku i włosach. Kostniał z zimna, miał gęsią skórkę na całym tułowi i nagle przypomniał sobie, że tak właśnie się dzieje, kiedy ludzie wykrwawiają się na śmierć - ogarnia ich lodowaty chłód. Na szczęście szybko uprzytomnił sobie, że o wiele dziwniejsze by było, gdyby nie marzył, skoro miał na sobie jedynie cienką kurtkę, którą dostał od Diondry. Tymczasem Trey zdjął ze skrzyni wielki kilof, tak wyostrzony, że przypominał lodowy sople. Zarzucił go sobie na ramię, jak mężczyzna ruszający dziarsko do pracy. Diondra wciąż się dąsała z powodu noża i Trey rzucił pojednawczo:

- Chcesz wypowiedzieć, co należy?

Natychmiast zapomniała o dąsach, pokiwała skwapliwie głową i położyła nóż na ziemi, pośrodku kręgu, który przypadkiem utworzyli. Szybko się jednak okazało, że ten krąg nie był taki przypadkowy, bo Trey położył koło noża kilof, a potem w zniecierpliwieniu skinął na Bena niczym rodzic na dzieciaka, który zapomniał zmówić modlitwę przed jedzeniem. Ben dorzucił strzelbę i siekierę do połyskliwego, ostrego metalu i mocniej zabiło mu serce.

Niespodziewanie Trey i Diondra chwycili go za ręce; uścisk Treya był mocny i suchy, Diondry - słaby i lepki. Księżycowa poświata sprawiała, że wszystko wokół lśniło i pobłyskiwało. Twarz dziewczyny przypominała maskę - ciemne wklęsnięcia i jaśniejsze wypukłości - a kiedy wzniosła ją do księżyca i otworzyła usta, Benowi nagle stanął jak cholera, ale tym razem wcale go nie obchodziło, czy ktoś to zauważy. Na najdalszych obrzeżach świadomości jego mózg wrzał, dosłownie się smażył, a tymczasem Diondra

zaintonowała:

- Szatanie, tobie składamy ofiarę z cierpienia, krwi, furii i strachu, tworzących podstawę ludzkiego żywota. Czcimy cię i wielbimy, o Księżę Ciemności. Twoja moc staje się naszą mocą, twoja ekstaza - naszą ekstazą.

Ben za cholerę nie wiedział, co mają oznaczać te słowa. Ale niewiele go to obchodziło, bo Diondra bez przerwy się modliła. Modliła się w kościele, jak normalni ludzie, ale modliła się także do dziwacznych bogiń, kamieni, kryształów i innego badziewia. Nieustannie szukała pomocy jakichś wymyślonych sił.

- Dziś uczynimy z twojego dziecka prawdziwego wojownika, Dio - oświadczył Trey.

A potem każdy chwycił za swoją broń i przeszli na pole w ciszy, zakłócanej jedynie chrzęstem zmrożonej warstwy śniegu, pękającej pod ich nogami. Ben miał już dosłownie zlodowaciałe stopy - zdawały się teraz jakimś obcym, sztucznie doczepionym bytem. Ale wcale się tym nie przejmował, teraz nie przejmował się już niczym, otaczał ich wielki kokon, czyny zostały pozbawione konsekwencji, i dopóki pozostaną w tym kokonie, wszystko będzie okej.

- Wybieraj, Diondra - odezwał się Trey. W pobliżu stały herefordy, nieruchome, zupełnie niewzruszone widokiem ludzi. Skutki ograniczonej wyobraźni.

Dziewczyna wyciągnęła palec, pokręciła nim w powietrzu - milczące entliczek-pentliczek - i wskazała na największego buhaja z groteskowo zwisającym, owłosionym kutasem. Rozciągnęła usta w wampirycznym uśmiechu, błysnęły białe kły, Ben się spodziewał, że Diondra wyda z siebie wojenny okrzyk i w amoku rzuci się na zwierzę, a tymczasem ona ruszyła przed siebie spokojnie i powoli. Przeszła kilka kroków - niezdarnie, jak to ludzie brnący w śniegu - stanęła przed buhajem i z zimnym wyrachowaniem ugodziła go nożem w podgardle.

To się dzieje naprawdę - pomyślał Ben. Tu i teraz. Składają ofiarę szatanowi.

Z buhaja zaczęła wyciekać oleista krew, ciemna i gęsta. A potem zwierzę gwałtownie zadrgało i pewnie żyła uległa przemieszczeniu, bo trysnęła aerozolem krwi, znacząc ich twarze, włosy, ubrania jaskrawoczerwoną mgłą niczym po pstryknięciu sprejową farbą. Wtedy też Diondra wreszcie gniewnie wrzasnęła, jakby do tej pory tkwiła głęboko pod wodą, a teraz nagle wynurzyła się na powierzchnię, i jej krzyk poniósł się głośnym echem po śnieżno-lodowej pustyni. Dźgnęła buhaja w pysk, a zaraz potem w oko, które odpłynęło w głąb łąba, szkliste, wypełnione czarną krwią. Buhaj zaczął niezdarnie wlec się przez śnieg w ślepym zamroczeniu. Był przerażony i otepiał zarazem, jak człowiek wyrwany ze snu w środku nocy przez nieoczekiwany telefon. Od bieli wełnistej sierści ostro się odcinała ciemna

krew. W tej samej chwili Trey wznosił kilof do księżyca, zakrzyknął bojowo, wziął silny zamach od dołu i zatopił ostrze w brzuchu zwierzęcia. Buhaj przysiadł na zadzie, ale natychmiast dźwignął się na nogi i jak pijany potruchtął przed siebie. Pozostałe krowy cofnęły się z wolna, niczym dzieciaki obserwujące bójkę, i tylko cicho porykiwały.

- Dorwij go! - wrzasnęła Diondra.

Trey szybkimi susami pognał przez śnieg. Unosił wysoko kolana jak w żwawym tańcu i wywijał przy tym kilofem. Śpiewał hymn ku czci szatana, a później, w połowie zwrotki, spuścił kilof na grzbiet zwierzęcia, uszkadzając rdzeń kręgowy, powalając buhaja na śnieg.

Ben przez cały czas tkwił w bezruchu. Gdyby tylko drgnął, oznaczałoby to, że bierze udział w tym szlachtowaniu, a nie chciał tego robić, nie chciał poczuć, jak wielkie cielsko rozpada się pod jego uderzeniami. Jednak nie dlatego, że uważał ten czyn za godny potępienia; najzwyczajniej w świecie ogarnął go lęk, że rozsmakuje się w zabijaniu tak jak w marihuanie i haszu. Kiedy pierwszy raz zaciągnął się jointem, wiedział, że już nigdy z tego nie zrezygnuje. Jakby dym znalazł dla siebie opustoszałą niszę i na dobre się tam rozgościł. Dla zabijania też mogła się znaleźć taka wolna nisza, puste miejsce, które aż się prosiło, żeby zasiedlić je na stałe.

- No, ruszaj, Ben. Nie możesz się teraz zachowywać jak ostatnia cipa - zawołał Trey, dysząc ciężko po trzecim, czwartym, piątym uderzeniu kilofem.

Buhaj leżał na boku i wydawał z siebie rżące, żałobne, prehistoryczne ryki. Tak mógł ryczeć dinozaur, który wpadł do smolnego jeziora - w oszołomieniu, przerażeniu, agonii.

- Dawaj, Ben. Zakosztuj krwi, nie możesz tylko stać i patrzeć - ponagliła Diondra takim tonem, jakby stanie i patczenie było najbardziej beznadziejną rzeczą na świecie.

Buhaj uniósł powiekę i dziewczyna natychmiast do niego doskoczyła, zaczęła dźgać po pysku szybko, wprawnie, agresywnie. Zgrzytała zębami i wykrzykiwała „Skurwiel! Skurwiel!”. Jedną rękę silnie zaciskała na trzonku noża, drugą obejmowała ciężarny brzuch.

- Przestań, D - zarządził Trey, opierając się na kilofie. - Ruszaj do akcji, Ben. Ruszaj, do kurwy nędzy, albo ci przywalę, chłopie.

Oczy Treya wciąż miały tę szczególną narkotykową szklistość i Ben pożałował, że nie wciągnął więcej „diabelskiego kopa”, bo teraz nie znajdowałby się w tym pośrednim stanie, gdy wciąż działała logika, ale już nie odczuwało się strachu.

- To twoja wielka szansa, chłopie. Pokaż, że jesteś mężczyzną. Patrzy na ciebie matka twojego dziecka, która zdążyła się wykazać. Nie możesz do końca życia być przerażonym, pozbawionym jaj dzieciakiem, którego inni zastraszają i rozstawiają po kątach. Ja kiedyś też

byłem taki jak ty, chłopie, i za nic bym się nie cofnął do tamtych czasów. Teraz wiem, że już nikt nigdy się nie ośmielił mną poniewierać. Popatrz tylko, jak potraktował cię własny ojciec. Niczym ostatniego złamasza. Ale wiesz co? Ty po prostu nie zasługujesz na nic innego.

Ben odetchnął głęboko mroźnym powietrzem. Słowa Treya wciskały się do jego świadomości i napełniały coraz większym gniewem. To wredne. On wcale nie był tchórzem.

- No dalej, Ben, działaj - podjudzała Diondra.

Buhaj teraz tylko ciężko rzeźił, z licznych ran płynęła krew i zbierała się na śniegu w małe jezioro.

- Uwolnij drzemiącą w tobie furję, chłopie, to klucz do zdobycia mocy. Jesteś taki przepełniony przerażeniem - nie masz już dość życia w ciągłym strachu?

Buhaj leżący na ziemi przedstawiał sobą żaloszny widok, tak szybko padł pod ciosami, okazał się tak słaby, że Ben poczuł do niego odrazę. Ręce zaciskały mu się coraz mocniej na stylisku siekiery, to marne zwierzę trzeba było dobić, uwolnić od cierpienia, wznosił więc ciężkie ostrze wysoko nad głowę, po czym spuścił z impetem na łeb bydlęcia. Szokujący trzask czaszki, ostatni ryk, fragmenty mózgu i kości fruujące na wszystkie strony. Ten wysiłek tak bardzo poprawił samopoczucie Benowi - ostatecznie wykonał prawdziwie męską pracę - że ponownie machnął toporem i rozłupał czaszkę buhaja na dwoje. Zwierzę wreszcie było martwe, przednie nogi zadrgały jeszcze w spazmatycznym skurczu mięśni, ale Ben nie uznał dzieła za zakończone. Skoncentrował się teraz na tułowiu, gdzie mógł dokonać znacznie większych spustoszeń, raz po raz walił siekierą, wysyłając w powietrze odłamki kości i bąblaste flaki. Wykrzykiwał przekleństwa, czuł straszne napięcie w barkach, jakby zostały ściągnięte do tyłu ciasną gumą, szczęki mu chodziły, ręce drżały, a fiut był tak twardy, że w każdej chwili mógł eksplodować w kosmicznym orgazmie.

Już miał chwycić za strzelbę, ale nagle ramiona odmówiły mu posłuszeństwa, kompletnie opadł z sił, gniew z niego wyciekał, a wraz z nim i moc. Ogarnęło go przykre zażenowanie, takie samo jak wtedy, gdy się spuszczał podczas przeglądania pornograficznych pisemek. Czuł się podły, sflaczały, żaloszny.

Diondra wybuchnęła śmiechem.

- Jak to coś już praktycznie zdechło, to z naszego Bena zrobił się nagle straszny twardziel.

- Przecież go zabiłem, no nie?

Wszyscy dyszeli ze zmęczenia, ich twarze były pokryte krwią i tylko - niczym szopy pracze - mieli białe plamy wokół oczu, które przecierali, żeby cokolwiek widzieć.

- Jesteś pewna, D, że to właśnie ten facet zrobił ci dziecko? - odezwał się Trey. - Czy

jemu w ogóle staje? Właściwie trudno się dziwić, że woli małe dziewczynki.

Ben rzucił siekierę i ruszył w stronę samochodu. Pomyślał, że czas wracać do domu; pomyślał, że wszystkiemu winna mama. Gdyby rano nie świrowała z powodu jego włosów, dzisiejszego wieczoru siedziałby czysty pod ciepłym kocem, wsłuchiwał się w kroki sióstr pod drzwiami jego pokoju, w dobiegające z drugiego końca holu pomrukiwanie telewizora, w odgłosy z kuchni, gdzie mama podgrzewałaby jakiś gulasz z puszki. Tymczasem znajdował się na tym polu i jak zwykle musiał znosić upokarzające, jadowite kpiny. Zrobił, co mógł, żeby udowodnić swoją wartość, ale oczywiście nawalił. Ta noc będzie wciąż wracała do niego rykoszetem - noc, kiedy nie sprawdził się jako mężczyzna.

Ale najgorsze było to, że poznał, czym jest rozkosz zabijania i zapragnął znowu jej doświadczyć. Jakaś struna została poruszona i już nic nie mogło tego zmienić. Wiedział, że za kilka dni zacznie marzyć o powtórce zdarzeń, obsesyjnie wracać do swoich przeżyć myślami, ale Trey i Diondra z pewnością już go nigdy ze sobą nie zaborą, a on, żaloszny dupek, nie będzie miał w sobie dość odwagi, żeby samodzielnie się na to poważyć.

Stał odwrócony do tych dwojga plecami, gdy nagle chwycił strzelbę, uniósł do ramienia, odbezpieczył i położył palec na spuście. Wyobraził sobie odgłos wystrzału niosący się echem w lodowatym powietrzu, uderzenie odrzutu niczym przyjazne klepnięcie po ramieniu - dobra robota, chłopie! I wyobraził sobie jeszcze, jak przeładowuje strzelbę, idzie głębiej w pole i znów unosi broń do ramienia.

BUM!

W uszach by mu dzwoniło od huku wystrzałów, w powietrzu unosiłby się dymny zapach prochu, a Trey i Diondra choć raz by zaniemówili, patrząc na Bena stojącego pośrodku pola pełnego martwych ciał.

Libby Day

Współcześnie

Gdy jak kamfora ulotniłam się bez słowa i bawiłam na wysypisku w Oklahomie, Lyle zostawił na mojej sekretarce dziewięć wiadomości, wyjątkowo zróżnicowanych w charakterze. Zaczął, jak mi się zdaje, od odegrania roli zaniepokojonego arystokraty, uprzejmie zapytującego o moje zdrowie nosowym głosem z wyższych sfer, co bez wątpienia było zapożyczeniem z jakiejś komedii; następnie uderzył w ton irytacji, srogości, natarczywości i paniki, by zakończyć kolejną błazenadą. „Jeżeli szybko nie oddzwonisz, to ja przyjdę do ciebie... a wraz ze mną kroczyć będzie piekło!” - wrzasnął, po czym dodał; „Nie wiem, czy oglądałaś *Tombstone*”.

Oglądałam. To było marne naśladownictwo Kurta Russella.

Niemniej zatelefonowałam do Lyle’a, podałam swój adres (zupełnie niezwykle posunięcie z mojej strony) i powiedziałam, że jak ma ochotę, może wpaść. W tle usłyszałam kobiecy głos, który najpierw chciał wiedzieć, kto dzwoni, a potem zaczął nalegać, żeby Lyle mnie o coś spytał - „zapytaj ją, nie bądź głupi, po prostu zapytaj” - podczas gdy on próbował osłonić słuchawkę ręką. Może to Magda się domagała raportu ze spotkania z Runnerem? Chętnie go przedstawię. Nawet bardzo chętnie. Prawdę powiedziawszy, gdybym w najbliższym czasie nie mogła się wygadać, zaszyłabym się w łóżku i nie wylazła z niego przez następnych dziesięć lat.

Czekając na Lyle’a, zajęłam się włosami. Gdy wracałam od Bena, zatrzymałam się przy niewielkim sklepie i kupiłam farbę. Zamierzałam wziąć swój zwyczajowy kolor - Platinum Pizazz - ale w końcu wyszłam z pudełkiem, na którym widniała seksownie uśmiechnięta rudowłosa laska. Odcień - Scarlet Sass. Zero problemów z odrostami, proste w utrzymaniu, a ja ceniłam sobie prostotę. Zaczęłam rozważać powrót do własnego koloru od czasu, gdy Ben powiedział, że jestem niesamowicie podobna do mamy. I z dnia na dzień pokusa stawała się coraz silniejsza. Poza tym pomyślałam, że jeżeli pojawię się przed przyczepą Diane jako drugie wcielenie Patty Day, to może zmiękcze serce ciotki. Niech diabli porwą Diane za to, że do tej pory nie oddzwoniła.

Położyłam na włosy papkę szkarłatnych chemikaliów, które zalatywały lekką spalenizną. Gdy do ich splukania pozostało jeszcze czternaście minut, rozległ się dzwonek przy drzwiach. Lyle. Oczywiście przyszedł za wcześnie. Wpadł do środka, oznajmiając, że

kamień spadł mu z serca, jak wreszcie dałam znak życia, po czym cofnął się na mój widok.

- Co to takiego? Trwała?

- Farba. Postanowiłam wrócić do naturalnego koloru.

- A! Świetnie. To znaczy dobrze, że do naturalnego.

W ciągu trzynastu minut, które mnie dzieliły od zmycia ciemnoczerwonej papki z włosów, opowiedziałam Lyle'owi o Runnerze i Diondrze.

- Okej - zabrał się do podsumowania Lyle, cały czas nachylający ku mnie ucho, jak zwykle, kiedy kogoś słuchał. - A więc Ben twierdzi, że tamtej nocy wrócił do domu, po raz kolejny pokłócił się z waszą mamą, w rezultacie znowu wyszedł i nie ma pojęcia, co się później wydarzyło.

- Tak twierdzi Ben.

- Natomiast Runner utrzymuje, że albo Trey zabił twoją rodzinę w odwecie za niespłacone długi, albo Trey do spółki z Benem zabili twoją rodzinę i na dodatek jeszcze Diondrę w ramach jakiegoś satanistycznego rytuału. A przy okazji, jak zareagował Runner, gdy usłyszał, że jego dawna dziewczyna pozbawiła go alibi?

- Powiedział, że może mu skoczyć na druta. Muszę splukać farbę.

Lyle powlókł się za mną do łazienki, stanął w drzwiach, oparł ręce o framugę i pogрузzył się w zadumie.

- Libby... - odezwał się po chwili. - Mogę zadać ci pewne pytanie na temat tamtej nocy?

Byłam schylona nad wanną, woda płynęła z węża - „Het, w Tamtą Stronę” nie należało do dzielnic, gdzie montowano prysznice - i zastygłam w pół gestu.

- Posłuchaj, czy to możliwe, że tych zbrodni dokonały dwie różne osoby? Że jakimś cudem doszło do tak niezwykłego zbiegu okoliczności? Bo widzisz, w wypadku Debbie i twojej mamy wyglądało to niemal na polowanie z nagonką. Natomiast Michelle zmarła we własnym łóżku, starannie przykryta kołdrą pod brodę. Te zabójstwa nijak nie idą ze sobą w parze. A przynajmniej tak mi się zdaje.

Sztywno wzruszyłam ramionami, różne obrazy wypełzły z Mrocznego Zakątka i zatańczyły mi przed oczami, powróciły straszne dźwięki, więc wetknęłam głowę pod płynącą wodę, żeby je zagłuszyć. To, co sunęło w stronę odpływu, miało kolor burgunda. Wciąż zwisałam głową do dołu, gdy Lyle wyjął mi z ręki wąż i zaczął jeździć dłonią po mojej potylicy. Niezdarnie, bez żadnego seksualnego podtekstu, po prostu wykonywał niezbędną pracę.

- Miałaś tam wciąż jakieś czerwone zakrzepy - wznosił głos ponad szum lecącej

wody, po czym oddał mi wąż.

Wyprostowałam się, a wówczas Lyle złapał mnie za płatek ucha i silnie przejechał po nim palcem.

- Kolejny czerwony zakrzep - wyjaśnił. - Chyba marnie komponowałby się z kolczykami.

- Nie mam przekłutych uszu - wyjaśniłam.

Zaczęłam jeździć grzebieniem po włosach, rozważać, czy aby na pewno wybrałam dobry odcień. I jednocześnie bardzo się starałam nie myśleć o zmasakrowanych ciałach mojej pomordowanej rodziny.

- Naprawdę? A ja sądziłem, że wszystkie dziewczyny mają poprzekłuwane uszy.

- Nie miał kto mi ich przekłuć.

Lyle spoglądał na mnie ze smętnym uśmiechem na ustach.

- Jak kolor? - zapytał.

- Okaże się po wyschnięciu włosów. Usiedliśmy w dużym pokoju na dwóch końcach pachnącej wilgocią kanapy i wsłuchiwalismy się w deszcz, który znowu zaczął padać.

- Trey Teepano miał alibi - zauważył po chwili Lyle.

- Podobnie jak Runner. Zdaje się, że wówczas to był łatwo dostępny towar.

- Może w takim razie powinnaś oficjalnie odwołać swoje zeznania?

- Niczego nie odwołam, dopóki nie będę całkowicie przekonana o niewinności Bena - oznajmiłam. - A jak na razie nie jestem.

Ulewa się wzmagala, a ja coraz bardziej żałowałam, że nie mam kominka.

- Wiesz, że w dniu zbrodni wydano nakaz przejęcia farmy przez bank?

Skinęłam głową. To był jeden z czterdziestu tysięcy nowych faktów, które poznałam dzięki Lyle'owi i jego dokumentacji.

- Nie uważasz, że to znamienne? - ciągnął dalej. - Czy ten zbieg dramatycznych wydarzeń nie wydaje ci się niesamowity? Cały czas mam wrażenie, że coś nam umyka. Tylko pomyśl, mała dziewczynka rzuca kłamliwe oskarżenie, farma idzie pod młotek, a Runner musi spłacić od ręki hazardowe długi bukmacherowi, który - rany Julek! - Jest wyznawcą szatana. I wszystko to się dzieje tego samego dnia!

- A na dodatek każda z osób zamieszanych w tę sprawę kłamała lub kłamała nadal.

- Co powinniśmy wobec tego zrobić? - spytał Lyle.

- Pooglądać telewizję - zdecydowałam.

Włączyłam odbiornik, opadłam na oparcie i podsunęłam sobie pod nos na wpół przesuszony kosmyk, żeby sprawdzić efekty farbowania. Zobaczyłam szokującą, ognistą

rudość, ale przecież taki właśnie był naturalny kolor moich włosów.

- Wiesz, Libby, jestem z ciebie bardzo dumny - rzucił Lyle sztywnym tonem.

- Nie wstawiaj takich tekstów, bo mnie, kurwa, doprowadzają do szału swoją protekcjonalnością.

- Wcale nie traktuję cię protekcjonalnie - zaprzeczył dyszkantem.

- Do autentycznego szału.

- Słuchaj, ja tylko chciałem powiedzieć... Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że ciebie poznałem.

- Jasne. Któż by się nie cieszył. Ostatecznie jestem tak cholernie atrakcyjną osobą.

- Właśnie, że jesteś.

- Lyle, przestań, okej?

Podciągnęłam kolano pod brodę. Przez dłuższy czas oboje siedzieliśmy w milczeniu i udawaliśmy, że pilnie śledzimy program kulinarny, którego gospodarz perorował podejrzenie entuzjastycznym głosem.

- Libby?

Przeniosłam na niego wzrok - tak powoli, jakby przyprawiało mnie to o cierpienie.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- No.

- Słyszałaś kiedyś o tych wielkich pożarach, które w dziewięćdziesiątym dziewiątym szerzyły się w okolicach San Bernardino na obszarze prawie czterdziestu tysięcy hektarów i pochłonęły osiemdziesiąt domów?

Wzruszyłam ramionami. Gdy słuchało się wiadomości, można było odnieść wrażenie, że Kalifornia bez przerwy stoi w płomieniach.

- To ja wywołałem te pożary. Nie specjalnie. W każdym razie nie chciałem, żeby ogień wymknął się spod kontroli.

- Co takiego?

- Miałem tylko dwanaście lat, nie byłem jakimś podpalaczem-piromanem, czy kimś w tym rodzaju. Po prostu kiedyś wpadła mi w ręce zapalniczka, taka zwykła jednorazówka, teraz już nawet nie pamiętam w jakich okolicznościach, w każdym razie, no wiesz, lubiłem sobie nią pstrykać, i pewnego dnia wałęsałem się po wzgórzach na tyłach mojego osiedla, okropnie znudzony, a wokół rosły różne na wpół uschnięte zielska. No więc szedłem sobie, pstrykałem zapalniczką, i nagle zaciekawilo mnie, czy da się podpalić taką jedną trawę o puchatych końcach...

- Lisią kity.

- Kiedy chwilę później odwróciłem się za siebie, zobaczyłem dwadzieścia miniognisk, przypominających pochodnie. Wszystkie zielska zajmowały się ogniem, a wtedy na dodatek wiała Santa Ana, która rozdmuchiwała te płonące czubki dookoła, więc coraz większy obszar stawał w płomieniach. I w ten sposób dosłownie w kilka sekund z miniognisk zrobił się ogromny pożar.

- Aż tak szybko?

- Uhm, wystarczyły sekundy. Wiesz, pamiętam to uczucie, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że teraz już nic nie jestem w stanie naprawić, że sytuacja całkowicie mnie przerosła. Gołym okiem widziałem, że szykuje się niezła katastrofa. Pomyślałem też wtedy, że już nigdy się z tego nie otrząsnę, nie dojdę do siebie. I rzeczywiście nie doszedłem. Taka świadomość jest ciężka do udźwignięcia dla dziecka.

Poczułam, że w tym momencie wypadałoby coś powiedzieć.

- Przecież nie zrobiłeś tego naumyślnie, Lyle. Byłeś dzieciakiem, który miał straszego, porąbanego pecha.

- To racja, ale dlatego, no wiesz, potrafię się wczuć w twoje położenie. Kiedy nie tak dawno temu zacząłem zgłębiać twoją historię, doszedłem do wniosku, że w pewnym sensie coś nas łączy. Pomyślałem - ona wie, jak się czuje człowiek, który zrobił coś, co w jednej chwili kompletnie się wymknęło spod jego kontroli. Bo przecież tak samo było z twoimi zeznaniami i tym, co się później wydarzyło...

- Tak, wiem.

- Nigdy nie opowiadałem nikomu tej historii. To znaczy z własnej nieprzymuszonej woli. Pomyślałem jednak, że akurat ty...

- Rozumiem. Dzięki.

Gdybym była lepszym człowiekiem, położyłabym rękę na dłoni Lyle'a, serdecznie go uścisnęła, dała do zrozumienia, że odczuwam wobec niego empatię. Ale ponieważ nie byłam dobrym człowiekiem, już to „Dzięki” wydusiłam z największym trudem. Buck wskoczył na sofę, zaczął się kręcić, domagać karmienia.

- Czy... hm... masz jakieś plany na ten weekend? - zapytał Lyle, skubiąc kanapę w miejscu, gdzie niedawno siedziała Krissi i płakała z głową opartą o kolana.

- Nie.

- Eee, moja mama chciała, żebym zapytał, czy przypadkiem nie wpadłabyś na przyjęcie urodzinowe, które dla mnie wyprawia - wydukał. - No wiesz, kolacja w gronie najbliższych znajomych.

Naturalnie dorośli ludzie obchodzili urodziny i z tej okazji organizowali poważne

przyjęcia, ale Lyle powiedział to wszystko takim tonem, że stanęły mi przed oczami pęki baloników, występy kłownów i przejażdżki na kucykach.

- Z pewnością wolałbyś spędzić ten czas jedynie z przyjaciółmi - odparłam, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu telewizyjnego pilota.

- Właśnie dlatego cię zapraszam.

- A! W takim razie okej.

Siłą powstrzymałam się od uśmiechu, bo to już byłaby gruba przesada, i jednocześnie próbowałam obliczyć, w jakim wieku jest Lyle. Skoro w dziewięćdziesiątym dziewiątym miał dwanaście lat, to teraz skończy - ile? - Chryste, dwadzieścia dwa? Ledwo to pomyślałam, z telewizora popłynął skrót wiadomości. Tego ranka na dnie urwiska odnaleziono ciało Lisette Stephens. Została zamordowana. Nie żyła już od wielu miesięcy.

Patty Day

3 stycznia 1985, godz. 00:01

Zubożałe Kinnakee na skraju bankructwa. Zdecydowanie nie będzie tęsknić za tym miasteczkiem, a już w szczególności za zimą w tym miasteczku, gdy boczne drogi zmieniały się w zmrożone wertepy i nawet krótka przejażdżka samochodem wytrząsała z człowieka wszystkie kości.

Kiedy Patty dotarła do domu, dziewczynki już spały - Michelle i Debby jak zwykle leżały na podłodze, Debby miała pluszaka pod głową zamiast poduszki, a Michelle trzymała pamiętnik pod ręką i przez sen ssała pióro. Tylko Libby była w łóżku - zwinięta w kulkę, zaciskała dłonie w pięści i zgrzytała zębami. Patty miała ochotę otulić córki należycie kołdrami, ale bała się, że je pobudzi. Więc przesłała im tylko całusa, a gdy już miała zamknąć drzwi, uderzył ją w nos zapach uryny i wówczas uświadomiła sobie, że w końcu zapomniała zmienić tę pioruńską pościel.

Ubrania z plastikowej torby zostały spalone, na ruszcie znajdowały się zaledwie mikroskopijne pozostałości. Tylko jeden biały bawełniany kwadrat z czerwoną gwiazdką pośrodku hardo leżał na dogasających popiołach. Patty szybko dołożyła kolejne polano i rozdmuchała ogień, tak dla wszelkiej pewności, po czym wepchnęła bawełnianą szmatkę prosto w płomienie. A później zadzwoniła do Diane i poprosiła siostrę, żeby nazajutrz zjawiła się skoro świt, bo muszą wyruszyć na dalsze poszukiwania Bena.

- Mogę przyjechać natychmiast, jeżeli potrzebujesz towarzystwa.

- Nie, nie. Właśnie kładę się do łóżka - odparła Patty. - I wielkie dzięki za kopertę. Za pieniądze.

- Już zaczęłam dzwonić tu i tam, rozpytywać o prawników, do jutra powinnam mieć całkiem przyzwoitą listę. Nie przejmuj się, P. Ben wróci do domu. Zapewne najzwyczajniej w świecie spanikował i został u kogoś na noc. Rano się pokaże.

- Tak bardzo go kocham... - zaczęła Patty, ale szybko wzięła się w garść. - Dobranoc, Diane. Spij dobrze.

- Jutro przywiozę płatki zbożowe, dzisiaj zapomniałam zabrać je ze sobą.

Płatki zbożowe. Tak zwyczajne i przyziemne, że Patty aż poczuła skurcz żołądka.

Po rozmowie z siostrą od razu poszła do swojego pokoju. Chciała usiąść i oddać się rozmyślaniom, zgłębiać naturę rzeczy, do bólu, do samego dna. Pokusa była silna, ale ją

zwalczyła. Nalała sobie bourbona na dwa palce, nałożyła wiele warstw „nocnych” ubrań. Tak naprawdę teraz już nie było sensu nad czymkolwiek się zastanawiać. Więc równie dobrze mogła się zrelaksować.

Myślała, że wybuchnie płaczem - płaczem wielkiej ulgi - ale tak się nie stało. Położyła się do łóżka, wpatrzyła w popękany sufit i pomyślała: „Już nie muszę się przejmować stanem dachu”. Nie będzie też musiała patrzeć na połamaną moskitierę w oknie sypialni i powtarzać sobie rok w rok, że trzeba ją naprawić. Nie będzie musiała się martwić, że gdy wstanie rano spragniona kawy, ten cholerny ekspres zepsuje się na amen. Nie będzie musiała się zadreć kosztami obsługi kredytu, rosnącą stopą odsetek czy niebotycznym, niemożliwym do spłacenia zadłużeniem na kartach kredytowych, które Runner wziął na jej nazwisko. Już nigdy w życiu nie będzie musiała oglądać rodziny Catesów i nadymającego się jak indor Runnera. Nie będzie musiała martwić się procesem, ani patrzeć na oślizłego prawnika z wielkim złotym zegarkiem na rękę i z włosami gładko zaczesanymi do góry który w oczy zacznie ją pocieszać, a w duchu podda surowemu osądowi. Nie będzie tracić snu na nerwowe rozważanie, jakie historie opowiada ten prawnik swojej żonie - gdy nocą leżą w pościeli z gęsiego puchu - o „matce Daya” i jej obrzydliwych bachorach. Nie będzie musiała się przejmować, że Ben pójdzie do więzienia, a ona nie jest w stanie go ochronić. Że nie jest w stanie dobrze się opiekować którymkolwiek ze swoich dzieci. Wkrótce wszystko ulegnie zasadniczej zmianie. Pierwszy raz od dziesięciu lat zupełnie niczym się nie martwiła, i pewnie dlatego wcale nie chciało jej się płakać. Gdzieś około pierwszej Libby otworzyła drzwi i wgramoliła się do jej łóżka. Patty odwróciła głowę, pocałowała córeczkę, mruknęła „Kocham cię”, zadowolona, że miała okazję powiedzieć to na głos przynajmniej jednemu ze swoich dzieci, chociaż Libby była pogrążona w tak głębokim śnie, że pewnie wcale nie usłyszała słów matki.

Libby Day

Współcześnie

Obudziłam się z przeświadczeniem, że śniła mi się mama i nagle zatęskniłam za jej pokreconymi hamburgerami, do których dorzucała kawałki marchwi, rzepy, a czasami także przejrziałych owoców. To było bardzo dziwne, ponieważ nie jadam mięsa. Tymczasem teraz pochłonełabym bez wahania jeden z tych idiotycznych kotletów, stanowiących temat naszych nieustannych dowcipów.

Przy okazji zaczęłam się zastanawiać, jak ludzie przyrządzają normalne hamburgery, i właśnie wtedy zadzwonił Lyle ze swoją zwyczajową śpiewką. Jeszcze tylko jedno spotkanie. Dokładnie tak zawsze gadał. Powinnam porozmawiać jeszcze tylko z tą jedną osobą, a jeżeli ona do niczego nas nie doprowadzi, będę mogła już dać sobie spokój. Tym razem chodziło o Treya Teepano. Muszę się koniecznie spotkać z Treyem Teepano. A kiedy odparłam, że trudno będzie go namierzyć, Lyle natychmiast wyrecytował jego adres.

- Znalazłem go bez najmniejszego problemu. Koleś prowadzi własny sklep. „Teepano - Pasze i Narzędzia Rolnicze”.

Chciałam już powiedzieć Lyle'owi, że świetnie się spisał - ostatecznie nie kosztowałoby mnie to wiele wysiłku - ale tego nie zrobiłam. Dowiedziałam się natomiast, że aktywistki Magdy zapłacą mi pięćset dolców za rozmowę z Treyem. Prawdę powiedziawszy, zrobiłabym to i za darmo, co jednak nie powstrzymało mnie od przyjęcia kasy. Teraz po prostu musiałam ciągnąć rozpoczęte śledztwo. Nie mogłam spocząć dopóty, dopóki nie znajdę jakiejś w miarę sensownej odpowiedzi. Tym bardziej że jedno nie ulegało już dla mnie żadnej wątpliwości: Ben wiedział coś bardzo ważnego na temat tamtej nocy Wiedział, ale nie chciał puścić pary z ust. Wobec tego musiałam dążyć dalej. Kiedyś oglądałam w telewizji wyjątkowo rozsądnego eksperta od spraw sercowych, który udzielił widzom takiej rady: „Nie zniechęcajcie się, nie poddawajcie - czeka was seria porażek, ale w końcu znajdziecie ten jedyny, właściwy związek ”. I taki właśnie miałam obecnie stosunek do swojej żalostnej pogoni za prawdą: każda osoba, z którą do tej pory rozmawiałam, sprawiła mi zawód, ale pewnego dnia spotkam człowieka, dzięki któremu zdołam odtworzyć przebieg wydarzeń.

Lyle wybierał się ze mną do „Teepano - Pasze i Narzędzia Rolnicze”, bo z jednej strony był najzwyczajniej ciekawy, jaki jest Trey, z drugiej - ten facet wzbudzał w nim nerwowość („Nie ufam za grosz wyznawcom diabła”). Sklep Treya znajdował się w Kansas,

na wschód od Manhattanu, w rolniczym siedlisku wciśniętym pomiędzy rozrastające się podmiejskie osiedla. Były one czyste i nijakie. Wyglądały równie sztucznie jak westernowe Lidgerwood - miejsce, gdzie ludzie tylko udawali, że żyją. W pewnym momencie obszar zabudowany klockowymi domami się skończył i ujrzałam szmaragdową lagunę trawy. Pole golfowe. Nieduże i pachnące nowością. Pomimo zimnego, porannego deszczu przemierzali się po nim wymachujący kijami gracze, którzy przywodzili na myśl żółte i różowe chorągiewki powiewające na tle zieleni. A potem sztuczna trawa oraz mężczyźni w pastelowych koszulkach zniknęli równie nagle, jak się pojawili, i ujrzałam łąkę pełną ładnych, brązowych jerseyów, które wpatrywały się we mnie wyczekująco. Odwzajemniłam ich spojrzenie - krowy to jedne z nielicznych zwierząt, które patrzą na ludzi z prawdziwą uwagą - i tak bardzo się zagapiłam, że przeoczyłamby duży, ceglany budynek z szyldem „Teepano - Pasze i Narzędzia Rolnicze”, gdyby Lyle nie zaczął poklepywać mnie po ramieniu i powtarzać natarczywie „Libby, Libby, Libby”. Gwałtownie nadepnęłam na hamulec, ale jeszcze przez dobrych dwadzieścia metrów sunęłam naprzód siłą bezwładności, wywołując takie samo odczucie, jakie miałam tuż po tym, gdy Runner przestał mną wywijać i wypuścił mnie z objęć.

Wrzuciłam wsteczny i z piskiem opon zajechałam na żwirowy parking.

Przed sklepem stał tylko jeden samochód, a całe miejsce ogólnie sprawiało wrażenie zapuszczonego. Cementowe spoiny pomiędzy ceglami były zarośnięte brudem, dziecięca karuzela stojąca przy drzwiach - ćwierć dolara za przejażdżkę - nie miała ani jednego krzeselka. Gdy wchodziłam po szerokich, drewnianych schodach prowadzących do wejścia, w witrynie zamigotał neon z dziwacznym napisem „Mamy lamy!”. Natomiast na jednym ze słupów dyndał cynowy szyldzik reklamowy: „Sevin 5 Dust - zabójca owadów”. Otworzyłam drzwi, rozległ się dźwięk dzwonka, i weszliśmy do pomieszczenia, w którym panował większy chłód niż na zewnątrz. Klimatyzacja pracowała pełną parą, podobnie jak system nagłośnienia, wypełniający całe pomieszczenie ogłuszającym, kakofonicznym jazzem, który stanowiłby idealną ilustrację muzyczną dla przebiegu udaru mózgu. Za dużym kontuarem stała przeszklona, błyszcząca gablota ze strzelbami, a dalej - rzędy worków z nawozami i granulatami, z ziemią, nasionami i paszami, a do tego kilofy i siodła w rozmaitych kształtach i rozmiarach. W odległym kącie dostrzegłam drucianą klatkę z gromadką królików o nieruchomym spojrzeniu. Najidiotyczniejsze zwierzaki domowe na świecie - pomyślałam. Jak można w ogóle hodować stworzenie, które tylko się trzęsie jak galareta i sra, gdzie popadnie. Niektórzy utrzymują, że króliki można nauczyć załatwiania się do kuwety, ale osobiście jestem przekonana, że to najzwyklejsze kłamstwo.

- Tylko pamiętaj... ani się waż - spojrzałam surowym wzrokiem na Lyle'a, który już żywo rozglądał się dookoła, przełączony na tryb inkwizytora. - Ani się waż z czymś wyskoczyć.

- Nie wyskoczę - odparł z przekonaniem.

Po czym zaczął się wydierać „Halo? Halo?“, a i tak jego głos ledwo się wznosił ponad obłąkańczy jazz. W zasięgu wzroku nie było żadnego pracownika, ani klienta jeśli już o tym mowa, ale ostatecznie czego się można spodziewać po deszczowym, wtorkowym poranku? Ta ogłuszająca muzyka do spółki z bezlitosnym, fluorescencyjnym światłem sklepowych lamp sprawiała, że czułam się całkiem oślepiała. Mimo to udało mi się pochwycić kątem oka jakiś ruch w jednej z dalszych alejek między półkami. Ktoś systematycznie nachylał się i prostował, więc ruszyliśmy w tamtą stronę. Zobaczyliśmy śniadego, doskonale umięśnionego mężczyznę o czarnych, bardzo gęstych włosach związanych w koński ogon. Na nasz widok cofnął się odruchowo.

- O, cholera! - skrzywił twarz. Wpatrywał się w nas przez chwilę, potem przeniósł zaskoczone spojrzenie na drzwi, jakby zapomniał, że sklep jest otwarty dla klientów - Zupełnie nie usłyszałem, kiedy weszliście.

- Może z powodu muzyki?! - wrzasnął Lyle, wskazując palcem na sufit.

- Uważacie, że jest za głośna? Może to i racja. Poczekajcie.

Zniknął za drzwiami biura i nagle zaległa cisza.

- Lepiej? No więc, czym mogę służyć?

Oparł się o wór z nasionami, a jego spojrzenie jasno wyrażało: uważajcie, by się przypadkiem nie okazało, że wyłączyłem tę muzykę na darmo.

- Szukam człowieka nazwiskiem Trey Teepano - powiedziałam. - Czy on jest właścicielem tego sklepu?

- Owszem. I to ja jestem Trey Teepano. Czym mogę służyć?

Rozpierała go jakaś nerwowa energia, kołysał się na stopach, przygryzał wargi. Był nadzwyczaj atrakcyjnym mężczyzną, którego twarz wydawała się to stara, to młoda, w zależności od kąta ustawienia.

- No więc...

No więc tak naprawdę nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Jego imię dźwięczało mi w głowie jak inkantacja, ale nie miałam pojęcia, jak właściwie się zachować. Zapytać, czy był bukmacherem? Czy znał Diondrę? Oskarżyć go o morderstwo?

- Umm, chodzi o mojego brata.

- Bena.

- Rzeczywiście - nie potrafiłam ukryć zaskoczenia.

Trey Teepano uśmiechnął się zimnym, wilczym uśmiechem.

- Zajęło mi chwilę, ale cię rozpoznałem. Pewnie z powodu rudych włosów, no i dużego podobieństwa rysów twarzy. Ty jesteś tą, która przeżyła, zgadza się? Debby?

- Libby.

- Właśnie. A ty to kto?

- Jestem jej przyjacielem - odparł Lyle.

Widziałam, jak bardzo ze sobą walczy, żeby utrzymać gębę na kłódkę i nie zaliczyć takiej wpadki jak podczas spotkania z Krissi Cates.

Tymczasem Trey zabrał się do poprawiania towaru na półkach, wyrównywania rzędów butelek ze środkiem odstraszającym jelenie; udawał, że nagle jest bardzo zajęty, ale szło mu marnie - równie dobrze mógłby zacząć czytać książkę odwróconą do góry nogami.

- Znałeś też mojego ojca?

- Runnera? Każdy go znał.

- Kiedy widziałam go po raz ostatni, wspominał o tobie.

Trey odrzucił koński ogon na plecy.

- Aha. To już wykorkował?

- Nie, nie. Mieszka w Oklahomie. Uważa, że byłeś w jakiś sposób... uwikłany w wydarzenia tamtej nocy i mógłbyś rzucić nieco światła na okoliczności popełnionej wówczas zbrodni.

- Ten stary jest szurnięty.

- Powiedział, że w owych czasach byłeś bukmacherem.

- Owszem.

- I wyznawcą diabła.

- Zgadza się.

Przytakiwał tonem charakterystycznym dla nawróconych nałogowców, pobrzmiwającym z trudem wyćwiczonym pokojowym nastawieniem do ludzi.

- A więc z tym satanizmem to prawda?! - wypalił Lyle i natychmiast spojrzał na mnie ze skruchą.

- Owszem. I prawdą też jest, że Runner był mi winien mnóstwo kasy której skądinąd nie oddał do dziś. Ale to nie oznacza, że wiem, co tamtej nocy wydarzyło się w twoim domu. Już to zresztą wszystko przerabiałem dziesięć lat temu.

- Chciałeś powiedzieć dwadzieścia cztery.

Trey zmarszczył brwi.

- Poważnie? Aż tyle?

Wciąż wydawał się nieprzekonany, ze ściągniętą twarzą rachował w myślach minione lata.

- Czy dobrze znałeś Bena? - nie ustępowałam.

- Nie za dobrze. Powiedziałbym, że pobieżnie.

- Twoje nazwisko ciągle gdzieś się pojawia w związku z tą sprawą.

- Moje nazwisko łatwo wpada w ucho. - Wzruszył ramionami.

- Posłuchaj, w owych czasach Kinnakee było cholernie rasistowską dziurą. Nikt tam nie lubił Indian. To wszystko działo się jeszcze przed *Tańczącym z wilkami*. Pojmujesz, co mówię? Wówczas w tym pieprzonym WDJE obowiązywała zasada WWI.

- Jaka zasada?

- WWI. Wszystkiemu Winien Indianiec. Przyznaję, byłem paskudnym gnojkiem. Nie zaliczałem się do dobrych ludzi. Ale po tamtej nocy, po tym, co spotkało twoją rodzinę, totalnie spanikowałem i wróciłem na prostą drogę. To znaczy, nie tak od razu, ale mniej więcej rok później. Przestałem ćpać, porzuciłem wiarę w diabła. Zresztą porzucenie wiary było o wiele trudniejsze od odstawienia drugów.

- Naprawdę wierzyłeś w szatana? - nie wytrzymał Lyle.

Trey wzruszył ramionami.

- Jasne. Przecież trzeba w coś wierzyć, no nie? Każdy ma swojego bożka.

Ja nie mam, pomyślałam.

- Jeżeli wierzysz, że drzemie w tobie diabelska moc, to ją w sobie odnajdujesz - ciągnął Trey. - Ale to już dawne dzieje.

- A Diondra Wertzner? - zapytałam.

Zawahał się, wykręcił na pięcie, podszedł do klatki z królikami i zaczął gładzić jednego z nich palcem przez drucianą siatkę.

- Właściwie o co ci chodzi, Deb, hmm, Libby?

- Próbuję odszukać Diondrę Wertzner. Słyszałam, że była w ciąży z Benem i zniknęła w noc zbrodni. Podobno ostatnio widziano ją w towarzystwie twoim i Bena.

- Jasna cholera, Diondra. Zawsze wiedziałem, że ta dziewczyna wcześniej czy później odbije mi się czkawką. - Po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko. - Rety, Diondra! Nie mam pojęcia, gdzie się teraz podziewa. Często zniknęła na jakiś czas, uwielbiała wszystko dramatyzować. Zwiewała z domu, jej rodzice wszczynali wielki raban, wracała, przez jakiś czas bawili się w kochającą rodzinę, potem starzy po raz kolejny nawalali - byli parą beznadziejnych kretynów, strasznie zaniedbywali tę dziewczynę - więc znowu wywijęła jakiś

numer, znikąca, odstawiała następny dramat. Totalna opera mydlana. Myślę, że w końcu związała na dobre, doszła do wniosku, że nie warto wracać do domu. Radzę wam, przejrzycie uważnie książki telefoniczne.

- Diondra widnieje w rejestrze osób zaginionych - wtrącił Lyle i natychmiast zerknął w moją stronę, żeby sprawdzić, czy nie jestem wkurzona jego interwencją.

Nie byłam.

- Diondra na pewno ma się dobrze - zapewnił Trey. - Przypuszczam, że żyje gdzieś wygodnie pod jednym z tych swoich kretyńskich nazwisk.

- Kretyńskich nazwisk? - spytałam i położyłam szybko rękę na ramieniu Lyle'a, żeby przypadkiem w tym momencie z czymś nie wyskoczył.

- Owszem. Ta dziewczyna zawsze chciała uchodzić za kogoś zupełnie innego, niż była w rzeczywistości. Jednego dnia mówiła z angielskim akcentem, następnego - z południowym. Prawie nigdy nie podawała nikomu prawdziwego imienia. Szła do salonu piękności, przedstawiała się inaczej, zamawiała pizzę - znowu zmieniała imię. Lubiła pogrywać sobie z ludźmi, robić im wodę z mózgu. „Jestem Desiree z Dallas. Jestem Alexis z Londynu”. Czysty pornos.

- Występowała w pornosach?

- Nie. To taka zabawa. Jak się wabił pies, którego miałaś w dzieciństwie?

Spojrzałam na niego jak na wariata.

- No jak?

Pomyślałam o psie Diane.

- Gracie.

- A jak się nazywała ulica, przy której dorastałaś?

- Rural Route 2.

Parsknął śmiechem.

- Marna kombinacja. To musi przypominać pseudonimy gwiazd pornosów, na przykład Bambi Evergreen, czy coś w tym stylu. Diondra miała taką swoją ulubioną ksywkę... Polly... jakaś tam... hmm... Palm! Polly Palm. Niezły kretyнизм, co?

- Więc jesteś przekonany, że ona żyje?

Wzruszył ramionami.

- Myślisz, że Ben rzeczywiście był winny?

- Nie mam na ten temat zdania. Pewnie tak.

Lyle nagle zrobił się bardzo niespokojny, podrygiwał jak jo-jo, dźgał mnie palcem w plecy, popychał w stronę drzwi.

- Wielkie dzięki za poświęcony nam czas - odezwał się w końcu.

Spiorunowałam go wzrokiem, a on odpowiedział mi tym samym, jarzeniówki nad naszymi głowami nagle zamigotały, oświetlając niezdrowym światłem całą naszą trójkę i króliki kicające po słomie. Trey spojrzął ze złością na lampy, które natychmiast przestały migotać, jakby się przeraziły tego karcącego wzroku.

- Mogę ci zostawić swój numer telefonu? Na wypadek, gdybyś coś jeszcze sobie przypomniał?

Uśmiechnął się, pokręcił głową.

- Nie, dzięki.

A potem odwrócił się i odszedł.

Gdy zmierzaliśmy w stronę drzwi, muzyka znowu wyła ogłuszająco. Zobaczyłam błyskawicę przecinającą niebo, które z jednej strony było czarne, z drugiej - żółte. Zerknęłam jeszcze przez ramię: Trey wyszedł z biura i odprowadzał nas wzrokiem, trzymając ręce na biodrach.

- Hej, Trey, a co to właściwie jest WDJE? - wykrzyknęłam.

- W Dupę Jebany Egipt, Libby. Nasze rodzinne miasto.

*

Lyle cwałował przede mną, przeskakując po dwa stopnie naraz. W trzech susach dopadł do samochodu i zaczął niecierpliwie szarpać za klamkę, byle jak najszybciej znaleźć się w środku.

Usiadłam na fotelu kierowcy, solidnie rozeźlona.

- Co jest? - warknęłam.

Rozległ się huk gromu, nagły powiew powietrza przyniósł ze sobą zapach mokrego żwiru.

- Ruszaj, Libby Pospiesz się. Najpierw stąd odjedźmy. Wyośmy się jak najprędzej!

- Do usług, jaśnie panie.

Wyjechałam ostro z parkingu i skręciłam w stronę Kansas City. Lało tak niemiłosiernie, jakby nad nami oberwała się chmura. Mniej więcej po pięciu minutach Lyle kazał mi zatrzymać na poboczu, odwrócił się w moją stronę i wykrzyknął:

- Wielkie nieba!

Ben Day

3 stycznia 1985, godz. 00:02

Zajechali pod dom Diondry, psy tradycyjnie wściekle ujadły, jakby nigdy w życiu nie widziały pikapa, człowieka czy nawet swojej właścicielki. Wszyscy troje przeszli przez tylną furtkę, a potem Diondra kazała Treyowi i Benowi rozebrać się przed rozsuwanymi drzwiami do ogrodu, żeby nie zachlapali domu krwią.

- Po prostu zdejmijcie wszystkie ciuchy, zrzućcie na stertę, potem je spalimy.

Psy bały się Treya. Szczekały na niego, ale trzymały się z daleka - kiedyś porządnie stłukł tego białego, największego, i od tamtej pory pitbulle czuły przed nim respekt. Trey ściągnął koszulę przez plecy, tak jak to zawsze robią faceci na filmach, a potem rozpiął dżinsy, nie spuszczać przy tym wzroku z Diondry, jakby za chwilę mieli się pieprzyć, a to była jakaś porąbana gra wstępna. Ben zdjął swój T-shirt w taki sam, męski sposób, a następnie zaczął odklejać od skóry skórzane spodnie, które już zdążył całkiem przepocić. W tej samej chwili opadły go psy, zaczęły lizać po ramionach, obwąchiwać mu krocze, jak gdyby chciały go pożreć. Jednego z nich odepchnął, przyciskając otwartą dłoń do pyska, ale kundel natychmiast skoczył na niego ponownie, agresywny, toczący ślinę.

- Chyba chce ci obciągnąć, chłopie - zaśmiał się Trey. - Dobrego obciągania nigdy za wiele, dlatego korzystaj, póki możesz.

- Ode mnie na pewno się nie doczeka, więc lepiej niech nie traci takiej okazji - palnęła Diondra i podrzuciła lokami w ten swój cholernie wkurzający sposób.

Zdjęła dżinsy - linia opalenizny pokazywała, gdzie powinny być majtki, ale teraz w tym miejscu widniało białe ciało i kępa czarnych włosów, stercząca niczym futro zmokłego kota. Potem ściągnęła także sweter i stanęła na mrozie w samym tylko biustonoszu, z którego wylewały się obrzmiałe piersi poznaczone jasnymi rozstępami.

- No co? - warknęła na Bena, kiedy zauważyła, że na nią patrzy.

- Nic. Powinnaś wejść do środka.

- Dzięki, geniuszu.

Kopniakiem posłała swoje ubrania na stertę i powiedziała Treyowi - z jakiegoś względu było oczywiste, iż zwraca się jedynie do Treya - że idzie po benzynę do zapalniczek.

Trey rzucił swoje dżinsy na środek stosu ubrań i, stojąc w samych tylko bokserkach, oznajmił Benowi, że tego wieczoru zupełnie się nie sprawdził jako mężczyzna.

- Mam na ten temat odmienne zdanie - mruknął pod nosem Ben, ale kiedy Trey spytał: „Co mówiłeś? ”, pokręcił tylko głową. Jeden z psów znów się nachalnie na niego pchał, oparł łapy o uda i oblizywał brzuch, gdzie się zebrało dużo zakrzepłej krwi.

- Złaź ze mnie! - krzyknął Ben, a gdy pitbull ponownie na niego skoczył, przywalił mu z bekhemdu.

Pies zawarczał groźnie, dołączył do niego drugi, a trzeci rozszczękał się jak szalony, obnażając przy tym kły. Całkiem nagi Ben zaczął się nerwowo przesuwając w stronę domu, wrzeszcząc: „Precz ode mnie!”, ale kundle cofnęły się dopiero wtedy, kiedy pojawiła się Diondra.

- Psy respektują tylko siłę - skwitował Trey, a potem z ukosa zerknął na nagość Bena.
- Niezły ognisty krzaczek.

Wziął benzynę od Diondry - wciąż nagiej w dół od dużego brzucha, z którego sterczał pepek, podobny do kciuka - i zabrał się do przyskania pokrwawionych ubrań, trzymając puszkę tuż przy fiucie, jakby sikał. Potem pstryknął zapalniczką i PUUUF! - ciuchy tak gwałtownie stanęły w płomieniach, że Trey aż się zatoczył kilka kroków do tyłu i niewiele brakowało, aby upadł. Miał przy tym okropnie głupią minę, jakiej Ben nigdy wcześniej u niego nie widział. Diondra natychmiast się odwróciła, żeby zaoszczędzić Treyowi dodatkowego zażenowania.

I właśnie to zasmuciło Bena najbardziej tego wieczoru - kobieta, która nosiła jego dziecko, którą chciał pojąć za żonę, udzieliła innemu mężczyźnie aktu łaski, którego zawsze bez wyjątku odmawiała Benowi.

A więc Ben musi w najbliższym czasie zrobić coś takiego, żeby ona wreszcie nabrała do niego szacunku.

*

Utknął na dobre w domu Diondry i teraz mógł tylko patrzeć, jak tych dwoje znowu jara jointy. Nie zdołałby wrócić na farmę bez swojego roweru - było zbyt zimno, panował okrutny ziąb, a do tego gęsto sypał śnieg i wiał silny wiatr. Jeżeli nadejdzie burza lodowa, pozostałe krowy z tamtego pastwiska do rana zamarzną na śmierć, o ile ich właściciel - leniwy kutas - nie zareaguje na czas. A właściwie niech mu wszystkie wyzdychają. To będzie dla niego dobra nauczka. Ben poczuł, jak znowu narasta w nim potężny gniew.

Najchętniej każdemu dałby solidną nauczkę. A przede wszystkim tym skurwysynom, którym zawsze wszystko się udawało, którzy nigdy nie mieli żadnych problemów i fuksem prześlizgiwali się przez życie. Do diabła, nawet Runner, ten zasrany pijak, obrywał od losu o wiele mniej niż Ben. Wokół było mnóstwo ludzi, którym przydałaby się nauczka, którzy powinni wreszcie zrozumieć to, co on już od dawna wiedział - że nic w życiu nie przychodzi

łatwo, za to mnóstwo spraw może się w jednej chwili spieszyć.

Wraz ze skórzanymi spodniami Diondra przez pomyłkę spaliła jego dzinsy, więc miał na sobie jej fioletowe spodnie od dresu, wielką bluzę i grube, białe skarpety Ralph Laurena, które - jak już dwa razy usłyszał - miał koniecznie w najbliższym czasie zwrócić. Teraz wszyscy troje nie bardzo wiedzieli, co ze sobą począć. Wielkie wydarzenie dobiegło końca i Ben nadal się zastanawiał, co właściwie się za tym kryło. Czy rzeczywiście modlił się do diabła, czy przejął część jego mocy? Czy raczej była to jedna wielka ściema, bzdura, w którą nie wiedzieć czemu zaczyna się nagle wierzyć - jak w zdolność przywoływania duchów lub w kłowna-mordercę w białym vanie. Czy rzeczywiście milcząco postanowili uwierzyć, że składają ofiarę szatanowi, czy może był to zwykły pretekst, żeby się naćpać i odwalić idiotyczny numer?

Powinni wcześniej przystopować z jaramiem. To rzeczywiście był marny towar, niosący ze sobą cierpienie. Dym tak agresywnie przedzierał się przez krtań, jakby chciał wyrządzić jak najwięcej szkód. Tanie zioło z gatunku tych, które wyzwalają w ludziach wszystko co najgorsze.

Trey powoli dogorywał przed telewizorem. Najpierw gwałtownie mrugał oczami, potem głowa zaczęła mu się chwiać na wszystkie strony, aż w końcu zwałił się na bok i kompletnie odpłynął.

Diondra oznajmiła, że musi się wysikać, więc Ben został sam w salonie i nagle bardzo zatęsknił za domem. Wyobraził sobie, że leży w swojej flanelowej pościeli i rozmawia z Diondrą przez telefon. Ona nigdy nie dzwoniła do niego z domu i jemu też nie pozwalała tutaj dzwonić, żeby przypadkiem jej stuknięci rodzice niczego nie odkryli. Wciskała więc paczkę papierosów do kieszeni i jechała do którejś budki telefonicznej - albo tej przy stacji benzynowej, albo tej przy supermarkecie. To była jedyna rzecz, którą robiła specjalnie dla niego, jedyny wysiłek, na jaki się wobec niego zdobywała, więc pewnie dlatego tak lubił te telefony. Właściwie większą przyjemność sprawiało mu rozmyślanie o tych telefonach niż samo prowadzenie rozmowy z Diondrą, szczególnie że ostatnio była dla niego okropnie podła. Nagle znowu stanął mu przed oczami krwawiący buhaj i Ben żałował, że nie ma w tej chwili w ręku strzelby - nagle bardzo zapragnął poczuć ją w dłoniach - a ledwo to pomyślał, Diondra zaczęła się wydzierać i żądać, żeby natychmiast stawił się w sypialni.

Kiedy tam wszedł, nachylała się nad swoją błyszczącą, czerwoną automatyczną sekretarką. Na widok Bena przekrzywiła głowę i powiedziała tylko: „Masz przejebane”. Po czym wcisnęła guzik odtwarzania.

- Hej, Dio, tu Megan. Jestem TOTALNIE przerażona tym, co usłyszałam na temat

Bena Daya. Czy już wiesz, że on molestował małe dziewczynki? Moja siostra chodzi do szóstej klasy, dzięki Bogu jej nic nie zrobił, ale wyobrażasz sobie, co to za zbok? Na szczęście gliniarze już go chyba aresztowali. Tak czy owak zadzwoń do mnie.

Rozległ się trzask, terkot, a potem kolejny dziewczęcy głos - tym razem niski i głęboki.

- Hej, Diondra, tu Jenny. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że Ben Day to wyznawca szatana? A czy słyszałaś już o jego innym zbrodniu? Ponoć zbiegł z miasta i ukrywa się przed policją. Ktoś mi mówił, że jutro z jego powodu ma się odbyć w szkole wielka konferencja. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy przyjdiesz.

Diondra wisiała nad sekretarką z taką miną, jakby miała najszczerszą ochotę ją roztrzaskać. Gwałtownie odwróciła poczerwieniałą twarz w stronę Bena i wrzasnęła, przyskajac śliną na wszystkie strony:

- Co to, kurwa, ma znaczyć?!

A on bez zastanowienia udzielił najgorszej możliwej odpowiedzi:

- Nie wiem, dlatego muszę wracać do domu.

- O, nie, nie, nie, maminsynku. Pierdolony, bezwartościowy maminsynku. Chcesz wracać do domu i grzecznie czekać na policję? A co ja zrobię, gdy ciebie wsadzą do więzienia? Mam tu zostać sama i czekać na powrót mojego pierdolonego tatusia?! Mam tu siedzieć i patrzeć, jak w moim brzuchu rośnie twój pierdolony dzieciak, którego teraz już nie mogę się pozbyć?!

- To co według ciebie powinienem zrobić? - zapytał, a w myślach nieustannie powtarzał „Chcę do domu, do domu, do domu”.

- Jeszcze tej nocy wyjedziemy z miasta. Mam dwieście dolarów, które mi zostały z ostatniego kieszonkowego. Ile uda ci się zabrać z farmy?

Ben nie odpowiedział natychmiast, bo myślami był przy Krissi Cates i bardzo poważnie się zastanawiał, czy za jeden pocałunek rzeczywiście można trafić do więzienia, oraz ile prawdy jest w tych sensacyjnych doniesieniach i czy gliniarze naprawdę go poszukują. W rezultacie Diondra doskoczyła do niego i wymierzyła mu siarczysty policzek.

- Pytałam, ile uda ci się zabrać z farmy!

- Nie jestem pewien. Zdołałem zaoszczędzić trochę pieniędzy, a mama zazwyczaj ma zachomikowane jakieś sto lub dwieście dolców, ale nie wiem gdzie.

Diondra zachwiała się na nogach i zerknęła na budzik.

- O której twoja mama chodzi spać? Czy o tej porze będzie jeszcze na nogach?

- Jeżeli na farmie są gliniarze, to tak.

Ale jeżeli ich nie było, to z pewnością od dawna spała niczym zabita bez względu na okoliczności. W rodzinie zawsze się naśmiewali, że ona nigdy nie może przywitać Nowego Roku, bo zawsze odpływa na długo przed północą.

- Dobra. Wobec tego pojedziemy na farmę, a jeśli nie będzie tam policyjnych samochodów, wejdziemy do środka. Weźmiesz pieniądze, spakujesz trochę ciuchów, a potem wyniesiemy się z tego miasta już na zawsze.

- I co dalej?

Diondra podeszła i pogłaskała go po policzku w miejscu, które wciąż jeszcze paliło od uderzenia. Czarna kredka do oczu spływała jej po twarzy, a mimo to poczuł przypływ... czego? Miłości? Siły? W każdym razie czegoś naprawdę przyjemnego.

- Ben, skarbie, jestem matką twojego dziecka, zgadza się?

Pokiwał głową, choć bardzo niepewnie.

- Wobec tego musisz wywieźć mnie z miasta. Musisz wywieźć z miasta całą naszą trójkę. Nie poradzę sobie bez ciebie. Dlatego wyruszmy zaraz, natychmiast. Pojedziemy na zachód. Zaszycemy się na jakimś kempingu, a jeżeli trzeba, będziemy sypiać w samochodzie. W innym wypadku ty skończysz w więzieniu, a ja zginę z ręki własnego ojca. On najpierw poczeka, aż urodzę dziecko, a zaraz potem strzeli mi prosto w łeb. Chyba nie chcesz, żeby nasze maleństwo zostało sierotą? Teraz jeszcze możesz temu zaradzić. Więc zbierajmy się stąd.

- Ja nie zrobiłem tym dziewczynkom tego, o co mnie oskarżają, naprawdę nie zrobiłem - wyszeptał w końcu Ben.

Diondra opierała się na jego ramieniu, jeden z jej loków wciskał mu się do ust.

- A kogo, kurwa, obchodzi, czy to zrobiłeś czy nie?

Libby Day

Współcześnie

Lyle podrygiwał w podnieceniu na fotelu pasażera.

- Pojmujesz, Libby? Rany Julek! Pojmujesz?

- Niby co?

- Ksywka Diondry, ta pornosowata, jej ulubiona, nic ci nie nasunęła?

- Polly Palm? Nie.

Lyle uśmiechał się od ucha do ucha, jego zęby odcinały się ostrą bielą od panującego w samochodzie mroku.

- A pamiętasz, Libby, co twój brat wytatuował sobie na ramieniu? Pamiętasz, jak razem przebiegaliśmy przez listę możliwych imion? Molly, Sally i to, które uznałem za najwłaściwsze dla psa?

- O, Chryste.

- Polly, zgadza się?

- Chryste - powtórzyłam.

- To przecież nie może być przypadek, prawda?

Oczywiście. O żadnym przypadku nie mogło być mowy. Każdego, kto skrywa jakąś ważną tajemnicę, aż korci, żeby się nią podzielić. To był sposób Bena na objawienie jej światu. I zarazem hołd złożony sekretnej miłości. Nie mógł wytatuować sobie prawdziwego imienia swojej dziewczyny - Miss Znikająca Diondra - więc w zamian wykorzystał to, którym się posługiwała dla zabawy. Wyobraziłam sobie, jak mój brat z dumą przejeżdża palcem po obrzękniętej skórze, wciąż zaczerwienionej i piekającej. Polly. Może to był romantyczny gest.

A może ad memoriam.

- Ciekawe, kiedy zrobił sobie ten tatuaż? - zamyślił się Lyle.

- Prawdę powiedziawszy, nie wyglądał na stary - odparłam. - Był wciąż, jak by to ująć, wyraźny i żywy w kolorze, ani trochę niewyblakły.

Lyle wyciągnął z plecaka laptop i postawił go sobie na prawym kolanie.

- No już, no już, gdzie ten zasięg?!

- Co robisz?

- Moim zdaniem Diondra wcale nie została zamordowana. Udała się na dobrowolne wygnanie. A jeżeli byłabyś na wygnaniu, pomyśl, Libby, czy nie kusiłoby cię, żeby używać

imienia i nazwiska, którym już kiedyś się posługiwałaś, ale które znało zaledwie parę osób? To swoisty żart, a jednocześnie... drobna nić łącząca z rodzinnymi stronami. Coś, co twój chłopak mógłby sobie wytatuować na ramieniu, bo dla niego miałyby to istotne znaczenie. NO DAWAJ! - warknął na laptop.

Dopiero po kolejnych dwudziestu minutach jazdy autostradą, gdy byliśmy już niedaleko Kansas City, Lyle złapał w końcu zasięg i zaczął stukać w klawisze w rytm padającego deszczu, a ja wyciągałam szyję w stronę ekranu, starając się przy tym nas nie zabić.

W końcu Lyle podniósł na mnie wzrok i idiotycznie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Libby, chyba powinnaś znowu zjechać na pobocze.

Skręciłam tak gwałtownie, że kierowca nadjeżdżającej z tyłu ciężarówki nacisnął na klakson, a całym moim autem aż zatrzęsło, gdy wielki samochód minął nas dosłownie o włos.

Jej imię wyzierało z ekranu - pieprzona Polly Palm, zamieszkała w Kearney, w stanie Missouri. Obok dokładny adres i numer telefonu. To była jedyna Polly Palm figurująca w spisie abonentów na terenie całego kraju, o ile nie liczyć studia paznokcia o takiej nazwie, mieszczącego się w Shreveport, w Luizjanie.

- Muszę sobie w końcu zainstalować ten cholerny Internet - mruknęłam.

- Myślisz, że to ona? - Lyle wpatrywał się w widniejące na ekranie nazwisko, jakby lada moment miało zniknąć. - To musi być ona, prawda?

- Zaraz się przekonamy - odparłam i wyciągnęłam komórkę.

Odebrała po czwartym dzwonku, w chwili, gdy już się szykowałam do pozostawienia wiadomości na automatycznej sekretarce.

- Czy rozmawiam z Polly Palm?

- Owszem.

Głos był piękny - mleczno-dymny. - A może raczej z Diondrą Wertzner?

Cisza. Trzask odkładanej słuchawki.

- Lyle, bądź tak miły i szybko wyszukaj, jak trafić pod ten adres.

*

Lyle chciał ze mną jechać. Bardzo, bardzo chciał jechać. Uważał, że naprawdę, ale to naprawdę powinien, jednak ja uznałam, że to nie najlepszy pomysł, nie chciałam, by był świadkiem czekającego mnie spotkania, więc bez pardonowo wysadziłam go przed pubem „U Sary”. Miał smętną minę, chociaż widziałam, jak bardzo stara się ukryć rozczarowanie, dlatego w końcu obiecałam, że zadzwonię do niego tuż po wyjściu od Diondry.

- Tylko nie zapomnij, koniecznie zadzwoń! - zawołał. - Koniecznie!

Zatrąbiłam na do widzenia i odjechałam, a Lyle krzyczał coś za mną jeszcze wtedy, gdy już skręcałam za róg.

Tak mocno zaciskałam ręce na kierownicy, że aż zeszywniały mi palce. Kearney było oddalone o czterdzieści pięć minut jazdy na północny wschód od Kansas City, a dom Diondry, według bardzo szczegółowych danych Lyle'a, dzieliło od samego miasteczka dalsze piętnaście minut drogi. Wiedziałam, że znajduję się blisko celu, kiedy przy szosie pojawiły się tablice informujące, jak dojechać do Farmy Jesse Jamesa i do jego grobu. Ciekawiło mnie, dlaczego Diondra postanowiła zamieszkać w miejscu urodzenia słynnego, wyjętego spod prawa bandyty. Taki wybór to raczej coś w moim stylu. Minęłam zjazd na farmę Jamesów, którą zwiedzałam w dzieciństwie podczas wycieczki klasowej. Stał tam bardzo mały, zimny dom, w którym podczas niespodziewanego ataku bombowego zginął kilkuletni przyrodni brat Jessego. Pamiętam, że kiedy weszłam do środka, pomyślałam: „Dokładnie jak u nas w domu”.

Jechałam dalej wąską, krętą drogą, w górę i w dół wzgórz, aż znalazłam się poza miastem, na terenach rolniczych, gdzie na dużych, płaskich działkach stały oszalowane deskami, zakurzone domy, a na każdym podwórku ujadał pies przykuty łańcuchem do budy. Nigdzie natomiast nie widziałam ani jednego człowieka, okolica zdawała się całkowicie wyludniona. Tylko psy, kilka koni, a w oddali linia zielonego lasu, który zdołał się uchować pomiędzy siedliskiem a autostradą.

Dziesięć minut później zobaczyłam dom Diondry. Był paskudny, ale miał w sobie swoistą arogancję, przechylał się na jedną stronę niczym wkurzona kobieta, wysuwająca wojowniczo biodro. Stał w pewnej odległości od drogi i przypominał drewniak dla najemnych robotników rolnych, normalnie wznoszony nieopodal domu gospodarzy. Jednak w zasięgu wzroku nie było żadnych innych zabudowań, tylko kilka hektarów nierównego, błotnistej terenu, oznaczonego karczami, jakby ziemia cierpiała na ciężki trądzik - smutna pamiątka po rosnącym tu niegdyś lesie, którego resztki zamykały linię horyzontu.

Skreśliłam w nieutwardzony, wąski podjazd prowadzący do domu i natychmiast się przestraszyłam, że zakopię się w tym błocie, a jak moje auto tutaj utknie, to co ja wtedy pocznę?

Za burzowych chmur niespodziewanie się wyłoniło późnopołudniowe słońce i oślepiło mnie w chwili, gdy trzasnęłam drzwiami i skierowałam się w stronę domu, złodowaciała w środku. Podeszłam do frontowych schodów; spod ganku wyskoczyła wielka samica oposa i zaczęła na mnie groźnie syczeć. Jej widok całkiem wytrącił mnie z równowagi: ten biały, spiczasty pysk, obnażone zęby i czarne oczy miały w sobie coś

trupiego. Na dodatek samice oposów są wyjątkowo wredne, kiedy mają młode. Ta czmychnęła w końcu w krzaki, a ja kilka razy kopnęłam w drewniane schody, żeby sprawdzić, czy pod spodem nie siedzi więcej podobnych stworów, i dopiero wtedy weszłam na górę, niezdarnie stawiając lewą, uszkodzoną stopę. Przed drzwiami wisiał „łapacz snów” przystrojony piórami i rytowanymi zębami zwierząt.

Tak jak w mieście deszcz uwalnia zapach kurzu i mokrego betonu, tak tutaj wydobył zapach ziemi i obornika. Identycznie pachniało na naszej farmie, co wcale mi się nie spodobało.

Zapukałam do drzwi i dopiero po dłuższej chwili usłyszałam ciche kroki. Otworzyła Diondra, zdecydowanie żywa. Nawet wyglądała podobnie jak na zdjęciach, które widziałam. Zrezygnowała ze spiralnej trwałej, ale nadal nosiła rozpuszczone włosy, które teraz układały się w ciemne, miękkie fale. Wciąż też hojnie podkreślała oczy czarnym ołówkiem, przez co wydawały się intensywnie turkusowe, jak wielkanocne cukierki, miała też bardzo grubą warstwę tuszu na rzęsach, który znaczył ciemnymi kropkami poduszeczki pod oczami. Jej twarz i całe ciało było zbiorem miękkich krągłości: różowe, lekko obwisłe policzki, pulchne wargi, piersi nieznacznie wylewające się ze stanika, drobny wałeczek tuż nad paskiem dzinsów.

- O! - Z wnętrza domu powiało ciepłym powietrzem. - Libby?

- Owszem.

Ujęła moją twarz w dłonie.

- Chryste, Libby! Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia tutaj trafisz. Bystra z ciebie dziewczyna. - Przytuliła mnie do siebie, a potem odsunęła na długość ramienia. - Witaj. Zapraszam do środka.

Znalazłam się w kuchni wychodzącej bezpośrednio na pokój, i ten układ boleśnie mi przypomniiał o moim utraconym domu. Minęłyśmy niewielki hol oraz otwarte na oścież drzwi do piwnicy, od której ciągnęło chłodem - czyste niedbalstwo - po czym weszłyśmy do niskiego pokoju dziennego. Ze stojącej na podłodze popielniczki wykwitał obłok dymu, ściany były zażółcone, meble mocno zużyte. Natomiast jedną ze ścian w dużej części wypełniał olbrzymi telewizor.

- Będziesz tak miła i zdejmiesz buty, kochanie?

Wskazała głową na dywan, splamiony i lepki od brudu. W ogóle cały dom był brudny, zaniedbany, byle jaki. Przy schodach leżała miniaturowa psia kupa, którą Diondra wprawnie obeszła dookoła.

Poprowadziła mnie w stronę sofy, rozsiewając wokół trzy różne zapachy:

winogronowego lakieru do włosów, kwiatowego balsamu i może... spreju na insekty? Była ubrana w bluzkę z dużym dekoltem i bardzo obcisłe dzinsy oraz obwieszona tandetną biżuterią noszoną zazwyczaj przez nastolatki. Należała do tych kobiet w średnim wieku, którym się wydawało, że są w stanie oszukać cały świat.

Ruszyłam za nią. Po zdjęciu butów ubyło mi kilka centymetrów i czułam się teraz głupio, dziecinnie. Diondra odwróciła się profilem, zerknęła na mnie kątem oka, a ja zauważyłam, jak spod jej górnej wargi wysuwa się ostry koniuszek kła. Potem przechyliła na bok głowę i powiedziała:

- Siadaj, proszę. Chryste, jesteś Dayówną z krwi i kości, prawda? Te ogniście rude włosy... zawsze je uwielbiałam.

Ledwo usiadłyśmy na sofie, do pokoju przytruchtały trzy krótkonogie pudle - ich obroże pobrzękiwały jak dzwonki u sań - i wszystkie wpakowały się Diondrze na kolana.

Natychmiast zeszywniałam.

- Kurde, rzeczywiście cała Dayówna - zachichotała. - Ben też zawsze bał się psów. Oczywiście te, które miałam w dawnych czasach, były o wiele większe niż obecne maleństwa. - Pudle zaczęły oblizywać jej palce, pracowicie chleptały różowymi językami. - No więc, LIBBY... - wypowiedziała moje imię w taki sposób, jakby budziło skojarzenia z jakimś tylko jej znanym dowcipem - ...czy to Ben dał ci na mnie namiary? Powiedz prawdę, proszę.

- Znalazłam cię przez niejakiego Treya Teepano.

- Treya? Chryste! A jakim cudem do niego trafiłaś?

- Prowadzi sklep z paszami. Jest w każdej księżce telefonicznej.

- Sklep z paszami. Na to bym nigdy nie wpadła. A tak a propos, jak on teraz wygląda?

Już miałam pokiwać głową entuzjastycznie - wygląda wspaniale! - ale w porę się opanowałam, po czym powiedziałam:

- Byłaś razem z Benem tamtej nocy.

- U-hm. Owszem.

Wpatrywała się bacznie w moją twarz - czujna, ale zaciekawiona zarazem.

- Chcę wiedzieć, co się stało.

- Dlaczego? - spytała.

- DLACZEGO?!

- Wybacz, panno Libby, ale twoja wizyta całkiem mnie zaskoczyła. Czy Ben czegoś ci naopowiadał? To znaczy, dlaczego teraz postanowiłaś mnie odnaleźć? Właśnie teraz?

- Muszę wreszcie poznać prawdę.

- Och, Libby. Oooh - posłała mi współczujące spojrzenie - Ben już dawno temu zaakceptował fakt, że ze względu na wydarzenia tamtej nocy powinien siedzieć w więzieniu. I naprawdę chce tam pozostać. Musisz mu na to pozwolić.

- Czy to on wymordował moją rodzinę?

- Dlatego tu przyjechałaś?

- Czy Ben wymordował moją rodzinę?

Uśmiechnęła się jedynie, ale te pulchne wargi były nienaturalnie napięte.

- Diondra, proszę, chciałabym odnaleźć spokój. Po prostu odpowiedz.

- A więc o to w tym wszystkim chodzi, Libby? O odnalezienie spokoju? Myślisz, że poznanie prawdy cię do tego przybliży? Że wiedza cię cudownie uleczy? Naprawdę wierzysz, że po tym, co się stało, zdołasz kiedykolwiek odzyskać spokój, kochanie? Powiem ci, co ja o tym sądzę. Sądzę, że możesz to osiągnąć tylko w jeden jedyny sposób. Zamiast dociekać, co się rzeczywiście stało, po prostu zaakceptuj fakt, że do tego doszło. Oto słowa Modlitwy Otuchy: Proszę o ukojenie, żebym mogła zaakceptować rzeczy, których nie mogę zmienić. Ta modlitwa bardzo mi pomogła.

- Po prostu powiedz, co się stało. A ja potem spróbuję zaakceptować tę prawdę.

Promienie zachodzącego słońca wpadły przez tylne okno i oślepiły mnie swoim blaskiem w chwili, gdy Diondra się nachyliła i chwyciła moje dłonie.

- Libby, bardzo mi przykro, ale po prostu nie wiem. Owszem, spotkałam się z Benem tamtej nocy. Chcieliśmy razem wyjechać z miasta. Byłam z nim w ciąży, zamierzaliśmy uciec. Ben pojechał do domu po pieniądze. Minęła godzina, dwie, trzy. Doszłam do wniosku, że w ostatniej chwili stchórzył. Wystawił mnie do wiatru. Zaczęłam rozpaczać, i tak bardzo płakałam, że w końcu usnęłam. Dopiero rano usłyszałam, co się stało. Z początku myślałam, że Ben też zginął. A potem się dowiedziałam, że żyje, został aresztowany, a policja podejrzewa go o przynależność do jakiejś satanistycznej sekty w stylu Masona i teraz poszukuje jej członków; Z drżeniem serca czekałam, aż gliniarze zapukają do moich drzwi. Ale nic takiego się nie stało. Mijały dni, Ben nie miał alibi, a mimo to ani słowem nie wspomniał o mnie policji. Chronił mnie i nadal chroni.

- Przez te wszystkie lata.

- Owszem. Przez te wszystkie lata. Gliniarze nie chcieli zaakceptować faktu, że Ben działał sam. Na siłę szukali współwinnych. Jednak Ben nigdy nie puścił pary z ust. Dla mnie jest prawdziwym bohaterem.

- A więc zupełnie nikt nie wie, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy. I ja już nigdy się tego nie dowiem.

Gdy na głos wypowiedziałam te słowa, poczułam dziwną ulgę. A więc chyba mogę zakończyć swoje dochodzenie. Skoro nie mam szans na poznanie prawdy, powinnam spasować.

- Z pewnością uda ci się odnaleźć choć odrobinę spokoju, jeżeli to zaakceptujesz. Ja nie żartuję, Libby. A jeśli chcesz znać moje zdanie - osobiście nie sądzę, że to Ben je zamordował. Uważam, że osłania swojego ojca. Lecz kto wie? I przykro mi to powiedzieć, ale cokolwiek się zdarzyło tamtej nocy, Ben powinien zostać w więzieniu. Nawet on sam tak twierdzi. Zawsze miał w sobie skłonność do przemocy, która przeszkadzała mu żyć w normalnym świecie. W więzieniu jest mu o wiele lepiej. Wszyscy go lubią. Koresponduje z mnóstwem kobiet, które mają kompletnego świra na jego punkcie. Co roku dostaje kilkanaście propozycji małżeńskich. Czasami mu się zdaje, że chciałby się znaleźć na wolności. Ale to nieprawda.

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Jesteśmy w kontakcie - burknęła, ale zaraz uśmiechnęła się słodko.

Pomarańczowe światło zachodu oświetliło dół jej twarzy pogrążając oczy w gęstym mroku.

- A co się stało z dzieckiem, Diondra? Przecież byłaś wtedy w ciąży?

- Jestem tutaj - odezwała się Dziewczyna Dayów.

Ben Day

3 stycznia 1985, godz. 01:11

Ben wszedł do pogrążonego w ciemności dużego pokoju, po czym pomyślał - dom. I nagle się poczuł jak bohaterski żeglarz powracający po wielu miesiącach spędzonych na wzburzonym morzu. Gdy tu przyjechali, aż go korciło, żeby zamknąć Diondrze drzwi wejściowe przed nosem - teraz już mnie nie złapiesz! - Jednak tego nie zrobił, bo przerażała go myśl o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby jej nie wpuścił. Całe szczęście, że przynajmniej nie zabrali ze sobą Treya. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby się tutaj plątał i rzucał tymi swoimi idiotycznymi, zjadliwymi dowcipami; Ben i bez nich doskonale wiedział, że wszystko w tym domu jest po prostu żenujące.

Wokół panowała idealna cisza, farma była pogrążona we śnie. Ben miał ochotę obudzić mamę, zmusić, żeby wyszła do holu, popatrzyła na niego zaspanym wzrokiem, a potem zapytała, gdzie on, na Boga, się podziewał, I CO GO W OGÓLE OPĘTAŁO?

Diabeł. Diabeł mnie opętał, mamó.

Nie chciał nigdzie wyjeżdżać z Diondrą, ale ona szła za nim krok w krok i aż gotowała się z wściekłości. Co rusz spoglądała na niego szeroko rozwartymi oczami - „pospiesz się, pospiesz!” - więc zaczął cicho szperać po kuchennych szafkach, przeglądać różne tajemne skrytki mamy w poszukiwaniu pieniędzy. W pierwszej szafce z brzegu natknął się na pudełko z przeterminowanymi płatkami pszenicznymi, szybko je otworzył i połknął tyle, ile da się połknąć całkiem na sucho; płatki zaczęły przywierać mu do warg, drapać w gardło i przyprawiać o atak dzieciennego kaszlu. Mimo to chwilę później wyjął z pudełka całą ich garść, po czym wepchnął sobie do ust, a potem zajrzał do lodówki i zobaczył plastikowy pojemnik wypełniony groszkiem i krojoną w kostkę marchewką, pokrytymi zakrzepniętym masłem. Bez zastanowienia wetknął w jarzyny łyżkę, przytknął do warg brzeg pojemnika i zaczął łakomie nagarniać zawartość do ust, nie bacząc na fakt, że rozsypuje groszek na podłogę.

- Pospiesz się! - syknęła Diondra.

Ben wciąż miał na sobie jej dres, natomiast jego dziewczyna włożyła ładne nowe dzinsy, czerwony sweter i czarne półbuty, takie jakie mężczyźni nosili do garnituru, a ona lubiła najbardziej - tyle że te półbuty były autentycznie męskie, bo Diondra miała strasznie duże stopy. Chociaż naturalnie nie znosiła, gdy zwracało się na to uwagę. Teraz w

zniecierpliwieniu stuknęła o podłogę czubkiem jednego z tych męskich półbutów. Pospiesz się, pospiesz.

- Chodźmy do mojego pokoju - zdecydował Ben. - Tam mam swoje pieniądze i prezent dla ciebie.

Diondra natychmiast się rozpromieniła. Chociaż wciąż była lekko zamroczone narkotykami i alkoholem, wzmianka o prezencie dotarła do niej bez pudła.

Kłódka została przecięta i na ten widok Ben się wkurzył, a zaraz potem zaniepokoił. Mama czy policja? Co prawda tutaj i tak nikt nie znalazłby niczego podejrzanego, mimo to... Wszedł do środka, zapalił światło, Diondra zamknęła za nimi drzwi, po czym położyła się na łóżku. Gadała coś, gadała i gadała, on w ogóle jej nie słuchał, ale nagle wybuchnęła płaczem, więc przestał się pakować i ułożył się u jej boku. Odgarnął Diondrze włosy z twarzy, zaczął masować brzuch, próbował ją uspokoić, opowiadał, jak wspaniałe życie czeka ich we dwoje i tym podobne kłamstwa. Minęło dobre pół godziny, zanim przestała płakać. A potem natychmiast kazała mu się spieszyć. Po prostu klasyk.

Wstał, zerknął na budzik, uznał, że muszą natychmiast się zbierać, jeżeli rzeczywiście mają gdzie jechać. Drzwi leciutko się uchyliły, ale nawet do nich nie podszedł, właściwie chciał, żeby pozostały otwarte, bo niebezpieczeństwo nakrycia pobudzało go do szybszego działania. Wepchnął dzinsy i swetry do gimnastycznej torby, dorzucił zeszyt wypełniony żeńskimi imionami, które wybrał dla swojej córki. Jego niekwestionowanym faworytem nadal było Krissi. Krissi Day. Krissi Patricia Day, albo na cześć Diane - Krissi Diane Day. Ta ostatnia kombinacja podobała mu się nawet bardziej, ponieważ przyjaciele mogliby nazywać jego córeczkę D-Day - czyż nie super? Wiedział jednak, że czekała go niezła przeprawa z Diondrą, która uważała, że wybrane przez niego imiona są zbyt banalne. Ona wahała się pomiędzy Ambrosią, Calliope a Nightingale.

Z torbą przewieszoną przez ramię sięgnął głęboko do szuflady biurka i wyjął ukrytą tam gotówkę, po czym zaczął utykać po kieszeniach pięcio- i dziesięciodolarówki. Wcześniej wmówił sobie, że ma jakieś trzy, a może nawet cztery setki, teraz się okazało, że łączył zaledwie kilkadziesiąt dolarów. Kiedy już ostatni banknot znalazł się w kieszeni, Ben opadł na czworaki i sięgnął pod łóżko, ale nigdzie nie zobaczył torby z ubraniami. Ubraniemi jego córki.

- Gdzie mój prezent? - zaniepokoiła się Diondra, wciąż leżąc na łóżku z wojowniczo sterczącym brzuchem, który przypominał arogancko wysunięty środkowy palec.

Ben podniósł wzrok: zobaczył szminkę rozmazaną wokół ust, spływający po twarzy czarny tusz i pomyślał, że oto ma przed sobą potwora.

- Nie mogę go znaleźć.

- Jak to nie możesz go znaleźć?!

- Po prostu nie mogę. Ktoś grzebał w moich rzeczach.

- Jedna z twoich sióstr?

- Niewykluczone. Michelle zawsze węszy w pobliżu mojego pokoju. Na dodatek nie mam tyle pieniędzy, ile mi się zdawało.

Diondra usiadła gwałtownie i złapała się za brzuch. Nigdy go nie obejmowała troskliwym, czułym gestem, ale chwytła agresywnie, jak przykry ciężar, który Ben powinien pomóc jej dźwigać, tyle że był za głupi, aby to zrozumieć. Teraz skierowała swój brzuch w stronę Bena i oświadczyła ze złością w głosie:

- Jesteś ojcem tego dziecka, więc radzę ci, znajdź szybko jakieś rozwiązanie. To przez ciebie zaszłam w ciążę, dlatego teraz musisz się postarać. Jestem już prawie w siódmym miesiącu, praktycznie mogę urodzić lada dzień, a ty...

Nieznaczny ruch przy drzwiach, jasny skrawek koszuli nocnej, stopa wysuwająca się do przodu w rozpaczliwej próbie zachowania równowagi. Ciche uderzenie i drzwi stanęły otworem. Od jakiegoś czasu czaiła się za nimi Michelle i usiłowała podsłuchać rozmowę, ale w pewnym momencie za bardzo się nachyliła i w rezultacie w pokoju pojawiła się jej pyzata twarz - od ust do brody biegła smuga atramentu, wielkie okulary bliźniaczo odbijały światło lampy Michelle trzymała w ręku swój nowy pamiętnik.

Zerknęła na Bena, na Diondrę, a potem znacząco spojrzała na ciężarny brzuch i wykrzyknęła z satysfakcją:

- Ben zrobił dziewczynie dziecko. Wiedziałam!

Nie było widać jej oczu, tylko światło migoczące w szklach okularów, a pod nimi - szeroki, triumfalny uśmiech.

- Powiedziałeś mamie? - Upajała się swoim odkryciem, w jej tonie pobrzmiwała prowokacyjna nuta. - A może ja powinnam to zrobić?

Ben już miał ją złapać za kark, odprowadzić do łóżka, zastraszyć groźbami, jednak ciężarna dziewczyna okazała się szybsza. Michelle chciała czmychnąć przez próg, ale Diondra złapała ją za włosy - jej długie, brązowe włosy - powaliła na ziemię, Michelle trzasnęła kością ogonową o podłogę, Diondra szeptała: „ani słowa, mała cipo, nikomu, kurwa, nie powiesz ani słowa”, Michelle się wysliznęła niczym wąż, odepchnęła od ściany nogami i nagle Diondrze zostało w ręku tylko pasmo włosów, które rzuciła na podłogę, po czym natychmiast ruszyła w pogoń. Gdyby tylko mała pobiegła do pokoju mamy, wszystko byłoby dobrze, mama opanowałaby sytuację, jednak Michelle uciekła do pokoju dziewczynek, a tuż

za nią wpadła tam Diondra. Ben biegł za nimi, prosił szeptem: „Diondra, przestań, daj spokój, odpuść sobie”. Ale ona nie zamierzała niczego odpuszczać, stanowczym krokiem podeszła do łóżka, na którym kuliła się łkająca Michelle, pociągnęła ją za nogę, powaliła na plecy i usiadła na niej okrakiem. „Zamierzasz ogłosić światu, że jestem w ciąży, taki jest twój brudny plan, twoja żalosna intryga, chcesz sprzedać mój sekret za pięćdziesiąt centów, powiedzić o wszystkim mamie? Nic z tego, ty mały śmieciu... kurwa, czemu ta cała rodzina jest taka durna?!” A potem zacisnęła dłonie na szyi Michelle, dziewczynka zaczęła wierzgać nogami, na stopach wciąż miała kapcie, które podobno wyglądały jak psie łapki, Ben wpatrywał się w nie niczym zahipnotyzowany, doszedł do wniosku, że naprawdę tak wyglądają, a potem Debbie - małe zombie - zaczęła się budzić z głębokiego snu i Ben zamknął drzwi, zamiast otworzyć je na całą szerokość i zawołać mamę. On jednak nie chciał burzyć ciszy, teraz pamiętał tylko o tym, że musi się trzymać planu i nikogo nie pobudzić. Próbował natomiast przemówić Diondrze do rozsądku, przekonany, że w końcu wszystko dobrze się ułoży - „Diondra, uspokój się, ona nikomu niczego nie powie, zostaw ją, proszę”. Mimo to Diondra coraz silniej zaciskała palce na szyi jego siostry i mówiła: „Myślisz, że przez resztę życia zamierzam się zadreć z twojego powodu, mała suko”, a Michelle próbowała się bronić i nagle dźgnęła Diondrę w rękę piórem. Trysnęła krew, Diondra na moment zwolniła uścisk, wyglądała na zaskoczoną, wyglądała tak, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Michelle przekręciła głowę na bok, łączywie chwyciła ustami powietrze, ale Diondra ponownie chwyciła ją za szyję i wtedy Ben położył ręce na ramionach Diondry, żeby odciągnąć ją od siostry, jednak nagle dłonie odmówiły mu posłuszeństwa.

Libby Day

Współcześnie

Dziewczyna Dayów była wiotka i wysoka, a gdy weszła do pokoju, zobaczyłam twarz, która wyglądała identycznie jak moja. Swój wzrost musiała odziedziczyć po Diondrze, ale jej rysy były w stu procentach nasze - moje, Bena, mamy. Podobnie zresztą jak koloryt: miała rude włosy, co prawda pofarbowane na brąz, ale ich prawdziwą barwę zdradzały odrosty tak długie jak u mnie zaledwie kilka dni temu.

Przez chwilę wgapiała się w moją twarz pełnym niedowierzania wzrokiem, a potem pokręciła głową.

- Przepraszam, ale to zupełnie niesamowite - powiedziała, silnie się rumieniąc; jej skóra była usiana piegami typowymi dla naszej rodziny. - To znaczy mogłam się spodziewać jakiegoś podobieństwa, ale coś takiego? Rety! - Spojrzała na matkę, potem znowu na mnie, potem na swoje dłonie, a w końcu na kikut mojego palca. - Jestem Crystal, twoja bratanica.

Pomyślałam, że powinnam ją uściskać i nawet miałam na to ochotę, ale w końcu tylko podałyśmy sobie ręce.

Dziewczyna była spłoszona, splatała ramiona niczym warkocze, zerknęła na mnie z ukosa jak osoba, która pochwytuje swoje odbicie w mijanej witrynie sklepu i jednocześnie bardzo się stara, żeby nikt tego nie zauważył.

- Mówiłam ci, że do tego dojdzie, jeżeli tak nam jest pisane, kochanie - odezwała się Diondra. - I oto Libby do nas trafiła. Chodź, usiądź tu przy mnie.

Crystal opadła na sofę, leniwie oparła się o matkę, położyła policzek na jej ramieniu, a Diondra zaczęła nawijać sobie na palec kosmyk brązoworudych włosów córki. Bezpieczna w objęciach Diondry, dziewczyna spojrzała na mnie śmielszym wzrokiem.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że jednak cię poznałam - powiedziała. - Właściwie nie powinnam. Bo wiesz, ja jestem sekretem. - Zerknęła na matkę. - Owocem sekretnej miłości, prawda?

- Prawda - potaknęła Diondra.

A więc dziewczyna dobrze znała mrozącą krew w żyłach historii Dayów, wiedziała, że jest córką Bena. Byłam zdumiona, że Diondra dopuściła ją do tajemnicy, nie bała się, że Crystal zacznie szukać kontaktu z rodziną ojca - czyli ze mną. Zaczęłam się zastanawiać, od jak dawna o wszystkim wiedziała i czy zdarzało jej się przejeżdżać obok mojego domu - tak z

czystej ciekawości. Ale przede wszystkim nie pojmowałam, dlaczego Diondra odkryła przed córką prawdę o jej pochodzeniu, skoro wcale nie musiała tego robić.

W jakiś sposób odgadła tok moich myśli, ponieważ powiedziała:

- Crystal zna dokładnie całą historię. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami na świecie.

- Mam nawet zeszyt ze zdjęciami was wszystkich. Powycinałam je z różnych gazet i czasopism. To taki niby album rodzinny. A ciebie zawsze chciałam poznać. Powinam ci mówić „ciociu Libby”? Czy to nie brzmi głupio? Tak, chyba trochę idiotycznie.

Siedziałam jak oniemiała. Przede wszystkim doświadczałam uczucia wielkiej ulgi. A więc Dayowie nie są skazani na wymarcie. Mają się wręcz kwitnąco, sądząc po tej ładnej, wysokiej dziewczynie, która była tak ładząco do mnie podobna, tyle że szczęśliwie nie brakowało jej palców u rąk i nóg, a jej umysłu nie nawiedzały koszmary. Na usta cisnęło mi się mnóstwo niedyskretnych pytań. Czy miała słaby wzrok jak Michelle? Alergię na truskawki jak moja mama? Słodką krew jak Debbie, którą komary pożerały żywcem, więc w lecie zawsze śmierdziała kamforą? Czy była wybuchowa tak jak ja czy raczej wycofana i zdystansowana jak Ben? A może manipulacyjna i pozbawiona skrupułów jak Runner? Bardzo, bardzo pragnęłam, żeby miała całe mnóstwo cech Dayów, bo wówczas mogłabym sobie przypomnieć, jacy kiedyś byliśmy.

- Przeczytałam też twoją książkę - pochwaliła się Crystal. - *Nowy wspaniały dzień*. Jest naprawdę świetna. Miałam wtedy ochotę powiedzieć komuś, że cię znam, rozpieierała mnie duma.

Jej głos brzmiał niczym flet, balansował na granicy perlistego śmiechu.

- Um, dzięki.

- Dobrze się czujesz, Libby? - zatroskała się Diondra.

- Owszem, tylko... tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego pomimo upływu tak wielu lat wciąż utrzymujecie wszystko w sekrecie. Dlaczego Ben uparcie się zarzeka, że nic go nigdy z tobą nie łączyło? Dlaczego nadal każesz mu to robić? Zakładam, że z powodu tej całej konspiracji on nawet nie zna swojej córki.

Crystal pokręciła głową.

- Nie, chociaż ja bardzo chciałabym go poznać. Dla mnie jest największym bohaterem na świecie. Przez te wszystkie lata chronił mnie i moją mamę.

- Libby, musimy cię stanowczo prosić o zachowanie naszego sekretu - włączyła się Diondra. - Mamy nadzieję, że nas nie zawiedziesz. Policja mogłaby uznać, że byłam współniczką Bena, czy kimś w tym rodzaju. Nie stać mnie na podjęcie takiego ryzyka. Ze

względu na Crystal.

- Zupełnie nie widzę powodu, dla którego policja...

- Proszę...? - w głosie Crystal zabrzmiała błagalna nuta. - Bardzo proszę. Nie chcę żyć z myślą, że w naszym domu lada chwila mogą się zjawić policjanci i rozdzielić mnie z mamą. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką.

Szczerze mówiąc, osłabiały mnie te obustronne ekliwne deklaracje przyjaźni i już zaczęłam wykrzywiać usta w sardonicznym uśmiechu, gdy zobaczyłam łzy w oczach dziewczyny. Crystal autentycznie bała się widma wykreowanego przez Diondrę: żądni zemsty gliniarze wpadają tutaj niczym mityczny potwór z bagien i porywają ze sobą mamusię. Nic dziwnego, że Diondra została najlepszą przyjaciółką córki. Przypominały dwa ziarnka grochu zamknięte w jednym strąku.

Pielegnowały sekret. Sekret, którego trzeba było dochować ze względu na dobro mamusi.

- A więc po tym, jak uciekłaś, nigdy nie dałaś znaku życia rodzicom?

- Wyjechałam, kiedy ciąża zaczęła być widoczna - odparła Diondra. - Moi rodzice to szaleńcy. Byłam szczęśliwa, że wreszcie się od nich uwolniłam. A dziecko od początku miało pozostać naszą tajemnicą - moją i Bena.

Tajemnica w domu Dayów, jakże to niezwykle. A więc jakimś cudem tak smakowity kąsek przeszedł Michelle koło nosa!

- Coś cię rozbawiło - zauważyła Crystal, uśmiechając się moim uśmiechem.

- Hm, właśnie pomyślałam, że moja siostra Michelle byłaby wprost wniebowzięta, gdyby zdołała wytropić tak dobrze skrywany sekret. Ona uwielbiała dramatyczne plotki i skandale.

Obie - matka i córka - miały teraz takie miny, jakbym właśnie je spoliczkowała.

- Przepraszam, nie zamierzałam dowcipkować.

- Och, nie, nie. Nic się nie stało.

Przez chwilę panowała krepująca cisza. Spoglądałyśmy na siebie nawzajem, szurałyśmy stopami, splatałyśmy i rozplatałyśmy dłonie. W końcu Diondra przełamała milczenie.

- Libby, może zechciałabyś zostać u nas na kolacji?

*

Podawała cholernie słoną pieczeń wołową, którą próbowałam jakoś przełknąć, i różowe wino z kartonu, który zdawał się nie mieć dna. Nie sączyłyśmy tego wina powoli i dystygowanie, ale piłyśmy na całego. Tak jak lubię. Rozmawiałyśmy o banalnych rzeczach,

a Crystal zarzucała mnie pytaniami na temat Bena, na które - przyznaję ze wstydem - nie umiałam odpowiedzieć. Czy jej tato lubił rocka czy muzykę klasyczną? Czy dużo czytał? Czy był diabetykiem, ponieważ ona miała problemy związane ze zbyt niskim poziomem cukru we krwi. A jaka była babcia Patty?

- Wiesz, chciałabym widzieć w nich żywych ludzi, a nie jedynie ofiary - powiedziała z afektacją młodej dziewczyny.

Wówczas przeprosiłam i poszłam do łazienki. Musiałam oderwać się na moment od wspomnień, od Diondry i od jej córki. Od bolesnej świadomości, że nie znam żadnych innych osób zamieszanych w wydarzenia owej nocy, że nie dowiem się już niczego więcej, że dotarłam do ściany, więc będę musiała zawrócić i być może raz jeszcze rozważyć winę Runnera.

Łazienka była równie zasyfiona jak reszta domu. Wszędzie panoszyła się pleśń, w kiblu ciurkiem leciała woda, wokół kosza na śmieci leżały kawałki papieru toaletowego, umazane szminką. Teraz, kiedy wreszcie zostałam sama, zaczęłam się rozglądać za drobiazgiem, który mogłabym zabrać na pamiątkę. Na spłuczce stał czerwony, glazurowany wazonik, ale nie wzięłam ze sobą torebki, więc musiałam się zadowolić czymś znacznie mniejszym. Otworzyłam szafkę nad umywalką i zobaczyłam buteleczki z lekami na receptę, wydanymi na nazwisko Polly Palm. Tabletki nasenne, tabletki przeciwbólowe i jakieś środki na alergię. Wzięłam kilka vicodinów, a potem wsunęłam jeszcze do kieszeni jasnorożową szminkę i termometr lekarski. Doprawdy szczęśliwy traf, ponieważ osobiście nigdy, przenigdy nie kupiłabym sobie termometru. A teraz, gdy nie będę mogła zwlec się z łóżka, od razu sprawdzę, czy dlatego, że jestem chora czy raczej przerażająco leniwa.

Kiedy wróciłam do stołu, Crystal siedziała ze stopą opartą o krzesło i kolaniem podciągniętym pod brodę.

- Mam wciąż całe mnóstwo pytań - jej melodyjny głos przebiegł przez pełną skalę gamy.

- Na które ja prawdopodobnie nie będę umiała odpowiedzieć - musiałam ostudzić jej entuzjazm. - Byłam taka mała, kiedy to się stało. Tak wiele rzeczy zapomniałam i dopiero teraz przypominam sobie to i owo dzięki rozmowom z Benem.

- Nie masz albumów ze zdjęciami? - zdziwiła się Crystal.

- Mam. Ale od lat leżą w zapieczętowanych kartonach.

- Zbyt wiele bolesnych wspomnień - szepnęła dziewczyna.

- Jednak niedawno zaczęłam przeglądać zawartość tych pudeł: zdjęcia, roczniki szkolne, mnóstwo innej makulatury.

- Na przykład? - zapytała Diondra, rozgniatając widelcem zielony groszek z miną znudzonej nastolatki.

- Przede wszystkim rozmaite szpargały po Michelle - odparłam zadowolona, że wreszcie mogę udzielić konkretnej odpowiedzi.

- Zabawki? - zainteresowała się Crystal i zaczęła miętosić rąbek spódnicy.

- Nie. Różnego rodzaju notatki. Pamiętniki. Michelle nieustannie w nich coś gryzmoliła; relacjonowała wszystkie potencjalnie dramatyczne wydarzenia. Zauważyła, że któryś z nauczycieli zrobił coś dziwnego lub niestosownego, od razu zapisywała to w pamiętniku. Uznała, że mama niesłusznie wyróżniła jedno z nas - natychmiast to odnotowywała. Pokłóciła się ze swoją najlepszą przyjaciółką o chłopaka, który obu im się podobał, zaraz szczegółowo...

- ...odd Delhunt - mruknęła Crystal, po czym jednym haustem wychyliła wino z kieliszka.

- ...opisała to w pamiętniku - ciągnęłam, bo z początku nie dotarły do mnie słowa dziewczyny. Ale moment później zaskoczyłam. Czyżby ona powiedziała „Todd Delhunt”? Nagle uświadomiłam sobie, że wtedy rzeczywiście poszło o Todda Delhunta. Sama nigdy bym sobie nie przypomniała tego nazwiska, ani karczemnej awantury, w jaką wdała się Michelle z powodu małego Todda. To się wydarzyło przed samą Gwiazdką, tuż przed morderstwami, pamiętam, że z tego powodu moja siostra kipiała wściekłością w poranek Bożego Narodzenia i zaciekle coś bazgroliła w swoim nowiutkim notesie, dopiero co wyjętym spod choinki. Todd Delhunt. Ale jakim cudem...

- Znałaś Michelle? - zwróciłam się do Diondry, podczas gdy mój umysł pracował na zwiększonych obrotach.

- Skąd - odparła. - W żadnym razie. W ogóle jej nie znałam - dorzuciła szybko i w tym momencie stanął mi przed oczami Ben udający, że nie ma pojęcia, kim jest Diondra. - Teraz ja muszę siusiu - oznajmiła Crystal, podnosząc się z krzesła.

- No cóż... - zagaiłam, po czym głos zamarł mi w gardle.

Nie ma mowy, żeby ta dziewczyna wiedziała o Toddzie Delhuncie i miłosnych perypetiach Michelle, chyba że... Chyba że czytała jej zapiski. Zapiski z notesu, który moja siostra dostała w poranek Bożego Narodzenia, by relacjonować w nim wydarzenia pierwszej połowy 1985. Wcześniej uznałam, że nie brakuje żadnego pamiętnika, bo rok 1984 był kompletny, ale w ogóle nie pomyślałam o roku następnym. Nowiutki notes Michelle, zawierający jej spostrzeżenia z okresu zaledwie dziewięciu dni - to z niego córka Diondry czerpała swoją wiedzę. Co z kolei oznaczało, że czytała zapiski mojej nieżyjącej...

Kątem oka pochwyciłam błysk metalu i w tym samym momencie Crystal trzasnęła mnie w bok policzka starym żelazkiem, a jej usta zastygły w niemym krzyku.

Patty Day

3 stycznia 1985, godz. 02:03

Patty w końcu odpłynęła w sen - jakże to absurdalne - na szczęście obudziła się tuż po drugiej, wysunęła z objęć Libby i ruszyła wzdłuż holu. Z pokoju dziewczynek dobiegały jakieś odgłosy i wyraźnie skrzypiało jedno z łóżek. Michelle i Debby spały zawsze głębokim, ale niespokojnym snem - rzucały się na wszystkie strony, rozkopywały pościel i często coś do siebie mamrotały. Patty minęła pokój syna; przez szparę w drzwiach sączyło się światło, które zapaliła, gdy się tam włamała. Kusiło ją, żeby zajrzeć do środka, ale już była spóźniona, a Calvin Diehl nie wyglądał na człowieka, który toleruje spóźnienia.

Ben, jej ukochany syn.

Może to i lepiej, że teraz nie miała już na nic czasu. Podeszła do wejściowych drzwi i zamiast myśleć o panującym na zewnątrz chłodzie, pomyślała o oceanie, o swojej jedynej wycieczce do Teksasu w czasach wczesnej młodości. Wyobraziła sobie, że leży na plaży wysmarowana olejkami do opalania, wsłuchuje się w szum fal, smakuje sól na wargach. Widzi słońce.

Otworzyła drzwi i nóż trafił ją w pierś. Patty zwinęła się w pół, znalazła w objęciach mężczyzny, który szeptał: „Nie bój się, za pół minuty już będzie po wszystkim, ale zrobimy to jeszcze raz, dla pewności”. Odchylił ją od siebie, była tancerką unoszoną w ramionach, a potem poczuła, jak nóż obraca się w jej piersi, nie przebił serca, a powinien, dlatego czuła, jak stal przemieszcza się w jej wnętrzu, i zobaczyła, że mężczyzna patrzy na nią ciepło, życzliwie, szykuje się do następnego ciosu, i nagle przenosi wzrok ponad jej ramię, twarz mu się wykrzywia, wasy zaczynają drgać...

- Co, do jasnej cholery?!

Patty obróciła nieznacznie głowę, zerknęła w głąb domu i zobaczyła Debby w lawendowej koszuli nocnej, z przekrzywionymi warkoczykami i białą wstążką opadającą na ramię. Debby krzyczała: „Mamo, oni robią coś złego Michelle!”, była bardzo przejęta swoim przesłaniem, dlatego w ogóle nie zauważyła, że z mamą także dzieje się coś złego, powtarzała jedynie w panice: „Chodź, mamo. Chodź szybko”. Patty pomyślała - ten koszmar nie mógł się wydarzyć w gorszym momencie. A potem - muszę zamknąć drzwi. Krew kapłała jej na nogi, ale gdy próbowała trzasnąć drzwiami, żeby Debby nie mogła jej zobaczyć, Calvin Diehl zablokował je ramieniem i huknął: „Niech to szlag, niech to wszystko trafi jasny szlag!”. Jego

słowa dudniły w uszach Patty niczym grom, poczuła, że mężczyzna próbuje wyszarpnąć nóż z jej piersi i zdała sobie sprawę z tego, co to oznaczało - nikt nie mógł widzieć jego twarzy, on chciał zaatakować Debby, chciał, żeby Debby odeszła razem z matką, więc Patty zacisnęła dłoń na trzonku i wepchnęła ostrze jeszcze głębiej. Calvin Diehl ciągle krzyczał głębokim basem, ale w końcu puścił nóż, kopniakiem otworzył szerzej drzwi, a gdy Patty upadła, zobaczyła, że mężczyzna chwyta siekiere, tę siekiere, którą Michelle starannie oparła o framugę, natomiast Debby biegnie w stronę matki, biegnie jej na pomoc. „Uciekaj, uciekaj”, zawołała Patty, i Debby zastygła w miejscu, wrzasnęła, zwymiotowała na przód koszuli, odwróciła się i zaczęła biec w przeciwnym kierunku, dotarła do załomu, już miała skręcić za róg, ale mężczyzna był tuż za nią, wzniosł w górę siekiere, a potem gwałtownie ją opuścił. Patty ostatnim wysiłkiem woli dźwignęła się na nogi, zatoczyła jak pijana, nic nie widziała na jedno oko, miała wrażenie, że znalazła się w koszmarnym śnie, przebierała szybko nogami, ale nie mogła ruszyć się z miejsca, krzyczała: „Uciekaj, uciekaj”, skręciła za załom i zobaczyła leżącą Debby, Debby z krwawymi skrzydłami, i Calvina Diehla, teraz kipiącego gniewem, z oczami pełnymi łez, który wykrzykiwał: „Dlaczego mnie do tego zmusiłaś?!”. A gdy się odwrócił, jakby zamierzał wyjść, Patty go wyminęła, złapała córkę, która postawiła parę chybliwych kroków, takich samych jak wtedy gdy była jeszcze pulchnym niemowlęciem. Na ciele miała straszne rany, a jej ramię, jej śliczne ramię...

- Już dobrze, Debby, wszystko będzie dobrze, kochanie.

Nóż wypadł z piersi Patty, z brzękiem uderzył o podłogę, krew zaczęła wypływać coraz szybciej i w tej samej chwili powrócił mężczyzna, tym razem ze strzelbą. To była strzelba należąca do Patty, którą ona wcześniej starannie odłożyła na półkę kominka, gdzie nie mogły dosięgnąć jej dziewczynki.

Calvin Diehl wycelował.

Patty stanęła przed córką, żeby ją osłonić, a gdy usłyszała odgłos przeładowania, zdążyła jeszcze pomyśleć: żałuję, jakże gorzko żałuję, że nie mogę tego wszystkiego cofnąć.

A potem rozległ się głośny świst, taki sam, z jakim gorące powietrze lata wpada przez okno do wnętrza samochodu, pocisk opuścił lufę i roztrzaskał Patty pół głowy.

Libby Day

Współcześnie

- Przepraszam, mamó - powtarzała Crystal.

Byłam na wpół oślepią, widziałam jedynie gorejące, pomarańczowe kręgi, jakbym spojrzęła prosto w słońce i szybko zamknęła powieki. Przed oczami mignęły mi fragmenty kuchni, ale szybko zniknęły. Ostry ból policzka promieniował do kręgosłupa i dalej, do moich stóp. Leżałam zwrócona twarzą do podłogi, a Diondra siedziała na mnie okrakiem. Wyraźnie wyczuwałam jej zapach - ten zapach spreju na insekty.

- O, Boże, Boże, wszystko zepsułam.

- Już dobrze, nic się nie stało, kochanie, teraz tylko przynieś mi broń.

Podczas gdy Crystal wbiegała na schody, Diondra przewróciła mnie na plecy i złapała za szyję. Nie przeklinała, nie krzyczała, działała metodycznie, oddychała równo i spokojnie. Przygniatała mnie swoim ciężarem i coraz mocniej zaciskała palce. Moja tętnica ostro pulsowała pod jej kciukiem. Nadal nic nie widziałam. I wkrótce miałam umrzeć. Tętno szalenie mi przyspieszyło, ale zaraz niebezpiecznie zwolniło i osłabło. Diondra przyszpilała moje ramiona kolanami do ziemi, nie byłam w stanie nimi poruszyć, teraz mogłam jedynie wierzgać nogami. Chuchała mi prosto w twarz gorącym oddechem i oczami wyobraźni ujrzałam jej szeroko otwarte usta. Bardzo mocno sprężyłam się w sobie, węzowym ruchem wypchnęłam ciało do góry, zdołałam uwolnić ramiona i trzasnęłam z całej siły w to miejsce, gdzie powinna się znajdować jej twarz.

Uderzenie było na tyle mocne, że zdołałam ją z siebie zrzucić, i mimo że nie doprowadziłam do nokautu, pięść mnie paliła żywym ogniem. Poczółgałam się po podłodze, próbowałam po omacku odnaleźć krzesło, cokolwiek zobaczyć, do cholery, a wówczas ona złapała mnie za kostkę.

- Tym razem mi się nie wywiniesz, skarbie.

Na szczęście to była moja prawa noga, ta pozbawiona trzech palców, na której nigdy dobrze nie trzymała się skarpetka, więc poderwałam się gwałtownie i Diondra została z samą skarpetą w dłoni. Wciąż nie było śladu ani Crystal, ani broni, pobiegłam więc na tyły domu, jednak nadal nic nie widziałam, nie mogłam się utrzymać w linii prostej, rzuciło mnie na prawo, trafiłam w sam środek otwartych drzwi i zaczęłam się staczać na łeb na szyję po schodach prowadzących do lodowatej piwnicy. Rozluźniłam całe ciało, to jedyny sposób,

żeby sobie niczego nie połamać podczas upadku, i nagle ogarnął mnie zapach obornika i stęchlizny. Mój wzrok funkcjonował fatalnie jak stary telewizor - obraz przed moimi oczami to pojawiał się, to znikał - niemniej zdołałam dostrzec ciemną sylwetkę Diondry na tle kwadratu światła u szczytu schodów. Stała tam przez moment, a potem zatrzasnęła drzwi, zamykając mnie w głębokim, brudnym lochu.

Usłyszałam, że wróciła Crystal, z góry dobiegały fragmenty ich rozmowy.

- Mamo, czy naprawdę musimy...

- Cóż... teraz już tak.

- Nie mogę uwierzyć... po prostu mi się wymknęło, ale głupio...

Tymczasem ja miotałam się po piwnicy, szukając drogi ucieczki.

Trzy betonowe ściany, a na końcu sterta kłopotów, piętrząca się aż pod sufit. Diondra i Crystal chwilowo nie zwracały sobie mną głowy, gadały jedna przez drugą, więc zabrałam się do rozmontowania stosu rupieci w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, lub przynajmniej przedmiotu, który mógłby posłużyć za broń.

- ...nie wiem, jak to się właściwie stało...

Natknęłam się na skrzynię, w której mogłabym się schować, co jednak było równoznaczne ze śmiercią.

- ...z pewnością już się domyśliła, nie jest głupia...

Odrzuciłam za siebie stojak na kapelusze i dwa koła rowerowe, a ilekroć coś przesuwalam, ściana kłopotów przemieszczała się nieznacznie.

- ...ja to zrobię, to ostatecznie moja wina...

Natknęłam się na górę starych, zapadających się kartonów, bardzo podobnych do tych, które trzymałam pod schodami. Odepchnęłam je na bok i wówczas spadł na podłogę kij pogo, który jednak był za ciężki, żebym mogła go użyć w charakterze broni.

- ...zostaw to mnie, wszystko będzie dobrze...

Głosy układały się w jednostajną kadencję - gniewny, pełen skruchy, gniewny, pełen skruchy aż w końcu rozległ się kategoriyczny ton zwiastujący koniec dyskusji.

Piwnica była o wiele większa niż sam dom, jak to często bywa na Środkowym Zachodzie nękanym tornadami. Roztrącałam rupiecie i systematycznie parłam do przodu. Wcisnęłam się pod wielkie biurko, a za nim zobaczyłam stare, drewniane drzwi. Prowadziły do solidnego, podziemnego schronu, mającego chronić mieszkańców przed trąbą powietrzną. Tak, to była pułapka bez wyjścia, zakończona grubą, betonową ścianą, ale w tym momencie w ogóle o tym nie myślałam, bo Diondra i Crystal już weszły do piwnicy, więc zatrzasnęłam za sobą drzwi i znalazłam się w wąskim pomieszczeniu, również wypełnionym rupieciami.

Zobaczyłam stare płyty gramofonowe, kołyskę, minilodówkę, wszystko dopchnięte do ścian, niepozostawiające wiele miejsca do manewru. Usłyszałam, że za drzwiami jakaś sterta się zawala, barykaduje do nich dostęp, ale nie miało to większego znaczenia, matka z córką i tak wkrótce tu dotrą.

- Po prostu strzelaj w tym kierunku, ona musi tam być - powtarzała Crystal, a Diondra ją uciszała.

Ich ciężkie kroki niosły się echem po piwnicy, teraz już się nie spieszyły, kopniakami usuwały przedmioty stojące im na drodze i coraz bardziej zbliżały się do schronu, osaczały mnie jak chore zwierzę, które trzeba uśpić. Diondra nawet niespecjalnie się koncentrowała na tym, co robi, bo w pewnym momencie powiedziała: „Ta pieczeń była przesolona”. A ja siedziałam w małym pomieszczeniu, rozglądałam się nerwowo dookoła i nagle dostrzegłam w rogu nieznacznie jaśniejszą smugę spływającą z góry. Rzuciłam się w tamtą stronę, potknęłam o czerwony wózek, kobiety wybuchnęły śmiechem, gdy usłyszały, że upadłam.

- Oj, chyba nabiłaś sobie siniaka! - wykrzyknęła Crystal, podczas gdy Diondra niestrudzenie roztrącała rupiecie.

W tym momencie już stałam w jaśniejszej smudze i zobaczyłam, że to szyb wentylacyjny schronu, zakończony wiatrową turbiną. Przeciętny człowiek nie przecisnąłby się przez jej łopaty, ale ja ze swoim wzrostem i wagą miałam na to duże szanse. Zaczęłam układać piramidę z różnych przedmiotów, żeby dosięgnąć krawędzi szybu i podciągnąć się do góry, tymczasem Diondra i Crystal już niemal się przebiły do drzwi. Próbowałam stanąć na starym, dziecięcym powoziku, ale się pode mną rozpadł, przy okazji raniąc mnie w nogę. Wówczas złapałam wypaczony stolik do przewijania niemowląt, na nim położyłam kilka tomów encyklopedii, i wdrapałam się na szczyt tej konstrukcji. Czułam, że lada moment książki wyjadą mi spod stóp, zdołałam jednak wetknąć ramiona pomiędzy zardzewiałe łopaty turbiny, szarpnęłam się w górę i już mogłam oddychać chłodnym, nocnym powietrzem. Szykowałam się do ostatniego wypchnięcia ciała, gdy nagle Crystal złapała mnie za kostkę i zaczęła ściągać w dół, a ja wierzgałam nogą jak mogłam najmocniej.

Usłyszałam krzyk: „Strzelaj”, a potem głos Crystal: „Złapałam ją, trzymam”. Ciągnęła mocno, chyba uwiesiła się na mnie całym ciężarem, powoli traciłam punkt zaczepienia, i wówczas wymierzyłam jej solidnego kopniaka, trafiając piętą prosto w nos.

Crystal zawyła nieludzko, a Diondra zaczęła krzyczeć: „Och, mój skarbie, och, kochanie!”, ja jednak już byłam na górze, z solidnie podrapanymi ramionami, ale wolna. Przez chwilę leżałam na ziemi, wciągałam głęboko do ust powietrze przesycone zapachem błota i słyszałam, jak Diondra woła: „Na zewnątrz! Biegnij na zewnątrz!”. Nie miałam

kluczyków do samochodu, zostały gdzieś w środku domu, puściłam się więc kulawym truchtem w stronę lasu, jak zwierzę, które straciło łapę. W blasku księżyca rozchlapywałam błocko i coraz bardziej nasiąkałam smrodem obornika. W pewnym momencie poczułam się już niemal bezpiecznie, zerknęłam za siebie i zobaczyłam, że matka z córką gnają za mną co sił w nogach - trupio blade twarze, z których odpłynęła krew - na szczęście zdołałam dopaść do linii lasu.

W głowie mi się mąciło, nie byłam w stanie na niczym skupić wzroku, ani na drzewach, ani na niebie, ani na wystraszonym króliku, czmychającym mi spod nóg.

- Libbyyyy! - dobiegło zza moich pleców.

Pędziłam dalej, w głąb lasu, i gdy już byłam pewna, że za moment zemdleję, natknęłam się na gargantuiczny dąb, rosnący na niewielkim zboczu. Jego powykręcane korzenie strzelały w górę niczym promienie słońca. Opadłam na czworaki i wśliznęłam się do starej nory jakiegoś zwierzęcia, wydrążonej pod jednym z korzeni, grubych jak tułów dorosłego mężczyzny. Zagrzebałam się w wilgotną ziemię, mała istota w ciasnej przestrzeni, i dygotałam na całym ciele, ale nie wydawałam z siebie żadnego odgłosu. Kryłam się, a w tym byłam naprawdę dobra.

Dostrzeżałam zbliżające się światła latarek, omiatające pnie drzew. Chwilę później tuż nad głową usłyszałam ciężkie kroki, mignął mi rąbek spódnicy, a potem skrawek skóry usianej rudymi piegami.

- Musi gdzieś tutaj być, nie mogła dalej uciec.

Wstrzymałam oddech. Wiedziałam, że jeżeli teraz wciągnę powietrze, zarobię kulkę w łeb, więc starałam się nie oddychać. Czułam, jak korzenie uginają się pod ciężarem ich ciał.

- Czy to możliwe, że zawróciła w stronę domu? - głos Crystal.

- Rozglądaj się pilnie - poleciła Diondra. - Ona jest bardzo szybka - dodała tonem osoby, która wie, o czym mówi, bo już raz czegoś takiego doświadczyła.

Pokręciły się jeszcze przez krótką chwilę, po czym pobiegły w głąb lasu, a ja wreszcie mogłam zaczerpnąć oddechu, przesyconego zapachem mokrej ziemi.

Jeszcze przez parę godzin wśród drzew niosły się ich krzyki wściekłości i frustracji - „to niedobrze, po prostu fatalnie!” - aż w końcu zapanowała idealna cisza. Ja jednak wciąż leżałam z twarzą wciśniętą w próchniczą ziemię i dopiero gdy nadciągał brzask, wyczołgałam się z nory i pokuśtykałam przez las w stronę własnego domu.

Ben Day

3 stycznia 1985, godz. 02:12

Diondra wciąż siedziała okrakiem na ciele Michelle i pilnie nasłuchiwała. Ben kulił się na podłodze i kiwał na boki, podczas gdy z holu dobiegały wrzaski, przekleństwa, świst siekiery wbijającej się w ciało. Huk wystrzału i cisza, a później znowu jęki i jakieś słowa wypowiedane przez mamę, więc może nic jej się nie stało, chociaż tak naprawdę Ben wiedział, że musi być z nią źle, bo bełkotała bez sensu, dziwnie popiskiwała i obijała się o ściany. Wtedy też ponownie usłyszał tupot ciężkich butów, kierujących się w stronę sypialni mamy, a potem ten straszny odgłos małych rąk przebierających po drewnianej podłodze, rąk Debbie, która cofała się w panice, na czworakach, jak zaszczute zwierzę, i znowu świst siekiery, głośne sapnięcie i kolejny wystrzał.

Zdenerwowanie Diondry ujawniało się tylko w jeden sposób: jej grube, sztywne loki trzęsły się na wszystkie strony. Ale poza tym tkwiła w idealnym bezruchu. Ciężkie kroki zatrzymały się przed drzwiami, które Ben zamknął, kiedy rozległ się pierwszy krzyk - za którymi się krył, podczas gdy jego rodzina umierała w holu. Rozległo się nieludzkie wycie - „a niech to trafi szlaaaaaaag!” - i ktokolwiek stał przed pokojem dziewczynek, odwrócił się i szybko wybiegł z domu.

Ben wskazał palcem na Michelle i zapytał szeptem:

- Czy z nią wszystko w porządku?

Diondra zmarszczyła brwi, spojrzała na niego tak, jakby właśnie ciężko ją obraził.

- Nie. Ona nie żyje.

Ben nie był w stanie dźwignąć się z podłogi.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie - odparła i zeszła z dziewczynki. Głowa Michelle bezwładnie opadła na bok, otwarte nieruchome oczy wpatrywały się w Bena. Obok jej twarzy leżały potłuczone okulary.

Diondra stanęła nad Benem, jej kolana znalazły się na wysokości jego oczu. Wyciągnęła przed siebie rękę.

- Rusz się, wstawaj.

Otworzyli drzwi, oczy Diondry rozbłysły z niedowierzaniem jak na widok pierwszego śniegu. Wszędzie było mnóstwo krwi; wokół mamy i Debby utworzyła nawet małe jeziora.

W holu leżała porzucona strzelba i siekiera, a kawałek dalej - nóż. Diondra podeszła do ciała, żeby wszystkiemu lepiej się przyjrzeć, jej twarz odbiła się w ciemnej kałuży - kałuży, która powoli płynęła w stronę Bena.

- O, kurde - szepnęła Diondra. - Może rzeczywiście przywołaliśmy szatana.

Ben pobiegł do kuchni, chciał zwymiotować do zlewu, torsje często przynosiły ulgę - „wyrzuć to z siebie, wszystko wyrzuć” - tak powtarzała mama, kiedy w dzieciństwie trzymała mu głowę nad klozetem. „Wyrzuć z siebie to, co ci zaszkodziło”. Tym razem jednak nic nie zdołał z siebie wyrzucić, odsunął się więc od zlewu i chwiejnym krokiem podszedł do telefonu, ale kiedy miał już sięgnąć po słuchawkę, wyrosła przed nim Diondra.

- Zamierzasz mnie wydać z powodu Michelle?

- Musimy zadzwonić na policję - oświadczył, wpatrując się w kubek, w którym mama zawsze pijała kawę, brudny, z resztką ciemnego płynu na dnie.

- A gdzie twoja najmłodsza siostra? - zaniepokoiła się Diondra. - Gdzie ona się podziała?

- Jasna cholera, Libby!

Puścił się biegiem przez hol, starał się nie patrzeć na ciała, udawał, że to tylko przeszkody, przez które trzeba przeskoczyć. Zajrzał do pokoju mamy, poczuł przejmujący chłód, zobaczył, że wiatr wydyma firanek, okno było otwarte. Szybko powrócił do kuchni.

- Uciekła - powiedział. - Udało jej się, uciekła.

- Wobec tego sprowadź ją z powrotem.

Ben już miał wybiec przez drzwi, gdy nagle przyszło otrzeźwienie.

- Dlaczego?

Diondra przycisnęła jego dłonie do swojego brzucha.

- Ben, doprawdy nie rozumiesz, że tak właśnie miało się zdarzyć? Myślisz, że to przypadek? Wieczorem składamy ofiarę diabłu, prosimy go o łaskę, bardzo potrzebujemy pieniędzy, a parę godzin później jakiś człowiek morduje twoją rodzinę. Teraz tobie przypadną w udziale pieniądze z polisy mamy, i będziesz mógł żyć jak chcesz, będziemy mogli zamieszkać w Kalifornii, przy plaży, lub na Florydzie, wreszcie mamy na to szansę.

Ben nigdy nie mówił, że chce mieszkać w Kalifornii czy na Florydzie. To były marzenia Diondry.

- Teraz jesteśmy rodziną i możemy żyć jak prawdziwa rodzina, ale żeby tak się stało, musimy usunąć jeszcze jedną przeszkodę. Libby Mogła przecież coś zobaczyć.

- A jeżeli nic nie widziała?

Diondra stanowczo pokręciła głową.

- Nie możemy ryzykować, skarbie. Niebezpieczeństwo jest zbyt duże. Czas wykazać się odwagą.

- Ale przecież jeszcze tej nocy powinniśmy wyjechać z miasta, nie mogę czekać na wypłatę z polisy - W tej sytuacji w żadnym razie nie możemy wyjechać. Musimy zostać na miejscu, bo inaczej ściągniemy na siebie podejrzenia. Czy nie widzisz, że ta zbrodnia to prawdziwy dar losu - ludzie natychmiast zapomną o tej gównianej sprawie z Krissi Cates, bo teraz w tobie zaczną widzieć ofiarę. Uznają, że muszą być dla ciebie dobrzy i mili. Ja spróbuję jakoś to ukryć... - wskazała na swój brzuch - ...jeszcze przez następny miesiąc. Zacznę nosić większe i dłuższe ciuchy. A potem dostaniemy pieniądze z ubezpieczenia i wreszcie, kurwa, stąd wyjedziemy. Będziemy wolni. I nikt już nigdy nie odważy się tobą pomiatać.

- A co z Michelle?

- Mam jej pamiętnik. - Diondra pokazała Benowi nowiutki notes z Myszką Minnie na okładce. - Wszystko gra.

- Ale jak wytłumaczymy jej śmierć?

- Powiesz, że zabił ją oszalały facet, tak jak resztę rodziny. Łącznie z Libby.

- Ale...

- Ben, posłuchaj mnie uważnie. Pod żadnym pozorem nie wolno ci nikomu wyjawić, że się znamy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Chyba nie chcesz, żebym urodziła nasze dziecko w więzieniu? Wiesz, co się wtedy stanie? Ono zostanie natychmiast oddane do adopcji i już nigdy w życiu go nie zobaczysz. Przecież nie zamierzasz skazać na podobny los własnego dziecka ani jego matki? A tylko ty możesz teraz temu zaradzić. Dlatego musisz się zachować, jak na dużego chłopca przystało. Udowodnij, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Idź i sprowadź mi tutaj Libby.

Ben wziął w rękę supermocną latarkę i wyszedł na chłód, nawołując siostrę po imieniu. Była bardzo zwinnym dzieckiem, zdumiewająco szybko biegała, do tej pory mogła już dotrzeć do drogi, a nawet do autostrady. Albo schowała się w swojej ulubionej kryjówce nad stawem. Ben ruszył przed siebie żwawym krokiem po zmrożonym, chrzęszczącym śniegu i zastanawiał się, czy to, czego właśnie doświadczył, nie było jakimś koszmarnym tripem po kiepskich drogach. Może gdy za chwilę wróci do domu, okaże się, że wszystko wygląda tak jak wtedy, gdy przyjechał na farmę. Wokół panuje ciemność i cisza, a mama i siostry leżą w swoich pokojach, pogrążone w spokojnym śnie. Jak każdej zwyczajnej nocy.

Ale potem stanął mu przed oczami obraz Diondry szarpiącej szyję Michelle, niczym wielkie drapieżne ptaszysko, i w tym momencie zrozumiał, że nic już nie będzie okej, i że w

żadnym razie nie sprowadzi Libby z powrotem do domu. Przesunął światłem latarki po czubkach trzciny, ujrzał błysk rudych włosów na tle mdłego, słomkowego koloru i wykrzyknął:

- Libby, zostań tam, gdzie jesteś, skarbie!

Po czym zawrócił i biegiem puścił się w stronę domu.

Kiedy wszedł do środka, Diondra waliła siekierą w co popadnie, wrzeszczała i szczyrzyła zęby. Wysmarowała ściany krwią, powypisywała różne okropne wyrazy. Wszędzie wokół aż się roiło od krwawych śladów jej męskich półbutów. Wcześniej jadła dmuchany ryż i porozwłóczyła go po całym domu. Na wszystkim beztrzesko zostawiała odciski palców. Wrzeszczała:

- Muszę zrobić tak, żeby wyglądało jak należy!

Ale Ben wiedział, o co naprawdę chodziło: Diondra upajała się widokiem i zapachem krwi, podobnie jak on wcześniej tego wieczoru. Ogarnął ją taki sam szal i poczucie niewysłowionej mocy.

Starannie pousuwał ślady jej stóp, chociaż chwilami nie mógł ich odróżnić od śladów pozostawionych przez nieznanego faceta - kim on właściwie był, do kurwy nędzy?! Powycierał wszystkie rzeczy, których dotykała - kontakty, siekierę, kuchenne blaty, niemal każdy przedmiot w swoim pokoju. W pewnej chwili Diondra stanęła w drzwiach i oznajmiła, że wytarła szyję Michelle. Ben starał się o tym nie myśleć, w ogóle robił wszystko, żeby wyłączyć myślenie. Powypisywane krwią słowa pozostawił na ścianach, bo nie miał pojęcia, jak je wyczyścić.

Potem zauważył, że Diondra w swoim amoku musiała rzucić się z siekierą także na jego martwą mamę, bo na jej ciele widniały głębokie rany, których wcześniej tam nie było.

Ben nie mógł zrozumieć tylko jednego - jakim cudem zachowuje taki olimpijski spokój; zastanawiał się, kiedy organizm odmówi mu posłuszeństwa, kiedy wreszcie padnie zemdlony na ziemię. Ale w końcu powiedział sobie - weź się w garść, bądź, kurwa, mężczyzną, chociaż raż się zachowaj, jak na prawdziwego faceta przystało.

Szybko wyprowadził Diondrę z domu, już nasiąkającego zapachem śmierci, wyprawił ją z farmy. A później zamknął oczy, ujrzał czerwone, gorejące słońce, i po raz kolejny tego dnia pomyślał: Anihilacja.

Libby Day

Współcześnie

Bałam się, że stracę resztę palców u nóg. Niemal od godziny siedziałam przed zamkniętą stacją benzynową, masowałam skostniałe stopy i czekałam na Lyle'a. Ilekroć słyszałam nadjeżdżający samochód, kryłam się za budynkiem na wypadek, gdyby to była Diondra z córką. Nie zdołałabym przed nimi uciec, bo nie mogłam utrzymać się na nogach, nie mówiąc już o bieganiu. Jeżeliby mnie dopadły, byłoby po mnie. Załatwiłyby mnie na miejscu. Przez lata marzyłam o śmierci, ale ostatnio odwiedziło mi się umieranie, a już z pewnością nie chciałam zginąć z ręki tych pieprzonych zdzir.

Kiedy zobaczyłam przy stacji budkę telefoniczną, byłam pewna, że nie działa. Na szczęście się myliłam, więc zadzwoniłam do Lyle'a na koszt abonenta. Jeszcze zanim telefonistka zdążyła się na dobre rozłączyć, zaczął wykrzykiwać entuzjastycznie:

- Libby, czy już wiesz? Czy już słyszałaś?

Odparłam, że o niczym nie słyszałam, i o niczym nie chcę słyszeć. Niech po prostu natychmiast po mnie przyjedzie. I od razu przerwałam połączenie, nie dając mu szansy na zadanie jakiegokolwiek pytania.

- Co się stało?

To były pierwsze słowa Lyle'a, gdy w końcu podjechał pod stację i zobaczył, jak strasznie jestem skostniała. Szczekałam zębami, cała dygotałam. Rzuciłam się na siedzenie pasażera, ciasno obejmując ciało ramionami.

- Jedno, kurwa, jest pewne. Diondra nie zginęła. A teraz jak najszybciej zawieź mnie do domu.

- Musisz jechać do szpitala, a w każdym razie powinna się tam znaleźć twoja twarz. Widziałaś, jak wygląda?

Przyciągnął mnie bliżej do samochodowej lampki, żebym mogła się przejrzeć w lusterku.

- Zdążyłam ją obmacać.

- Może wobec tego powinniśmy ruszać na policję? Co właściwie się tam wydarzyło? Wiedziałem, że powinienem jechać razem z tobą. Libby, opowiedz wreszcie, co się stało?

Opowiedziałam. Wszystko bez wyjątku, od czasu do czasu wybuchając płaczem. Zakończyłam słowami: „a potem one... one próbowały mnie zabić”. Wypowiedziałam to

tonem małej dziewczynki, która skarży się mamie, że jakiś kolega w szkole był dla niej niedobry - A więc Diondra zabiła Michelle - podsumował Lyle. - Musimy natychmiast powiadomić o tym gliniarzy.

- Nie musimy. Chcę jechać do domu. Do mojego własnego domu! - wybełkotałam przez smarki i łzy.

- Libby, musimy to zgłosić na policję.

Zaczęłam miotać się i krzyczeć, wyzywać go od najgorszych i bić pięścią w szybę, a im głośniejsze się wydzierałam, tym bardziej Lyle utwierdzał się w przekonaniu, że w pierwszej kolejności udamy się na posterunek.

W głębi duszy wiedziałam, że tak właśnie powinnam postąpić, ale mój umysł był zainfekowany wspomnieniami wydarzeń, które nastąpiły bezpośrednio po śmierci mojej rodziny: gliniarze długimi godzinami wypytyjący mnie o to samo; moje nogi zwisające ze zbyt wysokiego krzesła; zimna czekolada w styropianowych kubkach; uczucie ciągłej senności i takiego wyczerpania, od którego drętwieje cała twarz. A do tego przekonanie, że nie ma już żadnego znaczenia, co powiem, bo one i tak nie żyją.

Lyle włączył ogrzewanie na pełen regulator i skierował na mnie wszystkie dysze.

- Okej, Libby. Mam dla ciebie bardzo ważne wiadomości. Ale zupełnie nie wiem, jak to powiedzieć. Od czego zacząć.

- Lyle, po prostu gadaj, bo zaczynasz mnie przerażać.

Lampka samochodowa świeciła bardzo mdłym światłem, dlatego wciąż się rozglądałam i sprawdzałam, czy ktoś się do nas nie podkrada.

- Pamiętasz Anioła Dłużników? - zaczął Lyle. - Tego, którym się zajmowała jedna z sekcji Klubu Zbrodni? No więc gliniarze dorwali go pod Chicago, gdy pomagał jakiemuś żaloszemu maklerowi upozorować wypadek konny. Został złapany na gorącym uczynku, kiedy walił bankruta kamieniem w głowę. Nazywa się Calvin Diehl. Swego czasu był farmerem.

- Okej... - wiedziałam, że to nie koniec opowieści.

- Okazało się, że Anioł świadczył swoje mordercze usługi od początku lat osiemdziesiątych. Działał rozważnie i z głową. Dysponuje listami własnoręcznie napisanymi przez każdą ze swoich ofiar - a było ich trzydzieści dwie - w których oświadczają pod przysięgą, że osobiście wynajęli Diehla, by ich zabił.

- Okej...

- Jedno z tych oświadczeń napisała twoja mama.

Gwałtownie zgięłam się w pół, ale nie spuszczałam z Lyle'a wzroku.

- Wynajęła go, żeby ją zabił. Ale tylko ona jedna miała zginąć. Chciała ocalić farmę. Ocalić was wszystkich. I Bena. Za pieniądze z polisy. Gliniarze mają jej list.

- Co takiego? Ależ to jakiś absurd. Przecież wiemy, że Diondra zabiła Michelle. Miała pamiętnik mojej siostry. Nie ulega wątpliwości, że to Diondra...

- Poczekaj, Libby, słuchaj dalej. Ten gość, Calvin Diehl, odgrywa bohatera ludowego i całkiem nieźle mu to wychodzi - przed więzieniem koczują tłumy z transparentami w rodzaju „Diehl-wybawca”. Wkrótce zaczną powstawać o nim folkowe kawałki: pomagał umrzeć ludziom pogrążonym w długach, żeby banki nie mogły przejąć ich majątku, wydymał chciwe towarzystwa ubezpieczeniowe na wielką kasę. Wiele osób gładko to łyka. On sam nie przyznaje się do żadnego z trzydziestu dwóch zabójstw, utrzymuje, że to było pomocnictwo do samobójstwa. Twierdzi, że dzięki niemu ci ludzie mogli umrzeć z godnością. Ale jest gotowy odpowiedzieć za Debby. Przyznał, że ją zabił, podobno przypadkowo się znalazła na miejscu „wypadku”, sprawy wymknęły się spod kontroli. Mówi, że tylko z powodu tej jednej ofiary gnębią go wyrzuty sumienia.

- A co z Michelle?

- Zarzeka się, że nawet nie widział jej na oczy i według mnie nie kłamie.

- Dwoje morderców - mruknęłam. - Dwoje morderców tej samej nocy. Do czegoś takiego trzeba mieć szczęście Dayów.

*

Zmarnowałam siedem godzin: na ukrywanie się w lesie, siedzenie pod stacją benzynową, histeryzowanie w samochodzie Lyle'a i przekonywanie zaspanego zastępcy miejscowego szeryfa, że nie jestem obłąkana (Niby CZYJĄ jest pani siostrą?!). A tymczasem do rana Diondra wraz z Crystal zniknęły i wszelki ślad po nich zaginął. Dosłownie. Oblały swój dom benzyną i drewniana konstrukcja doszczętnie spłonęła, jeszcze zanim wozy straży pożarnej zdążyły wyjechać z remizy.

W ciągu następnych godzin wiele razy musiałam powtarzać swoją historię. Początkowo spotykałam się z rozbawieniem i niedowierzaniem, ale w końcu zyskałam na wiarygodności.

- Potrzebujemy jednak czegoś więcej, żeby ją połączyć z zabójstwem pani siostry - oznajmił jeden z detektywów, wciskając mi w rękę styropianowy kubek z zimną kawą.

Dwa dni później na progu mojego domu pojawili się dwaj śledczy Mieli ze sobą kserokopie listów mojej mamy. Chcieli wiedzieć, czy to jej charakter pisma, nie byli pewni, czy zechcą je przeczytać.

Pierwszy był krótkim, prostym oświadczeniem, oczyszczającym Calvina Diehla z

zarzutów o morderstwo.

Drugi był adresowany do nas.

Kochany Benie, kochane Michelle, Debby i Libby,

Wątpię, czy ten list kiedykolwiek do was dotrze, ale pan Diehl obiecał go przechować, i to samo w sobie stanowi dla mnie pewną pociechę. Wasi dziadkowie zawsze mi powtarzali: Staraj się wieść pożyteczne życie. To mi się raczej nie udało, ale przynajmniej mogę się postarać, żeby moja śmierć przyniosła komuś pożytek. Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Ben, bez względu na wszystko, nigdy się nie obwiniaj za to, co się stało. W pewnym momencie różne sprawy wymknęły się spod mojej kontroli i dlatego tak musiałam postąpić. Jestem przekonana, że podjęłam słuszną decyzję i nawet odczuwam pewną dumę. Moim życiem głównie rządził przypadek, więc dobrze, że „przypadek na życzenie” w końcu odmienił wszystko na lepsze. To nasz szczęśliwy traf. Wiem, że Diane dobrze was wychowa, ale pamiętajcie, by troszczyć się o siebie nawzajem. Przykro mi tylko, że nie będę mogła zobaczyć, na jakich wspinających wyrosliście ludzi. Wierzę w was całym sercem. Ostatecznie znam dobrze swoje dzieci.

Kocham Was,

Mama

Poczułam się całkowicie wypalona w środku. W ostatecznym rozrachunku śmierć mamy nikomu nie przyniosła pożytku. W pierwszej chwili ogarnęła mnie furia i uczucie nienawiści, ale potem wyobraziłam sobie te ostatnie makabryczne chwile, gdy Debbie konała, a mama, brocząc krwią, zdała sobie sprawę, że wszystko potoczyło się w najgorszy możliwy sposób i zaraz straci swoje niewiele znaczące życie nadaremnie. Mój gniew ustąpił miejsca czułości, jaką matka mogłaby odczuwać wobec dziecka i pomyślałam wówczas - przynajmniej się starała. Tego ostatniego dnia tak się starała, że już nikt bardziej nie mógłby się postarać.

Może dzięki tej świadomości odnajdę w końcu spokój.

Calvin Diehl

3 stycznia 1985, godz. 04:12

To czysty idiotyzm; zaledwie w ułamku chwili, wszystko potoczyło się najgorzej, jak mogło się potoczyć. Do diabła, poszedł tam tylko po to, żeby wyświadczyć przysługę rudowłosej dziewczynie z farmy. A ona nawet nie zostawiła mu tyle pieniędzy, ile powinna; umawiali się na dwa tysiące, tymczasem w kopercie znajdowało się jedynie osiemset dwanaście i trzy ćwierćdolarówki. Ta noc okazała się jedną wielką katastrofą. Stał się zadufany w sobie, niechlujny, popadł w rutynę i oto skutki... A wszystko się zapowiadało na wyjątkowo łatwą robotę. Większość ludzi była bardzo wybredna, gdy chodziło o sposób, w jaki mają umrzeć, a ona tylko nie chciała utonąć. O ile to możliwe, bardzo prosiła, żeby jej nie utopił. Mógł więc ją zabić na dziesiątki prostych sposobów, które opanował do perfekcji. Ale tego wieczoru poszedł na drinka do baru, do którego zawsze wpadało wielu przejezdnych kierowców ciężarówek, więc w żaden sposób nie rzucał się wśród nich w oczy. I traf chciał, że był tam również mąż rudowłosej dziewczyny, który okazał się tak beznadziejnym dupkiem, tak bezwartościowym śmieciem, że Calvin się zainteresował, jakie dokładnie krążą słuchy o tym facecie, Runnerze. A ludzie mówili o nim chętnie i dużo: że doprowadził do ruiny farmę, że wpędził w nędzę żonę i czwórkę dzieci, że był zadłużony u bukmacherów po same uszy. I wówczas Calvin, człowiek honoru, pomyślał - a czemu nie?

Dźgnie kobietę prosto w serce na progu domu, a potem ten - jak mu tam? - Runner przeżyje kilka ciężkich dni. Gliniarze solidnie wezmą w obroty takiego żalosego szczura pozbawionego wszelkiej przyzwoitości. Dadzą mu ostro popalić. Oczywiście, w końcu śmierć rudowłosej dziewczyny zostanie uznana za przypadkową, jak w innych zaaranżowanych przez niego wypadkach - kraksach samochodowych czy awariach silosów. Niedaleko Ark City Calvin przysypał faceta jego własną pszenicą; tak pokombinował przy leju, że wszystko wyglądało na mechaniczny defekt. Sposób zabijania zazwyczaj dostosowywał do pory roku: utonięcia podczas wiosennych powodzi; wypadki na polowaniu, gdy nadchodziła jesień. Styczeń był sezonem rozbojów i brutalnej przemocy. Boże Narodzenie już minęło, a Nowy Rok przypominał ludziom, jak marne wiedli życie, dlatego w styczniu narastała w narodzie skłonność do agresji.

Tak więc szybko ugodzi ją prosto w serce dużym myśliwskim nożem. W ciągu trzydziestu sekund sprawa zostanie załatwiona, a i ból nie będzie duży. Ze względu na szok.

A martwe ciało znajdzie siostra. Bo rudowłosa kobieta była troskliwą matką i powiedziała, że zadba, aby siostra przyjechała skoro świt.

Calvin musiał szybko dotrzeć do swojego domu, stojącego tuż za granicą z Nebraską. Musiał dokładnie wymyć włosy. Wcześniej wytarł je jedynie garściami śniegu; gdy przytykał zimny śnieg do głowy, widział obłoki pary. Ale wciąż cały się lepił od krwi. Musiał ją jak najszybciej z siebie zmyć, musiał się pozbyć tego zapachu, który unosił się teraz w samochodzie.

Zjechał na pobocze. Ręce mu się pociły w grubych rękawicach. Wydawało mu się, że w pewnej odległości jakieś dziecko biegnie przez śnieg, ale nagle sobie uświadomił, że po prostu staje mu przed oczami mała dziewczynka, którą zabił. Pulchne stworzenie z warkoczykami, uciekające na jego widok, i ogarniająca go panika, która sprawiła, że w owej chwili nie widział w niej małej dziewczynki, ale łowną zwierzynę, którą natychmiast trzeba zabić. Nie chciał tego robić, jednak nikt nie mógł nigdy zobaczyć jego twarzy i pozostać przy życiu, musiał przede wszystkim chronić samego siebie. I musiał dopaść tę małą natychmiast, żeby nie pobudziła innych dzieci - bo wiedział, że w domu dzieci jest więcej, a nie miałby serca pomordować ich wszystkich. Nie na tym polegała jego misja. Jego misją i powołaniem było niesienie pomocy potrzebującym. Zobaczył tę pulchną, uciekającą dziewczynkę i nagle w ręku trzymał siekiere; wcześniej zauważył także strzelbę, ale pomyślał - siekiera nie narobi hałasu, wciąż jeszcze mogą załatwić wszystko po cichu.

A potem pewnie ogarnęło go szaleństwo, wezbrała w nim straszna furia i porąbał dziecko na kawałki; rozsadzał go też gniew na rudowłosą kobietę za to, że nie umarła tak, jak powinna i przez to on musiał zabić dziewczynkę siekiere. W rezultacie odstrzelił głowę matce czworga dzieci, nie zapewnił jej łagodnej śmierci, na jaką zasługiwała. Zamiast się wykrwawić na śniegu, skonać spokojnie w jego ramionach, w ostatnich chwilach życia doświadczyła przerażającego koszmaru.

A on musiał porąbać małą dziewczynkę!

Po raz pierwszy w życiu Calvin Diehl poczuł się jak morderca. Odchylił się na oparcie siedzenia i ryknął płaczem.

Libby Day

Współcześnie

Od zniknięcia Diondry i Crystal minęło trzynaście dni, a policja nadal nie wpadła na ich trop, nie znalazła też żadnego materialnego dowodu łączącego Diondrę z Michelle. Pościg powoli wytracał impet, a śledztwo zaczynało się kurczyć do sprawy o banalne podpalenie.

Wieczorem wpadł Lyle, żeby pooglądać ze mną kiepskie programy w telewizji; ostatnio nabrał takiego zwyczaju. Pozwalałam mu przychodzić, pod warunkiem, że nie będzie zbyt dużo gadał. Z tego gadania zrobiłam wielkie halo, ale w te dni, kiedy się nie zjawiał, autentycznie mi go brakowało. Właśnie oglądaliśmy wyjątkowo groteskowy reality show, gdy Lyle podskoczył na kanapie.

- Hej, przecież to mój sweter!

Miałam na sobie jeden ze zbyt obcisłych pulowerów Lyle'a, który swego czasu podwinęłam z jego samochodu. Po czym doszłam do wniosku, że na mnie leży o wiele lepiej.

- Na mnie leży znacznie lepiej - oznajmiłam.

- Rety, Libby, wystarczyło poprosić. - Odwrócił się z powrotem w stronę ekranu, na którym dwie kobiety skakały sobie do oczu niczym zajadłe psy - Libby Lepka Rączka. Szkoda, że niczego nie buchnęłaś z domu Diondry, na przykład szczotki do włosów. Przynajmniej mielibyśmy jej DNA.

- A! Magiczne DNA - mruknęłam.

Przestałam już wierzyć w jego moc.

Tymczasem na ekranie jedna blondynka targała drugą blondynkę za włosy i spychała ją z jakichś schodów, więc przełączyłam kanał na film przyrodniczy o zwyczajach krokodyli.

- O, Boże! O, mój Boże! - krzyknęłam i wybiegłam z pokoju.

Po chwili wróciłam i triumfalnie położyłam na stoliku szminkę oraz termometr lekarski.

- Lyle'u Wirth, jesteś cholernie błyskotliwy.

- Rany Julek! - wybuchnął śmiechem. - Kto by to pomyślał! Błyskotliwy Libby Lepka Rączka uważa mnie za błyskotliwego faceta.

- Bezapelacyjnie.

*

DNA z obu przedmiotów pasowało do plamy krwi z prześcieradła Michelle. Obława

ruszyła pełną parą. Nic dziwnego, że Diondrze tak zależało, aby nikt w żaden sposób nie powiązał jej z Benem.. Nieustanne postępy w nauce, umożliwiające coraz precyzyjniejszą identyfikację śladów sprawiły, że z każdym rokiem Diondra czuła się bardziej, a nie mniej zagrożona.

I dobrze.

Przyskrzynili ją w Amarillo, w punkcie odbioru przekazów pieniężnych. Crystal zapadła się pod ziemię, ale mieli Diondrę, chociaż trzeba było aż czterech gliniarzy, żeby zapakować ją do radiowozu. Tak więc Diondra siedziała w pudle, a Calvin Diehl złożył obszerne zeznania. Detektywi zgarnęli nawet jakiegoś parszywego agenta od pożyczek, którego imię - Len - nie wiedzieć czemu przyprawiało mnie o dreszcze. Wobec takiego rozwoju wypadków można by się spodziewać, że Ben zostanie natychmiast zwolniony z więzienia, jednak wymiarowi sprawiedliwości wcale się nie spieszyło. Diondra nie przyznawała się do winy, więc do zakończenia jej procesu nikt nie zamierzał wypuszczać mojego brata, tym bardziej że odmówił składania jakichkolwiek obciążających Diondrę zeznań.

Pod koniec maja pojechałam do niego na widzenie.

Odniosłam wrażenie, że jest zmęczony i że przytył. Kiedy usiadłam, uśmiechnął się blado.

- Nie wiedziałam, czy zechcesz się ze mną widzieć.

- Diondra zawsze była pewna, że wcześniej czy później ją odnajdziesz. Zawsze. I w tym względzie się nie myliła.

- Ano nie.

Żadne z nas nie miało ochoty ciągnąć tego wątku. Ben ochraniał Diondrę przez niemal ćwierć wieku, ja to zniweczyłam. Wydawał się melancholijny, ale nie przygnębiony. Może w głębi serca zawsze żywił nadzieję, że ktoś w końcu odkryje, czego Diondra się dopuściła. Gorąco chciałam w to wierzyć, ze względu na własne samopoczucie. I na wszelki wypadek wolałam się powstrzymać od wszelkich pytań dotyczących tej kwestii.

- Wkrótce stąd wyjdiesz, Ben. Możesz w to uwierzyć? Znajdziesz się wreszcie na wolności.

W rzeczywistości jego zwolnienie wcale nie było takie pewne. Plama krwi o ustalonym DNA na prześcieradle zamordowanej dziewczynki jest nie najgorszym dowodem, ale przyznanie się do winy jest o wiele lepsze. Mimo wszystko, nie opuszczała mnie nadzieja. Mimo wszystko.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - odparł Ben. - Chyba już nadszedł na to czas.

Myślę, że dwadzieścia cztery lata odsiadki to wystarczająca kara za... bierność. Za to, że nie zapobiegłem ich śmierci.

- Ja też tak uważam.

Razem z Lyle'em odtworzyliśmy wydarzenia tamtej nocy na podstawie tego, co usłyszałam w domu Diondry. Ona i Ben byli wtedy na farmie, szykowali się do ucieczki, aż nagle jakiś niespodziewany incydent przyprawił Diondrę o atak furii. W rezultacie zabiła Michelle, a Ben jej w tym nie przeszkodził. Osobiście podejrzewam, że moja siostra jakimś cudem dowiedziała się o ciąży, o dziecku, które na zawsze miało pozostać sekretem. Pewnego dnia może zapytam o to Bena, poproszę o szczegóły Ale w gruncie rzeczy jestem przekonana, że nie usłyszę niczego nowego czy zaskakującego.

Teraz siedzieliśmy naprzeciwko siebie - my, dwójka ocalałych Dayów - i w milczeniu przeżuwaliliśmy własne myśli. Ben podrapał krostę na ramieniu, spod krótkiego rękawa wychyliło się Y z imienia Polly.

- A więc, Libby... Co tak naprawdę sądzisz o Crystal? I do czego właściwie doszło TAMTEJ nocy? Słyszałem różne, sprzeczne wersje. Czy ona... czy ona jest zła? Zdeprawowana?

A więc teraz to Ben próbował dociec, jak wyglądał przebieg dramatycznych wydarzeń w pewnym samotnym, zimnym domu stojącym na uboczu. Przejechałam palcem po kości policzkowej - po dwóch bliznach w kształcie łożki, pozostawionych przez wyloty pary starego żelazka.

- Jest na tyle bystra, że skutecznie ukrywa się przed policją - odparłam. - A Diondra nigdy nie zdradzi miejsca jej pobytu.

- Nie o to pytałem.

- Nie wiem, Ben, naprawdę nie wiem. Crystal chroniła matkę. Diondra przyznała, że o wszystkim opowiedziała córce. Uważam, że te słowa należy traktować dosłownie. Opowiedziała o wszystkim. „Zabiłam Michelle i nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć”. Co się dzieje w głowie dziewczyny, które wie, że jej matka jest morderczynią? Popada w obsesję, próbuje odnaleźć w tym jakiś sens, wycina z gazet zdjęcia swoich nieżyjących krewnych, w kółko czyta pamiętnik zabitej ciotki, zna go na pamięć, cytuje, i całe życie myśli tylko o chronieniu matki. Aż nagle zjawiam się ja, i to właśnie Crystal przez nieuwagę wyjawia tajemnicę. Co wobec tego robi? Stara się naprawić swój błąd. W pewnym sensie ją rozumiem. I jej odpuszczam. Z mojego powodu na pewno nie trafi do więzienia.

W rozmowach z policją byłam bardzo oględna, gdy chodzi o Crystal. Detektywi chcieli ją przesłuchać tylko na okoliczność pożaru, bo nie powiedziałam, że usiłowała mnie

zabić. Nie chciałam zeznawać przeciwko kolejnemu członkowi swojej rodziny, mimo że w tym wypadku wina nie podlegała dyskusji. Próbowałam sobie wmówić, że ta dziewczyna nie jest tak zaburzona, jakby się mogło wydawać. Że to było chwilowe zamroczenie, atak w imię miłości. Z drugiej strony jej matka wpadła kiedyś w identyczny amok i w rezultacie Michelle straciła życie.

Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie spotkam Crystal, jednak gdybym jeszcze kiedykolwiek miała ją zobaczyć... Cóż, ujmijmy to następująco - cieszę się, że w domu trzymam pod ręką broń.

- Naprawdę chcesz jej odpuścić?

- Ostatecznie wiem, jak to jest, gdy usiłuje się zrobić coś dobrego, a w rezultacie pieprzy się własne i cudze życie.

- Mówisz teraz o mamie? - spytał Ben.

- Mówię o sobie.

- Równie dobrze mogłabyś mówić o nas wszystkich.

Ben przycisnął dłoń do szyby. I ja tym razem zrobiłam to samo.

Ben Day

Współcześnie

Pewnego dnia na więziennym dziedzińcu poczuł zapach dymu. Dym płynął z prądem powietrza jakieś dwa metry nad jego głową i Benowi stanęły przed oczami pola wypalane jesienią za czasów jego dzieciństwa, płomienie sunące przez ziemię migotliwymi rzędami, spopielające wszystko, co bezużyteczne. Jako młody chłopak nienawidził swojego wiejskiego pochodzenia i życia na farmie, a teraz marzył jedynie o rozległej przestrzeni pól. W nocy, gdy inni więźniowie wydawali z siebie charakterystyczne, lepkie odgłosy, zamykał oczy i widział bezkresne łąny sorgo, słyszał grzechotanie brązowych, kulistych ziaren, przypominających dziewczęce korale. Widział też wzgórza Kansas - dobrze mu znane Flint Hills - o niesamowitych, spłaszczonych wierzchołkach, jakby każde z nich pragnęło przywabić własnego kojota, żeby nocami wył do księżyca. Albo pojawiał mu się pod powiekami taki obraz: jego stopa zapada się w błoto, ziemia przyjaźnie go do siebie przyciąga, nie chce, żeby już kiedykolwiek ją porzucił.

Raz lub dwa razy w tygodniu Ben doświadczał stanu niezdrowej euforii i wtedy niemal wybuchał śmiechem. Siedział w więzieniu. Skazany na dożywocie. Za wymordowanie własnej rodziny. Jak to w ogóle możliwe? Teraz, po tak wielu latach, myślał o piętnastoletnim Benie niemal jak o własnym synu - zupełnie odrębnym bycie - i czasami miał ochotę udusić tego dzieciaka, pozbawionego charakteru i odwagi; w wyobraźni widział, jak potrząsa tamtym nastoletnim Benem tak silnie, że aż rozmazują mu się przed oczami rysy jego twarzy.

Ale niekiedy ogarniało go także poczucie dumy. Owszem, owej nocy był słabym, bezwartościowym tchórzem, który nie powstrzymał żywiołu. Przerażonym chłopcem. Ale po śmierci matki i siostr niektóre trybiki chyba wskoczyły na właściwe miejsce. Trzymał język za zębami, żeby chronić Diondrę, swoją kobietę, a przede wszystkim swoje dziecko. Swoją drugą rodzinę. Nie miał dość odwagi, by w odpowiedniej chwili wybiec z pokoju, ocalić Debbie i mamę. Nie zdobył się na powstrzymanie Diondry i nie ocalił Michelle. Dlatego potem mógł już tylko trzymać gębę na kłódkę i przyjąć na siebie karę. Zaciśnąć zęby i zaakceptować konsekwencje. To jedno mógł zrobić i zrobił.

Został mężczyzną, który ze stoickim spokojem znosi ciosy losu.

I z tego powodu zyskał prawdziwy rozgłos. Z początku był uważany za zdemoralizowanego gnojka czczącego diabła. Wtedy wszyscy drżeli na jego widok i nawet

klawiszem sprawiali wrażenie wystraszonych. A potem stał się ciepłym, uroczym więźniem, pokrzywdzonym przez życie, niezrozumianym przez świat. Kobiety ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu, a kiedy go odwiedzały, starał się zbyt wiele nie mówić, nie zdradzać swoich myśli - niechże puszczają wodze fantazji do woli. One w większości wyobrażały sobie, że Ben jest przepełniony dobrymi emocjami. I niekiedy był. Ale często także się zastanawiał, jak wyglądałoby jego życie, gdyby tamtej nocy wypadki potoczyły się zupełnie inaczej. Wraz z kwilącym dzieckiem zaszyliby się gdzieś na zachodzie Kansas, w małej motelowej celi lepkiej od brudu, z trudem opłacanej z tygodnia na tydzień. Diondra całymi dniami szlochałaby histerycznie i upokarzała Bena na wszelkie sposoby. W końcu pewnie by ją zabił. To wcale nie było takie nieprawdopodobne. Albo po prostu pierwszego lepszego dnia chwyciłby dziecko pod pachę i uciekł, a potem żył gdzieś szczęśliwie razem z Crystal. On skończyłby college, on gospodarowałby na farmie, w ich kuchni zawsze unosiłby się zapach świeżo parzonej kawy - jak w prawdziwym domu.

Może teraz rzeczywiście nadszedł czas, żeby wyszedł na wolność, a Diondra rozpoczęła pokutę. A kiedy opuści te mury, odszuka córkę. Była dzieckiem chowanym pod kloszem, nie zdołała samotnie ukrywać się zbyt długo, więc Ben ją odnajdzie i otoczy opieką.

Jednak już w chwili, gdy snuł te marzenia, wiedział, że musi być o wiele skromniejszy w swoich oczekiwaniach. Tego właśnie nauczyły go dotychczasowe doświadczenia: nigdy nie wolno mierzyć zbyt wysoko. Od urodzenia był skazany na samotność - czuł się wyobcowany jako dziecko, jako nastolatek i naturalnie teraz, jako dorosły. Czasami odnosił wrażenie, że całe życie przebywa na wygnaniu, z dala od miejsca, do którego przynależał w naturalny sposób, i niczym żołnierz tułacz marzył o powrocie. Tęsknił za krainą, której nigdy nie widział na oczy.

Jeżeli wyjdzie w końcu na wolność, to może zamieszka w pobliżu Libby. A potem przez resztę życia będzie błagał ją o przebaczenie i będzie ją ochraniał, tę swoją małą siostrzyczkę, trzymając się dyskretnie na uboczu.

Spełnienie skromnych marzeń. To wszystko, czego teraz pragnął.

Libby Day

Współcześnie

W spiralnych zwojach kolczastego drutu odbijało się ciepłe, żółte światło słońca, kiedy szłam do samochodu i rozmyślałam o tych wszystkich ludziach, którzy na skutek wydarzeń tamtego styczniowego dnia zostali okaleczeni - intencjonalnie, przypadkowo, zasłużenie, niezasłużenie, nieznacznie, ciężko, śmiertelnie. Moja mama, Michelle, Debby i Ben. Ja. Krissi Cates. Jej rodzice. Rodzice Diondry Diane. Trey. Crystal.

Zastanawiałam się, czy można coś jeszcze naprawić - czy kogoś z nich można jeszcze uleczyć lub przynajmniej komuś zapewnić spokój ducha.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej i zapytałam o drogę. Okazało się, że już nie pamiętam, jak dotrzeć do osiedla przyczep kołowych, gdzie mieszkała Diane, którą - tak jest, do diabła! - właśnie postanowiłam odwiedzić. W toalecie stacji przeczesalam palcami włosy i pociągnęłam usta bezbarwną szminką. Chociaż zamierzałam ją ukraść, w końcu uczciwie kupiłam (i do tej pory bardzo żałowałam tej decyzji). A potem przejechałam na drugi koniec miasta i ujrzałam otoczone białymi sztachetkami osiedle Diane, z mnóstwem rabatek żółcących się od żonkili.

Bo wbrew powszechnemu mniemaniu istnieje coś takiego jak ładne osiedla przyczep kołowych.

Dom Diane stał tam, gdzie zapamiętałam. Podjechałam i zatrąbiłam trzy razy, zgodnie z rytuałem mojej ciotki, którego pilnie przestrzegała, kiedy w zamierzonych czasach przyjeżdżała do nas z wizytą. Teraz stała w niewielkim „przydomowym” ogródku i pielila tulipany, zwrócona do mnie swoim szerokim tyłkiem. Potężna, kwadratowa kobieta o stalowosiwych, lekko falujących włosach. Odwróciła się na dźwięk klaksonu i zaczęła gwałtownie mrugać oczami.

Wyskoczyłam z samochodu.

- Ciocia Diane?

Ze ściągniętą twarzą przeszła przez ogródek stanowczym, zdecydowanym krokiem. A potem chwyciła mnie w objęcia i uściśniła tak mocno, że wydusiła mi całe powietrze z płuc. Ciężką ręką poklepała mnie po plecach, odsunęła na długość ramienia i znowu przyciągnęła do siebie.

- Wiedziałam, że cię na to stać, wiedziałam, Libby - wymamrotała mi do ucha; ciepła,

pachnąca tytoniowym dymem.

- Na co?

- Na to, żeby trochę bardziej się postarać.

*

Siedziałam u Diane przez dwie godziny, aż powoli nie miałyśmy sobie wiele więcej do powiedzenia, jak to zwykle w naszym wypadku bywało. Na do widzenia raz jeszcze szorstko mnie przytuliła i kazała wrócić w sobotę. Potrzebowała pomocy do zainstalowania kuchennego blatu.

Nie wjechałam od razu na autostradę, ale skierowałam się w okolice naszej już nieistniejącej farmy, udając sama przed sobą, że skręciłam tutaj przypadkiem. Tegoroczna wiosna była zimna i kapryśna, ale wreszcie zrobiło się naprawdę ciepło, więc opuściłam szyby. Zbliżałam się do końca długiej drogi, która prowadziła na farmę, i bałam się, że zaraz zobaczę jakieś osiedle domów jednorodzinnych lub centrum handlowe. Tymczasem ujrzałam starą, cynową skrzynkę na listy, a na niej nazwisko „Muehlerowie”, wymalowane kursywą. A więc nasza farma znowu była farmą.

Po polu kręcił się jakiś mężczyzna. Spory kawałek dalej, przy stawie, kobieta z małą dziewczynką patrzyły na psa baraszkującego w wodzie. Dziewczynka musiała być znudzona - rozłożyła ręce i okręcała się w pasie raz w jedną, raz w drugą stronę.

Przyglądałam się temu wszystkiemu przez kilka minut, przez cały czas zachowując równowagę ducha - Mroczny Zakątek nie wciągał mnie w swoją otchłań. Nie odzywały się żadne krzyki, huk wystrzału czy wysokie, ptasie popiskiwanie. Mogłam wreszcie wsłuchać się w ciszę. Mężczyzna mnie zauważył i zamachał przyjaźnie ręką. Odpowiedziałam tym samym gestem, ale kiedy skierował się w moją stronę, powoli odjechałam. Nie chciałam się z nim spotykać, nie chciałam wyjaśniać, kim jestem. Wolałam pozostać anonimową kobietą, która wraca do domu - do swojego „Het, w Tamtą Stronę”.